

GREG BEAR



**RADIO
DARWINIA**

SOLARIS

Spis treści

- [Część pierwsza Zima Heroda](#)

- [1](#)
- [2](#)
- [3](#)
- [4](#)
- [5](#)
- [6](#)
- [7](#)
- [8](#)
- [9](#)
- [10](#)
- [11](#)
- [12](#)
- [13](#)
- [14](#)
- [15](#)
- [16](#)
- [17](#)
- [18](#)
- [19](#)
- [20](#)
- [21](#)
- [22](#)
- [23](#)
- [24](#)
- [25](#)
- [26](#)
- [27](#)
- [28](#)
- [29](#)
- [30](#)

- [31](#)
- [32](#)
- [33](#)
- [34](#)
- [35](#)
- [Część druga Wiosna Shevy](#)
 - [36](#)
 - [37](#)
 - [38](#)
 - [39](#)
 - [40](#)
 - [41](#)
 - [42](#)
 - [43](#)
 - [44](#)
 - [45](#)
 - [46](#)
 - [47](#)
 - [48](#)
 - [49](#)
 - [50](#)
 - [51](#)
 - [52](#)
 - [53](#)
 - [54](#)
 - [55](#)
 - [56](#)
 - [57](#)
 - [58](#)
 - [59](#)
 - [60](#)
 - [61](#)
 - [62](#)
 - [63](#)
 - [64](#)

- [65](#)
- [66](#)
- [67](#)
- [68](#)
- [69](#)
- [70](#)
- [71](#)
- [72](#)
- [73](#)
- [Część trzecia Stella Nova](#)
 - [74](#)
 - [75](#)
 - [76](#)
 - [77](#)
 - [78](#)
 - [79](#)
 - [80](#)
 - [81](#)
 - [82](#)
 - [83](#)
 - [84](#)
 - [85](#)
 - [86](#)
 - [87](#)
 - [88](#)
 - [89](#)
 - [90](#)
 - [91](#)
 - [92](#)
 - [Epilog](#)
 - [Poślowie](#)
 - [Krótki elementarz biologiczny](#)
 - [Krótki słowniczek terminów naukowych](#)
 - [Podziękowania](#)

- [Przypisy](#)

Bear Greg

Radio Darwina

(Darwin's Radio)

Przełożył: Janusz Pultyn



2009

Część pierwsza

Zima Heroda

Alpy, przy granicy Austrii i Włoch Sierpień

Niskie, przedwieczne niebo wisiało nad czarnymi i szarymi górami niby kotara o barwie wyblakłych oczu wściekłego psa. Mitch Rafelson, z bolącymi kostkami i plecami piekącymi od źle założonej pętli nylonowej liny, podążał za poruszającą się szybko kobiecą sylwetką Tilde, idąc granicą między białym firnem a spadłym na ziemię pyłem świeżego śniegu. Tkwiące między oblodzonymi kamieniami blanki i iglice ciepło lata wyrzeźbiło w mleczone, wyglądające na krzemienne noże.

Na lewo od Mitcha nad bezładem czarnych głazów wznosiły się góry, ograniczone załamany urwiskiem lodowej kaskady. Na prawo, w pełnym żarze słońca, lód piął się oslepiającym blaskiem aż do nienagannej paraboli cyrku skalnego.

Franco znajdował się około dwudziestu jardów na południe, ukryty za skrajem gogli Mitcha, który mógł go słyszeć, ale nie widzieć. Kilka kilometrów za nim, teraz także poza zasięgiem wzroku, został okrągły jaskrawopomarańczowy obóz z włókna szklanego i aluminium, w którym ostatnio zatrzymali się na odpoczynek. Mitch nie wiedział, ile kilometrów pokonali od ostatniej chaty, której nazwę zapomniał; ale przywoływane obrazy silnego blasku słońca i ciepłej herbaty w izbie schroniska, Gaststube, dodawały mu trochę sił. Po tej próbie bożej zamówi następny kubek mocnej herbaty i usiadł w Gaststube,

dziękując Bogu, że żyje i jest mu ciepło.

Zbliżali się do skalnej ściany i śnieżnego mostu przez szczelinę wymytą wodą z topniejących lodów. Te zamrożone teraz potoki płyną wiosną i latem, ścierając krawędź lodowca. Za mostem, w zagłębieniu w ścianie w kształcie litery U, wznosiło się coś na kształt wywróconego do góry nogami zamku gnoma albo organów wyrzeźbionych z lodu: zamrożony wodospad rozdzielający się na liczne grube kolumny. Odłamki popękane lodu i płaty śniegu zgromadziły się wokół jego brudnobiałej podstawy; górną część słońce wypaliło w śmietanową biel.

Franco wyłonił się jakby z mgły i dołączył do Tilde. Dotąd szli po względnie równym lodowcu. Teraz Tilde i Franco zamierzali chyba wspiąć się po organach.

Mitch stanął na chwilę i sięgnął za siebie po czekan. Uniósł gogle, ukucnął i opadł ze stęknieniem na tyłek, chcąc sprawdzić raki.

Kulki lodu między kolcami ustępowały pod naciskiem ostrza.

Tilde cofnęła się kilka kroków, aby z nim porozmawiać. Spojrzał na nią, jego grube, ciemne brwi tworzyły kładkę nad zadartym nosem, okrągłe zielone oczy mrugały na mrozie.

– Oszczędzą nam godzinę – powiedziała Tilde, wskazując organy. – Późno już. Spowalniasz nasze tempo. – Wyraźną angielszczyznę jej wąskie usta wymawiały z kuszącym akcentem austriackim. Miała szczupłe, lecz o ładnych proporcjach ciało, prawie białe włosy schowane pod granatową czapkę z polartecu, elfią twarz z jasnoszarymi oczyma. Ładna, ale nie w guście Mitcha, choć byli kochankami do przybycia Franca.

– Mówiłem ci, że ostatnio wspinałem się osiem lat temu – odparł Mitch. Franco pojawił się w samą porę. Oparł swój czekan blisko organów.

Tilde wszystko ważyła i mierzyła, brała tylko to, co najlepsze,

odrzucając odrobinę gorsze, ale nigdy nie paliła mostów, jeśli dawne związki mogły się okazać przydatne. Franco miał kanciastą szczękę, białe zęby i kanciastą głowę z gęstymi, czarnymi włosami podgolonymi z boków, orli nos, śródziemnomorską oliwkową cerę, szerokie ramiona i ręce z naprężonymi kłębami mięśni. Smukłe, bardzo silne dłonie. Dla Tilde nie był dość bystry, lecz ogólnie wcale niegłupi. Mitch mógł sobie wyobrazić, jak pragnienie uwiedzenia Franca wywabiło Tilde z jej gęstego austriackiego boru, widział jasne na ciemnym niby warstwy tortu. Czuł się w ciekawy sposób wykluczony z tego obrazu. Tilde kochała się z mechaniczną precyzją, która jakiś czas zwodziła Mitcha, dopóki nie pojął, że wykonuje swe ruchy, jeden po drugim, jako rodzaj ćwiczenia umysłowego. Tak samo jadła. Nic mocno jej nie poruszało, choć czasami bywała naprawdę dowcipna i uroczo się uśmiechała, a wtedy w kącikach wąskich, precyzyjnych ust pojawiały się zmarszczki.

– Musimy zejść przed zachodem słońca – powiedziała. – Nie wiem, jaka będzie pogoda. Do jaskini mamy dwie godziny. Niedaleko, ale ciężka wspinaczka. Przy odrobinie szczęścia będziesz mógł przez godzinę oglądać to, co znaleźliśmy.

– Postaram się – obiecał Mitch. – Jak daleko jesteśmy od szlaku turystycznego? Od godzin nie widziałem czerwonych znaków.

Tilde zdjęła gogle, aby je wytrzeć, i rzuciła mu przelotny uśmiech bez ciepła.

– Nie docierają tu turyści. Także większość dobrych alpinistów omija to miejsce. Ale znam drogę.

– Bogini śniegu – powiedział Mitch.

– A jak myślisz? – Spytała, biorąc to za komplement. – Wspinałam się już jako mała dziewczynka.

– Nadal jesteś dziewczynką – odparł Mitch. – Dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć?

Nigdy nie zdradziła Mitchowi swego wieku. Teraz szacował go jak klejnot, którego kupno się rozważa.

– Mam trzydzieści dwa lata. Franco czterdzieści, ale jest szybszy od ciebie.

– Do diabła z Frankiem – rzucił Mitch bez gniewu.

Tilde w rozbawieniu zacisnęła usta.

– Wszyscy czujemy się dzisiaj dziwnie. – Odwróciła się.

– Nawet Franco. Ale kolejny Człowiek Lodu... Co może temu dorównać?

Ta sama myśl zapierała Mitchowi dech, a teraz tego nie potrzebował. Zdusił w sobie podniecenie, zmieszał je z wyczerpaniem.

– Nie wiem – odpowiedział.

Swe serduszka najemników oddali mu w Salzburgu. Byli ambitni i niegłupi; Tilde żywiła absolutną pewność, że nie natrafili na kolejne ciało alpinisty. Zna się na rzeczy. Gdy miała czternaście lat, pomagała znosić dwa ciała wyplute przez jęzor lodowca.

Jedno miało ponad sto lat.

Mitch zastanawiał się, co będzie, jeśli naprawdę znaleźli Człowieka Lodu. Tilde, był pewien, na dłuższą metę nie poradzi sobie ze sławą i sukcesem. Franco dostatecznie panuje nad sobą, aby zdołać je znieść, lecz Tilde jest na swój sposób krucha. Jak diament może ciąć stal, ale uderz ją z niewłaściwej strony i rozprysnie się w kawałki.

Franco może przetrzymać sławę, ale czy przetrzymałby Tilde? Mimo wszystko, Mitch lubił Franca.

– Mamy jeszcze trzy kilometry – powiedziała mu Tilde.

– Idziemy.

Ona i Franco pokazali mu razem, jak się wpinać po zamrzniętym wodospadzie.

– Spływa tylko w połowie lata – wyjaśnił Franco. – Już od miesiąca jest lodem. Zrozum, jak zamarza. Jest mocny tu na dole. – Uderzył

czekaniem w bladoszary lód potężnej podstawy organów. Ten zadźwięczał, poleciało kilka odprysków. – Ale wyżej jest cienka warstwa lodu, pełna pęcherzyków, gąbczasta. Spadają duże odłamki, jeśli źle uderzysz. Mogą zranić. Tilde może tu wyciąć stopnie, nie ty. Wspinasz się między Tilde i mną.

– Tilde pójdzie pierwsza. Franco uznawał szczerze, że jest lepszą alpinistką od niego. Rozłożył liny i Mitch pokazał im, że pamięta węzły i pętle z czasów chodzenia po Górach Kaskadowych w stanie Waszyngton. Tilde bezgłośnie wyraziła uznanie i oplotła się w stylu alpejskim wokół pasa i ramion.

– Możesz się wspinać większość drogi. Pamiętaj, wyciosam stopnie, jeśli będą ci potrzebne – powiedziała. – Nie chcę, abys zwałł lód na Franca.

Ruszyła pierwsza.

W połowie filaru, wcisnąwszy w lód kolce na czubkach raków, Mitch minął próg. Wyczerpanie jakby ściekało strużkami z jego nóg, aż przez chwilę czuł mdłości. Potem ciało się oczyściło, jakby przemyte świeżą wodą, i oddychał już swobodnie. Szedł za Tilde, wbijając raki w lód i mocno się w niego wtulając, łapał wszystkie dostępne uchwyty. Oszczędnie korzystał z czekana. Powietrze tuż przy lodzie było rzeczywiście cieplejsze.

Po minięciu punktu środkowego wspinaczka po kremowym lodzie zajęła im piętnaście minut. Słońce wyszło zza niskich szarych chmur i pod ostrym kątem oświetliło zamarznięty wodospad, przygważdżając go do ściany z przejrzystego złota.

Czekał, aż Tilde powie im, że jest bezpieczna na górze. Franco rzucił lakoniczne odpowiedzi. Mitch zaklinował się między dwiema kolumnami. Lód był tu rzeczywiście zaskakujący. Mitch wyłobił bok szczeliny, zrzucając na Franca chmurę odłamków. Włoch zaklął, ale Mitch ani razu nie odpadł i nie zawisł, całe szczęście.

Podciągnął się i przelazł przez nierówną, obłą krawędź zamrożonego potoku. Jego rękawice poślizgnęły się alarmująco na strużkach lodu. Rozpaczliwie przebierając butami, prawym natrafił na skalny występ, zaczepił się o niego, znalazł oparcie na kolejnym, odczekał chwilę, aż odzyskał dech, i niby mors opadł obok Tilde.

Ciemnoszare głązy wyznaczały z obu stron łożysko zamrożonego potoku. Mitch popatrzył w górę wąskiej, skalnej doliny, w połowie skrytej w cieniu; kiedyś spływał nią ze wschodu mały lodowiec, żłobiąc wąwóz o charakterystycznym przekroju w kształcie litery U. Przez ostatnie kilka lat nie padało wiele śniegu i lody spłynęły, znikły z wąwozu, leżącego teraz kilkadziesiąt jardów od głównego masywu lodowca.

Mitch położył się na brzuchu i pomógł Francowi wejść na wierzch. Tilde stała z boku, oparta o wylot wąwozu, jakby nie znała strachu – zachowująca bez trudu równowagę, smukła, prześliczna.

Skrzywiła się, patrząc na Mitcha.

– Spóźniamy się – oznajmiła. – Czego się dowiesz w pół godziny?

Mitch wzruszył ramionami.

– Musimy wyruszyć z powrotem najpóźniej o zmierzchu – powiedział Franco do Tilde, a potem uśmiechnął się do Mitcha. – Nie taki straszny ten lodowy diabeł, co?

– Niezły – rzucił Mitch.

– Nauczy się – powiedział Franco do Tilde, która uniosła brwi.

– Wspinałeś się już po lodzie?

– Nie po takim – odparł Mitch.

Przeszli kilkadziesiąt jardów po zamrożonym potoku.

– Jeszcze dwie wspinaczki – zapowiedziała Tilde. – Franco, prowadzisz.

Mitch podniósł wzrok w krystalicznym powietrzu nad krawędź wąwozu, patrząc na zęby piły wyższych gór. Nadal nie wiedział, gdzie

jest. Franco i Tilde nie chcieli mu powiedzieć. Pokonali co najmniej dwadzieścia kilometrów od przystanku z herbatą w dużej, kamiennej Gaststube.

Gdy się obejrzał, jakieś cztery kilometry z tyłu i setki metrów niżej zobaczył pomarańczowy obóz. Był tuż za siodłem, teraz w cieniu.

Pokrywa śniegu wyglądała na bardzo cienką. Góry przeżyły dopiero co najcieplejsze lato w nowożytnej historii Alp, z nasilającym się topnieniem lodowców, krótkotrwałymi powodziami w dolinach wywołanymi ulewnymi deszczami i zaledwie odrobiną śniegu z poprzednich lat. Globalne ocieplenie stało się już oklepanym tematem w mediach, ale z miejsca, w którym siedział Mitch, dla jego niewprawnego oka wyglądało na aż za bardzo rzeczywiste. Za kilka dziesięcioleci Alpy mogą zostać nagie.

Względne ciepło i suchość powietrza otworzyły drogę do starej jaskini, pozwalając Francowi i Tilde odkryć tajemniczą tragedię.

Franco oznajmił, że jest bezpieczny, i Mitch ruszył ślamazarnie w górę ostatniej ściany skalnej, czując przy tym, jak gnejs odpryskuje i spada spod jego butów. Skała była tutaj łupkowata, niekiedy miękka jak pył; śnieg zalegał w tym miejscu długi czas, może nawet tysiące lat.

Franco podał mu rękę i razem trzymali linę, gdy Tilde gramoliła się pod nimi. Stała na krawędzi, osłoniła oczy przed słońcem, znajdującym się teraz zaledwie pięćdziesiąt centymetrów ponad poszarpanym horyzontem.

– Czy wiesz, gdzie jesteś teraz? – Spytała Mitcha.

Ten pokręcił głową.

– Nigdy nie byłem tak wysoko.

– Chłopak z dolin – powiedział Franco z uśmiechem.

Mitch zmrużył oczy.

Patrzyli nad zaokrąglone i gładkie pole lodu, wąski jezior lodowca, który spływał kiedyś przez siedem mil kilkoma spektakularnymi

kaskadami. Teraz, wzdłuż tego odgałęzienia, spływ ustał. Niewiele nowego śniegu zasilalo od góry czoło lodowca. Zalana słońcem ściana skalna powyżej zagłębienia szczeliny brzeżnej wznosiła się stromo przez kilka tysięcy stóp do szczytu znajdującego się wyżej, niż Mitch miał odwagę spojrzeć.

– Tam – powiedziała Tilde, wskazując skały naprzeciwko, poniżej grani. Mitch z pewnym wysiłkiem wypatrzył czerwoną kropeczkę na tkwiącym w cieniu czarno-szarym tle: kawałek tkaniny pozostawiony przez Franca podczas ostatniej wycieczki. Ruszyli po lodzie.

Jaskinia, naturalne pęknięcie, miała mały otwór, średnicy trzech stóp, ukryty sztucznie za niską ścianką z kamieni wielkości głowy. Tilde wyjęła aparat cyfrowy i zrobiła zdjęcie wylotu z kilku stron, cofając się i chodząc wkoło, podczas gdy Franco rozbierał murek, a Mitch wpatrywał się w otwór.

– Jak jest głęboka? – Spytał Mitch, kiedy Tilde do nich dołączyła.

– Dziesięć metrów – odparł Franco. – W głębi jest bardzo zimno, gorzej niż w chłodni.

– Ale już niedługo – powiedziała Tilde. – Myślę, że dopiero w tym roku to miejsce tak się odłoniło. W następne lato może się znaleźć ponad wieczną zmarzliną. Dotrze tam ciepły wiatr. – Skrzywiła się i zasłoniła nos.

Mitch rozsznurował plecak i wygrzebał z niego latarki elektryczne, pudełko noży modelarskich, winylowe rękawice, wszystko, co mógł znaleźć w sklepach miasteczka. Włożył je do plastikowej torebki, zamknął ją, schował do kieszeni kurtki i popatrzył między Franca i Tilde.

– No, jak? – Spytał.

– Idź – powiedziała Tilde, popychając go ręką. Uśmiechała się łaskawie.

Stanął, opadł na czworaki i wszedł pierwszy do jaskini. Franco

dołączył po kilku chwilach, a Tilde zaraz potem.

Mitch trzymał w zębach pasek małej latarki, przeciskając się i posuwając po sześć, osiem cali w jednym ruchu. Lód i drobny pył śnieżny tworzyły cienką powłokę na dnie jaskini. Gładkie ściany wznosiły się do wąskiego klina pod powałą. Nie można było nawet usiąść w kucki. Franco zawołał z tyłu:

– Zaraz będzie szerzej!

– Przytulny kącik – powiedziała Tilde głuchym głosem.

Powietrze pachniało obojętnie, nijak. Było zimno, sporo poniżej zera. Skała wysysała z Mitcha ciepło nawet przez izolującą kurtkę i nieprzepuszczalne spodnie. Przesunął się nad żyłą lodu, mleczną na tle czarnej skały, i podrapał ją palcami. Twarda. Śnieg i lód musiały być wpychane aż tutaj, kiedy jaskinia była zasłonięta. Zaraz za lodową żyłą zaczynała się odchyłać w górę i czuć było słabe tchnienie powietrza z kolejnej kieszeni skalnej, niedawno uwolnionej od lodu.

Mitch poczuł lekkie mdłości na myśl nie o tym, co ma zobaczyć, ale o niezwykłym, a nawet przestępczym charakterze jego badań. Najmniejszy błędny ruch, wszelka pogłoska, która się rozniesie, wiadomość o nim, która trafi nie tam, gdzie powinna, podważając sąd, że wszystko jest w porządku...

Mitch już przedtem bywał na bakier z instytucjami. Niecałe sześć miesięcy temu stracił pracę w Hayer Museum w Seattle, ale sprawa była polityczna, śmieszna i niesprawiedliwa.

Jak dotąd, nigdy nie znieważył samej Pani Nauki.

Godzinami spierał się z Frankiem i Tilde w hotelu w Salzburgu, ale nie chcieli ustąpić. Gdyby nie zdecydował się pójść z nimi, wzięliby kogoś innego – Tilde wspomniała nawet o bezrobotnym studencie medycyny, z którym kiedyś chodziła. Miała, zdaje się, wielki wybór byłych chłopaków, bez wyjątku o znacznie niższych kwalifikacjach i mniejszych skrupułach aniżeli Mitch.

Bez względu na pobudki i moralność Tilde, nie był gotów jej odmówić, a potem na nich donieść; każdy ma swoje granice, których nie przekracza w społecznej dżungli. Zakazany teren zaczynał się dla Mitcha od narażania byłych dziewczyn na kłopoty z policją austriacką.

Franco złapał za rak na podeszwie buta Mitcha.

– Kłopot? – Spytał.

– Żaden – odpowiedział Mitch i przepchnął się kolejne sześć cali.

Nagle w jego oku błysnął podłużny owal światła, jakby wielki, niewyraźny księżyc. Ciało wydawało się puchnąć. Przełknął mocno ślinę. – Szlag – mruknął z nadzieją, że nie chodzi o to, o czym myśli. Owal zbladł. Jego ciało wróciło do zwykłych rozmiarów.

Jaskinia ścieśniała się tutaj w wąskie gardło, wysokie na niecałe dwie stopy i szerokie na dwadzieścia jeden lub dwadzieścia dwa cale. Skręciwszy głowę w bok, Mitch chwycił szczelinę tuż za przewężeniem i podciągnął się. Zaczepił o coś kurtką i usłyszał trzask, gdy szarpnął, aby się oswobodzić i przejść.

– To trudne miejsce – powiedział Franco. – Ledwo je pokonałem.

– Czemu wcisnąłeś się tak daleko? – Spytał Mitch, zbierając się na odwagę w szerszej, lecz nadal ciemnej i ciasnej kiszce za wąskim gardłem.

– Bo można? – Odparła Tilde głosem przypominającym wołanie odległego ptaka. – Podjudzałam Franca. On podjudzał mnie. – Zaśmiała się, a dzwoneczki jej głosu zabrzmiały echem w mroku.

Mitchowi zjeżyły się włosy na karku. Nowy Człowiek Lodu śmieje się z nimi, może z nich. Już nie żyje. Nie ma żadnych zmartwień, zaś mnóstwo powodów do radości, gdy tylu ludzi robi z siebie głupków, aby zobaczyć jego pośmiertne szczątki.

– Kiedy ostatnio tu byłeś? – Zapytał Mitch. Zastanawiał się, czemu nie zrobił tego wcześniej. Może do tej pory tak naprawdę nie uwierzył. Dotarli tak daleko i nic nie wskazywało, że sobie z niego

żartują; wątpił zresztą, aby Tilde była z natury do tego zdolna.

– Z tydzień, osiem dni temu – odrzekł Franco. Korytarz był tu dostatecznie szeroki, aby mógł się wepchnąć obok nóg Mitcha, który zaświecił mu latarką w twarz. Franco obdarzył go szerokim, śródziemnomorskim uśmiechem.

Mitch popatrzył przed siebie. Widział coś ciemnego, podobnego do kupki popiołów.

– Jesteście już blisko? – Spytała Tilde. – Mitch, pierwsza stopa powinna być zaraz.

Mitch starał się dokonać rozbioru logicznego tego zdania. Tilde używała wyłącznie systemu metrycznego. Mówiąc „stopa” miała na myśli nie odległość, ale kończynę.

– Nie widzę go jeszcze.

– Najpierw są popioły – powiedział Franco. – To może to. – Wskazał czarną kupkę. Mitch czuł powietrze powoli opadające przed nim, opływające mu boki, pozostawiając niezakłócony tył jaskini.

Posuwał się powoli, uroczyście, wypatrując wszystkiego. Najdrobniejszego śladu, który mógł przetrwać wcześniejsze wtargnięcia – kamienny wiór, kawałek gałązki czy drewna, znaki na ścianie...

– Nic. Z wielką ulgą opadł na dłonie i kolana i ruszył na czworakach. Franco zaczynał się niecierpliwić.

– Tuż przed tobą – powiedział, znowu trącając mu rak.

– Cholera, posuwam się tak powoli, aby niczego nie przegapić, rozumiesz? – Odparł Mitch. Powściągnął chęć kopnięcia w tył niby muł.

– W porządku. – Franco ustąpił potulnie.

Mitch dostrzegał wewnątrz krzywizny. Dno spłaszczało się trochę. Poczuł zapach czegoś trawiastego, słonego, jak świeża ryba. Znowu zjeżyły mu się włosy na karku, oczy się zamglify. Dawne sympatie.

– Widzę – rzucił. Stopa wystawała zza występu, skulona – mała, naprawdę, jak dziecka, pełna zmarszczek i ciemnobrązowa, prawie czarna. Jaskinia rozszerzała się w tym miejscu, a na jej spągu leżały strzępy wyschłego i poczerniałego włókna – może trawy. Trzciny. Ötzi, pierwszy Człowiek Lodu, nosił na głowie trzcinowy kaptur.

– Boże – powiedział Mitch. W jego oku kolejny biały, wydłużony owal, powoli niknący, i ukucie bólu w skroni.

– Jest tam więcej miejsca! – Zawołała Tilde. – Wszyscy się zmieścimy i nie będziemy im przeszkadzać.

– Im? – Spytał Mitch, świecąc w tył między swymi nogami.

Franco uśmiechnął się pomiędzy kolanami Mitcha.

– Prawdziwa niespodzianka – powiedział. – Jest ich dwu.

2

Gruzja

Kaye kuliła się na fotelu pasażera piskliwego małego fiata, którym kierował Lado, pokonując budzące lęk serpentyny i wiraże Gruzińskiej Drogi Wojennej. Choć spalona słońcem i wyczerpana, nie mogła zasnąć. Jej długimi nogami szarpał każdy zakręt. A kwiczące jak świnka prawie tyse opony sprawiały, że przyciskała dłonie do krótko ściętych brązowych włosów i ziewała nerwowo. Lado poczuł, że milczenie trwa za długo. Spojrzał na Kaye łagodnymi piwnymi oczyma na pięknie pomarszczonej, opalanej twarzy, uniósł papieros nad kierownicę i wysunął podbródek.

– Nasze zbawienie w łajnie, co? – Spytał.

Kaye uśmiechnęła się wbrew sobie.

– Nie rozśmieszaj mnie, proszę – powiedziała.

Lado zlekceważył jej prośbę.

– Dobrze dla nas. Gruzja ma coś do dania światowi. Mamy wielkie sceki. – Elegancko toczył r, a „ścieki” wymawiał sce-ki.

– Ścieki – szepnęła. – Ście-ki.

– Wymawiam to dobrze? – Zapytał Lado.

– Doskonale – odparła Kaye.

Lado Dżakeli był dyrektorem naukowym Instytutu imienia Eliawy w Tbilisi, który w miejscowych ściekach miejskich i szpitalnych oraz w odpadach rolniczych i w próbkach pochodzących z całego świata szukał bakteriofagów – wirusów atakujących tylko bakterie. Teraz Zachód, łącznie z Kaye, przychodził z wyciągniętą ręką, aby

dowiedzieć się czegoś od Gruzinów o leczniczych właściwościach fagów.

Zakumplowała się z kadrą Eliawy. Po tygodniu konferencji i zwiedzania laboratoriów kilkoro młodszych naukowców zaprosiło ją, aby wybrała się z nimi na faliste wzgórza i jaskrawozielone pastwiska dla owiec u podnóża góry Kazbek.

Rzeczy tak szybko się zmieniały. Rankiem tego dnia Lado pokonał całą drogę z Tbilisi do obozu opodal starego i samotnego kościoła prawosławnego w Gergeti. W kopercie przywiózł faks z kwatery głównej sił pokojowych ONZ w Tbilisi, stolicy Gruzji.

Lado wychylił dzbanek kawy w obozie, a potem, zawsze dżentelmen, a ponadto jej sponsor, zaproponował, że zabierze ją do Gordi, miasteczka leżącego siedemdziesiąt pięć mil na południowy zachód od Kazbeku.

Kaye nie miała wyboru. Niespodziewanie, i w najgorszym z możliwych momencie, dopadła ją przeszłość.

Zespół ONZ sprawdził rejestry danych w poszukiwaniu niegruzińskiego specjalisty medycznego o jakimś doświadczeniu.

Wyskoczyło tylko jedno nazwisko: Kaye Lang, 34 lata, współwłaścicielka – z mężem, Saulem Madsenem – spółki EcoBacter Research. We wczesnych latach osiemdziesiątych studiowała medycynę sądową na Uniwersytecie Stanu Nowy Jork z zamiarem prowadzenia pracy dochodzeniowej w policji. Po roku zmieniła zdanie, przerzucając się na mikrobiologię z naciskiem na inżynierię genetyczną; mimo to była teraz w Gruzji jedynym cudzoziemcem mającym, choć odrobinę poszukiwanego przez ONZ wykształcenia.

Lado wiózł ją przez najpiękniejsze krajobrazy, jakie widziała w życiu. W cieniu środkowego Kaukazu mijali pola na tarasach górskich, małe kamienne domy wiejskie, kamienne stodoły i kościoły, miasteczka zbudowane z drewna i kamienia z budynkami

o zapraszających i ślicznie wyrzeźbionych gankach, wychodzących na wąskie, ceglaste, wybrukowane kocimi łbami bądź polne drogi, wioski porozrzucane z rzadka na szerokich, zmierzwionych kobiercach pastwisk dla owiec i kóz, pośród gęstych lasów.

Tutaj nawet pozornie puste przestrzenie były przez wieki zagarniane i toczono o nie wojny, jak w każdym miejscu, które widziała w Zachodniej, a teraz i we Wschodniej Europie. Kaye niekiedy czuła się duszona groźną bliskością innych ludzi, szczerbatymi uśmiechami starych mężczyzn i kobiet, stojących na poboczu dróg i przyglądających się pojazdom jadącym z i do nowego nieznanego świata. Pomarszczone przyjazne twarze, powykręcane dłonie machające do samochodziku.

Wszyscy młodzi ludzie byli w miastach, zostawiając starym wieś, z wyjątkiem górskich ośrodków turystycznych. Gruzja zamierzała zostać mekką turystyczną. Jej gospodarka rozwijała się co roku w tempie dwucyfrowym; waluta, lari, umacniała się także; dawno już zastąpiła ruble; wkrótce miała wyprzeć zachodnie dolary. Kładziono rurociągi od Morza Kaspijskiego do Czarnego; a wino, którego nazwa pochodziła stąd, stawało się głównym towarem eksportowym.

Za kilka następnych lat Gruzja będzie eksportować nowe i zupełnie inne wino: roztwory fagów mające wyleczyć świat przegrywający wojnę z chorobami bakteryjnymi.

Fiat śmignął pasem wewnętrznym, gdy mijali ślepy zakręt.

Kaye mocno przełknęła ślinę, ale nic nie powiedziała. Lado bardzo się o nią troszczył w instytucie. Niekiedy w ubiegłym tygodniu Kaye przyłapywała go, jak przygląda się jej wzrokiem pełnym przygarbionej, starej jak świat podejrzliwości, oczyma zwężonymi do szparek wśród zmarszczek, niby satyr wyrzeźbiony z drewna oliwki o brązowych plamkach. Kobiety pracujące w Eliawie mówiły, że nie można mu ufać; zwłaszcza te młodsze. Kaye traktował jednak zawsze

z nienaganną uprzejmością, a nawet, jak teraz, z troską. Nie chciał, aby się smuciła, choć nie potrafił wymyślić żadnego powodu, dla którego miałyby się weselić.

Mimo swego piękna Gruzja miała wiele przywar: wojna domowa, zabójstwa, a teraz masowe groby.

Wpadli w ścianę deszczu. Wycieraczki zamachały czarnymi ogonkami i oczyściły przed Lado około jednej trzeciej widoku.

– Chwała Josepowi Stalinowi, zostawił nam ścieki – rzucił leniwie.
– Dobry syn Gruzji. Nasz najszlachetniejszy towar eksportowy, lepszy od wina. – Lado uśmiechnął się do niej fałszywie. Wyglądał na jednocześnie zawstydzonego i zepchniętego do obrony.

Kaye pozostało jedynie wyciągnąć go z tej kabały.

– Zabił miliony – szepnęła. – Zabił doktora Eliawę.

Lado wpatrywał się ponuro między strużki, aby widzieć, co jest przed krótką maską. Zmienił bieg na niższy i zwolnił, a potem ominął rów mogący pomieścić krowę. Kaye pisnęła i złapała za bok fotela. Na tym odcinku nie było barierek, a obok szosy ziała przepaść z widniejącą trzysta metrów niżej rzeką spływającą z topniejącego lodowca.

– To Beria ogłosił doktora Eliawę wrogiem ludu – stwierdził Lado rzeczowo, jakby opowiadał starą historię rodzinną. – Był wtedy naczelnikiem gruzińskiego KGB, miejscowym sukinsynem molestującym dzieci, a nie wściekłym wilkiem całej Rosji.

– Był człowiekiem Stalina – powiedziała Kaye, starając się odwrócić myśli od drogi. Nie mogła zrozumieć dumy Gruzinów ze Stalina.

– Wszyscy byli ludźmi Stalina albo zginęli – odparł Lado. Wzruszył ramionami. – Rozszedł się tu wielki smród, kiedy Chruszczow oznajmił, że Stalin był zły. Co wiedzieliśmy? Przykręcał nam śruby na tyle sposobów i przez tyle lat, że uznawaliśmy go za męża.

Kaye uznała to za zabawne. Lado zaczerpnął zachętę z jej uśmiechu.

– Niektórzy nadal pragną powrotu dobrobytu z czasów komunizmu. Albo będziemy mieli dobrobyt z gówna. – Skrzywił nos. – Wolę gówno.

Następną godzinę zjeżdżali z mniej przerażających wzgórz i płaskowyżów. Znaki drogowe z zawijasami pisma gruzińskiego nosiły zardzewiałe ślady po dziesiątkach kul.

– Pół godziny, najwyżej – zapowiedział Lado.

Gęsty deszcz utrudniał wykrycie granicy między dniem a nocą.

Lado włączył przyćmione, słabe światła drogowe fiata, gdy osiągnęli skrzyżowanie i zjazd do miasteczka Gordi.

Dwa uzbrojone transportery stały po obu stronach szosy tuż przed skrzyżowaniem. Pięciu ubranych w płaszcze przeciwdeszczowe i okrągłe jak nocniki hełmy rosyjskich żołnierzy sił pokojowych machnęło leniwie, nakazując, aby stanęli.

Lado zatrzymał fiata, przechylonego lekko na pochyłości. Kaye ujrzała kolejny rów zaledwie jardy przed nimi, na prawo od krocza skrzyżowania. Będą musieli wjechać na stok, aby go ominąć.

Lado opuścił szybę. Rosyjski żołnierz, dziewiętnasto- lub dwudziestoletni, o różowych policzkach ministranta, zajrzał do środka. Z jego hełmu na rękaw Lado ściekał deszcz. Lado powiedział mu coś po rosyjsku.

– Amerykanka? – Zapytał Kaye młody Rosjanin. Pokazała mu paszport, zaświadczenia z UE i WNP oraz faks proszący ją o przyjazd do Gordi, a właściwie nakazujący jej przybycie. Żołnierz wziął faks i skrzywił się, próbując go przeczytać, choć papier całkiem przemókł. Odstąpił i poszedł się poradzić oficera przykucniętego w tylnym włązie najbliższego transportera.

– Nie chcą tu być – szepnął Lado do Kaye. – I my ich tu nie chcemy. Poprosiliśmy jednak o pomoc... Kogo możemy obwiniać?

Deszcz ustał. Kaye wpatrywała się w zamglony mrok przed nimi. Słyszała świerszcze i ptasie śpiewy przebijające się przez szum silnika.

– Prosto, lewo – powiedział żołnierz do Lado, dumny ze swej angielszczyzny. Uśmiechnął się do Kaye i odesłał ich do następnego żołnierza stojącego jak słup za rowem, w szarym mroku.

Lado nacisnął pedał sprzęgła i samochodzik szarpnięciami objechał rów, minął trzeciego przedstawiciela sił pokojowych i ruszył boczną drogą.

Lado cały czas miał otwarte okno. Chłodne i wilgotne powietrze wieczorne wpadało do samochodu, jeżąc krótkie włosy na karku Kaye. Pobocze gęsto porastały brzozy. Powietrze krótki czas pachniało paskudnie. Blisko byli ludzie. Potem Kaye pomyślała, że może to nie ścieki z miasteczka tak cuchną. Marszczyła nos, a żołądek się jej przewracał. Ich cel leżał jakąś milę od miasteczka, a do Gordi mieli jeszcze co najmniej dwie mile szosy.

Lado dotarł do strumienia i powoli pokonał w bród szybko płynącą, płytką wodę. Koła zanurzyły się po dekle, ale samochód wyjechał bezpiecznie i przebył następne kilkaset metrów. Gwiazdy zerkały przez szybko ciągnące chmury. Góry bodły niebo poszarpanymi, ciemnymi blankami. Las pojawił się i został w tyle, a potem oboje zobaczyli Gordi, kamienne budynki, kilka nowszych piętrowych domów, kwadratowych i drewnianych, o małych okienkach, pojedynczą betonową kostkę ratusza bez ozdób, ulice z porytym koleinami asfaltem i starym brukiem. Żadnych świateł ulicznych. Czarne, nic niewidzące okna. Znowu nie było prądu.

– Nie znam tego miasta – szepnął Lado. Wcisnął hamulce, wytrącając Kaye z zadumy. Samochód włókł się hałaśliwie ryneczkiem otoczonym piętrowymi budynkami. Kaye zdołała wypatrzeć wyblakły szyld Inturistu nad gospodą nazwaną Tygrys Rustawelego.

Lado włączył lampkę na suficie i wyjął przesłany faksem plan.

Odrzucił go ze wstrętem i ciężko otworzył drzwiczki fiata. Zawiasy zazgrzytały głośno. Wychylił się i ryknął po gruzińsku:

– Gdzie jest grób?

Ciemność milczała uparcie.

– Pięknie – powiedział Lado. Trzasnął drzwiami dwukrotnie, zanim się zamknęły. Kaye mocno zacisnęła usta, kiedy samochód szarpnął, ruszając. Z piskliwym zgrzytem w skrzyni biegów zjeżdżali uliczkami ze sklepami, ciemnymi i zamkniętymi blachą falistą, aż poza dwiema porzuconymi szopami, kupami żwiru i porozrzucanymi belami siana opuścili miasteczko.

Po kilku minutach zauważyli światła i blask latarek, pojedyncze ognisko obozowe, następnie usłyszeli narastający warkot przenośnego generatora i głosy brzmiące gromko w pustce nocy.

Grób był bliżej, niż pokazywał plan, niecałą milę od miasteczka. Kaye zastanawiała się, czy mieszkańcy słyszeli krzyki i czy w ogóle były jakieś krzyki.

Zabawa się skończyła.

Zespół ONZ nosił maski gazowe zaopatrzone w przemysłowe filtry aerozolowe. Nerwowi żołnierze z gruzińskich sił bezpieczeństwa musieli polegać na chustach zawiązanych wokół twarzy. Wyglądali złowieszczo, choć w innych okolicznościach byłby to zabawny widok. Ich oficerowie założyli maski chirurgiczne z białej tkaniny.

Przewodniczący sakrebulo, miejscowej rady, niski mężczyzna z wielkimi kułakami, wysoką strzechą grubych jak druty czarnych włosów i wielkim nosem, stał z miną zbitego psa obok oficerów sił bezpieczeństwa.

Dowódca zespołu Organizacji Narodów Zjednoczonych, pochodzący z Południowej Karoliny pułkownik armii USA nazwiskiem Nicholas Beck, szybko przekazał instrukcje i dał Kaye

jedną z masek ONZ. Poczuła zażenowanie, ale ją założyła. Adiutantka Becka, czarnoskóra kapral o nazwisku Hunter, wręczyła jej parę lateksowych rękawiczek chirurgicznych. Przy zakładaniu wydały znajome klapnięcie o nadgarstki.

Beck i Hunter wyprowadzili Kaye i Lado poza obóz i białe jeepy, ścieżką wiodącą przez gęsty las i zarośla w dół, do grobów.

– Przewodniczący rady ma swoich wrogów. Miejscowi ludzie z opozycji odkopali rowy, a potem zadzwonili do kwatery głównej ONZ w Tbilisi – powiedział Beck do Kaye. – Ludzie z Sił Bezpieczeństwa Republiki chyba nas tu nie chcą. Nie możemy liczyć na wsparcie z Tbilisi. Na oczekaniu spośród ludzi z jakimś doświadczeniem znaleźliśmy tylko panią.

Trzy równoległe wykopy otwarto ponownie i oświetlono zasilanymi z przenośnego generatora lampami elektrycznymi, zawieszonymi na wbitych w piaszczystą glebę wysokich słupach. Przecignięte między słupami czerwono-żółte taśmy z plastyku wisały bezwładnie w nieruchomym powietrzu.

Kaye obeszła pierwszy wykop i uniosła maskę. Marszcząc z góry nos, powąchała. Poczuła jedynie zapach brudu i błota.

– Mają więcej niż dwa lata – powiedziała. Podała maskę Beckowi. Lado stanął jakieś dziesięć kroków za nimi, nie chcąc się zbliżyć do grobów.

– Musimy być tego pewni – odparł Beck.

Kaye podeszła do drugiego wykopu, stanęła, przesunęła światłem latarki po kupkach tkanin, ciemnych kości i zaschniętego brudu. Gleba była piaszczysta i sucha, mogła stanowić łożysko potoku dawno temu spływającego z gór po stopnieniu śniegu. Ciały były ledwo rozpoznawalne, jasnobrązowe kości pokryte brudem, pomarszczone brązowe i czarne resztki skóry i mięśni. Ubrania wyblakły do barwy ziemi, nie były to jednak skrawki i strzępy mundurów wojskowych,

ale sukienki, spodnie, kurtki. Wełniane i bawełniane, nie zgniły całkowicie. Kaye wypatrywała jaśniejszych ze sztucznych włókien, mogły wskazać maksymalny wiek grobu. Na pierwszy rzut oka nie potrafiła odnaleźć żadnych.

Przesunęła światło wyżej, na ściany wykopu. Najgrubsze widoczne korzenie, poprzecinane łopatami, miały około pół cala średnicy. Najbliższe drzewa stały dziesięć jardów dalej jak wysokie, cienkie duchy.

Podszedł do nich oficer Sił Bezpieczeństwa Republiki o imponującym nazwisku Wachtang Czikuraszwili, w średnim wieku, przystojny, choć przysadzisty, z szerokimi barami i grubym, nieraz złamanym nosem. Nie nosił maski. Trzymał coś ciemnego. Kaye potrzebowała kilku chwil, aby rozpoznać but. Czikuraszwili zwrócił się do Lado w przeładowanym spółgłoskami języku gruzińskim.

– Mówi, że buty są stare – przetłumaczył Lado. – Mówi, że ci ludzie zginęli pięćdziesiąt lat temu. Może dawniej.

Czikuraszwili gniewnie machnął ręką i zalał Lado i Becka potokiem mieszaniny słów gruzińskich i rosyjskich.

Lado tłumaczył.

– Mówi, że Gruzini, którzy to odkopali, są głupi. To nie sprawa dla ONZ. Jest znacznie starsza niż wojna domowa. Mówi, że to nie są Osetyjczycy.

– Kto mówił o Osetyjczykach? – Spytał ostro Beck.

Kaye oglądała but. Miał grubą skórzaną podeszwę i skórzane cholewki, zwisające sznurowadła zbutwiały i pokrywały je grudki brudu. Skóra była twarda jak skała. Zajrzała do środka. Brudy, ale brak skarpet i tkanek – buta nie ściągnięto ze zgniłej stopy. Czikuraszwili zniósł bezwstydnie jej powątpiewające spojrzenie, a potem pociągnął zapałką i zapalił papierosa.

Zainscenizowane, pomyślała Kaye. Przypomniała sobie zajęcia na

studiach odbywane w Bronksie, zajęcia, które w końcu zniechęciły ją do medycyny sądowej. Odwiedziny w miejscach prawdziwych zabójstw. Maski chroniące od rozkładających się ciał.

Beck uspokajał oficera w łamanym gruzińskim i lepszym rosyjskim. Lado tłumaczył cicho jego próby. Potem Beck dotknął łokcia Kaye i zaprowadził ją do długiego płóciennego daszka postawionego kilka jardów od wykopów.

Pod daszkiem stały dwa podniszczone składane stoliki z kawałkami ciał. Pełna amatorszczyzna, pomyślała Kaye. Może to wrogowie przewodniczącego sakrebulo położyli ciała i zrobili im zdjęcia na dowód swych twierdzeń.

Okrażyła stolik: dwa tułowia i czaszka. Na tułowiach zostało sporo zmumifikowanego ciała, a na czaszce, wokół czoła, oczodołów i policzków nieznane wiązadła przypominające ciemne, suche paski. Poszukała śladów owadów i znalazła martwe larwy much plujek w wyschniętym gardle, ale nieliczne. Ciała pochowano parę godzin po śmierci. Wywnioskowała, że nie nastąpiło to w zimie, kiedy nie ma much. Oczywiście na tej wysokości zimy w Gruzji są łagodne.

Wzięła mały scyzoryk leżący przy najbliższym tułowiu i podważyła strzęp tkaniny, będący kiedyś białą bawełną, a następnie podniosła nad brzuch sztywny, wklęsły płat skóry. Na tkaninie i skórze okalającej biodra widniały kanały wlotowe pocisków.

– Boże – powiedziała.

W miednicy, otulone brudem i sztywnymi kawałkami zeschniętej tkanki, leżało mniejsze ciało, skulone, niewiele więcej niż kupka kosteczek z zapadniętą czaszką.

– Panie pułkowniku. – Pokazała ciało Beckowi. Jego twarz skamieniała.

Ciała mogą mieć bez trudu pięćdziesiąt lat, ale jeśli tak, to zachowały się zdumiewająco dobrze. Zostało trochę wełny i bawełny.

– Wszystko jest bardzo wysuszone. Cały teren został odwodniony.

– Wykopy są głębokie. Ale korzenie...

Czikuraszwili znowu coś mówił. Jego głos brzmiał bardziej ugodowo, słycać było nawet nutki poczucia winy. Przez stulecia winy narosło tu mnóstwo.

– Mówi, że oba ciała są żeńskie – szepnął Lado do Kaye.

– Widzę – odparła cicho.

Obeszła stolik, aby obejrzeć następny tułów. Ten nie miał skóry na brzuchu. Zeskrobała brud, tułów zakotywał się z odgłosem wyschłej tykwy. W miednicy leżała następna mała czaszka, płód mniej więcej sześciomiesięczny, podobnie jak tamten. Brakowało kończyn tułowia; Kaye nie potrafiła stwierdzić, czy nogi pozostały w grobie. Ciśnienie gazów brzusznych nie wycisnęło zapewne żadnego płodu.

– Obie ciężarne – stwierdziła. Lado przetłumaczył to na gruziński.

– Naliczyliśmy około sześćdziesięciu osób – powiedział Beck cichym głosem. – Kobiety wyglądają na zastrzelone. Mężczyzn chyba zastrzelono lub zatłuczono.

Czikuraszwili wskazał Becka, potem obóz, i z twarzą poczerwieniałą w blasku latarek zawołał:

– Dżugaszwili, Stalin!

– Oficer powiedział, że groby wykopano kilka lat przez Wielką Wojnę Ojczyźnianą, podczas czystek. Koniec lat trzydziestych. Miałyby więc prawie siedemdziesiąt lat, przebrzmiały nowiny, nic, co mogłoby zajmować ONZ.

– Chce, aby ONZ i Rosjanie wynieśli się stąd – powiedział Lado. – Twierdzi, że to sprawa wewnętrzna, nie dla sił pokojowych.

Beck odezwał się znowu, bardziej pojednawczo, do oficera gruzińskiego. Lado uznał, że nie chce brać udziału w tej wymianie zdań, i podszedł do Kaye pochylonej nad drugim tułowiem.

– Paskudne zajęcie – powiedział.

– Za dużo – odparła Kaye łagodnie.

– Czego? – Spytał Lado.

– Siedemdziesiąt lat to o wiele za dużo – stwierdziła. – Powiedz mi, o co się spierają. – Trąciła scyzorykiem nieznane paski tkanki wokół oczodołów. Zdawały się tworzyć rodzaj maski. Zawiązano im oczy przed egzekucją? Raczej nie. Przywierające resztki były ciemne, włókniste i mocne.

– Ten z ONZ powtarza, że nie ma przedawnienia dla zbrodni wojennych – powiedział jej Lado. – Nie ma mowy o granicach – to znaczy ograniczeniach.

– Ma rację – potwierdziła Kaye. Ostrożnie przekręciła czaszkę. Kość potyliczna pękła z boku i została wepchnięta na głębokość trzech centymetrów.

Skupiła znowu uwagę na szkieleciku tkwiącym w miednicy drugiego tułowia. Miała zajęcia z embriologii na drugim roku uczelni medycznej. Kości płodu wyglądały trochę dziwnie, ale nie chciała uszkodzić czaszki, odrywając ją od zaskorupiałej ziemi i zaschłej tkanki. Już i tak dość ją naruszyła.

Poczuła mdłości. Nie wywołały ich wysuszone i stwardniałe szczątki, ale scena, którą odtwarzała jej wyobraźnia. Wyprostowała się i przywołała gestem uwagę Becka.

– Te kobiety otrzymały strzały w brzuch – powiedziała. „Zabić wszystkich pierworodnych”. Wściekłe potwory. – Zamordowano je. – Zacisnęła zęby.

– Jak dawno temu?

– Może mieć rację z wiekiem buta, jeśli pochodzi stąd, ale ten grób jest młodszy. Korzenie wokół skraju wykopów są za małe. Moim zdaniem ofiary zginęły dwa, trzy lata temu. Brud wygląda na zaschły, ale gleba jest przypuszczalnie kwaśna i wszystkie kości rozpuściłyby się po kilku latach. Następnie tkaniny; wyglądają na wełniane

i bawełniane, a to oznacza, że grób ma tylko kilka lat. Gdyby włókno było sztuczne, mógłby być starszy, ale także z okresu po Stalinie.

Beck podszedł i podniósł maskę.

– Czy może nam pani pomagać, dopóki nie dotrą tu inni? – spytał szeptem.

– Jak długo? – Odparła pytaniem Kaye.

– Cztery, pięć dni – powiedział Beck. Kilka kroków dalej Czikuraszwili patrzył między nimi z zaciśniętymi ustami, urażony, jakby gliny wtrąciły się do kłótni domowej.

Kaye przyłapała się na wstrzymywaniu oddechu. Odwróciła się, odeszła, wciągnęła powietrze i zapytała:

– Zamierza pan wszcząć dochodzenie w sprawie zbrodni wojennej?

– Według Rosjan powinniśmy – odparł Beck. – Pałą się do zdyskredytowania u siebie nowych komunistów. Parę starych rzezi dostarczyłoby im świeżej amunicji. Gdyby mogła pani dać nam dokładniejszy szacunek – dwa lata, pięć, trzydzieści, jakikolwiek?

– Mniej niż dziesięć. Zapewne mniej niż pięć. Dużo zapomniałam – powiedziała. – Niewiele mogę. Wziąć próbki, parę kawałków tkanek. Pełna sekcja zwłok jest oczywiście wykluczona.

– Obecność pani jest tysiąc razy lepsza niż sprowadzanie tutaj miejscowych – uznał Beck. – Nie ufam żadnemu z nich. Nie jestem też pewny, czy można ufać Rosjanom. Wszyscy mają coś do ugrania, tak czy inaczej.

Lado zachowywał kamienną twarz i powstrzymywał się od uwag, nie tłumaczył też rozmowy Czikuraszwilemu.

Kaye czuła, że spełniają się jej obawy: powraca dawny ponury nastrój.

Myślała, że podróżując i przebywając daleko od Saula otrząśnie się z dawnych czasów, złych odczuć. Czuła się wyzwolona, patrząc na pracę naukowców i techników w Instytucie Eliawy, czyniących tyle

dobrego przy tak małych możliwościach, dosłownie czerpiących zdrowie ze ścieków. Wspaniała i piękna strona Gruzji. Teraz... Druga strona monety. Papa Josep Stalin lub czystki etniczne; Gruzini próbujący wyprzeć Ormian i Osetyjczyków, Abchazi próbujący wyprzeć Gruzinów, Rosjanie przysyłający oddziały wojska, wtrącający się Czeczeni. Brudne wojenki między mającymi stare żale starymi sąsiadami.

 Nie będzie to dla niej dobre, ale nie może odmówić.

 Lado wykrzywił twarz i spojrzał na Becka.

 – Miały być matkami?

 – Większość z nich – odparł Beck. – I może niektórzy zostaliby ojcami.

Alpy

Koniec jaskini był bardzo ciasny. Tilde leżała pod niską półką skalną, z podciągniętymi kolanami, i patrzyła na Mitcha klęczącego przed jednym z tych, dla zobaczenia których został tu przyprowadzony. Franco przykucnął za Mitchem. Usta Mitcha były do połowy otwarte, jak u zdziwionego chłopczyka. Od dłuższej chwili nie mógł wykrztusić jednego słowa. W głębi jaskini panował całkowity spokój i cisza. Poruszał się jedynie promień światła, gdy latarka przeskakiwała pomiędzy dwoma kształtami.

– Niczego nie dotykaliśmy – powiedział Franco.

Szerniałe popioły, stare kawałki drewna, trawy i trzciny wyglądające, jakby je rozdmuchano, ale nadal tworzące resztki ogniska. Skóra ciał trzymała się znacznie lepiej. Mitch nie widział nigdy bardziej zaskakujących okazów zmumifikowanych głębokim zamrożeniem. Tkanki były twarde i sztywne, wilgoć wyssało z nich suche, bardzo chłodne powietrze. Na głowach, leżących twarzami do siebie, skóra i mięśnie prawie się nie zapadły przed zamrożeniem. Rysy wyglądały niemal naturalnie, choć oczy pod skurczonymi powiekami były cofnięte, ciemne, niewypowiedzianie senne. Całe były także ciała; jedynie na nogach jakby się pokruszyły i zapadły w siebie, może wskutek sporadycznych podmuchów z szybu. Pomarszczone, czarne stopy przypominały suszone grzyby.

Mitch nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Może nie było nic nadzwyczajnego w ich pozycji – mężczyzna i kobieta leżący na boku,

twarzami do siebie w objęciach śmierci, zamarznięci ostatecznie jak wygasłe popioły ich ostatniego ogniska. Nic zaskakującego w dłoniach mężczyzny sięgających do twarzy kobiety, jej rękach opuszczonych nisko i ściskających brzuch. Nic niespodziewanego w zwierzęcej skórze pod nimi, ani w drugiej, zmiętej za mężczyzną, jakby odrzuconej na bok.

Na koniec, gdy ogień wygasł, zamarzającemu na śmierć mężczyźnie było za ciepło i odrzucił okrycie.

Mitch spojrzał na skurczone palce kobiety i przełknął narastającą kulę emocji, które trudno by mu było określić bliżej czy wyjaśnić.

– Jak stare? – Spytała Tilde, wytrącając go ze skupienia. Jej głos zabrzmiał rażąco, ostro i rzeczowo, jak chłasknięcie brzytwą.

Mitch zerknął na nią.

– Bardzo stare – powiedział spokojnie.

Tak, ale czy jak Człowiek Lodu?

– Nie jak Człowiek Lodu – odparł Mitch. Głos prawie mu się łamał.

Ciało kobiece zostało zranione. Miało otwór w boku, na wysokości biodra. Otaczały go plamy krwi i pomyślał, że mogą być i na skale za nią. Może od tego umarła.

W jaskini nie było broni.

Przetarł oczy, aby odegnać postrzępiony mały, biały księżyc, który mógł go zwodzić, a potem spojrzał znowu na twarze, krótkie, szerokie nosy wznoszące się pod małym kątem. Żuchwa kobiety zwisała, usta mężczyzny były zamknięte. Zmarła, chwytając powietrze. Mitch nie mógł mieć pewności, ale nie odrzucił tego spostrzeżenia. Pasowało.

Dopiero teraz ostrożnie przesunął się wokół postaci, pochylił nisko, obniżając się powolutku, aż zgięte kolana zatrzymały się cał nad biodrami mężczyzny.

– Wyglądają na stare – powiedział Franco po to tylko, aby zakłócić ciszę jaskini. Oczy mu lśniły. Mitch zerknął na niego, potem spuścił

wzrok na profil męskiego ciała.

Gruby wał nadoczodołowy, szeroki spłaszczony nos, brak podbródka. Grube ramiona. Twarze gładkie, prawie bezwłose.

Całą jednak skórę poniżej szyi pokrywał jasnobrązowy meszek, widoczny jedynie po przyjrzeniu się mu z bliska. Wokół skroni krótko przycięte włosy wyglądały na wygolone we wzory, które wykonał zręczny fryzjer.

No to po kudłatych rekonstrukcjach muzealnych.

Mitch pochylił się bardziej, zimne powietrze wypełniło mu ciężko nozdrza, oparł dłoń o powałę jaskini. Coś jakby maska leżało między ciałami, w istocie dwie maski, jedna obok mężczyzny, wepchnięta pod niego, druga pod kobietą. Krawędzie masek wyglądały na oddarte. Każda miała otwory na oczy, nozdrza, wyobrażenie górnej wargi, wszystko lekko pokrywały drobne włoski, a poniżej widniała jeszcze bardziej owłosiona fałda, którą może kiedyś owijano wokół szyi i zuchwy. Mogły zostać zdjęte z twarzy, zerwane, chociaż na głowach nie brakowało skóry.

Maskę bliższą kobiety jakby wiązały z jej czołem i skronią cienkie włókna przypominające nici omułka.

Mitch pojął, że skupia się na drobnych zagadkach, aby odsuwać jedną wielką i niemożliwą.

– Jak są stare? – Zapytała znowu Tilde. – Czy możesz już powiedzieć?

– Nie sądzę, aby tacy ludzie żyli od dziesiątków tysięcy lat – odparł Mitch.

Tilde chyba pogubiła się w tak zamierzchłych czasach.

– Czy są Europejczykami, jak Człowiek Lodu?

– Nie wiem – odpowiedział Mitch, kręcąc głową, i podniósł rękę. Nie chciał rozmawiać; pragnął się zastanowić. To wyjątkowo niebezpieczne miejsce, zawodowo, umysłowo, pod każdym względem.

Niebezpieczne, wymarzone i niemożliwe.

– Powiedz mi, Mitch – poprosiła Tilde z zaskakującą słodyczą. – Powiedz mi, co widzisz. – Wyciągnęła rękę, aby pogłodzić go po kolanie. Franco przyglądał się tej pieśczoce z dojrzałą wyrozumiałością.

– To mężczyzna i kobieta – zaczął Mitch. – Każde ma około metra sześćdziesiąt wzrostu.

– Niscy ludzie – powiedział Franco, ale Mitch nie przerywał.

– Wydają się należeć do rodzaju Homo, gatunek sapiens. Różnią się jednak od nas. Może cierpieli na rodzaj karłowatości, zniekształcenia rysów... – Zamilkł i znowu popatrzył na głowy; nie dostrzegł żadnych oznak karłowatości, choć zastanawiały go maski.

Rysy klasyczne.

– Nie są karłami – powiedział. – To neandertalczycy.

Tilde zakasłała. Suche powietrze drapało ją w gardle.

– Pardon?

– Jaskiniowcy? – Spytał Franco.

– Neandertalczycy – powtórzył Mitch, w równej mierze dla przekonania siebie, co i poprawienia Franco.

– Bzdura – stwierdziła Tilde głosem załamującym się z gniewu. – Nie jesteśmy dziećmi.

– Żadna bzdura. Znaleźliście parę dobrze zachowanych neandertalczyków, samca i samicę. Pierwsze mumie neandertalskie... Gdziekolwiek. Kiedykolwiek.

Tilde i Franco przemyślivali to kilka sekund. Na zewnątrz wiatr gwizdał przy wylocie jaskini.

– Jak stare? – Zapytał Franco.

– Wszyscy uważają, że neandertalczycy wymarli w okresie od stu do czterdziestu tysięcy lat temu – odparł Mitch. – Może wszyscy się mylą. Wątpię, aby przetrwali w tej jaskini, w tym stanie, przez

czterdzieści tysięcy lat.

– Może byli ostatnimi. – Franco przeżegnał się z szacunkiem.

– Niewiarygodne – powiedziała Tilde z rumieńcem na twarzy. – Ile mogą być warci?

Mitchowi zdrętwiała noga i cofnął się, aby przykucnąć obok Franca. Przetarł oczy osłoniętymi rękawiczką knykciami palców. Tak zimno. Cały dygotał. Księżyc światła zamazał się i przesunął.

– Nic nie są warci – odparł.

– Nie żartuj – powiedziała Tilde. – Są rzadcy... Nie ma takich jak oni, prawda?

– Choćbyśmy – to znaczy choćbyście – zdołali wyciągnąć ich bezpiecznie z tej jaskini, nietkniętych, i znieść z góry, komu byście ich sprzedali?

– Ludzie zbierają takie rzeczy – powiedział Franco. – Ludzie z mnóstwem pieniędzy. Rozmawialiśmy już z niektórymi o Człowieku Lodu. Na pewno Człowiek i Kobieta Lodu...

– Może powinienem wyrazić się wprost – stwierdził Mitch.

– Jeśli sprawa nie zostanie załatwiona w sposób naukowy, udam się do władz w Szwajcarii, Włoszech, gdziekolwiek jesteśmy. Powiem im.

Kolejne milczenie. Mitch słyszał niemal myśli Tilde, tykające jak mały austriacki zegar z kukułką.

Franco uderzył w dno jaskini dłonią w rękawiczce i popatrzył na Mitcha.

– Czemu nas dymasz?

– Bo ci ludzie nie należą do ciebie – odpowiedział Mitch.

– Nie należą do nikogo.

– Nie żyją! – Krzyknął Franco. – Nie należą już chyba i do siebie?

Usta Tilde tworzyły prostą, ponurą kreskę.

– Mitch ma rację. Nie sprzedamy ich.

Trochę się teraz bojąc, Mitch rzucał pośpiesznie następne słowa.

– Nie wiem, co innego zamierzacie z nimi zrobić, ale nie sądzę, aby chodziło o wykorzystywanie ich, sprzedawanie praw, wyrób lalek Jaskiniowej Barbie czy coś takiego. – Oddychał głęboko.

– Nie, Mitch ma znowu rację – przyznała Tilde powoli. Franco przyglądał się jej, mrużąc pytająco oczy. – To wielka sprawa.

– Będziemy dobrymi obywatelami. Są przodkami wszystkich. Mama i Tata świata.

Mitch czuł narastający wyraźnie ból głowy. Wcześniejszy długi owal światła był znajomym ostrzeżeniem: nadjeżdża miażdżący łeb pociąg. Zejście z góry będzie trudne, a nawet niemożliwe. W czasie ataku migreny naprawdę rozłupującej mózg. Nie wziął żadnych lekarstw.

– Zamierzacie zabić mnie tutaj? – Spytał Tilde.

Franco zerknął na niego, a potem przeniósł wzrok na Tilde, oczekując odpowiedzi.

Tilde uśmiechnęła się i potarła podbródek.

– Myślę. Jacy byliby z nas dranie. Jakie opowieści i sława. Piraci czasów prehistorycznych. Hej ho i butelka sznapsa.

– Musimy – powiedział Mitch, biorąc te słowa za odpowiedź przeczącą – pobrać z każdego ciała próbki tkanek, czyniąc jak najmniejsze szkody. Potem...

Wziął latarkę i poświecił za bliskie sobie, mające zaspane oczy głowy samca i samicy, daleko w głąb szczelin, zaczynających się jakieś trzy jardy dalej w jaskini. Leżało tam coś małego, owiniętego futrem.

– Co to? – Spyтали jednocześnie on i Franco.

Mitch się zastanowił. Mógłby ukucnąć i naruszając jedynie kurz, prześlizgnąć się obok kobiety. Z drugiej strony, najlepiej zostawić wszystko nietknięte, wycofać się teraz z jaskini i sprowadzić prawdziwych specjalistów. Próbki tkanek wystarczą jako dowód, pomyślał. DNA neandertalczyków jest już dostatecznie znane

z badania ich kości. Znaleździostwo zostanie potwierdzone, a jaskinia zamknięta, dopóty...

Ścisnął skronie i zamknął oczy.

Tilde poklepała go po ramieniu i delikatnie odsunęła.

– Jestem mniejsza – powiedziała. Przeczłogała się obok kobiety w tył jaskini.

Mitch patrzył, nic nie mówiąc. To właśnie odczuwał jako prawdziwy grzech – grzech palącej ciekawości. Nigdy sobie tego nie wybaczy, ale, szukał wymówki, jakże mógłby ją powstrzymać, nie uszkadzając ciała? Ponadto będzie ostrożna.

Tilde wcisnęła twarz w spąg jaskini za pakunkiem. Dwoma palcami złapała koniec futra i powoli go obróciła. Gardło Mitcha ścisnęło lęk.

– Poświeć – zażądała Tilde. Mitch poświecił.

Także Franco wycelował swą latarkę.

– To lalka – powiedziała Tilde.

Na wierzchu pakunku widać było twarzyczkę przypominającą ciemne, pomarszczone jabłko, z parą zapadniętych, czarnych oczek.

– Nie – zaprzeczył Mitch. – To dziecko.

Tilde cofnęła się kilka cali i cicho chrząknęła z zaskoczenia!

Ból głowy spadł na Mitcha jak grzmot.

Franco trzymał ramię Mitcha obok wylotu jaskini. Tilde nadal była w środku. Migrena Mitcha osiągnęła prawdziwą dziewiątkę w skali Beauforta, ze zwiidami i wszystkim innym. Z wysiłkiem powstrzymywał się przed zwinięciem w kłębek i ryczeniem z bólu. Dostał już suche wymioty, przy jaskini, i teraz gwałtownie dygotał.

Miał całkowitą pewność, że umrze tutaj, na progu najbardziej niesamowitego odkrycia antropologicznego wszystkich czasów, zostawiając je w rękach Tilde i Franca, niewiele lepszych od złodziei.

– Co tam robi? – Jęknął Mitch ze spuszczoną głową. Nawet zmierzch wydawał mu się zbyt jasny. Szybko jednak robiło się

ciemno.

– Nie twoja sprawa – powiedział Franco i mocniej ścisnął mu ramię.

Mitch odsunął się i pomacał w kieszeni, szukając fiolek z próbkami. Zdołał wziąć dwie małe z górnej części ud mężczyzny i kobiety, zanim ból osiągnął szczyt; teraz ledwo widział.

Zmusiwszy się do podniesienia powiek, spojrzął na szafirowy błękit nieba precyzyjnie rysujący górę, lód, śnieg, niby maleńkimi błyskawicami przesłaniane błyskami w kącikach oczu.

Tilde wyłoniła się z jaskini z aparatem fotograficznym w jednej ręce, paczką w drugiej.

– Mamy dość, aby wszystkiego dowieść – stwierdziła. Powiedziała coś do Franca po włosku, szybko i cichym głosem.

Mitch nie rozumiał ani się tym nie przejmował. Chciał tylko zejść z góry, wleźć do ciepłego łóżka i zasnąć, czekać, dopóki nie wygaśnie nadzwyczajny ból, aż za dobrze mu znany, choć zawsze świeży i nowy.

Druga opcja to umieranie, mające także swe zalety.

Franco sprawnie go obwiązał.

– Chodź, stary druhu – powiedział, lekko szarpiąc liną. Mitch ruszał chwiejnie, zaciskając pięści na bokach, aby nie walić nimi w głowę. – Czekan – rzuciła Tilde i Włoch wyciągnął z za pasa Mitcha toporek, majtający mu między nogami; schował go do plecaka. – Źle wyglądasz – powiedział Franco.

Mitch zaciskał mocno oczy; zmrok wypełniały błyskawice, a piorun to ból, w milczeniu rozłupujący mu głowę przy każdym kroku. Tilde szła pierwsza, a Franco tuż za nim.

– Inną drogą – zdecydowała Tilde. – Jest mocne oblodzenie, a most się spieprzył.

Mitch otworzył oczy. Grań to ostrze zardzewiałego noża, mroczne

jak węgiel na tle przezroczystej ultramaryny nieba, blednącej w rozgwieżdżoną czerń. Każdy kolejny oddech był coraz mroźniejszy i trudniejszy do zaczerpnięcia. Pocił się obficie.

Włókł się automatycznie, próbując schodzić skalistym stokiem upstrzonym skrawkami chrzęszczącego śniegu, poślizgnął się i złapał linę, ściągając Franca kilka jardów w dół. Włoch nie zaprotestował, przewiązał tylko linę wokół Mitcha i pocieszył go jak dziecko.

– Dobra, stary druhu. Tak lepiej. Tak lepiej. Uważaj.

– Nie wytrzymam dłużej, Franco – szepnął Mitch. – Przeszło dwa lata nie miałem migreny. Nie zabrałem nawet pigułek.

– Nieważne. Patrz tylko pod nogi i rób, co mówię. – Franco krzyknął coś do Tilde. Mitch poczuł ją bliżej i zerknął. Jej twarz okalały chmury oraz zrodzone w nim samym światła i iskry. – Będzie padać powiedział Włoch. – Musimy się śpieszyć. – Rozmawiali po włosku i niemiecku, Mitch pomyślał, że o zostawieniu go tutaj na lodzie. – Mogę iść – zapewnił. – Mogę chodzić. – Ruszyli więc znowu stokiem lodowca, wśród odgłosu lodu opadającego niby spływająca powoli stara rzeka, pękającego i huczącego, trzaskającego i odpryskującego, gdy zlatuje w dół. Gdzieś jakby klaskały ręce olbrzyma. Wiatr się nasilił i Mitch odwrócił się do niego plecami. Franco okręcił go w pierwotnym kierunku i łagodnie popychał.

– Nie ma czasu na głupotę, stary druhu. Chodź.

– Próbuję.

– Idź po prostu. – Wiatr stał się pięścią walącą go w twarz. Wcisnął się w niego. Kryształki lodu zwisały mu z policzków, spróbował naciągnąć kaptur, ale palce w rękawiczkach miał jak kiełbasy.

– Nie może powiedziała Tilde i Mitch zobaczył, jak go obchodzi, otulona wirującym śniegiem. Śnieg zaczął nagle lecieć poziomo i wszystkich szarpnął wiatr. Latarka Franca ukazała miliony płatków pędzących równoległe do podłoża. Zastanawiali się nad wygrzebaniami

jamy w śniegu, ale był on zbyt twardy i potrwałoby to za długo.

– Idziemy! Prosto w dół! – Krzyknął Franco do Tilde, która ruszyła w milczeniu.

Mitch nie wiedział, dokąd idą, ani zbytnio go to nie obchodziło. Franco klął stale po włosku, ale zagłuszał go śnieg i Mitch, brnący naprzód, wyciągający i wciskający buty, zapierający się rękami, próbujący utrzymać się pionowo. Mitch jedynie po napięciu liny poznawał, że Franco tam jest.

– Bogowie się gniewają! – Zawołała Tilde, na poły triumfująco, na poły żartobliwie, z wielkim podnieceniem i wielkim poruszeniem.

Franco musiał upaść, bo Mitch był mocno wleczony w tył. Jakoś zdołał utrzymać czekan i gdy się przekreślił, opadł na brzuch i znalazł chęć na wbicie czekana w lód i powstrzymanie tego schodzenia. Franco chyba zadyndał przez chwilę, kilka jardów dalej w dole stoku. Mitch popatrzył w tym kierunku. Światła znikły z jego oczu. Zamarzał, naprawdę zamarzał, co uśmierzyło ból migreny. Franco był niewidoczny za prostymi, równoległymi strugami śniegu. Wiatr zagwizdał, potem wrzasnął i Mitch zbliżył bardziej twarz do lodu.

Czekan wyslizgnął się z otworu i osunął się dwa, trzy jardy. Przy zmniejszonym bólu zastanawiał się, jak zdoła wyjść z tego żywy.

Wbił raki w lód i podciągnął się na stoku, całą siłą wlekąc Franca za sobą. Tilde pomogła Włochowi wstać. Miał zakrwawiony nos i wyglądał na oszołomionego. Musiał uderzyć głową o lód. Tilde spojrzała na Mitcha. Uśmiechnęła się i dotknęła jego ramienia. Tak przyjacielsko. Nikt nic nie mówił. Podzielany ból i wciskające się złe ciepło zbliżało ich bardzo do siebie. Franco wydał odgłos łkania, ssania, polizał zakrwawioną wargę, ściągnął mocniej ich liny.

Byli tacy odsłonięci. Ponad skomlącym wiatrem spadający lodowiec wył, warczał, terkotał jak traktor na zwirowej drodze. Mitch czuł drżenie lodu pod nim. Byli za blisko kaskady, a ta spływała

naprawdę szybko, robiąc mnóstwo hałasu. Szarpnął linę łączącą go z Tilde i cofnęli się wolni, odcięci. Pociągnął linę za sobą. Franco wyłonił się z wiatru i śniegu, twarz pokrywała mu krew, oczy lśniły za goglami. Ukląkł obok Mitcha i podparł się dłońmi w rękawiczkach, pochylony na bok. Mitch chwycił Franca za ramię, lecz ten ani drgnął. Mitch wstał zwrócony w dół stoku. Wiatr powiał od przodu i od dołu, powalił go na twarz. Mitch spróbował znowu, odchylając się niezdarnie do tyłu, i upadł. Mógł się tylko czołgać. Ciągnął za sobą Franca, ale po kilku stopach stało się to niemożliwe. Zawrócił do Franca i spróbował go pchać. Nie zdołał, lód był szorstki, a nie śliski. Mitch nie wiedział, co robić. Musieli wydostać się z wiatru, ale nie widział na tyle dobrze, gdzie są, aby wybrać właściwy kierunek. Cieszył się, że Tilde ich zostawiła.

Może się uratuje, ktoś będzie miał z nią dzieci, oczywiście nie oni; są teraz w ślepej uliczce ewolucji. Cała odpowiedzialność opadła. Żałował, że Franco tak ucierpiał.

– Hej, stary druhu! – Krzyknął mu do ucha. – Obudź się i mi pomóż, bo umrzemy. – Franco nie odpowiadał.

Może już nie żył, ale Mitch nie sądził, aby zwykły upadek mógł kogokolwiek zabić. Natrafił na latarkę przy nadgarstku Franca, zdjął ją, zapalił, poświecił w oczy Włocha, spróbował je otworzyć palcami w rękawiczkach, miał z tym kłopot, dojrzał wreszcie małe i nierówne źrenice. Oj. Runął mocno na lód, doznając wstrząsu mózgu i rozbijając nos. To z niego wypływała ciągle nowa krew. Krew i śnieg tworzyły czerwoną papkę na twarzy Franca. Mitch przestał do niego mówić. Pomyślał o odcięciu liny, ale nie mógł się do tego zmusić. Franco był dla niego dobry. Rywale pojednani śmiercią na lodzie. Mitch wątpił, aby jakakolwiek kobieta naprawdę poczuła romantyczny skurcz serca, gdy o tym usłyszy. Nie doświadczył, aby kobiety zbyt często się przejmowały takimi rzeczami. Umieraniem tak, ale nie męską sztama.

Tak teraz pogmatwaną i szybko ogrzewającą. Jego kurtka była bardzo ciepła, jak i spodnie śniegowe. Na dobitkę musiał się odlać. Śmierć z godnością najwyraźniej nie wchodziła w grę. Franco jęknął. Nie, to nie Franco. Łód pod nimi zadrgał, potem podskoczył, upadli i osunęli się. Mitch dostrzegł światło latarki ukazujące rosnącą wielką bryłę lodu. Albo spadali. Tak, rzeczywiście, i zamknął oczy, przewidując najgorsze. Nie uderzył jednak w nic głową, choć całe powietrze zostało wyparte mu z płuc. Wylądowali w śniegu i wiatr ustał. Zlepiony śnieg opadał na nich, w nogę Mitcha wbiło się też kilka ciężkich grudek lodu. Było cicho i spokojnie. Mitch spróbował unieść nogę, ale miękkie ciepło stawiało opór, a druga noga była sztywna. Już po wszystkim.

Natychmiast otworzył szeroko oczy na zalewający niebo blask oślepiającego, błękitnego słońca.



Gordi

Lado, kręcąc głową w ponurym zakłopotaniu, pozostawił Beckowi troskę o powrót Kaye do Tbilisi. Nie mógł na długo opuścić Instytutu Eliawy. ONZ zajęło w Gordi mały pensjonat Tygrys Rustawelego, wynajmując wszystkie pokoje. Rosjanie rozbili następne namioty i spali między miasteczkiem a grobami.

Obsługiwani przez zboląłą, lecz uśmiechniętą właścicielkę, krępa, czarnowłosa Likę, członkowie sił pokojowych ONZ zjedli późną kolację złożoną z chleba i flaków, podaną z dużymi kieliszkami wódki. Wszyscy zaraz potem poszli spać, oprócz Kaye i Becka.

Beck przysunął krzesło do drewnianego stołu i postawił przed Kaye szklanekę białego wina. Nie tknęła wódki.

– Manawi. Najlepsze, jakie tutaj mają... W każdym razie dla nas. – Beck usiadł i czknął w kułak. – Przepraszam. Co pani wie o historii gruzińskiej?

– Niewiele – odpowiedziała Kaye. – Znam politykę najnowszą. Naukę.

Beck kiwnął głową i założył ręce.

– Nasze zmarłe matki – zaczął – niewątpliwie mogły zostać zamordowane podczas zamieszek – wojny domowej. Nic mi jednak nie wiadomo o starciach w Gordi czy w pobliżu. – Skrzywił się niepewnie. – Mogą być ofiarami lat trzydziestych, czterdziestych lub pięćdziesiątych. Pani to jednak wyklucza. Trafna uwaga o korzeniach. – Potarł nos i podrapał się po brodzie. – Za dużo ponurej historii jak na

tak piękny kraj.

Beck przypominał Kaye Saula. Większość mężczyzn w wieku pułkownika przypominała jej Saula, starszego o dwadzieścia lat, tam na Long Island, dalszym, niż wynikało tylko z odległości.

Saula błyskotliwego, Saula słabego, Saula, którego umysł z każdym miesiącem coraz bardziej zgrzytał. Usiadła prosto i wyciągnęła ręce, drapiąc podłogę nogami krzesła.

– Bardziej mnie interesuje jego przyszłość – powiedziała.

– Połowa firm farmaceutycznych i medycznych ze Stanów Zjednoczonych pielgrzymuje tutaj. Doświadczenia Gruzji mogą uratować miliony.

– Pożyteczne wirusy.

– Tak jest – potwierdziła. – Fagi.

– Atakują tylko bakterie.

Przytaknęła.

– Czytałem, że wojska gruzińskie nosiły podczas zamieszek małe fiolki pełne fagów – powiedział Beck. – Połykano je przed walką albo rozpylano na rany czy oparzenia przed zabraniem do szpitala.

Kaye kiwnęła głową.

– Terapię fagową stosują od lat dwudziestych, kiedy to Felix d’Herelle przyjechał tu, aby pracować z Jerzym Eliawą. D’Herelle był nieporządny; mieszał wyniki, a niedługo potem pojawiły się sulfonamid i penicylina. Do niedawna bardzo zaniedbywaliśmy fagi. I w końcu zostaliśmy z groźnymi bakteriami odpornymi na wszystkie znane antybiotyki. Ale nie na fagi.

Przez okno holu, nad dachami niskich domów po drugiej stronie ulicy, widziała góry lśniące w blasku księżyca. Chciała pójść spać, ale wiedziała, że całe godziny będzie leżała bez snu w małym, twardym łóżku.

– Będą tu mieli lepszą przyszłość – stwierdził Beck. Uniósł

i wychylił szklanę. Kaye wypła łyzeczek. Słodycz i kwaśność wina tworzyły piękną równowagę, jak w cierpkich morelach.

– Doktor Dzakeli powiedział mi, że wspięliście się na Kazbek – rzekł Beck. – Wyższy od Mont Blanc. Jestem z Kansas. Nie ma tam żadnych gór. Ledwo trochę skał. – Uśmiechnął się ze spuszczoną głową, jakby wolał unikać jej wzroku. – Kocham góry. Przepraszam, że odciągam panią od tematu... I od przyjemności.

– Nie wspinam się – wyjaśniła. – Wchodzę tylko.

– Spróbuję zabrać stąd panią za kilka dni – powiedział Beck.

– W Genewie mają spisy zaginionych osób i możliwych masakr.

– Jeśli na coś trafią i będziemy mogli datować tę na lata trzydzieste, prześlemy sprawę Gruzinom i Rosjanom. – Beck chciał, aby groby były stare, i nie bardzo mogła go za to winić.

– A jeśli sprawa jest świeża? – Spytała Kaye.

– Sprowadzimy z Wiednia pełen zespół dochodzeniowy.

Kaye rzuciła mu ostre, zasadnicze spojrzenie.

– Jest świeża.

Beck dopił wino, wstał i zacisnął dłonie na oparciu swego krzesła.

– Zgadza się – westchnął. – Dlaczego rzuciła pani kryminologię? Jeśli nie wściubiam nosa...

– Za dużo dowiedziałam się o ludziach – odparła Kaye. Okrutnych, zepsutych, brudnych, niesamowicie głupich ludziach. Opowiedziała Beckowi o poruczniku z wydziału zabójstw na Brooklynie, który uczył jej grupę. Był pobożnym chrześcijaninem.

Pokazując im zdjęcia szczególnie przerażającej sceny zbrodni, z dwoma martwymi mężczyznami, trzema kobietami i jednym dzieckiem, powiedział studentom: „Dusz tych ofiar nie ma już w ciałach. Nie współczujcie im. Współczujcie tym, którzy zostali. Poradźcie sobie z tym. Weźcie się do pracy. I pamiętajcie, że pracujecie dla Boga”.

– Dzięki wierze nie zwariował – dodała Kaye.

– A pani? Czemu zmieniła pani kierunek?

– Nie wierzę – wyjaśniła Kaye.

Beck kiwnął głową, rozluźnił ręce na oparciu krzesła.

– Nie ma pani zbroi. Cóż, niech się pani stara. Na razie mamy tylko panią. – Powiedział jej dobranoc i poszedł do wąskich schodów, maszerując szybkim, lekkim krokiem.

Kaye kilka minut siedziała przy stole. Potem wyszła głównymi drzwiami gospody. Stała na granitowym stopniu przy wąskiej, brukowanej ulicy i odetchnęła nocnym powietrzem, lekko przesyconym smrodem miejskich ścieków. Nad szczytami domów naprzeciw gospody dojrzała ośnieżony szczyt góry, tak wyraźny, że niemalże mogłaby wyciągnąć rękę i go dotknąć.

Rano obudziła się okutana w ciepłe prześcieradło i koc, nieprane od jakiegoś czasu. Popatrzyła na kilka pojedynczych włosów, nie jej, wplątanych w grubą, szarą wełnę obok twarzy. Małe, drewniane łóżko z rzeźbionymi i pomalowanymi na czerwono zagłówkami zajmowało otynkowany pokój, mający jakieś osiem stóp szerokości i dziesięć długości, z jednym oknem za łóżkiem, jednym drewnianym krzesłem i zwykłym drewnianym stołem z toaletką. Tbilisi ma nowoczesne hotele, ale Gordi leży poza nowymi szlakami turystycznymi, zbyt daleko od Drogi Wojennej.

Wysunęła się z łóżka, pochłapała wodą twarz, włożyła dzinsy, bluzkę i kurtkę. Sięgała po żelazną zasuwkę, gdy usłyszała mocne pukanie. Beck zawołał ją po imieniu. Otworzyła drzwi i zamrugała jak sowa.

– Wyganiają nas z miasteczka – powiedział z zaciętą twarzą.

– Wszyscy mamy być jutro w Tbilisi.

– Dlaczego?

– Jesteśmy niepożądani. Będą nas eskortować żołnierze z głównych

sił. Powiedziałem im, że jest pani doradcą cywilnym, a nie członkiem naszego zespołu. Nie obchodzi ich to.

– Jezu – rzuciła Kate. – Skąd ten zwrot?

Beck skrzywił się bezwiednie.

– Sakrebulo, rada, jak sądzę. Drażni ją gmeranie w tej miłej, małej gminie. A może chodzi o wyższy szczebel.

– Nie pasuje to do nowej Gruzji – powiedziała Kaye. Zastanawiała się, jak wpłynie to na jej pracę w instytucie.

– Też jestem zdziwiony – przyznał Beck. – Nadepnęliśmy komuś na odcisk. Proszę się spakować i dołączyć do nas na dole.

Odwracał się, ale Kaye złapała go za ramię.

– Czy telefony działają?

– Nie wiem – odpowiedział. – Może pani skorzystać z naszych telefonów satelitarnych.

– Dzięki. I... Doktor Dzakeli jest już w Tbilisi. Nie chciałabym go znowu tu ściągać.

– Zabierzemy panią do Tbilisi – odparł Beck. – Jeśli to tam chce pani jechać.

– Byłoby miło – powiedziała Kaye.

Przed gospodą w mocnym słońcu lśnił biały cherokee ONZ. Kaye zerknęła na samochód przez szyby holu i zaczekała, aż właścicielka przyniesie stary czarny telefon z tarczą i przyłączy go do gniazdka przy recepcji. Podniosła słuchawkę, posłuchała i podała ją Kaye: głucho. Za kilka lat Gruzja wejdzie w dwudziesty pierwszy wiek. Teraz niecałe sto linii łączy ją ze światem zewnętrznym, a ponieważ wszystkie rozmowy są przełączane do Tbilisi, trudno się dodzwonić.

Właścicielka uśmiechała się nerwowo. Denerwowała się, odkąd przyjechali.

Kaye wyniosła torbę na ulicę. Zebrał się tam zespół ONZ, sześciu mężczyzn i trzy kobiety. Kaye stanęła obok Kanadyjki nazwiskiem

Doyle, zaś Hunter wyciągnęła telefon satelitarny.

Kaye najpierw zadzwoniła do Tbilisi, aby porozmawiać z Tamarą Mirianiszwili, jej główną współpracowniczką w instytucie.

Po kilku próbach się połączyła. Tamara wyraziła współczucie i domysły, o co może chodzić, potem powiedziała, że chętnie przyjmą Kaye na kilka dalszych dni.

– Wstyd, że wciągnęli cię w to bagno. Bardzo chętnie przywrócimy ci dobry humor – powiedziała.

– Czy dzwonił Saul? – Spytała Kaye.

– Dwa razy – odparła Tamara. – Masz popytać o biofilmy. Jak fagi się zachowują na biofilmach, po całkowitym ich opanowaniu przez bakterie.

– I zamierzacie nam powiedzieć? – Rzuciła żartobliwie Kaye.

Tamara wybuchnęła dźwięcznym, promiennym śmiechem.

– Czy musimy ci zdradzać wszystkie nasze sekrety? Jeszcze nie podpisaliśmy umów, droga Kaye!

– Saul ma rację. Może być z tego niezły zysk – powiedziała Kaye. Nawet w najgorszych czasach Saul miał nosa do nauki i interesów.

– Wracaj, a pokażę ci niektóre nasze badania nad biofilmami, specjalnie, bo jesteś taka miła – obiecała Tamara.

– Cudownie.

Kaye podziękowała Tamarze i oddała telefon pani kapral.

Gruziński samochód służbowy, stara czarna wołga, przywiózł kilku oficerów, którzy wysiedli z lewej strony. Major Czikuraszwili z sił bezpieczeństwa wyłonił się z prawej, bardziej nachmurzony niż zwykle. Wyglądał, jakby miał wybuchnąć krwią i śliną.

Młody oficer – Kaye nie miała pojęcia o jego stopniu – podszedł do Becka i zagadnął go łamanym rosyjskim. Kiedy skończyli, Beck machnął ręką i zespół ONZ wsiadł do dżipów. Kaye pojechała z Beckiem.

Gdy opuszczali Gordi, kilku mieszkańców zebrało się, aby patrzeć, jak wyjeżdżają. Jakaś dziewczynka stała przy otynkowanym kamiennym murze i machała ręką: brązowe włosy, śniada cera, szare oczy, silna i śliczna. Całkowicie normalna i miłutka dziewczynka.

Mało rozmawiali, gdy Hunter wiozła ich szosą na południe, prowadząc małą karawanę. Beck patrzył uważnie przed siebie. Mający twarde zawieszenie dżip podskakiwał na wybojach, wpadał w koleiny i szarpał na dziurach. Siedząca z tyłu po prawej stronie Kaye pomyślała, że jeszcze dostanie choroby lokomocyjnej. Radio grało pop z Alanii i całkiem dobry blues z Azerbejdżanu, a potem nadawało niezrozumiałe rozmowy, które czasami śmieszyły Becka. Pułkownik zerknął na Kaye, która dzielnie próbowała wymusić uśmiech.

Po kilku godzinach zdrzemnęła się, śniąc o skupiskach bakterii w ciałach z grobów zbiorowych. Widziała biofilmy, które większość ludzi uważa za śluz: drobne bakteryjne zakłady przemysłowe, rozkładające na czynniki pierwsze zwłoki ich żywych ongiś gigantycznych potomków ewolucyjnych. Piękne konstrukcje wielocukrowe są rozbierane w kanałach wewnętrznych, jelitach i płucach, w sercu i żyłach, w oczach i mózgu; bakterie podążają swymi dzikimi szlakami i zakładają miasta, przetwarzając wszystko; wielkie wysypiska śmieci miasta bakterii, niezających zupełnie filozofii, historii i charakteru martwych kadłubów, które teraz zajmują.

Bakterie nas uczyniły. Zabiorą nas na koniec. Witajcie w domu.

Obudziła się spocona. Powietrze ociepliło się, gdy zjechali do długiej, głębokiej doliny. Jak miło byłoby nic nie wiedzieć o pracach wewnątrz nas. Zwierzęca niewinność; najśodsze jest życie niezbadane. Rzeczy psują się jednak, wywołując introspekcję i badania. Korzeń wszelkiej świadomości.

– Śniła pani? – Zapytał Beck, gdy stanęli przy małej stacji benzynowej i garażu z brzęczących arkuszy zardzewiałego metalu.

– Koszmary – powiedziała Kaye. – Za dużo ich chyba w mojej pracy.

5

Innsbruck, Austria

Mitch zobaczył niebieskie słońce, obracające się i ciemniejące, więc uznał, że nadeszła noc, ale powietrze było zamglone na zielono i ani trochę mroźne. Poczował ukłucie bólu w górnej części uda, coś niejasno ciążyło mu w żołądku. Nie był w górach. Próbował mruganiem usunąć maź z oczu i wyciągnął rękę, aby potrzeć twarz. Ktoś go powstrzymał, a miękki kobiecy głos kazał mu po niemiecku być grzecznym chłopcem.

Gdy nieznamy wytarła mu czoło zimną, moką szmatką, powiedziała po angielsku, że ma trochę popękana skórę, odmrożony nos i palce oraz złamaną nogę. Kilka minut później znowu zasnął.

Nie wiadomo, jak długo potem obudził się i zdołał usiąść w skrzypiącym, mocnym łóżku szpitalnym. Był w sali z czterema innymi pacjentami, dwoma obok i dwoma naprzeciw, samymi mężczyznami, wszyscy poniżej czterdziestki. Dwaj trzymali złamaną nogę na wyciągu jak w komedii filmowej. Dwaj pozostali złamali rękę. Noga Mitcha była w gipsie, ale nie na wyciągu.

Wszyscy mężczyźni mieli niebieskie oczy, byli żyłaści i przystojni, z orlimi profilami, grubymi karkami i długimi szczękami.

Przyglądali mu się uważnie.

Mitch widział teraz pokój wyraźnie: pomalowane betonowe ściany, pokryte białą emalią poręczce łóżek, przenośna lampa na chromowej podstawie, którą wziął za niebieskie słońce, cętkowane, brązowe płytki posadzki, duszący odór pary i środków odkażających,

przytłaczający zapach mięty.

Po prawej stronie Mitcha młody mężczyzna, mocno oparzony odbijającymi się od śniegu promieniami słonecznymi, z różowymi jak u niemowlęcia policzkami pokrytymi świeżą skórą, wychylił się mówiąc:

– Czy jest pan tym amerykańskim szczęściarzem? – Zazgrzytały bloczki i ciężarki jego uniesionej nogi.

– Jestem Amerykaninem – jęknął Mitch. – Muszę być szczęściarzem, bo nie umarłem.

Mężczyźni wymienili poważne spojrzenia. Mitch dostrzegł, że od jakiegoś czasu musiał być tematem rozmów.

– Wszyscy się zgadzamy, że koledzy alpiniści powinni pana powiadomić.

Zanim Mitch zdążył przyznać, że nie jest alpinistą, poparzony śniegiem młody mężczyzna powiedział mu, iż jego towarzysze nie żyją.

– Włoch, z którym znaleziono pana na seraku, miał złamany kark. A kobieta była dużo niżej, zagrzebana w lodzie.

Potem jego oczy zaostrzyły się badawczo – oczy niebieskie jak u dingo, jak niebo, które Mitch po raz pierwszy zobaczył nad granią – i zapytał:

– Jest o tym w gazetach, w telewizji. Skąd wzięła ciało dziecka?

Mitch zakasłał. Dostrzegł dzban wody na tacy przy łóżku i wypił szklanekę. Alpiniści patrzyli nań jak atletyczne elfy przywiązane do swych łóżek.

Mitch odwzajemnił ich spojrzenia. Nie powinien teraz osądzać Tilde; na pewno.

Inspektor z Innsbrucku, który przyszedł w południe zadawać pytania, usiadł przy jego łóżku wraz z miejscowym policjantem. Policjant lepiej mówił po angielsku i tłumaczył. Pytania są rutynowe,

oznajmił inspektor, jak przy każdym wypadku. Mitch powiedział im, że nie znał owej kobiety, na co inspektor, po pełnej uszanowania chwili milczenia, odparł, że byli widziani razem w Salzburgu.

– Pan, Franco Maricelli i Mathilda Berger.

– Była dziewczyną Franca – wyjaśnił, czując mdłości i próbując to ukrywać. Inspektor westchnął i w naganie wykrzywił usta, jakby cała sprawa była błaża i tylko odrobinę go zdenerwowała.

– Niosła mumię niemowlęcia. Być może bardzo dawną mumię. Czy wie pan, skąd ją wzięła?

Miał nadzieję, że inspektor nie przeszukał jego rzeczy, nie znalazł fiolek i nie zbadał ich zawartości. Może zgubił plecak na lodowcu.

– To zbyt dziwaczne, aby wyjaśnić – powiedział.

Inspektor wzruszył ramionami.

– Nie znam się na ciałach w lodzie. Mitchell, daję panu ojcowską radę. Czy jestem na to dostatecznie stary?

Mitch przyznał, że inspektor może być dość stary. Alpinieści nie próbowali nawet ukrywać zainteresowania przesłuchaniem.

– Rozmawialiśmy z pańskimi byłymi pracodawcami, Hayer Museum w Seattle.

Mitch zamrugał powoli.

– Powiedzieli nam, że był pan zamieszany w kradzież zabytków należących do rządu federalnego, resztek szkieletu Indianina zwanego człowiekiem z Pasco, bardzo starych. Dziesięć tysięcy lat, znalezione nad rzeką Columbia. Odmówił pan przekazania tych szczątków Army Corpse of Engineers.

– Corps^[1] – poprawił łagodnie Mitch. – Został pan za to aresztowany pod zarzutem naruszenia ustawy o zabytkach i zwolniony przez muzeum z powodu zbyt wielkiego rozgłosu.

– Indianie twierdzili, że kości należą do ich przodka – powiedział Mitch, rumieniąc się z gniewu na samo wspomnienie.

– Chcieli go ponownie pogrzebać.

Inspektor czytał dalej z notatek.

– Pozbawiono pana dostępu do swoich zbiorów w muzeum, a z domu zabrano kości. A także wiele zdjęć, i rozgłos się zwiększył.

– Prawnicze brednie! Korpus Saperów nie miał praw do tych kości. Były bezcenne naukowo...

– Może jak zmumifikowane niemowlę z lodowca? – Zapytał inspektor.

Mitch zamknął oczy i odwrócił się. Teraz widział wszystko bardzo jasno. Głupi jest niewłaściwym słowem. To przeznaczenie, tylko i wyłącznie.

– Zamierzaliście je wyrzucić? – Inspektor odchylił się w krzesło.

Mitch pokręcił głową.

– Już wiadomo – widziano was z kobietą w Braunschweiger Hütte, niecałe dziesięć kilometrów od miejsca, gdzie pana znaleziono. Kobieta rzucała się w oczy, piękna blondynka, jak mówią świadkowie.

Alpiniści pokiwali głowami, jakby tam byli.

– Najlepiej niech nam pan powie wszystko, i to teraz. Powiadomię policję we Włoszech, przesłuchamy pana tutaj, w Austrii, i może się na tym skończy.

– Byli znajomymi – powiedział. – Ona jest – była – moją przyjaciółką. To znaczy, byliśmy kiedyś kochankami.

– Tak. Czemu do pana wróciła?

– Coś znaleźli. Uznała, że będę w stanie powiedzieć im, co to jest.

– No i?

Mitchell pojął, że nie ma wyboru. Wypił szklankę wody i opowiedział inspektorowi prawie o wszystkim, co zaszło, na ile mógł dokładnie i jasno. Ponieważ nie wspomnieli o fiolkach, on także je pominął. Policjant notował i rejestrował zeznanie na małym magnetofonie.

Kiedy skończył, inspektor stwierdził:

– Ktoś na pewno będzie chciał wiedzieć, gdzie jest ta jaskinia.

– Tilde, Mathilda, miała aparat – powiedział Mitch znużonym głosem. – Robiła zdjęcia.

– Nie znaleźliśmy aparatu. Byłoby znacznie lepiej, gdyby pan wiedział, gdzie jest jaskinia. Takie znalezisko... Wywołuje wielkie poruszenie.

– Mają już dziecko – odparł Mitch. – Ono samo wywoła poruszenie. Niemowlę neandertalskie.

Inspektor skrzywił się z powątpiewaniem.

– Nikt nie wspomniał o neandertalczyku. Może to więc pomyłka albo żart?

Mitch dawno już stracił wszystko, co było dlań cenne – karierę, pracę paleontologa. Raz jeszcze schrzanił wszystko po królewsku.

– Może to przez ból głowy. Jestem półprzytomny. Pomogę oczywiście w szukaniu jaskini – powiedział.

– Czyli chodzi nie o zbrodnię, ale o tragedię. – Inspektor wstał, aby wyjść, a policjant uchylił czapki na pożegnanie.

Gdy poszli, alpinista ze zdartymi policzkami powiedział mu:

– Nieprędko wrócą.

– Góry cię wzywają – dodał najmniej ogorzały z całej czwórki, leżący w drugim końcu sali, i kiwnął poważnie głową, jakby to wszystko tłumaczyło.

– Pieprz się – mruknął Mitch. Przykrył się pościelą na skrzypiącym, białym łóżku.



Instytut Eliawy, Tbilisi

Lado, Tamara, Zamfira i siedmioro innych naukowców i studentów otoczyło dwa drewniane stoły w południowym końcu głównego budynku laboratoryjnego. Wszyscy na cześć Kaye wzniesli zlewki z koniakiem. Wokół migotały świece, odbijając się złotymi skrami od szklanych naczyń z bursztynową zawartością. Uczta było dopiero w połowie, a Lado jako tamada, czyli podczaszy tego wieczoru, wygłosił już ósmy toast. – Za kochaną Kaye – powiedział – która docenia naszą pracę... I obiecuje uczynić nas bogaczami!

Króliki, myszy i kurczaki patrzyły zaspanymi oczami z otaczających stół klatek. Długie, czarne ławki zastawione naczyniami, stojakami, inkubatorami oraz połączonymi z sekwencerami i analizatorami komputerami kryły się w mroku nieoświetlonego końca laboratorium.

– Za Kaye – dodała Tamara – która w Sakartwelo, Gruzji, widziała więcej... Niżbyśmy sobie życzyli. Za dzielną i rozumiejącą kobietę.

– Co z tobą, gospodyni? – Zapytał gniewnie Lado. – Czemu przypominasz nam nieprzyjemne rzeczy?

– Co z tobą, że w takiej chwili mówisz o bogactwach, o money?. – Odszczeknęła się Tamara.

– Jestem tamadą! – Ryknął Lado, stojąc przy dębowym składanym stole i kiwając szklanką w stronę studentów i naukowców. Wśród rodzących się powoli uśmiechów nikt nie pisnął słowa sprzeciwu.

– Zgoda – ustąpiła Tamara. – Co tylko chcesz.

– Nie mają szacunku! – Lado poskarżył się Kaye. – Czy dostatek zniszczył tradycję?

Z zawężonej perspektywy Kaye ławki wyglądały jak zatłoczone litery V. Sprzęt był połączony z generatorem warczącym cicho na dziedzińcu poza budynkiem. Saul dostarczył dwa sekwencery i komputer; generator był od Aventis, wielkiej spółki międzynarodowej.

Prąd w Tbilisi odcięto późnym popołudniem. Pożegnalną kolację przygotowano nad palnikami Bunsena i w piecyku gazowym.

– Mów dalej, podczaszy – powiedziała Zamfira z wielką rezygnacją. Kiwnęła palcem w stronę Lado.

– Powiem. – Lado odstawił szkło i wygładził marynarkę.

Jego ciemna, pomarszczona twarz, czerwona jak burak od górskiej opalenizny, lśniła w świetle świec niby stare drewno. Przypominała Kaye zabawkę-trolla, którą miała w dzieciństwie. Z ukrytego pod stołem pudełka wyjął kryształowy kieliszek, kunsztownie cięty i szlifowany. Wziął piękny, okuty srebrem róg koziorożca i podszedł do wielkiej amfory, osadzonej w drewnianej kracie w najbliższym kącie za stołem. Amforę, niedawno wykopaną z jego małej winnicy opodal Tbilisi, wypełniała ogromna ilość wina. Z wylotu naczynia wyjął czerpak i wlał wino do rogu, znowu i znowu, siedem razy, aż go napełnił. Łagodnie zakręcił, aby nabrało powietrza. Czerwony płyn prysnął mu na przegub dłoni.

Wreszcie winem z rogu wypełnił po brzegi kieliszek i wręczył go Kaye.

– Gdybyś nie była kobietą – powiedział – poprosiłbym cię o wypicie całego rogu, a potem wygłoszenie toastu.

– Lado! – Ryknęła Tamara, klepiąc go po ramieniu.

O mało nie upuścił rogu. Obrócił się ku niej z pełnym oburzenia zdziwieniem.

– Co? – Spytał. – Czy kieliszek nie jest dość piękny?

Zamfira wstała i pokiwała mu palcem. Lado uśmiechnął się szerzej, z trolla zrobił się karminowym satyrem. Powoli obrócił się do Kaye.

– Cóż poradzę, droga Kaye? – Powiedział rozanielony Lado. Z krawędzi rogu znowu skapnęło wino. – Twierdzą, że musisz wypić wszystko.

Kaye wypija już swoje i bała się wstawać. Czuła milutkie ciepło i bezpieczeństwo, była wśród przyjaciół, otoczona starą ciemnością pełną bursztynowych i złotych gwiazd.

Niemal zapomniała o grobach, Saulu i kłopotach czekających w Nowym Jorku.

Wyciągnęła rękę, a Lado z zaskakującym wdziękiem zbliżył się tanecznie, zadając kłam niezgrabności sprzed kilku chwil. Nie roniąc ani kropli, złożył w jej dłoni róg koziorożca.

– Teraz ty – powiedział.

Kaye wiedziała, czego się po niej oczekuje. Wstała dostojnie.

Lado wzniosł tego wieczoru wiele toastów piętrzących się poetycko, bez końca i powtórzeń, przez długie minuty. Wątpiła, aby mogła dorównać mu wymową, ale się postara, a ma wiele do powiedzenia o rzeczach kłębiących jej się w głowie przez dwa dni, jakie upłynęły od powrotu spod Kazbeku.

– Nie ma kraju na Ziemi nad ojczyznę wina – zaczęła, podnosząc róg wysoko. Wszyscy się uśmiechnęli i wzniesli swe zlewki. – Żaden nie jest piękniejszy i nie koi bardziej udręk duszy i ciała. Pędziliście nektary z nowych gron, aby odganiać zgnilizny i choroby zsyłane przez ciało. Zachowaliście tradycje i wiedzę siedemdziesięciu lat, przechowując je dla dwudziestego pierwszego wieku. Jesteście magami i alchemikami epoki mikroskopu, a teraz dołączacie do badaczy z Zachodu, dzieląc się z nimi ogromnym skarbem.

Tamara tłumaczyła głośnym szeptem dla studentów i naukowców

stłoczonych wokół stołu.

– Zostałam zaszczycona przyjęciem mnie jako przyjaciółki i koleżanki. Podzieliliście się ze mną tym skarbem, a także skarbem Sakartwelo – górami, gościnnością, historią i wcale nie ostatnim darem, winem.

Uniosła róg jedną ręką i powiedziała:

– Gaumarjos Fag! – Wymówiła to po gruzińsku, fa-gaj. – Gaumarjos Sakartvelos!

Teraz zaczęła pić. Nie mogła się delektować ukrytym w ziemi, leżakującym winem Lado tak, jak na to zasługiwało, oczy jej zmętniały, ale nie przerywała, nie chcąc ani okazywać słabości, ani kończyć tej chwili. Piła łyk po łyku. Ogień rozchodził się z żołądka na ręce i nogi, grożąc, że runie upita. Nie zamykała jednak oczu i dotrwała do samego dna rogu, potem przewróciła go do góry nogami, wyciągnęła i podniosła rękę.

– Za królestwo małych i za wszystkie trudy, jakie czynią dla nas! Wszystkie chwały, konieczności, za które musimy wybaczać... Ból... – Język jej sztywniał, a słowa utykały. Oparła się jedną ręką o składany stół, a Tamara spokojnie i nieznacznie wyciągnęła swoją, aby go podeprzeć. – Wszystkie rzeczy, które... Które odziedziczyliśmy. Za bakterie, godnych nas przeciwników, małe matki świata!

Lado i Tamara wiwatowali. Zamfira pomogła Kaye opaść, jakby z wielkiej wysokości, na drewniane, składane krzesło.

– Wspaniale, Kaye – szepnęła jej do ucha. – Możesz wrócić do Tbilisi, kiedy zechcesz. Masz tu dom, bardziej bezpieczny niż własny.

Kaye uśmiechnęła się i wytarła oczy, gdyż od nagłego wzruszenia i ulgi od napięć ostatnich dni zapłakała.

Następnego ranka czuła się smutna i otępiąta, ale nie doświadczała żadnych innych nieprzyjemnych skutków przyjęcia pożegnania. Przez pozostające do zawiezienia jej przez Lado na lotnisko dwie

godziny chodziła korytarzami dwóch z trzech budynków laboratoryjnych, teraz niemal pustych. Zarząd i większość asystentów zebrali się w Auli Eliawy na specjalnej naradzie poświęconej omówieniu różnych ofert składanych przez spółki amerykańskie, brytyjskie i francuskie. Dla instytutu była to ważna i przełomowa chwila; na następne dwa lata mająca rozstrzygnąć, z kim i kiedy zawrzeć sojusze. Teraz jednak nie byli w stanie powiedzieć jej, jaka decyzja zapadnie. Wiadomość przyjdzie później.

Instytut nadal zdradzał dziesięciolecia zaniedbań. W większości laboratoriów odprysła gruba i błyszcząca, biała lub jasnozielona emalia, pokazując popękany tynk. Instalacja wodno-kanalizacyjna pochodziła w najlepszym razie z lat sześćdziesiątych; jej większa część była z dwudziestych i trzydziestych. Oślepiająco białe tworzywo sztuczne i stal nierdzewna nowego wyposażenia uwypuklały jedynie bakelit i czarną emalię albo mosiądz i drewno starych mikroskopów i innych przyrządów. W jednym budynku umieszczono dwa mikroskopy elektronowe – wielkie przysadziste bestie na potężnych podstawach chroniących przed drganiami.

Saul obiecał im dostarczyć do końca roku trzy najnowsze mikroskopy skaningowe – jeśli na jednego z partnerów wybiorą EcoBacter. Aventis lub Bristol-Myers Squibb na pewno byli w stanie go przebić.

Kaye chodziła między stołami laboratoryjnymi, zerkając przez szklane drzwiczki inkubatorów na stosy szkiełek Petriego z dnem pokrytym warstwą agaru, rozdętą lub przesłoniętą koloniami bakterii, niekiedy z wyraźnymi krążkami, zwanymi płytkami, gdzie fagi zabiły wszystkie bakterie. Dzień po dniu, rok po roku, badacze instytutu analizowali i katalogowali występujące w naturze bakterie i ich fagi. Każdy bowiem szczep bakterii ma co najmniej jeden właściwy mu fag, a często setki. Kiedy zaś bakteria mutuje, aby pozbyć się tych

niepożądanych gości, fagi mutują także w niekończącym się wyścigu. Instytut Eliawy przechowywał jedną z największych w świecie bibliotek bakteriofagów, mógł więc w ciągu kilku dni uzyskać fagi dla danych próbek bakteryjnych.

Na ścianie, nad nowym sprzętem laboratoryjnym, plakaty pokazywały dziwaczną, przypominającą statek kosmiczny geometryczną główkę i ogonki wszechobecnych fagów T-parzystych – T2, T4 i T6, oznaczonych tak w latach dwudziestych – wiszących nad wielkimi w porównaniu z nimi powierzchniami bakterii *Escherichia coli*. Stare zdjęcia, stare poglądy – fagi te po prostu żerują na bakteriach, przywłaszczając sobie ich DNA, aby tworzyło nowe fagi. Wiele bakteriofagów poprzestaje na tym, kontrolując populacje bakteryjne. Inne, tak zwane fagi lizogenne, stają się genetycznymi pasażerami na gapę, ukrywającymi się w statku-bakterii i wbudowującymi swe przesłania genetyczne w DNA gospodarza. Bardzo podobnie z większymi roślinami i zwierzętami postępują retrowirusy.

Bakteriofagi lizogenne powstrzymują ekspresję swego DNA i tkwią tylko wewnątrz DNA bakteryjnego, przekazywanego przez pokolenia. Opuszczają statek, gdy ich gospodarz wykazuje oznaki stresu, tworząc w każdej komórce setki bądź nawet tysiące fagów potomnych, opuszczających pośpiesznie gospodarza.

Fagi lizogenne prawie wcale nie przydają się w terapii fagowej. Są czymś znacznie więcej niż tylko drapieźnikami. Owi najeźdźcy wirusowi często dają swym gospodarzom odporność na inne fagi. Niekiedy przenoszą geny pomiędzy komórkami, takie geny, które mogą przekształcać bakterie. Znane są fagi lizogenne opanowujące względnie nieszkodliwe bakterie – na przykład łagodne szczepy *Vibrio* – i przetwarzające je w zjadliwe *Vibrio cholerae*. Występowanie w wołowinie śmiertelnych szczepów *E. coli* przypisuje się

przenoszeniu przez fagi genów tworzących toksyny. Instytut pracuje ciężko nad rozpoznawaniem tych bakteriofagów i eliminowaniem ich z preparatów.

Kaye była jednak nimi zafascynowana. Większość swej pracy spędziła na badaniach fagów lizogennych w bakteriach oraz retrowirusów u małp człekokształtnych i ludzi. Spreparowane retrowirusy są powszechnie używane w terapii genowej i w badaniach genetycznych jako wektory przekazujące poprawione geny, lecz zainteresowania Kaye miały cele mniej praktyczne.

Liczne wielokomórkowce – niebakteryjne formy życia – zawierają w swych genach uśpione resztki dawnych retrowirusów. Aż jedna trzecia genomu ludzkiego, naszego pełnego zapisu genetycznego, składa się z owych tak zwanych retrowirusów endogennych.

Napisała trzy artykuły o ludzkich retrowirusach endogennych, zwanych HERV, co stanowi skrót ich angielskiej nazwy human endogenous retrovirus, uznając, że mogą tworzyć nowe warianty genomu – i znacznie więcej. Saul zgadzał się z nią. „Wszyscy wiedzą, że przenoszą drobne tajemnice”, powiedział jej kiedyś, kiedy z sobą flirtowali. Flirt był dziwny i miły. Sam Saul był dziwny, a czasami dość miły i uprzejmy; nigdy jednak nie wiedziała, kiedy takie chwile nastąpią.

Przystanąła na chwilę przy metalowym stoliku laboratoryjnym i oparła ręce na blacie z płyty pilśniowej. Saula zawsze interesował szerszy obraz, ona zaś zadowalała się mniejszymi sukcesami, drobniejszymi strzępami wiedzy. Zbyt wielki głód rodzi mnóstwo rozczarowań. Przyglądał się w milczeniu, jak jego młodsza żona osiąga w nauce znacznie więcej od niego. Wiedziała, że to go rani. Brak ogromnego sukcesu, brak uznania przez świat za geniusza to dla Saula bolesne ciosy.

Kaye uniosła głowę i wciągnęła powietrze: spłowiały, parny upał,

słaby zapach świeżej farby i desek z sąsiedniej biblioteki. Polubiła to stare laboratorium z jego zabytkami, pokorą i kilkudziesięcioma latami trudów i osiągnięć. Dni spędzone tutaj i w górach należały do najmiłszych w ostatnim czasie. Tamara, Zamfira i Lado nie tylko przyjęli ją gościnnie, ale też otworzyli się natychmiast i szczerze, włączając do swojej rodziny obcą wędrowniczkę.

Saul mógłby odnieść tutaj wielki sukces. Może podwójny. Potrzebował poczuć się kimś ważnym i przydatnym.

Odwróciła się i przez otwarte drzwi zobaczyła Tengiza, przygarbionego starego dozorcę, rozmawiającego z niskim, grubawym i młodym mężczyzną w szarych spodniach i bluzie. Stali w korytarzu łączącym laboratorium z biblioteką. Młody mężczyzna popatrzył na nią i uśmiechnął się. Tengiz również. Kiwnął potwierdzająco głową i wskazał Kaye. Nieznajomy wkroczył do laboratorium, jakby do niego należało.

– Pani Kaye Lang? – Zapytał po angielsku z wyraźnym akcentem amerykańskiego Południa. Był od niej kilka cali niższy, w jej wieku lub trochę starszy, miał rzadką czarną bródkę i kędzierzawe czarne włosy. Jego oczy, również czarne, były małe i inteligentne.

– Tak – potwierdziła.

– Miło mi. Nazywam się Christopher Dicken. Jestem z Epidemic Intelligence Service z National Center for Infectious Diseases w Atlancie w amerykańskiej Georgii, dalekiej od tej krainy, po angielsku nazywającej się tak samo, Georgia.

Kaye uśmiechnęła się i uścisnęła mu rękę.

– Nie wiedziałam, że ma pan tu przyjechać – powiedziała. – Co to jest NCID, CDC...

– Wyjechała pani do miejsca pod Gordi, dwa dni temu – przerwał jej Dicken.

– Przegnali nas – powiedziała Kaye.

– Wiem. Rozmawiałem dzisiaj z pułkownikiem Beckiem.

– Co pana interesuje?

– Powody nie są może dobre. – Zacisnął usta i uniósł brwi, potem znowu się uśmiechnął, otrząsnąwszy się z tego nastroju. – Beck powiedział, że ONZ i wszystkie rosyjskie siły pokojowe wycofały się z tego obszaru i wróciły do Tbilisi na usilną prośbę parlamentu i prezydenta Szewardnadze. Dziwne, nie sądzi pani?

– Kłopotliwe dla interesów – szepnęła Kaye. Tengiz nasłuchiwał z korytarza. Skrzywiła się, bardziej ze zdumienia niż ostrzegawczo. Odszedł.

– No – potwierdził Dicken. – Stare kłopoty. Jak stare, według pani?

– Co... Groby?

– Dicken przytaknął.

– Pięć lat. Może mniej.

– Kobiety były ciężarne.

– Taak... – Cedziła odpowiedź, starając się odgadnąć, dlaczego interesuje to kogoś z National Center for Infectious Diseases.

– Te dwie, które widziałam.

– Czy wykluczone jest błędne rozpoznanie? Może do grobu wrzucono już urodzone niemowlęta?

– Całkowicie wykluczone – odpowiedziała. – Płody miały jakieś sześć, siedem miesięcy.

– Dzięki. – Dicken wyciągnął rękę i grzecznie uścisnął jej dłoń. Odwrócił się, aby odejść. Tengiz przechodził korytarzem koło drzwi i usunął się na bok, kiedy Amerykanin go mijał. Śledczy z EIS zerknął na Kaye i szybko zasalutował.

Tengiz pochylił głowę w bok i uśmiechnął się bezzębnie, jakby czuł się winny.

Kaye podbiegła do drzwi i dogoniła Dickena na dziedzińcu.

Wsiadał do małego, wynajętego nissana.

– Przepraszam! – Zawołała.

– Przykro mi. Muszę jechać. – Dicken zatrzasnął drzwiczki i uruchomił silnik.

– Jezu, umie pan wzbudzać podejrzenia! – Powiedziała Kaye dostatecznie głośno, aby usłyszał ją przez zamknięte szyby.

Dicken opuścił szybę i mile się uśmiechnął.

– Jakie podejrzenia?

– Co u licha pan tutaj robi?

– Plotki – odparł, patrząc za siebie, aby sprawdzić, czy ma wolną drogę. – Tylko tyle mogę powiedzieć.

Zawrócił na zwirze i odjechał, skręcając między głównym budynkiem a drugim laboratorium. Kaye założyła ręce i patrzyła za nim, marszcząc brwi.

Z okna głównego budynku wyjrzał Lado.

– Kaye! – Zawołał. – Skończyliśmy. Jesteś gotowa?

– Tak! – Odpowiedziała, idąc w stronę okna. – Widziałeś go?

– Kogo? – Spytał Lado z obojętną miną.

– Faceta z National Center for Infectious Diseases. Powiedział, że nazywa się Dicken.

– Nikogo nie widziałem. Mają biuro przy ulicy Abaszeli. Możesz tam zadzwonić.

Pokręciła głową. Nie miała czasu, a zresztą to nie jej zmartwienie.

– Nieważne – rzuciła.

Wioząc ją na lotnisko, Lado był niezwykle ponury.

– Masz dobre czy złe wiadomości? – Zapytała.

– Nie mogę tego zdradzić – odpowiedział. – Czy powinniśmy, jak mówiłaś, pozostawać otwarci na waszą opcję? Jesteśmy niby dzieci we mgle.

Kaye przytaknęła i patrzyła przed siebie, gdy wjeżdżali na parking. Lado zaniósł jej torbę na nowy terminal międzynarodowy, obok

rzędów taksówek z czekającymi niecierpliwie kierowcami o bystrych oczach. Przed stanowiskiem odpraw British Mediterranean Airlines kolejka była krótka. Kaye miała wrażenie, że już znajduje się w strefie pośredniej pomiędzy światami, bliżej Nowego Jorku niż Gruzji Lado, kościoła w Gergeti lub góry Kazbek.

Gdy znalazła się na początku kolejki i podała swój paszport z biletami, Lado stanął z założonymi rękoma, mrużąc oczy w promieniach słonecznych wlewających się oknami terminalu.

Urzędniczka, młoda blondynka o upiornie bladej skórze, powoli sprawdziła bilety i dokumenty. Wreszcie uniosła oczy i powiedziała:

– Nie wylot. Nie zabrać.

– Przepraszam?

Kobieta popatrzyła w sufit, jakby czerpała stamtąd siłę lub wiedzę, i spróbowała znowu.

– Nie Baku. Nie Heathrow. Nie JFK. Nie Wiedeń.

– Co, zginęły? – Spytała Kaye ze złością. Popatrzyła bezradnie na Lado, który przekroczył pokryte winylem liny i przemówił do urzędniczki srogim, władczym tonem, potem wskazał Kaye i uniosł krzaczaste brwi, jakby stwierdzając „Very Important Person”!

Blade policzki młodej kobiety nabrały trochę barw. Patrzyła na Kaye z niewyczerpaną cierpliwością i zaczęła po gruzińsku mówić szybko o pogodzie, gradzie, niezwyklej burzy. Lado tłumaczył urywanymi, pojedynczymi słowami: grad, niezwykle, wkrótce.

– Kiedy będę mogła odlecieć? – Zapytała urzędniczkę.

Lado z surową miną wysłuchał wyjaśnień, potem wzruszył ramionami i zwrócił twarz do Kaye.

– Następny tydzień, następny lot. Albo Wiedeń we wtorek, pojutrze.

Kaye postanowiła przebukować bilet na lot do Wiednia. Stały teraz za nią cztery osoby, dające oznaki rozbawienia i niecierpliwości.

Sądząc po stroju i języku, nie leciały ani do Nowego Jorku, ani do Londynu.

Lado poszedł z nią do schodów i usiadł naprzeciw niej w rozbrzmiewającej echem poczekalni. Musiał się zastanowić, coś zaplanować. W budkach przy ścianach kilka staruszek sprzedawało zachodnie papierosy, perfumy i japońskie zegarki. Niedaleko, na sąsiednich ławkach, spali dwaj młodzi mężczyźni, chrapiąc w tandemie. Ściany pokrywały plakaty z napisami rosyjskimi, ślicznymi zakrętasami pisma gruzińskiego, a także po niemiecku i francusku. Zamki, plantacje herbaty, butelki wina, niespodziewanie małe i odległe góry, których czyste barwy zachowały się nawet we fluorescencyjnych światłach.

– Wiem, musisz zadzwonić do męża, będzie na ciebie czekał – powiedział Lado. – Możemy wrócić do instytutu – zawsze jesteś tam mile widziana!

– Nie, dziękuję – odparła Kaye, nagle czując się gorzej. Przeczucie nie miało z tym nic wspólnego: mogła czytać w Lado jak w otwartej książce. Gdzie zrobili błąd? Czy większa firma złożyła jeszcze lepszą ofertę? Co robi Saul, gdy się dowie? Wszystkie plany opierali na przekonaniu, że przyjaźń i życzliwość są w stanie przekształcić w mocne więzy handlowe...

Byli tak blisko.

– Może Metechi Palace – powiedział Lado. – Najlepszy hotel w Tbilisi... Najlepszy w Gruzji. Zabiorę cię do Metechi! Będziesz prawdziwą turystką, jak w przewodnikach! Może zdążysz wziąć kąpiel w ciepłych źródłach... Odpocząć przed powrotem do domu.

Kaye kiwała głową z uśmiechem, ale wyraźnie nie była zadowolona. Nagle, pod wpływem impulsu, Lado pochylił się i zacisnął jej dłoń w suchych, powykręcanych palcach, chropowatych od tylu zanurzeń w kąpielach związków chemicznych. Lekko złożył ich ręce

na jej kolanach.

– To nie koniec! To dopiero początek! Wszyscy musimy być silni i zaradni!

Wywołało to łzy w oczach Kaye. Popatrzyła znowu na plakaty – Elbrus i Kazbek w chmurach, kościół w Gergeti, winnice i leżące wysoko pola uprawne.

Lado uniósł ręce, zaklął kunsztownie po gruzińsku i skoczył na nogi.

– Powiem im, że to nie jest najlepsze! – Powiedział z naciskiem. – Powiem biurokratom w rządzie, że pracowaliśmy z tobą, z Saulem, trzy lata i nie wolno zaprzepaścić tego w jedną noc! Po co komu wyłączność? Zabiorę cię do Metechi.

Kaye uśmiechnęła się z wdzięcznością i Lado usiadł, nachylił się, kręcąc ponuro głową i załamując ręce.

– Oburzające – powiedział – co musimy robić w dzisiejszym świecie.

Młodzi nadal chrapali.

7

Nowy Jork

Christopher Dicken przypadkowo dotarł na lotnisko JFK tego samego wieczoru co Kaye Lang i zobaczył ją, jak przechodziła odprawę celną. Przekładała swój bagaż na wózek i nie zauważyła go. Wyglądała na wykończoną, zmizerniałą. Dicken leciał trzydzieści sześć godzin, wracając z Turcji z dwiema zamkniętymi metalowymi skrzynkami i workiem marynarskim. Na pewno nie chciał w tych okolicznościach wpaść na Lang.

Nie wiedział na pewno, dlaczego pojechał spotkać się z nią w Instytucie Eliawy. Może dlatego, że oddzielnie doświadczyli pod Gordi tej samej grozy. Może dla sprawdzenia, czy wie, co się działo w Stanach Zjednoczonych i było powodem jego odwołania; a może po prostu chciał się spotkać z ładną i inteligentną kobietą, której zdjęcie widział na stronie internetowej EcoBacter.

Pokazał celnikowi legitymację CDC i zezwolenie przywozowe NCID, wypełnił wymagane pięć formularzy i ukradkiem wyszedł bocznymi drzwiami do pustej sali przylotów. Nadmiar kawy dawał wszystkiemu gorzki posmak. Dicken nie zmrużył oka przez cały lot i przed lądowaniem wypił pięć jej kubeczków w ciągu godziny. Potrzebował czasu na zorientowanie się w sytuacji, namysł i przygotowanie się do spotkania z Markiem Augustine'em, dyrektorem Centers for Disease Control and Prevention.

Augustine był teraz na Manhattanie, miał wystąpienie na konferencji poświęconej nowym sposobom leczenia AIDS.

Dicken zaniósł skrzynki na zamknięty parking. W samolocie i na lotnisku zupełnie stracił poczucie czasu; z pewnym zdumieniem stwierdził, że nad Nowym Jorkiem zapada zmierzch.

Pokonał labirynt schodów i wind, aby wyjechać rządowym dodge'em z parkingu długoterminowego i ujrzeć blednące, szare niebo nad zatoką Jamaica. Ruch na autostradzie im. Van Wycka był duży. Jedną ręką przytrzymał leżące na siedzeniu pasażera zapieczętowane skrzynki. Pierwsza zawierała suchy lód chroniący kilka fiolek z krwią i moczem pacjentki z Turcji oraz próbki tkanek jej poronionego płodu. W drugiej były dwie zapieczętowane torebki plastikowe ze zmumifikowaną tkanką naskórka i mięśni, uzyskane dzięki uprzejmości oficera kierującego rozbudowaną misją sił pokojowych Stanów Zjednoczonych w Gruzji, pułkownika Nicholasa Becka.

Tkanka z grobów pod Gordi to strzał w ciemno, ale w umyśle Dickena rodził się wzór – bardzo ciekawy i niepokojący wzór. Spędził trzy lata na poszukiwaniu wirusowego odpowiednika chimery: choroby wenerycznej atakującej jedynie kobiety w ciąży i zawsze powodującej poronienie. To potencjalna bomba, do odnalezienia której Augustine wyznaczył Dickena: coś tak strasznego, tak prowokującego, że zapewni przyznanie CDC większych funduszy.

Przez te lata Dicken wyjeżdżał nieustannie na Ukrainę, do Gruzji i Turcji z nadzieją zdobycia próbek i wykreślenia mapy epidemiologicznej. Urzędnicy służby zdrowia w każdym z tych trzech państw nieustannie rzucali mu kłody pod nogi. Mieli swoje powody. Dicken dowiedział się, o co najmniej trzech, a najwyżej siedmiu masowych grobach, zawierających ciała mężczyzn i kobiet zabitych rzekomo w celu zapobieżenia szerzeniu się tej choroby. Pozyskiwanie próbek z miejscowych szpitali okazało się wyjątkowo trudne, choć państwa te zawarły formalne umowy z CDC i Światową Organizacją Zdrowia. Pozwolono mu odwiedzić jedynie grób w Gordi i to tylko

dlatego, że był przedmiotem śledztwa ONZ. Swe próbki ofiar pobrał godzinę po wyjeździe Kaye Lang.

Dicken nigdy przedtem nie spotkał się ze spiskiem mającym ukrywać istnienie choroby.

Cała jego praca mogła okazać się tak ważna, jak potrzebował tego Augustine, lecz groziło jej odstawienie na boczny tor, jeśli nie zmiecie do kosza. Kiedy Dicken był w Europie, na działce będącej własnością CDC trysnęła ropa. Młody naukowiec z Ośrodka Medycznego UCLA, szukający wspólnej cechy siedmiu poronionych płodów, odnalazł nieznaną wirus. Przesłał próbki opłacanym przez CDC epidemiologom z San Francisco, którzy skopiowali i odczytali sekwencję materiału genetycznego wirusa. Otrzymane wyniki natychmiast przekazali Markowi Augustine'owi.

Augustine wezwał Dickena do powrotu.

Rozeszły się już pogłoski o odkryciu pierwszego zakaźnego ludzkiego retrowirusa endogennego, czyli HERV-u. Ukazało się także kilka rozproszonych wiadomości o wirusie powodującym poronienie. Jak dotąd nikt spoza CDC nie powiązał jednego z drugim. W samolocie z Londynu Dicken spędził pracowite pół godziny na buszowaniu w Internecie, odwiedzając główne strony profesjonalne i z doniesieniami, nie znajdując nigdzie szczegółowego opisu odkrycia, ale wszędzie wyczuwając zrozumiałą ciekawość. Nic dziwnego. Ktoś dostanie nagrodę Nobla – i Dicken był gotów postawić pieniądze, że tym kimś będzie Kaye Lang.

Dickena, jako zawodowego łowcę wirusów, od dawna fascynowały HERV-y, genetyczne skamieniałości po dawnych chorobach. Lang po raz pierwszy zwróciła jego uwagę dwa lata wcześniej, gdy ogłosiła trzy artykuły opisujące odcinki ludzkiego genomu, w chromosomie 14 i 17, gdzie można znaleźć składniki potencjalnie pełnego i zakaźnego HERV-u. Najbardziej szczegółowa praca ukazała się w „Virology”:

„Model ekspresji, składania i przekazywania bocznego rozproszonych w chromosomach genów env, pol i gag: zdolne do życia części dawnych retrowirusów u ludzi i małp”.

Charakter i możliwy zasięg przełomu to na razie pilnie strzeżone sekrety, ale kilku wtajemniczonych z CDC wiedziało tyle: retrowirusy znalezione w płodach są identyczne genetycznie z HERV-em będącym częścią ludzkiego genomu od czasu rozejścia się ewolucyjnego małp starego i nowego świata. Ma je każdy człowiek na świecie, lecz nie są już zwykłymi odpadkami genetycznymi bądź zarzuconymi fragmentami. Coś pobudza rozproszone odcinki HERV do ekspresji, a potem do składania kodowanych przez nie białek i RNA w cząstkę zdolną do opuszczania ciała i zakażania innych osób.

Każdy z siedmiu poronionych płodów był poważnie zdeformowany.

Cząstki te powodowały chorobę, przypuszczalnie tę właśnie, którą Dicken śledził od trzech lat. Choroba ta otrzymała już nazwę, używaną na razie tylko wewnątrz CDC: grypa Heroda.

Dzięki mieszance błyskotliwości i szczęścia, charakteryzującej większość najważniejszych karier naukowych, Lang dokładnie ustaliła lokalizację genów, które najpewniej powodowały grypę Heroda. Nie domyślała się jednak na razie, czego dokonała: dostrzegł to w jej oczach w Tbilisi.

Coś jeszcze oprócz tego pociągało Dickena w pracy Kaye Lang. Z mężem pisała artykuły o znaczeniu ewolucyjnym przemieszczających się elementów genetycznych, tak zwanych genów skaczących: transpozonów, retrotranspozonów, a nawet HERV-ów. Elementy przemieszczalne mogą mieć wpływ na to, kiedy, gdzie i jak często geny ulegają ekspresji, powodując mutacje, które ostatecznie zmieniają budowę fizyczną organizmu.

Elementy przemieszczalne, czyli retrogeny, najprawdopodobniej

były kiedyś prekursorami wirusów; niektóre zmutowały i nauczyły się opuszczać komórkę, pokryte ochronnymi kapsydami, czyli płaszczami białkowymi i otoczkami, genetycznymi odpowiednikami skafandrów kosmicznych. Kilka wróciło potem jako retrowirusy, jak synowie marnotrawni; niektóre z nich, po tysiącletniach, zakaziły komórki rozrodcze – jajowe i plemniki lub ich prekursorów – i w jakiś sposób straciły swą moc. One właśnie stały się HERV-ami.

Podczas swych podróży Dicken słyszał z wiarygodnych źródeł na Ukrainie o kobietach rodzących lekko i nie tak lekko odmienne dzieci, o dzieciach niepokalanie poczętych, o całych wsiach unicestwionych i opustoszałych... Wskutek plagi poronień.

Wszystko okazało się plotkami, ale działającymi na wyobraźnię Dickena, a nawet fascynującymi. W swych polowaniach polegał na wyostrzonym instynkcie. Opowieści te współbrzmiały z myślą, która tkwiła w nim od ponad roku.

Może doszło do spisku mutagenów. Może katastrofa w Czarnobylu bądź jakaś inna, która spowodowała promieniowanie w epoce sowieckiej, wyzwoliła retrowirusa endogennego wywołującego gripę Heroda. Dotychczas jednak nie wspomniał nikomu o tej teorii.

W tunelu Midtown wielka ciężarówka pomalowana w wesołe, tańczące krowy zarzuciła i prawie go uderzyła. Wdepnął w hamulce dodge'a. Pisk opon i ominięcie ciężarówki zaledwie o cale wywołały u niego pot na brwiach i oswobodziły cały gniew i zdenerwowanie.

– Pieprz się! – Zawołał do niewidocznego kierowcy. – Następnym razem będę wiozł wirus ebola!

Nie czuł ani odrobiny życzliwości. CDC zyska sławę, może za parę tygodni. Do tego czasu, jeśli wykresy są dokładne, w samych Stanach Zjednoczonych wystąpi sporo ponad pięć tysięcy przypadków grypy Heroda.

A Christophera Dickena najwyżej pochwalą za spełnienie psiego

obowiązku.

Long Island, stan Nowy Jork

Zielono-biały dom stał na szczycie niskiego wzgórza – średniej wielkości, lecz okazały, w stylu kolonialnym z lat czterdziestych XX wieku, otoczony starymi dębami i topolami oraz rododendronami, które zasadziła trzy lata temu. Kaye zadzwoniła z lotniska i odebrała wiadomość od Saula. Był w podległym laboratorium w Filadelfii i miał wrócić wieczorem. Była już siódma i zmierzch nad Long Island cudownie zabarwiał niebo. Kłębiaste chmury odcinały się od nikszej złowieszczej masy szarości. Przez szpaki w dębach było hałaśliwie jak w przedszkolu.

Otworzyła kluczem drzwi, wepchnęła bagaże do środka i wbiła swój kod, aby wyłączyć alarm. W domu czuć było stęchliznę. Stawiała torby, gdy jeden z dwóch jej kotów, pomarańczowy pręgowany imieniem Crickson, wbiegł z salonu do przedpokoju, stukając lekko pazurkami po podłodze z ciepłego drewna tekowego. Kaye podniosła go, podrapała pod brodą, aż zamruczał i miauknął niby chore ciele. Drugiego kota, Temina, nigdzie nie widziała. Pewnie polował na dworze.

Salon ją przygnębił. Wszędzie walały się brudne ubrania. Tekturowe talerze do kuchenki mikrofalowej leżały porozrzucane na stoliku do kawy i orientalnym dywaniku przed kanapą. Książki, gazety i żółte kartki wyrwane ze starej książki telefonicznej zalegały stół. Zapach stęchlizny pochodził z kuchni: zgniłe warzywa, zwiędnięte

filtry do kawy, plastikowe opakowania żywności.

Saulowi dostanie się za to. Jak zwykle po powrocie czeka ją sprzątanie.

Otworzyła drzwi wyjściowe i wszystkie okna.

Usmażyła sobie mały stek i przyrządziła zieloną sałatę polaną sosem z butelki. Otwierając butelkę pinot noir, spostrzegła kopertę leżącą obok ekspresu do kawy na białych płytkach półeczki. Zostawiła wino, aby odetchnęło, i rozerwała kopertę. W środku była pocztówka z kwiatami i wiadomością nabazgraną przez Saula.

Kaye!

Najśodsza Kaye, kochana kochana kochana, tak mi przykro.

Tęskniłem za tobą i to widać w całym domu. Nie sprzątaj. Ściągnę jutro Caddy i zapłacę jej dodatkowo. Odpocznij. Sypialnia jest nieskazitelna. Zadbalem o to.

Zwariowany stary Saul

Kaye złożyła kartkę, prychnęła nieudobruchana i popatrzyła na półeczkę i szafki. Jej wzrok padł na równy stosik starych czasopism i gazet, nie na miejscu na mocnym stole do rąbania mięsa.

Podniosła magazyny. Pod nimi znalazła z tuzin wydruków i kolejną wiadomość. Wyłączyła kuchenkę i przykryła patelnię, aby stek nie ostygł, a potem sięgnęła do stosu i przeczytała pierwszą kartkę.

Kaye, rzuć okiem! Przyjmij to jako przeprosiny. Bardzo ciekawe. Dostałem to z Virionu i zapytałem Ferrisa i Farrakhana Mkebe z UCI, co wiedzą. Nie wszystko mi powiedzieli, ale myślę że to TO, zupełnie jak przewidywaliśmy. Nazwali to SHERVA – Scattered Human Endogenous Retrovirus Activation [Uaktywnienie rozproszonego ludzkiego retrowirusa endogennego]. Jest o nim bardzo mało w Internecie, ale zaczęła się dyskusja.

Z miłością i podziwem – Saul

Kaye nie wiedziała do końca dlaczego, ale zaczęła płakać. Przez

zastonę łez przejrzała kartki, potem odłożyła je na tacę obok steku i sałaty. Była zmęczona i wyczerpana. Zabrała tacę do pokoju, aby jeść i oglądać telewizję.

Saul zbił niezły majątek, gdy sześć lat temu opatentował specjalną odmianę myszy transgenicznej; rok później poznał Kaye i się z nią ożenił; zaraz potem większość pieniędzy wsadził w EcoBacter. Sporo dali również rodzice Kaye, tuż przed swą śmiercią w wypadku samochodowym. Trzydziestu pracowników i pięcioro naukowców zajęło prostokątny, szaroniebieski budynek w parku technologicznym na Long Island, ściana w ścianę z połową tuzina innych spółek biotechnicznych. Park leżał cztery mile od ich domu.

W EcoBacter Kaye miała się zjawić dopiero jutro w południe. Liczyła, że coś zatrzyma Saula, a ona zyska więcej czasu dla siebie, na przemyślenia i przygotowania, ale od samej tej chęci znowu się wkurzyła. Pokręciła głową, zła na buzujące w niej uczucia i kapiącymi, słonymi ustami wypijała wino.

Chciała jedynie, aby Saul był zdrowy, czuł się lepiej. Chciała powrotu męża, człowieka, który zmienił jej zapatrywania na życie – partnera, natchnienia i oparcia w szybko wirującym świecie.

Żując małe kęsy steku, czytała wpisy z grupy dyskusyjnej Virion. Było ich ponad sto, kilka od naukowców, większość od dyletantów i studentów, powtarzających wieści z sieci i snujących domysły.

Kapnęła sosem A-I na resztkę mięsa i zaczerpnęła głęboki wdech.

Sprawa mogła być ważna. Saul miał rację, tak się podniecając.

Było jednak bardzo mało szczegółów i ani słowa o tym, gdzie wykonano pracę, gdzie zostanie opisana i kto puścił o niej parę.

Odnosiła tacę do kuchni, gdy zadzwonił telefon. Robiąc mały piruet na bosej nodze w pończosze, utrzymała tacę w jednej ręce i odebrała połączenie.

– Witaj w domu! – Powiedział Saul. Jego głęboki głos nadal budził

dreszczyk. – Droga podróżniczko Kaye! – Teraz był skruszony. – Chciałbym przeprosić za bałagan. Caddy nie mogła przyjść wczoraj.

Caddy była ich gosposią.

– Miło jest wrócić – odparła Kaye. – Pracujesz?

– Utknąłem tutaj. Nie mogę się wyrwać.

– Brak mi ciebie.

– Nie sprzątaj.

– Nie będę. Najwyżej trochę.

– Przeczytałaś wydruki?

– Tak. Były ukryte na półce.

– Chciałem, abyś przeczytała je rano przy kawie, kiedy jesteś najbystrzejsza. Miałbym chyba do tego czasu dokładniejsze wiadomości. Wrócę jutro o jedenastej. Nie jedź wcześniej do laboratorium.

– Zaczekam na ciebie – powiedziała.

– Wyczuwam zmęczenie w twym głosie. Długi lot?

– Paskudne powietrze – odparła. – Dostałam krwotoku z nosa.

– Biedna Mädchen – rzucił. – Nie martw się. Cieszę się, że już jesteś. Czy Lado...? – Nie dokończył zdania.

– Nie mam pojęcia – skłamała Kaye. – Robiłam, co tylko mogłam.

– Wiem. Wyśpij się dobrze, a ja zajmę się wszystkim. Znosi się na rewelację.

– Słyszałeś coś więcej. Powiedz mi – poprosiła Kaye.

– Jeszcze za wcześnie. Oczekiwanie ma swoje uroki.

– Kaye nie znosiła takich zabaw.

– Saul...

– Jestem nieugięty. Ponadto nie uzyskałem w pełni koniecznego potwierdzenia. Kocham cię. Tęsknię. – Cmoknął na dobranoc i po licznych pożegnaniach jednocześnie, starym nawykiem, przerwali połączenie. Saul lubił rozłączać się ostatni.

Kaye rozejrzała się po kuchni, złapała ścierkę i zaczęła sprzątać. Nie chciała czekać na Caddy. Uzyskawszy zadowolający ją porządek, wzięła prysznic, umyła włosy i owinięta ręcznikiem włożyła ulubioną piżamę ze sztucznego jedwabiu, a potem rozpałała ogień w kominku w sypialni na piętrze. Wreszcie usiadła w pozycji lotosu na skraju łóżka, pozwalając się koić jasnym płomieniem i miękkiej gładkości tkaniny. Na dworze zerwał się wiatr i za koronkowymi firankami dostrzegła pojedynczą błyskawicę. Pogoda się psuła.

Weszła do łóżka i naciągnęła kołdrę pod brodę.

– Przynajmniej już się nad sobą nie użalam – powiedziała pewnym głosem. Crickson dołączył do niej, ciągnąc po łóżku puszysty, pomarańczowy ogon. Wskoczył też Temin, bardziej dumny, choć trochę mokry. Pozwolił się łaskawie wytrzeć ręcznikiem.

Po raz pierwszy od Kazbeku poczuła się bezpieczna i zrównowazona. Biedna dziewczynka, pożałowała sobie. Czeka na powrót męża. Czeka na powrót prawdziwego męża.

Nowy Jork

Mark Augustine stał przed oknem małego pokoju hotelowego, trzymając na lepszy sen bourbon z wodą i lodem i słuchając sprawozdania Dickena. Augustine był krępy i mocno zbudowany, o miłych, brązowych oczach, mocno osadzonej głowie ze skupionymi na środku szpakowatymi włosami, małym, lecz sterczącym nosie i wydatnych ustach. Cerę miał trwale ogorzałą od lat spędzonych w Afryce Równikowej i w Atlancie, głos łagodny i melodyjny. Był twardy i przedsiębiorczy, zręcznie się obracał w świecie polityki, jak przystoi dyrektorowi, i wielu w CDC uważało, że szykuje się go na następnego naczelnego lekarza kraju.

Gdy Dicken skończył, Augustine odstawił drinka.

– Bar-r-r-r-dzo ciekawe – powiedział głosem Artiego Johnsona. – Wspaniała praca, Christopherze.

Christopher uśmiechnął się, lecz czekał na dłuższą ocenę.

– W większości jest to zgodne z tym, co wiemy. Rozmawiałem z naczelną lekarz – ciągnął Augustine. – Uważa, że powinniśmy powiadamiać o sprawie małymi kroczkami i już niedługo. Zgadzam się z nią. Najpierw pozwolimy uczonym mieć swą uciechę, niech dodadzą odrobinę romantyzmu. Rozumiesz, sami maleńcy najeżdźcy z wnętrza naszych ciał to furda, nic ciekawego, a nie wiemy jeszcze, co potrafią. Takie buty. Doel i Davison z Kalifornii mogą ogłosić zarys swego odkrycia i nas uprzedzić. Zapracowali na to. Na pewno zasługują na odrobinę chwały. – Augustine podniósł znowu szklaneczkę whisky

i zakolebał nią z cichym stukotem kostek lodu. – Czy doktor Mahy powiedział, kiedy zanalizują twoje próbki?

– Nie – odparł Dicken.

Augustine uśmiechnął się współczująco.

– Może powinieneś pojechać z nimi do Atlanty.

– Wolałbym, aby przylecieli tutaj i wzięli się do pracy – powiedział Dicken.

– W czwartek jadę do Waszyngtonu – zapowiedział Augustine. – Mam pomóc naczelnemu lekarzowi w Kongresie. NIH powinien tam być. Nie zadzwoniliśmy jeszcze do sekretariatu HHS. Zabieram cię z sobą. Powiem Francis i Jonowi, aby jutro rano zapowiedzieli swą konferencję prasową. Odbędzie się za tydzień.

Dicken podziwiał go z prywatnym, lekko ironicznym uśmiechem. HHS – Health and Human Services – to Departament Zdrowia i Opieki Społecznej, nadzorujący pracę NIH, czyli National Institutes of Health, agencji rządowej zajmującej się badaniami biomedycznymi, oraz CDC – Centers for Disease Control and Prevention, kolejnej agencji rządowej z siedzibą w Atlancie w stanie Georgia, której celem jest zapobieganie i zwalczanie chorób.

– Dobrze naoliwiona maszyna – powiedział.

Augustine uznał to za komplement.

– Ciągłe tkwimy po uszy w szambie. Rozjusziliśmy Kongres naszym stanowiskiem w sprawie tytoniu i broni palnej. Ci dranie z Waszyngtonu uznali nas za wielki, gruby cel. Obcięli nam fundusze o jedną trzecią, aby pokryć koszty nowej obniżki podatków. Teraz pojawia się wielka afera i to nie pochodząca z Afryki czy z dżungli. Nie ma nic wspólnego z naszym małym gwałtem na Matce Naturze. To cholera, i wyszło ze środka naszych błogosławionych ciał. – Uśmiech Augustine'a nabrał wilczego charakteru. – Włosy mi się jeżą, Christopherze. To dar niebios! Musimy pokazać go z wycuciem

chwili i dramatyzmu. Jeśli nie zrobimy tego jak należy, naprawdę zawisnie nad nami groźba, że nikt w Waszyngtonie się nie przejmie, dopóki nie stracimy całego pokolenia niemowląt.

Dicken zastanawiał się, jak może wskoczyć do tego pędzącego pociągu. Musi w jakiś sposób zebrać owoce swej pracy polowej, tylu lat szukania chimer.

– Rozwazałem kwestię mutacji – powiedział z zaschniętymi ustami. Przedstawił zasłyszane na Ukrainie opowieści o zmutowanych niemowlętach i zarys swej teorii o wywołanym promieniowaniem uwolnieniu HERV.

Augustine zmrużył oczy i pokręcił głową.

– Wiemy o uszkodzeniach płodów w Czarnobylu. To nic nowego – szepnął. – Tu jednak nie było promieniowania. Nic się nie klei, Christopherze. – Otworzył okno pokoju i szmer ruchu ulicznego dziesięć pięter niżej zabrzmiał głośniejsz. Wiatr zakołysał białymi zasłonami.

Dicken walczył, próbując wzmacniać swe argumenty i mając przy tym świadomość, że jego dowody są żałośnie wątk.

– Istnieje silne prawdopodobieństwo, że herod powoduje nie tylko poronienia. Pojawiał się przypuszczalnie w dość izolowanych populacjach. Działa co najmniej od lat sześćdziesiątych. Odpowiedź polityczna bywała często skrajna. Nikt nie startłby z ziemi całej wsi ani nie zabijał dziesiątkami matek, ojców i ich nienarodzonych dzieci, gdyby chodziło tylko o miejscowe plotki o poronieniach.

Augustine wzruszył ramionami.

– Zbyt mgliste – powiedział, patrząc na ulicę w dole.

– Wystarczające, aby wszcząć śledztwo – podsunął decyzję Dicken.

Augustine zmarszczył brwi.

– Mówimy o pustych łonach, Christopherze – stwierdził spokojnie.

– Musimy zagrać naprawdę przerażającą kartą, a nie plotkami

i science fiction.

Long Island, stan Nowy Jork

Kaye usłyszała kroki na schodach, usiadła w łóżku i zdążyła odgarnąć włosy z oczu, zanim zobaczyła Saula. Wszedł do sypialni na paluszkach, po dywanowym bieżniku, niosąc paczuszkę owiniętą w czerwoną folię i wstążkę, trzymając bukiet róż i wstrzymując oddech. – Psiakrew – powiedział, widząc, że się obudziła. Szerokim gestem odsunął róże na bok i pochylił się nad łóżkiem, aby pocałować żonę. Jego usta były otwarte i lekko wilgotne, ale nie agresywne. Oznaczało to u niego, że jej potrzeby są ważniejsze, ale i on jest zainteresowany i to bardzo. – Witaj w domu. Tęskniłem za tobą, Mädchen.

– Dziękuję. Dobrze być tutaj.

Saul usiadł na skraju łóżka, patrząc na róże.

– Mam dobry humor. Moja pani jest w domu. – Uśmiechnął się szeroko i położył obok niej, podciągając nogi i opierając na pościeli stopy w skarpetkach. Kaye czuła zapach róż, mocny i słodki, niemal za silny jak na wczesny ranek. Podał je wraz z upominkiem. – Dla mojej błyskotliwej przyjaciółki.

Kaye usiadła, a Saul przeniósł jej poduszkę na zagłówek łóżka.

Widok męża w dobrej formie podziałał na nią jak zwykle: napawał nadzieją i radością z bycia w domu i zbliżenia się odrobinę do czegoś ważnego. Objęła go niezdarnie, składając ręce na karku.

– Och – powiedział Saul. – Teraz otwórz pudełko.

Uniosła brwi, zacisnęła usta i pociągnęła wstążkę.

– Czym na to zasłużyłam? – Zapytała.

– Nigdy tak naprawdę nie rozumiałaś, jaka jesteś cenna i wspinała

– odparł Saul. – Może właśnie za to cię kocham. Może wróciłaś akurat na specjalną okazję. Albo... Może czcimy coś innego.

– Co?

– Otwórz.

Coraz bardziej uświadamiała sobie, że nie było jej całe tygodnie. Zerwała czerwoną folię i powoli pocałowała jego dłoń z oczyma wpatrzonymi w twarz. Potem spuściła wzrok, na pudełko.

Wewnątrz był duży medal ze znanym popiersiem sławnego wytwórcy amunicji. Nagroda Nobla – zrobiona z czekolady.

Kaye zaśmiała się głośno.

– Gdzie... Gdzie to dostałaś?

Stan pożyczyl mi swój i zrobiłem odcisk – wyjaśnił Saul.

– I nie zamierzasz mi powiedzieć, co się dzieje? – Zapytała Kaye, muskając palcem jego udo.

– Dopiero potem – odparł Saul. Odłożył róże, zdjął sweter, a ona rozpięła mu koszulę.

Zastony nadal były zaciągnięte, a pokój nie otrzymał jeszcze swej porcji porannego słońca. Leżeli na łóżku wśród zmiętych prześcieradeł, koców i kołdry. Kaye dostrzegła w nich góry i powiodła palcem ku sterczącemu szczytowi. Saul wygiął plecy z cichymi chrzęstem chrząstek i kilka razy wciągnął głęboko powietrze.

– Jestem bez formy – powiedział. – Staję się biurkokrata. Muszę więcej wyciskać w laboratorium.

Kaye wysunęła kciuk i palec wskazujący, oddalone o cal, rytmicznie zbliżając je do siebie i oddalając.

– Wyciskać pipetę – zażartowała.

– Prawy mózg, lewy mózg – dołączył Saul, łapiąc się za skronie

i kiwając głową z boku na bok. – Musiałaś trzy tygodnie przeglądać żarty w Internecie, aby trafić na ten.

– Przyłapałeś mnie – powiedziała.

– Śniadanie! – Zawołał Saul, wysuwając nogi z łóżka. – Na dole, świeże, czekające na odgrzanie.

Kaye poszła za nim w szlafroku. Saul wrócił, próbowała przekonać samą siebie. Mój dobry Saul wrócił.

Zatrzymał się po drodze przy miejscowym sklepie spożywczym, kupił croissanty z szynką i serem. Na stoliku tylnej werandy, między kubkami z kawą i sokiem pomarańczowym, rozstawił talerze. Słońce świeciło jasno, powietrze było rześkie po burzy, przyjemnie ciepłe. Zapowiadał się śliczny dzień.

Każda godzina z dobrym Saulem sprawiała, że pragnienie gór bladeło w Kaye niby dziewczęce nadzieje. Nie musiała uciekać.

Saul pytał, co się działo w EcoBacter, o wyjeździe do Kalifornii i Utah, a potem do Filadelfii na spotkania z klientami i współpracującymi laboratoriami. – Mamy cztery dalsze badania przedkliniczne zlecone przez naszego opiekuna w FDA – powiedział sardonicznie. – Przynajmniej pokazaliśmy im, że potrafimy łączyć antagonistyczne bakterie rywalizujące o pożywkę i zmuszać je do wytwarzania broni chemicznej. Wykazaliśmy, że umiemy izolować bakteriocyny, oczyszczać je i otrzymywać hurtowo w postaci zneutralizowanej, a potem aktywować. Bezpieczne w szczurach, bezpieczne w chomikach i kockodanach tumbili, skuteczne na odporne szczepy trzech paskudnych patogenów. Tak wyprzedziliśmy Merck i Aventis, że nie mogą nawet pluć nam na tyłki.

Bakteriocyny to substancje chemiczne produkowane przez bakterie i mogące zabijać inne bakterie. Stanowią obiecującą nową broń w szybko się kurczącym arsenale antybiotyków.

Kaye słuchała chętnie. Nie przekazał jej jeszcze zapowiedzianych

wieści; na swój sposób budował napięcie, rozkoszując się swą słodką chwilą. Kaye знаła zasady i nie dawała mu satysfakcji okazywaniem zniecierpliwienia.

– Jeśli to za mało – ciągnął z błyszczącymi oczyma – to według Mkebe jesteśmy blisko znalezienia sposobu na przejęcie pełni władzy, kontroli i sieci komunikacyjnej w *Staphylococcus aureus*. Zaatakujemy małe gnojki z trzech różnych stron jednocześnie. Bum! – Odsunął swe wymowne ręce i uściśnął siebie jak zadowolony chłopczyk.

Potem jego nastrój się zmienił.

– A teraz – powiedział z nagle stężałą twarzą – powiedz szczerze o Lado i Eliawie.

Kaye przez chwilę patrzyła nań z mocą, która niemal zamazała jej wzrok. Potem spuściła oczy i przyznała:

– Myślę, że postanowili wybrać kogoś innego.

– Pan Bristol-Myers Squibb – wycedził Saul, po czym machnął niedbale ręką. – Skostniałe korporacje przeciwko młodej, nowej krwi. Tak się mylą! – Patrzył za podwórko na cieśninę, zerkając na kilka żaglówek, w lekkiej bryzie porannej przecinających drobne fale. Potem dopił sok pomarańczowy i głośno cmoknął. Lekko wiercił się na krześle, pochylony, wbił w żonę głębokie, szare oczy i zamknął jej dłonie w swoich.

Teraz, pomyślała Kaye.

– Pożaluj. Za kilka miesięcy będziemy bardzo zajęci. CDC dziś rano wypuściło wiadomość. Potwierdziło istnienie pierwszego zdolnego do życia ludzkiego retrowirusa endogennego. Przypuszcza, że może być przenoszony poziomo między osobami. Nazwali go Scattered Human Endogenous Retrovirus Activation, czyli Uaktywnienie Rozproszonego Ludzkiego Retrowirusa Endogennego, w skrócie SHERVA. Dla większego efektu opuścili R. Zostaje SHEVA,

prawie jak imię boga Siwa. Dobra nazwa dla wirusa, nie sądzisz?

Kaye próbowała czytać z jego twarzy.

– To nie żart? – Spytała niepewnym głosem. – Jest potwierdzenie?

Saul uśmiechnął się i wyciągnął ramiona jak Mojżesz.

– Oczywiście. Nauka wkracza do Ziemi Obiecanej.

– Co to? Jakie jest duże?

– Retrowirus, prawdziwy potwór, osiemdziesiąt dwa kilopar zasad, trzydzieści genów. Składniki gag i pol są w chromosomie 14, a env w 17. CDC twierdzi, że może być łagodnym patogenem, na który ludzie nie są odporni, albo tylko trochę, więc od bardzo dawna tkwi w uśpieniu.

Położył rękę na niej dłoni i lekko ścisnął.

– Przewidziałaś to, Kaye. Opisałaś geny. Twój pierwszy kandydat, złamany HERV-DL 3, jest jednym z ich celów, i wymieniają twoje nazwisko! Powołują się na twoje artykuły.

– Rany – powiedziała Kaye, blednąc. Pochyliła się nad talerzem, krew pulsowała jej w głowie.

– Dobrze się czujesz?

– Dobrze – odparła, czując zawroty głowy.

– Cieszymy się prywatnością, dopóki możemy – powiedział Saul triumfująco. – Zadzwoń wszystkich dziennikarzy naukowców. Daję im dwie minuty na zajrzenie do Rolodexes i przeszukanie MedLine. Będziesz w telewizji, CNN, Good Morning America.

Kaye po prostu nie mogła uwierzyć w ten ciąg wydarzeń.

– Jaką chorobę powoduje? – Zdołała zapytać.

– Nikt chyba nie wie na pewno.

W umyśle Kaye kłębiły się możliwości. Jeśli zadzwoni do instytutu Lado, powie Tamarze i Zamfirze – może zmienią zdanie, wybiorą EcoBacter. Saul zostanie dobrym Saulem, radosnym i twórczym.

– Boże, wybiło niezłe szambo – powiedziała, nadal czując lekkie

zamroczenie. Uniosła palce, la di da.

– To ty wybiłaś w górę, kochana. Twoja praca, a nie żadne szambo.

W kuchni zadzwonił telefon.

– To ze Szwedzkiej Akademii – powiedział Saul, z powagą kiwając głową. Podał medal, a Kaye odgryzła kawałek.

– Pycha! – Rzuciła radośnie i poszła odebrać.

Innsbruck, Austria

Szpital dał Mitchowi izolatkę, okazując szacunek dla jego świeżej sławy. Chętnie rozstał się z alpinistami, ale tamtym nie chodziło wcale o to, co czuje czy myśli. W ostatnich dwóch dniach ogarnęła go całkowita tępota uczuciowa. Pojawienie się jego twarzy w wiadomościach telewizyjnych, w BBC i Sky World, na stronach miejscowych gazet, dowiodło tego, co już wiedział: to koniec. Już po nim.

Według prasy zuryskiej był „Jedynym ocalałym z górskiej wyprawy rabusiów ciała”. W monachijskiej „Kidnaperem starożytnego dziecka z lodu”. W Innsbrucku nazwano go po prostu „Naukowiec – złodziej”. Wszystkie gazety zamieściły jego niedorzeczną opowieść o mumiach neandertalskich, uprzejmie dostarczoną przez policję w Innsbrucku. Wszystkie wspominały o kradzieży „Kości Indian amerykańskich” dokonanej przezeń w „Północno-zachodniej części Stanów Zjednoczonych”.

Przedstawiany był powszechnie jako amerykański świr, bez fartu, rozpaczliwie poszukujący sławy.

Dziecko Lodu przekazano do Uniwersytetu w Innsbrucku, gdzie badał je zespół, na którego czele stał Herr Doktor Professor Emiliano Luria. Sam Luria przyszedł pod wieczór, aby porozmawiać z Mitchem o znalezisku.

Dopóki Mitch posiadał pożądane wiadomości, brał udział w grze – był nadal kimś w rodzaju naukowca, badacza, antropologa. Kimś

lepszym od byle złodzieja. Gdy przestanie być przydatny, wpadnie w jeszcze głębszą, ciemniejszą otchłań.

Gapił się bezmyślnie w ścianę, gdy starsza wolontariuszka wjechała z wózkiem do pokoju, przywożąc obiad. Była miłą, malutką kobietą, mającą jakieś pięć stóp wzrostu, około siedemdziesiątki, o twarzy pomarszczonej niby suszone jabłko, mówiła szybko po niemiecku z miękkim, wiedeńskim akcentem. Mitch niewiele rozumiał z jej słów.

Wolontariuszka rozwinęła serwetkę i zawiązała mu na szlafroku. Zaciśnęła usta i pochyliła się, aby go obejrzeć.

– Jedz – poleciła. Skrzywiła się i dodała: – Paskudny młody Amerykanin, nein?. Nieważne, kim jesteś. Jedz, bo zachorujesz.

Mitch wziął plastikowy widelec, zasalutował jej nim i zaczął nabierać z tacki kurczaka i puree ziemniaczane. Gdy staruszka wychodziła, włączyła telewizor na ścianie naprzeciw łóżka.

– Za spokojnie – powiedziała i machnęła do niego ręką, z oddali klepiąc karcąco po policzku. Potem wypchnęła wózek za drzwi.

Telewizor był nastawiony na Sky News. Najpierw leciał materiał o ostatecznym i przez lata odwlekanym zniszczeniu dużego satelity wojskowego. Widowiskowa transmisja z Sachalinu ukazała końcowe chwile jego spalania się w atmosferze. Mitch wpatrywał się w obrazy wirującej, sypiącej iskrami kuli ognia. Przeszarpały, bezużyteczny, spada w płomieniach...

Chwycił za pilota i miał już wyłączyć telewizor, kiedy pojawiło się zdjęcie młodej, ładnej kobiety o krótkich, brązowych włosach, długiej grzywce i wielkich oczach, ilustrujące wiadomość o ważnym odkryciu biologicznym dokonany w Stanach Zjednoczonych.

– Ludzki prowirus, przez miliony lat ukrywający się niby pasażer na gapę w naszym DNA, powiązany z nowym szczepem grypy atakującym tylko kobiety – zaczął spiker. – Biolog molekularny, doktor Kaye Lang z Long Island w stanie Nowy Jork, miała

przewidzieć istnienie tego niewiarygodnego intruza z przeszłości rodzaju ludzkiego. Michael Hertz jest teraz na Long Island.

Hertz z należytą powagą i szacunkiem rozmawiał z młodą kobietą przed wielkim, ładnym domem pomalowanym na zielono i biało. Lang wydawała się nie ufać kamerze.

– Dowiadujemy się z Centers for Disease Control and Prevention, a teraz także z National Institutes of Health, że ową nową odmianę grypy rozpoznano na pewno w San Francisco i Chicago, a trwa jej rozpoznanie w Los Angeles. Czy pani zdaniem może dojść do epidemii światowej, której obawiamy się od roku 1918?

Lang patrzyła nerwowo do kamery.

– Przede wszystkim, tak naprawdę to nie jest grypa. Wirus nie przypomina żadnego wirusa grypy, a w istocie żadnego wirusa wiązanego z przeziębieniem czy podobnymi chorobami... Nie przypomina ich. Po pierwsze, wydaje się powodować objawy tylko u kobiet.

– Czy mogłaby nam pani opisać ten nowy, czy raczej bardzo stary wirus? – Poprosił Hertz.

– Jest duży, ma około osiemdziesięciu kilopar zasad, to znaczy...

– Jakiej dokładnie objawy powoduje?

– To retrowirus, wirus namnażający się przez transkrypcję RNA swego materiału genetycznego w DNA, a następnie umieszcza go w DNA komórki gospodarza. Jak HIV. Wydaje się ograniczać tylko do ludzi...

Reporter uniósł brwi.

– Czy jest równie niebezpieczny jak wirus AIDS?

– Nie wiem nic o tym, aby był niebezpieczny. Nasze DNA przenosi go od milionów lat; przynajmniej pod tym względem różni się całkowicie od retrowirusa HIV.

– Skąd oglądające nas panie mają wiedzieć, czy złapały tę grypę?

– Objawy opisało CDC, nie wiem nic ponad to, co ogłosiło. Lekka gorączka, drapanie w gardle, kaszel.

– Może się to odnosić do stu różnych wirusów.

– Racja – powiedziała Lang i się uśmiechnęła. Mitch z ostrym dreszczem wpatrywał się w jej twarz, uśmiech. – Radzę śledzić wiadomości.

– Skąd więc takie znaczenie tego wirusa, skoro nie zabija, a objawy są mało poważne?

– To pierwszy aktywny HERV – ludzki retrowirus endogenny – pierwszy, który opuścił chromosomy ludzkie i jest przekazywany poziomo.

– Co to znaczy „przekazywany poziomo”?

– Jest zaraźliwy. Może się przenosić od człowieka do człowieka. Przez miliony lat był przekazywany pionowo – przechodził z genami rodziców na dzieci.

– Czy w naszych komórkach istnieją inne stare wirusy?

– Według ostatnich szacunków nawet jedna trzecia naszego genomu może się składać z retrowirusów endogennych. Czasami tworzą w komórkach cząsteczki, jakby próbowały się wyrwać, ale żadna z nich nie działała – aż dotąd.

– Czy można bezpiecznie stwierdzić, że owe resztki wirusów zostały dawno temu porozrywane lub potraciły swe kły?

– Sprawa jest bardziej złożona, ale można tak powiedzieć.

– Jak się dostały do naszych genów?

– W jakimś momencie naszej przeszłości retrowirus zaraził komórki rozrodcze, takie jak jajowa czy plemnik. Nie wiemy, jakie objawy chorobowe mógł wtedy powodować. Z czasem w jakiś sposób prowirus, czyli ukryty w naszym DNA projekt wirusa, został rozbity, zmutował albo po prostu został wyłączony. Owe odcinki DNA retrowirusowego dzisiaj zapewne są jedynie odpadkami. Trzy lata

temu uznałam jednak, że fragmenty prowirusa w różnych chromosomach człowieka mogą spowodować utworzenie wszystkich części czynnego retrowirusa. Wszystkie niezbędne białka i odcinki RNA pływające wewnątrz komórki mogą się połączyć w pełną i zaraźliwą cząsteczkę.

– I tak się właśnie stało. Nauka teoretyczna, wyprzedzająca dzielnie rzeczywistość...

Mitch ledwo słyszał słowa reportera, skupiając się na oczach Lang: wielkich, ciągle czujnych, ale niczego nie przegapiających. Bardzo śmiałe. Oczy ocalałego z katastrofy.

Wyłączył telewizję i opadł na łóżko, aby zasnąć, zapomnieć. Noga bolała go pod długim gipsem.

Kaye Lang była blisko zdobycia brązowego medalu, zwyciężając jedną rundę meczu naukowego. Mitchowi wręczono zaś prawdziwy złoty medal... I złapał go niezgrabnie, upuścił na lód, stracił na zawsze.

Godzinę później obudziło go władcze pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedział i odchrząknął.

Pielęgniarszowi w wykrochmalonym zielonym fartuchu towarzyszyli trzej mężczyźni i kobieta, wszyscy bardzo dojrzały, wszyscy statecznie ubrani. Po wejściu rozejrzeli się po pokoju, jakby szukając możliwych dróg ucieczki. Najniższy z trójki mężczyzn wystąpił i przedstawił się. Wyciągnął rękę.

– Emiliano Luria z Instytutu Badań nad Człowiekiem – powiedział.

– To moi koledzy z Uniwersytetu w Innsbrucku. Herr Professor Friedrich Brock...

Nazwiska te Mitch zapomniał niemal od razu. Pielęgniarsz przyniósł z korytarza dwa dodatkowe krzesła, a potem stanął w drzwiach jak na warcie, zakładając ręce i zadzierając nosa niby strażnik przed pałacem.

Luria przekręcił krzesło tyłem do przodu i usiadł. Grube, okrągłe szkła jego okularów lśniły w szarym świetle wpadającym przez

zasłonięte okna. Utkwił wzrok w Mitchu, chrząknął lekko i spojrzał na pielęgniarza.

– Poradzimy sobie sami – powiedział. – Proszę iść. Nie chcemy żadnych wiadomości sprzedanych gazetom ani żadnych cholernych polowań na ciała w lodowcach!

Pielęgniarz uprzejmie kiwnął głową i opuścił pokój.

Luria poprosił teraz kobietę, szczupłą i w średnim wieku, o surowej, silnej twarzy i gęstych siwych włosach spiętych w kok, aby sprawdziła, czy pielęgniarz nie podsłuchuje. Stała przy drzwiach i wyjrzała.

– Inspektor Haas z Wiednia zapewnił mnie, że już się nie zajmują tą sprawą – oznajmił Mitchowi po dopełnieniu tych formalności Luria. – Wszystko zostanie między panem i nami, będę też współpracował z Włochami i Szwajcarami, jeśli pojawi się konieczność przekroczenia granic. – Wyjął z kieszeni dużą, złożoną mapę, a doktor Block, Brock, czy jak tam się nazywał, podał pudło z wieloma albumami zdjęć Alp.

– No, młody człowieku – powiedział Luria. Oczy miał rozmazane za grubymi soczewkami. – Proszę nam pomóc naprawić szkody, jakie wyrządził pan tkaninie nauki. Góry, w których pana znaleziono, są nam znane. Zaledwie jedno pasmo dalej odkryto prawdziwego Człowieka Lodu. Przez tysiące lat wędrowano tymi górami, może szlakiem handlowym, a może ścieżkami myśliwych.

– Nie sądzę, aby byli na szlaku handlowym – odparł Mitch.

– Moim zdaniem uciekali.

Luria zajrzał do notatek. Kobieta zbliżyła się do łóżka.

– Para dorosłych, w bardzo dobrym stanie, ale kobieta z jakąś raną w brzuchu.

– Pchnięcie włócznią – powiedział Mitch. W pokoju na chwilę zapadło milczenie.

– Wykonałem parę rozmów telefonicznych i porozmawiałem

z ludźmi, którzy pana znają. Dowiedziałem się, że pański ojciec przyjeżdża tutaj, aby zabrać pana ze szpitala, mówiłem też z pańską matką...

– Proszę przejść do rzeczy, panie profesorze – poprosił Mitch.

Luria uniósł brwi i przejrzał papiery.

– Dowiedziałem się, że był pan bardzo dobrym naukowcem, sumiennym, ekspertem w organizowaniu i prowadzeniu żmudnych wykopalisk. Znalazł pan szkielet tak zwanego człowieka z Pasco. Kiedy zaprotestowali rodzimi Amerykanie i uznali człowieka z Pasco za jednego ze swoich przodków, usunął pan kości z miejsca odkrycia.

– Aby je chronić. Woda wymyła je z łachy, były na brzegu rzeki. Indianie chcieli je ponownie pochować. Te kości są zbyt cenne dla nauki. Nie mogłem na to pozwolić.

Luria się pochylił.

– Człowiek z Pasco zmarł od rany w udo zadanej zakażoną włócznie, tak mi się zdaje?

– To możliwe – powiedział Mitch.

– Ma pan nosa do dawnych tragedii. – Luria podrapał się palcem w ucho.

– Życie było wtedy bardzo ciężkie.

Luria przytaknął.

– Tu, w Europie, gdy znajdujemy szkielet, nie napotykamy na takie kłopoty. – Uśmiechnął się do kolegów. – Nie mamy szacunku dla zmarłych – wykopujemy ich, pokazujemy na wystawach, ściągamy od turystów pieniądze za ich oglądanie. Nie musi to więc być dla nas wielką plamą na pańskim honorze, choć spowodowało, że zerwał pan związki ze swoim instytutem.

– Poprawność polityczna – powiedział Mitch, starając się usunąć gorycz ze swego głosu.

– Możliwe. Chciałbym wysłuchać kogoś z pańskim

doświadczeniem, ale niestety, doktorze Rafelson, pańska opowieść jest bardzo mało prawdopodobna. – Luria wycelował piórem w Mitcha.

– Co w niej jest kłamstwem, a co prawdą?

– Czemu miałbym kłamać? – Spytał Mitch. – Moje życie i tak poszło już w diabły.

– Może aby przetrwać w nauce? Nie zrywać tak szybko z panią antropologią.

Mitch uśmiechnął się smętnie.

– Może i bym się do tego posunął – powiedział. – Ale nie wymyśliłbym opowieści aż tak zwariowanej. Mężczyzna i kobieta w jaskini mają wyraźne cechy neandertalskie.

– Na jakich przesłankach opiera pan swe rozpoznanie? – Zapytał Brock, po raz pierwszy włączając się do rozmowy.

– Doktor Brock jest specjalistą od neandertalczyków – wytłumaczył Luria z szacunkiem.

Mitch powoli i starannie opisał ciała. Mógłby zamknąć oczy i widziałby je równie wyraźnie, jakby unosiły się tuż nad łóżkiem.

– Jest pan świadom, że poszczególni badacze stosują odmienne kryteria przy opisywaniu tak zwanych neandertalczyków – powiedział Brock. – Wcześni, późni, pośredni, z różnych obszarów, smukli lub krępi, być może różne grupy rasowe tworzące podgatunki. Niekiedy różnice są typu, który może zmylić obserwatora.

– To nie Homo sapiens sapiens. – Mitch popił wodę ze szklanki, proponując też nalanie jej innym. Luria i kobieta przyjęli poczęstunek. Brock pokręcił głową.

– Cóż, gdybyśmy ich znaleźli, dość łatwo byśmy to rozstrzygnęli. Ciekaw jestem, jak datuje pan ewolucję człowieka...

– Nie jestem dogmatyczny – odparł Mitch.

Luria pokiwał głową – comme ci, comme ça – i przewrócił kilka stron notatek.

– Claro, podaj mi proszę tę największą książkę. Zaznaczyłem kilka zdjęć i map miejsc, w których mógł pan być, zanim go znaleziono. Czy coś z tego wydaje się panu znajome?

Mitch wziął książkę i niezdarnie położył sobie otwartą na kolanach. Ilustracje były wyraźne, ostre, piękne. Większość fotografii wykonano w pełnym świetle dziennym przy błękitnym niebie. Przejrzał zaznaczone strony i pokręcił głową.

– Nie widzę zamrożonego wodospadu.

– Żaden przewodnik nie zna zamrożonego wodospadu w pobliżu seraku, a nawet wzdłuż głównej masy lodowca. Może jest pan w stanie podać inną wskazówkę...

Mitch pokręcił głową.

– Podałbym, gdybym mógł, panie profesorze.

Luria zdecydowanym ruchem złożył papiery.

– Myślę, że jest pan szczerym młodzieńcem, może nawet dobrym naukowcem. Powiem coś, jeśli nie pójdzie pan z tym do gazet ani telewizji. Zgoda?

– Nie mam powodów, aby z nimi rozmawiać.

– Niemowlę urodziło się martwe lub poważnie uszkodzone. Potylica jest złamana, może ktoś uderzył ją kijem utwardzonym w ogniu.

Ją. Noworodek to dziewczynka. Z jakiegoś powodu mocno wstrząsnęło to Mitchem. Znowu pociągnął łyk wody. Wszystkie emocje związane z jego obecną sytuacją, śmierć Tilde i Franca... Smutny koniec tej pradawnej historii. Do oczu napłynęły mu łzy, grożąc wylaniem się na zewnątrz.

– Przepraszam – powiedział i wytarł wilgoć rękawem szlafroka.

Luria przyglądał mu się ze współczuciem.

– Uwiarygodnia to trochę pańską opowieść, chyba? Ale... – Profesor uniósł rękę, wskazał sufit, pokiwał lekko głową i stwierdził: – Nadal

trudno w nią uwierzyć.

– Niemowlę niemal na pewno nie jest Homo sapiens neandertalensis – powiedział Brock. – Ma ciekawe cechy, ale w każdym szczególe jest współczesne. Choć niezbyt europejskie. Bardziej anatolijskie, a nawet tureckie, ale to na razie tylko domysł. I nie znam tak nowych okazów tego rodzaju. Byłoby to niewiarygodne.

– Musiało mi się przywidzieć – stwierdził Mitch, odwracając wzrok.

Luria wzruszył ramionami.

– Kiedy poczuje się pan dobrze, czy zechce pójść z nami na lodowiec, samemu poszukać jaskini?

Mitch nie wahał się ani chwili.

– Oczywiście – powiedział.

– Spróbuję to załatwić. Teraz jednak... – Luria popatrzył na nogę Mitcha.

– Co najmniej cztery miesiące – wyjaśnił ten.

– Za cztery miesiące nie będzie dobrej pory na wspinaczkę.

– A zatem późna wiosna przyszłego roku. – Luria wstał, a kobieta, Clara, zabrała szklanekę jego i swoją, odstawiła je na tacę Mitcha.

– Dziękuję – powiedział Brock. – Mam nadzieję, że ma pan rację, doktorze Rafelson. Byłoby to cudowne znalezisko.

Przed wyjściem ukłonili się lekko, uprzejmie.

Centers for Disease Control and Prevention, Atlanta Wrzesień

– Dziewice nie łapią naszej grypy – powiedział Dicken, podnosząc wzrok znad papierów i wykresów zalegających na jego biurku. – To chcecie mi oznajmić? – Uniósł czarne brwi, aż jego szerokie czoło wyglądało jak tarka, pomarszczone wątpliwościami. Jane Salter pochyliła się, aby raz jeszcze nerwowo poprawić dokumenty, rozkładając je na biurku Dickena z troskliwą nieodwracalnością. Szelest ożywił betonowe ściany jego pokoju w piwnicach.

Wiele gabinetów na dolnych piętrach Budynku nr 1 w Centers for Disease Control and Prevention przebudowano z laboratoriów pracujących nad zwierzętami i pomieszczeń z klatkami. Wzdłuż ścian pozostały betonowe rynny. Dicken miał czasami wrażenie, że nadal czuje smród środków odkażających i małych odchodów.

– To najbardziej zaskakujący wniosek, jaki mogę wyciągnąć z danych – potwierdziła Salter. Była jednym z najlepszych statystyków, jakich mieli, specjalistką od najróżniejszych komputerów, które wykonują większość prac związanych z poszukiwaniem, modelowaniem i przechowywaniem danych. – Czasami łapią ją mężczyźni, a przynajmniej testy to potwierdzają, ale nie mają objawów. Są nosicielami zakażającymi kobiety, ale nie

innych mężczyzn. I... – Zabębniła palcami na blacie biurka. – Nie możemy znaleźć tego, kto mógł ich zakazić.

– A zatem SHEVA jest specjalistką – powiedział Dicken, kręcąc głową. – Skąd u licha to wiemy?

– Spójrz na przypis, Christopherze, i komentarz: „Kobiety w stałych związkach z partnerami albo mające rozległe doświadczenie seksualne”.

– Ile przypadków znamy dotychczas – pięć tysięcy?

– Sześć tysięcy dwieście kobiet i jedynie sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu mężczyzn, wyłącznie partnerów zakażonych kobiet. Jedynie ciągłe i powtarzające się ryzyko kontaktu przenosi retrowirusa.

– To nie takie głupie – powiedział Dicken. – Czyli jednak przypomina HIV.

– Racja – przyznała Salter, zaciskając usta. – Bóg zesłał go na kobiety. Zakażenie zaczyna się od błony śluzowej nosa i oskrzeli, przechodzi w łagodne zapalenia zębodołów, wnika do krwiobiegu, wywołuje łagodne zapalenie jajników... A potem mija. Lekki ból, trochę kaszlu, bólu brzucha. A jeśli kobieta zajdzie w ciążę, są bardzo wielkie szanse na poronienie.

– Mark powinien być w stanie to sprzedać – stwierdził Dicken. – Pogorszymy jednak sprawę. Musimy postraszyć poważniejszą grupę głoszących niż młode kobiety. Co z sektorem geriatrycznym? – Patrzył na nią z nadzieją.

– Starsze kobiety się nie zarażają – odpowiedziała. – Nikt poniżej czterdziestoletniego i powyżej sześćdziesiątego roku życia. Popatrz na rozkład. – Pochyliła się i wskazała wykres. – Średni wiek to trzydzieści jeden lat.

– To zbyt szalone. Mark chce, abym do czwartej po południu się w tym rozeznał i wzmocnił stanowisko naczelnej lekarz.

– Kolejna narada? – Spytała Salter.

– Z udziałem szefa sztabu i doradcy naukowego prezydenta. To dobre, przerażające, ale znam Marka. Przejrzyj raz jeszcze pliki – może natrafimy na kilka tysięcy zgonów w wieku starszym w Zairze.

– Mam szachrować danymi?

Dicken uśmiechnął się chytrze.

– No to pocałuj się gdzieś, sir – powiedziała Salter łagodnie, unosząc wyzywająco głowę. – Nie dostaliśmy więcej danych z Gruzji. Może powinieneś zadzwonić do Tbilisi – poradziła. – Albo do Stambułu.

– Milczą jak głazy – odparł Dicken. – Nigdy nie byłem w stanie mocniej nimi potrząsnąć, a teraz nie chcą przyznać, że mają jakiegokolwiek przypadki. – Spojrzał na Salter.

Ta zmarszczyła nosek.

– Proszę, choćby jedna starsza pasażerka z Tbilisi mdlejąca w samolocie – podsunął jej Dicken.

Salter wybuchnęła śmiechem. Zdjęła okulary, wytarła je i założyła ponownie.

– To nic śmiesznego. Wykresy wyglądają poważnie.

– Mark chce budować dramaturgię. Wije się jak marlin na żyłce.

– Polityka to dla mnie czarna magia.

– Też tak chciałbym – powiedział Dicken. – Im jednak dłużej tu jestem, tym bardziej ją kapuję.

Salter rozejrzała się po pokoiku, jakby zacieśniał się wokół niej.

– Już skończyliśmy, Christopherze?

Dicken się uśmiechnął.

– Odzywa się klaustrofobia?

– W tym pokoju – odparła Salter. – Czy tego nie słyszysz? – Pochyliła się nad biurkiem z nerwową miną. Dicken nie zawsze wiedział, czy Jane Salter żartuje, czy jest poważna. – Wrzasków małąp?

– Cóż – odparł Dicken z kamienną twarzą. – Staram się jak

najdłużej utrzymać w grze.

W gabinecie dyrektorskim w budynku nr 4 Augustine szybko przejrzał statystyki, przerzucił dwadzieścia stron liczb i sporządzonych przez komputer wykresów, rzucił je na biurko.

– Wszystko bardzo ładnie – powiedział. – W tym tempie do końca roku wypadniemy z gry. Nie wiemy nawet, czy SHEVA wywołuje poronienie u każdej ciężarnej kobiety, ani czy jest choćby łagodnym teratogenem. Chryste. Myślałem, że to będzie to, Christopherze.

– I jest. Budzi strach i zainteresowanie.

– Nie doceniasz nienawiści republikanów do CDC – odparł Augustine. – Nienawidzi nas National Rifle Association. Wielkie kompanie tytoniowe nienawidzą nas, gdyż wchodzimy im w paradę. Czy widziałeś ten cholerny billboard tuż przy autostradzie?

– Niedaleko lotniska? „Wreszcie końcówka warta dotknięcia ust”.

– O czym to – o camelach? Marlboro?

Dicken ze śmiechem pokręcił głową.

– Naczelną lekarz pakuje się w lwia paszczę. Christopherze.

– Niezbyt jest ze mnie zadowolona.

– Zawsze pozostają wyniki, które przywiozłem z Turcji – powiedział Dicken.

Augustine podniósł ręce i odchylił się w fotelu, chwytając palcami skraj biurka.

– Jeden szpital. Pięć poronień.

– Pięć na pięć cięż, sir.

Augustine pochylił się nad biurkiem.

– Poleciałeś do Turcji, bo nasz kontakt powiadomił o wirusie, który może spędzać płody. Ale skąd Gruzja?

– Pięć lat temu w Tbilisi wystąpiło wiele poronień. Nie mogłem dowiedzieć się tam niczego, to znaczy niczego oficjalnie. Trochę popiłem z przedsiębiorcą pogrzebowym – nieoficjalnie. Powiedział

mi, że w tym samym czasie był wielki wysyp poronień w Gordi.

Augustine przedtem o tym nie słyszał. Dicken pominął tę część w swoim raporcie.

– Mów – rzucił, acz niezbyt zainteresowany.

– Były jakieś kłopoty, nie wiedział dokładnie jakie. No to... Pojechałem do Gordi, a miasteczko otaczał kordon policyjny. Popytałem tu i ówdzie na przystankach przy miejscowych drogach i usłyszałem o dochodzeniu ONZ, z udziałem Rosjan. Zadzwoiłem do ONZ. Powiedzieli mi, że poprosili o pomoc Amerykankę.

– Była nią...

– Kaye Lang.

– Rany – powiedział Augustine, zaciskając usta w nikłym uśmiechu.

– Sława dnia. Wiesz o jej pracach nad HERV?

– Oczywiście.

– No to... Pomyślałeś, że ktoś z ONZ trafił na coś i potrzebuje jej rady.

– Przyszło mi to do głowy, sir, ale ściągnęli ją, bo się zna na medycynie sądowej.

– A ty o czym pomyślałeś?

– Mutacje. Wywołujące wady okołoporodowe. Może wirusy teratogenne. Zastanawiam się też, dlaczego rząd kazał pozabijać rodziców.

– Znowu to samo – powiedział Augustine. – Wracamy do szalonych spekulacji.

Dicken skrzywił się.

– Znasz mnie, Mark.

– Czasami nie mam bladego pojęcia, skąd bierzesz tak dobre wyniki.

– Nie skończyłem pracy. Wezwałeś mnie i powiedziałeś, że mamy coś mocnego.

– Bóg świadkiem, że się czasem mylę – przyznał Augustine.

– Nie sądzę, abyś się mylił. To pewnie dopiero początek.

Wkrótce będzie znacznie więcej.

– Czy tak podpowiada ci instynkt?

Dicken przytaknął.

Mark zmarszczył brwi i mocno zacisnął dłonie na blacie biurka.

– Pamiętasz, co było w roku 1963?

– Byłem wtedy malutki, sir. Ale słyszałem. Malaria.

– Sam miałem siedem lat. Kongres zakręcił całkowicie kurek z funduszami na walkę z chorobami przenoszonymi przez owady, w tym z malarią. Najgłupszy krok w całych dziejach epidemiologii. Miliony zgonów w całym świecie, nowe szczepy odpornych zarazków... Katastrofa.

– DDT i tak wkrótce przestałoby działać, sir.

– Kto wie? – Augustine wystawił dwa palce. – Ludzie są jak dzieci, przeskakują od jednej zabawki do drugiej. Nagle zdrowie świata przestaje być modne. Może przeceniamy nasz przypadek. Przemija pięć minut zagłady dżungli, globalne ocieplenie ciągle się gotuje, choć już nie wrze. Nie ma żadnych zaraz, niszczycielskich plag światowych, a prosty Jasio Kowalski nie zgodzi się nigdy z poczuciem winy pomagając Trzeciemu Światu. Ludziom znudziła się apokalipsa. Jeśli nie nastąpi wkrótce możliwy do wykorzystania politycznie kryzys, i to na naszym podwórku, Kongres rozsmaruje nas jak masło, Christopherze, i rok 1963 może się powtórzyć.

– Rozumiem, sir.

Augustine westchnął przez nos i wzniosł oczy ku rzędom lamp fluorescencyjnych na suficie.

– Zdaniem naczelnej lekarz nasz owoc jeszcze nie dojrzał, by pokazać go prezydentowi, dostała więc w samą porę migreny. Przełożyła popołudniowe spotkanie na przyszły tydzień.

Dicken powściągnął uśmiech. Myśl o naczelniej lekarz udającej ból głowy była zabawna.

Augustine utkwił wzrok w Dickenie.

– No dobrze, coś wywąchałeś i idź za tropem. Sprawdź statystyki poronień w szpitalach Stanów Zjednoczonych za ostatni rok. Zagroź Turcji i Gruzji donosem do Światowej Organizacji Zdrowia. Mów, że oskarżymy ich o złamanie wszystkich porozumień o współpracy. Poprę cię. Poszukaj kobiet, które były na Bliskim Wschodzie i w Europie i przyjechały z SHEVA, a może też poroniły dziecko czy dwa. Mamy tydzień i jeśli nie dostarczysz groźniejszej SHEVY, wyskoczę z nieznanym krętkiem, którego złapali jacyś pasterze w Afganistanie... Współżyjąc z owcami. – Augustine udał skruszoną minę. – Uratuj mnie, Christopherze.

Cambridge, stan Massachusetts

Kaye miała już powyżej uszu czucia się jak królowa, bycia traktowaną w ostatnim tygodniu z szacunkiem i życzliwą adoracją przez kolegów, którzy z pewną niechęcią uznali, iż głębiej wejrzała w prawdę. Nie doznała krytycyzmu i niesprawiedliwości ze strony innych, jakże częstych w biologii w ostatnich stu pięćdziesięciu latach – na pewno nie takich, jakie spadły na jej idola, Karola Darwina. Mniejszych nawet, niż musiała znosić Lynn Margulis po ogłoszeniu teorii o ewolucji endosymbiotycznej komórek eukariotycznych. Mimo to miała dość... Powątpiewające i pełne złości listy w czasopismach, autorstwa genetyków ze starej gwardii, przekonanych, iż goni za chimera; komentarze na konferencjach ze strony okazujących szczyptę wyższości uśmiechniętych mężczyzn i kobiet, przekonanych, że byli bliżej wielkiego odkrycia... Im jest się wyżej na drabinie sukcesu, tym bliżej brązowego medalu Wiedzy i Uznania.

Dla Kaye było to do przyjęcia. Taka już jest nauka, zbyt ludzka i lepsza od ludzi. Zdarzyło się jednak i osobiste spięcie Saula z redaktorem „Celi”, nie dającym jej żadnych szans na publikowanie tam. Wybrała więc „Virology”, dobre czasopismo, ale o szczebel niżej na drabinie. Nigdy nie sięgała tak daleko jak „Science” czy „Nature”. Wspięła się całkiem wysoko, a potem utknęła.

Wyglądało na to, że dziesiątki laboratoriów i ośrodków badawczych

pali się teraz do pokazywania jej wyników swych prac, przeprowadzanych dla potwierdzenia wysuwanych przez nią domysłów. Dla zachowania spokoju umysłu przyjmowała zaproszenia od tych wydziałów, instytutów czy laboratoriów, które w ostatnich latach okazywały jej choć odrobinę życzliwości – zwłaszcza od Carl Rose Center for Domain Research w Cambridge w stanie Massachusetts.

Rose Center stoi wśród stu akrów obsadzonych sosnami w latach pięćdziesiątych XX wieku, wskutek czego klockowaty budynek laboratoryjny otacza teraz gęsty bór. Klocek nie stoi płasko na ziemi, lecz z jednej strony się wznosi. Dwa piętra laboratoriów tkwią pod ziemią, dokładnie pod wzniesionym klockiem i na wschód od niego. Ufundowany głównie z dotacji niezmiernie bogatej rodziny Van Buskirk z Bostonu, Rose Center od trzydziestu lat zajmuje się biologią molekularną.

Trzech naukowców z Rose Center otrzymało granty na Human Genome Project – Projekt Poznania Genomu Ludzkiego, czyli ogromne, szczerze wspomagane finansowo wielostronne wysiłki zmierzające do sekwencjonowania i zrozumienia całości materiału genetycznego człowieka. Granty te przyznano na badania intronów, to znaczy fragmentów dawnych genów występujących w tak zwanych odcinkach śmieciowych ludzkich genów. Kierownikiem jednego z nich była Judith Kushner, promotor doktoratu Kaye w Stanford.

Judith Kushner miała prawie pięć i pół stopy wzrostu, szpakowate, kręcone krucze włosy, okrągłą, smętną twarz, zawsze jakby o krok od uśmiechu, oraz małe, lekko wyłupiaste czarne oczy.

Cieszyła się międzynarodową opinią istnej czarodziejki, potrafiącej planować eksperymenty i wyciskać z aparatury wszystko, do czego jest ona zdolna – innymi słowy, przeprowadzać powtarzalne eksperymenty, niezbędne, aby nauka naprawdę działała.

To, że obecnie większość czasu spędzała na pracy papierkowej i kierowaniu pracą naukowców po dyplomie i doktoracie, było normalnym losem współczesnej nauki.

Fiona Bierce, obłędnie chudy i młody rudzielec będący asystentką i sekretarką Kushner, prowadziła Kaye labiryntem laboratoriów do głównej windy.

Gabinet Kushner mieścił się na poziomie zerowym, pod parterem, ale nad piwnicami: pozbawiony okien, z betonowymi ścianami pomalowanymi na miły jasny beż. Ściany wypełniały pedantycznie uporządkowane teksty i oprawione czasopisma. W jednym kącie szumiały cicho cztery komputery, w tym superkomputer Sim Engine, ufundowany przez firmę Mind Design z Seattle.

– Kaye Lang, jestem taka dumna! – Kushner wstała z krzesła, rozpromieniona, i otworzyła ramiona, aby objąć wchodzącą Kaye. Uściskała ją lekko i z uśmiechem zawodowej radości obtańcowała po pokoju swą byłą studentkę. – No, mów... Od kogo się dowiedziałaś? Od Lynn? Od samego staruszka?

– Lynn zadzwoniła wczoraj – zarumieniła się Kaye.

Kushner splotła ręce i wzniosła je ku sufitowi jak świętujący wygraną zdobywca nagrody.

– Cudownie!

– To naprawdę za dużo – powiedziała Kaye i na zaproszenie Kushner usiadła obok szerokiego, płaskiego monitora Sim Engine.

– Bierz to! Ciesz się! – Zachęcała Kushner żarliwie. – Zasłużyłaś, kochana. Trzy razy widziałam cię w telewizji. Jackie Oniama z Triple C Network próbowała mówić o nauce – cudownie śmiesznie! Czy naprawdę na żywo wygląda jak laleczka?

– Wszyscy są bardzo mili, naprawdę. Wykańczają mnie jednak usiłowania wyjaśnienia czegokolwiek.

– Za dużo by trzeba tłumaczyć. Co u Saula? – Spytała Kushner,

z powodzeniem ukrywając obawę.

– W porządku. Ciągłe usiłujemy ustalić, czy zawrzemy spółkę z Gruzinami.

– Jeśli teraz tego nie zrobią, to znaczy, że mają przed sobą długą drogę do zostania kapitalistami – powiedziała Kushner i usiadła obok Kaye.

Fiona Bierce była rada, że może się przysłuchiwać. Szczęrzyła zęby w uśmiechu.

– A zatem... – Powiedziała Kushner, wpatrując się mocno w Kaye – znalazłaś drogę na skróty?

Kaye wybuchnęła śmiechem.

– Czuję się taka młoda!

– A ja taka zazdrosna. Żadna z moich zwariowanych teorii nie przyciągnęła choćby cząstki takiego zainteresowania.

– Ale kupę forsy – powiedziała Kaye.

– Wielką kupę. Chcesz trochę?

Kaye się uśmiechnęła.

– Nie chciałabym zepsuć naszych stosunków zawodowych.

– Ach, wielki nowy świat biologii gotówkowej, tak ważnej, utajnianej i nabitej. Pamiętaj, moja droga, kobiety mają inaczej uprawiać naukę. Słuchać i harować, harować i słuchać, zupełnie jak biedna Rosalind Franklin, nie jak bezczelni chłoptasie. I to wszystko dla zachowywania najwyższej czystości etycznej. No jak – kiedy ty i Saul zamierzacie rzucić akcje na rynek? Syn chciałby mi założyć konto emerytalne.

– Pewnie nigdy – odparła Kaye. – Saul nie zniósłby składania sprawozdania akcjonariuszom. Ponadto musimy najpierw odnieść jakieś sukcesy, zarobić trochę pieniędzy, a do tego jeszcze długa droga.

– Dość pogaduszek – stwierdziła stanowczo Kushner. – Mam ci coś ciekawego do pokazania. Fiono, czy mogłabyś puścić małą symulację?

Kaye przesunęła w bok swe krzesło. Bierce zasiadła przed klawiaturą Sun Engine, jej palce śmigały jak u pianistki.

– Judith ślęczy nad tym już trzy miesiące – powiedziała.

– Opierała się w dużej mierze na pani artykułach, a reszta to dane z trzech różnych projektów badań genomu, kiedy się więc rozniosło, byliśmy już gotowi.

– Zabraliśmy się do twoich znaczników i znaleźliśmy rutynowe instrukcje budowy cząsteczek – wyjaśniła Kushner. – Otoczki SHEVA i uniwersalnego systemu dostarczania jej ludziom. To symulacja zakażenia oparta na wynikach badań laboratoryjnych prowadzonych na czwartym piętrze przez grupę Johna Dawsona. Zarażane są hepatocyty w gęstych kulturach tkanek. Oto, co wyszło.

Kaye patrzyła na uruchomioną przez Bierce symulację sekwencji składania. Cząsteczki SHEVA wnikają do hepatocytów – kultur komórek wątroby w naczyniach laboratoryjnych – i jedne funkcje komórkowe wyłączają, inne przejmują, przepisują swój RNA w DNA, wbudowują go w DNA komórek i zaczynają się replikować. Lśniące symulowanymi kolorami nagie cząstki nowych wirusów powstają w cytoplazmie – wypełniającej wewnątrz komórek przepływającej cieczy. Wirusy wędrują do zewnętrznej błony komórek i wydostają się na świat, a każdą cząsteczkę ściśle otula zabrany po drodze skrawek skóry komórki.

– Osłabiają błonę, ale dość łagodnie i w sposób kontrolowany. Wirusy obciążają komórki, ale ich nie zabijają. Wygląda też na to, że przeżywa mniej więcej jedna na dwadzieścia cząsteczek wirusa – wynik pięć razy lepszy niż w przypadku HIV.

Symulacja nagle skupiła się na molekułach tworzonych wraz z wirusami, otoczonych pakunkami zajmującymi się transportem wewnątrz komórki, zwanymi pęcherzykami. Wydostawały się wraz z nowymi cząsteczkami zakaźnymi. Oznaczone były

jasnopomarańczowymi napisami: pga? i pge?

– Zatrzymaj, Fiono. – Kushner wskazała palcem pomarańczowe litery. – SHEVA nie przenosi wszystkiego, co konieczne do wywołania grypy Heroda. W zarażonych przez SHEVE komórkach odnajdujemy duże grudki białek, niekodowane przez SHEVE, niepodobne do niczego, co dotąd widziałam. A potem – grudka się rozpada i pojawiają się wszystkie te mniejsze białka, których nie powinno tam być.

– Szukaliśmy białek zmieniających nasze kultury komórek – powiedziała Bierce. – Jest ich naprawdę wiele. Dumaliśmy nad tym dwa tygodnie, a potem dla porównania część zakażonych komórek wysłaliśmy do komercyjnej biblioteki tkanek. Wydzielili nowe białka i znaleźli...

– To moja bajka, Fiono – wtrąciła się Kushner, grożąc palcem.

– Przepraszam – rzuciła Fiona, uśmiechając się nieśmiało. – To wielka uciecha, że mogliśmy dokonać tego tak szybko!

– Uznaliśmy w końcu, że SHEVA włącza gen w innym chromosomie. Ale jak? Szukaliśmy dalej... I uruchamiany przez SHEVE gen znaleźliśmy w chromosomie 21. Koduje wielobiałko, które nazwaliśmy LPC, od large protein complex, czyli wielki zespół białek. Wyjątkowy czynnik transkrypcyjny, który kontroluje ekspresję tego właśnie genu. Węszyliśmy za tym czynnikiem i natrafiliśmy na niego w genomie SHEVY. Zamknięta skrzynia ze skarbami w chromosomie 21, a niezbędny klucz do niej jest w wirusie. Są partnerami.

– Zdziwiałe – powiedziała Kaye.

Bierce uruchomiła ponownie symulację, tym razem skupiając się na akcji w chromosomie 21 – tworzeniu nowego wielobiałka.

– No, Kaye – kochana Kaye, to wcale jeszcze nie koniec. Mamy tu zagadkę. Proteaza SHEVY rozcina w LPC trzy nowe cyklooksygenazy i lipooksygenazy, które następnie syntetyzują trzy różne i unikatowe prostaglandyny. Dwie z nich są dla nas nowe, naprawdę bardzo

zadziwiające. Wszystkie wyglądają na bardzo silne. – Kushner wskazała piórem prostaglandyny wysyłane przez komórkę. – Tłumaczyłoby to wieści o poronieniach.

Kaye zmarszczyła w skupieniu brwi.

– Obliczyliśmy, że w pełni rozwinięte zakażenie SHEVA może dać dość nowych prostaglandyn, aby w ciągu tygodnia wywołać aborcję płodu u każdej ciężarnej kobiety.

– A gdyby jeszcze brakowało cudów – dopowiedziała Bierce, wskazując szeregi glikoprotein – zarażone komórki wytwarzają je jako produkty uboczne. Nie przebadaliśmy ich do końca, ale bardzo przypominają FSH i LH – hormon stymulujący pęcherzyk jajnikowy i hormon luteinizujący. Ponadto peptydy te okazują się hormonami wyzwalającymi.

– Starzy znajomi władcy losu kobiet – stwierdziła Kushner.

– Dojrzewanie i uwalnianie komórki jajowej.

– Dlaczego? – Zapytała Kaye. – Skoro właśnie spowodowały aborcję... Dlaczego wymuszają owulację?

– Nie wiemy, co uruchamiają najpierw. Może owulację, a potem aborcję – odparła Kushner. – Pamiętaj, to komórka wątroby! Nie zaczęliśmy jeszcze badać zarażenia w komórkach rozrodczych.

– To nie ma sensu!

– Stąd właśnie zagadka – powiedziała Kushner. – Czymkolwiek jest twój mały retrowirus endogenne, to na pewno nie czymś nieszkodliwym – przynajmniej dla nas, kobiet. Jakby został zaprojektowany tak, aby najeżdzać, przejmować i załatwiać do cna.

– I jesteście jedynymi, którzy to uzyskali? – Spytała Kaye.

– Zapewne – odparła Kushner.

– Pośleliśmy dzisiaj wyniki do NIH i Genome Project – powiedziała Bierce.

– I zawiadomiłyśmy ciebie – dodała Kushner, kładąc dłoń na

ramieniu Kaye. – Nie chciałyśmy, abyś utknęła.

– Nie rozumiem. – Kaye zmarszczyła brwi.

– Nie bądź naiwna, kochana – powiedziała Kushner z troską w oczach. – Patrzymy być może na plagę biblijną. Wirus zabijający niemowlęta. Rzesze niemowląt. Ktoś mógłby uznać cię za posłańca. A wiesz, co spotyka posłańców przynoszących złe wieści.

Atlanta Październik

Doktor Michael Voight na długich, pająkowatych nogach kroczył przed Dickenem korytarzem prowadzącym do baru dla pracowników.

– Dziwne, że pan pyta – powiedział. – Spotkaliśmy się z wieloma anomaliami położniczymi. Mieliśmy już o nich narady. Ale nie o herodzie. Spotykamy się z wszelkiego rodzaju zakażeniami, z gripą oczywiście też, nie mamy jednak jeszcze zestawów testów na SHEVE.

– Lekko się odwrócił, aby zapytać: – Może kawy?

Szpital miasteczka olimpijskiego w Atlancie miał sześć lat, zbudowano go z funduszy miejskich i federalnych dla odciążenia innych ośrodków medycznych śródmieścia. Darowizny prywatne i specjalna rezerwa Komitetu Olimpijskiego uczyniły z niego jeden z najlepiej wyposażonych szpitali stanu, co przyciągnęło wielu najlepszych i najbystrzejszych młodych lekarzy, a także kilku niezadowolonych starszych. Świat publicznej służby zdrowia zalał za skórę utalentowanym specjalistom, którzy w ostatnim dziesięcioleciu widzieli, jak ich dochody spadają na łeb, na szyję, a księgowi kontrolują zakres opieki nad pacjentami. Miasteczko olimpijskie przynajmniej szanowało specjalistów.

Voight wprowadził Dickena do baru i z wielkiego termosu z nierdzewnej stali nalał kubek kawy. Wyjaśnił, że z tego pomieszczenia mogą korzystać stażyści i pracownicy.

– Jest zwykle puste o tej porze nocy. Dla nas to najlepsza pora – ten

czas wypychania życia i dostarczania na świat jego niefrasobliwych ofiar.

– Jakiego rodzaju anomalie? – Naciskał Dicken.

Voight wzruszył ramionami, wziął krzesło od stolika z twardego laminatu i podwinął długie jak u Freda Astaire'a nogi. Jego zielony strój lekarski zaszeleścił; był z grubego papieru, całkowicie jednorazowy. Dicken usiadł i ujął swój kubek. Wiedział, że kawa może go pobudzić, a przecież potrzebował skupienia i energii.

– Zajmuję się najtrudniejszymi przypadkami, a większości dziwnych mi nie przydzielono. Ale w ostatnich dwóch tygodniach... Uwierzy pan, że siedem kobiet nie potrafi wyjaśnić swych ciąży?

– Zamieniam się w słuch – powiedział Dicken.

Voight wyciągnął ręce i odliczał przypadki na palcach.

– Dwie regularnie brały pigułki antykoncepcyjne, które jednak nie zadziałały... To może się zdarzać. Jedna zaś nie stosuje antykoncepcji, ale też twierdzi, że nie uprawiała nigdy seksu. I wie pan co?

– Co?

– Była virgo intacta. Przez miesiąc miała ciężkie krwotoki, przeszły, potem poranne mdłości, ustanie miesiączkowania, poszła do lekarza i usłyszała, że jest w ciąży, a tutaj dotarła, gdy wszystko się u niej pogorszyło. Nieśmiała dziewczyna, mieszkająca ze starszym mężczyzną, naprawdę szczególny związek. Upiera się, że nie dochodziło do seksu.

– Powtórne przyjście Pana? – Spytał Dicken.

– Proszę nie bluźnić. Należę do kościoła odnowy ewangelickiej – odparł Voight, zaciskając usta.

– Przepraszam – rzucił szybko Dicken.

Voight uśmiechnął się, prawie wybacząc.

– Potem przyszedł jej „staruszek” i opowiedział całą historię.

Okazuje się, że bardzo o nią dba, postanowił zdradzić nam prawdę, abyśmy mogli ją leczyć. Wpuszczała go do łóżka i pozwalała się o siebie ocierać... Ze współczucia, no wie pan. Tak zaszła w ciążę za pierwszym razem.

Dicken kiwnął głową. To nic szczególnie szokującego – jedna z wielu twarzy życia i miłości.

– Miała poronienie – ciągnął Voight. – Po trzech miesiącach wróciła jednak, znowu w ciąży. W drugim miesiącu. Przyjechał z nią starszy przyjaciel, mówił, że nie ocierał się o nią ani nic takiego, a wie, że nie miała innego mężczyzny. Wierzymy mu?

Dicken pochylił głowę w bok, uniósł brwi.

– Dzieją się tutaj różne dziwne rzeczy – powiedział łagodnie Voight. – To znaczy więcej niż zazwyczaj.

– Czy się na coś skarżyły?

– Na nic szczególnego. Przeziębienie, gorączka, lekkie bóle.

– Mamy chyba jeszcze trochę próbek w laboratorium, jeśli chce pan się im przyjrzeć. Czy był pan w Northside?

– Jeszcze nie – powiedział Dicken.

– Dlaczego nie śródmieście? Jest tam więcej materiałów dla pana.

Dicken pokręcił głową.

– Ile młodych kobiet ma niewytłumaczalną gorączkę, zakażenia niebakteryjne?

– Dziesiątki. To nic nadzwyczajnego. Testy przechowujemy najwyżej tydzień; jeśli nie wykazują bakterii, to je wyrzucamy.

– W porządku. Zobaczmy tkanki.

Dicken zabrał z sobą kawę, idąc za Voightem do windy. Laboratorium wykonujące biopsje i analizy było w podziemiu, zaledwie dwoje drzwi od kostnicy.

– Technicy kończą pracę o dziewiątej. – Voight zapalił światło i szybko przejrzał karty w małej stalowej szafce.

Dicken oglądał laboratorium: trzy długie, białe ławy ze zlewami, dwa wyciągi dymu, inkubatory, szafki z równo ustawionymi, pełnymi odczynników butelkami z brązowego i przezrystego szkła, równie uporządkowane stosy standardowych zestawów testowych w wąskich pudełkach z pomarańczowej i zielonej tektury, dwie lodówki ze stali nierdzewnej i starsza biała zamrażarka; komputer połączony z drukarką atramentową, na której widniała kartka nie działa; zajrzał do pokoju za podzielonymi poziomo drzwiami: stały w nim stalowe regały na rolkach, jak zwykle pomalowane na szaro i pokryte kitem.

– Nie wprowadzili jeszcze tego do komputera; zajmuje nam to zwykle trzy tygodnie. Proszę spojrzeć, jeden został.. Według procedury obecnie obowiązującej w szpitalu dajemy matkom wybór, mogą wziąć płód do przedsiębiorcy pogrzebowego i urządzić mu pogrzeb. To lepsze rozwiązanie. Zdarzają się jednak biedaczki bez pieniędzy, bez rodziny... Proszę. – Voight wziął kartę, poszedł na zaplecze, pokręcił kołem, znalazł na karcie numer półki.

Dicken czekał przy drzwiach. Voight wyłonił się ze stoikiem, podniósł go pod silniejsze światło w pokoju laboratoryjnym.

– Zły numer, ale jest tego samego rodzaju. Ma sześć miesięcy.

– Szukany przeze mnie może być jeszcze w zimnej solance. – Wręczył Dickenowi stoik i poszedł do pierwszej lodówki.

Dicken popatrzył na płód: dwanaście tygodni, wielkość mniej więcej kciuka, skurczony, małeńki, blady kosmita, któremu nie powiodło się poszukiwanie życia na Ziemi. Natychmiast zauważył anomalie. Kończyny to tylko guzki, a wokół nabrzmiałego brzuszka były wypukłości, jakich nigdy przedtem nie widział nawet u ciężko zniekształconych płodów.

Drobniutka twarzyczka wyglądała na niezwykle skurczoną i obojętną.

– Jest coś nie tak z układem kostnym – stwierdził Dicken, gdy

Voight zamknął lodówkę i przyniósł inny płód w oszronionej szklanej zlewce owiniętej plastikową folią, ściśniętą gumową taśmą i oznaczoną przyklejoną taśmą karteczką.

– Mnóstwo kłopotów, bez najmniejszych wątpliwości – powiedział Voight, zamieniając słoje i patrząc na starszy okaz. – Bóg w każdej ciąży ustanawia małe posterunki kontrolne. Te dwa nie przeszły na nich sprawdzianu. – Znacząco uniósł wzrok w górę. – Z powrotem do żłobka w Niebiosach.

Dicken nie wiedział, czy przez Voighta przemawia szczere przekonanie, czy bardziej typowy cynizm lekarza. Porównał zimną zlewkę i słoik o temperaturze pokojowej. Oba płody miały dwanaście tygodni i były bardzo do siebie podobne.

– Czy mogę go zabrać? – Zapytał, podnosząc zimną zlewkę.

– Co, obrabować naszych studentów medycyny? – Skrzywił się Voight. – Proszę wypisać zapotrzebowanie, nazwać je pożyczką dla CDC, nie powinno być problemów. – Spojrzał znowu na słoik. – Coś szczególnego?

– Może – odparł Dicken. Czuł lekki smutek i podniecenie.

Voight podał mu lepiej zabezpieczony słoik oraz małe kartonowe pudełko, watę, kawałek lodu i zamykaną torebkę plastikową, pozwalającą trzymać okaz w chłodzie. Obaj przenieśli szybko płód parą drewnianych szpatulek i Dicken zakleił pudełko taśmą do pakowania.

– Jeśli będziecie mieli dalsze takie same, proszę mnie natychmiast zawiadomić, dobrze? – Poprosił.

– Jasne.

Potem Voight rzekł do niego w windzie:

– Wygląda pan trochę zabawnie. Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć z góry, jakieś drobne wskazówki, które pozwolą mi lepiej służyć ogółowi?

Dicken wiedział, że musi zachować pokerową twarz, uśmiechnął się więc do Voighta i pokręcił głową.

– Proszę śledzić poronienia – odpowiedział. – Zwłaszcza tego rodzaju. Wszelkie powiązania z grypą Heroda będą mile widziane.

Rozczarowany Voight wykrzywił usta.

– Na razie nic oficjalnego?

– Na razie – potwierdził Dicken. – Pracuję nad naprawdę śliską sprawą.

Boston

Złożona ze spaghetti i pizzy kolacja ze starymi kolegami Saula z MIT udała się doskonale. Saul poleciał po południu do Bostonu i spotkali się w Pagliacci. Prowadzona wczesnym wieczorem w mrocznej, starej restauracji włoskiej rozmowa sięgała od analizy matematycznej ludzkiego genomu po sposoby przewidywania skurczu i rozkurczu przepływu danych w Internecie. Kaye zapchała się paluszkami chlebowymi i zieloną papryką, zanim jeszcze podano lasagne. Saul sięgnął po kromkę chleba z masłem.

Jedna ze sław MIT, doktor Drew Miller, pojawił się o dziewiątej, jak zawsze nieprzewidywalny, słuchając i wypowiadając zaledwie kilka uwag o najnowszym, prosto z pieca, wyczynie społeczności bakteryjnej. Saul chłonał uważnie słowa legendarnego badacza, specjalisty od sztucznej inteligencji i samoorganizujących się systemów. Miller przesiadał się kilka razy i w końcu klepnął po ramieniu starego kolegę z pokoju Saula, Derry'ego Jacobsa. Jacobs uśmiechnął się, wstał, aby znaleźć inne miejsce, a Miller opadł obok Kaye. Wziął paluszek chlebowy z talerza Jacobsa, popatrzył na nią szeroko otwartymi jak u dziecka oczami, wydał usta i powiedział:

– Naprawdę wkurzyłaś starych gradualistów.

– Ja? – Spytała Kaye ze śmiechem. – Dlaczego?

– Dzieciaki Ernsta Mayra obleje zimny pot, jeśli coś pojma. Dawkins będzie następny. Mówię im od miesięcy, że potrzeba jedynie następnego ogniwa łańcucha, a dostaniemy pętlę sprzężenia

zwrotnego.

Gradualizm to pogląd, że ewolucja postępuje małymi krokami, a mutacje kumulują się przez dziesiątki tysięcy, a nawet miliony lat, i są zwykle szkodliwe dla osobnika. Mutacje korzystne to te dające przewagę i zwiększające szanse na wykorzystywanie zasobów i rozmnażanie się. Ernest Mayr był błyskotliwym rzecznikiem tego poglądu. Richard Dawkins błyskotliwie opowiadał się za współczesną syntezą darwinizmu, a także opisał tak zwany gen samolubny.

Saul pochwycił te słowa i stanął za Kaye, nachylając się nad stołem, aby słuchać, co Miller ma do powiedzenia.

– Uważasz, że SHEVA daje nam pętlę? – Zapytał.

– Tak. Ciągły krąg związków między osobnikami w populacji, z wyłączeniem seksu. Nasz odpowiednik plazmidów w bakterii, ale oczywiście bardziej przypominający fagi.

– Drew, SHEVA ma tylko osiemdziesiąt kbp i trzydzieści genów – powiedział Saul. – Nie przenosi wiele informacji.

Kaye próbowała już z Saulem zmierzyć się z tą zagwozdką, zanim ogłosiła swój artykuł w „Virology”. Z nikim nie rozmawiali o szczegółach swych teorii. Teraz niezbyt się zdziwiła, że Miller zwrócił na to uwagę. Nie był uważany za postępowca.

– Nie muszą przenosić całej informacji – odparł Miller. – Wystarczy kod upoważnienia. Klucz. Nie znamy jeszcze wszystkich możliwości SHEVA.

Kaye zerknęła na Saula, po czym rzekła:

– Proszę nam powiedzieć, co ma pan na myśli, doktorze Miller.

– Proszę, mów mi Drew. To naprawdę nie jest moja dziedzina badań, Kaye.

– Taka ostrożność u ciebie to coś nowego, Drew – stwierdził Saul. – Wiemy też, że nie jesteś skromny.

Miller uśmiechnął się od ucha do ucha.

– No, pewno coś już podejrzewacie. Niewątpliwie twoja żona.

– Czytałem twoje prace o przemieszczających się elementach.

Kaye pociągnęła wodę z niemal pustej szklanki.

– Nigdy nie mamy pewności, co komu można mówić – szepnęła. – Możemy albo kogoś urazić, albo się z czymś wygadać.

– Nie martw się o pierwszeństwo myślenia – powiedział Miller. – Zawsze jest ktoś przed nami, ale zwykle nie kończy pracy. Tylko ktoś pracujący nieustannie dokonuje odkrycia. Dobrze pracujesz i pisziesz dobre artykuły, a to już jest wielki skok.

– Nie jesteśmy pewni, że chodzi o ten wielki skok – odparła Kaye. – Może to tylko anomalia.

– Nie chcę nikogo zapędzać do nagrody Nobla – zapewnił Miller – ale SHEVA naprawdę nie jest organizmem chorobotwórczym. Tak długie ukrywanie się w ludzkim genomie, a potem uaktywnianie się jedynie dla wywołania łagodnej grypy nie ma sensu ewolucyjnego. Nie sądzisz, że SHEVA to tak naprawdę rodzaj ruchomego elementu genetycznego? Inicjator?

Kaye przypomniała sobie rozmowę z Judith o objawach, jakie może wywoływać SHEVA.

Miller chętnie ciągnął dalej, nie zważając na jej milczenie.

– Wszyscy uważają, że wirusy, a zwłaszcza retrowirusy, mogą być posłańcami ewolucji albo czynnikami ją uruchamiającymi, bądź też jedynie przypadkowymi bodźcami. Nawet po odkryciu, że niektóre wirusy mogą przenosić od żywiciela do żywiciela strzępy materiału genetycznego. Sądzę tylko, że powinnaś zadać sobie parę pytań, jeśli dotąd tego nie zrobiłaś. Co uruchamia SHEVE? Powiedzmy, że gradualizm umarł. Gdy tylko pojawia się nisza – nowy kontynent, meteor wyniszczający stare gatunki, następuje wybuch specjacji adaptacyjnej. Dzieje się to szybko, w niecałe dziesięć tysięcy lat; potem powraca stara, dobra równowaga, naruszana co jakiś czas. Gdzie

tkwi ta cała możliwa zmiana ewolucyjna?

– Doskonałe pytanie – wtrąciła Kaye.

Oczy Millera zalśniły.

– Myślałaś o tym?

– Jak wszyscy – odparła. – Myślałam o wirusie i retrowirusie jako czynnikach nowości genomu. Wychodzi jednak na to samo.

– Może więc każdy gatunek ma panujący nad nim komputer biologiczny, swego rodzaju procesor, który sumuje wszystkie możliwe korzystne mutacje. Podejmuje decyzje, co, gdzie i kiedy ulegnie zmianie... Zgaduje, jeśli chcesz, w oparciu o stopień skuteczności wcześniejszych decyzji ewolucyjnych.

– Co uruchamia zmianę?

– Wiemy, że związane ze stresem hormony mogą wpływać na ekspresję genów. Owa biblioteka ewolucyjna możliwych nowych form...

Miller uśmiechnął się szeroko.

– Mów dalej – zachęcił.

– Reaguje na hormony wywoływane stresem – ciągnęła Kaye.

– Jeśli stres obejmuje dostateczną liczbę organizmów, wymieniają one sygnały, które osiągają rodzaj kworum, a wtedy uruchamiają algorytm genetyczny, który porównuje źródła stresu z listą adaptacji, przystosowań ewolucyjnych.

– Ewoluuje ewolucja – powiedział Saul. – Gatunki mające komputer adaptacyjny mogą się zmieniać szybciej i bardziej skutecznie niż zapóźnione stare gatunki, które nie kontrolują i nie wybierają swych mutacji, polegając tylko na przypadkowości.

Miller przytaknął.

– Dobrze. Jest to znacznie bardziej skuteczne niż pozwalanie jedynie na pojawianie się dowolnej mutacji dawnego typu, która przypuszczalnie zniszczy osobnika albo zaszkodzi populacji. Załóżmy,

że ów adaptacyjny komputer genetyczny, ów procesor ewolucyjny, dopuszcza do działania jedynie niektóre rodzaje mutacji. Osobniki przechowują wyniki pracy tego procesora – które, jak sądzę, są... – Miller szukał pomocy u Kaye, machając ręką.

– Mutacjami gramatycznymi – podpowiedziała – wypowiedziami fizjologicznymi, które nie naruszają żadnej ważnej zasady strukturalnej organizmu.

Miller uśmiechnął się błogo, potem złapał się za kolano i zaczął powoli kołysać w przód i w tył. Jego wielka, kanciasta czaszka błyskała, chwytając czerwone światło lampy na suficie.

– Gdzie byłaby przechowywana informacja ewolucyjna – w genomie, holograficznie, w różnych miejscach u różnych osobników, może tylko w komórkach rozrodczych, albo... Gdzieś indziej?

– Etykiety są przechowywane w leżącym odłogiem odcinku genomu każdego osobnika – powiedziała Kaye, a potem ugryzła się w język. Miller – a w istocie i Saul – uważali pomysł za rodzaj jedzenia, które należy starannie pogryźć i przeżuć, zanim staje się pożywny. Kaye wolała mieć pewność, zanim coś powie. Poszukała na podorędziu przykładu. – Jak odpowiedź bakterii na udar cieplny albo przystosowanie się muszek owocowych do zmiany klimatu w ciągu jednego pokolenia.

– Ludzki materiał leżący odłogiem musi być jednak ogromny. Nasza złożoność jest znacznie większa aniżeli muszek owocowych – stwierdził Miller. – Może już to znaleźliśmy, ale nie wiemy, czym jest?

Kaye dotknęła ramienia Saula, pilne ostrzeżenie. Byli teraz znani z tego, że zgodnie podążają w jednym kierunku i nawet przy uczonej ze starej gwardii, takim jak Miller, gdzie, którego ukąszenie skutecznie popędziło do zwycięstwa kilkanaście koni, nie czuła się dobrze,

zdradzając swe najnowsze przemyślenia. Może się roznieść: Kaye Lang powiedziała tak a tak...

– Nikt jeszcze nie znalazł – odparła.

– O? – Rzucił Miller, wpatrując się w nią krytycznym okiem.

Kaye czuła się jak jelenź złapany w światła drogowe samochodu.

Miller wzruszył ramionami.

– Może nie. Moim zdaniem ulega ekspresji tylko w komórkach rozrodczych. Komórkach płciowych. Haploidalnych. Nie podlega ekspresji, nie zaczyna działać, jeśli nie nastąpi potwierdzenie przez inne osobniki. Feromony. Może kontakt wzrokowy.

– Uważamy inaczej – powiedziała Kaye. – Według nas odcinek odłogowy przenosi jedynie instrukcje dotyczące małych przekształceń prowadzących do nowych gatunków. Reszta szczegółów jest kodowana przez genom, zawierający standardowe instrukcje odnoszące się do wszystkiego poniżej tego poziomu... Przymuszczałnie działa równie dobrze u szympanów, jak i u nas.

Miller się skrzywił. Przestał się kolebać.

– Przez minutę musi mi się to pokłębic w głowie. – Spoglądał w ciemny sufit. – To ma sens. Minimum to ochrona planu, o którym wiadomo, że działa. A zatem te maleńkie zmiany przenoszone w odcinku odłogowym tworzą jednostki, dokonujące, jak sądzicie – zapytał – jednej zmiany naraz?

– Nie wiemy – odparł Saul. Złożył serwetkę leżącą obok talerza i trzepnął nią o dłoń. – I to wszystko, co możemy ci powiedzieć, Drew.

Miller uśmiechnął się szeroko.

– Rozmawiał ze mną Jay Niles. Uważa, że równowaga przerywana jest w modzie, a także, że to problem systemowy, sieciowy. Działa tu selektywna inteligencja sieci neuronowej. Nigdy nie ufałem zbyt gądkom o sieciach neuronowych. Jedynie zaciemniają sprawę, pozwalają nie opisywać tego, co masz opisać. – Zupełnie nie owijając

w bawełnę, dodał: – Chyba zdołałbym pomóc, jeśli zechcecie.

– Dzięki, Drew. Może zadzwonimy do ciebie – odparła Kaye – ale na razie chcielibyśmy mieć całą zabawę dla siebie.

Miller wymownie wzruszył ramionami, puknął się palcem w czoło i przeszedł w drugi koniec stołu, gdzie wziął kolejny paluszek chlebowy i wszczął następną rozmowę.

W samolocie lecącym na lotnisko La Guardia Saul opadł na swe miejsce.

– Drew nie ma pojęcia, bladego pojęcia.

Kaye podniosła wzrok znad numeru „Threads”, rozdawanego w samolocie.

– O czym? – Spytała. – Odniosłam wrażenie, że jest na dobrej drodze.

– Gdybyś ty, gdybym ja, gdyby ktokolwiek zajmujący się biologią mówił o swego rodzaju inteligencji kierującej ewolucją...

– Och. – Kaye wzdrygnęła się lekko. – Stare widmo witalizmu.

– Kiedy Drew mówił o inteligencji czy umyśle, nie miał oczywiście na myśli niczego posiadającego świadomość.

– Tak? – Rzuciła Kaye, rozkosznie zmęczona, pełna makaronu. Wepchnęła czasopismo do kieszeni pod rozkładanym stolikiem i odchyliła do tyłu siedzenie. – A co miał na myśli?

– Myślałaś już o sieciach ekologicznych.

– Nie była to moja najbardziej oryginalna praca – powiedziała Kaye. – I co pozwala nam to przewidzieć?

– Może nic – odparł Saul. – Ma jednak tę korzyść, że porządkuje moje myśli. Węzły, czyli neurony sieci tworzą wzory sieci neuronowej i przekazują zwrotnie do węzłów wyniki każdego działania sieci, co prowadzi do rosnącej sprawności każdego węzła i całej sieci.

– To na pewno jasne – zachmurzyła się Kaye.

Saul kiwał głową z boku na bok, przyjmując jej krytykę.

– Jesteś bystrzejsza, niż będę kiedykolwiek, Kaye Lang. – Popatrzyła na niego uważnie i dostrzegła tylko to, co w nim podziwiała. Ogarnęły go idee; nie obchodziło go autorstwo, widział w nich jedynie nową prawdę. Oczy się jej zamglily, przypomniała sobie z niemal bolesną wyrazistością uczucia, które Saul wzbudzał w niej w pierwszym wspólnym roku. Podbechtywał ją, zachęcał, pił, dopóki nie zaczynała mówić wyraźnie i pojmować pełnego kręgu idei, hipotezy. – Wyklaruj to, Kaye. Jesteś w tym dobra.

No... – Skrzywiła się. – Tak właśnie działają również ludzki mózg, gatunek albo ekosystem. Jest to też najbardziej podstawowa definicja myśli. Neurony wymieniają mnóstwo sygnałów. Sygnały mogą się wzmacniać lub osłabiać, znosić się wzajemnie albo współdziałać w podejmowaniu decyzji. Dotyczą podstawowych czynności przyrody: współpracy i rywalizacji, symbiozy, pasożytnictwa, drapieżnictwa. Komórki nerwowe są węzłami mózgu, zaś w genomie węzłami są geny, rywalizujące i współpracujące, aby zostały odtworzone w następnym pokoleniu. Osobniki są węzłami gatunku, a gatunki węzłami ekosystemu.

Saul drapał się po policzku, patrząc na nią z dumą.

Kaye ostrzegawczo pokiwała palcem.

– Kreacjoniści wychyną z za węgła i zapieją z zachwytem, że nareszcie mówimy o Bogu.

– Każdy ma swój krzyż pański – westchnął Saul.

– Miller powiedział, że SHEVA zamyka pętlę sprzężenia zwrotnego poszczególnych organizmów – to znaczy poszczególnych istot ludzkich. Czyłoby to z SHEVY rodzaj neuroprzekaźnika – mówiła dalej Kaye, zastanawiając się nad tym.

Saul przysunął się do niej, wspomagając się rękoma w opisywaniu mnóstwa idei.

– Przejdźmy do szczegółów. Ludzie współpracują ze sobą, tworząc społeczeństwo. Porozumiewają się seksualnie, chemicznie, ale także społecznie – poprzez mowę, pismo, kulturę. Cząsteczki i memy. Wiemy, że cząsteczki zapachowe, feromony, wpływają na zachowanie; kobiety w grupach razem osiągają ruję. Mężczyźni omijają krzesła, na których siedział inny mężczyzna; natomiast te same krzesła przyciągają kobiety. Odsiewamy tylko rodzaje sygnałów, jakie można wysyłać, rodzaje przekazów, środki mogące przenosić te przekazy. Podejrzewamy teraz, że nasze ciała wymieniają wirusy endogenne, zupełnie jak bakterie. Czy to naprawdę takie zaskakujące?

Kaye nie opowiedziała Saulowi o rozmowie z Judith. Nie chciała już teraz przyduszać ich radości, zwłaszcza że tak naprawdę mało jeszcze wiedziała, ale będzie musiało to nastąpić szybko.

Wyprostowała się w fotelu.

– A jeśli SHEVA ma różne cele? – Wysunęła domysł. – Czy może mieć także szkodliwe skutki uboczne?

– Wszystko w naturze może pójść źle – odparł Saul.

– A jeśli rzeczywiście poszło źle? Jeśli do ekspresji doszło przez pomyłkę, jeśli SHEVA utraciła całkowicie swe pierwotne cele i tylko wywołuje u nas chorobę?

– Niewykluczone. – Saul powiedział to w sposób wyrażający grzecznie brak zainteresowania. Jego myśli pozostały przy ewolucji.

– Naprawdę myślę, że powinniśmy popracować nad tym w przyszłym tygodniu i przygotować następny artykuł. Materiał jest już prawie gotowy – możemy omówić wszystkie przypuszczenia, dopisać ludzi z Cold Spring Harbor i Santa Barbara... Może nawet Millera. Nie można po prostu odrzucać oferty kogoś takiego jak Drew. Powinniśmy pogadać i z Jayem Nilesem. Uzyskać naprawdę solidną podstawę. Czy powinniśmy pójść dalej, wyłożyć pieniądze, zmierzyć się z ewolucją?

Owa możliwość tak naprawdę przerażała Kaye. Wyglądała na bardzo niebezpieczną. Kaye wolała dać Judith więcej czasu na sprawdzenie, do czego zdolna jest SHEVA. A bardziej rzeczowo, brakowało tu związku z ich podstawową działalnością, szukaniem nowych antybiotyków.

– Jestem zbyt zmęczona na myślenie – powiedziała. – Zapytaj mnie jutro.

Saul westchnął, rad nierad.

– Tyle zagadek, a tak mało czasu.

Kaye od lat nie widziała Saula równie energicznego i zadowolonego. Szybkim rytmem bił palcami po poręczy fotela i mruzczał coś cicho do siebie.

Innsbruck, Austria

Sam, ojciec Mitcha, znalazł go w holu szpitalnym, z zapakowaną jedyną torbą i nogą w ciężkim opatrunku gipsowym. Zabiegi chirurgiczne poszły dobrze, bolce usunięto przed dwoma dniami, noga goiła się jak należy. Był właśnie wypisywany. Sam pomógł Mitchowi wyjść na parking, niosąc jego torbę.

Odsunął do samego końca fotel pasażera w wynajętym oplu. Mitch niezdarnie wcisnął nogę, czując pewną niewygodę, i Sam wyjechał na ulicę w lekkim porannym ruchu. Jego ojcowskie oczy zerkały nerwowo w każdy zakątek.

– To nic w porównaniu z Wiedniem – powiedział Mitch.

– No tak, nie wiem, jak traktują cudzoziemców. Pewnie nie tak źle jak w Meksyku – odparł Sam. Ojciec Mitcha miał sztywne, brązowe włosy i mocno piegowatą, szeroką irlandzką twarz, wyglądającą na chętnie rozjaśniającą się uśmiechem. Sam uśmiechał się jednak rzadko, a w jego szarych oczach krył się błysk stalowego ostrza, którego Mitch nie zdołał nigdy zgłębić.

Mitch wynajął na skraju Innsbrucku mieszkanie z jedną sypialnią, ale nie był w nim od wypadku. Sam zapalił papierosa i zaciągał się nim pośpiesznie, gdy betonową klatką schodową wchodzili na pierwsze piętro.

– Bardzo ładnie zrobili ci nogę – powiedział Sam.

– Nie miałem wielkiego wyboru – odparł Mitch. Sam pomagał mu na zakrętach i ułatwiał opieranie się na kulach. Mitch znalazł klucze

i otworzył drzwi. Małe, niskie mieszkanie o nagich betonowych ścianach nie było od tygodni ogrzewane. Zajrzał do łazienki i pojął, że będzie musiał przykucać nad muszlą pod kątem i dość wysoko; gips nie mieścił się między sedesem a ścianą.

– Będę musiał nauczyć się celować – powiedział ojcu po wyjściu z toalety. Wywołało to uśmiech Sama.

– Następnym razem wybieraj większą łazienkę. Jest tu ciasno, ale czysto – skomentował. Włożył ręce do kieszeni. – Twoja matka i ja mamy nadzieję, że wrócisz do domu. Chcielibyśmy.

– Pewnie wrócę na trochę – powiedział Mitch. – Jestem trochę jak zbity pies, tato.

– Bzdura – szepnął Sam. – Nic cię nigdy nie zbiło.

Mitch popatrzył na ojca obojętnie, potem okręcił się na kulach i spojrzał na złotą rybkę, którą przed miesiącami dostał od Tilde. Przyniosła małą szklaną kulę i trochę jedzenia i postawiła wszystko na półce w małej kuchni. Dbał o rybkę nawet po zerwaniu związku.

Ryba zdechła, teraz była tylko warstewką pleśni unoszącą się na wodzie wypełniającej kulę do połowy. Poziomy osadu z opadającej wskutek parowania wody znaczyły linie na szkle. Dość makabryczne.

– Cholera – rzucił Mitch. Zupełnie zapomniał o rybce.

– Co to? – Spytał Sam, patrząc na kulę.

– Reszta po związku, który omal mnie nie zabił – odparł Mitch.

– Całkiem dramatyczna.

– Całkiem rozczarowująca – poprawił Sama Mitch. – Może powinien to być rekin. – Podał ojcu carlsberga wyjętego z małej lodówki przy zlewie kuchennym. Wziął też piwo dla siebie i wypił jakąś jedną trzecią, chodząc po dużym pokoju.

– Masz tu jakieś niezłałatwione sprawy? – Spytał Sam.

– Nie wiem – odparł Mitch, niosąc torbę do śmiesznie małej sypialni o nagich, betonowych ścianach i jednej lampie na suficie,

wyposażonej w żebrowany klosz z przejrzystego szkła. Rzucił torbę na karimatę, wykręcił się niezdarnie na kulach, wrócił do dużego pokoju.

– Chcą, abym pomógł im znaleźć mumie.

– No to niech opłacą ci przyłot tutaj – powiedział Sam. – Wracamy.

Mitch pomyślał o sprawdzeniu automatycznej sekretarki. Licznik przyjętych wiadomości zatrzymał się na maksymalnej liczbie trzydziestu.

– Pora wracać do domu i odzyskać siły – nalegał Sam.

Brzmiało to całkiem rozsądnie. Wrócić do domu, gdy się ma trzydzieści siedem lat, pozwalać mamie gotować, tacie nauczać go wiązania muszek czy co tam zechce, odwiedzać ich przyjaciół, zostać znowu małym chłopcem, bez ponoszenia odpowiedzialności za nic nazbyt ważnego.

Mitch poczuł ucisk w brzuchu. Wcisnął guzik cofania taśmy automatycznej sekretarki. Gdy kręciła się na szpuli, zadzwonił telefon. Mitch podniósł słuchawkę.

– Przepraszam – powiedział po angielsku męski tenor. – Czy to Mitch Rafelson?

– Jak najbardziej – odparł Mitch.

– Powiem coś panu, a potem się pożegnamy. Może poznaje pan mój głos, ale... Nieważne. Znaleźli w jaskini pańskie ciała. Ludzie z Uniwersytetu w Innsbrucku. Bez pańskiej pomocy, jak sędzę. Nikogo jeszcze nie powiadomili, nie wiem dlaczego. Nie żartuję, to żaden kawał, Herr Rafelson.

Wyraźny stuk i połączenie zostało przerwane.

– Kto to był? – Zapytał Sarn.

Mitch prychnął i spróbował rozluźnić zaciśniętą szczękę.

– Gnojki – odpowiedział. – Kpią sobie ze mnie. Stałem się sławny, tato. Jestem sławnym, głupkowskim świrem.

– Bzdura – powtórzył Sam. Jego rysy stężały w niezadowoleniu

i gniewie. Mitch patrzył na ojca z mieszaniną miłości i wstydu; to Sam najbardziej przejęty, najbardziej opiekuńczy. – Wyjdźmy z tej szcurzej nory – rzucił ojciec z odrazą.

Long Island, stan Nowy Jork

Kaye zrobiła Saulowi śniadanie tuż po wschodzie słońca. Wyglądał na przybitego, siedząc przy stole kuchennym z sękatej sosny i powoli sącząc z kubka czarną kawę. Wypił już trzy, niedobry znak. W dobrym nastroju – „dobry Saul” – nigdy nie przekraczał jednego kubka dziennie. Jeśli zacznie znowu palić... Kaye wzięła jajecznicę i tost i usiadła przy mężu. Saul pochylał się, nie zważając na nią, i jadł powoli, starannie, między każdym kęsem pociągając kawę. Gdy skończył, skrzywił się i odsunął talerz.

– Niedobre jajka? – Zapytała spokojnie Kaye.

Rzucił jej długie spojrzenie i pokręcił głową. Poruszał się wolniej, kolejny nie najlepszy znak.

– Zadzwoiłem wczoraj do Bristol-Myers Squibb – powiedział. – Nie dobili targu z Lado i Eliawą, i najwyraźniej tego nie oczekują. W Gruzji dzieje się coś związanego z polityką.

– Może to dobre wieści?

Saul znowu pokręcił głową i przestawił krzesło w stronę drzwi na werandę i szarego poranka za nimi.

– Zadzwoiłem też do znajomego w Merck. Powiedział, że w Eliawie coś się szykuje, ale nie wie co. Lado Dżakeli przyleciał do Stanów i spotkał się z nimi.

Kaye urwała w połowie westchnienia i powoli, niesłyszalnie wypuściła powietrze. Znowu stąpa po cienkim lodzie... Ciało wie, jej

ciało wiedziało. Saul znowu cierpi, bardziej, niż okazuje. Przechodziła to co najmniej pięć razy. W każdej chwili mógł znaleźć paczkę papierosów, zaciągnąć się mocną, gorzką nikotyną, aby uładzić jakoś chemię mózgu, choć nie znosił palenia, nie znosił tytoniu.

– No to... Zostaliśmy na lodzie – powiedziała.

– Jeszcze nie wiem – odparł Saul. Mrużył oczy w przelotnym promieniu słonecznym. – Nie wspomniałaś mi o grobie.

Kaye zapłonila się jak dziewczę.

– Tak – przyznała zeszywniałym językiem – nie wspomniałam.

– Nie trafiło to też do gazet.

– Prawda.

Saul odsunął krzesło i chwycił krawędź stołu, wstał do połowy i wykonał serię pochylonych pompek z oczyma wbitymi w blat.

Kiedy skończył, po trzydziestu, usiadł znowu i wytarł twarz złożonym ręcznikiem papierowym, którego używał zamiast serwetki.

– Chryste, przepraszam, Kaye – powiedział ochryplym głosem. – Czy wiesz, jak się przez to czuję?

– Przez co?

– Przez to, że moja żona przeszła takie rzeczy.

– Wiesz, że na SUNY studiowałam medycynę sądową.

– Mimo to czuję się dziwnie – powiedział Saul.

– Chcesz mnie chronić. – Kaye położyła swe dłonie na jego dłoniach, roztarła mu palce. Saul powoli cofnął rękę.

– Jesteś przeciwko wszystkiemu. – Saul zatoczył nad stołem szeroki, obejmujący cały świat gest. – Przeciwno okrucieństwu i porażce. Głupocie. – Mówił coraz szybciej. – To jest polityczne. Jesteśmy podejrzani. Wiążą nas z Organizacją Narodów Zjednoczonych. Lado nie może nas wybrać.

– Chyba nie taka jest polityka tam, w Gruzji – odparła Kaye.

– Co, pojechałaś z zespołem ONZ i nie pomyślałaś, że może to nam

zaszkodzić?

– Jasne, że pomyślałam!

– Racja. – Saul przytaknął, teraz kiwał krzesłem w przód i w tył, jakby pozbywając się napięcia w karku. – Podzwonię jeszcze. Spróbuję się dowiedzieć, gdzie Lado ma spotkania. Najwyraźniej nie zamierza złożyć nam wizyty.

– No to zwiążmy się z ludźmi z Evergreen – powiedziała Kaye. – Mają duże doświadczenie, a niektóre z ich prac laboratoryjnych są...

– Za mało. Będziemy rywalizować z Eliawą i ich partnerem, ktokolwiek nim zostanie. Uzyskają patenty i pierwsi wyjdą z nimi na rynek. Zdobędą kapitał. – Saul potarł podbródek. – Mamy dwa banki, kilku wspólników i... Wielu ludzi oczekujących, że przypadnie to nam, Kaye.

Kaye wstała, ręce jej drżały.

– Przepraszam, ale tamten grób... To byli ludzie, Saulu. Ktoś musiał pomóc ustalić, jak umarli. – Wiedziała, że została zepchnięta do obrony, czuła przez to zmieszanie. – Byłam tam. Okazałam się przydatna.

– Pojechałabyś, gdyby ci nie kazali? – Spytał Saul.

– Nie kazali mi – odparła. – Nie musieli długo namawiać.

– Pojechałabyś, gdyby to nie było oficjalne?

– Jasne, że nie.

Saul wyciągnął rękę i znowu ją ujęła. Złapał jej palce w niemal bolesnym uścisku, potem jego powieki stały się ciężkie. Puścił palce, wstał, dolał sobie kawy.

– Kawa nie pomoże, Saulu – stwierdziła. – Powiedz, co z tobą. Jak się czujesz.

– Czuję się doskonale – zapewnił obronnie. – Lekarstwem, którego najbardziej potrzebuję, jest sukces.

– To nie ma nic wspólnego z interesami. Jest jak przyptyw. Masz

swoje przyływy do pokonania. Saul, sam mi tak mówiłeś.

Saul kiwał potakująco głową, ale nie patrzył na nią.

– Jedziesz dziś do laboratorium?

– Tak.

– Zadzwoń stąd, gdy się czegoś dowiem. Zwołaj na wieczór męskie zebranie z kierownikami zespołów w laboratorium. Zamów pizzę. Baryłkę piwa. – Mężnie starał się uśmiechać. – Potrzebujemy wyjść awaryjnych, i to szybko.

– Zobaczą, jak idzie nowa praca – powiedziała Kaye. Oboje wiedzieli, że obecne projekty, w tym także związane z bakteriocyną, przyniosą dochody najwcześniej za rok. – Jak szybko zostaniemy...

– Zostaw to zmartwienie mnie – odparł Saul.

Wyślizgnął się bokiem jak krab, kręcąc barkami w jedynym wyrazie samoironii, na jaki było go stać; objął ją jedną ręką, położył głowę na jej ramieniu. Gładziła go po włosach.

– Nie znoszę tego – powiedział Saul. – Naprawdę, naprawdę nie znoszę być taki.

– Jesteś bardzo silny, Saulu – szepnęła mu do ucha.

– Ty jesteś moją siłą – odparł i odsunął się, trąc policzek jak chłopczyk, którego pocałowano. – Kocham cię nad życie, Kaye. Wiesz o tym. Nie martw się o mnie.

Na chwilę w jego zmrużonych oczach pojawiło się zagubienie, zdziwienie, niemożliwe do ukrycia. Potem to minęło, opuścił ręce i wzruszył ramionami.

– Poradzę sobie, Kaye. Zwyciężymy. Muszę tylko zadzwonić tu i tam.

Debra Kim była szczupłą, miała szeroką twarz i gładki czepiec cienkich, czarnych włosów. Mieszanej krwi europejskiej i azjatyckiej, była w spokojny sposób stanowcza. Doskonale porozumiewała się z Kaye, choć boczyła się na Saula i większość mężczyzn.

Odizolowanym laboratorium cholery w EcoBacter Kim kierowała stalową ręką w aksamitnej rękawiczce. Było to drugie pod względem wielkości w EcoBacter laboratorium i znajdowało się na poziomie 3, bardziej niż pracowników chroniąc superczułe myszy Kim, chociaż z cholerą nie ma żartów. Korzystało w swych badaniach z pozbawionych genetycznie systemu odpornościowego myszy odmiany SCID, co jest skrótem od severe combined immunodeficient, czyli ciężki złożony niedobór immunologiczny.

Kim zabrała Kaye do zewnętrznego gabinetu laboratorium i poczęstowała ją kawą. Kilka minut gawędziły sobie, patrząc przez szybę z czystego akrylu na ustawione wzdłuż jednej ściany specjalne sterylne pojemniki z tworzywa sztucznego i stali, mieszczące ruchliwe myszy.

Kim pracowała nad otrzymaniem skutecznej i opartej na fagach terapii zwalczającej cholere. Myszom SCID przeszczepiono ludzkie tkanki jelitowe, których nie mogły odrzucić; stały się w ten sposób maleńkimi ludzkimi modelami zarażenia cholere.

Projekt pochłonął setki tysięcy dolarów i niewiele dawał, ale Saul go nie zarzucał.

– Nicki z księgowości mówi, że zostały nam może trzy miesiące – rzuciła Kim bez ostrzeżenia, odstawiając kubek i uśmiechając się sztywno do Kaye. – Czy to prawda?

– Pewnie tak – odparła Kaye. – Trzy lub cztery. Chyba że zostaniemy partnerem Eliawy. Będzie to dostatecznie rajcowne, aby dać trochę nowego kapitału.

– Akurat – powiedziała Kim. – W zeszłym tygodniu odrzuciłam ofertę Procter Gamble.

– Mam nadzieję, że nie spaliłaś za sobą mostów.

Kim pokręciła głową.

– Podoba mi się tutaj, Kaye. Wolę pracować z tobą i Saulem niż

z prawie każdym innym. Nie staję się jednak coraz młodsza i chodzi mi po głowie bardziej ambitna praca.

– Jak nam wszystkim – stwierdziła Kaye.

– Jestem dość bliska leczenia dwukierunkowego – powiedziała Kim, podchodząc do akrylowej szyby. – Uzyskałam związek genetyczny endotoksyn z adhezynami. Cholerae przyczepiają się do naszych drobnych jelitowych komórek śluzowych i zmuszają je do picia. Ciało opiera się, wydalając błony śluzowe. Stąd rzadkie biegunki. Jestem w stanie stworzyć faga przenoszącego gen, który w bakteriach cholery przerywa produkcję fimbrii. Choć będą mogły wytwarzać toksyny, to nie fimbrie, a zatem nie zdołają łączyć się z komórkami śluzu w jelitach. Dostarczamy kapsułki z fagami do obszarów zarażonych cholera, i już po wszystkim. Możemy je stosować nawet w programach leczenia wodą. Sześć miesięcy, Kaye. Jeszcze tylko sześć miesięcy i będziemy mogli przekazać lek do Światowej Organizacji Zdrowia po siedemdziesiąt pięć centów za dawkę. Za ledwie czterysta dolarów na całe zakłady oczyszczania wody. Przy bardzo skromnym zysku można co miesiąc ratować kilka tysięcy osób.

– Ciekawe – powiedziała Kaye.

– Po co wyznaczać na wszystko terminy? – Spytała Kim miękko, dolewając sobie herbaty.

– Twoja praca nie zostanie zmarnowana. Jeśli padniemy, zabierzesz ją z sobą. Przejdiesz do innej spółki. I weźmiesz myszy. Proszę.

Kim roześmiała się, potem skrzywiła.

– To z twojej strony nierozsądna szczodrość. Co z tobą? Zamierzasz postawić wszystko na jedną kartę i zostać z długami, albo ogłosić bankructwo i zacząć pracować dla Squibb? Łatwo znajdziesz posadę, Kaye, zwłaszcza jeśli się zgłosisz, zanim przeminie sława. Ale co z Saulem? Ta spółka to całe jego życie.

– Mamy różne opcje – odparła Kaye.

Zmartwiona Kim opuściła kąciki ust. Położyła dłoń na ramieniu Kaye.

– Wszyscy znają jego cykle – powiedziała. – Czy ta niepewność wpływa na niego?

Kaye na te słowa na wpół się wzdrygnęła, na wpół obruszyła, jakby otrząsając się z wszystkich przykrości.

– Nie mogę mówić o Saulu, Kim. Wiesz o tym.

Kim wzniosła ręce ku niebu.

– Chryste, Kaye, może powinnaś wykorzystać całą tę sławę na zwrócenie uwagi na spółkę, poszukiwanie funduszy. Zapewnienie nam jeszcze roku...

Kim miała bardzo małe pojęcie, jak działa biznes. Pod tym względem była nietypowa; większość badaczy zajmujących się biotechnologią w prywatnych przedsiębiorstwach bardzo interesuje się prowadzeniem interesów. Nie ma franków, nie ma potwora Frankenstein, usłyszała od jednego z kolegów.

– Nie zdołamy nikogo przekonać, aby wsparł nasz wniosek o fundusze publiczne – tłumaczyła. – SHEVA nie ma nic wspólnego z EcoBacter, w każdym razie nie teraz. A cholera to zmartwienie Trzeciego Świata. Nie rajcuje, Kim.

– Czyżby? – Kim pomachała rękoma z oburzeniem. – A co u diabła rajcuje dzisiaj wielki, stary świat biznesu?

– Sojusze, wielkie zyski i wartość giełdowa – odparła Kaye.

Wstała i postukała palcami w plastikową szybę blisko jednej z klatek z myszami. Myszy w środku wspinały się na ścianę i węszyły, kręcąc noskami. Poszła do Laboratorium nr 6, gdzie prowadziła większość badań. Prace nad bakteriocyną miesiąc temu przekazała kilku stażystom po doktoracie z Laboratorium nr 5. Z tego laboratorium korzystali teraz asystenci Kim, ale pojechali na konferencję do Houston i pomieszczenia były zamknięte, a światła

zgaszone.

Gdy nie zajmowała się antybiotykami, jej ulubionym przedmiotem badań były kultury Henie 407, pochodzące z komórek jelitowych; korzystała z nich podczas żmudnych dociekań nad różnymi aspektami genomu ssaków i poszukiwań potencjalnie czynnego HERV. Saul ją do tego zachęcał, może niemądrze; mogłaby skupić się wyłącznie na badaniach bakteriocyty, ale Saul zapewniał ją, że ma złoty dotyk. Czego się tylko tknie, przyniesie to spółce korzyść.

A teraz zdobyła mnóstwo sławy, ale zero pieniędzy.

Przemysł biotechnologiczny w najlepszym razie nie zapomina. Może po prostu ona i Saul nie mają tego, co potrzeba.

Usiadła na środku laboratorium na obrotowym krześle, które jakoś straciło kółko. Przechyliła się w bok, z rękoma na kolanach i łzami spływającymi po policzkach. Uparty głosik z tyłu głowy powiedział jej, że tak dłużej być nie może. Ten sam głos stale ją ostrzegał, że dokonuje złych wyborów w życiu osobistym, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, jak mogłaby postąpić inaczej. Saul mimo wszystko nie był jej wrogiem; daleko mu było do brutalnego czy agresywnego faceta, padł po prostu ofiarą tragicznej nierównowagi biologicznej. Jego miłość do niej pozostawała czysta.

Łzy wywołał w niej zdradziecki głos wewnętrzny, który przekonywał, że powinna wygrzebać się z tego bagna, rzucić Saula, zacząć od początku; nie będzie lepszej pory. Może dostać pracę w laboratorium uniwersyteckim, wystąpić o fundusze na odpowiadający jej czysty projekt badawczy, porzucić ten przeklęty i zbyt dosłowny wyścig szczurów.

Saul był jednak taki kochany, taki dobry, gdy wróciła z Gruzji. Najgorsze załamania Saula były próbami jej granic. Po jego próbach samobójczych – dwóch – była wyczerpana i rozgoryczona, bardziej, niż chciała to przyznać. Snuła fantazje o innych mężczyznach,

spokojnych i normalnych, bliższych jej wiekiem.

Kaye nie wspomniała nigdy Saulowi o tych marzeniach, pragnieniach; zastanawiała się, czy sama nie powinna pójść do psychiatry, ale odrzuciła ten zamiar. Saul wydał na psychiatrów dziesiątki tysięcy dolarów, przeszedł pięć terapii lekami, przeżył całkowity zanik funkcji seksualnych i tygodnie niemożności jasnego myślenia. Cudowne leki na niego nie działały.

Co im zostanie, co jej zostanie z zapasów, jeśli fala znowu się odwróci i straci Dobrego Saula? Bycie przy Saulu w złych czasach zużyło już inne jej rezerwy – rezerwy duchowe, zyskane w dzieciństwie, kiedy słyszała od rodziców: Odpowiadasz za swoje życie, swoje postępowanie. Bóg obdarzył cię pewnymi talentami, pięknymi narzędziami...

Wiedziała, że jest dobra; kiedyś była samodzielna, silna, skupiona na sobie, i pragnęła poczuć się taka znowu.

Saul miał pozornie zdrowe ciało, takąż inteligencję i bystry umysł, a jednak się zdarzało, że nie z własnej winy nie potrafił panować nad swym życiem. Co wówczas sądził o Bogu i niewysłowionej duszy, o swoim ja? W jakże dużym stopniu sądy takie mogły być wypaczane substancjami chemicznymi...

Kaye nigdy nie znała się zbyt dobrze na Bogu, na wierze; sceny zbrodni w Brooklynie nadwerężyły jej ufność we wszelkiego rodzaju religie bajkowe; nadwerężyły, a potem zmiotły.

Ostatnią jednak z duchowych mrzonek, ostatnią nitką wiążącą ją ze światem ideałów, było przekonanie, że może panować nad swym postępowaniem.

Usłyszała, że ktoś wchodzi do laboratorium. Włączyła światło. Zepsute krzesło zaskrzypiało, gdy się odwracała. To Kim.

– Tu jesteś! – Powiedziała poblądła Kim. – Wszędzie cię szukałam.

– Gdzie indziej mogłabym być? – Spytała Kaye.

Kim podała jej przenośny telefon.
– Z twojego domu.

Centers for Disease Control and Prevention, Atlanta

– Panie Dicken, to nie jest dziecko. Nie miało nigdy możliwości zostania dzieckiem. Dicken podniósł wzrok znad fotografii i analiz poronień W Crown City. Sfatygowane stalowe biurko Toma Scarry’ego stało w głębi zatłoczonej terminalami komputerowymi salki o jasnoniebieskich ścianach, przylegającej do laboratorium patologii wirusowej w budynku nr 15. Błat biurka zaścielały dyskietki, zdjęcia, teczki z wydrukami. Scarry jakoś zdołał posortować swe projekty: w CDC należał do najlepszych analityków tkanek.

– No to czym jest? – Spytał Dicken.

– Na początku mogło być płodem, ale niemal wszystkie narządy wewnętrzne są mocno niedorozwinięte. Kręgosłup się nie zamknął – jednym z wytłumaczeń może być jego rozszczep, ale w tym przypadku całe wiązki nerwów odchodzą do masy pęcherzykowej w czymś, co gdzie indziej byłoby jamą brzuszną.

– Pęcherzykowej?

– Jakby jajnika, ale zawierającego jedynie z tuzin komórek jajowych.

Dicken ściągnął brwi. Miły południowy akcent Scarry/ego pasował do jego przyjacielskiej miny, ale uśmiech był smutny.

– Czyli... Byłaby to dziewczynka? – Spytał Dicken.

– Christopherze, ten płód poroniono, gdyż nigdy w życiu nie widziałem bardziej pochrzanionego materiału komórkowego. Aborcja była prawdziwym aktem łaski. Byłaby to może dziewczynka, ale coś bardzo złego zaszło w pierwszym tygodniu ciąży.

– Nie rozumiem...

– Głowa jest poważnie zniekształcona. Mózg to ledwo supełek tkanki na końcu skróconego rdzenia kręgowego. Nie ma żuchwy. Oczodoły są zwrócone na bok, jak u kotka. Czaszka przypomina bardziej lemura, ot co. Po pierwszych trzech tygodniach niemożliwe byłyby jakiegokolwiek działania mózgu. Po pierwszym miesiącu nie pojawiłby się żaden metabolizm. Ta rzecz stanowi narząd wymagający odżywiania, ale nie ma nerek, wątroba jest malutka, o żołądku i jelitach nie warto nawet wspominać... Rodzaj serca, ale znowu malutkiego. Kończyny to tylko drobne guzki. W sumie niewiele więcej niż jajnik z dostawą krwi. Skąd u diabła to pochodzi?

– Crown City Hospital – powiedział Dicken. – Ale tego nie rozpowiadaj.

– Mam buzię na kłódkę. Ile tego mieli?

– Kilka – odparł Dicken.

– Zacznę szukać dużego źródła teratogenów. Zapomnij o talidomidzie. Przyczyną jest istny koszmar.

– No. – Dicken przycisnął palcem kość nosową. – Ostatnie pytanie.

– Proszę. Potem wyrwiemy się stąd i wrócę do normalnego życia.

– Powiedziałeś, że to jajnik. Czy jajnik działający?

– Komórki jajowe były dojrzałe, jeśli o to pytasz. Jeden pęcherzyk wygląda na pęknięty. Mam to gdzieś... – Zerwał koszulki z kartek i wskazał, niecierpliwy i trochę zagniewany, bardziej na Naturę niż na mnie, pomyślał Dicken. – O, tutaj.

– Mamy więc płód, który owulował, zanim został poroniony? –

Zapytał Dicken z niedowierzaniem.

– Wątpię, aby do tego doszło.

– Brakuje nam łożyska – zauważył Dicken.

– Jeśli je dostaniesz, nie przynoś mi – poprosił Scarry. – I tak już jestem wystraszony. Och... Jeszcze jedno. Doktor Branch podrzuciła rano swoją próbkę tkanki. – Scarry pchnął na biurku pojedynczą kartkę, wydostawszy ją delikatnie spośród reszty.

Dicken podniósł ją.

– Chryste.

– Myślisz, że dokonała tego SHEVA? – Spytał Scarry, poklepując analizę.

W tkance płodu Branch znalazła wysoki poziom cząsteczek SHEVA – dużo ponad milion na gram. Cząsteczki zalały płód, czy jak tam można nazwać to dziwactwo; nie było ich zupełnie jedynie w masie pęcherzykowej, w jajniku. Na dole strony dołączyła krótką notatkę.

Cząsteczki te zawierają poniżej 80. 000 nukleotydów pojedynczej nici RNA. Wszystkie wiążą się z mającym 12. 000+ kilodaltonów niezidentyfikowanym zespołem białkowym w jądrze komórki gospodarza. Genom wirusowy wykazuje znaczącą zgodność homologiczną z SHEVA. Pogadaj z moim zespołem. Chciałabym dostać świeższe próbki, aby przeprowadzić dokładne PCR i sekwencjonowanie.

– No jak? – Spytał natarczywie Scarry. – SHEVA jest przyczyną, czy nie jest?

– Może – odparł Dicken.

– Czy Augustine dostał to, czego teraz potrzebuje?

Więści rozchodzą się szybko przy Clifton Road 1600.

– Nie wygadaj nikomu, Tom – powiedział Dicken. – Bardzo cię proszę.

– Ni słówka, panie. – Scarry palcem jakby zamknął usta na zamek.

Dicken włożył raport i analizę do teczki i zerknął na zegarek. Szósta. Augustine mógł być jeszcze w swoim gabinecie.

Sześć dalszych szpitali w Atlancie i okolicach, część sieci Dickena, zgłosiło wysoki odsetek poronień, dających podobne szczątki płodów. Coraz więcej było badanych i u ich matek natrafiano na SHEVE.

To już coś, z czym naczelna lekarz na pewno zechce się zapoznać.

Long Island, stan Nowy Jork

Jasnożółty samochód straży pożarnej i czerwony pogotowia stały na żwirowym podjeździe. Błyskały obracające się czerwone i niebieskie lampy, rozświetlając popołudniowe cienie starego domu. Kaye minęła wóz straży i z rozszerzonymi oczyma, wilgotnymi dłońmi i sercem w gardle zaparkowała przy karetce. Boże, Saul, nie teraz – powtarzała stale.

Chmury nadciągały od wschodu, przesłaniając popołudniowe słońce, wznosząc się szarą ścianą za jaskrawymi światłami ostrzegawczymi. Otworzyła drzwiczki samochodu, wysiadła i popatrzyła na dwóch strażaków, którzy obojętnie odwzajemnili jej wzrok.

Lekka, ciepła bryza łagodnie muskała jej włosy. Powietrze pachniało bliską wilgocią; wieczorem mogła rozpętać się burza.

Podszedł młody ratownik medyczny. Jego twarz wyrażała profesjonalną troskę, trzymał podkładkę do kartek.

– Pani Madsen?

– Lang – poprawiła. – Kaye Lang, Żona Saula. – Zdołała wziąć się w garść i po raz pierwszy dostrzegła samochód policyjny, stojący po drugiej stronie wozu straży pożarnej.

– Pani Lang, zadzwoniła do nas panna Caddy Wilson...

Caddy pchnęła drzwi frontowe i stanęła na ganku, za nią wyszedł policjant. Drzwi stuknęły za nimi, znajomy, miły odgłos stał się nagle złowieszczy.

– Caddy! – Kaye pomachała ręką.

Caddy zbiegła po schodkach, zaciskając przed sobą cienką bawełnianą spódniczkę, powiewały kosmyki jej bardzo jasnych włosów. Była pod pięćdziesiątkę, szczupła, miała silne, żyłaste ręce i męskie dłonie, ładną, oddaną twarz, duże brązowe oczy patrzące na Kaye jednocześnie z troską i odrobiną przerażenia, jak u konia gotowego ponieść.

– Kaye! Po południu przyszedłam do domu, jak zwykle...

Ratownik przerwał jej:

– Pani Lang, męża nie ma w domu. Nie znaleźliśmy go.

Caddy patrzyła na niego z urazą, jakby chciał ukraść jej opowieść.

– Dom wyglądał niewiarygodnie, Kaye. Krew...

– Pani Lang, może powinna pani najpierw porozmawiać z policją...

– Proszę! – Caddy wrzasnęła na ratownika. – Nie widzi pan, że jest przestraszona?

Kaye wzięła rękę Caddy i uciszała ją jak dziecko. Caddy wytarła przegubem oczy i pokiwała głową, dwukrotnie przetykając ślinę. Dołączył do nich policjant, wysoki i brzuchaty, o bardzo czarnej skórze, włosach gładko zaczesanych nad wysokim czołem i twarzy patrycjusza; miał mądre, zmęczone oczy o złotej twardówce. Pomyślała, że jest naprawdę wstrząśnięty, znacznie bardziej przejęty niż inni na podwórku.

– Pani... – Zaczął policjant.

– Lang – podsunął nazwisko ratownik.

– Pani Lang, pani dom jest jakby w stanie...

Kaye weszła po schodkach ganku. Zostawiała im rutynę i procedury. Musiała zobaczyć, co Saul zrobił, zanim pomyśli, gdzie może być, co mógł czynić po... Może czynić nawet teraz.

Policjant poszedł za nią.

– Czy mężowi zdarzały się już samookaleczenia, pani Lang?

– Nie – odparła Kaye przez zaciśnięte zęby. – Ogryzał paznokcie.

Dom były ciche, rozbrzmiewały tylko kroki innego policjanta, schodzącego po schodach. Ktoś otworzył okna salonu. Białe zasłony leżały na przeładowanej kanapie. Drugi policjant, po pięćdziesiątce, szczupły i blady, przygarbiony, z twarzą wiecznie wykrzywioną zmartwieniem, przypominał bardziej przedsiębiorcę pogrzebowego aniżeli koronera prowadzącego dochodzenie. Zaczął coś mówić, dalekimi i płynnymi słowami, ale Kaye minęła go, wspinając się schodami. Brzuchacz szedł za nią.

Saul bardzo szalał w sypialni. Szuflady były powyciągane, a ubrania porozrzucane wszędzie. Bez większego zastanowienia wiedziała, że szukał odpowiedniej bielizny, odpowiednich skarpetek, nadających się na jakąś specjalną okazję.

Popielniczkę na parapecie wypełniały niedopałki. Camele, bez filtra. Mocne. Kaye nie znosiła smrodu tytoniu.

Łazienka była lekko spryskana krwią. Wannę wypełniała do połowy różowa woda, czerwone ślady stóp wiodły od żółtej maty łazienkowej przez czarno-białą szachownicę kafelków do podłogi ze starego drewna tekowego i stamtąd do sypialni, gdzie urywały się resztki krwi.

– Teatralne – szepnęła, patrząc na lustro, na cienką mgiełkę krwi na szkle i zlewie. – Boże. Nie teraz, Saulu.

– Czy domyśla się pani, dokąd mógł się udać? – Zapytał brzuchaty policjant. – Czy zrobił to sobie sam, czy też to sprawka kogoś innego?

Niewątpliwie nie widziała niczego straszniejszego. Musiał ukrywać najgorszy ze swoich nastrojów, albo załamanie pogłębiało się w przerażającym tempie, blokując każdą odrobinę rozumu i odpowiedzialności. Nadejście silnej depresji opisał kiedyś jako długie, ciemne koce cienia zaciągane przez diabły o pociągłych twarzach i w pomiętych ubraniach.

– On, tylko on – powiedziała i zakasłała w kułak. Zadziwiająca, ale nie czuła mdłości. Zobaczyła łóżko, porządnie zasłane, z białą kapą podciągniętą i równo złożoną pod poduszkami, Saul próbował znaleźć ład i sens w pociemniałym świecie. Stała przy kółku rozbryzanych kropelek krwi na drewnie obok nocnego stolika. – Tylko on.

– Pan Madsen czuje się czasami bardzo źle – powiedziała Caddy z drzwi sypialni; dłoń z długimi palcami leżała płaska i biała na ościeżnicy z ciemnego klonu.

– Czy pani mąż miewał próby samobójcze? – Spytał ratownik.

– Tak – odparła. – Nigdy tak paskudne.

– Wydaje się, że podciął sobie żyły w wannie – powiedział smętny i szczypty policjant. Kiwał z rozważą głową. Kaye postanowiła nazywać go panem Zgonem, a drugiego panem Bykiem.

Panowie Byk i Zgon mogli tyle powiedzieć o domu, co i ona, a może więcej.

– Wyszedł z wanny – dodał pan Byk – i...

– Obwiązał sobie nadgarstki, jak Rzymianin próbujący przedłużyć pobyt na tym padole – ciągnął pan Zgon. Uśmiechnął się przepraszająco do Kaye. – Bardzo mi przykro.

– A potem musiał się ubrać i wyjść z domu.

Właśnie tak, pomyślała Kaye. Mają świętą rację.

Usiadła na łóżku, żałując, że nie jest z tych, co mdleją, odcinają się od wszystkiego, pozwalając działać innym.

– Pani Lang, może zdołamy odnaleźć pani męża...

– Nie zabił się – powiedziała. Szerokim gestem wskazała krew, korytarz i łazienkę. Szukała drobnej szczypty nadziei, myślała przez chwilę, że ją znalazła. – Zrobił źle, ale... Jak pan powiedział, sam to przerwał.

– Pani Lang... – Zaczął pan Byk.

– Trzeba go znaleźć i zabrać do szpitala – ciągnęła, a nagła

możliwość, że uda się uratować Saula, załamała jej głos. Zaczęła cicho łkać.

– Nie ma łodzi – powiedziała Caddy.

Kaye wstała szybko i podeszła do okna. Uklęła na niskim parapecie i wyjrzała na małą przystań, wychodzącą ze skalistej ściany brzegu na szarozielone wody zatoki. Brakowało cumującej tam żaglówki.

Kaye wzdrygnęła się, jakby zmarzła. Mogła powoli zacząć się godzić z tym, co będzie. Dzielność i zaprzeczanie nie były już w stanie przeciwstawiać się krwi i rzeczom nie na miejscu, Saul odszedł pokrecony, opanowany przez Smutne/Złe, wypalony Saul.

– Nie widzę jej – powiedziała Kaye ostro, wpatrując się w lekko sfalowane wody. – Ma czerwony żagiel. Nie ma go tutaj.

Poprosili o opis żaglówki, zdjęcia, dostarczyła jedno i drugie. Pan Byk zszedł na dół, przez drzwi frontowe do samochodu.

Kaye towarzyszyła mu przez część drogi, po czym skręciła do salonu. Nie chciała zostawać w sypialni. Pan Zgon i ratownik zadawali następne pytania, ale udzieliła bardzo niewielu odpowiedzi.

Fotograf policyjny i pomocnik koronera ze swym sprzętem weszli po schodach na górę.

Caddy przyglądała się temu wszystkiemu najpierw czujna jak żuraw, potem zafascynowana niby kotek. Wreszcie objęła Kaye, coś jej mówiła, otrzymała automatyczną odpowiedź, że wszystko będzie dobrze. Caddy chciała odejść, ale nie mogła się do tego zmusić.

W tej chwili do pokoju wszedł pomarańczowy kot Crickson. Kaye podniosła go i głaskała, zastanowiła się nagle, czy coś widział, potem przestała nad tym myśleć i postawiła go łagodnie na podłogę.

Minuty zdawały się wlec jak godziny. Światło przygasło za oknami salonu, rozbijały się o nie krople deszczu. Wreszcie wrócił pan Byk, a wyszedł z kolei pan Zgon.

Caddy patrzyła, czując wyrzuty za swe przerażenie i zafascynowanie.

– Nie możemy posprzątać za panią – powiedział jej pan Byk. Wręczył wizytówkę. – To mała spółka. Zajmuje się sprzątaniem takich rzeczy. Nie jest tania, ale bardzo sprawna. Mąż i żona. Chrześcijanie. Mili ludzie.

Kaye kiwnęła głową i wzięła wizytówkę. Miała teraz dość tego domu; chciałyby zamknąć drzwi i wyjść z niego.

Caddy została jako ostatnia.

– Gdzie chcesz nocować, Kaye? – Spytała.

– Nie wiem – odparła.

– Możesz pojechać do nas, moja droga.

– Dziękuję ci – powiedziała Kaye. – Mam leżankę w laboratorium. Chyba tam się prześpię. Czy możesz zająć się kotami? Nie mogę... Myśleć o nich teraz.

– Oczywiście. Złapię je. Czy mam tu wrócić? – Zapytała Caddy. – Posprzątać... No wiesz? Po tamtych?

– Zadzwoń – odparła Kaye, znowu bliska załamania. Caddy objęła ją silnie, aż zabołało, a potem poszła po koty. Dziesięć minut później odjechała i Kaye została sama w domu.

Żadnej kartki, wiadomości, niczego.

Zadzwoił telefon. Jakiś czas nie podnosiła słuchawki, ale telefon nie milknął, a automatyczna sekretarka była wyłączona, może przez Saula. Może to Saul, pomyślała nagle, przeklęła siebie za przelotną, ostatnią nadzieję i natychmiast chwyciła za słuchawkę.

– Czy mam przyjemność z Kaye?

– Tak. – Ochryple. Odchrząknęła.

– Pani Lang, tu Randy Foster z AKS Industries. Muszę porozmawiać z Saulem. O umowie. Czy jest w domu?

– Nie, panie Foster.

Pauza. Niezręczna. Co powiedzieć? Co teraz mówić? I kim jest Randy Foster, o jaką umowę chodzi?

– Przepraszam. Proszę mu powiedzieć, że nasi prawnicy właśnie skończyli i tekst jest gotowy. Umowy zostaną przysłane jutro. Wyznaczyliśmy zebranie na czwartą. Czekam na panią, pani Lang.

Wymamrotała coś i odłożyła słuchawkę. Przez chwilę myślała, że teraz się załamie, naprawdę załamie. Zamiast tego powoli, z ogromną uwagą, weszła po schodach i do wielkiej walizki zapakowała ubrania, które powinny wystarczyć na cały tydzień.

Potem wyszła z domu i pojechała do EcoBacter. Budynek był prawie pusty w porze kolacji, a nie chciała nic jeść. Swoim kluczem otworzyła mały gabinet na uboczu, gdzie Saul wstawił leżankę z kocami, potem zawahała się chwilę przed pchnięciem drzwi. Wreszcie zrobiła to powoli.

Mały pokój bez okien był ciemny, pusty i chłodny. Pachniał porządkiem. Wszystko jak należy.

Kaye rozebrała się, weszła pod beżowy wełniany koc i sztywne białe prześcieradło.

Rankiem, wczesnym, przed świtem, obudziła się spocona, drżąca, nie chora, ale przerażona widmem swej nowej roli, roli wdowy.

Londyn

Reporterzy znaleźli wreszcie Mitcha na Heathrow. Jego ojciec, Sam, siedział naprzeciw syna przy stoliku w ogródku położonym wokół otwartego baru z owocami morza, a piątka dziennikarzy, dwie kobiety i trzech mężczyźni, stłoczyła się tuż za niską zaporą z plastikowych roślin, otaczającą miejsce dla jedzących, i zasypała Mitcha pytaniami. Zaciekawieni i zdenerwowani podróżni patrzyli na nich od innych stolików albo pchali obok wózki z bagażami. – Czy to pan jako pierwszy stwierdził, że są prehistoryczni? – zapytała starsza kobieta, trzymająca w jednej ręce kamerę. Świadomie odsuwała czarne kosmyki pokrytych henną włosów, zerknęła na lewo i prawo, wreszcie skupiła wzrok na Mitchu w oczekiwaniu na odpowiedź.

Mitch sięgnął po sałatkę z krewetkami.

– Czy sądzi pan, że mają jakiś związek z człowiekiem z Pasco w USA? – Spytał jeden z mężczyzn, licząc wyraźnie, że go sprowokuje.

Mitch nie potrafił odróżnić od siebie trójki mężczyzn. Wszyscy byli po trzydziestce, ubrani w pomięte czarne garnitury, trzymali notatniki do stenografowania i magnetofony cyfrowe.

– Był pańskim ostatnim niepowodzeniem, prawda?

– Czy deportowano pana z Austrii? – Rzucił inny mężczyzna.

– Ile zapłacili panu zmarli wspinacze, aby nie wydał pan ich tajemnicy? Ile chcieli dostać za mumie?

Mitch odchylił się i przeciągnął ostentacyjnie, a potem się uśmiechnął. Farbowana kobieta wiernie to zarejestrowała. Sam pokręcił głową i skulił się, jakby nadciągnęła burzowa chmura.

- Zapytajcie mnie o dziecko – powiedział Mitch.
- Jakie dziecko?
- Zapytajcie mnie o niemowlę. Zwykłe niemowlę.
- Ile miejsc pan splądrował? – Zapytała z uciechą farbowana.
- W jaskini, obok rodziców znaleźliśmy niemowlę – powiedział Mitch i wstał, z nieprzyjemnym zgrzytem odsuwając żeliwne krzesło.
- Idziemy, tato.
- Świetnie – odparł Sam.
- Jakiej jaskini? Jaskini jaskiniowca? – Spytał mężczyzna w środku.
- Jaskiniowców – poprawiła go młodsza kobieta.
- Czy sądzi pan, że je porwali? – Zapytała farbowana, przesuwając językiem po ustach.
- Porwali niemowlę, zabili, zabrali do zjedzenia gdzieś w Alpy...
- Złapała ich burza, umarli! – Zapalał się mężczyzna z lewej strony.
- Co by to była za historia! – Rzucił trzeci mężczyzna od lewej.
- Pytajcie uczonych – powiedział Mitch i na kulach przepchał się do lady, aby zapłacić.
- Dawkują informacje, jakby chodziło o święte rozgrzeszenie! – Krzyknęła za nimi młodsza kobieta.

Waszyngton, Dystrykt Kolumbia

Dicken siedział obok Marka Augustine'a w gabinecie naczelnej lekarz kraju, doktor Maxine Kirby. Kirby była średniego wzrostu, krępa, o pięknych migdałowych oczach otoczonych czekoladową skórą mającą tylko kilka zmarszczek, choć dochodziła do sześćdziesiątki; zmarszczki te pogłębiły się jednak w ciągu ostatniej godziny. Była jedenasta wieczór, dwukrotnie już omówili szczegóły. Laptop po raz trzeci wyświetlał automatyczny pokaz wykresów i opisów, ale tylko Dicken się temu przyglądał.

Frank Shawbeck, zastępca dyrektora National Institutes of Health, otworzył ciężkie, szare drzwi i wrócił do pokoju po wizycie w toalecie na korytarzu. Wszyscy wiedzieli, że Kirby nie lubi, jak inni korzystają z jej prywatnej łazienki.

Naczelna lekarz wpatrywała się w sufit, a Augustine rzucił Dickenowi szybkie, skryte spojrzenie pełne niezadowolenia. Bał się, że prezentacja nie była przekonująca.

Kirby uniosła rękę.

– Proszę, wyłącz to, Christopherze. Mózg mi się lasuje. – Dicken wcisnął w laptopie klawisz escape i wyłączył projektor. Shawbeck zapalił światła w gabinecie i wsadził ręce do kieszeni. Przyjął postawę lojalnego wsparcia, stając przy narożniku szerokiego biurka Kirby z drewna klonowego.

– Te statystyki miejscowe – powiedziała Kirby – wszystkie

z sąsiednich szpitali, to silny punkt, dzieje się to w jednym miejscu...
A jeszcze ciągle otrzymujemy sprawozdania z innych miast i stanów.

– Bez przerwy – potwierdził Augustine. – Staramy się zachowywać spokój, ale...

– Pojawiają się podejrzenia. – Kirby ujęła swój palec wskazujący, wpatrując się w spiłowany, pomalowany paznokieć. Paznokieć był niebieskozielony. Naczelną lekarz miała sześćdziesiąt jeden lat, ale na paznokcie kładła młodzieżowy lakier. – W każdej chwili mogą trafić do wiadomości. SHEVA to więcej niż ciekawostka.

– Jest tożsama z grypą Heroda. Herod wywołuje mutacje i poronienia. Nawiasem mówiąc, ta nazwa...

– Jest być może strzałem w dziesiątkę – uzupełnił Shawbeck.

– Kto ją ukuł?

– Ja – powiedział Augustine.

Shawbeck grał rolę psa łańcuchowego. Dicken widywał go już jako przeciwnika Augustine'a i nigdy nie wiedział, na ile był szczery.

– No, Franku, Marku, to ma być moją amunicją? – Zapytała Kirby. Zanim zdołali odpowiedzieć, zrobiła zadowoloną, mądrą minę, wydeła usta i powiedziała: – Jest cholernie groźna.

– Właśnie – przytaknął Augustine.

– Ale to nie ma sensu – ciągnęła Kirby. – Coś wyskakuje z naszych genów i wywołuje u dzieci potworność... Mają tylko jeden, ogromny jajnik? Mark, co to u licha jest?

– Nie znamy etiologii, pani doktor – odparł Augustine. – Mamy opóźnienia, jedynie minimalny zespół może pracować przy każdym pojedynczym projekcie takim jak ten.

– Prosimy o więcej pieniędzy, Mark. Wiesz o tym. Nie sprzyja nam jednak nastrój w Kongresie. Nie chcę być przyłapaną na fałszywym alarmie.

– Biologicznie sprawa jest z najwyższej półki. Biologicznie to

tykająca bomba – powiedział Augustine. – Jeśli wkrótce tego nie ogłosimy...

– Do cholery, Mark – rzucił Shawbeck – nie mamy bezpośredniego powiązania! Łapiący tę grypę mają pełno SHEVY we wszystkich tkankach, i to przez tygodnie! A jeśli wirusy są stare, słabe i zupełnie bez werwy? Pojawiają się – machnął ręką – bo jest mniej ozonu i wszyscy jesteśmy bardziej napromieniowani ultrafioletem, albo z innego powodu, tak jak na spierzchniętych wargach występuje opryszczka? Może są nieszkodliwe, może nie mają nic wspólnego z poronieniami?

– Nie uważam tego za przypadkową zbieżność – powiedziała Kirby.
– Liczby są zbyt podobne. Chcę wiedzieć, dlaczego organizm nie zjada tych wirusów, nie pozbywa się ich?

– Ponieważ są uwalniane miesiącami w sposób ciągły – wyjaśnił Dicken. – Cokolwiek organizm z nimi robi, do ekspresji dochodzi stale w różnych tkankach.

– Jakich?

– Nie mamy jeszcze pewności – odparł Augustine. – Myślimy o szpiku kostnym i limfie.

– Nie ma żadnych oznak wiremii – powiedział Dicken. – Brakuje obrzmienia śledziony i węzłów chłonnych. Wirusy występują wszędzie, ale bez wywoływania skrajnych reakcji. – Nerwowo potarł podbródek. – Chciałbym poruszyć coś innego.

Naczelną lekarz popatrzyła na niego, a Shawbeck i Augustine, widząc jej skupienie, nic nie mówili.

Dicken przysunął się bliżej o kilka cali.

– Kobiety łapią SHEVE od stałych partnerów. Samotne – bez trwałych związków – jej nie dostają.

– To głupie – powiedział Shawbeck, krzywiąc się z odrazą. – Skąd u diabła choroba może wiedzieć, czy kobieta jest zaobrączkowana, czy

nie? – Teraz to Kirby zmarszczyła brwi. Shawbeck przeprosił. – Wiesz przecież, o co mi chodzi – stwierdził obronnie.

– Wynika to ze statystyk – wskazał Dicken. – Sprawdziliśmy je bardzo starannie. Mężczyźni zakażają swe partnerki po dość długim kontakcie. Homoseksualiści nie czynią tego swoim partnerom. Przy braku stosunków heteroseksualnych nie dochodzi do zakażenia. Choroba jest przekazywana drogą płciową, ale selektywnie.

– Chryste – powiedział Shawbeck; Dicken nie potrafił stwierdzić, czy w jego głosie brzmi wątpliwość, czy przerażenie.

– Przyjmijmy to na razie – stwierdziła naczelnia lekarz. – Dlaczego SHEVA pojawiła się teraz?

– Niewątpliwie SHEVA i ludzie są z sobą od dawna związani – odparł Dicken. – Może być ludzkim odpowiednikiem fagu lizogenego. W bakteriach fagi lizogenne ulegają ekspresji, kiedy bakteria jest stymulowana zagrożeniem jej życia – można to nazwać stresem. Może SHEVA reaguje na czynniki powodujące stres u ludzi. Przeludnienie. Warunki bytowe. Napromieniowanie.

Augustine rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Jesteśmy cholernie bardziej złożeni od bakterii – stwierdził.

– Myślisz, że SHEVA pojawiła się teraz wskutek przeludnienia? – Spytała Kirby.

– Możliwe, ale nie w tym rzecz – odparł Dicken. – Fagi lizogenne mogą czasami pełnić funkcje symbiotyczne. Pomagają bakteriom przystosowywać się do nowych warunków, a nawet do nowych źródeł pożywienia czy otoczenia, wymieniając z nimi geny.

– A jeśli SHEVA pełni u nas jakąś pożyteczną rolę?

– Nie pozwalając na rozrost populacji? – Powątpiewał Shawbeck. – Stres od przeludnienia wywołuje ekspresję małych specjalistów od aborcji? O rany.

– Może, nie wiem – odparł Dicken, nerwowo wycierając dłonie

o spodnie. Kirby dostrzegła to, popatrzyła na niego zimno, trochę onieśmielająco.

– A kto wie? – Spytała.

– Kaye Lang – odparł.

Augustine zrobił mały ruch ręką, niewidoczny dla minister. Dicken stał po bardzo cienkim lodzie. Nie omawiali tego przedtem.

– Chyba natknęła się na SHEVEĘ przed kimkolwiek innym – powiedziała Kirby. Otworzyła szerzej oczy, pochyliła się nad biurkiem i spojrzała na niego wyzywająco. – Skąd jednak, Christopherze, wiedziałeś... W sierpniu, w Gruzji? Odezwał się twój instynkt łowiecki?

– Czytałem jej artykuły – odparł Dicken. – Pisze bardzo fascynujące rzeczy.

– Ciekawe. Po co Mark wysłał cię do Gruzji i Turcji? – Zapytała Kirby.

– Rzadko wysyłam Christophera gdziekolwiek – odpowiedział Augustine. – Ma węch wilka, kiedy szuka godnego nas łupu.

Kirby wpatrywała się w Dickena.

– Nie bądź taki skromny, Christopherze. Mark kazał ci węszyć za groźną chorobą. Podziwiam to – przypomina medycynę profilaktyczną zastosowaną w polityce. A w Gruzji z panią Kaye Lang spotkałeś się przypadkiem?

– W Tbilisi jest biuro CDC – wtrącił Augustine, starając się pomóc.

– Którego pan Dicken nie odwiedził, choćby w celach towarzyskich – powiedziała naczelną lekarz, ściągając brwi.

– Szukałem jej. Podziwiam jej pracę.

– I nic jej nie powiedziałeś.

– Nic ważnego.

Kirby odchyliła się do tyłu w fotelu i spojrzała na Augustine'a.

– Czy możemy ją ściągnąć? – Spytała.

– Ma jakieś kłopoty – odparł Augustine.
– Jakiego rodzaju? – Pytała dalej.
– Zaginał jej mąż, może popełnił samobójstwo – wyjaśnił Augustine.
– Było to ponad miesiąc temu – powiedział Dicken.
– Chyba ma i inne kłopoty. Zanim zniknął, mąż, aby mieć na spłatę kapitału wysokiego ryzyka sprzedał ich spółkę bez jej wiedzy, o czym najwidoczniej nie miała pojęcia.

Dicken nie słyszał o tym. Najwyraźniej Augustine sam zasięgnął języka o Kaye Lang.

– Jezu – powiedział Shawbeck. – Czyli jest wrakiem człowieka i zostawiamy ją w spokoju, dopóki nie dojdzie do siebie?

– Skoro jest potrzebna, to nie – stwierdziła Kirby. – Panowie, nie podoba mi się to. Nazwijcie to kobiecą intuicją, skutkiem działania jajników i tak dalej. Chcę wszystkich specjalistów, Mark, jakich możemy zdobyć.

– Zadzwoń do niej. – Augustine poddał się wyjątkowo szybko jak na niego. Czuł pismo nosem, dostrzegał, skąd wieje wiatr. Dicken trafił dobrze.

– Dzwon – powiedziała Kirby, okręcając się w fotelu, aby spojrzeć prosto na Dickena. – Christopher, na miłość boską, ciągle myślę, że coś ukrywasz. Co takiego?

Dicken uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Nic ważnego.

– Tak? – Kirby uniosła brwi. – Najlepszy specjalista od wirusów w NCID? Mark powiedział, że wierzy w twój nos.

– Czasami Mark jest niestety zbyt szczery – stwierdził Augustine.

– No – przyznała Kirby. – Christopher też powinien być szczery. Co powiedział ci twój nos?

Dicken był trochę zaniepokojony pytaniem naczelnego lekarza, nie chciał odkrywać swoich kart, dopóki były jeszcze słabe.

– SHEVA jest bardzo, bardzo stara – ustąpił.

– I?

– Nie mam pewności, czy to choroba.

Shawbeck prychnął szybko, z powątpiewaniem.

– Mów dalej – zachęcała Kirby.

– To dawny składnik biologii człowieka. Jest w naszym DNA tak długo, jak istnieje człowiek. Może robi to, co powinna.

– Zabijać dzieci? – Rzucił zgryźliwie Shawbeck.

– Regulować jakieś szersze funkcje na poziomie gatunku.

– Pozostańmy na twardym gruncie – wtrącił szybko Augustine. – SHEVA to herod. Powoduje poważne uszkodzenia dzieci i poronienia.

– Powiązanie jest według mnie silne – powiedziała Kirby.

– Pewnie mogę to sprzedać prezydentowi i Kongresowi.

– Zgadza się – przystał Shawbeck. – Choć z głębokimi obawami. Zastanawiam się, czy cała ta tajemnica nie zepchnie nas czasem z drogi i nie sprawi, że ugryziemy się w tyłek.

Dicken poczuł odrobinę ulgi. O mało nie przegrał w przedbiegach, ale zdołał zachować na później asa; ślady SHEVY w zwłokach z Gruzji. Otrzymał właśnie wyniki od Marii König z Uniwersytetu Stanu Waszyngton.

Nowy Jork

Siedząc w fotelu z ciemnobrązowej skóry w gabinecie z kosztowną okładziną, Kaye zastanawiała się, dlaczego wysoko opłacani prawnicy ze Wschodniego Wybrzeża wybrali tak eleganckie i ponure otoczenie. Palcami przyciskała na poręczy mosiężne główki gwoździ tapicerskich. Prawnik reprezentujący AKS Industries, Daniel Munsey, stał przy biurku J. Roberta Orbisona, od trzydziestu lat prawnika rodziny Lang.

Ojciec i matka Kaye zmarli przed pięciu laty i ta nie płaciła odtąd Orbisonowi za gotowość. Po zniknięciu Saula oraz oszałamiających wieściach z AKS i od radcy prawnego EcoBacter, wchłanianego teraz przez AKS, w szoku zwróciła się do Orbisona. Przekonała się, że jest przyzwoity i opiekuńczy, powiedział też, że nie weźmie od niej więcej, niż przez trzydzieści lat brał od pana i pani Lang.

Orbison był chudy jak szczapa, miał haczykowaty nos, łysą czaszkę, plamy od starości na całej głowie i policzkach, wąsy przykrywające pieprzyki, drżące, wilgotne usta, wodniste, niebieskie oczy, ale nosił piękny, modny garnitur w prążki z szerokimi kłapami i krawat niemal całkowicie wypełniający wycięcie kamizelki.

Munsey miał trochę ponad trzydzieści lat, był przystojny w mroczny sposób, mówił łagodnie. Nosił gładki tabaczkowy garnitur z wełny i znał się na biotechnologii prawie tak jak ona; pod pewnymi względami lepiej.

– AKS może nie być odpowiedzialne za niepowodzenia pana

Madsena – powiedział Orbison mocnym, łagodnym głosem – ale w tych okolicznościach sądzimy, że pańska spółka powinna mieć wzgląd na panią Lang.

– Wzgląd pieniężny? – Munsey uniósł ręce w zdumieniu.

– Saul Madsen nie zdołał namówić swoich inwestorów do dalszego finansowania spółki. Najwyraźniej skupił się na umowie z grupą badawczą z Gruzji. – Pokręcił ze smutkiem głową. – Moi klienci wykupili inwestorów. Ich cena jest bardziej niż przyzwoita, zważywszy na to, co stało się później.

– Kaye włożyła mnóstwo pracy w przedsiębiorstwo. Rekompensata za własność intelektualną...

– Wniosła wielki wkład w naukę, ale nie w żaden produkt, z którym potencjalny nabywca mógłby wejść na rynek.

– Na pewno należy się jej jednak rekompensata za wkład w renome nazwy EcoBacter.

– Pani Lang nie była prawnym współwłaścicielem. Saul Madsen wyraźnie uważał żonę jedynie za pracownika na szczeblu kierowniczym.

– To godny pożałowania błąd, że pani Lang o to nie zadbała – przyznał Orbison. – Ufała mężowi.

– Uważamy, że ma prawo do tego, co pozostanie ze wspólnego majątku. EcoBacter po prostu nie wchodzi już w jego skład.

Kaye odwróciła wzrok.

Orbison spuścił oczy na pokryty szkłem blat biurka.

– Pani Lang jest sławnym biologiem, panie Munsey.

– Panie Orbison, pani Lang, AKS Industries kupuje i sprzedaje przynoszące zyski firmy. Po śmierci Saula Madsena EcoBacter przestał przynosić zyski. Nie ma cennych patentów ani powiązań z innymi spółkami czy instytucjami, które można by renegocjować poza naszą kontrolą. Jedyne produkt, który może trafić na rynek, lek

na cholerę, jest w istocie własnością tak zwanego pracownika. Pan Madsen był zdumiewająco szczodry w umowach.

– Będziemy szczęśliwi, jeśli majątek trwały pokryje dziesięć procent naszych kosztów. Pani Lang, nie możemy nawet wypłacić pensji za ten miesiąc. Nie ma niczego do kupienia.

– Sądzymy, że w ciągu pięciu miesięcy, wykorzystując swą sławę, pani Lang zdoła zebrać grupę solidnych sponsorów i wznowić pracę EcoBacter. Lojalność pracowników jest bardzo wysoka. Wielu podpisało zobowiązania dalszej pracy dla Kaye i pomocy w odbudowie spółki.

Munsey ponownie podniósł ręce: akurat.

– Moi klienci postępują zgodnie ze swym wyczuciem. Być może pan Madsen powinien był sprzedać swą spółkę firmie innego rodzaju. Przy całym szacunku dla pani Lang, a nikt nie ceni jej bardziej niż ja, nie prowadziła ona żadnej pracy, która przynosiłaby natychmiastowe korzyści handlowe. Biotechnologia to dziedzina bardzo konkurencyjna, jak pani wie, pani Lang.

– Przyszłość jest taka, jaką zdołamy ją stworzyć, panie Munsey – odparła Kaye.

Munsey ze smutkiem pokręcił głową.

– Ma pani moje poparcie, pani Lang, ale jestem tylko małym żuczkiem. Pozostali w firmie... – Urwał.

– Dziękuję, panie Munsey – powiedział Orbison i zrobił z dłoni daszek, pod którym schował swój długi nos.

Munsey wyglądał na zamurowanego tą odprawą.

– Bardzo mi przykro, pani Lang. Mamy nadal kłopoty z zamknięciem gwarancji i zakończeniem negocjacji z towarzystwem ubezpieczeniowym, wynikające ze sposobu zniknięcia pana Madsena.

– Nie wróci, jeśli o to się pan martwi – powiedziała Kaye łamiącym się głosem. – Znaleźli go, panie Munsey. Nie wróci, nie pośmieje się

z nas i nie powie mi, jak mam sobie radzić w życiu.

Munsey patrzył na nią uważnie.

Nie mogła przestać. Tryskała słowami.

– Znaleźli go na skałach w Long Island Sound. Był w strasznym stanie. Zdołałam go rozpoznać jedynie po obrączce.

– Ogromnie mi przykro, nie wiedziałem – powiedział Munsey.

– Ostateczna identyfikacja nastąpiła dziś rano – powiadomił go spokojnie Orbison.

– Tak bardzo mi przykro, pani Lang.

Munsey wycofał się i zamknął za sobą drzwi.

Orbison patrzył na nią w milczeniu.

Kaye wytarła oczy wierzchem dłoni.

– Nie miałam pojęcia, ile dla mnie znaczy, jak bardzo staliśmy się jednym mózgiem, pracując razem. Myślałam, że mam swój umysł i swoje życie... A teraz jest zupełnie inaczej. Czuję się mniej niż połową człowieka. Saul nie żyje.

Orbison kiwał głową.

– Po południu wracam do EcoBacter i odprawię małą żałobę ze wszystkimi ludźmi. Powiem im, że mogą szukać pracy i że będę tu, aby ich wspierać.

– Jesteś mądra i młoda. Uda ci się, Kaye.

– Wiem, że się uda! – Powiedziała z zapałem. Uderzyła pięścią w kolano. – Do licha z nim... Drań. Gnojek! Nie miał prawa, do diabła!

– Żadnego prawa, do diabła – przytaknął Orbison. – To podła i tania sztuczka zwać wszystko na kogoś takiego jak ty. – Jego oczy lśniły ogniem gniewu i współczucia, który mógł się przenieść na salę sądową; płonął emocjami jak zardzewiała lampa biwakowa firmy Coleman.

– Jasne. – Rozglądała się dziko po pokoju. – O Boże, będzie tak ciężko. A wiesz, co jest w tym najgorsze?

- Co, moja droga? – Spytał Orbison.
- Częstka mnie jest zadowolona – odparła Kaye i zaczęła łkać.
- No, no – powiedział Orbison, znowu stary i zmęczony.

Centers for Disease Control and Prevention, Atlanta

– Mumie neandertalskie – powiedział Augustine. Przeszedł szybko mały gabinet Dickena i rzucił na jego biurko zwiniętą gazetę. Czas biegnie. Nie tylko „Time”, ale i „Newsweek”. Dicken odsunął plik kopii wyników sekcji zwłok niemowląt i płodów, przeprowadzonych w ostatnich dwóch miesiącach w Northside Hospital w Atlancie, i wziął gazetę. To „Atlanta Journal-Constitution”, a nagłówek brzmiał: „Para z lodu potwierdzona jako prehistoryczna”.

Przeczytał artykuł bez większego zainteresowania, tylko z grzeczności, i spojrzął na Augustine’a.

– W Waszyngtonie robi się gorąco – powiedział dyrektor. – Poprosili mnie o zorganizowanie zespołu specjalnego.

– Pokierujesz nim?

Augustine przytaknął.

– To dobra wiadomość – powiedział Dicken ostrożnie, czując nadciągającą burzę.

Augustine popatrzył nań surowo.

– Wykorzystaliśmy zebrane przez ciebie statystyki, napędziły prezydentowi stracha jak diabli. Naczelną lekarz pokazała mu jeden z poronionych płodów. Oczywiście na zdjęciu. Mówi, że nigdy nie

widziała go równie przejętego sprawą służby zdrowia. Chce, abyśmy ogłosili wszystko z pełnymi szczegółami. „Umierają dzieci” powiedział. „Jeśli można coś poradzić, poradzicie, i to zaraz”.

Dicken czekał cierpliwie.

– Doktor Kirby uważa, że może to być operacja na całego.

– Może przynieść dodatkowe fundusze, a jeszcze większe sumy na współpracę międzynarodową.

Dicken przygotowywał się do okazania współczucia.

– Nie chcą mnie rozpraszać, dlatego nie ja mam wystąpić w jej imieniu. – Oczy Augustine’a stały się świdrujące, twarde.

– Shawbeck?

– Dostał, co chciał. Prezydent wtrącił jednak swoje trzy grosze. Jutro będzie konferencja prasowa o grypie Heroda. „Wojna na wszystkich frontach z międzynarodowym zabójcą”. Lepsza niż choroba Heinego-Medina, a politycznie to strzał w dziesiątkę, inaczej niż AIDS.

– Całowanie i uszczęśliwianie dzieci?

Augustine nie uznał tego za zabawne.

– Cynizm do ciebie nie pasuje, Christopherze. Jesteś idealistą, pamiętasz?

– Wszystko przez naładowaną atmosferę – powiedział Dicken.

– No. Mam najpóźniej jutro w południe przedstawić do zatwierdzenia przez Kirby skład zespołu i jako pierwszego wybieram oczywiście ciebie. Pogadam wieczorem z ludźmi z NIH i z kilkoma łowcami głów naukowców z Nowego Jorku. Dyrektor każdej agencji będzie chciał wziąć w tym udział. Moja praca to po części rzucanie im ochłapów, którymi będą się mogli zajmować, zanim spróbują się zmierzyć z całym problemem. Czy możesz złapać Kaye Lang i powiedzieć jej, że będzie na liście?

– Tak – odparł Dicken. Serce biło mu mocno. Ledwo mógł

oddychać. – Sam chciałbym wskazać parę osób.

– Mam nadzieję, że nie całą armię.

– No skądże.

– Potrzebuję zespołu – powiedział Augustine – a nie warcholskiej bandy wasali. Żadnych primadonn.

Dicken się uśmiechnął.

– A kilka diw?

– Jeśli będą śpiewały w chórze. Pora na hymn narodowy. Potrzebuję dyskretnego sprawdzenia, czy nie będzie czegoś śmierdzącego. Martha i Karen z kadr zajmą się tym dla nas. Żadnych wywrotowców i zapaleńców. Żadnych kotów chodzących swoimi drogami.

– Jasne – powiedział Dicken. – Ale to wyłącza mnie.

– Mały geniusz. – Augustine poślinił palec i odhaczył nim coś w powietrzu. – Dopuszczam tylko jednego. Sprawa rządowa. Bądź O szóstej w moim biurze. Przynieś kilka papierowych kubków pepsi kubetek lodu z laboratorium, czystego lodu, dobrze?

Long Island, stan Nowy Jork

Gdy Kaye parkowała swój samochód, przed głównym wejściem do EcoBacter stały trzy wozy do przeprowadzek. Minęła dwóch mężczyzn, wiozących obok recepcji lodówkę laboratoryjną z nierdzewnej stali. Inny oceniał wagę licznika mikroplątek, a za nim czwarty niósł komputer osobisty. EcoBacter był śmiertelnie podgryzany przez mrówki. To właściwie bez znaczenia. I tak nie została mu już ani jedna kropla krwi.

Poszła do swego gabinetu, jeszcze nietkniętego, i zamknęła za sobą drzwi na cztery spusty. Siedząc na niebieskim fotelu biurowym – wartym z dwieście dolców, bardzo wygodnym – włączyła komputer na biurku i zalogowała się na stronie pośrednictwa pracy Międzynarodowego Stowarzyszenia Firm Biotechnologicznych.

Przedstawiciel w Bostonie powiedział jej prawdę. Co najmniej czternaście uniwersytetów i siedem spółek było nią zainteresowanych. Przejrzała oferty. Stały etat, zorganizowanie od początku i kierowanie małym laboratorium badań wirusowych w New Hampshire... Profesor nauk biologicznych na prywatnej uczelni w Kalifornii, szkoła chrześcijańska, Południowych Baptystów...

Uśmiechnęła się. Z UCLA School of Medicine była oferta pracy z uznanym profesorem genetyki – brak nazwiska – w zespole badawczym zajmującym się chorobami dziedzicznymi i ich związkami z aktywacją prowirusów. Zaznaczyła ją.

Po piętnastu minutach odchyliła się do tyłu i dramatycznie potarła czoło. Nigdy nie lubiła szukać pracy. Nie mogła jednak pozwolić, aby przeminęło jej pięć minut; nie zdobyła jeszcze żadnej nagrody, może czekać na nią całe lata. Teraz była właściwa pora, aby zajęła się swoim życiem i wyszła z cienia.

Zaznaczyła trzy z dwudziestu jeden ofert jako warte przyjrzenia się im bliżej i już miała dosyć, spociała się pod pachami.

Mając złe przeczucie, sprawdziła e-maile. Wśród nich znalazła lakoniczny list od Christophera Dickena z NCID. Nazwisko zabrzmiało jej znajomo; potem sobie przypomniała i zaczęła kłać monitor, widniejącą na nim wiadomość, życie, jakie ma teraz, paskudną całość.

Debra Kim zapukała w przejrzyste szkło drzwi gabinetu. Kaye zaklęła znowu, bardzo głośno, i Kim zajrzała z uniesionymi brwiami.

– Wrzeszczysz na mnie? – Spytała niewinnie.

– Mam dołączyć do zespołu specjalnego w CDC – odparła Kaye i walnęła dłonią w biurko.

– Praca rządowa. Wielki projekt zdrowotny. Swoboda prowadzenia badań wedle własnych planów.

– Saul nienawidził pracy w laboratorium rządowym.

– Saul był cholernym indywidualistą – powiedziała Kim i usiadła na skraju biurka Kaye. – Czyszczą teraz mój sprzęt. Domyślam się, że nie zostało mi tutaj nic do roboty. Zabrałam swoje zdjęcia, dyskiety i... Chryste, Kaye.

Kaye wstała i objęła Kim, gdy ta wybuchła płaczem.

– Nie wiem, co mam zrobić z myszami. Myszami wartymi dziesięć tysięcy dolarów!

– Znajdziemy laboratorium, w którym przetrzymają je dla ciebie.

– Jak je przewieziemy? Są pełne Vibrio! Muszę złożyć je tutaj w ofierze, zanim zabiorą sprzęt do sterylizacji i piec do spalania.

– Co mówią ludzie z AKS?

– Zamierzają je zostawić w odizolowanej przechowalni. Nic nie zrobią.

– To niewiarygodne.

– Mówią, że to moje patenty i moje zmartwienie.

Kaye siadła, potem przerzucała kartotekę kołową, licząc na natchnienie, ale nadaremnie. Kim nie wątpiła, że znajdzie pracę za miesiąc czy dwa, a nawet będzie mogła prowadzić dalej prace z użyciem myszy SCID. Będą to jednak nowe myszy i straci pewnie z pół roku, a może nawet cały.

– Nie wiem, co ci powiedzieć – przyznała Kaye łamiącym się głosem. Poddała się, bezradnie podnosząc rękę.

Kim podziękowała Kaye – choć ta nie bardzo wiedziała za co. Znowu się uściskały i Kim wyszła.

Dla Debry Kim i innych byłych pracowników EcoBacter Kaye nie mogła zrobić nic, a w najlepszym razie mogła niewiele. Wiedziała, że jest winna tej katastrofie w równej mierze co Saul, odpowiadała za nią własną ignorancją. Nienawidziła zwiększania funduszy, nienawidziła księgowości, nienawidziła szukania pracy. Czy na tym świecie było coś praktycznego, co lubiła robić?

Przeczytała ponownie wiadomość od Dickena. Musiała w jakiś sposób znaleźć się znowu na fali, dołączyć do wyścigu. Krótkotrwała praca rządowa mogła być właśnie tym. Nie domyślała się, do czego potrzebował jej Christopher Dicken; ledwo przypominała sobie niskiego, tyjącego mężczyznę spotkanego w Gruzji.

Z telefonu komórkowego – linie w laboratorium odcięto – Kaye zadzwoniła pod numer Dickena w Atlancie.

Waszyngton, Dystrykt Columbia

– Mamy wyniki badań z czterdziestu dwóch szpitali w całym kraju – powiedział Augustine prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Wszystkie przypadki mutacji i wynikających z nich poronień płodów z badanego przez nas rodzaju wykazują pozytywny związek z obecnością grypy Heroda.

Prezydent siedział u czoła wielkiego stołu z polerowanego drewna klonowego, stojącego w Situation Room Białego Domu. Był wysoki i zażywny, z kędzierzawą grzywą siwych włosów lśniącą niby latarnia morska. Podczas kampanii wyborczej przewano go pieszczotliwie „Wacik”, a ta nazwa patyczka higienicznego, używana pogardliwie przez młode kobiety w odniesieniu do starszych mężczyzn, zaczęła wyrażać dumę i sympatię. Obok niego siedzieli wiceprezydent; spiker, czyli przewodniczący Izby Reprezentantów, demokrata; przywódca większości w Senacie, republikanin; doktor Kirby; Shawbeck; sekretarz stanu resortu zdrowia i opieki społecznej; Augustine; trzech asystenci prezydenta, w tym szef jego sztabu; urzędnik łącznikowy Białego Domu do spraw służby zdrowia; liczni inni, których Dicken nie rozpoznawał. To bardzo wielki stół, a na naradę przeznaczono trzy godziny.

Dicken musiał przed wejściem zostawić komórkę, pager i palmtop w punkcie kontrolnym, podobnie jak wszyscy inni. Zaledwie dwa tygodnie wcześniej wybuch „komórki” turysty spowodował znaczne

uszkodzenia Białego Domu.

Trochę rozczarowało go wyposażenie Situation Room – nie było w nim żadnych najnowocześniejszych ekranów ściennych, konsoli komputerów, tablic jak z filmów science fiction. Zwykła duża sala z wielkim stołem i mnóstwem telefonów. Za to prezydent słuchał uważnie.

– SHEVA to pierwszy potwierdzony przypadek przekazywania retrowirusów endogennych pomiędzy ludźmi – ciągnął Augustine.

– Grypę Heroda powoduje SHEVA, bez najmniejszych wątpliwości. Przez całe moje życie lekarza i naukowca nigdy się nie spotkałem z czymś równie wirulentnym. Jeśli kobieta w początkach ciąży zetknie się z herodem, jej płód – dziecko – zostanie poroniony. Nasze statystyki wykazują, że temu wirusowi można przypisać już ponad dziesięć tysięcy poronień. Zgodnie z naszymi obecnymi danymi, jedynym źródłem grypy Heroda są mężczyźni.

– Co za straszna nazwa – wtrącił prezydent.

– Trafna, panie prezydencie – powiedziała doktor Kirby.

– Straszna i trafna – ustąpił prezydent.

– Nie wiemy, co powoduje ekspresję u osobników męskich – kontynuował Augustine – choć podejrzewamy rodzaj feromonu uruchamiającego cały proces, może wydzielanego przez ich partnerki. Nie mamy pojęcia, jak to powstrzymać. – Rozdał kartki papieru. – Nasi statystycy mówią, że można przewidywać w przyszłym roku ponad dwa miliony przypadków grypy Heroda. Dwa miliony możliwych poronień.

Prezydent rozważał to starannie; większości dowiedział się podczas poprzednich spotkań od Franka Shawbecka i sekretarz stanu resortu zdrowia i opieki społecznej. Powtarzanie, pomyślał Dicken, jest konieczne, aby politycy mogli choć trochę pojąć, w jak naprawdę ciemnym lesie przebywają naukowcy.

– Ciągłe nie rozumiem, jak coś tkwiącego w nas samych może powodować aż tak wielkie szkody – powiedział wiceprezydent.

– Tkwiący w nas diabeł – dodał spiker Izby Reprezentantów.

– Podobne aberracje genetyczne mogą wywoływać raka – odparł Augustine. Dicken czuł, że trochę przesadził, a Shawbeck chyba też tak uważał. Nadeszła odpowiednia chwila na wyrażenie wsparcia przez niego czołowego pretendenta do stanowiska naczelnego lekarza, następcy Kirby.

– Mamy do czynienia z nowym problemem medycyny, nie budzi to żadnych wątpliwości – powiedział Shawbeck. – Przydarzył się nam jednak HIV. Wobec doświadczeń z nim jestem przekonany, że w ciągu sześciu, ośmiu miesięcy dokonamy przełomowych odkryć. W całym kraju, świecie, mamy poważne ośrodki badawcze, gotowe zmierzyć się z tym problemem. Opracowaliśmy program narodowy wykorzystujący możliwości NIH, CDC i National Center for Infectious and Allergic Diseases. Dzielimy tort, aby móc szybciej go zjeść. Nigdy, jako naród, nie byliśmy bardziej gotowi do poradzenia sobie z problemem tej wielkości. Zaraz po uruchomieniu programu do pracy przystąpi ponad pięć tysięcy badaczy z dwudziestu ośmiu ośrodków. Wezwiemy na pomoc przedsiębiorstwa prywatne i naukowców z zagranicy. Przygotowywany jest już program międzynarodowy. Wszystko zaczyna się tutaj. Panie i panowie, potrzebujemy jedynie szybkiej i skoordynowanej odpowiedzi od waszych instytucji.

– Nie przewiduję, aby ktokolwiek z obu stron Izby sprzeciwił się przyznaniu nadzwyczajnych funduszy – stwierdził spiker.

– Ani Senatu – dodał przywódca większości. – Podziwiam pracę wykonaną dotychczas, ale panowie, nie jestem tak entuzjastycznie jak chciałbym przekonany o naszych możliwościach naukowych. Panowie doktorzy Augustine, Shawbeck, minęło ponad dwadzieścia lat, zanim w ogóle zaczęliśmy radzić sobie z AIDS, pomimo

wpakowania w badania dziesiątków miliardów dolarów. Pięć lat temu na AIDS zmarła moja córka. – Rozejrzył się po stole. – Skoro ta grypa Heroda jest dla nas taka nowa, skąd można oczekiwać cudów w okresie sześciu miesięcy?

– Nie cudów – odparł Shawbeck. – Początków rozumienia.

– A zatem kiedy będziemy mieli kurację? Nie pytam o lekarstwo, panowie. Ale kurację? A co najmniej szczepionkę?

Shawbeck przyznał, że nie wie.

– Możemy jedynie jak najszybciej wyzwolić potęgę nauki – stwierdził wiceprezydent i rozejrzył się po stole trochę niepewnie, zastanawiając się, czym to się może skończyć.

– Powiem raz jeszcze, mam wątpliwości – powiedział przywódca większości. – Zastanawiam się, czy to nie znak. Może nadeszła pora posprzątać dom i wejrzeć głęboko w nasze serca, pogodzić się z naszym Stwórcą. Wyraźnie widać, że uwolniliśmy jakieś potężne moce.

Prezydent dotknął palcem nosa, minę miał poważną. Shawbeck i Augustine domyślali się dość, aby zachowywać milczenie.

– Panie senatorze – powiedział prezydent – modłę się, aby się pan mylił.

Po zakończeniu narady Augustine i Dicken poszli z Shawbeckiem bocznym korytarzem obok biur w podziemiu do windy w tyle.

Shawbeck był wyraźnie zły.

– Co za hipokryzja – mrucał. – Nie znoszę, gdy przywołują Boga. – Poruszał ramionami dla rozładowania napięcia karku i cicho, urywanie zachichotał. – Sam głosowałbym za kosmitami. Można to nazwać Archiwum X.

– Chciałbym móc się śmiać, Franku – powiedział Augustine – ale jestem śmiertelnie przerażony. Znaleźliśmy się wewnątrz białej plamy. Połowa aktywowanych przez SHEVEĘ białek jest nam nieznana.

Nie mamy pojęcia, co robić. Może to pociągnąć nas na dno jak kamień. Ciagle się zastanawiam. Dlaczego ja, Frank?

– Bo jesteś taki ambitny, Marku – odparł Shawbeck. – Znalazłeś ten kamień i zajrzałeś pod niego. – Uśmiechał się trochę drapieżnie. – Choć nie miałeś wyboru... Na dłuższą metę.

Augustine przechylił głowę na bok. Dicken wyczuwał jego zdenerwowanie. Sam był trochę otępiały. Płyniemy pod prąd niewłaściwego strumienia, pomyślał, i wiosłujemy jak szaleńcy.

Seattle Grudzień

Niepotrafiący długo usiedzieć na jednym miejscu Mitch spędził dzień z rodzicami na ich małej farmie w Oregonie, a potem pojechał Amtrakiem do Seattle. Wynajął mieszkanie na Capitol Hill, sięgnąwszy do dawnego funduszu emerytalnego, i za dwa tysiące dolarów pożyczone od przyjaciela z Kirkland kupił starego buicka skylarka. Na szczęście tak daleko od Innsbrucku mumie neandertalskie nie wzbudziły większego zainteresowania prasy. Udzielił jednego wywiadu: redaktorowi naukowemu „Seattle Timesa”, który potem okazał się dwulicowy i nazwał go dwukrotnym gwałcicielem zasad trzeźwego, praworządnego świata archeologii.

Tydzień po jego powrocie do Seattle Związek Pięciu Plemion W hrabstwie Kumash z wyszukaną ceremonią pogrzebał człowieka z Pasco na brzegach rzeki Columbia we wschodniej części stanu Waszyngton. Korpus Wojsk Inżynieryjnych dla zapobieżenia erozji zalał betonem miejsce pochówku. Naukowcy protestowali, ale nie poprosili Mitcha o wsparcie.

Bardziej niż cegokolwiek potrzebował czasu dla siebie i do namysłu. Miał oszczędności pozwalające przeżyć sześć miesięcy, ale wątpił, aby był to czas choć w przybliżeniu wystarczający na odzyskanie dobrego imienia i zdobycie znowu jakiejś pozycji.

Siedział z wyciągniętą nogą w gipsie przy wielkim oknie w wykuszu mieszkania, patrząc z góry na pieszych na Broadwayu. Nie

mógł przestać myśleć o z mumifikowanym dziecku, jaskini, wyrazie twarzy Franca.

Szklane probówki z tkankami mumii włożył do tekturowego pudełka ze starymi zdjęciami, a te z kolei schował za szafą. Zanim zrobi cokolwiek z tymi tkankami, musi przemyśleć, co właściwie odkrył.

Płynący z zadufania gniew nic nie da.

Dostrzegął związek. Rana samicy pasuje do obrażeń dziecka. Urodziła to dziecko, a może je poroniła. Samiec został z nimi, zabrał noworodka i owinał go w futra, choć dziecko pewnie przyszło na świat martwe. Czy napadł na samicę? Mitch nie sądził, aby tak było. Kochali się. Był jej oddany. Uciekali przed czymś. A skąd to wszystko wiedział?

Nie chodziło tu wcale o zdolności nadprzyrodzone czy rozmowy z duchami. Znaczna część pracy Mitcha polegała na badaniu wątpliwości dotyczących stanowisk archeologicznych. Czasami odpowiedzi pojawiały się podczas nocnych rozważań, albo gdy siedział na skałach, wpatrując się w chmury lub rozgwieżdżone nocne niebo. W rzadkich przypadkach w snach. Interpretacja jest jednocześnie nauką i sztuką.

Dzień po dniu Mitch rysował wykresy, pisał notatki, uwagi w kalendarzyku oprawionym w winyl. Na ścianie małej sypialni powiesił arkusz mocnego papieru i narysował z pamięci plan jaskini. Umieścił na nim papierowe sylwetki mumii. Siadywał, wpatrując się w papier i sylwetki. Mocno gryzł paznokcie.

Pewnego popołudnia wypił sześciopak piwa Coors – jednego z jego ulubionych nawilżaczy po zakończeniu długiego dnia wykopalisk, ale tym razem bez kopania, bez celu, jedynie dla spróbowania czegoś nowego. Stał się śpiący, wstał o trzeciej w nocy i poszedł na spacer obok restauracji sieci Jack-in-the-Box, knajpy meksykańskiej,

księgarni, stoiska sprzedawcy gazet, kawiarni Starbucks.

Wrócił do mieszkania i przypomniał sobie o sprawdzeniu poczty. W skrzynce była tekturowa paczka. Wchodząc schodami, potrząsał nią łagodnie.

Z księgarni w Nowym Jorku zamówił stary numer „National Geographic” z artykułem o Ötzi, Człowieku Lodu. Czasopismo przybyło owinięte gazetami.

Oddani. Mitch wiedział, że byli sobie oddani. Ze sposobu, w jaki leżeli obok siebie. Pozycji ramion samca. Pozostał z samicą, kiedy uciekali. Co u diabła – mów, jak należy. Mężczyzna pozostał z kobietą. Neandertalczykowie to nie podludzie; obecnie uznaje się powszechnie, że używali mowy i mieli złożone stosunki społeczne. Plemiona. Byli koczownikami, handlarzami, wytwórcami narzędzi, łowcami i zbieraczami.

Mitch próbował sobie wyobrazić, co mogło ich skłonić do ukrycia się w górach, w jaskini za warstwami lodu, przed dziesięcioma czy jedenastoma tysiącami lat. Może byli ostatnimi ze swego rodu.

Po narodzeniu się dziecka, będącego pod wieloma względami nie do odróżnienia od współczesnego niemowlęcia.

Zerwał gazety owijające czasopismo, otworzył je, przeszedł do rozkładówki pokazującej Alpy, zielone doliny, lodowce, miejsce, w którym Ötzi został niezdarnie wyciosany i wydłubany z lodu.

Człowiek Lodu jest teraz wystawiany we Włoszech. Po międzynarodowym sporze o miejsce znalezienia mających pięć tysięcy lat zwłok i licznych badaniach przeprowadzonych w Innsbrucku ostatecznie przypadł Włochom.

Austria ma pełne prawa do neandertalczyków. Zbada ich uniwersytet w Innsbrucku; może w tym samym zakładzie, gdzie badano Ötziego; potem będą przechowywani w wielkim chłodziu, przy kontrolowanej wilgotności, widoczni przez okienko, leżący obok

siebie, tak jak zmarli.

Mitch zamknął czasopismo i ścisnął nos dwoma palcami, wspomniawszy okropne poczucie zaplątania po odkryciu człowieka z Pasco. Wpadłem w złość. O mało nie trafiłem do więzienia. Pojechałem do Europy spróbować czegoś nowego. Znalazłem coś nowego. Wpadłem i wszystko popsułem. Straciłem całą wiarygodność. Choć wierzę w te niewiarygodne rzeczy, co mogę zrobić? Jestem grabieżcą grobów. Jestem przestępcą, rabusiem, i to dwukrotnym.

Leniwie wygładził pomięte strony, pochodzące z „New York Timesa”. Jego uwagę zwrócił artykuł w prawym dolnym narożniku oderwanego kawałka gazety. Nagłówek głosił: „Stare zbrodnie, nowy świat w Gruzji”. Zabobony i śmierć w cieniu Kaukazu. Ciężarne kobiety spędzone z trzech miasteczek, wraz z mężami lub partnerami, zabrane przez żołnierzy i policję, aby wykopały własne groby opodal miejscowości Gordi. Siedem całowych kolumn tekstu obok reklamy handlu akcjami giełdowymi przez Internet.

Skończywszy czytać artykuł, Mitch trząsał się z gniewu i podniecenia.

Kobietom strzelano w brzuch. Wszystkim mężczyznom w pachwiny, zostali też załuczeni. Skandal wstrząsnął rządem gruzińskim, który twierdził, że do mordów doszło w czasach Gamsachurdii, usuniętego z urzędu na początku lat osiemdziesiątych, ale niektórzy z rzekomych winnych nadal zajmowali wysokie stanowiska.

Przyczyna zamordowania mężczyzn i kobiet nie była wcale jasna. Część mieszkańców Gruzji oskarżała zmarłe o obcowanie z diabłem, przekonywała o konieczności ich zabicia; rodziły dzieci diabła, a u innych kobiet wywoływały poronienia.

Rozważano, czy kobiety te nie cierpiały na wczesną postać grypy Heroda.

Mitch pokuśtykał do kuchni, uderzając gołą piętą nogi w gipsie o nogę krzesła. Odskoczył, zaklął, potem się schylił i spod małej kupki gazet w kącie, obok szarego, zielonego i niebieskiego kubła na śmieci, wyciągnął początkową część „Seattle Timesa” sprzed dwóch dni. Nagłówek: oświadczenie prezydenta, minister zdrowia i sekretarza Health and Human Services o występowaniu grypy Heroda. Notatka w ramce – autorstwa tego samego redaktora naukowego, który tak surowo osądził Mitcha – wyjaśniała związek między grypą Heroda a SHEVA. Choroba. Poronienia.

Mitch usiadł na podnieszczonym fotelu obok okna wychodzącego na Broadway i spojrzął na swe drżące ręce.

– Wiem coś, czego nie wie nikt inny – powiedział, zaciskając ręce na poręczach fotela. – Nie mam jednak zielonego pojęcia, skąd to wiem ani co u licha z tym zrobić!

Nie było nigdy bardziej niewłaściwego człowieka do snucia równie niewiarygodnych domysłów, do wykonania równie wielkiego i pozbawionego podstaw skoku myślowego, aniżeli Mitch Rafelson. Dla wszystkich będzie lepiej, jeśli zaczną szukać twarzy na Marsie.

Teraz może tylko albo się poddać i sprowadzić kilkadziesiąt skrzynek coorsa, rozpocząć powolny i nudny upadek, albo zbić podest, z którego mógłby wystąpić, zbudować go z solidnie przebadanych naukowych desek.

– Ty dupku – powiedział, stojąc przy oknie ze strzępem opakowania z gazety w jednej ręce, nagłówkiem na pierwszej stronie w drugiej. – Ty przekłety... Niedojrzały... Dupku!

**Centers for Disease
Control and
Prevention,
Atlanta
Koniec stycznia**

Niskie, ospałe chmury, nikłe światło słoneczne wnikające przez okna gabinetu dyrektora. Mark Augustine odsunął się od bazgraniny przecinających się linii i nazwisk na białej tablicy, złapał się za łokieć, potarł nos. Na dnie skomplikowanego schematu, pod Shawbeckiem, dyrektorem NIH i nieogłoszonym jeszcze następcą Augustine'a w CDC znajdował się Zespół Specjalny do Badań Ludzkiego Prowirusa, w skrócie THUPR, od angielskiej nazwy Taskforce for Human Provirus Research. Skrót ten brzmiał, jakby ktoś sepleniący mówił „super”. Augustine nie znosił tej nazwy i zawsze mówił Zespół Specjalny; wyłącznie Zespół Specjalny. Machnął ręką w dół, w stronę klatek schodowych dyrekcji.

– Już pora, Frank. Wyjeżdżam stąd w przyszłym tygodniu, lecę do Bethesdy, na samo dno tej płątaniny na tablicy. Trzydzieści trzy szczeble w dół. Tak właśnie się dzieje. Szczyty biurokracji.

Frank Shawbeck odchylił się w fotelu.

- Mogło być gorzej. Rozplątywanie tego zajęło nam prawie miesiąc.
- Mógł wyjść mniejszy koszmar. Nadal jest koszmar.
- Znasz przynajmniej swego szefa. Odpowiadam zarówno przed

ministerstwem zdrowia, jak i prezydentem – powiedział Shawbeck. Wieści nadpłynęły dwa dni wcześniej. Shawbeck pozostanie w NIH, ale awansuje na dyrektora. – W samym środku starego cyklonu. Szczerze, jestem rad, że Maxine nie zechciała ustąpić. Ma w garści większe atuty ode mnie.

– Nie oszukuj się – stwierdził Augustine. – Jest lepszym politykiem od nas obu. Przyjmie cios, kiedy spadnie.

– Jeśli spadnie – poprawił Shawbeck, ale z ponurą miną.

– Kiedy, Frank – powtórzył Augustine. Shawbeck dostrzegł charakterystyczny dla niego uśmiech-grymas. – WHO chce, abyśmy koordynowali wszystkie poszukiwania zagraniczne – chcą też przyjechać do USA i przeprowadzić własne badania. Wspólnota Państw Niepodległych tonie... Rosja zbyt długo tyranizowała republiki. Niemożliwa jest tam żadna koordynacja, a Dicken nie zdołał wściubić nosa do Gruzji i Azerbejdżanu. Nie pozwolą nam prowadzić tam dochodzenia, dopóki nie ustabilizuje się sytuacja polityczna, cokolwiek ma to oznaczać.

– Bardzo tam źle? – Zapytał Shawbeck.

– Źle, tyle tylko wiemy. Nie proszą o pomoc. Mieli heroda przed dziesięciu albo dwudziestu laty, może dawniej... I radzili sobie z nim po swojemu, na poziomie lokalnym.

– Masakrami.

Augustine przytaknął.

– Nie chcieli, aby to wyszło na jaw, a na pewno nie chcą, abyśmy stwierdzili, że SHEVA pochodzi stamtąd. Duma ze świeżo odzyskanej niepodległości. Powinniśmy jak najdłużej ich nie denerwować, choćby po to, aby zachowywać możliwość oddziaływania.

– Jezu. A co z Turcją?

– Przyjęła naszą pomoc, wpuściła inspektorów, ale nie pozwoliła im działać przy granicach z Irakiem i Gruzją.

– Gdzie teraz jest Dicken?

– W Genewie.

– Informuje WHO na bieżąco?

– Powiadamia ich o każdym kroku – odparł Augustine. – Sporządza kopie raportów dla WHO i UNICEF. Senat znowu szumi.

– Grozi odroczeniem wpłat na ONZ, dopóki nie będziemy mieli jasności, kto płaci za co w skali świata. Nie chce, abyśmy to my otrzymali rachunek za kurację, którą opracujemy – bo na pewno nie wierzy, że dokona tego ktoś inny niż my.

Shawbeck podniósł rękę.

– Pewnie to będziemy my. Mam na jutro umówione spotkania z czterema dyrektorami naczelnymi firm – z Merck, Schering Plough, Lilly, Bristol-Myers. Za tydzień z Americol i Euricol. Chcą rozmawiać o podzieleniu się z nimi zadaniami i dotacjami. A na dobitkę dziś po południu przychodzi doktor Galio – domaga się dostępu do wszystkich naszych badań.

– To nie ma nic wspólnego z HIV – powiedział Augustine.

– Twierdzi, że może chodzić o podobne działanie receptora.

– To tylko domysł, ale jest sławny i ma mocne plecy w Waszyngtonie. I niewątpliwie może nam pomóc z Francuzami, skoro znowu współpracujemy.

– Jak mamy to załatwić, Frank? Cholera, moi ludzie znaleźli SHEVE u każdej małej człękokształtnej, od koczokodanów po goryle górskie.

– Za wcześnie na pesymizm – powiedział Shawbeck. – Minęły dopiero trzy miesiące.

– Frank, mamy czterdzieści tysięcy potwierdzonych przypadków heroda jedynie na Wschodnim Wybrzeżu! A na horyzoncie pusto! – Augustine walnął pięścią w tablicę.

Shawbeck pokręcił głową i uniół obie ręce, uciszając go cicho jak niemowlę.

Augustine zniżył głos i opuścił ramiona. Potem wziął szmatkę i starannie wytarł kant dłoni, który pobrudził tuszem z tablicy.

– Po jasnej stronie mamy to, że wieść się rozniosła – powiedział. – Liczba wejść na naszą witrynę o herodzie przekroczyła już dwa miliony. Czy słuchałeś wczoraj wieczorem Audrey Kordy w Larry King Live?

– Nie – odparł Shawbeck.

– Właściwie nazwała mężczyzn wcielonymi diabłami. Powiedziała, że kobiety poradzą sobie bez nas, że należy nas obłożyć kwarantanną... Pif-paf! – Strzelił palcami. – Nie będzie seksu, nie będzie SHEVY.

Oczy Shawbecka zalśniły jak mokre kamyki.

– Może ma rację, Mark. Czy widziałeś listę skrajnych środków przygotowaną przez naczelną lekarz?

Augustine przesunął dłonią po żółtych jak piasek włosach.

– Mam cholerną nadzieję, że nigdy nie dojdzie do jej przecieku.

Long Island, stan Nowy Jork

Kawałki strużek pasty do zębów na dnie zlewu wyglądały jak małe niebieskie kijanki. Kaye skończyła płukać usta, wypluła wodę łukiem, który zmył kijanki, i wytarła twarz ręcznikiem. Stała w drzwiach łazienki, patrząc przez długi korytarz na piętrze na zamknięte drzwi sypialni gospodarzy. To jej ostatnia noc w tym domu; przespaa ją w sypialni dla gości. Kolejny wóz do przeprowadzek – mały – przyjechał o jedenastej rano, aby załadować nieliczne rzeczy, które chciała zabrać z sobą. Caddy opiekuje się Cricksonem i Teminem.

Dom wystawiono na sprzedaż. Wobec zwyczajki na rynku dostanie ładną sumkę. Przynajmniej tego nie zabiorą wierzyciele. Saul zapisał dom na jej nazwisko.

Wybrała ubranie na dzisiaj – zwykłe białe majtki i biustonosz, bluzkę i pasujący do niej kremowy sweter, jasnoniebieskie spodnie – i wzięła z szafy parę ciuchów, których jeszcze nie spakowała. Miała już dosyć rozdzielania rzeczy, przeznaczania tego i owego dla siostry Saula, opisywania, które torby mają trafić do biednych, a które na śmietnik.

Prawie tydzień zajęło Kaye usuwanie śladów ich wspólnego życia, których nie chciała zabrać z sobą, a które według pośredniczki handlu nieruchomościami mogły nadawać „koloryt” temu miejscu w oczach potencjalnych nabywców. Wyjaśniła spokojnie szkodliwy efekt „wszystkich tych książek, czasopism naukowych... Są zbyt

abstrakcyjne. Zbyt chłodne. Niewłaściwy koloryt”.

Kaye wyobraziła sobie nadętych bufonów z wyższej półki, najeżdżających dom wybrzydzącymi, bezmyślnymi parami, starannie ubranych w tweedy i drogie mokasyny albo luźne jedwabne spodnie do kolan, maskujących oznaki prawdziwej indywidualności czy intelektu, ale uznających za zbyt pospolite porady dotyczące mody w dodatkach niedzielnych do gazet. Cóż, jej zdaniem dom miał pełno takiego rodzaju uroku. Wraz z Saulem kupowała meble, zasłony i dywany, które nie zakłócały zbytnio tego właśnie wdzięku. Ich osobiste życie miało jednak zostać wymazane, zanim dom trafi na rynek.

Ich osobiste życie. Saul nie chciał, aby trwało dłużej. Kaye usuwała ślady życia spędzonego razem; AKS rozwiązało i rozdzieliło ich życie zawodowe.

Pośredniczka litościwie nie wspomniała o krwawym postępku Saula.

Jak długo potrwa poczucie winy? Przestała schodzić po schodach i ugryzła opuszkę kciuka. Obojętnie, ile razy próbowała szarpnąć lejcami swego umysłu i wrócić na drogę, jaka jej pozostała, zbaczała zawsze w labirynt skojarzeń, na emocjonalne ścieżki wiodące głębiej w las nieszczęścia. Oferta z Zespołu Specjalnego Heroda była powrotem na prostą drogę, jej własną nową drogę, chłodną i równą. Osobliwości świata przyrody pomogą jej uleczyć osobliwości własnego życia, niesamowite, ale też możliwe do przyjęcia, do uwierzenia; potrafiła sobie wyobrazić swe życie biegnące tak właśnie.

Zabrzmiał melodyjnie dzwonek u drzwi. Eleanor Rigby, wybór Saula. Kaye zeszła i otworzyła. Na ganku stała z napiętą twarzą Judith Kushner.

– Przyjechałam, jak tylko dostrzegłam wzór – powiedziała. Miała na sobie czarną wełnianą spódnicę, czarne buty i białą bluzkę. Klamry

płaszcz przeciwdeszczowego marki London Fog ciągnęły się po ziemi.

– Cześć, Judith – odparła Kaye, nieco skonsternowana. Kushner złapała drzwi, spojrzała, jakby pytając o pozwolenie, i weszła do domu. Zerwała płaszcz i rzuciła go na milczącego lokaja z drewna klonowego.

– Zadzwoiłam do ośmiu osób, które znam, a Marge Cross skontaktowała się już ze wszystkimi. Pojechała osobiście tam, gdzie mieszkają, mówiąc, że udaje się na spotkanie w sprawie interesów – do licha, pięcioro mieszka wokół Nowego Jorku, wymówka jest więc dobra.

Marge Cross... z Americol? – Spytała Kaye.

– I z Euricol. Nie myśl, że nie pociągnęła za sznurki za granicą. Chryste, Kaye, ta baba prze jak czołg – ma teraz z sobą Lindę i Herba! A to dopiero początek.

– Judith, proszę cię, zwolnij.

– Fionę trochę zamurowało, kiedy odprawiłam Cross, słowo honoru! Nienawidzę tego korporacyjnego bagna. Nienawidzę jak diabli. Nazwij mnie socjalistką, dzieckiem lat sześćdziesiątych...

– Proszę – powiedziała Kaye, wysuwając rękę, aby powstrzymać lawinę. – To potrwa w nieskończoność, jeśli będziesz w takiej złości.

Kushner urwała i popatrzyła.

– Bystra jesteś, małeńka. Zdołałaś to przewidzieć.

Kaye chwilę lub dwie mrugała oczyma.

– Marge Cross, Americol, chce kawałka SHEVY?

– Będzie mogła nie tylko wypełnić swoje szpitale, ale też dostarczać im bezpośrednio każde lekarstwo, które opracowuje „jej” zespół. Programy leczenia na wyłączność dla związanych z Americolem placówek publicznej służby zdrowia. Ponadto zapowiada zespół specjalistów z najwyższej półki, a notowania jej spółek niebotycznie wzrosną.

– Chce mnie?

– Zadzwońiła do mnie Debra Kim. Powiedziała, że Marge Cross zamierza dać jej laboratorium, wyposażyć je w jej myszy SCID, wykupić prawa patentowe na leczenie cholery – za bardzo przyzwoitą sumę, tak iż stanie się bogata. I wszystko to, zanim pojawi się kuracja. Debra chciała wiedzieć, co powinna ci przekazać.

– Debra? – Wszystko to dla Kaye toczyło się zbyt szybko.

– Marge jest magistrem psychologii. Wiem to. W latach siedemdziesiątych byłam z nią na akademii medycznej. Jednocześnie studiowała zarządzanie. Mnóstwo energii, brzydka jak diabeł, żadnych kłopotów z facetami, ma więcej czasu, który ty i ja marnujemy na randki... Rzuciła w diabły nosze w 1987 i teraz popatrz na nią.

– Czego chce ode mnie?

Kushner wzruszyła ramionami.

– Jesteś pionierem, sławą... Szlag, Saul trochę zrobił z ciebie męczennicę, zwłaszcza dla kobiet... Kobiet, które przyjdą, szukając leczenia. Masz wspaniałe referencje, wspaniałe publikacje, wiarygodność wprost ciebie przepelnia. Myślałam, Kaye, że zastrzela posłańca. Teraz sędzę, że dadzą ci złoty medal.

– Boże. – Kaye weszła do salonu z pustymi ścianami i usiadła na świeżo oczyszczonej kanapie. Pokój pachniał mydłem, trochę olejkiem do kąpieli, jak w szpitalu.

Kushner powąchała i zmarszczyła nos.

– Pachnie, jakby mieszkały tu roboty.

– Ta z handlu nieruchomościami powiedziała, że powinno pachnieć czystością – powiedziała Kaye, zyskując dość czasu, aby wziąć się w garść. – A kiedy posprzątali na górze... Po Saulu... Został zapach. Pine-Sol. Lizol. Takie tam.

– Jezu – rzuciła cicho Kushner.

– Odprawiłaś Marge Cross? – Zapytała Kaye.

– Mam dość pracy, aby uszczęśliwiała mnie do końca życia,

małeńka. Nie potrzebuję maszynki do robienia forsy. Widziałaś ją w telewizji?

Kaye przytaknęła.

– Nie wierz w jej wizerunek.

Podjazd zachrzącił pod samochodem. Kaye wyjrzała przez boczne okno wykuszu i zobaczyła wielkiego chryslera koloru myśliwskiej zieleni. Wysiadł z niego młody mężczyzna w szarym garniturze i otworzył prawe tylne drzwiczki. Pojawiła się Debra Kim, rozejrzała wokół, osłoniła twarz przed zimną bryzą z nad wody.

Zaczęły padać rzadkie płatki śniegu.

Młody mężczyzna ubrany na szaro otworzył lewe środkowe drzwiczki i wygrzebała się Marge Cross, całe jej sześć stóp wzrostu, w granatowym wełnianym płaszczu, z siwiejącymi czarnymi włosami spiętymi w skromny kok. Powiedziała coś kierowcy, ten kiwnął głową, wrócił do samochodu, oparł się o niego, gdy Cross i Debra Kim ruszyły do ganku.

– Zamurowało mnie – powiedziała Kushner. – Działa z większą prędkością niż światło.

– Nie wiedziałaś, że przyjedzie?

– Nie tak szybko. Czy mam wybiec tylnymi drzwiami?

Kaye pokręciła głową i po raz pierwszy od wielu dni nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Nie. Chciałabym zobaczyć, jak obie kłócicie się o moją duszę.

– Kocham cię, Kaye, ale nie nadaję się do kłótni z Marge.

Kaye podeszła szybko do drzwi frontowych i otworzyła je, zanim Cross sięgnęła do dzwonka. Ta wpadła z szerokim, przyjacielskim uśmiechem; jej kanciasta twarz i zielone oczka wyrażały matczyną troskę.

Kim uśmiechała się nerwowo.

– Cześć, Kaye – powiedziała, rumieniąc się przy tym.

– Kaye Lang? Nie zostałyśmy sobie przedstawione – zapytała Cross. O Boże, pomyślała Kaye, ona naprawdę ma głosik jak Julia Child!

Zaparzyła w starym dzbanku pachnącą wanilią kawę rozpuszczalną i rozlała ją do porcelany, którą zostawiła w domu. Ani przez chwilę Cross nie dała jej odczuć, że podaje coś nieodpowiedniego i nie dość wyśmienitego dla kobiety wartej dwadzieścia miliardów dolarów.

– Jestem tutaj, aby się z tobą spotkać osobiście. Widziałam laboratorium Debry w AKS – powiedziała Cross. – Robi bardzo ciekawe rzeczy. Mamy dla niej miejsce. Debra wspomniała o twojej sytuacji...

Kushner zerknęła na Kaye i trochę za słabo pokiwała głową.

– I szczerze, już od miesiący chciałam ciebie poznać. Mam pięciu młodych ludzi czytających dla mnie literaturę fachową – wszyscy są bardzo przystojni i bardzo bystrzy. Jeden z najprzystojniejszych i najbystrzejszych powiedział mi: „Proszę to przeczytać”. Twój artykuł, przewidujący ekspresję dawnego prowirusa ludzkiego. Rany. Teraz jest bardziej na czasie niż kiedykolwiek. Kim powiedziała, że przyjąłś propozycję pracy dla CDC Dla Christophera Dickena.

– Właściwie dla Zespołu Specjalnego ds. Heroda, i Marka Augustine’a – poprawiła ją Kaye.

– Znam Marka. Umie dzielić się władzą. Będziesz pracować dla Christophera. Bystry chłopiec. – Cross ciągnęła, jakby rozmawiały o uprawianiu ogródka. – Zamierzamy zorganizować światowej klasy zespół badawczy zajmujący się herodem. Pragniemy znaleźć sposób leczenia, może nawet lekarstwo. Zapewnimy specjalistyczną kurację wszystkim szpitalom amerykańskim, ale nikomu nie sprzedamy zestawu. Mamy infrastrukturę, na Boga, mamy finanse... Współpracujemy z CDC, będziesz mogła zostać jednym z naszych przedstawicieli w HHS i NIH. Będzie to coś w rodzaju programu Apollo, z współpracą rządu i przemysłu na wielką skalę, ale tym

razem pozostaniemy wszędzie tam, gdzie wylądujemy. – Cross przesunęła się na kanapie, aby spojrzeć na Kushner. – Moja propozycja dla ciebie jest nadal aktualna, Judith. Chcę, abyście obie pracowały dla nas.

Kushner zachichotała prawie jak dziewczynka.

– Nie, dziękuję, Marge. Za stara ze mnie kobyła, aby dać sobie założyć nową uprząż.

Cross pokręciła głową.

– To nie żart, zapewniam.

– Naprawdę nie jestem gotowa na podwójne obowiązki – powiedziała Kaye. – Jeszcze nawet nie zaczęłam pracy w Zespole Specjalnym.

– Dziś po południu jestem umówiona z Markiem Augustine’em i Frankiem Shawbeckiem. Jeśli zechcesz, możesz polecieć ze mną do Waszyngtonu. Spotkamy się z nimi razem. Ty też jesteś zaproszona, Judith.

Kushner pokręciła głową, lecz tym razem jej śmiech był wymuszony.

Kaye kilka chwil siedziała w milczeniu, patrząc na swe splecione mocno ręce, knykcie i paznokcie na przemian białe i różowe, gdy ścisnęła i rozluźniała palce. Wiedziała, co odpowie, ale chciała usłyszeć od Cross coś więcej.

– Nigdy nie będziesz się musiała martwić o fundusze, o nic potrzebnego do pracy – powiedziała Cross. – Umieścimy to w twoim kontrakcie. Jestem ciebie pewna.

Ale czy ja chcę być klejnotem w twojej koronie, królowo? – Zastanawiała się Kaye.

– Polegam na intuicji, Kaye. Kazałam już ciebie sprawdzić moim ludziom z kadr. Uważają, że najwięcej dokonasz w następnych dziesięcioleciach. Pracuj z nami, Kaye. Żadne twoje dokonanie nie

zostanie zaniedbane ani zlekceważone.

Kushner roześmiała się znowu, a Cross uśmiechnęła do nich obu.

– Chcę opuścić ten dom najszybciej, jak zdołam – powiedziała Kaye.
– Do Atlanty pojedę dopiero w przyszłym tygodniu... Szukam tam teraz mieszkania.

– Poproszę moich ludzi, aby się tym zajęli. Znajdziemy coś ładnego w Atlancie lub Baltimore, gdziekolwiek zamieszkaż.

– O Boże. – Kaye lekko się uśmiechnęła.

– Wiem, że coś jeszcze jest dla ciebie ważne. Ty i Saul dużo pracowaliście w Gruzji. Mogę znaleźć dojsca, aby to uratować.

– Chciałabym mocno rozszerzyć badania nad terapią fagową. Sądzę, że zdołam namówić Tbilisi do wycofania nacisków politycznych. Wszystko to bardzo śmieszne – garść amatorów próbujących coś załatwić.

Cross położyła rękę na jej ramieniu i lekko je ścisnęła.

– Chodź teraz ze mną, polecimy do Waszyngtonu, spotkamy się z Markiem i Frankiem, z każdym, z kim tylko zechcesz porozmawiać, zorientujesz się trochę. Decyzję podejmiesz za kilka dni. Jeśli chcesz, poradź się swego adwokata. Damy ci nawet szkic kontraktu. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, zostaniesz w CDC, bez pretensji i urazy.

Kaye obróciła się do Kushner i na twarzy swej mentorki zobaczyła tę samą minę co wówczas, gdy powiedziała jej, że wychodzi za Saula.

– Jakie są ograniczenia, Marge? – Spytała Kushner spokojnie, składając ręce na podolku.

Cross rozsiadła się i zacisnęła usta.

– Nic nadzwyczajnego. Osiągnięcia naukowe idą na konto zespołu. Dział kadr spółki organizuje wszystkie informacje dla prasy i sprawdza zawczasu wszystkie artykuły przekazujące jakiegokolwiek informacje. Żadnych fochów primadonny. Nagrody finansowe są przydzielane w postaci bardzo szczodrych tantiem. – Splotła teraz

ręce. – Kaye, twój prawnik jest już starszawy i nie bardzo się orientuje w tych sprawach. Judith na pewno może polecić ci lepszego.

Kushner kiwnęła głową.

– Polecę bardzo dobrego... Jeśli Kaye poważnie rozważy twoją propozycję. – Głos miała trochę spięty, zdradzający rozczarowanie.

Nie nawykłam, aby zalecano się do mnie, przynosząc tylko pudełka czekoladek i bukiety róż, możesz mi wierzyć – powiedziała Kaye, patrząc na narożnik dywanu za stolikiem do kawy.

– Zanim podejmę decyzję, chciałabym się dowiedzieć, czego Zespół Specjalny oczekuje ode mnie.

– Jeśli wejdiesz ze mną do gabinetu Augustine’a, będzie wiedział, czego chcę. Myślę, że się zgodzi.

Kaye zaskoczyła siebie, mówiąc:

– W takim razie polecę z tobą do Waszyngtonu.

– Zasługujesz na to, Kaye – stwierdziła Cross. – I potrzebuję ciebie. Nie wybieramy się do lunaparku. Potrzebuję najlepszych badaczy, najlepszej zbroi, jaką można dostać.

Na dworze śnieg padał dużo mocniej. Kaye dostrzegła, że kierowca Cross wsiadł do samochodu i rozmawia przez komórkę. Zupełnie inny świat, taki szybki, zaafierowany, powiązany, dający tak mało czasu na myślenie.

Może tego właśnie potrzebowała.

– Zadzwońię to tego adwokata – powiedziała Kushner. Potem do Cross: – Chciałabym parę minut pogadać z Kaye w cztery oczy.

– Oczywiście – odparła Cross.

W kuchni Judith Kushner chwyciła Kaye za łokieć i popatrzyła na nią ze skupieniem i mocą, jakie rzadko było u niej widać.

– Pojmujesz, na co się zanosi – powiedziała.

– Na co?

– Będziesz figurantką. Połowę czasu będziesz spędzała w wielkich

gabinetach, rozmawiając z ludźmi o miłych uśmieszkach, którzy w twarz będą ci mówić, co tylko zechcesz usłyszeć, a potem szydzić za plecami. Będą cię nazywali pieskiem Marge, łaskawie przygarniętym.

– Och, czyżby – odparła Kaye.

– Będziesz myślała, że dokonujesz wielkich rzeczy, a pewnego dnia zrozumiesz, iż cały czas robiłaś tylko to, czego chce ona, nic więcej. Uważa, że ten świat jest jej, że działa według jej zasad. Wtedy ktoś przyjdzie i cię uratuje, Kaye Lang. Nie wiem, czy zawsze będę to ja. Dla twojego dobra mam nadzieję, że nie będzie to ktoś taki, jak Saul

– Doceniam twoją troskę. Dziękuję ci – powiedziała Kaye spokojnie, ale ze śladami sprzeciwu. – Ja też polegam na intuicji, Judith. A ponadto chcę się dowiedzieć, co jest z herodem. To nie będzie tanie. Chyba ma rację co do CDC. A jeśli zdołamy... Dokończyć naszą pracę z Eliawą? Dla Saula. Dla pamięci o nim.

Kushner rozluźniła się i oparła o ścianę, kręcąc głową.

– W porządku.

– Robisz z Cross diabolicę – powiedziała Kaye.

Judith zaśmiała się.

– Nie diabolicę. Choć też nie mojego bliźniego.

Drzwi kuchenne się otworzyły i weszła Debra Kim. Zerknęła nerwowo na Kaye, a potem powiedziała prosząco:

– Kaye, ona chce ciebie. Nie mnie. Jeśli nie wejdiesz na pokład, znajdzie sposób, aby zniweczyć moją pracę...

– Wchodzę w to – odparła Kaye, kiwając ręką. – Ale na Boga, nie mogę wyjechać właśnie teraz. Dom...

– Marge zadba o niego w twoim imieniu – powiedziała Kushner, jakby tłumaczyła leniwemu studentowi jakiś temat, który ją samą niezbyt pociąga.

– Zadba – potwierdziła Kim szybko. Jej twarz się rozjaśniła. – Jest zdumiewająca.

**Laboratorium
Naczelnych Zespołu
Specjalnego, Baltimore
Luty**

– Dzień dobry, Christopherze! Jak na kontynencie? – Marian Freedman przytrzymała otwarte tylne drzwi u szczytu betonowych schodów. Bardzo zimny wiatr gnał alejką. Dicken podciągnął zrobiony na drutach szalik i wchodząc po stopniach, przecierał zaspane oko. – Nie przestawiłem się jeszcze z czasu niemieckiego. Masz pozdrowienia od Bena Tice’a.

Freedman zasalutowała energicznie.

– Europa na tropie! – Zawołała dramatycznym tonem. – Co u Bena?

– Jest wykończony. W zeszłym tygodniu uzyskali białka płaszczu wirusa. Było to trudniejsze, niż sądzili. SHEVA nie krystalizuje.

– Powinien był zwrócić się do mnie – powiedziała Marian.

Dicken zdjął szalik i płaszcz.

– Dostanę gorącą kawę?

– W holu. – Poprowadziła go betonowym korytarzem pomalowanym na dziwaczny odcień pomarańczy i wskazała drzwi z lewej strony.

– Jak budynek?

– Wciąż. Słyszałeś, że inspektorzy znaleźli tryt w instalacji wodociągowej? W zeszłym roku był tu zakład przetwarzający odpadki

medyczne, ale w jakiś sposób tryt dostał się do rur. Nie mamy czasu na skargi i szukanie czegoś innego. Co za rynek! Tak więc... Dziesięć tysięcy kosztowało nas wstawienie czujników i wyposażenia. A jeszcze musimy codziennie sprowadzać do budynku inspektora promieniowania z NRC z jego wężącym psem.

Dicken stanął przed tablicą informacyjną na ścianie holu, podzieloną na dwie części: jedna była dużą, białą tablicą do pisania, a na lewo od niej wisiała płyta z korka, cała pokryta karteczkami. „Potrzebny współlokator: tańsze mieszkanie!” „Czy ktoś może w przyszłą środę zabrać z lotniska im. Dullesa mojego psa po kwarantannie? Cały dzień jestem zajęty”, „Czy ktoś zna dzienną opiekunkę do dzieci w Arlington?” „Potrzebuję podwiezienia w poniedziałek do Bethesdy. Najlepiej przez kogoś z metabolizmu lub wydalania: i tak musimy pogadać”.

Oczy zachodziły mu mgłą. Był zmęczony, ale widok dowodów, że wszystko tu zaczyna żyć, że ludzie przybywają, sprowadzają rodziny, zmieniają mieszkania, ściągają z całego świata, bardzo go podbudował.

Freedman podała mu kawę w parującym kubeczku.

– Świeża. Mamy dobrą kawę.

– Moczopędna – powiedział. – Powinna pomóc zmyć ten tryt.

Freedman sposepniała.

– Czy wywołaliście ekspresję? – Spytał Dicken.

– Nie – odparła Freedman. – Rozproszony małpi ERV nie przypomina jednak genomu SHEVY, to przerażające. Dowodzimy właśnie tego, co zakładaliśmy wcześniej: towar jest stary. Do genomu małpiego dostał się wcześniej niż do naszego, pochodzi od koczokodanów.

Dicken szybko wypił kawę i wytarł usta.

– Czyli to nie choroba – stwierdził.

– Oj, tego bym nie powiedziała. – Freedman wzięła jego kubeczek

i wyrzuciła. – Podlega ekspresji, rozprzestrzenia się, zaraza. To choroba, obojętnie skąd pochodzi.

– Ben Tice zbadał dwieście odrzuconych płodów. Każdy z nich zawiera wielką masę pęcherzykową, podobną do jajnika, ale mającą zaledwie około dwudziestu jajeczek. Każdy ma...

– Wiem, Christopherze. Trzy lub mniej rozpęchniętych pęcherzyków jajnikowych. Wczoraj wieczorem przysłał mi raport.

– Marian, łożyska są maleńkie, owodnia to zaledwie cienki woreczek, a po poronieniu, które odbywa się niewiarygodnie gładko – wiele kobiet nie czuje wcale bólu – nie dochodzi nawet do utraty śluzówki macicy. Jakby ciąża trwała nadal.

Freedman bardzo się ożywiła.

– Proszę, Christopherze...

Weszli dwaj dalsi badacze, obaj młodzi i czarnoskórzy, rozpoznali Dickena, choć go wcześniej nie spotkali, kiwnęli głowami na przywitanie i poszli w stronę lodówki. Freedman ściszyła głos.

– Christopherze, nie zamierzam stawać między tobą i Markiem Augustine'em, gdy posypią się iskry. Tak, wykazałeś, że ofiary gruzińskie miały w tkankach SHEVE. Ich dzieci nie były jednak tymi zniekształconymi workami na jajeczka. Płody były normalnie rozwinięte.

– Chciałbym dostać do zbadania któryś z nich.

– No to zdobądź go sobie gdzieś indziej. Christopherze, nie jesteśmy laboratorium kryminalistycznym. Dostałam tutaj stu dwudziestu trzech ludzi, trzydzieści koczkodanów plus dwanaście szympanсів i skupiamy się na bardzo szczegółowym zadaniu. Badamy ekspresję wirusa endogenego w tkankach małp. Wyłącznie. – Ostatnie słowa wypowiedziała cichym szeptem obok drzwi. Potem głośniejszym dodała: – Zajrzyj więc i zobacz, co robimy.

Poprowadziła Dickena małym labiryntem boksów, z których każdy

miał swój mały płaski monitor. Minęli kilka kobiet w białych fartuchach laboratoryjnych i technika w zielonym kombinezonie. Powietrze pachniało środkiem antyseptycznym, dopóki Marian nie otworzyła stalowych drzwi wiodących do głównego laboratorium zwierzęcego. Tam Dicken wyczuł znajomy zapach małpiego żarcia, ostry smród moczu i odchodów, a także woń mydła i środka odkażającego.

Freedman zabrała go do wielkiego, betonowego pomieszczenia z trzema szympancami; każda zajmowała osobną, zamkniętą klatkę z plastiku i stali. Każda klatka miała powietrze dostarczane oddzielnym systemem wentylacyjnym. Pracownik do najbliższej klatki wsadził zacisk prętowy, a szympanca usilnie próbowała odepchnąć obejmującą ją stal. Zacisk powoli się zacieśniał, gdy mężczyzna przesunął zębatkę, gwizdząc niemelodyjnie i czekając, aż małpa wreszcie się podda. Zacisk trzymał ją mocno; nie mogła już gryźć, tylko jedna łapa wysuwała się przez pręty, daleko od zajmującej się zwierzęciem laborantki.

Marian patrzyła z kamienną twarzą, jak unieruchomiona szympanca jest wyciągana z klatki. Zacisk zakotłosał się na gumowych kółkach, a laborantka pobrała krew i wymaz z pochwy.

Małpa skrzeczała i krzywiła się w proteście. Technik i laborantka nie zwracali uwagi na jej krzyki.

Marian podeszła do zacisku i dotknęła wyciągniętej łapki szympancy.

– No, Kiki. No, malutka. Przepraszamy, mileńka.

Palce małpy wiele razy pogładziły wewnątrz dłoni Marian.

Szympanca krzywiła się i piszczała, ale już nie wrzeszczała. Kiedy wróciła do swojej klatki, Marian obróciła się do robotnika i laborantki.

– Wywalę każdego sukinsyna, który traktuje te zwierzęta jak maszyny – warknęła niskim, twardym głosem. – Rozumiecie? Ona

potrzebuje towarzystwa. Została zgwałcona i chce kogoś dotykać, aby się uspokoić. Jesteście jej najbliżsi po przyjaciółach i rodzinie. Rozumiecie mnie?

Speszeni pracownik i laborantka przeprosili.

Marian minęła Dickena i skinęła głową, aby poszedł za nią.

– Na pewno będzie dobrze – powiedział Dicken, zdeprymowany tą sceną. – Ufam ci całkowicie, Marian.

Marian westchnęła.

– No to wracajmy do mojego pokoju i porozmawiajmy jeszcze.

Korytarz były pusty, drzwi na obu jego końcach zamknięte. Dicken robił przy mówieniu szerokie gesty.

– Przeciagnałem Bena ma moją stronę. Uważa to za ważne wydarzenie, a nie tylko chorobę.

– Wystąpi więc przeciwko Augustine'owi? Christopherze, dają nam fundusze wyłącznie na poszukiwania terapii! Jeśli to nie choroba, to po co terapia? Ludzie są przestraszeni, chorzy i myślą, że tracą dzieci.

– Odrzucone płody nie są dziećmi, Marian.

– A czym, u diabła? Muszę wiedzieć, na czym stoję, Christopherze. Gdy dostaniemy pełną podstawę teoretyczną...

– Zasięgam języka – powiedział Dicken. – Powiedz mi, co myślisz.

Marian stanęła za swoim biurkiem, położyła dłonie na blacie z laminatu, popukała w niego krótkimi paznokciami. Wyglądała na rozdrażnioną.

– Jestem genetykiem i biologiem molekularnym. Guzik wiem o wszystkim innym. Co wieczór pięć godzin zajmuje mi samo przeczytanie jednej setnej tego, co się dzieje w mojej dziedzinie.

– Masz dostęp do sieci MedWeb? Bionet? Virion?

– Niewiele mogę poza odbieraniem poczty.

– Virion to mała, nieformalna, amatorska strona internetowa z Palo Alto. Mogą się zapisywać tylko osoby prywatne. Prowadzi ją Kiril

Maddox.

– Wiem. Randkowałam z Kirilem w Stanford.

Trochę dało to Dickenowi do myślenia.

– Nie wiedziałem o tym.

– Nie mów nikomu, proszę! Już wtedy był błyskotliwym i obrazoburczym gnojkiem.

– Słowo harcerza. Powinnaś jednak tam zajrzeć. Mają trzydzieści anonimowych wpisów. Kiril zapewnia mnie, że wszystkie od pracujących badaczy. Robi się szum, ale bynajmniej nie o chorobie czy terapii.

– Jasne, a kiedy rzecz się rozniesie, dołączę do ciebie i wparujemy do gabinetu Augustine'a.

– Obiecujesz?

– W życiu! Nie jestem błyskotliwym naukowcem z międzynarodową sławą, o którą musi dbać. Jestem kimś w rodzaju dziewczyny przy taśmie z zaniedbanymi włosami i zapaskudżonym życiem seksualnym, która lubi swoją pracę i nie chce jej stracić.

Dicken rozcierał kark.

– Coś się kroi. Coś naprawdę wielkiego. Potrzebuję listy dobrych ludzi, którzy poprą mnie, gdy powiem Augustine'owi.

– Spróbuj i wypal mu w oczy. Wywali cię z CDC na zbity pysk.

– Nie sędzę. Mam nadzieję. – Potem, puszczając oko, Dicken zapytał: – Skąd wiesz? Z Augustine'em też się umawiałaś na randki?

– Studiował medycynę – powiedziała Freedman. – Wystrzegałam się studentów medycyny.

Bar Jessies Cougar był trochę poniżej poziomu ulicy, miał mały neon, odlewany szylt udający drewno i poręcz z wypolerowanego mosiądzu. W długiej, wąskiej salce krępy barman w podrabianym smokingu i czarnych spodniach podawał piwo i wino do drewnianych stolików, a siedem lub osiem nagich kobiet, jedna po drugiej,

dokonywało przeważnie wyzbytých zapału prób tańczenia na małej scenie.

Mały ręczny napis na estradzie dla muzyków obok pustej klatki głosił, że puma jest w tym tygodniu chora, więc Jessie nie występuje. Zdjęcia leniwego kota i tłustawej blondyny wisały na ścianie za małym kontuarem.

Sala była ciasna, miała ledwo dziesięć stóp szerokości, i tak zadymiona, że Dicken poczuł się źle, gdy tylko usiadł. Popatrzył na gapiów i ujrzał starszych facetów w garniturach, stojących w dwu i trzyosobowych grupkach, oraz młodych w dżinsach, samotnych, samych białych, trzymających szklaneczki z piwem.

Facet pod pięćdziesiątkę podszedł do opuszczającej właśnie scenę tancerki, coś jej szepnął i ta kiwnęła głową. Ze swymi kolegami udał się do salki z tyłu na jakiś prywatny występ.

Dicken miał dla siebie zaledwie kilka godzin w miesiącu. Tego akurat wieczoru był wolny, nie umówił się z nikim, czekał go tylko pokoik w Holiday Inn, poszedł więc do dzielnicy klubów, mijając liczne samochody policyjne i kilku gliniarzy na rowerach i pieszo. Kilka minut spędził w wielkiej księgarni, uznał perspektywę spędzenia wolnego wieczoru na lekturze za odstręczającą i nogi poniosły go automatycznie tam, gdzie tak naprawdę chciał iść od samego początku, aby popatrzeć na kobiety nie w celach zawodowych.

Tancerki miały od dwudziestu do trzydziestu lat, były dość ładne i bezwstydnie gołe, z piersiami rzadko kiedy naturalnymi, na ile mógł to ocenić, włosami łonowymi wygolonymi u wszystkich w mały wykrzyknik. Gdy wszedł, żadna nawet okiem na niego nie rzuciła. Za kilka minut będzie miał opłacone uśmiechy i spojrzenia, ale na razie był nikim.

Zamówił budweisera – do wyboru był coors, bud i bud lite – i oparł się o ścianę. Na scenie była teraz młoda i szczupła dziewczyna

z mocno sterczącymi cyckami, niepasującymi do wąskiej klatki piersiowej. Przyglądał się jej niezbyt zainteresowany, a kiedy skończyła swe dziesięć minut obrotów i kilku martwych spojrzeń na salę, nałożyła krótki, obcisły szlafroczek ze sztucznego jedwabiu i zeszła z estrady do gości.

Dicken nie poznał nigdy zasad panujących w takich klubach. Słyszał o prywatnych salkach, ale nie wiedział, co jest tam dozwolone. Uświadomił sobie, że mniej myśli o kobietach, dymie i piwie niż o wyjeździe rano do Howard University Medical Center, o spotkaniu późnym popołudniem z Augustine'em i nowymi członkami zespołu... Kolejny mocno wypełniony dzień.

Spojrzał na następną występującą na scenie, niższą i trochę bardziej pulchną, z małymi piersiami i bardzo wąską talią, i pomyślał o Kaye Lang.

Dokończył piwo, położył kilka ćwierćdolarówek na porysowanym stoliku i odsunął krzesło. Półgoła rudowłosa kobieta podstawiła pończochę, domagając się pieniędzy; szlafroczek odsłonił uniesioną nogę. Jak głupiec wsunął dwudziestkę za podwiązkę i popatrzył na nią z czymś, co miało być nonszalanckim poleceniem, ale pewnie okazało się jedynie trochę sztywnym, niepewnym spojrzeniem.

– Ładny początek, słodziutki – powiedziała cienkim, lecz pewnym głosem. Rozejrzała się szybko. Był największą z pływających teraz w stawie ryb bez towarzystwa. – Przepracowałeś się, co?

– Właśnie – przytaknął.

– Coś mi się zdaje, że potrzebujesz małego prywatnego tańca – dodała.

– Przydałby się – odparł z wyschniętym językiem.

– Mamy takie miejsce – powiedziała. – Ale znasz zasady, słodziutki? Dotykać mogę tylko ja. Kierownictwo nie pozwala ci ruszać się z krzesła. Będzie wesoło.

Brzmiało okropnie. Mimo to poszedł z nią do pokoiku na tyłach budynku, jednego z ośmiu czy dziesięciu na piętrze; każdy był wielkości sypialni i pozbawiony mebli z wyjątkiem małej sceny i składanego krzesła bądź dwóch. Usiadł na jednym z nich, a kobieta pozwoliła się zsunąć szlafroczkowi. Miała na sobie tylko majteczki.

– Mam na imię Danielle – oznajmiła. Położyła palec na ustach, gdy chciał coś powiedzieć. – Nic nie mów. Lubię tajemnice.

Potem z małej czarnej torebki na ramieniu wyjęła plastikowy woreczek i otworzyła go wprawnym, zręcznym ruchem. Naciągnęła na twarz maskę chirurgiczną.

– Przepraszam – powiedziała jeszcze cieńszym głosem.

– Wiesz, jak to jest. Dziewczyny mówią, że ta nowa grypa przedostaje się przez wszystko – pigułkę, gumkę, co tylko chcesz. Nie musisz nawet, no wiesz, być niegrzeczny, abym wpadła w kłopoty. Podobno przenoszą ją wszyscy faceci. Mam już parkę dzieciaków. Nie chciałabym zwalniać się z pracy, aby zrobić małego dziwoląga.

Dicken był tak zmęczony, że ledwo mógł się ruszać. Weszła na scenę i przybrała odpowiednią postawę.

– Wolisz wolniej czy szybciej?

Wstał, niechcący z głośnym trzaskiem przewracając krzesło.

Skrzywiła się, zmrużyła oczy i ściągnęła brwi nad maseczką, która miała barwę lekarskiej zieleni.

– Przepraszam – powiedział i wręczył jej następną dwudziestkę. Potem uciekł z pokoju, przedarł się przez dym, zahaczając o kilkoro nóg blisko sceny, wspiał po schodach; chwilę przytrzymując się mosiężnej poręczy, głęboko odetchnął.

Gwałtownie wytarł rękę o spodnie, jakby to on mógł się zarazić.

Uniwersytet Stanu Waszyngton, Seattle

Mitch siedział na ławce, wyciągając ręce do rozmytego blasku słonecznego. Miał na sobie wełnianą koszulę marki Pendleton, sprane dżinsy, sfatygowane buty turystyczne; nie założył płaszcza. Gołe drzewa wznosiły szare ramiona nad zdeptanym śniegiem. Wychodzone przez studentów ścieżki biegły poza chodnikami, tworząc szlaki przecinające się na zaśnieżonych trawnikach.

Z wiszących nad głowami poszarpanych, szarych mas chmur spadały powoli płatki śniegu.

Podszedł Wendell Packer, uśmiechając się niepewnie i machając ręką. Był w wieku Mitcha, pod czterdziestkę, wysoki i szczupły, z przeredzonymi włosami i regularnymi rysami, tylko trochę popsutymi bulwiastym nosem. Nosił gruby sweter, granatową kamizelkę i małą, skórzaną torbę na ramię.

– Zawsze chciałem nakręcić film o tym dziedzińcu – powiedział Packer. Nerwowo zaciskał dłonie.

– Jakiego rodzaju? – Zapytał Mitch. Już bolało go serce. Musiał się zmusić do zadzwonienia i przyjscia na uczelnię. Próbował nauczyć się ignorować zmieszanie dawnych kolegów i przyjaciół naukowych.

– Tylko jedną scenę. Śnieg pokrywający ziemię w styczniu; kwitnące śliwy w kwietniu. Idzie ładna dziewczyna, właśnie tutaj. Obraz powoli ciemnieje: otaczają ją opadające płatki śniegu,

przechodzą w płatki kwiatów. – Packer wskazał ścieżkę, którą studenci brnęli na zajęcia. Zmiotł breję z ławki i usiadł obok Mitcha. – Mogłeś przyjść do mojego pokoju, Mitch. Nie jesteś pariasem. Nikt nie zamierza wykopać cię z terenu uczelni.

Mitch wzruszył ramionami.

– Dziczeję, Wendell. Niewiele sypiam. Mam stos podręczników w mieszkaniu... Cały dzień czytam o biologii. Nie wiem, na czym powinienem się skupić najbardziej.

– No tak, pożegnaj się z élan vital. Jesteśmy teraz inżynierami.

– Chcę postawić ci obiad i zadać kilka pytań. A także wiedzieć, czy mogę wysłuchać kilku wykładów na twoim wydziale. Teksty nie przemawiają do mnie.

– Mogę popytać profesorów. Jakich dokładnie wykładów?

– Embriologia. Rozwój kręgowców. Trochę połoźnictwa, ale to już poza twoim wydziałem.

– Dlaczego?

Mitch patrzył przez dziedziniec na otaczające go ściany budynków z cegły barwy ochry.

– Muszę się wiele nauczyć, zanim otworzę gębę albo zrobię inny głupi ruch.

– Na przykład jaki?

– Gdybym ci powiedział, upewniłbyś się, że zwariowałem.

– Mitch, od lat rzadko spędzałem lepiej czas niż wtedy, gdy chodziliśmy z dziećmi do Gingko Trees. Uwielbiały łązić, szukać skamielin. Godzinami wpatrywałem się w ziemię, aż od słońca spiekł mi się kark. Zrozumiałem, że to dlatego nosisz chustę z tyłu kapelusza.

Mitch się uśmiechnął.

– Nadal jestem przyjacielem, Mitch.

– To naprawdę wiele dla mnie znaczy, Wendell.

– Zimno tutaj – powiedział Packer. – Gdzie zabierasz mnie na

obiad?

– Lubisz kuchnię azjatycką?

Siedzieli w restauracji Little China, w kąciu przy oknie, czekając na przyniesienie ryżu, makaronu i curry. Packer popijał gorącą herbatę; Mitch, przekornie, zamówił zimną lemoniadę. Para pokrywała szybę okna wychodzącego na szarą Ave, nazywaną tak, choć naprawdę była to biegnąca obok kampusu University Street, a nie Avenue. Trochę młodzieży w skórzanych kurtkach i luźnych portkach paliło papierosy i tuptało wokół stojaka z gazetami na łańcuchach. Śnieg ustał i ulice lśniły czernią.

– No to mów, na co są ci potrzebne te wykłady – poprosił Packer.

Mitch rozłożył trzy wycięte z gazet artykuły o Ukrainie i Gruzji. Packer przeczytał je uważnie.

– Ktoś próbował zabić matkę z jaskini. A po tysiącach lat zabijają matki z grypą Heroda.

– Aha. Myślisz, że neandertalczycy... Niemowlę znalezione w jaskini. – Packer odchylił głowę do tyłu. – Jestem trochę zaskoczony.

– Chryste, Wendell, byłem tam. Widziałem dziecko w jaskini. Naukowcy z Innsbrucku na pewno już to potwierdzili, choć nic nikomu nie mówią. Pisałem listy, ale nawet nie raczyli odpowiedzieć.

Packer zastanawiał się, głęboko marszcząc czoło, próbując złożyć pełen obraz.

– Myślisz, że natrafiłeś na przypadek punktualizmu. W Alpach.

Niska kobieta o okrągłej, ładnej twarzy przyniosła jedzenie i przy talerzach położyła pałeczki. Kiedy odeszła, Packer mówił dalej:

– Uważasz, że w Innsbrucku porównali tkanki, a jedynie nie ujawniają wyników?

Mitch przytaknął.

– Na razie to tylko domysł, tak nieprawdopodobny, że nikt nic nie

mówi. Sprawa jest niezwykle delikatna. Słuchaj, nie chcę być współautorem... Nie chcę cię obarczać wszystkimi szczegółami. Daj mi tylko szansę przekonania się, czy mam rację, czy też nie. Najprawdopodobniej tak się myślę, że powinienem się zabrać do produkcji asfaltu. Ale... Byłem tam, Wendell!

Packer rozejrzał się po restauracji, odsunął pałeczki, nałożył na talerz kilka łyżek ostrego sosu z papryczek i wbił widelec w wieprzowinę z curry i ryżem. Z pełnymi ustami zapytał:

– Jeśli pozwolę ci chodzić na wykłady, czy będziesz siadał z tyłu?

– Będę stał za drzwiami – odparł Mitch.

– Żartowałem – powiedział Packer. – Chyba.

– Wiedziałem – uśmiechnął się Mitch. – Chcę cię teraz prosić o jeszcze jedną przysługę.

Packer uniósł brwi.

– Przeginasz, Mitch.

– Czy masz kogoś po doktoracie pracującego nad SHEVA?

– Zgadłeś – powiedział Packer. – CDC prowadzi program koordynacji badań, do którego przystąpiliśmy. Widziałeś, że wszystkie kobiety na uczelni noszą maseczki z gazy? Chcielibyśmy rzucić odrobinę światła na to wszystko. No wiesz, światła. – Spojrzał wprost na Mitcha.

Mitch wyciągnął dwie szklane fiolki.

– Są dla mnie bardzo cenne – oznajmił. – Nie chcę ich stracić.

– Trzymał je na wnętrzu dłoni. Lekko zadźwięczały, ich zawartość przypominała dwa kawałeczki suszonej wołowiny.

Packer odłożył widelec.

– Co to?

– Tkanka neandertalczyka. Jedna od samca, druga od samicy.

Packer przestał żuć.

– Ile jej potrzebujesz? – Spytał Mitch.

– Niewiele – odparł Packer z ustami pełnymi ryżu. – Jeśli mam coś zrobić.

Mitch powoli przesuwał w przód i w tył dłoń z fiolkami.

– Gdybym miał ci zaufać – dodał Packer.

– To ja muszę zaufać tobie – powiedział Mitch.

Packer zerknął na zamglone okna, młodzież nadal tkwiącą za nimi, śmiejącą się i palącą papierosy.

– Mam szukać w nich... SHEVY?

– Lub czegoś podobnego do SHEVY.

– Dlaczego? Co SHEVA ma wspólnego z ewolucją?

Mitch poklepał artykuły z gazet.

– Wyjaśnia to wszystkie gadki o dzieciach diabła. Dzieje się coś mocno niezwykłego. Musiało się dziać przedtem, znalazłem dowody.

Packer starannie wytarł usta.

– Ani trochę ci nie wierzę. – Wziął fiolki z dłoni Mitcha, przyjrzał się im uważnie. – Są tak cholernie stare. Trzy lata temu trzej moi asystenci po doktoracie badali sekwencje DNA mitochondrialnego z tkanek kości neandertalczyka. Przetrwały z niego tylko fragmenty.

– Możesz więc potwierdzić, że to jest prawdziwe – powiedział Mitch. – Wyschnięte, zdegradowane, ale przypuszczalnie pełne.

Packer ostrożnie położył fiolki na stoliku.

– Czemu miałbym to robić? Tylko dlatego, że jesteśmy przyjaciółmi?

– Dlatego, że jeśli mam rację, będzie to największe odkrycie naukowe naszych czasów. Może się w końcu dowiemy, jak działa ewolucja.

Packer wyjął portfel, a z niego dwudziestkę.

– Ja płacę – powiedział. – Wielkie odkrycia bardzo mnie denerwują. Mitch patrzył na niego z niesmakiem.

– Och, zrobię to – obiecał Packer ponuro. – Ale tylko dlatego, że ze

mnie idiota i frajer. Proszę cię, Mitch, żadnych więcej przysług.

National Institute of Health, Bethesda

Cross i Dicken siedzieli naprzeciw siebie przy szerokim stole w małej salce konferencyjnej zarządu w Budynku im. Natchera, zaś Kaye zasiadała obok Cross. Dicken bawił się piórem, patrząc na stół jak zdenerwowany chłopczyk. – Kiedy Mark zrobi królewskie wejście? – Zapytała Cross.

Dicken z uśmiechem podniósł wzrok.

– Daję mu pięć minut. Może mniej. Nie za bardzo mu się to podoba.

Cross dłubała w zębie długim, spiłowanym paznokciem.

– Jedyną rzeczą, której nie masz wiele, jest czas, co? – Spytał Dicken.

Cross uśmiechnęła się uprzejmie.

– Wydaje się, że nie minęło go wiele od Gruzji – powiedziała Kaye tylko dla podtrzymania rozmowy.

– Bardzo niewiele – potwierdził Dicken.

– Spotkaliście się w Gruzji? – Zapytała Cross.

– Tylko przelotnie – odparł Dicken. Zanim rozmowa zdążyła się rozwinąć, wszedł Augustine, ubrany w drogi szary garnitur, trochę pomarszczony na plecach i przy kolanach. Uczestniczył już dzisiaj w niejednej konferencji, domyśliła się Kaye.

Augustine podał rękę Cross i usiadł. Lekko zaciskał przed sobą dłonie.

– No, Marge, umowa zawarta? Zdobyłaś Kaye i musimy się nią dzielić?

– Nic nie jest przesądzone – powiedziała uprzejmie Cross.

– Chciałam najpierw porozmawiać z tobą.

Augustine nie był przekonany.

– Co będziemy z tego mieli?

– Zapewne nic, Mark, czego byście i tak nie dostali – odparła Cross.

– Możemy teraz z grubsza nakreślić obraz, a później dorysować szczegóły.

Augustine lekko się zarumienił, na chwilę zacisnął szczęki.

– Uwielbiam się targować. Czego właściwie potrzebujemy od Americolu?

– Dziś wieczorem będę na kolacji z trzema republikańskimi senatorami – odpowiedziała Cross. – Typki z Pasa Biblijnego.

– Niewiele się interesują tym, co robię, dopóki dbam o ich drobnych donatorów. Wyjaśnię im, dlaczego uważam, że Zespół Specjalny i cała nauka powinni dostać jeszcze więcej pieniędzy i dlaczego należy połączyć intranetem Americol, Euricol oraz wybranych naukowców z Zespołu Specjalnego i CDC. Potem powiem im trochę o życiu. To znaczy o herodzie.

– Pewnie krzykną „Dzieło Boga!” – Stwierdził Augustine.

– Raczej nie sędzę – odparła Cross. – Mogą być mądrzejsi, niż myślisz.

– Tłumaczyłem to już wszystkim senatorom i większości członków Kongresu – powiedział Augustine.

– No to utworzymy zgrany tandem, jak w sporcie. Sprawię, że poczują się włączeni do kręgu wtajemniczonych, w czym, jak wiem, Mark, nie jesteś dobry. A wspólna praca... Da w ciągu roku terapię, a może nawet lekarstwo. Gwarantuję ci to.

– Jak możesz coś takiego gwarantować? – Zapytał Augustine.

– Jak mówiłam Kaye, gdy tu leciałyśmy, już przed laty poważnie zainteresowałam się jej artykułami. Paru moim kluczowym ludziom w San Diego poleciłam sprawdzenie możliwości. Kiedy dotarły wieści o uaktywnieniu się SHEVY, a potem heroda, byłam już gotowa. Przekazałam je dobrym ludziom z naszego programu Strażnik. Przypomina to, co ty robisz, Christopherze, ale na poziomie przedsiębiorstwa. Znamy już budowę płaszcza białkowego SHEVY, wiemy, jak SHEVA wkłada się do komórek ciała ludzkiego, z jakimi receptorami się łączy. CDC i Zespół Specjalny będą potem mogli podzielić się zasługami po połowie, a ja się zajmę zapewnieniem wszystkim terapii. Oczywiście będziemy to robić tanio, albo za darmo, może nawet bez żadnych zysków.

Augustine popatrzył na nią, naprawdę zaskoczony. Cross zachichotała. Pochyliła się nad stołem, jakby miała uderzyć go pięścią, i powiedziała:

- Trafiony, zatopiony, Mark.
- Nie wierzę – odparł Augustine.
- Pan Dicken powiedział, że chce ściśle współpracować z Kaye.
- Bardzo ładnie – przyznała Cross.

Augustine założył ręce.

– Przecież ten intranet to naprawdę coś. Bezpośrednia, szybka, doskonała łączność. Wykryjemy każdy cholerny HERV w genomie, aby się upewnić, że SHEVA nie ma gdzieś kopii, że nas nie zaskoczy. Kaye może poprowadzić ten projekt. Zastosowania farmaceutyczne mogą być cudowne, precudowne. – Głos jej się łamał z podekscytowania.

Kaye złapała się na tym, że i w niej buzuje entuzjazm. Zupełnie inny niż u Cross.

- Mark, co twoi ludzie mówią ci o tych HERV-ch? – Spytała Cross.
- Wiele – odparł Augustine. – Skupiliśmy się oczywiście na

herodzie.

– Czy wiesz, że największy gen uruchamiany przez SHEVE, wielobiałko w chromosomie 21, ma różną ekspresję u małp i u ludzi? Że to jeden z zaledwie trzech genów w całej kaskadzie SHEVY, który wykazuje taką różnicę?

Augustine pokręcił głową.

– Jesteśmy blisko poznania tego – powiedział Dicken i trochę zakłopotany rozejrzał się wokół. Cross nie zwróciła na niego uwagi.

– Szukamy go w katalogu archeologicznym chorób ludzkich, cofając się miliony lat – ciągnęła Cross. – Widział to już co najmniej jeden z dawnych cholernych wizjonerów i zamierzamy pobić CDC w ostatecznym opisie... Pozostawimy w polu badania rządowe, Marku, jeśli nie będziemy współpracować. Kaye może pomagać, aby kanały łączności pozostawały otwarte. Razem możemy oczywiście działać o niebo szybciej.

– Pragniesz zbawić świat, Marge? – Zapytał łagodnie Augustine.

– Nie, Marku. Nie sądzę, aby herod był czymś więcej niż dokuczliwym kłopotem. Godzi jednak w nasze życie. Przeszkadza robić dzieci. Wszyscy oglądający telewizję albo czytający gazety są przestraszeni. Kaye jest sławna, jest kobietą, ładnie wypada na ekranie. Oboje potrzebujemy kogoś takiego jak ona. Czy to nie dlatego obecny tu pan Dicken i naczelnia lekarz uważają, że może być użyteczna? Obok jej niewątpliwej wiedzy?

Następne pytanie Augustine skierował do Kaye.

– Przypuszczam, że nie zwróciła się pani sama do pani Cross, po zgodzie na pracę dla nas.

– Nie – potwierdziła Kaye.

– Czego się pani spodziewa po tym układzie?

– Marge ma chyba rację – odparła Kaye, czując niemal chłodne przekonanie. – Powinniśmy współpracować, stwierdzić, czym to jest

i co możemy z tym zrobić. – Lwica korporacyjna Kaye Lang, zimna i zdystansowana, pozbawiona wątpliwości. Saulu, byłbyś ze mnie dumny.

– To program międzynarodowy, Marge – powiedział Augustine. – Zawiążemy koalicję dwudziestu różnych państw. Głównym graczem jest tutaj WHO. Nie ma żadnych primadonn.

– Ustanowiliśmy już elitarny zespół kierownictwa, który się tym zajmie. Na czele naszego programu szczepionki stanie Robert Jackson. Będziemy działać w pełnym świetle. Postępujemy tak na scenie światowej już od dwudziestu pięciu lat. Wiemy, Marku, na czym polega gra w piłkę.

Augustine popatrzył na Cross, potem na Kaye. Wyciągnął rękę, jakby chciał uścisnąć Cross.

– Kochana – powiedział i wstał, aby posłać jej całusa.
Cross zagdakała jak stara kura.

Uniwersytet Stanu Waszyngton, Seattle

Wendell Packer zaprosił Mitcha na rozmowę do swojego gabinetu w Budynku im. Magnusona. Ten pokój w skrzydle E był mały, zapchany, bez okien, miał półki z książkami i dwa komputery, w tym jeden połączony ze sprzętem w laboratorium Packera. Na jego monitorze widać było długie szeregi sekwencjonowanych białek, czerwone i niebieskie wstęgi oraz zielone kolumny w ładnym nieporządku, przypominające wypaczoną klatkę schodową. – Zrobiłem to sam – powiedział Packer, podając Mitchowi długi, złożony wydruk. – Nie z braku zaufania do moich studentów, ale nie chcę rujnować ich karier. Wolę też, aby nie zjechało mojego wydziału.

Mitch wziął wydruki i je przeglądał.

– Pewnie na pierwszy rzut oka nie ma to większego sensu – ciągnął Packer. – Tkanki są o wiele za stare, aby dać pełne sekwencje, poszukałem więc małych genów występujących tylko w SHEVIE, a potem produktów powstających, gdy SHEVA dostanie się do komórki.

– Znalazłeś je? – Zapytał Mitch ze ściśniętym gardłem.

Packer przytaknął.

– Twoje próbki tkanek mają SHEVE. I nie są to zanieczyszczenia od ciebie czy ludzi, z którymi wtedy byłeś. Wirus jest jednak naprawdę mocno rozłożony. Użyłem przysłanych nam z Bethesdy próbek

przeciwiał łączących się z białkami związanymi z SHEVA. To hormon stymulujący pęcherzyki jajnikowe, występujący wyłącznie w zakażeniu SHEVA. Potem oparłem się na pewnej teorii informatycznej, aby zaprojektować i uzyskać lepsze próbki na wypadek, gdyby SHEVA lekko zmutowała albo różniła się z innych powodów. Zajęło mi to kilka dni, ale otrzymałem osiemdziesiąt procent zgodności. Aby się podwójnie upewnić, do wykrywania DNA prowirusa heroda użyłem metody hybrydyzacji southwestern. W naszych okazach są niewątpliwie kawałki zaktywizowanej SHEVA. Tkanka samca jest jej pełna.

– Jesteś pewny, że to SHEVA? Żadnych wątpliwości, choćbyś miał stanąć przed sądem?

– Zważywszy na źródło, przed sądem by to nie przeszło. Ale czy to SHEVA? – Uśmiechnął się Packer. – Tak. Od siedmiu lat pracuję na tym wydziale. Mamy najlepszy sprzęt, jaki można dostać za pieniądze, i najlepszych ludzi, jakich można skusić tym sprzętem, dzięki trzem bardzo bogatym młodziakom z Microsoftu. Ale... Mitch, usiądź, proszę.

– Mitch uniósł wzrok znad wydruków.

– Dlaczego?

– No usiądź.

– Mitch usiadł.

– Mam coś jeszcze. Karel Petrovich z antropologii poprosił Marię König, siedzącą trochę dalej na tym samym korytarzu, najlepszą w naszym laboratorium, aby popracowała nad bardzo starą próbką tkanki. Zgadnij, skąd dostał tę tkankę.

– Innsbruck?

Packer wyciągnął następną kartkę.

– Poprosili Karela, aby się zwrócił właśnie do nas. Mamy reputację, co na to poradzę? Chcieli, abyśmy poszukali określonych znaczników i kombinacji alleli, które są najczęściej używane dla ustalania

rodzicielstwa. Dostaliśmy jedną małą próbkę tkanki, około grama. Oczekiwali bardzo precyzyjnej pracy, i to szybko. Mitch, musisz przysiąc, że zachowasz to w całkowitej dyskrecji.

– Przysięgam – powiedział Mitch.

– Z samej ciekawości zapytałem jednego analityka o wyniki. Pominę nudne szczegóły. Tkanka pochodzi od noworodka. Ma co najmniej dziesięć tysięcy lat. Szukaliśmy znaczników i je znaleźliśmy. Porównałem też kilka alleli z twoimi próbkami tkanki.

– Pasują? – Spytał Mitch łamiącym się głosem.

– Tak... I nie. Nie sędzę, aby Innsbruck zgodził się ze mną albo z twoimi domysłami.

– Nie domyślam się. Wiem.

– No tak, jestem ciekaw, ale w sali sądowej uwolniłbym twego samca od odpowiedzialności. Nie jest ojcem tego prehistorycznego dziecka. Z samicą jest jednak inaczej. Allele pasują.

– Jest matką dziecka?

– Ponad wszelką wątpliwość.

– Ale on nie jest ojcem?

– Właśnie powiedziałem, że wybroniłbym go z tego przed sądem. Działa tu jakaś dziwna genetyka. Naprawdę niesamowite sprawy, jakich nigdy dotąd nie widziałem.

– Ale dziecko jest nasze.

– Mitch, nie zrozum mnie źle. Nie zamierzam cię popierać ani pomagać ci w pisaniu artykułów. Muszę dbać o wydział i swoją karierę. Spośród wszystkich ludzi ty najbardziej powinienes to rozumieć.

– Wiem, wiem – powiedział Mitch. – Nie mogę jednak robić tego sam.

– Dam ci kilka wskazówek. Wiesz, że Homo sapiens sapiens jest zdumiewająco jednolity, mówiąc genetycznie.

– Wiem.

– No, nie sądzę, aby Homo sapiens neandertalensis był równie jednolity. To prawdziwy cud, Mitch, że mogę ci to powiedzieć, mam nadzieję, że zrozumiesz. Trzy lata temu potrzebowalibyśmy ośmiu miesięcy na przeprowadzenie analiz.

Mitch zmarszczył brwi.

– Nie nadążam.

– Genotyp niemowlęcia przypomina bardzo twój i mój. Jest bliski współczesnemu. DNA mitochondrialne w tkance, którą mi dałeś, pasuje do próbek, jakie uzyskaliśmy ze starej kości neandertalczyka. Powiedziałbym jednak, gdybyś nie popatrzył na mnie zbyt krytycznie, że samiec i samica, którzy dostarczyli twoje próbki, są rodzicami dziecka.

Mitch poczuł oszołomienie. Pochylił się w krześle i wsadził głowę między kolana.

– Chryste – rzucił stłumionym głosem.

– Bardzo późna kandydatka na Ewę – powiedział Packer. Wyciągnął rękę. – Popatrz na mnie. Jak drzę.

– Co możesz zrobić, Wendell? – Spytał Mitch, podnosząc głowę, aby na niego spojrzeć. – Natrafiłem na największą bombę w historii nowożytnej nauki. Innsbruck już wznosi mury, a ja czuję smród. Zaprzeczają wszystkiemu. To łatwe wyjście. Co mam robić? Gdzie mam się udać?

Packer przetarł oczy i wydmuchał nos w chusteczkę.

– Poszukaj ludzi mniej konserwatywnych – odparł. – Spoza świata uczelni. Znam ludzi w CDC. Dość często rozmawiam ze znajomą z laboratorium w Atlancie, właściwie znajomą mojej dawnej dziewczyny. Pozostajemy w dobrych stosunkach. Przeprowadza analizy tkanek zwłok dla łowcy wirusów z CDC nazwiskiem Dicken, członka Zespołu Specjalnego do spraw Heroda. Co nie dziwi,

w tkankach zwłok szuka SHEVY.

– Zwłok z Gruzji?

– No... Tak, rzeczywiście – przyznał Packer. – Dowodów występowania grypy Heroda szuka jednak także w zapiskach historycznych. Sprzed dziesięcioleci, a nawet wieków. – Packer poklepał znacząco rękę Mitcha. – Może zechce posłuchać, co wiesz?

**Magnuson Clinical
Center. The National
Institutes of Health,
Bethesda**

Cztery kobiety siedziały w jasno oświetlonym pokoju. Były w nim dwie kanapy, dwa krzesła, telewizor i odtwarzacz wideo, książki i czasopisma. Kaye zastanawiała się, jak projektanci szpitali potrafią zawsze stworzyć wrażenie sterylności: popielate drewno, ściany w kolorze zimnej, złamanej bieli, higieniczne pastelowe obrazki z plażami, lasami i kwiatami. Wyblakły, kojący świat. Chwilkę przyglądała się kobietom przez szybę w bocznych drzwiach, w oczekiwaniu, aż dołączy do niej Dicken i dyrektorka projektu klinicznego.

Dwie czarnoskóre. Jedna, pod czterdziestkę i krępa, siedziała wyprostowana w krześle, oglądając coś nieuważnie w telewizji; z jej kolan zwieszał się egzemplarz „Elle”. Druga, zaraz po dwudziestce, a może jeszcze młodsza, bardzo szczupła, z małymi spiczastymi piersiami i krótkimi włosami splecionymi w mnóstwo warkoczyków, podpieraa dłońią policzek, trzymając łokieć na poręczy kanapy i nie patrząc na nic konkretnego. Dwie białe kobiety, obie po trzydziestce – jedna była farbowaną blondynką, wyglądającą na mizerną i otępiałą, a druga schludnie ubrana, z twarzą bez wyrazu – czytały wystrzępione egzemplarze „People” i „Time”.

Korytarzem z szarą wykładziną podłogową nadeszli Dicken i doktor Denise Lipton. Lipton była tuż po czterdziestce, niska, ładna, choć o ostrych rysach, z oczyma, które pewnie potrafiły miotać iskry, gdy się rozgniewa. Dicken przedstawił je sobie.

– Gotowa jest pani na spotkanie z naszymi wolontariuszkami? – Zapytała Lipton.

– Bardziej już nie mogę – odparła Kaye.

Lipton uśmiechnęła się bezbarwnie.

– Nie są zbyt szczęśliwe. W ostatnich kilku dniach przeszły dość badań, aby... No, nie czynimy ich zbyt szczęśliwymi.

Kobiety w pokoju podniosły wzrok, gdy usłyszały głosy. Lipton wygładziła fartuch laboratoryjny i pchnęła drzwi.

– Dobry wieczór paniom – powiedziała.

Spotkanie udało się całkiem nieźle. Doktor Lipton odprowadziła trzy kobiety do ich sypialni, zostawiając Dickena i Kaye rozmawiających z czwartą, starszą czarnoskórą kobietą, panią Luellą Hamilton z Richmond w stanie Wirginia.

Pani Hamilton poprosiła o kawę.

– Tak często mnie wysysają. Jeśli nie biorą próbek krwi, to buntują się moje nerki.

Dicken powiedział, że przyniesie każdej kubeczek, i wyszedł z pokoju. Pani Hamilton zmrużyła oczy i skupiła wzrok na Kaye.

– Powiedzieli nam, że to pani znalazła tego robaka.

– Nie – odparła Kaye. – Napisałam kilka artykułów, ale tak naprawdę to nie ja go znalazłam.

– To tylko mała gorączka – powiedziała pani Hamilton. – Mam czwórkę dzieci, a teraz mi mówią, że to nie będzie dzieckiem. Ale nie chcą mi tego wyciągnąć. Mówią, niech choroba się rozwija. Jestem tylko wielkim szczurem laboratoryjnym, nie?

– Raczej tak. Czy traktują panią dobrze?

– Jem. – Wzruszyła ramionami. – Żarcie jest dobre. Nie lubię książek ani filmów. Pielęgniarki są miłe, ale ta doktor Lipton – twarda z niej sztuka. Niby zachowuje się uprzejmie, ale chyba nikogo za bardzo nie lubi.

– Na pewno dobrze pracuje.

– No tak, pszepani, pani Lang, niech pani chwilę posiedzi na moim miejscu i przekona się, czy trochę na nią nie popsioczy.

Kaye się uśmiechnęła.

– Olewam to, jest tu czarny pielęgniarz, traktuje mnie jak jaką gościówkę. Mówi, że mam być silna jak jego mama. – Popatrzyła na Kaye twardymi, szeroko otwartymi oczyma i pokręciła głową.

– Nie chcę być silna. Chcę płakać, pani Lang, kiedy robią te swoje badania, kiedy myślę o moim dziecku. Rozumie pani?

– Tak – odparła Kaye.

– Czuję je jak wszystkie inne o tej porze. Myślę, że to może jednak jest dziecko, a oni się mylą. Czy jestem głupia?

– Skoro robią badania, to wiedzą – odpowiedziała Kaye.

– Nie chcą, aby odwiedzał mnie mąż. Tak jest w umowie. Mam grypę od niego, dziecko też jest od niego, ale tęsknię. To nie jego wina. Rozmawiam z nim przez telefon. Nic po sobie nie pokazuje, ale wiem, że tęskni za mną. Denerwuję się, że jestem daleko, rozumie pani?

– Kto opiekuje się pani dziećmi? – Spytała Kaye.

– Mąż. Pozwolili dzieciom przyjechać do mnie z wizytą. Są w porządku. Przywiózł je mąż, przyszły tu do mnie, a on został w samochodzie. Minęły już cztery miesiące, cztery miesiące! – Pani Hamilton przekręciła na palcu złotą obrączkę. – Mówi że czuje się taki samotny, i dzieciaki, czasami trudno z nimi wytrzymać.

Kaye ujęła rękę pani Hamilton.

– Wiem, jaka jest pani dzielna, pani Hamilton.

– Proszę mi mówić Luella – powiedziała tamta. – Powtarzam, nie

jestem dzielna. Jak ma pani na imię?

– Kaye.

– Boję się, Kaye. Dowiesz się, co się naprawdę dzieje, przyjdiesz i powiesz mi pierwszej, dobrze?

Kaye opuściła panią Hamilton. Czowała się wysuszona i zimna. Dicken zszedł z nią na parter i wyszedł na zewnątrz. Stale patrzył na nią, kiedy myślał, że tego nie zauważy.

Poprosiła, aby stanąć na chwilę. Założyła ręce i patrzyła na szpaler drzew za wąskim, wypielęgnowanym trawnikiem. Trawnik otaczały rowy. Większość terenu NIH to płatanina objazdów i miejsc budowy, dziur wypełnionych ziemią, betonem i sterzącym lasem prętów zbrojeniowych.

– Wszystko w porządku? – Zapytał Dicken.

– Nie – odparła. – Czuję się rozbita.

– Musimy do tego przywyknąć. Ciągłe tak jest – powiedział Dicken.

– Wszystkie te kobiety są ochotniczkami?

– Oczywiście. Płacimy za wszystkie zabiegi medyczne i od dnia. Nie możemy zmuszać do czegoś takiego, nawet w stanie zagrożenia narodowego.

– Czemu nie mogą się widywać z mężami?

– To akurat może być moja wina – powiedział Dicken. – Na ostatniej naradzie przedstawiłem pewne dowody, że herod doprowadza do drugiej ciąży bez żadnych czynności seksualnych. Dziś wieczorem przekażą biuletyn wszystkim badaczom.

– Jakie dowody? Mój Boże, mówimy tu o niepokalanym poczęciu?

– Kaye oparła dłonie na biodrach i okręciła się, aby stanąć przed nim.

– Przyznaj się, śledzisz tę rzecz, odkąd wpadliśmy na siebie w Gruzji?

– Zacząłem jeszcze przed Gruzją. Ukraina, Rosja, Turcja, Azerbejdżan, Armenia. Herod zaczął nawiedzać te kraje dziesięć, dwadzieścia lat temu, może nawet wcześniej.

– Czytałeś więc moje prace i wszystko ci pasuje? Jesteś czymś w rodzaju naukowego zwiadowcy?

Dicken skrzywił się, pokręcił głową.

– Prawie.

– A ja katalizatorem? – Kaye nie mieściło się to w głowie.

– Kaye, to nie takie proste.

– Wolałabym, aby mnie wtajemniczali, Chrisie!

– Christopherze, proszę cię – poprawił. Wyglądał na speszzonego, skruszonego.

– Wolałabym, abyś ty mnie wtajemniczał. Trzymasz się tu w cieniu, zawsze z tyłu, dlatego więc uważam, że powinieneś należeć do najważniejszych ludzi w Zespole Specjalnym?

– Dziękuję ci, to powszechne nieporozumienie – odparł z krzywym uśmiechem. – Staram się trzymać z dala od kłopotów, ale nie jestem pewien, czy z powodzeniem. Czasami słuchają, kiedy dowody są mocne – jak w tym właśnie przypadku, mówię o raportach ze szpitali ormiańskich, a nawet kilku z Los Angeles i Nowego Jorku.

– Christopherze, mamy dwie godziny przed następnym spotkaniem – powiedziała Kaye. – Już od dwóch tygodni grzęznę w konferencjach o SHEVIE. Myślą, że znaleźli mi niszę. Bezpieczną klitkę szukania innych HERV-ów. Marge urządziła mi ładne laboratorium w Baltimore, ale... Nie sądzę, aby Zespół Specjalny miał ze mnie wiele pożytku.

– Twoje spiknięcie się z Americolem naprawdę zdenerwowało Augustine'a – stwierdził Dicken. – Powinienem był cię ostrzec.

– No to muszę się skupić na pracy dla Americolu.

– Niezły pomysł. Mają możliwości. Marge chyba cię lubi.

– Powiedz mi więcej, jak to jest... Być na froncie? Tak to się nazywa?

– Front – potwierdził Dicken. – Czasami mówią, że napotykamy

prawdziwe wojsko, chorujących ludzi. Jesteśmy tylko robotnikami, oni zaś żołnierzami. Na nich spada większość cierpienia i zgonów.

– Czuję się tu wypychana na aut. Czy będziecie rozmawiać z kimś pozostającym na uboczu?

– Bardzo chętnie – powiedział Dicken. – Wiesz, czego tu nie znoszę, prawda?

– Biurokratycznego walca. Myślą, że wiedzą, czym jest herod. Ale... Druga ciąża bez seksu! – Kaye poczuła nagły, zimny dreszcz.

– Próbują to tłumaczyć – powiedział Dicken. – Dziś wieczorem omówimy możliwy mechanizm. Nie sędzę, aby coś ukrywali. – Zrobił minę chłopczyka skrywającego wielką tajemnicę. – Jeśli zadasz pytania, na które nie będę miał gotowych odpowiedzi...

Rozdrażniona Kaye zdjęła ręce z bioder.

– Jakich pytań nie zadaje Augustine? A jeśli całkowicie się mylimy?

– No właśnie – odparł Dicken. Poczzerwieniał i przeciął dłonią powietrze. – Właśnie! Kaye, wiedziałem, że zrozumiesz. Kiedy rozważaliśmy, co jeśli... Pozwolisz, że powiem, co mi leży na wątrobie?

Kaye odsunęła się na te słowa.

– To znaczy tak bardzo podziwiam twoją pracę...

– Miałam szczęście, i Saula – powiedziała Kaye sztywno. Dicken wyglądał na urażonego, a tego nie chciała. – Christopherze, co u diabła ukrywasz?

– Byłbym zdziwiony, gdybyś sama już tego nie wiedziała. Wzdrygamy się po prostu przed rzeczą oczywistą – oczywistą dla przynajmniej paru z nas. – Bacznie wpatrywał się w jej twarz zmrużonymi oczyma. – Powiem ci, co myślę, a jeśli uznasz, że to możliwe – prawdopodobne – pozostawisz mi decyzję, kiedy z tym wyjść. Czekaliśmy na uzyskanie wszystkich potrzebnych dowodów. Przez rok poruszałem się na gruncie domysłów i wiem na pewno, że

ani Augustine, ani Shawbeck nie zechcą mnie wysłuchać. Niekiedy sędę, że właściwie jestem jedynie chwalonym chłopcem na posyłki.

Dlatego... – Przeszłował z nogi na nogę. – Tylko między nami?

– Oczywiście – odparła Kaye, mierząc się z nim wzrokiem.

– Powiedz mi, co według ciebie czeka panią Hamilton.

Seattle

Mitch wiedział, że śpi, a raczej drzemie. Zdarzało się z rzadka, że jego umysł przetrawiał tak fakty dotyczące jego życia, planów, przypuszczeń, oddzielnie od woli i uparcie, niezależnie i zawsze na krawędzi snu. Wiele razy śnił o stanowisku, na którym właśnie kopał, ale w zupełnie innych czasach. Tego ranka, z odrętwiałym ciałem, świadomym umysłem widza panoramicznego teatru, widział młodego mężczyznę i młodą kobietę owiniętych lekkimi futrami, z postrzępionymi sandałami z trzciny i skóry, obwiązanymi na kostkach rzemykami. Kobieta była w ciąży. Najpierw oglądał ich z profilu, potem z różnych innych kątów, jakby kręconych przez krążącą kamerę.

Stopniowo jazda kamery ustawiała, aż mężczyzna i kobieta szli po świeżym śniegu i oczyszczonym przez wiatr lodzie, w jasnym blasku dnia, najjaskrawszym, jaki widział we śnie. Lód lśnił, a oni dłońmi osłaniali sobie oczy.

Najpierw patrzył na nich jak na ludzi takich jak on. Wkrótce jednak pojął, że nie są tacy sami. Pierwszych podejrzeń nie wzbudziły wcale rysy twarzy, lecz złożony wzór brody i owłosienia na licach mężczyzny oraz gęsta, miękka grzywa otaczająca oblicze kobiety, odsłaniająca policzki, cofnięty podbródek i czoło, biegnąca od skroni do skroni poprzez brwi. Pod krzaczastymi brwiami widać było łagodne i ciemnobrązowe oczy, niemal czarne, a cera miała głęboko oliwkowy odcień. Palce były szare i różowe, mocno stwardniałe. I on,

i ona mieli szerokie, mięsiste nosy.

To nie mój lud, pomyślał Mitch. Ale znam ich.

Mężczyzna i kobieta się uśmiechali. Kobieta pochyliła się, aby zagarnąć śnieg. Skrycie go nabrała, a potem, gdy mężczyzna nie patrzył, ulepiła szybko twardą śnieżkę i rzuciła nią w jego głowę. Trafiała z trzaskiem, aż się zatoczył, ryknął, głos miał wyraźny i dźwięczny, brzmiał prawie jak ujadanie. Kobieta skuliła się, potem pobiegła, a mężczyzna ruszył w pogoń. Obalił ją pomimo powtarzanych proszących chrząknięć, potem się cofnął, wznosił ręce ku niebu i zasypał ją ciężkimi słowami. Pomimo poważnego brzmienia jego głosu, głębokiego i huczącego, kobieta nie wyglądała na poruszoną. Machała rękoma w jego stronę i wydymała usta, wydając głośne cmokania.

W leniwie toczącej się akcji snu widział, jak wśród padającego śniegu z deszczem szli jednym śladem błotnistą ścieżką. Przez niską powłokę chmur dostrzegał pasma lasu i łąki w dolinie pod nimi, z jeziorem, na którym unosiły się szerokie, płaskie tratwy z kłód, pokryte trzcinowymi chatami.

Dobrze sobie radzę, powiedział mu głos w głowie. Patrzysz na nich teraz, nie znasz ich, ale dobrze sobie radzą.

Mitch usłyszał ptaka i pojął, że to nie ptak, ale komórka. Kilka chwil zajęło mu otrząśnięcie się ze snu. Chmury i dno doliny prysnęły niby bańki z mydła. Jęknął, gdy się poruszył. Ciało mu zdrętwiało. Spał na boku z ręką podłożoną pod głowę i mięśnie zeszywniały.

Telefon dzwonił uparcie. Mitch odebrał po szóstym dzwonku.

– Mam nadzieję, że rozmawiam z Mitchellem Rafelsonem, antropologiem – powiedział męski głos z brytyjskim akcentem.

– W każdym razie z jednym z nich – odparł Mitch. – Kto mówi?

– Merton, Oliver. Jestem redaktorem działu naukowego „Economista”. Piszę artykuł o neandertalczykach z Innsbrucku. Ciężko

było znaleźć pański numer telefonu, panie Rafelson.

– Jest zastrzeżony. Mam dosyć znoszenia cięgów.

– Wyobrażam sobie. Proszę posłuchać, jestem chyba w stanie wykazać, że Innsbruck spieprzył całą sprawę, ale potrzebuję pewnych szczegółów. Ma pan okazję przedstawić je życzliwym uszom. Będę pojutrze w stanie Waszyngton – jestem umówiony na spotkanie z Eileen Ripper.

– Dobra – powiedział Mitch. Rozważał zakończenie na tym rozmowy i próbę powrotu do tamtego zdumiewającego snu.

– Ripper pracuje przy wykopaliskach w kanionie... Columbia Gorge? Czy wie pan, gdzie jest Iron Cave?

Mitch wyprostował się w łóżku.

– Kopałem w pobliżu.

– No tak, nie przeciekło to jeszcze do prasy, ale trafi do niej w przyszłym tygodniu. Znalazła trzy szkielety, bardzo stare, daleko mniej zdumiewające niż pańskie mumie, ale dość ciekawe. Będę pisał głównie o jej taktyce. W czasach współczucia dla tubylców zawiązała całkiem sprytne konsorcjum w obronie nauki. Pani Ripper zwróciła się o poparcie do Związku Pięciu Plemion. Zna go pan oczywiście.

– Znam.

– Utworzyła zespół prawników działających społecznie, ma też w sieci kilku kongresmenów i senatorów. Postępuje zupełnie inaczej, niż pan z człowiekiem z Pasco.

– Rad to słyszę – powiedział Mitch z jękiem. Wycierał z oka resztkę snu. – To dzień jazdy stąd.

– Aż tak daleko? Jestem teraz w Manchesterze. W Anglii. Dopiero co się spakowałem i wyjechałem z Leeds. Samolot wylatuje za godzinę. Uwielbiam rozmawiać.

– Jestem zapewne ostatnią osobą, której Eileen tam potrzebuje.

– To właśnie ona dała mi numer pańskiego telefonu. Nie jest pan

takim wyrzutkiem, panie Rafelson, za jakiego się uważa. Chce, aby spojrzął pan na wykopaliska. Wydaje mi się typem opiekuńczej mamusi.

– To trąba powietrzna – powiedział Mitch.

– Naprawdę jestem bardzo podekscytowany. Widziałem wykopaliska w Etiopii, Afryce Południowej, Tanzanii. Dwukrotnie odwiedziłem Innsbruck, aby zobaczyć, na co mi pozwolą, a było tego niewiele. Teraz...

– Panie Merton, nie chciałbym pana rozczarować...

– No tak, a co z niemowlęciem, panie Rafelson? Czy może mi pan powiedzieć coś więcej o tym zdumiewającym dziecku, które kobieta miała w plecaku?

– Miałem wtedy osłepiającą migrenę. – Mitch zamierzał odłożyć telefon, bez względu na Eileen Ripper. Za często go to spotykało. Odsunął komórkę od ucha. Głos Mertona brzęczał i chrypiał.

– Czy wie pan, co się wyprawia w Innsbrucku? Czy wie pan, że w laboratoriach dochodziło tam do walk na pięści?

Mitch przysunął telefon do ucha.

– Nie.

– Czy wie pan, że przesłali próbki tkanek do innych laboratoriów w innych państwach, starając się uzyskać jakiegoś rodzaju consensus?

– Nie-ee – odparł Mitch powoli.

– Bardzo chciałbym się z panem umówić. Myślę, że są spore szanse na to, iż wyjdzie pan z tego pachnąc jak świeża jabłoń, czy co tam kwitnie w stanie Waszyngton. Może poproszę Eileen, aby zadzwoniła do pana, zaprosiła do siebie, powiem jej, że jest pan zainteresowany... Czy możemy się spotkać?

– Nie wystarczy spotkanie na lotnisku Sea Tac? To tam pan przylatuje, prawda?

Merton lekko cmoknął.

– Panie Rafelson, nie pojmuję, że odrzuca pan okazję do powąchania odrobiny brudu i pogadania pod namiotem. Pogadania o największej historii archeologicznej naszych czasów.

Mitch znalazł zegarek i popatrzył na datę.

– No dobrze – powiedział. – Jeśli Eileen mnie zaprosi.

Po odłożeniu telefonu poszedł do łazienki, umył zęby, spojrzął w lustro.

Kilka dni spędził, snując się po mieszkaniu i nie mogąc się zdecydować, co ma robić. Dostał adres e-mailowy i numer telefonu Christophera Dickena, ale jeszcze nie zdobył się na tyle odwagi, aby do niego zadzwonić. Pieniądze kończyły się szybciej, niż oczekiwał. Odkładał zwrócenie się do rodziców z prośbą o pożyczkę.

Gdy szykował śniadanie, telefon znowu zadzwonił. Był od Eileen Ripper.

Skończywszy z nią rozmawiać, Mitch siedział chwilę na podniszczonym krześle w salonie, potem wstał i wyjrzał przez okno na Broadway. Zaczynało się rozjaśniać. Otworzył okno i wychylił się. Ludzie chodzili ulicą, samochody stanęły przed czerwonymi światłami na Denny.

Zadzwonił do domu. Odebrała matka.

**The National
Institutes of Health,
Bethesda**

– Już się tak zdarzało – powiedział Dicken. Rozerwał na pół torebeczkę z cukrem i wysypał go na spienioną powierzchnię latte. Wielka, nowoczesna kawiarnia w Budynku im. Natchera była prawie pusta o tej porze poranka, a lepiej w niej karmili niż w bufecie w budynku nr 10. Siedzieli blisko wysokich, pochyłych okien, daleko od kilku pozostałych pracowników. – A dokładniej zdarzyło się w Gruzji, w Gordi albo w pobliżu. Usta Kaye zrobiły się okrągłe jak u ryby.

– Mój Boże. Masakra... – Na dworze słońce przebijało się przez niskie poranne chmury, zsyłając pasma cienia i blasku na teren instytutu i kawiarnię.

– Tkanki wszystkich wykazują obecność SHEVY. Dostałem próbki tylko od trzech czy czterech osób, ale jest u wszystkich.

– I nie powiedziałaś Augustine'owi?

– Opierałem się na dowodach klinicznych, świeżych raportach ze szpitali... U licha, co za różnica, jeśli SHEVA okaże się starsza o kilka lat, najwyżej dziesięć? Dwa dni temu dostałem jednak pliki ze szpitala w Tbilisi. Młodemu stażycie stamtąd zapewniłem pewne kontakty w Atlancie. Powiedział mi o ludziach z gór. Ocaleli z innej masakry, tym razem sprzed prawie sześćdziesięciu lat. Z czasów wojny.

– Niemcy nigdy nie weszli do Gruzji – powiedziała Kaye.

Dicken przytaknął.

– Wojska Stalina. Wymordowały mieszkańców większości osamotnionych wiosek w pobliżu góry Kazbek. Dwa lata temu znaleziono kilkoro ocalałych. Może obłowili się na czystkach, może... Może nie wiedzieli nic o Gordi i innych miasteczkach.

– Ilu ocalało?

– Lekarz Leonid Sugaszwili badał to na własną rękę. Stażysta przysłał mi właśnie jego raport – raport, którego nigdy nie opublikowano. Dość jednak staranny. Między rokiem 1943 a 1991, wedle jego szacunków, w Gruzji, Armenii, Abchazji i Czeczenii zabito około trzynastu tysięcy mężczyzn, kobiet, a nawet dzieci. Zabito ich, gdyż ktoś uznał, że przenoszą chorobę powodującą poronienia ciężarnych kobiet. Ocalałych z pierwszych czystek ścigano i później... Gdyż kobiety rodziły zmutowane dzieci. Dzieci z plamami na twarzach, dziwnymi oczami, dzieci potrafiące mówić od chwili narodzin. W niektórych wsiach zabijała miejscowa policja. Przesady umierają z trudem. Mężczyzn i kobiety – ojców i matki – oskarżano o zadawanie się z diabłem. Nie było ich tak wielu przez cztery dziesięciolecia. Ale... Sugaszwili sądzi, że przypadki podobnego rodzaju zdarzały się od setek lat. Dziesiątki tysięcy zabójstw. Wina, wstyd, niewiedza, milczenie.

– Uważasz, że mutacje dzieci wywołała SHEVA?

– Raport lekarza podaje, że zabite kobiety przysięgały, iż zaprzestały stosunków seksualnych ze swymi mężami, chłopakami. Nie chciały nosić potomstwa diabła. Słyszały o zmutowanych dzieciach w innych wsiach i po przejściu gorączki, po poronieniu, starały się zapobiegać zajściu w ciążę. Niemal wszystkie kobiety stawały się brzemiennie trzydzieści dni po poronieniu, obojętnie, jak postępowały. Zupełnie jak zgłaszają to teraz niektóre nasze szpitale.

Kaye kręciła głową.

– To całkowicie nieprawdopodobne!

Dicken wzruszył ramionami.

– Nie staje się bardziej prawdopodobne ani łatwiejsze. Już od jakiegoś czasu nie jestem wcale przekonany, że SHEVA jest chorobą jednego ze znanych nam rodzajów.

Kaye zacisnęła usta. Odstawiła kubeczek z kawą i założyła ręce, przypominając sobie rozmowę z Drewem Millerem we włoskiej restauracji w Bostonie, Saula mówiącego, że pora, aby zajęli się problemem ewolucji.

– Może to znak – powiedziała.

– Jakiego typu znak?

– Klucz do szyfru udostępniającego genetyczny ugor, instrukcje nowego fenotypu.

– Chyba nie rozumiem. – Dicken zmarszczył brwi.

– Coś powstającego przez tysiące, dziesiątki tysięcy lat. Domysły, hipotezy dotyczące tej czy tamtej cechy, usprawnianie dość sztywnego planu.

– W jakim celu? – Spytał Dicken.

– Ewolucji – odparła Kaye.

Dicken odchylił się w krześle i położył dłonie na udach.

– Daj spokój.

– Powiedziałeś, że to nie choroba – przypomniała mu Kaye.

– Powiedziałem, że nie jest żadną ze znanych nam chorób. Nadal jednak jest to rethrowirus.

– Czytałeś przecież moje prace?

– Tak.

– Podałam kilka wskazówek.

Dicken zastanawiał się chwilę.

– Katalizator.

– Robisz to, mamy to, cierpimy – stwierdziła Kaye.

Policzki Dickena pokraśniały.

Staram się nie obracać tego w sprawę męsko-damską. I tak za wiele już dzieje się w ten sposób.

– Przepraszam – powiedziała Kaye. – Może chcę tylko omijać sedno sprawy.

Dicken wyglądał, jakby podjął decyzję.

– Wyrywam się przed szereg, pokazując to tobie. – Sięgnął do aktówki i wyjął wydruk e-maila z Atlanty. Na dnie wiadomości widniały cztery małe zdjęcia. – Zginęła w wypadku samochodowym pod Atlantą. Sekcję przeprowadzono w Northside Hospital i jeden z naszych patologów stwierdził, że była w pierwszym trymestrze. Zbadał płód, wyraźnie herodowy. Potem obejrzał macicę kobiety. Znalazł drugą ciążę, bardzo wczesną, u podstawy łożyska, chronioną cienką błoną tkanki warstwowej. Łożysko zaczęło się już oddzielać, ale drugie jajeczko było bezpieczne. Przetrwałoby poronienie. Miesiąc później...

– Wnuk – powiedziała Kaye. – Zrodzony przez...

– Pośrednią córkę. W istocie jedynie wyspecjalizowany jajnik. Stworzyła drugie jajeczko. Zagnieździło się w ścianie macicy matki.

– A jeśli jej jajeczka, jajeczka córki, są odmienne?

Dickenowi zaschło w gardle i zakasłał.

– Przepraszam. – Wstał, aby nalać sobie kubeczek wody, wrócił między stolikami i usiadł obok Kaye.

Mówił dalej, powoli.

– SHEVA powoduje uwolnienie kompleksu wielobiałek. Rozpadają się w cytozolu poza jądrem komórki. Hormon luteinizujący, folikulotropowy, prostaglandyny.

– Wiem. Powiedziała mi Judith Kushner – rzekła Kaye głosem ledwo głośniejszym od pisku. – Niektóre z tych hormonów są odpowiedzialne za wywoływanie poronienia. Inne zmieniałyby

zasadniczo komórkę jajową.

– Wywoływałoby jej mutację? – Spytał Dicken, czepiając się nadal strzępów starego paradygmatu.

– Nie jestem pewna, że to właściwe słowo – odparła Kaye.

– Przywodzi na myśl coś szkodliwego i przypadkowego. Nie. Może rozmawiamy o innym rodzaju rozmnażania.

Dicken dopił swą wodę.

– Dla mnie nie jest to całkowita nowość – rozważała Kaye spokojnie. Zacisnęła palce w pięści, potem lekko, nerwowo zabębniła knykciami po stole. – Zamierzasz twierdzić, że SHEVA jest częścią ewolucji człowieka? Że jesteśmy świadkami powstawania nowego typu człowieka?

Dicken wpatrywał się w twarz Kaye, w rysującą się na niej mieszaninę zdumienia i podniecenia, szczególnego lęku wywołanego nadciąganiem intelektualnego odpowiednika rozwścieczonego tygrysa.

– Nie ośmieliłbym się wyrazić tego tak otwarcie. Może po prostu jestem tchórzem. Może rzeczywiście jest to coś w tym rodzaju. Cenię sobie twoje zdanie. Bóg wie, że potrzebuję tu sojusznika.

Serce Kaye tłukło się w piersi. Podniosła kubeczek i rozlała przy tym zimną kawę.

– Boże, Christopherze. – Wybuchnęła cichym, bezradnym śmiechem. – A jeśli to prawda? A jeśli wszyscy jesteśmy brzemienni? Cała rasa ludzka?

Część druga

Wiosna Shevy

Wschodnia część stanu Waszyngton

Szeroka, wolna płynąca Columbia lśniła niby płyta polerowanego jadeitu okolona czarnymi bazaltowymi ścianami. Mitch zjechał z szosy stanowej nr 14, pół mili tłukł się wśród krzewów i zarośli zakurzoną zwirową drogą, potem skręcił na widok pochylonego, zardzewiałego słupka z tabliczką Iron Cave.

Kilka jardów od krawędzi wąwozu błyszcząły w słońcu dwie stare przyczepy kempingowe marki Airstream. Otaczały je drewniane ławki i stoliki zawalone workami z grubego płótna i narzędziami do kopania. Mitch zaparkował przy drodze.

Chłodna bryza szarpnęła jego filcowym stetsonem. Złapał kapelusz jedną ręką, wysiadł z samochodu, poszedł do krawędzi i popatrzył na obozowisko Eileen Ripper, leżące pięćdziesiąt stóp niżej.

Przez drzwi najbliższej przyczepy wyszła niska, młoda blondynka w wystrzępionych, wyblakłych dżinsach i kurtce z brązowej skóry. W wilgotnym powietrzu znad rzeki Mitch od razu wychwycił zapach perfum dziewczyny: Opium, Trouble albo coś w tym rodzaju. Zdumiewająco przypominała Tilde.

Kobieta stanęła pod wystającym daszkiem, potem zrobiła kilka kroków i osłoniła oczy przed słońcem.

– Mitch Rafelson? – Spytała.

– Nikt inny – odpowiedział. – Eileen jest na dole?

– No. Wszystko się wali, no wie pan.

– Odkąd?

– Od trzech dni. Eileen naprawdę ostro walczyła o swoje. Na dłuższą metę to niewielka różnica.

Mitch uśmiechnął się współczująco.

– Bywa – rzucił.

– Kobieta z Pięciu Plemion zwinęła się dwa dni temu. To dlatego Eileen uznała, że może pan tu przyjechać. Nikt się nie wścieknie na pana widok.

– Miło jest być kimś znanym. – Mitch uchylił kapelusza.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Eileen czuje się jak zbity pies. Przyda się jej trochę otuchy. Sama uważam pana za bohatera. Może z wyjątkiem tych mumii.

– Gdzie ją znajdę?

– Tuż pod jaskinią.

Oliver Merton siedział na składanym krześle w cieniu największego płóciennego baldachimu. Około trzydziestu lat, z ogniste rudymi włosami, szeroką, bladą twarzą i krótkim, zadartym nosem, z wyrazem poważnego i niemal żarliwego skupienia, z rozchyłonymi ustami, stukał palcem wskazującym w klawiaturę laptopa.

Nie umie bez patrzenia, pomyślał Mitch. Sam się nauczył pisać na maszynie. Oceniał jego ubranie, wyraźnie nie na miejscu na wykopaliskach: tweedowe spodnie, czerwone szelki, koszula frakowa z białego lnu ze stójką.

Merton nie podniósł wzroku, dopóki Mitch nie znalazł się tuż przy baldachimie.

– Mitchell Rafelson! Cóż za przyjemność! – Odstawił komputer na stół, zerwał się na równe nogi i wyciągnął rękę. – Cholernie tu posępnie. Eileen jest na stoku przy wykopaliskach. Na pewno nie

może się pana doczekać. Pójdziemy?

Sześciu pracujących w wykopie, sami młodzi stażyści lub magistranci, patrzyli z ciekawością na dwóch przechodzących obok mężczyzn. Merton szedł pierwszy, wspinając się po naturalnych stopniach wyciętych wiekami erozji rzecznej. Stanęli dwadzieścia stóp poniżej urwiska, gdzie wyglądająca na starą jaskinia wcinała się w wychodnię bazaltu. Ponad wychodnię i na wschód od niej zawaliła się część wystającej półki ze zwietrzałej skały, rozrzucając wielkie gązdy po biegnącym do brzegu łagodnym zboczu.

Eileen Ripper stała w zachodniej części stoku, poza równymi szeregami starannie przebadanych kwadratowych wykopów, oznaczonych siatkami topometrycznymi z drutów i sznurków. Pod pięćdziesiątkę, niska i ciemna, z głęboko osadzonymi czarnymi oczami i wąskim nosem. Najbardziej rzucającą się w oczy cechą urody Ripper były jej wydatne usta, odcinające się wyraźnie od krótkiej, zwichrzonej czapy siwiejących czarnych włosów.

Odwróciła się na powitanie Mertona. Nie uśmiechnęła się, nie powiedziała słowa. Zamiast tego zrobiła zdecydowaną minę, zeszła ostrożnie stokiem i wyciągnęła rękę do Mitcha. Mocno uściśnęła jego dłoń.

– Wczoraj rano dostaliśmy wyniki datowania radiowęglowego – powiedziała. – Mają trzynaście tysięcy lat, plus minus pięćset... A jeśli jedli dużo łososi, dwanaście tysięcy pięćset. Ludzie z Pięciu Plemion mówią jednak, że zachodnia nauka pragnie ich obedrzeć z resztek godności. Myślałam, że zdołam przemówić im do rozumu.

– Przynajmniej próbowałam – stwierdził Mitch.

– Przepraszam, że oceniłam cię tak surowo, Mitch. Tak długo zachowywałam spokój, pomimo drobnych oznak kłopotów, a potem ta kobieta, Sue Champion... Myślałam, że się zaprzyjaźniłyśmy. Doradza plemionom. Przyszła tu wczoraj z dwoma mężczyznami. Ci faceci

byli... Tacy radzi z siebie, Mitch. Jak mali chłopcy, którzy potrafią wyżej nasikać na wrota stodoły. Powiedzieli, że fabrykują dowody wspierające moje kłamstwa. Mówili, że mają po swojej stronie rząd i prawo. Nasza stara Nemezis, NAGPRA.

To skrót od Native American Graves Protection and Repatriation Act, nazwy ustawy o ochronie i repatriacji grobów Indian.

Mitch bardzo dobrze znał wszystkie jej szczegóły.

Merton stanął na luźnym stoku, próbując się nie ześlizgnąć, i rzucał na nich krótkie, badawcze spojrzenia.

– Jakie dowody sfabrykowałeś? – Zapytał lekko Mitch.

– Nie żartuj. – Ripper rozchmurzyła się jednak i wzięła dłoń Mitcha między swoje. – Pobraliśmy z kości kolagen i wysłaliśmy do Portland. Przeprowadzili badania DNA. Nasze kości pochodzą z odrębnej populacji, zupełnie niespokrewnionej ze współczesnymi Indianami, a tylko trochę z mumią ze Spirit Cave. Biali, jeśli można użyć tak szerokiego określenia. Choć nie nordycy. Bliżsi już Ajnom.

– To historyczne odkrycie, Eileen – powiedział Mitch. – Wspaniałe. Gratulacje.

Raz zacząwszy, Ripper nie mogła już zaprzestać mówienia. Schodzili ścieżką ku namiotom.

– Nie zaczęliśmy jeszcze ich porównywać z rasami współczesnymi. Takie to wkurzające! Przystajemy na zaciemnianie prawdy przez nasze świrnięte poglądy na rasę i tożsamość. Ówczesne populacje były zupełnie inne. Dzisiejsi Indianie nie pochodzą jednak od ludu, do którego należały nasze szkielety. Mógł rywalizować z przodkami współczesnych Indian. I przegrał.

– Indianie zwyciężyli? – Spytał Merton. – Powinni być radzi, gdy to usłyszeli.

– Uważają, że próbujemy wbijać klin w ich jedność polityczną. Nie obchodzi ich, co naprawdę się działo. Chcą swojego wymyślonego

światka i do diabła z prawdą!

– Mnie to mówisz? – Rzucił Mitch.

Ripper uśmiechnęła się przez łzy zniechęcenia i wyczerpania.

– Pięć Plemion znalazło adwokata, który wniósł do sądu federalnego w Seattle pozew o wydanie im szkieletów.

– Gdzie kości są teraz?

– W Portland. Wczoraj zapakowaliśmy je in situ i wysłaliśmy tam.

– Za granicę stanu? – Zapytał Mitch. – To porwanie.

– Lepsze to niż czekanie na bandę prawników. – Pokręciła głową, a Mitch objął ją ramieniem. – Próbowałam postępować zgodnie z prawem, Mitch. – Otarła policzki zakurzoną ręką, zostawiając brudne smugi, i zmusiła się do uśmiechu. – Teraz nawet wikingowie się na nas wściekli!

Wikingowie – mała grupka mężczyzn, przeważnie w średnim wieku, nazywających siebie Nordyckimi Czciicielami Odyna w Nowym Świecie – przyszli i do Mitcha, przed laty, aby móc odprawić swe ceremonie. Mieli nadzieję, że zdoła wesprzeć ich twierdzenia, iż przybysze skandynawscy przed tysiącami lat zamieszkiwali dużą część Ameryki Północnej. Mitch, zawsze ugodowy, pozwolił im odprawić obrzęd nad kośćmi człowieka z Pasco, nadal tkwiącymi w ziemi, ale ostatecznie musiał ich rozczarować. Człowiek z Pasco był w istocie czystym Indianinem, blisko spokrewnionym z południowymi Na-dene.

Po zbadaniu szkieletów przez Ripper Czciiele Odyna ponownie doznali rozczarowania. W świecie wrażliwej miłości własnej prawda nikogo nie uszczęśliwia.

O zmierzchu Merton wyciągnął butelkę szampana oraz zapakowanego próżniowo wędzonego łososa, świeży chleb i ser.

Kilku studentów Ripper rozpałiło nad brzegiem wielkie trzaskające i skwierczące ognisko, zaś Mitch i Eileen podsycali wzajemnie swe

szaleństwo.

– Gdzie pan dostał to żarcie? – Spytała Mertona Ripper, gdy ten rozkładał podniszczone obozowe talerze z aminoplastu na stojącym pod największym baldachimem stole z surowych sosnowych desek.

– Na lotnisku – odparł Merton. – Tylko tam miałem chwilkę czasu. Chleb, ser, ryba, wino – czego więcej chcieć? Choć przydałby się dobry pint piwa z goryczką.

Mam w przyczepie coorsa – powiedział krępy, łysy stażysta.

– Śniadanie kopaczy – pochwalił Mitch.

– Oprócz mnie – stwierdził Merton. – I proszę mi wybaczyć, ale poproszę każdego o wykopanie swego dołu. Każdego o jego historię. – Wziął od Ripper plastikowy kubeczek z szampanem. – O rasie, czasie i migracjach, o tym, co to znaczy być istotą ludzką. Kto chce zacząć pierwszy?

Mitch wiedział, że wystarczy mu milczeć przez kilka sekund, a Ripper zacznie. Merton notował, gdy mówiła o trzech szkieletach i polityce lokalnej. Po półtorej godzinie stało się przejmująco chłodno i przenieśli się bliżej ogniska.

– Plemiona ątajskie boczą się, że etniczni Rosjanie odkopują ich zmarłych – powiedział Merton. – Wszędzie dochodzi do buntów tubylców. Policzek wymierzony ciemieżcom kolonialnym. Czy sądzi pan, że neandertalczyki mają swoich rzeczników, urządzających teraz w Innsbrucku pikietę?

– Nikt nie chce być neandertalczykiem – odparł surowo Mitch.

– Z wyjątkiem mnie. – Zwrócił się do Eileen. – Śniła mi się. Moja mała rodzina.

– Naprawdę? – Eileen pochyliła się z ciekawością.

– Śniło mi się, że zamieszkują wielką tratwę na jeziorze.

– Piętnaście tysięcy lat temu? – Zdumiał się Merton, unosząc brwi.

Mitch wychwycił coś w tonie dziennikarza i spojrzał nań

podejrzliwie.

– To pański domysł? – Zapytał. – A może przeprowadzili datowanie?

– Niczego nie ogłosili publicznie – prychnął Merton. – Mam jednak na uniwersytecie swoje kontakty... I powiedziano mi, że ostatecznie otrzymali piętnaście tysięcy lat. Jeżeli – uśmiechnął się do Ripper – nie jadali wiele ryb.

– A cóż innego?

Merton dramatycznym gestem boksował w powietrzu.

– Wymiana ciosów – powiedział. – Szalone kłótnie i boksowanie po kątach. Pańskie mumie gwałcą wszystko, co wiadome w antropologii i archeologii. Nie są właściwie neandertalczykami, jak twierdzi paru członków głównego zespołu badawczego; to raczej nowy podgatunek, *Homo sapiens alpinensis*, jak nazwał ich pewien naukowiec. Inny się zakłada, że to późni „neandertalczyki smukli”, którzy żyjąc w szerszej społeczności, stali się mniej masywni i mocni, przypominając bardziej pana i mnie. Uważa, że to wyjaśnia niemowlę.

Mitch spuścił głowę. Nie czują tego co ja. Nie wiedzą tego, co ja wiem. Potem się odsunął i zdławił uczucia. Musiał zachować pewien stopień obiektywności.

Merton odwrócił się w stronę Mitcha.

– Czy widział pan dziecko?

Na te słowa Mitch wyprostował się nagle na składanym krześle. Merton zwęził oczy.

– Niedokładnie – odparł Mitch. – Domyśliłem się tylko, gdy powiedzieli, że dziecko było współczesne...

– Czy rysy niemowlęcia mogły zamaskować cechy neandertalskie? – Spytał Merton.

– Nie – odparł Mitch. Potem, mrużąc oko: – Nie sądzę.

– Ja też nie – przytaknęła Ripper. Studenci przysunęli się, słuchając

ich dyskusji. Ogień syczał i trzaskał, wyciągał wysoko żółte ramiona, sięgające ku chłodnemu, spokojnemu niebu. Rzeka pluskała o żwirowy brzeg z odgłosem liżącego rękę nakręcanego psa.

Mitch czuł, jak szampan odpręża go po długim, nużącym dniu prowadzenia samochodu.

– Choć może się to wydawać niewiarygodne, jest lepsze niż zaprzeczanie związkom genetycznym – powiedział Merton. – Ludzie w Innsbrucku zgadzają się niemal całkowicie, że samica i młode są spokrewnieni. Występują jednak anomalie, całkiem poważne, których nikt nie potrafi wyjaśnić. Mam nadzieję, że Mitchell zdoła mnie oświecić.

Przed koniecznością udawania niewiedzy ocalił Mitcha silny kobiecy głos, wołający ze szczytu urwiska:

– Eileen? Jesteś tam? To ja, Sue Champion.

– Cholera – powiedziała Ripper. – Myślałam, że jest teraz w Kumash. – Zwinęła dłonie wokół ust i wrzasnęła w górę: – Jesteśmy tu, Sue! Upijamy się. Dołączysz do nas?

Jeden ze studentów pobiegł z latarką ścieżką wiodącą na górę urwiska. Sue Champion zeszła z nim do namiotów.

– Ładne ognisko – zauważyła. Mająca ponad sześć stóp wzrostu Champion, szczupła, niemal chuda, z długimi, czarnymi włosami splecionymi w warkocz zwisający z przodu brązowej sztruksowej kurtki, wyglądała na inteligentną, szykowną i trochę sztywną. Być może chciała się uśmiechać, ale na jej twarzy przeważało zmęczenie. Mitch zerknął na Ripper i zobaczył, jak zastyga w oczekiwaniu.

– Przyszłam powiedzieć, że żałuję – powiedziała Champion.

– Wszyscy żałujemy – odparła Ripper.

– Siedzicie tu cały wieczór? Jest zimno.

– Poświęcamy się.

Champion okrążyła baldachim, podchodząc do ogniska.

– Moje biuro dostało twój telefon o wynikach badań. Prezes rady powierniczej nie uwierzył w nie.

– Nic na to nie poradzę – powiedziała Ripper. – Dlaczego ni z tego, ni z owego poszczułaś na mnie swego adwokata? Myślałam, że mamy zgodę i jeśli okażą się Indianami, przeprowadzimy podstawowe badania, jak najmniej inwazyjne, a potem zwrócimy ich Pięciu Plemionom.

– Osłabiliśmy czujność. Byliśmy zmęczeni po zamieszaniu z człowiekiem z Pasco. Zrobiliśmy błąd. – Popatrzyła ponownie na Mitcha. – Znam pana.

– Mitch Rafelson – przedstawił się, wyciągając rękę.

Champion jej nie ujęła.

– Mitchu Rafelsonie, nieźle dał nam pan do wiwatu.

– I nawzajem – odparł Mitch.

Champion wzruszyła ramionami.

– Zostały urażone najgłębsze uczucia naszych ludzi. Czuliśmy się zapędzani do kąta. Potrzebujemy ludzi w Olympii, a ostatnim razem ich zmartwiliśmy. Powiernicy przysłali mnie tutaj, bo uczyłam się antropologii. Nie najlepiej się sprawiłam. Teraz wszyscy są źli.

– Czy możemy coś zrobić, poza sądem? – Zapytała Ripper.

– Wódz powiedział mi, że dla wiedzy nie można zakłócać spokoju zmarłych. Szkoda, że nie wiesz, z jakim bólem na posiedzeniu rady słuchano, gdy opisywałam badania.

– Myślałam, że wyjaśniłam całą procedurę – powiedziała Ripper.

– Wszędzie niepokoisz zmarłych. Prosimy tylko, aby naszych zostawiać w spokoju.

Kobiety patrzyły na siebie ze smutkiem.

– To nie wasi zmarli, Sue – powiedziała Ripper, spuszczać oczy. – Nie byli z waszego ludu.

– Rada uważa, że mimo to stosuje się do nich NAGPRA.

Ripper podniosła rękę; nie warto raz jeszcze staczać starych bitew.

– Pozostaje nam tylko wydać więcej pieniędzy na prawników.

– Nie. Tym razem wygrasz – odparła Champion. – Mamy teraz inne kłopoty. Wiele naszych młodych matek choruje na heroda. – Przesunęła ręką po skraju płóciennego dachu. – Niektórzy z nas sądzili, że ogranicza się on do wielkich miast, może do białych, ale się mylili.

Oczy Mertona w migoczącym ogniu lśniły zapalem jak drobne soczewki.

– Przykro mi to słyszeć – powiedziała Ripper. – Moja siostra też ma heroda. – Wstała i położyła rękę na ramieniu Champion.

– Zostań jeszcze. Mamy gorącą kawę i kakao.

– Dziękuję, ale nie. Czeka mnie długa droga. Na razie zapominamy o zmarłych. Musimy się zatroszczyć o żywych. – W rysach Champion zaszła drobna zmiana. – Niektórzy są gotowi słuchać, jak mój ojciec i babcia, mówią, że dowiedziałaś się ciekawych rzeczy.

– Podziękuj im, Sue – poprosiła Ripper.

Champion spojrzała na Mitcha.

– Ludzie przychodzą i odchodzą, wszyscy przychodzimy i odchodzimy. Antropolodzy to wiedzą.

– Wiemy – potwierdził Mitch.

– Ciężko będzie to wytłumaczyć innym – powiedziała Champion. – Powiadomię cię, jeśli nasi ludzie postanowią coś w sprawie choroby, jeśli znajdą jakieś lekarstwo. Może zdołamy pomóc twojej siostrze.

– Dziękuję – odparła Ripper.

Champion przyjrzała się grupie pod płóciennym baldachimem, mocno kiwnęła głową, dodała kilka mniejszych skinieć dla wskazania, że powiedziała, co miała do powiedzenia, i jest gotowa odejść. Wspięła się ścieżką do krawędzi urwiska wraz z oświetlającym jej drogę krępyim stażystą.

– Nadzwyczajne – powiedział Merton; jego oczy nadal błyszczały. – Tajemne oświecenie. Może nawet tubylcza mądrość.

– Proszę się nie nabierać – odparła Ripper. – Sue jest dobra, ale o tym, co się dzieje, nie wie więcej od mojej siostry. – Zwróciła się do Mitcha. – Boże, źle wyglądasz.

Mitch czuł lekkie mdłości.

– Podobnie wyglądają niektórzy ministrowie – zauważył spokojnie Merton. – Kiedy wtłoczy się w nich zbyt wiele tajemnic.

Baltimore

Kaye chwyciła małą torbę z tylnego siedzenia taksówki i przesunęła kartą kredytową przez czytnik od strony kierowcy. Zadarła głowę, aby spojrzeć na najnowszy wysokościowy apartamentowiec w Baltimore, Uptown Helix, trzydzieści pięter wznoszących się na dwóch szerokich czworokątach sklepów i kin, a wszystko w cieniu Bromo-Seltzer Tower. Resztki spadłego wczesnym rankiem śnieżku ciągnęły się topniejącymi smugami wzdłuż chodnika. Kaye miała wrażenie, że zima nigdy się nie skończy.

Cross powiedziała jej, że mieszkanie na dwudziestym piętrze będzie całkowicie umeblowane, a jej rzeczy zostaną wniesione i rozłożone, lodówka i spiżarnia będą pełne jedzenia, otrzyma otwarty rachunek w kilku restauracjach na dole, że w domu stojącym zaledwie trzy przecznice od głównej siedziby spółki Americol dostanie wszystko, czego pragnie i potrzebuje.

Kaye przedstawiła się strażnikowi w portierni dla mieszkańców. Uśmiechnął się służalczo, jak do bogacza, i dał jej kopertę z kluczem.

– To nie moja własność, wie pan – powiedziała.

– Co to mnie obchodzi, szanowna pani – odparł z tą samą promienną uniżonością.

Z atrium centrum handlowego na piętra mieszkalne wjechała elegancką windą ze stali i szkła, zaciskając palce na poręczy. W kabinie była sama. Jestem chroniona, otoczona opieką, wypełniają mi czas bieganiami ze spotkania na spotkanie, nie dają chwili na

myślenie. Już sama nie wiem, kim jestem.

Wątpiła, aby jakikolwiek naukowiec czuł się dotąd równie poganiany co ona. Rozmowa w NIH z Christopherem Dickenem pchnęła ją na boczną ścieżkę, niewiele związaną z rozwojem terapii leczących SHEVE. Sto różnych wniosków wynikających z badań, które prowadziła od dyplomu, wypłynęło nagle na powierzchnię jej umysłu, tasowało się niby pływacy w balacie wodnym, ustawiało w czarujące wzory. Wzory niemające zupełnie nic wspólnego z chorobą i śmiercią, a wszystko z cyklami ludzkiego życia – a właściwie, każdego rodzaju życia.

Za niecałe dwa tygodnie naukowcy Cross przedstawią pierwszą kandydatkę na szczepionkę, pierwszą z dwunastu – wedle najnowszego rachunku – opracowywanych w kraju, w Americolu i innych firmach. Kaye nie doceniła szybkości, z jaką będzie pracował Americol – a za to przeceniła zakres danych, jakie zostaną jej udostępnione. Ciągle jestem tylko figurantką, pomyślała.

Na razie musiała się zorientować, co się teraz dzieje – czym SHEVA jest obecnie. Co w końcu spotka panią Hamilton i inne kobiety z kliniki NIH.

Wyszła z windy na dwudziestym piętrze, znalazła swój numer, 2011, włożyła do zamka elektroniczny klucz i otworzyła ciężkie drzwi. Przywitał ją napływ czystego, chłodnego powietrza, niosąc zapach nowego dywanu i mebli, czegoś różanego i słodkiego. Grała cicho muzyka: Debussy, nie mogła sobie przypomnieć tytułu utworu, ale bardzo się jej podobał.

Bukiet z kilku tuzinów żółtych róż wylewał się z kryształowego wazonu, stojącego w przedpokoju na niskiej etażerce.

Mieszkanie było jasne i miłe, z eleganckimi akcentami z drewna, pięknie umeblowane w dwie kanapy i krzesło obite zamszową, złotą tkaniną odcienia zachodu słońca. I Debussy. Rzuciła torbę na kanapę

i przeszła do kuchni. Lodówka, kuchenka, zmywarka z nierdzewnej stali, blat z szarego granitu obramowanego różowawym marmurem, kosztowne szynowe oświetlenie przypominające klejnoty, rzucające na pokój blaski niby drobne diamenty...

– Cholera, Marge – powiedziała Kaye pod nosem. Zaniósła torbę do sypialni, rozpięła na łóżku jej zamek, wyciągnęła spódnice, bluzki, jedną suknię, aby rozwiesić je w szafie, otworzyła jej drzwiczki i zagapiła się na garderobę. Gdyby nie spotkała już dwóch przystojnych i młodych towarzyszy Cross, nabrałaby na ten widok pewności, że zamiary Marge wobec niej nie ograniczają się do pracy. Szybko przerzucała sukienki, kostiumy, jedwabne i lniane bluzki, zerknęła na dół na stojaki na buty, podtrzymujące co najmniej osiem par na każdą okazję – były nawet pionierki turystyczne – i miała już dosyć.

Siadła na skraju łóżka i wydała głębokie, drżące westchnienie. Wspinając się ponad swój poziom tak społecznie, jak i naukowo. Odwróciła się i spojrzała na reprodukcje grafik Whistlera nad klonową toaletką, na zawieszony na ścianie ponad łóżkiem orientalny zwoje, pięknie oprawiony w heban z mosiężnymi zaciskami.

– Księżniczka ze szklanej wieży w wielkim mieście. – Czuła, jak jej twarz wykrzywia gniew.

W torebce zadzwoniła komórka. Kaye podskoczyła, przeszła do salonu, otworzyła torebkę, odebrała.

– Kaye, tu Judith.

– Miałaś rację – powiedziała Kaye szybko.

– Słucham?

– Miałaś rację.

– Zawsze mam rację, moja droga. Wiesz o tym. – Judith zaczęła, aż jej słowa zrobią odpowiednie wrażenie, a Kaye wiedziała, że ma coś ważnego do powiedzenia. – Pytałaś o aktywność transpozonów w moich hepatocytach zarażonych SHEVA.

Kaye czuła, że sztywnieje. Był to strzał nie do końca w ciemno, oddany przez nią dwa dni po rozmowie z Dickenem. Ślęczała nad tekstami i odświeżyła znajomość kilkunastu artykułów w sześciu różnych czasopismach. Przerzuciła swe notatniki, w których zapisywała najbardziej szalone, przelotne i skrajne pomysły.

Wraz z Saulem zaliczała się do biologów podejrzewających, że transpozony – wędrujące po genomie odcinki DNA – są czymś znacznie więcej niż tylko genami samolubnymi. Bite dwanaście stron w notatniku poświęciła możliwości, że są bardzo ważnymi regulatorami fenotypu, nie samolubnymi, lecz bezinteresownymi; w niektórych okolicznościach mogą kierować sposobem, w jaki białka stają się żywą tkanką. Zmieniają sposób, w jaki białka tworzą żywą roślinę lub zwierzę. Retrotranspozony bardzo przypominają retrowirusy, a zatem mają związek genetyczny z SHEVA.

Wszystkie te cząsteczki razem mogą być służebnicami ewolucji.

– Kaye?

– Chwileczkę – powiedziała Kaye. – Daj mi złapać oddech.

– No, powinnaś, kochana, moja droga była studentko Kaye Lang. Aktywność transpozonu w naszych hepatocytach zarażonych SHEVA jest trochę podwyższona. Tasują się bez żadnego widocznego skutku. To ciekawe. Nie ograniczyliśmy się jednak do hepatocytów. Dla Zespołu Specjalnego prowadzimy badania nad embrionalnymi komórkami macierzystymi.

Embrionalne komórki macierzyste mogą zostać dowolnym rodzajem tkanki, zupełnie jak wczesne komórki rozwijających się płodów.

– Można by rzec, że zachęcamy je do zachowywania się tak jak zapłodniona ludzka komórka jajowa – powiedziała Kushner.

– Nie mogą się rozwijać w płody, ale proszę cię, nic nie mów FDA. W komórkach macierzystych aktywność transpozonów jest

nadzwyczajna. Transpozony skaczą po SHEVIE jak pchły na gorącej blasze. Działają w co najmniej dwudziestu chromosomach. Gdyby kłębiły się na chybił trafił, komórka umarłaby. Komórka przeżywa. Jest zdrowa jak przedtem.

– Czy aktywność jest regulowana?

– Uruchamia ją coś w SHEVIE. Moim zdaniem coś w wielkim zespole białkowym. Komórka reaguje, jakby podlegała niezwykłemu stresowi.

– Co to według ciebie znaczy?

– SHEVA ma swoje plany wobec nas. Chce zmienić nasz genom, być może radykalnie.

– Dlaczego? – Kaye uśmiechnęła się wyczekująco. Była pewna, że Judith dostrzeże nieunikniony związek.

– Ten rodzaj aktywności nie może być dobroczynny, Kaye.

Uśmiech Kaye zgasł.

– Przecież komórka przeżywa.

– Tak – potwierdziła Kushner. – Ale nie dziecko, z tego, co wiemy. Zbyt wiele zmian następuje jednocześnie. Latami czekaliśmy, aż przyroda zareaguje na nasze igranie ze środowiskiem, każe nam skończyć z przeludnieniem i zużywaniem surowców, każe nam się zamknąć, przestać śmiecić wokoło i po prostu umrzeć. Apoptoza na poziomie gatunku. Uważam, że to może być ostatnie ostrzeżenie – prawdziwy zabójca gatunków.

– Mówiłaś to Augustine'owi?

– Nie wprost, ale się domyśli.

Kaye chwilę patrzyła oszołomiona na komórkę, potem podziękowała Judith i powiedział jej, że zadzwoni później. Przeszły ją ciarki.

A zatem to nie ewolucja. Może Matka Natura uznała ludzkość za złośliwy guz, za raka.

Przez straszliwą chwilę przydawało to więcej sensu jej rozmowie z Dickenem. Co jednak z nowymi dziećmi, urodzonymi z komórek jajowych wydalonych przez córki pośrednie? Czy będą uszkodzone genetycznie, na pozór normalne, ale szybko zaczną umierać? Albo po prostu zostaną odrzucone w pierwszym trymestrze, jak córki pośrednie?

Przez szerokie szklane drzwi, górujące nad Baltimore, Kaye patrzyła na odbłaski porannego słońca na mokrych dachach, asfalcie ulic. Wyobrażała sobie każdą ciążę prowadzącą do kolejnej, równie daremnej, do łon wypchanych w nieskończoność straszliwie zdeformowanymi płodami w pierwszym trymestrze.

Zamykanie rozmnażania się ludzi.

Jeśli Judith Kushner ma rację, dla całej ludzkiej rasy właśnie bije dzwon.

**Główna siedziba
Americolu, Baltimore
28 lutego**

Marge Cross stanęła na podium na lewo od widowni, gdy Kaye zajęła miejsce w szeregu sześciorga innych naukowców, gotowych po oświadczeniu stawiać czoła pytaniom. Czterystu pięćdziesięciu reporterów wypełniało salę po brzegi. Laura Nilson, dyrektor wydziału public relations Americolu na wschodnią część USA, młoda, czarnoskóra i bardzo skupiona, ścisnęła rąbek zakietu swego dopasowanego kostiumu z oliwkowej wełny, a potem przeszła do pytań.

Pierwszy w kolejce był reporter działu zdrowia i nauki CNN.

– Chciałbym zadać pytanie doktorowi Jacksonowi.

Robert Jackson, w Americol kierownik projektu szczepionki przeciw SHEVIE, podniósł rękę.

– Doktorze Jackson, skoro ten wirus miał na ewolucję tyle milionów lat, jak to możliwe, że Americol jest w stanie zapowiedzieć próbną szczepionkę po niecałych trzech miesiącach badań? Czy jesteście sprytniejsi od Matki Natury?

Sala zaszumiała chwilę śmiechem zmieszonym z szeptanymi komentarzami. Poruszenie było namacalne. Większość obecnych młodych kobiet nosiła maseczki z gazy, choć udowodniono, że ochrona taka jest nieskuteczna. Inne ssały specjalne pastylki z miętą i czosnkiem, mające zapobiec przyczepianiu się SHEVY. Ten

szczególny zapach Kaye wyczuwała nawet na podium.

Jackson podszedł do mikrofonu. Pięćdziesięcioletni, wyglądał na dobrze się trzymającego muzyka rockowego, niedbale przystojnego, w słabo uprasowanym garniturze i z niesfornymi brązowymi włosami siwiejącymi na skroniach.

– Zaczęliśmy pracę lata przed grypą Heroda – odpowiedział.

– Zawsze zajmowaliśmy się sekwencjami HERV, gdyż jak pan wie, skrywa się w nich wielka pomysłowość. – Przerwał specjalnie, obdarzył widownię lekkim uśmiechem, pokazał swą siłę, wyrażając podziw dla wroga. – Tak naprawdę od dwudziestu lat uczymy się, jak większość chorób wykonuje swą paskudną pracę, jak zbudowane są czynniki je przenoszące, co jest ich słabą stroną. Tworząc puste cząsteczki SHEVY, zwiększając do stu procent nieskuteczność retrowirusa, otrzymaliśmy nieszkodliwy antygen. Tak naprawdę, cząsteczki nie są wcale puste. Pakujemy w nie rybozym, kwas rybonukleinowy mający działanie enzymatyczne. Rybozym wiąże się z kilkoma fragmentami RNA SHEVY, które jeszcze się nie połączyły w zainfekowanej komórce, i je rozszczepia. SHEVA staje się systemem dostarczania molekuly, która blokuje jej aktywność chorobotwórczą.

– Panie doktorze... – Spróbował się wtrącić reporter z CNN.

– Nie udzieliłem jeszcze odpowiedzi na pana pytanie – przerwał mu Jackson. – Jest takie dobre! – Widownia zachichotała. – Nasz dotychczasowy problem polega na tym, że ludzie nie reagują mocno na antygen SHEVY. Do przełomu doszło dopiero, kiedy nauczyliśmy się, jak wzmacniać odpowiedź immunologiczną poprzez dołączanie glikoprotein związanych z innymi patogenami, na które organizm automatycznie odpowiada silną obroną.

Reporter z CNN próbował zadać inne pytanie, ale Nilson już przeszła do następnej pozycji na długiej liście. Był nią łączący się

przez Internet korespondent serwisu Sci-Trax.

– Także do doktora Jacksona. Czy wie pan, dlaczego jesteśmy tacy wrażliwi na SHEVE?

– Nie wszyscy jesteśmy wrażliwi. Mężczyźni, wykazujący silną odpowiedź immunologiczną na SHEVE, sami jej nie wytwarzają. Wyjaśnia to przebieg grypy Heroda u mężczyzn – szybki, trwający czterdzieści osiem godzin, jeśli w ogóle występuje. Jednakże niemal wszystkie kobiety są bezbronne wobec zakażenia.

– Tak, ale dlaczego są tak bezbronne?

– Sądzymy, że strategia SHEVE jest niewiarygodnie dalekosiężna, rzędu tysięcy lat. Może to być pierwszy znany nam wirus, który do rozprzestrzeniania się wykorzystuje wzrost populacji, a nie osobników. Wywołanie silnej odpowiedzi immunologicznej prowadziłoby do niekorzystnego dla niego skutku, dlatego wyłania się jedynie u takich populacji, które żyją w stresie, albo wskutek jakiegoś innego czynnika zapoczątkowującego, którego jeszcze nie rozumiemy.

Następny był korespondent naukowy „New York Times”.

– Doktorze Pong i doktor Subramanian, specjalizują się państwo w badaniu grypy Heroda w Azji Południowo-Wschodniej, gdzie dotychczas zgłoszono setki tysięcy przypadków. W Indonezji doszło nawet do zamieszek. W zeszłym tygodniu rozeszły się pogłoski, że to inny prowirus...

– Całkowicie fałszywe – powiedziała Subramanian, uśmiechając się uprzejmie. – SHEVA jest zdumiewająco jednolita. Czy mogę wprowadzić małą poprawkę? „Prowirus” to DNA wirusowe wstawione do ludzkiego materiału genetycznego. Po ekspresji jest po prostu wirusem albo retrowirusem, choć w tym przypadku wielce interesującym.

Kaye zastanawiała się, jak Subramanian może się skupiać wyłącznie na nauce, skoro jej uszy wychwyciły szczególne i budzące

strach słowo „zamieszki”.

– Tak, ale moje następne pytanie brzmi, dlaczego u człowieka osobnicy męscy wykazują silną odpowiedź immunologiczną na wirusy od innych mężczyzn, ale nie na własne, skoro glikoproteiny w płaszczu, antygeny, według waszych oświadczeń prasowych są takie proste i niezmiennie?

– Bardzo dobre pytanie – odparł doktor Pong. – Czy mamy czas na seminarium trwające cały dzień?

Lekki śmiech. Pong mówił dalej.

– Uważamy, że odpowiedź męska zaczyna się po inwazji komórki i co najmniej jeden gen w SHEVIE występuje w subtelnych odmianach lub mutacjach, które na powierzchni niektórych komórek wywołują produkcję antygenów jeszcze przed w pełni rozwiniętą odpowiedzią immunologiczną, w ten sposób aklimatyzując organizm do...

Kaye słuchała tylko jednym uchem. Myślała stale o pani Hamilton i innych kobietach z kliniki NIH. Zamykanie rozmnażania się ludzi. Każda porażka wywoła skrajne reakcje; ciężące na naukowcach brzemie staje się ogromne.

– Oliver Merton, z „Economista”. Pytanie do pani doktor Lang. – Kaye podniosła wzrok i zobaczyła młodego, rudowłosego mężczyznę w tweedowym płaszczu, trzymającego mikrofon bezprzewodowy. – Teraz, kiedy wszystkie geny kodujące SHEVE, w różnych chromosomach, opatentował pan Richard Bragg... – Merton zajrzał do notatek. – Z Berkeley w Kalifornii... Numer patentu 8564094, wydany przez Urząd Patentowy i Znaków Towarowych Stanów Zjednoczonych 27 lutego, zaledwie wczoraj, jak pani spółka zamierza pracować nad szczepionką bez uzyskania licencji i wniesienia opłat?

Nilson nachyliła się nad swoim mikrofonem na podium.

– Panie Merton, nie ma takiego patentu.

– Zaiste jest – powiedział Merton, marszcząc nos w zdenerwowaniu – i mam nadzieję, że pani doktor Lang wyjaśni powiązania swego zmarłego męża z Richardem Braggiem i to, jak się mają do jej obecnej pracy dla Americolu i CDC?

Kaye stała oniemiała.

Merton uśmiechał się z dumą na widok jej zmieszania.

Kaye weszła do pokoju po Jacksonie, a przed Pongiem, Subramanian i pozostałymi naukowcami. Cross siedziała na środku wielkiej, błękitnej kanapy, i miała poważną minę. Kanapę półkolem otaczali jej czterej główni doradcy prawni.

– O co, do diabła, w tym wszystkim chodziło? – Zapytał Jackson, machając szeroko ręką ogólnie w kierunku podium.

– Tamten kogucik ma rację – powiedziała Cross. – Richard Bragg przekonał kogoś w Urzędzie Patentowym, że przed wszystkimi innymi wyizolował i zsekwencjonował geny SHEVY. Proces patentowy wszczął rok temu.

Kaye wzięła od Cross faks z kopią patentu. Na liście wynalazców wymieniony był Saul Madsen; na liście cesjonariuszy EcoBacter obok AKS Industries – spółki, która kupiła, a potem zlikwidowała EcoBacter.

– Kaye, powiedz mi teraz, powiedz wprost – zażądała Cross – czy wiesz coś o tym?

– Nic – odparła Kaye. – Nie jestem w stanie niczego wyjaśnić. Określiłam lokalizacje genów, ale ich nie zsekwencjonowałam. Saul nigdy nie wymienił nazwiska Richarda Bragga.

– Jak to wpływa na naszą pracę? – Zagrzmiął Jackson. – Lang, jak mogła pani nie wiedzieć?

– Nie zostawimy tak tego – powiedziała Cross. – Haroldzie?

– Spojrzała na najbliższego siwowłosego mężczyznę w nieskazitelnej garniturze w wąskie prążki.

– Podważymy patent na podstawie sprawy Genetron przeciwko Amgen, „Przypadkowe patentowanie retrogenów w genomie myszy”
– odparł prawnik. – Daj nam dzień i znajdziemy tuzin dalszych powodów do obalenia. – Wycelował palcem w Kaye i zapytał ją: – Czy AKS lub jakaś spółka od niej zależna korzystają z funduszy federalnych?

– EcoBacter wystąpił o niewielki grant federalny – powiedziała Kaye. – Uzyskał zgodę, ale nigdy nie dostał pieniędzy.

– Możemy skłonić NIH do powołania się na ustawę Bayh-Dole – ucieszył się doradca.

– A jeśli sprawa jest mocna? – Przerwała mu Cross niskim głosem, w którym pobrzmiwała groźba.

– Być może namówimy panią Lang do podważenia patentu. Bezprawne wykluczenie głównego wynalazcy.

Cross walnęła pięścią w obicie kanapy.

– Bądźmy więc optymistami – powiedziała. – Kaye, kotku, gapisz się jak cielę w malowane wrota.

Kaye podniosła ręce w obronnym geście.

– Przysięgam, Marge, nie...

– Chciałabym wiedzieć, dlaczego moi ludzie tego nie wyhaczyli. Muszę zaraz porozmawiać z Shawbeckiem i Augustine'em. – Zwróciła się do prawników. – Sprawdźcie, w co jeszcze Bragg wetknął swój paluch. Żebyśmy nie dali się wpuścić w kanał.

Bethesda

Marzec

– Ta podróż była bardzo krótka – powiedział Dicken, kładąc na biurko Augustine’a wydrukowany raport i dyskietkę. – Przedstawiciele WHO w Afryce powiedzieli, że pracują po swojemu i dziękują. Stwierdzili, że współpraca przy poprzednich badaniach nie będzie tu miała zastosowania. W Afryce mają jedynie sto pięćdziesiąt potwierdzonych przypadków, tak mówią, i nie widzą żadnych podstaw do paniki. Przynajmniej byli na tyle uprzejmi, że dali mi parę próbek tkanek. Wysłałem je z Kapsztadu. – Doszły – potwierdził Augustine. – Dziwne. Jeśli wierzyć ich liczbom, Afryka ucierpiała znacznie mniej niż Azja, Europa czy Ameryka Północna. – Wyglądał na zaniepokojonego; nie złego, ale zasmuczonego. Dicken nigdy dotąd nie widział Augustine’a równie przybitego. – Co z tym zrobimy, Christopherze?

– Ze szczepionką? – Spytał Christopher.

– Z tobą, ze mną, z Zespołem Specjalnym. Do końca maja w samej Ameryce Północnej będziemy mieli ponad milion zakażonych kobiet. Doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego zwołał socjologów, aby powiedzieli mu, jak zareaguje opinia publiczna. Z każdym tygodniem wzrasta jej nacisk. Dopiero co wróciłem ze spotkania z naczelną lekarz i wiceprezydentem. Tylko wice, Christopherze. Prezydent składa odpowiedzialność na Zespół Specjalny. Mały skandal z Kaye Lang był kompletnym zaskoczeniem. Jedyłą radość

odczułem na widok Marge Cross sapiącej w sali niby wykolejony pociąg towarowy. Zjechała nas prasa – „Niekompetentne sknocenie w erze cudów”. To przeważający ton.

– Nic dziwnego – powiedział Dicken i usiadł na fotelu z drugiej strony biurka.

– Christopherze, znasz Lang lepiej niż ja. Jak mogła do tego dopuścić?

– Mam wrażenie, że NIH zajął się uchYLENIEM patentu. Jakies szczegóły techniczne, niemożność wykorzystywania zasobów naturalnych.

– Tak... Ale na razie przez tego sukinsyna Bragga wychodzimy na durni. Czy Lang była aż tak głupia, aby podpisywać każdy papier, który podsuwał jej mąż?

– A podpisywała?

– Podpisywała – potwierdził Augustine. – Jasne jak słońce. Przekazując w ręce Saula Madsena i jego współpracowników kontrolę nad każdym odkryciem opartym na pierwotnym ludzkim retrowirusie endogennym.

– Wspólników niewymienionych?

– Niewymienionych.

– Tak więc właściwie nie jest winna? – Zapytał Dicken.

– Nie lubię pracować z głupkami. Wyrolowała mnie z Americolem, a teraz robi pośmiewisko z Zespołu Specjalnego. Cóż dziwnego, że prezydent nie spotkał się ze mną?

– Na razie. – Dicken obgryzał paznokiec, ale przestał po spojrzeniu Augustine'a.

– Cross mówi, żeby nie przejmować się procesami i czekać, aż Bragg nas pozwie. Racja. Tymczasem jednak zrywam nasze związki z Lang.

– Nadal może być przydatna.

– No to korzystajmy z niej po cichu.

– Czy mam trzymać się od niej z dala?

– Nie – powiedział Augustine. – Między wami wszystko ma zostać cacy. Niech się czuje potrzebna i włączona w pracę. Nie chcę, aby poszła do prasy – najwyżej ze skargą na złe traktowanie jej przez Cross. A teraz... Następna nieprzyjemność.

Augustine sięgnął do szuflady biurka i wyjął błyszczące, czarno-białe zdjęcie.

– Nie znoszę tego, Christopherze, ale rozumiem, dlaczego to robią.

– Co? – Dicken czuł się jak chłopczyk czekający na burę.

– Shawbeck poprosił FBI, aby miała na oku naszych głównych ludzi.

Dicken się pochylił. Dawno już rozwinął w sobie instynkt urzędnika państwowego nakazujący trzymanie nerwów na wodzy.

– Dlaczego, Mark?

– Bo dowiedział się o ogłoszeniu zagrożenia narodowego i wprowadzeniu stanu wojennego. Jeszcze nie podjęto żadnej decyzji... Może nastąpi to za kilka miesięcy... W tych jednak okolicznościach wszyscy musimy być czyści jak łąza. Christopherze, jesteśmy aniołami leczenia. Ludzie nam ufają. Niedopuszczalna jest najmniejsza skaza.

Augustine podał mu zdjęcie. Widniał na nim on sam przed Jessies Cougar w Waszyngtonie w Dystrykcie Kolumbii.

– Mielibyśmy duże kłopoty, gdyby cię rozpoznano.

Dicken zarumienił się tyleż ze wstydu, co z gniewu.

– Poszedłem tam raz, wiele miesięcy temu. Byłem piętnaście minut i wyszedłem.

– Udałeś się z dziewczyną do pokoju na zapleczu – powiedział Augustine.

– Nosiała maskę chirurgiczną i traktowała mnie jak trędowatego! – Wybuchnął Dicken, okazując więcej przejęcia, niż pragnąłby. Jego

instynkt bardzo osłabł. – Nie chciałem jej wcale dotykać!

– Christopherze, jak wszyscy inni nienawidzę tego gówna – powiedział Augustine lodowato – ale to dopiero początek. Wszystkich nas czeka bardzo szczegółowe sprawdzenie.

– Jestem więc na okresie próbnym i pod kuratelą, Mark? FBI wpisze mnie na czarną listę?

Augustine uważał, że nie musi odpowiadać.

Dicken wstał i rzucił zdjęcie na biurko.

– Co następne? Czy mam ci podawać nazwiska wszystkich kobiet, z którymi się umawiam, i opowiadać, co robiliśmy?

– Tak – odparł Augustine łagodnie.

Dicken urwał tyradę w połowie i poczuł, jak gniew wypływa zeń niby ciche beknięcie. Skutki były tak rozległe i przerażające, że niespodziewanie czuł jedynie zimny strach.

– Szczepionka do testów klinicznych będzie gotowa najwcześniej za cztery miesiące, nawet przy zastosowaniu nadzwyczajnych środków. Shawbeck i wiceprezydent dziś wieczorem omówią w Białym Domu nową politykę. Zalecamy kwarantannę. Założę się, że dla narzucenia jej konieczne będzie wprowadzenie swego rodzaju prawa wojennego.

Dicken znowu usiadł.

– Niewiarygodne.

– Nie mów, że o tym nie myśleliście – powiedział Augustine.

Twarz miał szarą ze znużenia.

– Nie dysponuję taką wyobraźnią – stwierdził Dicken z goryczą.

Augustine obrócił się, aby wyjrzeć przez okno.

– Nadchodzi wiosna. Kochliwość młodzieży i takie tam. To naprawdę właściwa pora na ogłoszenie rozdzielenia płci. Wszystkich kobiet zdolnych do rodzenia dzieci i wszystkich mężczyzn. Office of Management and Budget ma obliczyć z grubsza, jak bardzo obniży to

dochód narodowy.

Dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu.

– Dlaczego poszedłeś na noże z Kaye Lang? – Zapytał Dicken.

– Bo wiem, co z nią zrobić – odparł Augustine. – Ta inna sprawa... Nie powołuj się na mnie, Christopherze. Dostrzegam konieczność, ale nie wiem, jak u diabła to przeżyjemy, politycznie. – Wyjął z teczki kolejną fotografię i podniósł, pokazując Dickenowi. Widnieli na niej mężczyzna i kobieta stojący na schodkach przed kamienicą, oświetleni jedyną latarnią nad wejściem. Całowali się. Dicken nie widział twarzy mężczyzny, ale nosił się on jak Augustine i miał jego posturę.

– Abyś nie czuł się tak podle. To żona nowego kongresmena – powiedział Augustine. – Już po nas. Najwyższa pora, abyśmy wszyscy dorośli.

Dicken stanął przed siedzibą Zespołu Specjalnego w budynku nr 51. Nie czuł się najlepiej. Prawo wojenne. Rozdzielenie płci. Zwiesił ramiona i ruszył na parking, omijając szczeliny między płytami chodnika.

W samochodzie zauważył, że ma wiadomość na poczcie głosowej. Zadzwoił i ją odebrał. Nieznajomy głos próbował przezwyciężyć niekłamaną niechęć do pozostawiania wiadomości automatowi i po kilku nieudanych podejściach oznajmił, że mają wspólnych znajomych – dwóch lub trzech – i być może wspólne zainteresowania.

– Nazywam się Mitch Rafelson. Jestem teraz w Seattle, ale zamierzam wkrótce polecieć na Wschodnie Wybrzeże i odbyć kilka spotkań. Jeśli jest pan zainteresowany... Historią SHEVY, dawnymi jej przypadkami, proszę się do mnie odezwać.

Dicken zamknął oczy i pokręcił głową. Niewiarygodne. Chyba wszyscy już wiedzą o jego szalonej hipotezie. Zapisał numer telefonu w notesiku i popatrzył na niego z namysłem. Nazwisko brzmiało znajomo. Podkreślił je piórem.

Opuścił szybę i wciągnął głęboko powietrze. Dzień był ciepły, a chmury nad Bethesda się przerzedzały. Zima wkrótce minie.

Wbrew rozsądkowi, wbrew wszelkim racjom, wystukał numer Kaye Lang. Nie było jej w domu.

– Mam nadzieję, że potrafisz sobie radzić z wielkimi dziewczuchami
– mruknął Dicken pod nosem i uruchomił silnik samochodu. – Cross jest naprawdę bardzo wielka.

Baltimore

Adwokat nazywał się Charles Wothering. Mówił czystym akcentem bostońskim, ubrany był nieporządnie, ale z klasą, nosił zrobioną na drutach wełnianą czapkę i długi, purpurowy szalik. Kaye zaproponowała mu kawę i chętnie ją przyjął. – Bardzo ładnie – ocenił rozglądając się po mieszkaniu. – Ma pani dobry gust.

– Marge urządziła wszystko za mnie – powiedziała Kaye.

Wothering się uśmiechnął.

– Marge zupełnie nie ma gustu w urządzaniu mieszkań. Pieniądze potrafią jednak zdziałać cuda, przyzna pani?

– Nie mam skarg – odparła Kaye z uśmiechem. – Dlaczego przysłała pana tutaj? Aby... Zmienić naszą umowę?

– Skądże – odparł Wothering. – Pani rodzice nie żyją, tak?

– Tak – potwierdziła Kaye.

Jestem przeciętnym prawnikiem, pani Lang – czy mogę mówić pani Kaye?

Kaye przytaknęła.

– Przeciętnie znam się na prawie, ale Marge ceni moją znajomość charakterów. Może mi pani wierzyć albo nie, ale Marge nie jest w tym dobra. Mnóstwo brawury, lecz szereg nieudanych małżeństw, które pomagałem rozwiązywać i odkładać w odległą przeszłość, tak iż więcej o nich nie słyhać. Jej zdaniem potrzebuje pani mojej pomocy.

– W czym? – Zapytała Kaye.

Wothering usiadł na kanapie i z cukierniczki na tacy nabrał trzy

łyżeczki cukru. Ostrożnie mieszał kawę w filiżance.

– Czy kochała pani Saula Madsena?

– Tak – odparła Kaye.

– A co czuje pani teraz?

Kaye zastanawiała się, ale wytrzymała badawcze spojrzenie Wotheringa.

– Pojęłam, ile rzeczy Saul ukrywał przede mną, abyśmy mogli snuć marzenia.

– Jaki był intelektualny wkład Saula do pani pracy?

– To zależy do jakiej.

– Do pracy nad wirusem endogennym.

– Niewielki. Nie była to jego specjalność.

– A co było jego specjalnością?

– Porównywał siebie do drożdży.

– Słucham?

– Zapoczątkowywał fermentację. Ja wносиłam cukier.

Wothering się zaśmiał.

– To znaczy pobudzał panią intelektualnie?

– Rzucał mi wyzwania.

– Jak nauczyciel, rodzic czy... Partner?

– Partner – odparła Kaye. – Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– Związała się pani z Marge, bo nie czuła się na siłach sama mierzyć się z Augustine'em i jego ludźmi. Czy mam rację?

Kaye popatrzyła na niego.

Wothering uniósł krzaczastą brew.

– Niezupełnie – odparła Kaye.

Nie mrużyła oczu i już ją piekły. Wothering mrugał, ile chciał, a teraz odstawił filiżankę

– Mówiąc krótko, Marge przysłała mnie, abym w jakikolwiek możliwy sposób oderwał panią od Saula Madsena. Potrzebuję pani

zgody na dokładne sprawdzenie EcoBacter, AKS i związków pani z Zespołem Specjalnym.

– Czy to konieczne? Jestem pewna, panie Wothering, że limit mrocznych tajemnic w moim życiu już się wyczerpał.

– Ostrożności nigdy za wiele, pani Kaye. Rozumie pani, że sprawy nabierają wielkiej wagi. Wszelkiego rodzaju kłopotliwe sytuacje mogą naprawdę mocno wpłynąć na porządek publiczny.

– Wiem – przyznała Kaye. – Powiedziałam, że jest mi przykro.

Wothering wyciągnął rękę i z pocieszającą miną pomachał lekko palcami w powietrzu. W innej epoce może po ojcowsku poklepałby ją po kolanie.

– Posprzątam ten bałagan. – Spojrzenie Wotheringa stwardniało. – Nie chcę, aby rosnące poczucie osobistej odpowiedzialności zastąpiła pani automatycznym poleganiem na usługach dobrego prawnika – powiedział. – Jest już pani dorosła, Kaye. Chcę przede wszystkim rozplątać sznurki, a potem... Odetnę je. Nic nikomu nie będzie pani winna.

Kaye zagryzła wargę.

– Chciałabym wyjaśnić jedno, panie Wothering. Mój mąż był chory. Chory umysłowo. Co Saul zrobił, albo czego nie zrobił, nie może być zarzutem wobec niego – ani wobec mnie. Starał się zachowywać równowagę, wieść swe życie i pracować.

– Rozumiem, pani Lang.

– Saul bardzo mi pomagał, na swój sposób, ale odrzucam wszelkie wnioski, że nie jestem samodzielna.

– Nie wyciągam takich wniosków.

– To dobrze – powiedziała Kaye, czując, że stąpa po polu minowym zdenerwowania, gotowa w każdej chwili wybuchnąć gniewem. – Chcę teraz wiedzieć, czy Marge Cross nadal uważa moje usługi za przydatne?

Wothering uśmiechnął się i pokiwał głową w sposób umiejętnie wyrażający świadomość jej zdenerwowania i konieczność kontynuacji swojej misji.

– Marge nigdy nie daje więcej, niż bierze, na pewno szybko się pani o tym przekona. Kaye, czy może mi pani wyjaśnić ową szczepionkę?

– To połączenie płaszcza antygeny ze spreparowanym rybozymbem – kwasem rybonukleynowym o właściwościach podobnych do enzymu. Przyłącza się do części kodu SHEVY i go przecina. Łamie jej kark. Wirus nie może się replikować.

Wothering w zdumieniu kręcił głową.

– Technicznie jest to cudowne – stwierdził. – Dla większości z nas niepojęte. Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani zdaniem Marge zdoła namówić kobiety na całym świecie do rozważenia przyjęcia tej szczepionki?

– Pewnie zadziała reklamą i promocją. Powiedziała, że praktycznie ją rozda.

– Komu zaufają pacjenci, Kaye? Jest pani wybitną kobietą, którą mąż oszukiwał, trzymał w niewiedzy. Kobiety potrafią przez skórę wyczuwać taką niesprawiedliwość. Proszę mi wierzyć, Marge gotowa jest na bardzo wiele, aby zatrzymać panią w swym zespole. Pani pozycja staje się coraz silniejsza.

Seattle

Mitch podniósł się w łóżku, spocony i krzyczący. Słowa padały z gardłowym hukiem, choć już wiedział, że się obudził. Usiadł z boku z nogami nadal zaplątanymi w pościel i drżał. – Wariactwo – powiedział. – Zwariowałem. Zwariowałem na punkcie tego. Znowu śnił o neandertalczykach. Tym razem patrzył na nich przeważnie z punktu widzenia samca, czuł się wolny, jakby unosił się w płynnym oceanie, który od razu zalał go bardzo przejrzystymi i nieprzyjemnymi wodami uczuć, a potem wzbił się wysoko, aby oglądać spleątany tok wydarzeń. Tłumy zbierały się na skraju wioski – tym razem nie na jeziorze, ale na polanie otoczonej gęstą, pradawną puszcza. Zaostrzonymi, utwardzonymi w ogniu kijami wygrażały samicy, której imię niemal pamiętał... Nali-a albo Ma-li.

– Jean Auel, oto jestem – mruknął, wygrzebując nogi z pościeli. – Mowgli z Kamiennego Plemienia ratuje swą kobietę. Jezu.

Poszedł do kuchni nalać sobie szklankę wody. Walczył z jakimś wirusem – na pewno przeziębienia, a nie SHEVY, zważywszy na stan jego związków z kobietami. W ustach go drapało i piekło, a z nosa kapało. Przeziębził się pewnie podczas odbytej w zeszłym tygodniu wycieczki do Iron Cave. Może zaraził się od Mertona. Odwiózł brytyjskiego dziennikarza na lotnisko, skąd odlatywał on do Marylandu.

Woda smakowała okropnie, ale oczyściła mu usta. Wyjrzał na Broadway i pocztę, teraz niemal puste. Marcowa burza śnieżna

miotła ulicami drobne, krystaliczne płatki. Pomarańczowy blask sodowych latarni ulicznych przekształcał nagromadzony śnieg w porozrzucane stosy złota.

– Wykopano nas z jeziora, ze wsi – szepnął. – Musimy poradzić sobie sami. Paru zapaleńców gotowych jest pójść za nami, może spróbują nas zabić. Będziemy...

Zadrzał. Emocje były tak mocne i tak rzeczywiste, że z trudem się z nich otrząsnął. Strach, wściekłość, coś jeszcze... Bezradna miłość. Pomacał twarz. Zerwali ze swoich obliczy rodzaj skóry, maseczki. Oznakę swej zbrodni.

– Droga Shirley MacLaine – powiedziała, przyciskając czoło do zimnej szyby okna. – Reżyseruję jaskiniowców, którzy nie żyją w jaskiniach. Czy dostanę jakieś rady?

Zerknął na zegar na kamerze wideo leżącej niepewnie na małym telewizorze. Była piąta rano. W Atlancie mieli ósmą. Spróbował ponownie połączyć się z tamtym numerem, a potem zalogować się na naprawionym laptopie i wysłać wiadomość e-mailem.

W łazience gapił się na siebie w lustrze. Rozczochrane włosy, spocona, przetłuszczona twarz, dwudniowy zarost, porwana koszulka i gacie.

– Istny Jeremiasz – powiedział.

Potem kolejne wielkie sprzątnięcie zaczął od przedmuchania nosa i umycia zębów.

Atlanta

Christopher Dicken do swego domku na obrzeżach Atlanty wrócił o trzeciej nad ranem. Do drugiej pracował u siebie w CDC, przygotowując dla Augustine'a dane o rozprzestrzenianiu się SHEVY w Afryce. Przez godzinę leżał, nie mogąc zasnąć i zastanawiając się, jaki będzie świat za następne sześć miesięcy. Kiedy wreszcie zapadł w sen, miał wrażenie, że zaraz potem obudziło go brzęczenie telefonu komórkowego. Usiadł w podwójnym łóżku, należącym kiedyś do jego rodziców, zastanawiając się chwilę, gdzie jest, szybko uznał, że to nie Hilton w Kapsztadzie, i zapalił światło. Ranek przesączał się już przez zasłony w oknach. Po czwartym dzwonku Dicken zdołał wygrzebać komórkę z kieszeni wiszącego w szafie płaszcza i odebrał połączenie.

– Czy pan doktor Chris Dicken?

– Christopher. No. – Zerknął na zegarek. Piętnaście po ósmej. Przespał zaledwie dwie godziny i na pewno czuł się gorzej, niż gdyby wcale nie spał.

– Nazywam się Mitch Rafelson.

Tym razem Dicken przypomniał sobie to nazwisko i wiedział, skąd je zna.

– Naprawdę? – Zapytał. – Gdzie pan jest, panie Rafelson?

– W Seattle.

– Czyli u pana jest nawet wcześniej niż tu. Muszę jeszcze pospać.

– Proszę o chwilę – powiedział Mitch. – Przepraszam, jeśli pana obudziłem. Czy dostał pan moją wiadomość?

– Dostałem – odparł Dicken.

Musimy porozmawiać.

– Zaraz, jeśli jest pan Mitchem Rafelsonem, tym Mitchem Rafelsonem, to powinienem z panem rozmawiać... Niemal tak pilnie jak... – Próbował znaleźć dowcipne porównanie, ale umysł mu nie pracował. – Nie muszę z panem rozmawiać.

– Rozumiem... Ale i tak proszę posłuchać. Szuka pan SHEVY po całym świecie, prawda?

– No – powiedział Dicken. Ziewnął. – Bardzo mało spałem, myśląc o niej.

– Ja też – odparł Mitch. – Pańskie zwłoki na Kaukazie wykazały obecność SHEVY. Moje mumie... W Alpach... Mumie w Innsbrucku wykazały obecność SHEVY.

Dicken mocniej przycisnął komórkę do ucha.

– Skąd pan o tym wie?

– Mam raporty laboratoryjne z Uniwersytetu Stanu Waszyngton. Co wiem, muszę przekazać panu i każdemu innemu z otwartym umysłem.

– Żaden umysł nie jest na to dość otwarty – powiedział Dicken. – Kto dał panu mój numer?

– Doktor Wendell Packer.

– Czy znam Packera?

– Pracował pan z jego znajomą. Renee Sondak.

Dicken podrapał paznokciem przedni ząb. Bardzo poważnie rozważał zakończenie połączenia. Jego komórka była szyfrowana cyfrowo, ale gdyby ktoś się uparł, to odkodowałby rozmowę. Na myśl o tym zapłonął nagle gniewem. Rzeczy wymykały się spod kontroli. Wszyscy tracili perspektywę i wcale nie byłoby lepiej, gdyby się zabawiał na prawo i lewo.

– Jestem zupełnie sam. – Mitch przerwał ciszę. – Ktoś musi mi

powiedzieć, że nie zwariowałem do końca.

– No – powiedział Dicken. – Wiem coś o tym. – Potem, wykrzywiając twarz i tupiąc nogą, wiedząc, że napyta sobie większej biedy niż podczas wszystkich poprzednich walk z wiatrakami, dodał: – Powiedz mi coś więcej, Mitch.

San Diego, Kalifornia

28 marca

Tytuł konferencji międzynarodowej, wypisany czarnymi plastikowymi literami na tablicy w centrum kongresowym, wywołał u Dickena przelotny dreszczyk – przelotny i konieczny. Przez ostatnie kilka miesięcy nic prawie nie dawało mu starego, dobrze znanego kopa zadowolenia z pracy, ale bez trudu poczuł go na widok nazwy konferencji.

Kontrolowanie środo-wi (ru) s-ka: Nowe techniki zwalczania chorób wirusowych

Tekst nie był wcale nazbyt optymistyczny ani bezpodstawny. Za kilka lat świat mógł już nie potrzebować ścigania wirusów przez Christophera Dickena. Kłopot tylko w tym, że podczas trwania choroby kilka lat to naprawdę bardzo długo.

Dicken wyszedł z cienia rzucanego przez betonowy występ budynku centrum, blisko głównego wejścia, prosto na jaskrawe słońce oświetlające chodnik. Upał, jakiego nie doświadczył od Kapsztadu, dał mu zastrzyk buzującej energii. W Atlancie ostatnio się ociepliło, ale mróz ściskający Wschodnie Wybrzeże nie pozwalał jeszcze topnieć śniegowi zalegającemu ulice Baltimore i Bethesdy.

Mark Augustine był już w mieście, mieszkał na okręcie U. S. „Grant”, daleko od większości z pięciu tysięcy oczekiwanych

uczestników, wypełniających głównie hotele blisko brzegu. Dicken materiały kongresowe – gruby, oprawiony spiralą na grzbiecie tom z dołączoną płytką DVD-ROM – wziął już tego ranka, aby wcześniej zapoznać się z programem.

Kluczowe wystąpienie Marge Cross wyznaczono na następny dzień rano. Dicken uczestniczył w pięciu zespołach panelowych, dwa z nich miały zająć się SHEVA. Kaye Lang była w jednym wspólnie z Dickenem, ponadto należała do siedmiu innych, miała także zabrać głos przed sesją plenarną Światowej Grupy Badawczej Walki z Retrowirusami, która odbywała się w związku z konferencją.

Prasa obwieszczała już wielki przełom w postaci rybozymowej szczepionki Americolu. Wyglądała dobrze – a nawet bardzo dobrze – w szkiełkach Petriego, ale nie zaczęto jeszcze prób na ludziach. Shawbeck mocno cisnął na Augustine’a, sam z kolei był naciskany przez rząd; wszyscy zaś pchali się, by uszczknąć coś ze stołu Marge Cross.

Dicken czuł w powietrzu osiem różnych rodzajów nadciągającej katastrofy.

Od kilku dni nie miał wieści od Mitcha Rafelsona, ale podejrzewał, że antropolog jest już w mieście. Jeszcze się nie spotkali, mimo to spisek trwał w najlepsze. Kaye zgodziła się porozmawiać z nimi tego wieczoru albo następnego dnia, zależnie od tego, kiedy ludzie Cross spuszczają ze smyczy po rundzie wywiadów i wystąpień dla dziennikarzy.

Musieli znaleźć miejsce odległe od wścibskich oczu. Dicken podejrzewał, że najlepszym będzie samo oko cyklonu; w tym też celu niósł drugą teczkę z pustym identyfikatorem konferencji – „Gość CDC” – i grubym programem.

Kaye szła zatłoczonym korytarzem, strzelając nerwowo oczyma po twarzach. Czuła się jak szpieg w podrzędnym filmie, próbowała

skrywać prawdziwe odczucia, a na pewno poglądy – choć sama nie bardzo wiedziała, co ma myśleć. Większą część popołudnia spędziła w leżącym wyżej apartamencie Marge Cross, a raczej na całym wynajętym przez nią piętrze, rozmawiając z przedstawicielami i przedstawicielkami spółek zależnych od Americolu, profesorami z Uniwersytetu Stanowego Kalifornii, burmistrzem San Diego.

Marge wzięła ją na bok i zapowiedziała na koniec konferencji jeszcze większych VIP-ów.

– Zachowuj bystrość i blask – powiedziała. – Nie pozwól konferencji cię wyczerpać.

Kaye czuła się jak lalka na wybiegu. Nie lubiła takich wrażeń.

O wpół do szóstej zjechała windą na parter i wycarterowanym autobusem pojechała na otwarcie konferencji. Uroczystość miała się odbyć w Zoo miasta San Diego, a urządzał ją Americol.

Gdy wysiadła z autobusu przed ogrodem zoologicznym, poczuła zapach jaśminu i żyznej gleby, podlanej uruchomionymi wieczorem zraszaczami. Kolejka przed pawilonem wejściowym była wielka; Kaye ustawiła się przed boczną bramą i pokazała strażnikowi zaproszenie.

Pięć kobiet ubranych na czarno chodziło dostojnie przed bramą zoo, nosząc transparenty. Dostrzegła je tuż przed wejściem; na jednej z tablic przeczytała Nasze ciała, nasze przeznaczenie: ocalcie nasze dzieci.

Ciepły półmrok wewnątrz podziął magicznie. Od ponad roku nie miała niczego przypominającego urlop; ostatni spędziła z Saulem. Potem doświadczała jedynie pracy i rozpacz, niekiedy jednocześnie.

Przewodnik z ogrodu zoologicznego zebrał grupę gości Americolu i zrobił im małą wycieczkę. Kilka chwil Kaye spędziła na przyglądaniu się różowym flamingom, brodzącym w sadzawce. Popatrzyła z podziwem na cztery stuletnie kakadu żółtoczube – w tym na obecną maskotkę zoo, Ramzesa – z senną obojętnością przyglądające się

przechodzącym tłumom zwiedzających. Potem przewodnik pokazał im boczny pawilon i dziedziniec otoczony palmami.

Przed pawilonem dość słaby zespół grał ulubione przeboje czterdziestolatków, zaś goście obu płci wynosili papierowe talerzyki z jedzeniem i rozglądali się za stołami.

Kaye stanęła przy bufecie pełnym owoców i warzyw, nałożyła sobie sporą porcję sera, pomidorów koktajlowych, kalafiora i marynowanych grzybów, w barze zamówiła kieliszek białego wina.

Wyjmując z torebki pieniądze, aby zapłacić za wino, kąciem oka zauważyła Christophera Dickena. Holował za sobą wysokiego, mizernie wyglądającego mężczyznę w dżinsowej marynarce i szarych, wyblakłych spodniach z tego samego materiału, trzymającego pod pachą podniszczoną skórzaną torbę na ramię. Kaye wzięła głęboki oddech, wrzuciła resztę do torebki i odwróciła się w porę, aby napotkać twardy wzrok Dickena. Odwzajemniła się ukradkowym skinieniem głową.

Nie zdołała powstrzymać chichotu, gdy Dicken odsunął płótno i z udawaną obojętnością opuścili zamknięty dziedziniec. Zoo było prawie puste.

– Czuję się taka przebiegła – powiedziała. Zachowała kieliszek z winem, ale zdołała wyrzucić talerz z warzywami. – Co my niby, u licha, wyprawiamy?

Uśmiech Mitcha nie był zbyt pewny. Zaniepokoiły ją jego oczy – jednocześnie chłopięce i smutne. Dicken, niższy i grubszy, wyglądał na bezpośredniego i łatwiej dostępnego, dlatego Kaye skupiła się na nim. Miał reklamówkę, z której teatralnym gestem wyciągnął składany plan największego na świecie ogrodu zoologicznego.

– Może ratujemy tu rasę ludzką – odparł. – Usprawiedliwia to każdy fortel.

– Kurczę – rzuciła Kaye. – Miałam nadzieję na coś budzącego

większy dreszczyk. Czy ktoś nas słyszy?

Dicken wskazał ręką niskie łuki zbudowanego w stylu hiszpańskim pawilonu gadów, jakby machał czarodziejską różdżką. Na terenie zoo zostało tylko kilku zabłąkanych turystów.

– Czysto – odparł.

– Pytam poważnie, Christopherze – powiedziała Kaye.

– Jeśli FBI założyła pluskwy smokom z Komodo lub facetom w hawajskich koszulach, to już po nas. Nic lepszego nie wymyśliłem.

Głośne wrzaski wyjców powitały koniec dnia. Mitch poprowadził ich betonową ścieżką wiodącą przez dżunglę tropikalną. Droge oświetlały lampki na poziomie ziemi, a nad ich głowami zraszacz rozpylały mgiełkę. Urok miejsca ogarnął ich na chwilę, nikt nie chciał złamać czaru.

Mitch sprawił na Kaye wrażenie dragała, faceta z otwartych przestrzeni. Nie podobało się jej jego milczenie. Odwrócił się, spojrzał na nią uważnie zielonymi oczyma. Kaye zauważyła jego buty: turystyczne pionierki o mocno zużytych grubych podeszwach.

Uśmiechnęła się niezręcznie, a Mitch odwzajemnił uśmiech.

– To nie moja działka – powiedział. – Jeśli ktoś ma zacząć rozmowę, to na pewno pani.

– Ale to pan ma dla nas rewelacje – odparł Dicken.

– Ile mamy czasu? – Zapytał Mitch.

– Dziś wieczór jestem wolna – wyjaśniła Kaye. – Marge potrzebuje nas w swej świcie jutro o ósmej rano. Americol wydaje śniadanie.

Zjechali windą do kanionu i stanęli przy klatce zajętej przez parę szkockich żbików. Wyglądające na udomowione cętkowane koty chodziły niespokojnie, pomrukując cicho w półmroku.

– To nie moja działka – powtórzył Mitch. – Bardzo mało wiem o mikrobiologii, znam tylko podstawy. Wpadłem na coś cudownego, co o mało nie zrujnowało mi życia. Straciłem reputację, uznano mnie

za nieudacznika, który dwa razy przegrał w naukowych zawodach. Gdybyście byli rozsądni, nie pokazywalibyście się ze mną.

– Wyjątkowa szczerść. – Dicken podniósł rękę. – Następny.

– Gonilem za chorobami przez połowę globu. Mam nosa, wyczuwam, jak się rozprzestrzeniają, co wyprawiają, jak działają. Niemal od samego początku podejrzewałem, że tropię coś nowego. Jeszcze bardzo niedawno próbowałem wieść podwójne życie, wierzyć w dwie sprzeczne rzeczy naraz, i dłużej już nie potrafię.

Kaye jednym łykiem dopiła wino.

– Mówimy, jakbyśmy odbywali terapię odwykową w dwunastu krokach. No dobra. Moja kolej. Jestem wyzbytym poczucia bezpieczeństwa naukowcem, badaczką pragnącą trzymać się z dala od wszystkich drobnych dupereli, czepiałam się więc każdego, kto dawał mi miejsce do pracy i ochronę... A teraz nadszedł czas, abym stała się niezależna i sama podejmowała decyzje. Pora dorosnąć.

– Alleluja – rzucił Mitch.

– Wio, siostró – dodał Dicken.

Podniosła wzrok, gotowa się rozgniewać, ale obaj uśmiechali się jak należy i po raz pierwszy od wielu miesięcy – od ostatnich miłych chwil z Saulem – poczuła, że jest wśród przyjaciół.

Dicken sięgnął do reklamówki i wyjął butelkę merlota.

– Może nas przyuważyć ochrona zoo – powiedział – ale to najmniejszy z naszych grzechów. Niektóre konieczne rzeczy człowiek wydusza z siebie dopiero wtedy, gdy jest odpowiednio napity.

– Domyślam się, że oboje doszliście już do wspólnych poglądów – zwrócił się Mitch do Kaye, gdy Dicken rozlewał wino. – Próbowałem czytać wszystko, co zdołałem znaleźć, aby nabrać jakiegoś pojęcia, ale i tak jestem daleko w tyle.

– Nie wiem, od czego zacząć – powiedziała Kaye. Gdy już się trochę rozluźnili, sposób, w jaki patrzył na nią Mitch Rafelson – prosty,

uczciwy i dyskretnie taksujący – obudził w niej coś, co uważała za dawno umarłe.

– Od miejsca, w którym się spotkaliście – podsunął Mitch.

– Gruzja – rzekła Kaye.

– Ojczyzna wina – dodał Dicken.

– Odwiedziliśmy masowy grób – zaczęła Kaye. – Choć nie wspólnie. Ciężarne kobiety i ich mężowie.

– Zabijali dzieci – powiedział Mitch; jego wzrok nagle stracił ostrość. – Dlaczego?

Usiedli przy plastikowym stoliku obok zamkniętego bufetu, głęboko w cieniu kanionu. Brązowe i czerwone koguty przedzierały się przez krzaki przy asfaltowej drodze i ścieżkach z beżowego betonu. Wielki kot dyszał i prychał w swej klatce, wysyłając niesamowite echa.

Z małej skórzanej torby na ramię Mitch wyciągnął teczkę i na plastikowym stoliku równo rozłożył kartki.

– Wszystko łączy się tutaj. – Położył rękę na dwóch arkuszach po prawej stronie. – To analizy wykonane na Uniwersytecie Stanu Waszyngton. Wendell Packer pozwolił mi pokazać je wam. Jeśli ktoś się wygada, wszyscy możemy wpaść w niezłe szambo.

– Analizy czego? – Spytała Kaye.

– Materiału genetycznego mumii z Innsbrucku. Pochodzące z dwóch różnych laboratoriów Uniwersytetu Stanu Waszyngton dwa zestawy wyników badań tkanek. Dałem Wendellowi Packerowi próbki tkanek pary osobników dorosłych. Innsbruck, jak się okazało, przysłał Marii Konig z tego samego wydziału zestaw próbek wszystkich trzech mumii. Umożliwiło to Wendellowi przeprowadzenie porównania.

– Co stwierdzili? – Zapytała Kaye.

– Trzy ciała naprawdę należały do rodziny. Matka, ojciec, córka. Wiedziałem to już – widziałem ich razem w jaskini w Alpach.

Kaye zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

– Przypominam sobie. Poszedł pan do jaskini na prośbę pary przyjaciół... Naruszyliście stanowisko... A towarzysząca wam kobieta zabrała niemowlę do swojego plecaka?

Mitch odwrócił wzrok, napiął mięśnie szczęki.

– Mogę wam powiedzieć, jak było naprawdę.

– Nie ma potrzeby – stwierdziła Kaye, nagle ostrożna.

– Tylko dla wyjaśnienia – nalegał Mitch. – Musimy sobie ufać, jeśli z tego ma coś wyjść.

– No to proszę opowiedzieć – uległa Kaye, Mitch przekazał w skrócie całą opowieść.

– Wszystko wyszło beznadziejnie – zakończył.

Dicken patrzył na nich uważnie z założonymi rękoma.

Kaye wykorzystwała przerwę na przejrzenie analiz rozłożonych na blacie plastikowego stolika, uważając, aby pozostawiony keczup nie poplamiał kartek. Przeczytała dane dotyczące datowania węglem C14, porównania znaczników genetycznych, a na koniec wynik udanego poszukiwania SHEVY przez Packera.

– Packer twierdzi, że SHEVA niezbyt się zmieniła przez piętnaście tysięcy lat – powiedział Mitch. – Uznaje to za zdumiewające jak na DNA śmieciowe.

– Chyba nie jest śmieciowe – odparła Kaye. – Geny mają już trzydzieści milionów lat. Są nieustannie odświeżane, sprawdzane, zachowywane... Skrywane w ściśle upakowanej chromatynie, chronione izolatorami... Muszą być.

– Jeśli pozwolicie, chciałbym powiedzieć wam obojgu, co myślę – poprosił Mitch tonem pełnym śmiałości i nieśmiałości, który na Kaye sprawił wrażenie jednocześnie zdumiewające i pociągające.

– Proszę bardzo – zachęciła go.

– To przykład powstawania podgatunku – zaczął Mitch. – Wcale nie

skrajny. Szturchnięcie prowadzące do nowej odmiany. Przypominające współczesne dziecko zrodzone z późnych neandertalczyków.

– Bliższe nam – rzuciła Kaye.

– Racja. Kilka tygodni temu w stanie Waszyngton był reporter nazwiskiem Oliver Merton. Interesował się mumiami. Powiedział mi o bójkach wybuchających na uniwersytecie w Innsbrucku... – Mitch uniósł wzrok i dostrzegł zdumienie Kaye.

– Oliver Merton? – Spytała, krzywiąc twarz. – Pracuje dla „Nature”?

– Wtedy dla „Economista” – odparł Mitch.

Kaye zwróciła się do Dickena.

– Ten sam?

– Aha – przytaknął Dicken. – Zajmuje się dziennikarstwem naukowym, bywa też reporterem politycznym. Wydał książkę lub dwie. – Potem wyjaśnił Mitchowi: – Merton wywołał wielkie zamieszanie na konferencji prasowej w Baltimore. Pogrzebał dość głęboko w powiązaniach Americolu z CDC i z SHEVA.

– Może to dwie oddzielne sprawy – wysunął przypuszczenie Mitch.

– Musi tak być, prawda? – Zapytała Kaye, spoglądając to na jednego, to na drugiego. – Chyba tylko my je z sobą łączymy?

– Nie byłbym taki pewny – odparł Dicken. – Mów dalej, Mitch.

– Przyjmijmy, że jest związek, zanim zaczniemy strzelać do intruzów. O co się kłóca w Innsbrucku?

– Według Mertona o związek niemowlęcia z mumiami dorosłych – co potwierdza Packer.

– Co za ironia – wtrącił Dicken. – ONZ część próbek z Gordi wysłała do laboratorium Konig.

– Antropolodzy w Innsbrucku są dość konserwatywni – powiedział Mitch. – Natrafić na pierwsze bezpośrednie dowody powstawania

gatunku ludzkiego... – Kiwnął głową ze współczuciem. – Na ich miejscu bym się przestraszył. To nie tylko zachwianie paradygmatu – to wręcz jego przełamanie. To koniec gradualizmu, koniec dzisiejszej syntezy darwinistycznej.

– Nie musimy być tacy radykalni – odparł Dicken. – Wiele się mówi o punktualizmie w zapisie kopalnym – miliony lat stałości, a potem nagła zmiana.

– Zmiana zachodząca przez milion lub sto tysięcy lat, a w niektórych przypadkach przez zaledwie dziesięć tysięcy – ciągnął Mitch. – Nie przez jedną noc. Wnioski muszą przerażać każdego naukowca. Ale znaczniki nie kłamią. A rodzice niemowlęcia mieli SHEVEĘ w swoich tkankach.

– Hmm – rzuciła Kaye. Nocne powietrze znów wypełniły ciągle, melodyjne wrzaski wyjców.

– Samicę zraniło coś ostrego, może grot włóczni – powiedział Dicken.

– Zgadza się – potwierdził Mitch. – Spowodowało, że bliski narodzin płód przyszedł na świat martwy albo prawie martwy. Matka zmarła zaraz potem, a ojciec... – Głos uwiązł mu w gardle. – Przepraszam. Niełatwo mi o tym mówić.

– Współczuje im pan – stwierdziła Kaye.

Mitch przytaknął.

– Miewam o nich niesamowite sny.

– Postrzeżenie pozazmysłowe? – Spytała.

– Wątpię – odparł Mitch. – Tak po prostu pracuje mój umysł, składając wszystko do kupy.

– Uważasz, że plemię ich wyгнаło? – Zapytał Dicken. – Prześladowało?

– Ktoś chciał zabić kobietę – odparł Mitch. – Mężczyzna z nią został, próbował uratować. Byli inni. Mieli coś dziwnego na twarzach.

Małe płatki skóry wokół oczu i nosa, jakby maski.

– Zrzucali skórę? Za życia? – Spytała Kaye, wzruszając ramionami.

– Wokół oczu, na twarzy.

– Ciała pod Gordi – powiedziała Kaye.

– Co z nimi? – Zapytał Dicken.

– Niektóre miały małe skórzane maski. Myślałam, że to może...

Jakiś dziwny skutek rozkładu zwłok. Nigdy jednak czegoś takiego nie widziałam.

– Posuwamy się za daleko – stwierdził Dicken. – Skupmy się na dowodach Mitcha.

– To wszystko, co mam – powiedział Mitch. – Zmiany fizjologiczne są na tyle znaczące, że można zaliczyć niemowlę do innego podgatunku, powstałego za jednym zamachem. W jedno pokolenie.

– Podobne rzeczy musiały się zdarzać setki tysięcy lat przed twoimi mumiami – stwierdził Dicken. – A zatem grupy neandertalczyków bytowały jednocześnie z populacjami ludzi współczesnych, albo obok nich.

– Tak sędzę – przytaknął Mitch.

– Czy pana zdaniem narodziny były aberracją? – Spytała Kaye.

Mitch przyglądał się jej kilka sekund, nim odpowiedział.

– Nie.

– Czy można zasadnie zakładać, że znalazł pan coś typowego, a nie wyjątkowego?

– Można.

Rozdrażniona Kaye podniosła ręce.

– Słuchajcie – powiedział Mitch. – W gruncie rzeczy jestem konserwatywny. Rozumiem gości z Innsbrucku, naprawdę rozumiem! To dziwaczne, zupełnie niespodziewane.

– Czy mamy ciągły, stopniowy zapis kopalny wiodący od neandertalczyków do kromaniończyków? – Zapytał Dicken.

– Nie, ale mamy różne stopnie przejścia. Zapis kopalny zwykle jest daleki od ciągłości.

– I... Jako powód uznaje się nieodnalezienie jeszcze niezbędnych ogniw pośrednich, tak?

– Tak – potwierdził Mitch. – Choć niektórzy paleontolodzy już od dawna idą na noże z gradualistami.

– Bo ciągle natrafiają na skoki, a nie na ciągły rozwój – powiedziała Kaye. – Nawet kiedy zapis kopalny zachował się lepiej niż dla ludzi czy innych dużych zwierząt.

W zamyśleniu popijali ze swych kieliszków.

– Co mamy robić? – Spytał Mitch. – Mumie mają SHEVE. My mamy SHEVE.

– To bardzo skomplikowane – odparła Kaye. – Kto zacznie?

– Napiszmy, co się według nas dzieje. – Mitch sięgnął do torby i wyjął trzy kartki i trzy długopisy. Rozłożył je na stoliku.

– Jak uczniowie? – Rzucił Dicken.

– Mitch ma rację. Piszmy – odparła Kaye.

Dicken wyciągnął z reklamówki drugą butelkę wina i odkorkował ją.

Kaye trzymała w ustach koniuszek długopisu. Pisali dziesięć lub piętnaście minut, przekazując sobie kartki i zadając pytania. Zrobiło się chłodniej.

– Przyjęcie zaraz się skończy – powiedziała.

– Spokojna głowa – stwierdził Mitch. – Ochronimy panią.

Uśmiechnęła się ponuro.

– Dwaj prawie pijani faceci zalani teoriami?

– Właśnie – powiedział Mitch.

Kaye wołała na nich nie patrzeć. Jej uczucia mało miały wspólnego z nauką i profesjonalizmem. Niełatwo przyszło jej zapisywanie myśli. Nigdy przedtem tak nie pracowała, nawet z Saulem; dzielili notatniki,

ale nigdy nie zaglądali sobie do notatek w chwili ich zapisywania.

Wino ją rozluźniło, zabrało część napięcia, ale nie wyklarowało myślenia. Walła głową w mur. Napisała:

Populacje jako wielkie sieci jednostek rywalizujących i współpracujących, niekiedy jednocześnie. Każde świadectwo komunikacji między osobnikami populacji. Drzewa komunikują się związkami chemicznymi. Ludzie używają feromonów. Bakterie wymieniają plazmidy i fagi lizogenne.

Spojrzała na Dickena, piszącego nieustannie, przekreślającego całe akapity. Pulchny, tak, ale najwyraźniej silny i zmotywowany, wybitny; atrakcyjne rysy twarzy.

Napisała teraz:

Ekosystemy to sieci gatunków rywalizujących i współpracujących. Feromony i inne związki chemiczne mogą się przenosić między gatunkami. Sieci mogą mieć te same cechy co mózgi; ludzkie mózgi to sieci neuronów. Myślenie twórcze jest możliwe w każdej dostatecznie złożonej funkcjonalnej sieci nerwowej.

– Zobaczmy, do czego doszliśmy – powiedział Mitch. Wymienili notatki. Kaye przeczytała stronę Mitcha:

Molekuły sygnalizujące i wirusy przenoszą informacje między ludźmi. Poszczególni ludzie podczas swego życia gromadzą te informacje; czy to jednak jest ewolucja lamarkowska?

– Myślę, że wszystkie te sieci zaciemniają sedno sprawy – powiedział Mitch.

Kaye czytała teraz zapiski Dickena.

– Tak działa wszystko w przyrodzie – odparła. Dicken przekreślił prawie całą stronę. Pozostało tylko:

Przez całe życie pogoń za chorobami; SHEVA wywołuje złożone zmiany biologiczne, inaczej niż wszystkie dotychczas znane choroby. Dlaczego? Co zyskuje? Co próbuje robić? Co jest wynikiem końcowym?

Jeśli pojawia się co dziesięć czy sto tysięcy lat, jak możemy się obronić przed czymś będącym, w pewnym sensie, jeśli chodzi o poszczególny organizm, czystą cząsteczką patogenną?

– Kto kupi tezę, że wszystko w przyrodzie działa jak neurony w mózgu? – Zapytał Mitch.

– To odpowiedź na pańskie pytanie – wytłumaczyła Kaye. – Czy chodzi o ewolucję lamarkowską, dziedziczenie cech nabytych przez osobniki? Nie. Mamy tu skutek złożonych oddziaływań sieci z wynikającymi z nich właściwościami przypominającymi myśli.

Mitch kręcił głową.

– Nie rozumiem wynikających właściwości.

Kaye patrzyła nań chwilę, zarówno podjudzona, jak zniecierpliwiona.

– Nie musimy zakładać samoświadomości, świadomego myślenia, zorganizowanej sieci reagującej na środowisko i oceniającej, jak powinny wyglądać jej poszczególne węzły – powiedziała.

– Nadal wygląda mi to na ducha ożywiającego maszynę – zasępił się Mitch.

– Proszę pomyśleć o drzewach, które po zaatakowaniu ich przez szkodniki wysyłają sygnały chemiczne. Sygnały te zwabiają owady pożerające napastników. Ściągają człowieka z opryskiwaczem. Podobnie dzieje się na wszystkich poziomach, od ekosystemów do gatunków, a nawet w społeczeństwach. Wszystkie odrębne istoty są sieciami komórek. Wszystkie gatunki są sieciami osobników. Wszystkie ekosystemy to sieci gatunków. Wszystkie oddziałują na siebie, komunikują się nawzajem w tym czy innym stopniu, poprzez rywalizację, zerowanie, współpracę. Wszystkie te oddziaływania przypominają neuroprzekazniki przemieszczające się w mózgu między synapsami albo mrówki komunikujące się w kolonii. Oddziaływania mrówek między sobą zmieniają zachowanie całej

kolonii. Tak samo zmieniamy się i my, zależnie od porozumiewania się z sobą neuronów. Dotyczy to całej natury, od góry do dołu. Wszystko jest z sobą połączone.

Widziała jednak, że Mitch nadal tego nie kupuje.

– Musimy opisać metodę – powiedział Dicken. Patrzył na Kaye z lekko wyrozumiętym uśmiechem. – Uprość to. Tu ty jesteś myślicielem.

– Co jest solą punktualizmu? – Spytała, ciągle podenerwowana skupieniem Mitcha.

– No dobra. Skoro to swego rodzaju umysł, gdzie jest jego pamięć? – Ciągnął Mitch. – Coś przechowującego informację o następnym modelu istoty ludzkiej, zanim ją uwolni w systemie rozrodczym?

– W wyniku działania jakiego bodźca? – Dodał swoje pytania Dicken. – Po co w ogóle zbiera informacje? Co zapoczątkowuje ten proces? Jaki mechanizm go wyzwala?

– Posuwamy się za daleko – westchnęła Kaye. – Po pierwsze nie podoba mi się słowo „mechanizm”.

– W porządku, no to... Organ, organon, czarodziejski architekt – powiedział Mitch. – Wiemy, o czym tutaj rozmawiamy. O jakimś rodzaju pamięci przechowywanej w genomie. Wszystkie instrukcje muszą w nim tkwić, dopóki nie zostaną uruchomione.

– Czyżby w komórkach zarodkowych? Rozrodczych, spermie i jajowych? – Spytał Dicken.

– No właśnie – odparł Mitch.

– Nie sędzę – powiedziała Kaye. – Coś przekształca u każdej matki pojedynczą komórkę jajową, dając córkę pośrednią, ale to samo coś w jajniku córki może dać nowy fenotyp. Inne komórki jajowe matki są wyłączone z gry. Chronione nie ulegają zmianie.

– W przypadku nowego planu nowy fenotyp jest kłapą. – Dicken kiwał głową na potwierdzenie. – Dobra. Leżąca odłogiem pamięć,

przywoływana co tysiące lat przez... Hipotetyczne modyfikacje, uruchamiane przez... – Pokręcił głową. – Teraz ja jestem w kropce.

Każdy poszczególny organizm jest świadom swego środowiska i na nie reaguje – wyjaśniła Kaye. – Wymieniane przez jednostki substancje chemiczne i inne rodzaje sygnałów powodują zakłócenia chemii wewnętrznej, co wpływa na genom, a dokładniej na ruchome elementy pamięci genetycznej, przechowującej i odświeżającej zespoły hipotetycznych zmian. – Żywo poruszała rękoma, jakby coś tłumaczyły czy przekonywały. – Dla mnie to zupełnie jasne, chłopaki. Czemu tego nie dostrzegacie? Oto pełna pętla sprzężenia zwrotnego: zmiana środowiska powoduje stres organizmów – w tym przypadków ludzi. Różne rodzaje stresu naruszają w naszych ciałach równowagę reagujących na stres substancji chemicznych. Leżąca odłogiem pamięć odpowiada, przesuwając elementy ruchome zgodnie z algorytmem ewolucyjnym powstałym przed milionami, a nawet miliardami lat. Komputer genetyczny decyduje, co w nowych warunkach wywołujących stres, może się okazać najlepszym fenotypem. W wyniku tego dostrzegamy u osobników drobne zmiany, prototypy, a po zmniejszeniu się poziomu stresu, jeśli potomstwo jest zdrowe i liczne, zmiany się utrzymują. Za każdym jednak razem, gdy problem w środowisku jest uporczywy... Na przykład, u ludzi chodzi tu o długotrwały stres społeczny... Następuje znaczne przekształcenie. Dochodzi do ekspresji retrowirusów endogennych, wysłania sygnału koordynującego aktywację określonych elementów w zasobie pamięci genetycznej. Voila. Punktualizm.

Mitch szczypał grzbiet nosa.

– Boże – rzucił.

Dicken skrzywił się mocno.

– Dla mnie to zbyt radykalne, nie potrafię przełknąć wszystkiego za jednym razem.

– Mamy dowody na każdy krok na tej drodze – powiedziała trochę ochryple Kaye. Wypiła kolejny długi łyk merlota.

– Jak jednak jest to przekazywane? – Zapytał Dicken. – Musi tkwić w komórkach rozrodczych! Jakoś jest przenoszone od rodzica do dziecka przez setki, tysiące pokoleń, zanim zostanie uruchomione.

– Może jest pakowane, kompresowane, stanowi swego rodzaju kod – odparł Mitch.

Kaye była zaskoczona. Popatrzyła na Mitcha lekko wstrząśnięta i pełna podziwu.

– To tak szalone, że trafne. Jak nakładające się geny, ale bardziej pokrętnie. Zagrzebanie w powtórzeniach.

To nie musi przenosić całej instrukcji nowego fenotypu... – Powiedział Dicken.

– Jedynie części, które mają ulec zmianie – dokończyła Kaye.

– Wiemy przecież, że między szympansem a człowiekiem różnica genomu wynosi być może zaledwie dwa procent.

– Jest też różna liczba chromosomów – zauważył Mitch. – Co ostatecznie czyni wielką różnicę.

Dicken skrzywił się i złapał za głowę.

– Boże, sięgamy coraz głębiej.

– Jest dziesiąta – powiedział Mitch. Wskazał strażnika idącego środkiem biegnącej kanionem drogi, wyraźnie kierującego się w ich stronę.

Dicken wyrzucił puste butelki do kosza na śmieci i wrócił do stołu.

– Nie możemy teraz przerwać. Kto wie, kiedy znowu uda się nam spotkać?

Mitch czytał notatki Kaye.

– Łapię, że zmiana w środowisku wywołuje stres u poszczególnych osób. Wróćmy do pytania Christophera. Co uruchamia sygnał, zmianę? Choroba? Drapieżnik?

- W naszym przypadku przeludnienie – odparła Kaye.
- Złożone warunki społeczne. Rywalizacja o pracę – dodał Dicken.
- Ludzie! – Zawołał strażnik, gdy znalazł się bliżej. Jego głos odbijał się echem w kanionie. – Jesteście z przyjęcia Americolu?
- Jak pan zgadł? – Spytał Dicken.
- Nie powinniście tu być.

W drodze powrotnej Mitch z powątpiewaniem kręcił głową. Nie zamierzał dać im ani chwili wytchnienia: sprawa była naprawdę poważna.

– Zmiana występuje zwykle na obrzeżu populacji, gdzie brakuje zasobów i rywalizacja jest ostra. Nie w centrum, gdzie wszystko jest spokojniejsze.

– Ludzie nie mają już „obrzeży”, pograniczy – powiedziała Kaye. – Zalaliśmy całą planetę. Nieustannie żyjemy w stresie, aby dotrzymać kroku innym.

– Nieustannie trwa wojna. – Dicken nagle się zamyślił. – Wczesne przypadki heroda mogły wystąpić tuż po II wojnie światowej. Stres wywołany kataklizmem społecznym, społeczeństwo popełniające straszliwe błędy. Ludzie muszą się zmienić albo...

– Kto nakazuje zmianę? Albo co? – Spytał Mitch, klepiąc się dłonią po biodrze.

- Nasz komputer biologiczny na poziomie gatunku – odparła Kaye.
- Znów go mamy. Komputer sieciowy – powątpiewał Mitch.
- „MOCARNY CZARODZIEJ NASZYCH GENÓW” – zaintonowała Kaye głębokim, soczystym głosem prowadzącego licytację. Potem wskazała palcem niebo. – Pan Genomu.

Mitch z uśmiechem skierował palec w jej stronę.

- Tak będą mówić, a potem nas wyśmieją.
- Wygonią z tego całego cholernego zoo – powiedział Dicken.
- Co wywoła stres – stwierdziła Kaye nieśmiało.

– Do rzeczy, do rzeczy – nalegał Dicken.

– Pieprzyć to – rzuciła Kaye. – Wracajmy do hotelu i otworzymy następną butelkę. – Wyciągnęła ręce w bok i zakręciła piruet. Cholera, pomyślała, popisuję się. „Hej, chłopcy. Jestem dostępna, popatrzcie na mnie”.

– Tylko w nagrodę – powiedział Dicken. – Weźmiemy taksówkę, jeśli autobus odjechał. Kaye... Dlaczego nie w centrum? Co jest nie tak w samym środku populacji ludzkiej?

Kaye zwiesiła ręce.

– Co roku coraz więcej ludzi... – Urwała, jej twarz stężała. – Rywalizacja jest tak zażarta. – Twarz Saula. Złego Saula, przegrywającego i niegodzącego się z tym, oraz dobrego, pełnego dziecięcego entuzjazmu, lecz nadal noszącego niezmywalne piętno mówiące: „Przegrasz. Te wilki są twardsze i sprytniejsze od ciebie”.

Obaj czekali, aż dokończy.

Szli razem do bramy. Kaye szybko wytarła oczy i stwierdziła z największym spokojem, na jaki było ją stać:

– Zwykle zdarzał się jeden człowiek, a nawet bywali dwaj czy trzej tacy, którzy wpadali na błyskotliwą, zmieniającą świat myśl albo tworzyli przełomowy wynalazek. – Głos nabierał siły; teraz wobec Saula czuła urazę, a nawet gniew. – Darwin i Wallace. Einstein. Teraz jest po stu geniuszy w każdej dziedzinie, tysiące ludzi ścigających się, który pierwszy wdrze się na mury zamku. Skoro tak jest w nauce, tkwiącej w stratosferze, to co się dzieje w okopach? Bezustanna, paskudna rywalizacja. Za wiele trzeba się uczyć. Za szerokie pasmo zatykające kanały komunikacyjne. Nie potrafimy dość szybko słuchać. Bez przerwy musimy stać na czubkach palców.

– Czy tak bardzo się to różni od polowania na niedźwiedzia jaskiniowego albo mamuta? – Zapytał Mitch. – Albo patrzenia, jak twoje dzieci umierają podczas zarazy.

– Powoduje inne rodzaje stresu, może wpływa na inne substancje chemiczne. Dawno już przestały nam wyrastać nowe pazury czy kły. Jesteśmy zwierzętami społecznymi. Wszystkie nasze główne zmiany dotyczą polepszania wzajemnej komunikacji i przystosowania społecznego.

– Zbyt wielka zmiana – powiedział Mitch po namyśle. – Nikt tego nie lubi, ale musimy rywalizować, bo inaczej wylądujemy na ulicy.

Stali przed bramą i słuchali świerszczy. Za nimi w zoo skrzeczała ara. Jej głos niósł się aż nad Balboa Park.

– Różnorodność – szepnęła Kaye. – Zbyt wielki stres może być oznaką nieuchronnej katastrofy. Dwudziesty wiek był długą, szaloną, wydłużoną katastrofą. Wyzwolił poważną zmianę, tkwiącą w genomie, która ma chronić rasę ludzką przed upadkiem.

– Nie choroba, ale ulepszenie – powiedział Mitch.

Kaye spojrzała nań znowu z tym samym przelotnym dreszczem.

– Właśnie. Każdy może się dostać wszędzie w ciągu godzin lub dni. Impuls powstały w sąsiedztwie rozchodzi się naraz na cały świat. Czarownik jest zasypany sygnałami. – Znowu wyrzuciła ręce, bardziej opanowana, ale nie trzeźwa. Wiedziała, że Mitch się jej przygląda, a Dicken im obojgu.

Dicken wyjrzał na ulicę za szerokim parkingiem ogrodu zoologicznego, szukając taksówki. Dostrzegł jedną zawracającą kilkaset stóp dalej i wyciągnął rękę. Taksówka podjechała.

Wsiedli. Dicken zajął miejsce z przodu. Podczas jazdy odwrócił się, aby powiedzieć:

– No dobrze, jakiś kawałek DNA naszego genomu cierpliwie tworzy model następnego typu człowieka. Skąd czerpie pomysły, wskazówki? Czy ktoś podpowiada, „Dłuższe nogi, większa puszcza mózgowa, brązowe oczy są w tym roku na topie”? Kto nam mówi, co jest ładne, a co brzydkie?

– Chromosomy używają gramatyki biologicznej – odparła szybko Kaye – swego rodzaju wbudowanego w DNA projektu gatunku na wyższym poziomie. Czarownik wie, jakie jego słowa mają sens dla fenotypu organizmu. Czarownik ma redaktora genetycznego, korektora gramatyki. Powstrzymują najbardziej nonsensowne mutacje, zanim zostaną one włączone.

– Bujamy tutaj w dzikich, jasnych obłokach – powiedział Mitch – i w razie ataku myśliwców zostaniemy zestrzeleni już w pierwszej minucie walki. – Rękoma robił w powietrzu pętle, jakby były parą samolotów, denerwując tym taksówkarza, a potem dramatycznie opuścił lewą dłoń na kolano, wyłamując palce. – Strącony.

Taksówkarz patrzył na nich z ciekawością.

– Pewnikiem biolodzy? – Zapytał.

– Studenci starszych lat na uniwersytecie życia – odparł Dicken.

– A jak – powiedział kierowca z powagą.

– Teraz zarobiliśmy na to. – Dicken wyjął z reklamówki trzecią butelkę wina, a z kieszeni szwajcarski scyzoryk.

– Hej, nie w gablocie! – Rzucił taksówkarz ostro. – Dopiero jak będę po robocie i dostanę swą dołę.

– Roześmieli się.

– No to do hotelu – polecił Dicken.

– Upiję się – obiecała Kaye i strząsnęła włosy na oczy.

– Urządzimy orgię – zapowiedział Dicken i oblał się mocno różowym pąsem. – Orgię intelektualną – dodał nieśmiało.

– Jestem wykończony – powiedział Mitch. – A Kaye dostała zapalenia krtani.

Pisnęła z uśmiechem.

Taksówka podjechała przed hotel Serrano, tuż na południowy zachód od centrum kongresowego, i ich wysadziła.

– Ja stawiam – oznajmił Dicken. Zapłacił za kurs. – Jak wino.

– No dobra – powiedział Mitch. – Dzięki.

– Potrzebujemy jakiegoś wniosku – stwierdziła Kaye. – Prognozy.

Mitch ziewnął i się przeciągnął.

– Sorki. Pomyślunek mi wysiadł.

Kaye patrzyła nań przez grzywkę: wąskie biodra, dzinsy ciasno opinające uda, kanciasta, szorstka twarz z wąską linią brwi.

Żaden ulizany przystojniak, ale wyczuwała swoją chemię, niskie, drażniące granie w łędźwiach, i mało się tym przejmowała. Pierwsza oznaka końca zimy.

– Mówię poważnie – zapewniła. – Christopher?

– To chyba oczywiste – odparł Dicken. – Uznaliśmy, że pośrednie córki nie są chore, to stadium rozwoju, jakiego nigdy dotąd nie widziano.

– A co to znaczy? – Spytała Kaye.

– Znaczy, że dzieci drugiego stadium będą zdrowe, żywotne.

– I odmienne, choć może tylko odrobinę – wyjaśni! Dicken.

– Byłoby cudownie – stwierdziła Kaye. – Co jeszcze?

– Proszę was, już dość. W życiu nie zdołamy skończyć dzisiaj – powiedział Mitch.

– Szkoda – rzuciła Kaye.

Mitch uśmiechał się do niej. Wyciągnęła rękę, on podał swoją. Dłoń Mitcha była sucha jak rzemień i twarda, z odciskami od wielu lat kopania. Nozdrza mu się rozszerzyły, gdy znalazł się blisko niej, przysięgłaby też, że dostrzegła, jak rosną źrenice.

Twarz Dickena nadal była zarumieniona. Cedził wolno słowa.

– Nie mamy planu gry. Jeśli mamy napisać raport, musimy zebrać wszystkie dowody – naprawdę wszystkie.

– Możesz na mnie liczyć – powiedział Mitch. – Masz mój numer.

– Ja nie mam – zauważyła Kaye.

– Poda go Christopher – odparł Mitch. – Zostanę kilka dni.

– Dajcie znać, jak będziecie wolni.

– Damy – obiecał Dicken.

– Zadzwonimy – dodała Kaye, idąc z Dickenem w stronę szklanych drzwi.

– Ciekawy gość – powiedział Dicken w windzie.

Kaye potwierdziła lekkim kiwnięciem głowy. Dicken patrzył na nią z pewną troską.

– Wygląda na bystrego – ciągnął. – Jak, u licha, wpakował się w tak wielkie kłopoty?

W swoim pokoju Kaye wzięła gorący prysznic i wdrapała się do łóżka, wykończona i bardziej niż trochę pijana. Jej ciało było w siódmym niebie. Zebrała prześcieradło i koc wokół głowy, przekręciła się na bok i niemal od razu zasnęła.

San Diego, Kalifornia 1 kwietnia

Kaye właśnie kończyła myć twarz, gwiżdząc przez kapiącą wodę, kiedy zadzwonił telefon w pokoju. Szybko się wytarła i podniosła słuchawkę. – Kaye? Tu Mitch.

– Pamiętam cię – powiedziała lekko; miała nadzieję, że nie nazbyt lekko.

– Jutro lecę na północ. Może znajdziesz dziś rano chwilę czasu i się spotkamy.

Była tak zajęta na konferencji, odbywając rozmowy i uczestnicząc w dyskusjach panelowych, że ledwo miała czas choćby na myślenie o wieczorze w zoo. Co wieczór padała na łóżko kompletnie wykończona. Judith Kushner miała rację; Marge Cross wysysała z niej każdą sekundę życia.

– Byłoby pięknie – stwierdziła ostrożnie. Nie wspomniał o Christopherze. – Gdzie?

– Jestem w Holiday Inn. W Serrano jest miła kawiarenka. Wyjdę i spotkamy się tam.

– Mam godzinę, zanim będę musiała wyjść – powiedziała Kaye. – Za dziesięć minut na dole?

– Przybiegnę – odparł Mitch. – Spotkamy się w holu.

Włożyła przygotowane na ten dzień rzeczy – elegancki niebieski kostium lniany z zawsze gustownej kolekcji Marge Cross – i rozważała, czy parą tabletek tylenolu nie zablokować lekkiego bólu

głowy od zatok, kiedy przez podwójne szyby okna usłyszała stłumione krzyki. Najpierw nie zwracała na nie uwagi i sięgnęła do łóżka, aby przewrócić kartkę w programie konferencji. Gdy niosła program do stołu i grzebała w torebce w poszukiwaniu identyfikatora, sprzykrzyło się jej własne niemelodyjne gwizdanie. Wróciła do łóżka, aby wziąć pilota do telewizora, i nacisnęła guzik włączający aparat.

Mały telewizor hotelowy wypełniło niezbędne tło. Reklamy tamponów, środków na porost włosów. Umysł zajmowały jej inne rzeczy; zamknięcie konferencji, wyjście na podium z Marge Cross I Markiem Augustine'em.

Mitch.

Gdy szukała pary dobrych nylonów, usłyszała kobiecy głos:

– ...Pierwsze urodzone w terminie niemowlę. Oto bliższe szczegóły dla naszych słuchaczy: dziś rano niezidentyfikowana kobieta w Mexico City urodziła pierwsze uznane naukowo dziecko Heroda drugiego stadium. Przekaz na żywo z...

Kaye wzdrygnęła się na odgłos zgrzytu metalu, brzęku tłuczonego szkła. Odsunęła cieniutkie zasłony i wyjrzała na północ. Biegnącą przez Serrano i ośrodek kongresowy ulicę West Harbor Drive wypełniała gęsta ciżba ludzi, zwarty potok tłumu zalewający chodniki, trawniki i place, pochłaniający samochody, furgonetki hotelowe, autokary. Jego odgłos brzmiał niesamowicie, nawet przez podwójne szklane tafle: niski, rozrywający ryk, jak podczas trzęsienia ziemi. Nad tłumem kiwały się białe tabliczki, powiewały pomarszczone zielone wstążki: transparenty i plansze. Pod tym kątem, z wysokości dziesiątego piętra, nie była w stanie odczytać napisów.

– ...Podobno urodzone martwo – ciągnęła spikerka. – Próbujemy otrzymać świeższe wieści z...

Telefon zadzwonił ponownie. Zdjęła słuchawkę z widełek i naciągnęła sznur, aby dojść do okna. Nie mogła oderwać oczu od

żywej rzeki w dole. Widziała samochody kołysane, przewracane na dachy przez napierający tłum, usłyszała znowu brzęki rozbijanych szyb.

– Pani Lang, tu Stan Thorne, szef ochrony Marge Cross. Czekamy na panią na dwudziestym piętrze, w apartamencie na dachu.

Przelewająca się w dole masa ryczała jednym zwierzęcym głosem.

– Proszę wziąć windę ekspresową – ciągnął Thorne. – Jeśli jest zablokowana, proszę wejść schodami. Musi pani wyjść natychmiast.

– Zaraz tam będę – powiedziała.

– Nałożyła buty.

– Dziś rano, w Mexico City...

Jeszcze zanim Kaye dotarła do windy, jej żołądek już obciążył wielki kamień.

Mitch stał na ulicy naprzeciw centrum kongresowego; ramiona miał zwieszane, ręce w kieszeniach, starał się wyglądać na obojętnego i anonimowego.

Tłum szukał naukowców, przedstawicieli spółek, wszystkich ludzi związanych z konferencją, płynął ku nim, machał transparentami, krzyczał.

Zdjął otrzymany od Dickena identyfikator, a w spranych džinsach, z ogorzałą twarzą i rozwichrzonymi, jasnymi jak piasek włosami nie przypominał ani trochę nieszczęsnych, mających ziemistą cerę naukowców i przedstawicieli firm farmaceutycznych.

Demonstranci to głównie kobiety wszelkich kolorów i rozmiarów, ale niemal wyłącznie młode, mające od osiemnastu do czterdziestu lat. Nie znały jakiegokolwiek dyscypliny. Szybko ogarniał je gniew.

Mitch był przerażony, ale po chwili tłum przepłynął na południe, uwalniając go. Szybkimi, sztywnymi krokami opuścił Harbor Drive i zbiegł zjazdem do parkingu, przeskoczył murek i znalazł się na pasie zieleni rozdzielającym wysokie hotele.

Zadyszany, bardziej z lęku niż zmęczenia – nigdy nie lubił tłumów – przedarł się przez rosnące tam pryszczyrnice, wspiał na następny murek i opuścił na betonową posadzkę garażu hotelowego. Kilka kobiet o oszołomionych minach biegło niezgrabnie do swych samochodów. Jedna z nich niosła obwisły i zniszczony transparent. Mitch odczytał mijające go słowa: Nasze przeznaczenie, nasze ciała.

Garaż wypełniły echa przeszywającego uszy wycia syren. Mitch pchnął drzwi prowadzące do klatki schodowej z windami dokładnie w chwili, gdy trzech umundurowani strażnicy zbiegali z tupotem po stopniach. Z wyciągniętą bronią minęli narożnik i popatrzyli na niego.

Podniósł ręce, mając nadzieję, że wygląda niewinnie. Strażnicy zaklęli i zamknęli podwójne szklane drzwi.

– Na górę! – Krzyknęli do niego.

Wszedł po schodach, mając tuż za sobą strażników.

Z holu, wychodzącego na West Harbor Drive, ujrzał samochody używane podczas zamieszek, które okręzały tłum, powoli i nieustannie spychając kobiety. Ściskane wrzeszczały chórem, gniewne głosy płynęły jak zalewające wszystko fale. Działka wodne na dachu ciężarówek obracały się niby czułki na głowie chrząszcza.

Szklane drzwi holu otwierały się i zamykały, gdy wpuszczano gości machających obsłudze kluczami. Mitch przeszedł na środek i stanął w atrium, czując napływające z zewnątrz powietrze. Jego uwagę przyciągnął ostry zapach: odory strachu, wściekłości i czegoś innego, kwaskowatego, jakby pies nasikał na gorący chodnik.

Zjeżyło mu to włosy na głowie.

Zapach tłumu.

Dicken spotkał Kaye na najwyższym piętrze. Mężczyzna w granatowym garniturze, który trzymał otwarte drzwi na dach, sprawdził ich identyfikatory. Z jego słuchawki dobiegały ciche głosy.

– Są już w holu na dole – powiedział jej Dicken. – Szaleją tam.

- Dlaczego? – Spytała oszołomiona Kaye.
- Mexico City – odparł Dicken.
- Ale dlaczego rozruchy?
- Gdzie jest Kaye Lang? – Krzyknął ktoś.
- Tu! – Kaye podniosła rękę.

Przepchali się przez szereg rozmawiających z niepokojem osób obojga płci. Kaye dostrzegła śmiejącą się, kręcącą głową, trzymającą wielki biały ręcznik frotte kobietę w kostiumie kąpielowym.

Mężczyzna w hotelowym szlafroku siedział na krześle z podciągniętymi nogami i szalonymi oczyma. Za nimi strażnik ryknął:

- Ostatnia?

- Sprawdź – odparł inny. Kaye nie miała pojęcia, że w hotelu jest tylu ochroniarzy Marge – oceniała ich na dwudziestu. Niektórzy nosili broń krótką.

Potem usłyszała piskliwy wrzask Cross.

- Na miłość boską, to tylko grupka kobiet! Grupka przerażonych kobiet!

Dicken wziął Kaye pod ramię. Osobisty sekretarz Cross, Bob Cavanaugh, szczupły mężczyzna pod czterdziestkę z rzednącymi jasnymi włosami, chwycił ich oboje i poprowadził przez ostatni kordon do sypialni Cross. Marge leżała na ogromnym łożu, ciągle w jedwabnej piżamie, i oglądała telewizję wewnętrzną. Cavanaugh zarzucił jej na ramiona bawełniany szal z frędzlami. Obraz na ekranie przesuwiał się w tył i przód. Kaye domyśliła się, że pochodzi z kamery na drugim lub trzecim piętrze.

Samochody do zwalczania zamieszek strzelały starannie z armatek wodnych, zmuszając masę kobiet do przesuwania się dalej ulicą i uwalniając wejście do centrum kongresowego.

- Spychają je! – Krzyknęła Cross z gniewem.

- Zdemolowały piętro kongresowe – tłumaczył jej sekretarz.

– Nie spodziewaliśmy się nigdy takiej reakcji – powiedział Stan Thorne. Grube ręce miał złożone na wydatnym brzuchu.

– Nie – odparła Cross niskim, dźwięcznym głosem. – A dlaczego, u diabła, nie? Zawsze mówiłam, że to sprawa życia i śmierci.

– No i mamy adekwatną odpowiedź! To cholerna katastrofa!

– I nawet nie wysuwają żadnych żądań – stwierdziła chuda kobieta w zielonym kostiumie.

– A na co, u licha, mogłyby liczyć? – Zapytał ktoś inny, niewidoczny dla Kaye.

– Na zostawienie na naszym progu wyrazistej wiadomości – zrzędziła Cross. – Coś ich wkurzyło, więc chcą sobie szybko ulżyć, nieważne jak.

– Może tego właśnie potrzebujemy – powiedział niski, szczupły mężczyzna, którego Kaye rozpoznała: Lewis Jansen, dyrektor do spraw sprzedaży oddziału farmaceutycznego Americolu.

– Akurat – odparła Cross i zawołała: – Kaye Lang, potrzebuję cię!

– Tutaj! – Kaye wystąpiła do przodu.

– Świetnie! Frank, Sandra, zabierzcie Kaye do studia telewizyjnego, gdy tylko oczyszczą ulice. Kto jest tu dobry?

Starsza kobieta w płaszczu kąpielowym, z aluminiową walizką, wymieniła z pamięci nazwiska komentatorów z miejscowej telewizji.

– Lewis, każ swoim ludziom przygotować kilka tematów do poruszenia.

– Moi ludzie są w innym hotelu.

– To ich wezwij! Powiesz widzom, że pracujemy najszybciej, jak umiemy, że nie chcemy zbyt prędko dać szczepionki, bo byłaby szkodliwa – cholera, powiesz im wszystko, co mówimy na konferencji. Kiedy, u licha, ludzie nauczą się siedzieć na tyłku i słuchać?

– Czy działają telefony?

Kaye zastanawiała się, czy Mitch trafił na zamieszki, czy nic mu się nie stało.

Do sypialni wszedł Mark Augustine. Zrobiło się tłoczno. Powietrze było gęste i gorące. Augustine kiwnął głową Dickenowi, uśmiechnął się miło do Kaye. Wyglądał na chłodnego i opanowanego, ale coś w jego oczach zdradzało, że to tylko kamuflaż.

– Świetnie! – Ryknęła Cross. – Mamy już wszystkich. Mark, co się dzieje?

– Dwie godziny temu w Berkeley zastrzelono Richarda Bragga – powiedział Augustine. – Wyprowadzał psa na spacer. – Przechylił głowę na bok i zwracając się w stronę Kaye, wykrzywił zaciśnięte usta.

– Bragg? – Zapytał ktoś.

– Gnojek od patentu – wyjaśnił ktoś inny.

Cross podniosła się na łóżku.

– Czy to w związku z wiadomościami o dziecku? – Spytała Augustine’a.

– Zapewne – odparł. – Ktoś ze szpitala w Mexico City puścił farbę. „La Prensa” podała, że dziecko było mocno zdeformowane.

– Od szóstej rano wałkują to na wszystkich kanałach.

Kaye spojrzała na Dickena.

– Urodziło się martwe – rzekł.

Augustine wskazał okno.

– To może wyjaśniać wzburzenie tłumu. Demonstracja miała być pokojowa.

– No to wyjdź do nich – powiedziała znacznie już spokojniejsza Cross. – Mamy robotę.

Dicken wyglądał na przybitego, gdy szli do windy. Szeptał z Kaye.

– Zapomnij o zoo.

– O dyskusji?

– Była przedwczesna – powiedział. – Pora jest teraz nieodpowiednia na nadstawianie karku.

Mitch szedł zaśmieconą ulicą, buty chrzęściły mu na kawałkach szkła. Oznaczone żółtą taśmą policyjne barykady zamykały dostęp do centrum kongresowego i głównych wejść do trzech hoteli. Taśma owijała przewrócone samochody jak prezenty. Tablice i transparenty zaścierały asfalt i chodniki. W powietrzu utrzymywał się smród gazu łzawiącego i dymu. Policja w obcisłych ciemnozielonych spodniach i koszulach khaki oraz oddziały Gwardii Narodowej w strojach maskujących stały z założonymi rękoma wzdłuż ulicy, zaś urzędnicy miejscy wysiadali z furgonetek i byli prowadzeni na oglądanie zniszczeń. Policjanci wpatrywali się przez ciemne okulary w kilku cywilnych gapiów, grożąc w milczeniu.

Mitch próbował wrócić do swego pokoju w Holiday Inn, lecz powstrzymali go ponurzy urzędnicy współpracujący z policją. Jego bagaż – jedna walizka – był nadal w pokoju, ale Mitch miał z sobą torbę na ramię, a tylko o nią się tak naprawdę martwił. Zostawił wiadomości dla Kaye i Dickena, ale nie mógł podać miejsca, w które mogliby zadzwonić.

Konferencja się skończyła. Samochody dziesiątkami wyjeżdżały z garaży hotelowych, a długie sznury taksówek czekały kilka przecznic na południe, aby zabrać pasażerów z walizkami na kółkach.

Mitch nie potrafił ustalić, co czuł na widok tego wszystkiego. Gniew, zastrzyki adrenaliny, gorzką falę zwierzęcej radości na widok zniszczeń – typowe objawy po zetknięciu się tak blisko z przemocą tłumy. Wstyd, jedyna cienka warstewka forniru społecznego na wieść o martwym noworodku, czy poczucie winy były może nie na miejscu. Pośród tych przelotnych emocji najostrzej odczuwał paskudne wyobcowanie. Samotność.

Po tym poranku i popołudniu najbardziej żałował, że ominęło go

śniadanie z Kaye Lang.

Tak pięknie mu pachniała w wieczornym powietrzu. Nie perfumami, ale świeżo umyтыми włosami, jędrną skórą, winem, kwiatowo i odrobinę niepokojąco. Jej trochę senne oczy, ciepłe i zmęczone przy rozstaniu.

Mógł sobie wyobrazić, jak leży przy niej w łóżku w jej pokoju hotelowym. Widział to z wyrazistością typową bardziej dla wspomnień niż dla marzeń. Pamięć przyszłości.

Sięgnął do kieszeni kurtki po bilety lotnicze, które zawsze nosił z sobą.

Dicken i Kaye byli dlań deską ratunku, wskazaniem celu jego życia. Jakoś wątpił, aby Dicken był chętny do przedłużania znajomości z nim. Nie znaczyło to, że go nie lubił; łowca wirusów wyglądał na uczciwego i bardzo bystrego. Mitch chciałby z nim pracować i lepiej go poznać. Nie potrafi jednak sobie tego wyobrazić. Można to nazwać instynktem, następną pamięcią przyszłości.

Rywalizacja.

Siedział na niskim betonowym murku naprzeciw Serrano, ściskając torbę w dwóch mocarnych rękach. Próbował przywołać cierpliwość, na której polegał, aby zachować zdrowie psychiczne podczas długich i żmudnych wykopalisk w towarzystwie kłótliwych doktorantów.

Zaskoczony zobaczył kobietę w niebieskim kostiumie, wychodzącą z holu hotelu Serrano. Stała na chwilę w cieniu, rozmawiając z dwoma portierami i policjantem. To Kaye. Mitch przeszedł powoli przez ulicę, okrążył toyotę z wybitymi wszystkimi oknami. Kaye zauważyła go i pomachała ręką.

Spotkali się na placyku przed hotelem. Kaye miała podkrążone oczy.

– Było okropnie – powiedziała.

– Byłem tu, na ulicy, widziałem wszystko – odparł Mitch.

– Wchodzimy na wysokie obroty. Udzielam wywiadów dla telewizji, potem polecimy na Wschód, do Waszyngtonu. Ma być przeprowadzone dochodzenie.

– I to wszystko przez pierwsze dziecko?

Kaye przytaknęła.

– Godzinę temu dostaliśmy niektóre szczegóły. NIH szukało kobiety, która w zeszłym roku złapała grypę Heroda. Dokonała aborcji córki pośredniej, po miesiącu zaszła w ciążę. Urodziła miesiąc przed czasem, a dziecko zmarło. Poważne uszkodzenia. Najwyraźniej cykloopia.

– Boże – rzucił Mitch.

– Augustine i Cross... No, nie mogę o tym mówić. Wygląda jednak, że będziemy musieli zrewidować wszystkie plany, może nawet w przyspieszonym tempie przeprowadzać testy na ludziach. Kongres wrzeszczy o okrutnym morderstwie, wskazując palcem na wszystkie strony. Niezły pasztet, Mitch.

– Rozumiem. Co możemy zrobić?

– Możemy? – Kaye pokręciła głową. – Nasza rozmowa w zoo nie ma już teraz sensu.

– A dlaczego? – Zapytał Mitch, przełykając ślinę.

– Dicken się rozmyślił – odparła Kaye.

– Jak to?

– Czuje wyrzuty. Uważa, że całkowicie się mylimy.

Mitch przechylił głowę na bok w namyśle.

– Nie sędzę.

– Może jest w tym więcej polityki niż nauki – powiedziała Kaye.

– A co z nauką? Czy mamy pozwolić, aby jeden przedwczesny poród, jedno ułomne niemowlę...

– Zrobiło z nas miazgę? – Dokończyła za niego Kaye. – To możliwe. Nie wiem. – Rozglądała się po podjeździe.

– Spodziewane są kolejne rozwiązania donoszonych ciąży? – spytał Mitch.

– Dopiero za kilka miesięcy – odparła Kaye. – Większość rodziców wybrała aborcję.

– Nie wiedziałem.

– Nie rozgłasza się tego. Odpowiednie agencje nie podają nazwisk. Doszłoby do wielkich sprzeciwów, możesz to sobie wyobrazić.

– A ty jak się z tym czujesz?

Kaye dotknęła serca, potem brzucha.

– Jakby ktoś walnął mnie w dołek. Potrzebuję czasu na przemyślenie wszystkiego, przeprowadzenie pewnych prac. Prosiłam, ale Dicken nie dał mi numeru twego telefonu.

Mitch uśmiechnął się domyślnie.

– Co? – Zapytała trochę podenerwowana Kaye.

– Nic.

– To mój domowy numer w Baltimore – powiedziała, wręczając wizytówkę. – Zadzwoń za parę dni.

Położyła mu dłoń na ramieniu, lekko ścisnęła, potem się odwróciła i poszła do hotelu. Przez ramię zawołała:

– Koniecznie zadzwoń!

National Institutes of Health, Bethesda

Z lotniska w Baltimore Kaye wywiózł szybko nierzucający się w oczy brązowy pontiac bez rządowych tablic rejestracyjnych. Była po trzech godzinach spędzonych w studiach telewizyjnych i szczęściu w samolocie, miała teraz wrażenie, że jej skórę pokrywa werniks.

Dwaj agenci Secret Service milczeli uprzejmie. Jeden siedział z przodu, drugi z tyłu. Kaye też z tyłu. Między nią a agentem zajęła miejsce Farrah Tighe, świeżo przydzielona asystentka. Tighe była kilka lat młodsza od Kaye, miała zaczesane do tyłu jasne włosy, miłą, szeroką twarz, lśniące niebieskie oczy i rozłożyste biodra, przeszkadzające innym w ciasnym samochodzie.

– Mamy cztery godziny przed pani spotkaniem z Markiem Augustine’em – powiedziała Tighe.

Kaye przytaknęła. Jej myśli były daleko od samochodu.

– Prosiła pani o spotkanie z dwiema matkami będącymi pod obserwacją w NIH. Nie jestem pewna, czy uda się to załatwić na dzisiaj.

– Załatw to – poleciła Kaye z naciskiem, a potem dodała: – Proszę. Tighe patrzyła na nią z powagą.

– Najpierw zawieź mnie do kliniki.

– Mamy dwa wywiady telewizyjne...

– Przełóż je – powiedziała Kaye. – Chcę porozmawiać z panią

Hamilton.

Kaye szła długim korytarzem wiodącym z parkingu do wind w budynku nr 10.

Podczas jazdy z lotniska do zespołu NIH Tighe zapoznała ją z wydarzeniami ostatnich dni. Richard Bragg otrzymał siedem strzałów w tułów i głowę, gdy tylko wyszedł ze swego domu w Berkeley, i uznano, że zmarł na miejscu. Aresztowano dwóch podejrzanych, obaj to mężczyźni, mężowie kobiet w ciąży z dziećmi Heroda pierwszego stadium. Zostali złapani kilka przecznic dalej, pijani, w samochodzie pełnym puszek po piwie.

Secret Service, na rozkaz prezydenta, miał pilnować głównych członków Zespołu Specjalnego.

Matka pierwszego donoszonego dziecka drugiego stadium, urodzonego w Ameryce Północnej, nazywana panią C, przebywała nadal w szpitalu w Mexico City. W roku 1996 wyemigrowała z Litwy do Meksyku; w latach 1990-1993 pracowała w Azerbejdżanie dla organizacji humanitarnej. Teraz była leczona z szoku i z tego, co pierwsze raporty lekarskie określały jako ostry przypadek łojotoku twarzy.

Martwe dziecko było w drodze z Mexico City do Atlanty. Miało tam dotrzeć jutro rano.

Luella Hamilton właśnie zjadła lekki obiad i siedziała na krześle przy oknie, patrząc na ogródek i pozbawiony okien narożnik innego budynku. Dzieliła pokój z inną matką, która była teraz na dole na badaniach. Zespół Specjalny miał aktualnie na obserwacji osiem matek.

– Straciłam dziecko – powiedziała pani Hamilton do Kaye, gdy tylko ta weszła. Kaye okrążyła łóżko i objęła ją. Otrzymała mocny uścisk silnych dłoni i ramion, któremu towarzyszył jęk.

Tighe stała przy drzwiach z założonymi rękoma.

– Po prostu się wyslizgnęła pewnej nocy. – Pani Hamilton wpatrywała się uważnie w Kaye. – Ledwo ją poczułam. Miałam mokre nogi. Tylko trochę krwi. Mają czujnik na moim brzuchu i alarm zaczął cicho piszczeć. Obudziłam się, pielęgniarki już tu były i stawiały namiot. Nie pokazały mi jej. Przyszła pastor, wielebna Ackerley z mojego kościoła, specjalnie dla mnie, czy to nie miłe?

– Tak mi przykro – powiedziała Kaye.

– Wielebna powiedziała mi o tej innej kobiecie, w Meksyku, jej drugim dziecku...

Kaye kiwała głową ze współczuciem.

– Tak się boję, Kaye.

– Żałuję, że mnie tu zabrakło. Byłam w San Diego i nie wiedziałam, że poroniłaś.

– No, przecież nie jesteś moim lekarzem, prawda?

– Wiele o tobie myślałam. I o innych – uśmiechnęła się Kaye. – Ale głównie o tobie.

– No tak, jestem silną, czarną babą, robimy wrażenie. – Pani Hamilton mówiła to bez uśmiechu. Twarz miała napiętą, cerę prawie oliwkową. – Rozmawiałam z mężem przez telefon. Przyjeżdża dzisiaj, zobaczymy się, ale tylko przez szybę. Mówią mi, że wypuszczą mnie, gdy urodzi się dziecko. Na razie jednak chcą zatrzymać mnie tutaj. Mówią, że znowu zajdę w ciążę. Wiedzą, że tak będzie. Mój Jezusek. Jak świat sobie poradzi z milionami Jezusków? – Zaczęła płakać. – Nie byłam z mężem ani z nikim innym! Przysięgam!

Kaye mocno trzymała ją za rękę.

– To takie trudne – powiedziała. Chce pomóc, ale moja rodzina ma ciężko. Mąż prawie chodzi po ścianach, Kaye. Dobrze, że mogą przyjechać tą cholerną koleją. – Patrzyła przez okno, mocno ścisnęła rękę Kaye, machała nią lekko w przód i w tył, jakby słuchała wewnętrznej muzyki. – Miałaś czas na myślenie. Powiedz mi, co się

dzieje?

Kaye patrzyła prosto w oczy pani Hamilton i próbowała coś wymyślić.

– Ciągłe staramy się do czegoś dojść – zdołała wreszcie powiedzieć.
– To próba.

– Zesłana przez Boga? – Spytała pani Hamilton.

– Pochodząca z wnętrza nas samych.

– Jeśli jest od Boga, to wszystkie Jezuski poza jednym umrą
powiedziała pani Hamilton. – Mam marne szanse.

– Jestem zła na siebie – powiedziała Kaye, gdy Tighe prowadziła ją do gabinetu doktor Lipton.

– Dlaczego? – Spytała Tighe.

– Nie było mnie tutaj.

– Nie można być wszędzie.

Lipton była na zebraniu, ale przerwała je, aby porozmawiać z Kaye. Poszły do bocznego pokoju z licznymi szafami na akta i komputerem.

– Zrobiliśmy badania wczoraj wieczorem i sprawdziliśmy poziom hormonów. Niemal wpadła w histerię. Poronienie bolało mało albo nawet wcale. Myślę, że wolałaby odczuć to mocniej. Miała klasyczny płód Heroda.

Lipton podała plik zdjęć.

– Jeśli to choroba, to diabelnie dobrze zorganizowana. Niby łóżysko nie różni się zbyt od zwykłego łóżyska, jest tylko znacznie mniejsze. Zupełnie inaczej jest za to z owodnią. – Lipton pokazała wyrostek zwinięty z boku skurczonej, pomarszczonej owodni, wydalonej wraz z łóżyskiem. – Nie wiem, jak inaczej można to nazwać niż małym jajowodem.

– A inne kobiety na obserwacji?

– Dwie powinny poronić za kilka dni, reszta w ciągu dwóch tygodni. Sprowadzam pastorów, rabinów, psychiatrów, a nawet

przyjaciół – jeśli tylko są kobietami. Matki są głęboko nieszczęśliwe. Nic w tym dziwnego. Zgadzą się jednak pozostawać zgodnie z programem.

– Żadnych kontaktów z mężczyznami?

– Żadnych z tymi po okresie dojrzewania – powiedziała Lipton. – Na polecenie Marka Augustine’a, potwierdzone przez Franka Shawbecka. Niektóre rodziny burzą się na takie traktowanie.

– Nie winię ich.

– Czy pozostała tu jakaś bogata kobieta? – Zapytała śmiertelnie poważnie Kaye.

– Nie – odparła Lipton. Zachichotała bez śladu wesołości. – Nie musiała pani pytać.

– Czy jest pani zamężna, doktor Lipton? – Spytała Kaye.

– Rozwiedziona od pół roku. A pani?

– Wdowa.

– No to mamy szczęście – powiedziała Lipton.

Tighe wskazała na zegarek. Lipton patrzyła to na jedną, to na drugą.

– Przepraszam, że panią zatrzymuję – powiedziała gwałtownie. – Moi ludzie też czekają.

Kaye wzięła zdjęcia nibyłożyska i worka owodniowego.

– Co miała pani na myśli, mówiąc, że to diabelnie dobrze zorganizowana choroba?

Lipton pochyliła się nad szalką z aktami.

– Zajmowałam się guzami, ranami, dymienicą, brodawkami i wszelkimi innymi okropnymi chorobami rozwijającymi się w naszych ciałach. To na pewno jest zorganizowane. Przekształcenie przepływu krwi, niszczenie komórek. Wysysająca chciwość. Ten worek owodniowy jest jednak bardzo wyspecjalizowanym narządem, odmiennym od wszystkich, jakie badałam.

– Pani zdaniem nie jest skutkiem choroby?

– Tego bym nie powiedziała. Skutkami są zniekształcenia, ból, cierpienie i poronienie. To niemowlę w Meksyku... – Lipton kręciła głową. – Nie będę tracić czasu na opisywanie tego jako czegokolwiek innego. To nowa choroba, odrażająco pomysłowa, nic więcej.

Atlanta

Dicken wchodził pochyłym zjazdem do garażu przy Chiton Way, zerkając zmrużonymi oczyma na jasne niebo z niskimi, brzuchatymi obłokami. Miał nadzieję, że świeże, chłodne powietrze oczyści mu głowę. Poprzedniego wieczoru wrócił do Atlanty, kupił butelkę Jacka Danielsa i zaszył się w domu, pijąc aż do czwartej nad ranem. Idąc z salonu do łazienki, potknął się o stos książek, zahaczył ramieniem o ścianę i przewrócił się na podłogę. Ramię i nogę miał posiniaczone i podrapane, tyłek go bolał, jakby dostał kopniaka, ale mógł chodzić i był całkowicie pewny, że nie musi jechać do szpitala.

Mimo wszystko ramię miał nadwerężone, a twarz popielatą. Głowa bolała go od whisky. Brzuch, bo nie zjadł śniadania. A w głębi duszy czuł się jak szmata, dezorientowany i zły na wszystko, ale głównie na siebie samego.

Wspomnienie intelektualnego jam session w zoo w San Diego nie dawało mu spokoju. Obecność Mitcha Rafelsona, wolnego strzelca, mówiącego mało rzeczowo, lecz mimo to kierującego rozmową, jednocześnie podważającego ich wydumane teorie i pobudzającego do ich snucia; Kaye Lang, piękniejszej, niż widział ją kiedykolwiek, niemal promiennej, z jasnym jak słońce spojrzeniem pełnym skupionego zaciekawienia... I niech to szlag, absolutnie pozbawionym innego niż profesjonalne zainteresowania Dickenem.

Rafelson wyraźnie go zdeklasował. Raz jeszcze, po całym dorosłym życiu spędzonym na znoszeniu najgorszego, co Ziemia może zesać na

ludzkiego samca, okazał się malutki w oczach kobiety, o której myślał, że może ją polubi.

I jakie to, u diabła, ma znaczenie? Jakie znaczenie wobec heroda ma jego męskie ego, jego życie seksualne?

Dicken skręcił za róg na Clifton Road i stanął przez chwilę, zaskoczony. Strażnik w budce garażu wspomniał coś o pikiecie, ale nie napomknął słowem o jej skali.

Demonstranci wypełniali ulicę od placyku i okolonego drzewami skweru przed wejściem z czerwonej cegły, prowadzącym do budynku nr 1, siedziby American Cancer Society, aż do hotelu Emory przy Clifton Road. Niektórzy stali na gazonach z purpurowymi azaliami, zostawiając wolne przejście do głównej bramy, ale blokując informacje i kawiarnię. Dziesiątki osób siedziały wokół filaru podtrzymującego popiersie Higiee, miały zamknięte oczy, kołysały się lekko z boku na bok, jakby modliły się w duchu.

Dicken ocenił tłum na dwa tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci, milczących, czekających na coś; na zbawienie lub co najmniej na zapowiedź, że świat się nie skończy. Wiele kobiet i więcej niż paru mężczyzn nadal nosiło maseczki, pomarańczowe bądź purpurowe; wedle zapewnień garstki podejrzanych wytwórców miały one zabijać wszystkie wirusy łącznie z SHEVĄ.

Organizatorzy milczącej manifestacji – nie nazywali jej protestem – chodzili między ludźmi z zimną wodą, papierowymi kubeczkami, ulotkami, poradami i instrukcjami, ale demonstranci nie mówili ani słowa.

Dicken dotarł przez tłum do wejścia do budynku nr 1. Ciągnęło go do ludzi, choć zdawał sobie sprawę z zagrożenia. Chciał wiedzieć, co myślą i czują żołnierze – ci stojący na pierwszej linii frontu.

Wokół i wśród tłumy krążyli powoli kamerzyści. Niektórzy umyślnie trzymali kamery na poziomie brzucha, aby kręcić z bliska,

potem unosili je na ramiona dla uzyskania panoramy, oddania skali.

*

– Jezu, co się stało? – Spytała Jane Salter, gdy Dicken minął ją, idąc długim korytarzem do swego gabinetu. Niosła aktówkę i naręcze zielonych teczek. – Mały wypadek – odparł Dicken. – Upadłem. Widziałas, co dzieje się na zewnątrz?

– Widziałam – powiedziała Salter. – Ciarki mnie przechodzą. – Poszła za nim i stanęła w otwartych drzwiach.

Dicken zerknął na nią przez ramię, potem wysunął stary fotel na kółkach i usiadł z miną zawiedzionego chłopczyka.

– Chodzi o panią C? – Spytała Salter. Z narożnika teczki strzepnęła kosmyk brązowych włosów. Kosmyk spadł. Nie zwracała na niego uwagi.

– Tak sędzę – odparł Dicken.

Salter pochyliła się, aby odstawić aktówkę, potem zrobiła krok naprzód i położyła teczki na jego biurko.

– Tom Scarry dostał dziecko – powiedziała. – W Mexico City zrobili sekcję. Zapewne bardzo staranną. Powtórzy ją, tak dla pewności.

– Widziałas je? – Zapytał Dicken.

– Tylko nagranie z wyjmowania go ze skrzynki z lodem w budynku nr 15.

– Potworek?

– Straszny – potwierdziła Salter. – Istna miazga.

– Komuś bije dzwon – powiedział Dicken.

– Nigdy nie dowiedziałam się, Christopherze, co o tym sądzisz. – Salter pochyliła się nad gałką w drzwiach. – Wyglądasz na zaskoczonego, że to naprawdę paskudna choroba. Wiemy chyba, w czym rzecz?

Dicken kręcił głową.

– Tak długo goniłem za chorobami... Ta wydaje się odmienna.

– Czyżby bardziej sympatyczna?

– Jane, upiłem się wieczorem. Upadłem w domu i nadwerżyłem ramię. Czuję się okropnie.

– Zalewałeś robaka? Bardziej to pasuje do schrzanionego życia seksualnego niż do złej diagnozy.

Dicken spochmurniał.

– Co robisz z tym wszystkim? – Spytał, kierując w stronę teczek lewy palec wskazujący.

– Przenoszę część spraw do nowego laboratorium odbiorczego. Dostali cztery dalsze stoły. Zbieramy personel i tworzymy procedury do przeprowadzania całodobowo sekcji zwłok, reżim L 3. Kieruje tym doktor Sharp. Pomagam grupie przeprowadzającej badania układu nerwowego i nabłonka. Dbam o porządek w jej dokumentacji.

– Szepniesz mi słówko? Gdy coś znajdziesz?

– Nie wiem nawet, dlaczego tu jesteś, Christopherze. Tkwieś wysoko nad nami, gdy przybyłeś z Augustine'em.

– Tęsknię za byciem na froncie. Wieści docierają najpierw tutaj. – Westchnął. – Jane, nadal jestem łowcą wirusów. Wróciłem, aby przejrzeć stare papiery. Sprawdzić, czy nie przegapiłem czegoś przełomowego.

Jane się uśmiechnęła.

– No, usłyszałam dziś rano, że pani C. miała opryszczkę narządów płciowych. Jakoś przeszła na dzieciątko C w początkach jego rozwoju. Było pokryte rankami.

Zaskoczony Dicken podniósł wzrok.

– Opryszczka? Przedtem o niej nie wspomnieli.

– Mówiłam ci o miazdze – przypomniała Jane.

Opryszczka mogła całkowicie zmienić interpretację tego, co zaszło. Jak płód mógł się zarazić opryszczką narządów płciowych, skoro było

chroniony przez macicę? Do zakażenia nią dziecka przez matkę dochodzi zwykle podczas przechodzenia przez kanał rodny.

Dicken był mocno strapiony.

Gabinet mijał doktor Denby, uśmiechnął się przelotnie, potem cofnął i zajrzał przez otwarte drzwi. Denby to specjalista od namnażania bakterii, niski i całkowicie łysy, z twarzą cherubinka; nosił elegancką śliwkową koszulę i czerwony krawat.

– Jane? Wiesz, że zablokowali kawiarnię od zewnątrz? Cześć, Christopher.

– Słyszałam. Niesamowite – odparła Jane.

– Teraz szykują coś nowego. Chcecie zobaczyć?

– Nie, jeśli ma dojść do przemocy. – Salter przeszedł dreszcz.

– To właśnie straszne. Są pokojowi i całkowicie milczący! Jak musztra bez komend.

Dicken wyszedł z nimi, windą i schodami dostali się do frontonu budynku. W ślad za innymi pracownikami i lekarzami zgromadzili się w holu przy wystawie poświęconej dziejom CDC. Na zewnątrz tłum kłębił się, ale w jakiś uporządkowany sposób. Przywódcy wykrzykiwali polecenia przez megafony.

Strażnik stał z rękoma na biodrach, przyglądając się tłumowi przez okulary.

– Spójrzcie na to – powiedział.

– Na co? – Spytała Jane.

– Rozdzielili się wedle płci. Segregacja – odparł z tajemniczym spojrzeniem.

Transparenty ustawiono na wprost holu i rozmieszczonych przed nim dziesiątków kamer. Wietrzyk powiewał jednym z nich.

Dicken dostrzegł napis na dwóch węzowatych częściach płachty: dobrowolny – rozdział – uratuje dziecko

Po kilku minutach tłum rozstał się przed jego przywódcami jak

Morze Czerwone przed Mojżeszem, kobiety i dzieci stanęły z jednej strony, mężczyźni z drugiej. Kobiety wyglądały na ponure i zdeterminowane. Mężczyźni na pochmurnych i zawstydzonych.

– Chryste – mruknął strażnik. – Mam według nich odejść od żony?

Dicken czuł się jak przerywany piłą. Wrócił do gabinetu i zadzwonił do Bethesdy. Augustine jeszcze nie przyjechał. Kaye Lang była z wizytą w Magnuson Clinical Center.

Sekretarka Augustine'a dodała, że protestujący są także na terenie NIH; jest ich kilka tysięcy.

– Proszę włączyć telewizor – powiedziała. – Maszerują w całym kraju.

National Institutes of Health, Bethesda

Augustine okrążył teren NIH od Old Georgetown Road do Lincoln Street i wjechał na tymczasowy parking dla pracowników opodal centrali Zespołu Specjalnego. Zespół zaledwie dwa tygodnie wcześniej na prośbę naczelnego lekarza otrzymał nowy budynek. Protestanci najwyraźniej nie wiedzieli o tej zmianie; maszerowali w stronę dawnej siedziby i budynku nr 10. Przeszedł szybko w grzejącym słońcu do wejścia na parterze.

Straż NIH i ostatnio wynajęci prywatni ochroniarze stali przed budynkiem, rozmawiając ściszymi głosami. Przyglądali się odległym o kilkaset jardów grupkom protestantów.

– Proszę się nie martwić, panie Augustine – powiedział szef ochrony budynku, gdy otwierał kartą główne wejście. – Po południu przybędzie Gwardia Narodowa.

– O, doskonale. – Augustine spuścił głowę i nacisnął guzik przywołujący windę. W nowym biurze trzej asystenci i jego osobista sekretarka, pani Florence Leighton, dostojna i bardzo sprawna, próbowali przywrócić połączenia z resztą terenu.

– Co się stało, sabotaż? – Trochę zaczepnie zapytał Augustine.

– Nie – odparła pani Leighton, podając mu plik wydruków.

– Głupota. Serwer nie chce nas rozpoznawać.

Augustine zatrzasnął drzwi swego gabinetu, wysunął fotel na

kółkach, rzucił aktówkę na biurko. Usłyszał popiskiwanie telefonu. Sięgnął do przycisku.

– Czy mogę prosić, Florence, aby pięć minut nikt mi nie przeszkadzał, bo muszę uporządkować myśli? – Błagał.

Mark, to Kennealy od wiceprezydenta – powiedziała pani Leighton.

– Podwójny cymes. Daj go.

Tom Kennealy, dyrektor łączności technicznej wiceprezydenta – kolejne nowe stanowisko, ustanowione przed tygodniem – odezwał się pierwszy, pytając Augustine'a, czy wie o skali protestów.

– Widzę je teraz przez okno – odrzekł.

– Wedle ostatniej rachuby obejmują czterysta siedemdziesiąt szpitali – powiedział Kennealy.

– Niech Bóg błogosławi Internet – rzucił Augustine.

– Cztery demonstracje wymknęły się spod kontroli – nie licząc zamieszek w San Diego. Wiceprezydent bardzo się martwi, Mark.

– Powiedz mu, że ja jeszcze bardziej. To najgorsza wieść, jaką mogę sobie wyobrazić – zmarłe donoszone dziecko Heroda.

– Co z opryszczką?

– Chrzanić ją. Dziecko łapie opryszczkę dopiero po porodzie.

– W Mexico City musieli to zaniedbać.

– Słyszeliśmy inaczej. Czy możemy o tym zapewniać? Że niemowlę było chore?

– Na pewno było chore, Tom. To na herodzie powinniśmy się skupić.

– No dobrze. Rozmawiałem z wiceprezydentem. Jest tu teraz, Mark.

Telefon przejął wiceprezydent. Augustine opanował głos i przywitał go spokojnie. Wiceprezydent powiedział, że NIH będzie strzeżone przez wojsko, otrzyma najwyższy stopień ochrony, podobnie jak CDC i pięć ośrodków badawczych Zespołu Specjalnego w kraju. Augustine mógł sobie teraz wyobrazić skutki – drut kolczasty,

psy policyjne, granaty ogłuszające i gaz łzawiący. Piękne warunki do prowadzenia delikatnych badań.

– Panie wiceprezydencie, nie wypierajcie ich z terenu – powiedział. – Proszę. Niech zostaną i protestują.

– Prezydent wydał rozkaz godzinę temu. Dlaczego mamy go zmieniać?

– Gdyż wydaje się, że to dla nich wentyl bezpieczeństwa. Jest inaczej niż w San Diego. Chcę się tu spotkać z przywódcami.

– Mark, nie jesteś wyszkolonym negocjatorem – przekonywał wiceprezydent.

– Nie, ale będę o wiele lepszy od kordonu wojska w pełnym rynsztunku bojowym.

– Leży to w kompetencjach dyrektora NIH.

– Kto negocjuje, panie prezydencie?

– Z przywódcami protestujących spotkają się dyrektor i sekretarz generalny. Nie możemy podejmować odmiennych działań ani mówić różnymi głosami, Marku, nie myśl więc nawet o prowadzeniu jakichkolwiek rozmów.

– A jeśli będzie kolejne martwe dziecko, panie prezydencie?

– Pojawienie się tego zaskoczyło nas całkowicie – wiemy jedynie, że przyszło na świat sześć dni temu. Próbowaliśmy wysłać na pomoc nasz zespół, ale szpital odmówił.

– Przysłali ci ciało. Wydaje się to świadczyć o duchu współpracy.

– Z tego, co mówił mi Tom, wynika, że nikt nie zdołałby go uratować.

– Nie, ale moglibyśmy wiedzieć o nim zawczasu i skoordynować wiadomości w mediach.

– Tu pełna zgoda, Mark.

– Panie wiceprezydencie, z całym szacunkiem, ale międzynarodowa biurokracja nas niszczy. To dlatego owe protesty są

takie groźne. Jesteśmy obwiniani, obojętnie czy ponosimy winę, czy nie – i powiem szczerze, wszystko się teraz we mnie przewraca. Nie mogę odpowiadać za rzeczy, do których się nie przyczyniłem!

– Prosimy cię teraz, Mark, abys się przyczyniał. – Głos wiceprezydenta był wyważony.

– Przepraszam. Wiem, panie wiceprezydencie. Nasze powiązania z Americolem rodzą mnóstwo problemów. Zapowiedź szczepionki... Przedwczesna, moim zdaniem...

– Tom podziela ten pogląd, tak samo ja.

Co z prezydentem? – Pomyślał.

– Doceniam to, ale wieść już poszła. Według moich ludzi jest około pięćdziesięciu procent szans na niepowodzenie badań przedklinicznych. Rybozym jest koszmarnie wszechstronny. Wykazuje podobieństwo do chyba trzynastu lub czternastu różnych odmian RNA matrycowego. Możemy więc zatrzymać SHEVE, ale dostaniemy też rozpad osłonki mielinowej... Stwardnienie rozsiane, na miłość boską!

– Pani Cross twierdzi, że ją usprawniają i jest teraz bardziej wybiórcza. Osobiście zapewniała mnie, że nigdy nie było zagrożenia stwardnieniem. Głosiła tak tylko plotka.

– Na testowanie jakiej wersji pozwoli im FDA, panie prezydencie? Trzeba zacząć od początku całą pracę papierkową...

– FDA przychyliła się do tej.

– Chciałbym utworzyć oddzielny zespół oceniający. NIH ma ludzi, my możliwości.

– Nie ma czasu, Mark.

Augustine zamknął oczy i potarł czoło. Czuł, jak twarz pokraśniała mu niby burak.

– Mam nadzieję, że postawiliśmy na dobrego konia – powiedział spokojnie. Serce tłukło mu się w piersi.

– Prezydent ogłosi wieczorem przyspieszenie prac – zapowiedział wiceprezydent. – Jeśli powiodą się badania przedkliniczne, w ciągu miesiąca nastąpią próby na ludziach.

– Nie zalecałbym ich.

– Zdaniem Roberta Jacksona można je przeprowadzać. Decyzja zapadła. Już za późno.

– Czy prezydent rozmawiał o tym z Frankiem? Albo z naczelną lekarz?

– Są w stałym kontakcie.

– Proszę namówić pana prezydenta, aby zadzwonił i do mnie. – Augustine nie znośił być zmuszany do proszenia, ale mądrzejszemu prezydentowi przypominanie byłoby niepotrzebne.

– Spróbuję, Mark. A wracając do twojej odpowiedzi... Masz się zgadzać z tym, co powiedział NIH, bez żadnych podziałów, sprzeciwów, rozumiesz?

– Nie jestem draniem, panie wiceprezydencie – odparł Augustine.

– Wkrótce z tobą porozmawiam, Mark – powiedział wiceprezydent. W telefonie rozległ się głos Kennealy'go. Brzmiała w nim uraza.

– Mark, oddziały właśnie ładują się na ciężarówkę. Chwileczkę. – Zakrył dłonią słuchawkę. – Wiceprezydent już wyszedł. Jezu, coś mu zrobił, Mark, zmieszałeś go z błotem?

– Poprosiłem go, aby zadzwonił do mnie prezydent – odparł Augustine.

– A to ci dopiero nowina – powiedział Kennealy chłodno.

– Czy ktoś łaskawie mnie powiadomi, gdy urodzi się kolejne dziecko poza krajem? – Spytał Augustine. – Albo w nim? Czy Departament Stanu będzie się codziennie kontaktował z moim urzędem? Mam nadzieję, Tom, że nie biję tu tylko piany!

– Mark, nigdy więcej nie rozmawiaj tak z wiceprezydentem – powiedział Kennealy i odwiesił słuchawkę.

Augustine wcisnął guzik łączności wewnętrznej.

– Florence, muszę napisać list przewodni i notatkę służbową. Czy Dicken jest w mieście? Gdzie jest Lang?

– Doktor Dicken jest w Atlancie, a Kaye Lang na miejscu. Chyba w klinice. Możesz się z nią spotkać za dziesięć minut.

Augustine wysunął szufladę biurka i wyjął blok papieru. Nakreślił na nim trzydzieści jeden poziomów dowodzenia, trzydzieści między nim a prezydentem – trochę za dużo, jak dla niego. Zamaszyście przekreślił pięć, potem sześć, następnie inne, aż zostało z dziesięć nazwisk i urzędów; podarł przy tym kartkę. Jeśli nastąpi najgorsze, pomyślał, to przy bardziej starannym planowaniu zdoła może pominąć dziesięć z tych poziomów, najwyżej dwadzieścia.

Najpierw jednak musi nadstawić karku i rozesać im swój raport opatrzony pismem przewodnim. Upewnić się, że trafi na wszystkie biurka, zanim rozejdzie się smród.

To nadstawianie karku nie będzie jednak zbyt wielkie. Miał silne przeczucie, że zanim jakiś sługus Białego Domu – może Kennealy, podlizujący się, aby awansować – szepnie do ucha prezydenta, iż Augustine nie gra zespołowo, wybuchnie następna bomba.

Bardzo wielka bomba.

National Institutes of Health, Bethesda

Zatrącanie się w pracy było jedyną czynnością, jaką Kaye uważała teraz za właściwą. Zamieszanie wykluczało wszelkie inne możliwości. Opuszczając klinikę, szybko mijając rozstawione na chodniku stoliczki wietnamskich i koreańskich handlarzy sprzedających przybory toaletowe i różne drobiazgi, przejrzała listę wyznaczonych na ten dzień zadań, odhaczając spotkania i rozmowy – najpierw z Augustine'em, potem dziesięć minut w budynku nr 15 z Robertem Jacksonem, aby zapytać o miejsca wiązania rybozemu, weryfikacja tego w budynkach nr 5 i 6 u dwóch badaczy z NIH, którzy pomagają jej w poszukiwaniach HERV-ów przypominających SHEVE; następnie pół tuzina innych naukowców z listy zapasowej, których poprosi o wyrażenie zdania... Była w połowie drogi między kliniką a centralą Zespołu Badawczego, gdy zadzwoniła jej komórka. Wyjęła ją z torebki.

– Kaye, tu Christopher.

– Nie mam czasu i czuję się paskudnie, Christopherze – rzuciła. – Powiedz mi coś, od czego poczuje się lepiej.

– Jeśli cię to pocieszy, też czuję się paskudnie. Upiłem się wieczorem i mam przed sobą demonstrantów.

– Tu też ich mamy.

– Posłuchaj jednak, Kaye. Mamy teraz na patologii dziecko C. Urodziło się co najmniej miesiąc za wcześniej.

– Urodziło? Ma chyba płęć?

– On. Wewnątrz i na zewnątrz jest poprzebijany wrzodami opryszczki. Nie był chroniony przed nią w macicy. SHEVA tworzy jakoś odpowiedni dla wirusa opryszczki otwór w barierze łożyska.

– Zawiażują więc sojusz – aby razem powodować śmierć i zniszczenie. Cudownie.

– Nie – powiedział Dicken. – Nie chcę mówić o tym przez telefon. Jutro przyjadę do NIH.

– Daj mi jakiś punkt zaczepienia, Christopherze. Nie chciałabym mieć kolejnej takiej nocy jak dwie poprzednie.

– Dziecko C być może nie umarłoby, gdyby nie zaraziło się opryszczką od matki. Kaye, jedno z drugim może nie mieć nic wspólnego.

Kaye zamknęła oczy i stanęła nieruchomo na chodniku. Rozglądała się za Farrah Tighe; rozkojarzona musiała wyjść bez niej, wbrew instrukcjom. Tighe na pewno szuka jej teraz gorączkowo.

– Jeśli nawet, to kto nas teraz wysłucha?

– Żadna z ośmiu kobiet w klinice nie ma opryszczki ani HIV.

– Zadzwoiłem do Lipton i sprawdziłem. Są doskonałymi przypadkami badawczymi.

– Urodzą nie wcześniej niż za dziesięć miesięcy – powiedziała Kaye. – Jeśli przestrzegać zasady jednego miesiąca naddatku.

– Wiem. Ale na pewno znajdziemy inne. Musimy znowu porozmawiać – poważnie.

– Cały dzień mam zebrania, jutro będę w laboratoriach Americolu w Baltimore.

– No to dziś wieczorem. A może prawda niewiele teraz znaczy?

– Nie pouczaj mnie o prawdzie, do licha – powiedziała Kaye.

Zobaczyła ciężarówki Gwardii Narodowej jadące Center Drive. Manifestanci na razie skupiali się w części północnej; ze swego

miejsca mogła dostrzec ich tablice i transparenty widoczne za niskim, porośniętym trawą pagórkiem. Przegapiła kilka słów Dickena. Fascynowały ją ruchy odległego tłumu.

– ...Chcę dać uczciwą szansę twojemu zdaniu – powiedział Dicken. – Wielki kompleks białkowy nie może być korzystny dla pojedynczego wirusa, dlaczego więc z niego korzysta?

– Bo SHEVA jest posłańcem – odparła Kaye cichym głosem, jakby pośrednim między sennym a roztargnionym. – To radio Darwina.

– Co?

– Christopherze, widziałeś łożysko i błony płodowe płodów Heroda pierwszego stadium. Wyspecjalizowane worki owodniowe... Bardzo rozwinięte. Wcale nie chore.

– Jak powiedziałem, chcę jeszcze nad tym popracować. Przekonaj mnie, Kaye. Boże, a jeśli to dziecko C jest tylko szczęśliwym trafem, przypadkową mutacją?!

W północnej części zespołu rozległy się trzy stłumione trzaski, ciche, brzmiące niewinnie. Usłyszała jęk zaskoczenia tłumu, a potem odległe, wysokie okrzyki.

– Nie mogę rozmawiać, Christopherze. – Z trzaskiem tworzywa sztucznego zamknęła telefon i pobiegła. Tłum był jakieś ćwierć mili od niej, ludzie cofali się i rozpraszali na drogach, parkingach, między ceglanymi budynkami. Nie usłyszała nowych trzasków.

Kilka kroków zrobiła wolniej, rozważając niebezpieczeństwo, potem znowu pobiegła. Musiała wiedzieć. W jej życiu było zbyt wiele niepewności. Zbyt wiele ociągania się i bezczynności, z Saulem, ze wszystkim i z każdym.

Pięćdziesiąt stóp przed sobą ujrzała potężnego mężczyznę w brązowym garniturze, wybiegającego z drzwi służbowych budynku, machającego nogami i rękoma. Płaszcz powiewał mu nad obszerną, białą koszulą i wyglądał śmiesznie, ale facet był szybki jak błyskawica

i kierował się prosto ku niej.

Zaniepokoiła się przez chwilę i skręciła, aby go ominąć.

– Cholera, pani doktor! – Zawołał. – Proszę się zatrzymać. Stop!

Zadyszana, zwolniła niechętnie. Mężczyzna w brązowym garniturze zbliżył się do niej i pokazał oznakę. Był z Secret Service, nazywał się Benson, tyle tylko zdołała dostrzec, zanim zamknął legitymację i schował ją do kieszeni.

– Co u licha pani wyprawia? Gdzie jest Tighe? – Zapytał ją, zarumieniony z wysiłku; pot spływał mu po policzkach z dziobami po ospie.

– Potrzebują pomocy – powiedziała. – Została w...

– To strzały. Zostanie pani tutaj, choćbym musiał zatrzymać panią siłą. Do diabła, Tighe miała nie opuszczać pani ani na chwilę!

Tighe akurat dobiegała do nich. Była czerwona z gniewu. Wymieniła z Bensonem szybkie, ostre szeptki, potem stanęła obok Kaye. Benson ruszył szybkim truchtem w stronę porozrywanych grupek manifestantów. Kaye poszła za nim, ale wolniej.

– Niech pani tu zostanie, pani Lang – powiedziała Tighe.

– Kogoś zastrzelono!

– Benson się tym zajmie! – Nalegała Tighe, stając między nią a tłumem.

Kaye zerknęła jej przez ramię. Mężczyźni i kobiety przyciskali dłonie do twarzy, płacząc. Zobaczyła upuszczone tablice, porzucone transparenty. Tłum kłębił się, ogarnięty chaosem.

Żołnierze Gwardii Narodowej w strojach maskujących, z wycelowanymi karabinami automatycznymi, zajęli pozycje między ceglanymi budynkami stojącymi przy najbliższej drodze.

Funkcjonariusz straży kampusu przejechał trawnikiem między dwoma wysokimi dębami. Widziała innych mężczyzn w garniturach, niektórzy rozmawiali przez telefony komórkowe albo krótkofalówki.

Potem dostrzegła w środku trawnika samotnego mężczyznę z wyprostowanymi po bokach rękoma. Wyglądał, jakby chciał polecieć. Za nim na trawie leżała nieruchomo kobieta. Benson i strażnik kampusu dotarli do nich jednocześnie. Benson kopnął w trawie ciemny przedmiot: pistolet. Strażnik wyjął swą broń i mocno odepchnął stojącego mężczyznę.

Ukląkł obok kobiety, sprawdził puls na szyi, spojrzał w górę, na boki, jego twarz powiedziała wszystko. Potem popatrzył na Kaye, mówiąc bezgłośnie „wracaj”.

– To nie było moje dziecko! – Krzyczał mężczyzna. Szczupły, biały, krótkie i rozczochrane jasne włosy, pod trzydziestkę, miał czarną koszulkę i czarne dżinsy zwisające nisko na biodrach. Rzucił głową w tył i w przód, jakby się odganiał od much. – Zmusiła mnie do przyjścia tutaj. Kurczę, zmusiła mnie! To nie było moje dziecko!

Udający lot mężczyzna cofnął się przed strażnikiem, ruchy miał szarpane jak u marionetki.

– Nie zniosę więcej tego gówna. Dość gówna!

Kaye patrzyła na raną kobietę. Nawet z odległości dwudziestu jardów dostrzegła krew plamiącą na brzuchu jej bluzkę, nic niewidzące oczy spoglądające w niebo pustym wzrokiem bez nadziei.

Nie zwracała uwagi na Tighe, Bensona, udającego lot mężczyznę, oddziały, strażników, tłum.

Widziała jedynie kobietę.

Baltimore

Opierając się na kulach, Cross weszła do jadalni kierownictwa Americolu. Młody pielęgniarz podsunął krzesło; usiadła z westchnieniem ulgi. W sali nie było nikogo oprócz niej, Kaye, Laury Nilson i Roberta Jacksona.

– Marge, jak to się stało? – Zapytał Jackson.

– Nikt do mnie nie strzelał – zaszczebotała wesolutko. – Przewróciłam się w wannie. Zawsze byłam swoim największym wrogiem. Niezgrabna ze mnie krowa. Lauro, co mamy?

Nilson, której Kaye nie widziała od zakończonej katastrofą konferencji prasowej na temat szczepionki, miała na sobie elegancki, choć zbyt poważny, trzyczęściowy niebieski kostium.

– Zaskoczeniem tygodnia jest RU-486 – odpowiedziała.

– Kobiety go używają, wiele z nich. Francuzi przedstawili rozwiązanie. Zwróciliśmy się do nich, ale powiedzieli, że kierują swą propozycję bezpośrednio do WHO i Zespołu Specjalnego, ich cele są humanitarne i nie interesują ich żadne powiązania biznesowe.

Marge zamówiła u kelnera wino i zanim położyła serwetkę na kolanach, wytarła nią czoło.

– Jakie to szlachetne – powiedziała w zadumie. – Zaspokoją wszystkie potrzeby świata i to bez ponoszenia żadnych wydatków na prace badawczo-rozwojowe. Jak to działa, Robercie?

Jackson wziął palmbooka i rysikiem przesuwiał notatki.

– Zespół Specjalny ma niepotwierdzone doniesienia, że RU-486

wydała zagnieżdżoną komórkę jajową drugiego stadium. Na razie nie ma ani słowa o pierwszym stadium. Wszystko to pogłoski. Plotki z ulicy.

– Środki wczesnoporonne nigdy mi się nie podobały – stwierdziła Cross. Potem zwróciła się do kelnera: – Dla mnie sałatka Cobba z sosem winegret i dzbanek kawy.

Kaye wybrała kanapkę klubową, choć ani trochę nie była głodna. Poczowała narastające dudnienie w głowie – nieprzyjemną oznakę świadomości, że jest w wielkim niebezpieczeństwie. Jeszcze się nie otrząsnęła po strzelaninie w NIH sprzed dwóch dni.

– Lauro, wyglądasz na niezadowoloną – powiedziała Cross, zerkając na Kaye. Skargi Lang zamierzała zostawić na koniec.

– Jedno trzęsienie ziemi po drugim – odparła Nilson. – Przynajmniej nie doświadczyłam tego co Kaye.

– Straszne – przyznała Cross.

– Zamówiliśmy własne sondaże. Profile psychologiczne, kulturowe, pełen przekrój. Wydaję co do grosza wszystkie pieniądze, które mi dajesz, Marge.

– Ubezpieczenie – powiedziała Cross.

– Przeróżające – wpadł jej w słowo Jackson.

– Sześćdziesiąt procent przebadanych żonatych lub będących w trwałym związku mężczyzn nie wierzy wiadomościom – tłumaczyła się Nilson. – Uważają, że kobiety musiały uprawiać seks, aby za drugim razem zająć w ciążę. Napotykałyśmy tutaj na mur oporu, wyparcia, nawet u kobiet. Czterdzieści procent zamężnych lub będących w trwałym związku kobiet twierdzi, że usunęłyby każdy płód Heroda.

– Tylko tak mówią ankieterom – mruknęła Cross.

– Na pewno dzieje się tak w wielu przypadkach. RU-486 to wypróbowany i sprawdzony środek. Stał się trzymaną w domu

ostatnią deską ratunku dla zdesperowanych.

– Nie jest zabezpieczeniem – rzucił niezadowolony Jackson.

– Wśród tych, które nie używały pigułki wczesnoporonnej, aż połowa wierzy, że rząd próbuje narzucić narodowi, może światu, hurtową aborcję – powiedziała Nilson. – Ktokolwiek wymyślił nazwę „Herod”, naprawdę dużo schrzanił.

– Augustine ją wybrał – wyjaśniła Cross.

– Marge, nadciąga wielka katastrofa społeczna: niewiedza zmieszana z seksem i martwymi niemowlętami. Skoro wielka liczba kobiet z SHEVA powstrzymuje się od seksu ze swymi partnerami i mimo to zachodzi w ciążę, to zdaniem naszych socjologów dojdzie do nasilenia przemocy domowej, jak też wielkiego wzrostu liczby przerwanych ciąż, w tym także zwykłych.

– Są inne możliwości – powiedziała Kaye. – Widziałam ich skutki.

– Mów – zachęciła Cross.

– Wypadki na Kaukazie w latach dziewięćdziesiątych. Masakry.

– Z nimi też się zapoznałam – powiedziała rzeczowo Nilson, przerzucając swe notatki. – Nawet teraz nie wiemy zbyt wiele. U miejscowej ludności występowała SHEVA...

– Sprawa jest znacznie bardziej złożona – przerwała jej Kaye załamującym się głosem – niż ktokolwiek z nas może sobie wyobrazić. Nie mamy do czynienia z charakterystyką choroby. Chodzi o przekazywanie poziome instrukcji genetycznych prowadzących do fazy przejściowej.

– Znowu? Nie rozumiem – powiedziała Nilson.

– SHEVA nie jest czynnikiem chorobotwórczym.

– Bzdura – rzucił zdumiony Jackson.

Marge kiwnęła mu ostrzegawczo ręką.

– Ciągle odgradzamy się murami od tego tematu. Dłużej już nie wytrzymam, Marge. Zespół Specjalny od samego początku odrzucał tę

możliwość.

– Nie wiem, co jest odrzucane – powiedziała Cross. – Kaye, zreferuj pokrótce.

– Widzimy wirusa, choćby pochodzącego z naszego własnego genomu, i przyjmujemy, że wywołuje chorobę. Patrzymy na wszystko pod tym kątem.

– Kaye, nie spotkałem się nigdy z wirusem, który nie wywoływałby kłopotów – powiedział Jackson, patrząc spod ciężkich powiek. Jeśli próbował ją ostrzec, że stąpa po cienkim lodzie, to tym razem nadaremnie.

– Mamy przed oczyma prawdę, ale nie pasuje ona do naszych prymitywnych poglądów na sposoby, w jakie działa przyroda.

– Prymitywnych? – Spytał Jackson. – Powiedz to o ospie wietrznej.

– Gdyby spotkało nas to za trzydzieści lat – ciągnęła uparcie Kaye – może bylibyśmy przygotowani, ale teraz postępujemy jak nierozumne dzieci. Dzieci, które nigdy nie poznały prawdy o życiu.

– Co przegapiliśmy? – Pytała cierpliwie Cross.

Jackson bębnił palcami po stole.

– Już to omawialiśmy.

– Co? – Powtórzyła Cross.

– Nigdy na poważnie – odparła Kaye Jacksonowi.

– Co, jeśli łaska?

– Kaye chce nam powiedzieć, że SHEVA jest częścią przetasowania biologicznego. Transpozony skaczą sobie i wpływają na fenotyp. Wrze teraz u stażystów, którzy czytali artykuły Kaye.

– Co to znaczy?

– Pozwolę sobie na przewidywania – skrzywił się Jackson. – Jeśli dopuścimy na narodzin nowych dzieci, wszystkie będą wielkogłowymi nadludźmi. Cudownymi istotami o włosach blond, wysyłających promienie oczach i zdolnościach telepatycznych. Zabiją

nas wszystkich i przejmą Ziemię.

Oszołomiona, bliska łez Kaye patrzyła na Jacksona. Uśmiechał się trochę przepraszająco, promieniejąc jednocześnie, bo uciął w zarodku wszelką dyskusję.

– To strata czasu – powiedział. – A nie mamy go wiele.

Nilson patrzyła na Kaye z niepewnym współczuciem. Marge podniosła głowę i wpatrywała się w sufit.

– Czy ktoś będzie łaskaw powiedzieć mi, w co wdepnęłam?

– W świeże gówno – szepnął Jackson pod nosem, poprawiając serwetkę.

Kelner przyniósł im jedzenie.

Nilson położyła dłoń na ręce Kaye.

– Wybacz nam, Kaye. Robert potrafi być bardzo przekonujący.

– Powstrzymuje mnie własna niepewność, a nie obronne grubiaństwo Roberta – powiedziała Kaye. – Marge, wpojono mi zasady współczesnej biologii. Zajmuję się ścisłym odczytywaniem danych. Oto mocne podwaliny współczesnej biologii, wzniesione starannie cegła po cegle... – Wyciągniętą ręką pokazała mur. – I oto nadciąga sztormowa fala zwana genetyką. Rysujemy plan hali fabrycznej żywej komórki. Odkrywamy, że przyroda jest nie tylko zaskakująca, ale i oszałamiająco nieortodoksyjna. Ma w nosie, co myślimy, jakie są nasze paradygmaty.

– Wszystko bardzo ładnie – stwierdził Jackson – ale nauka to organizacja naszej pracy i zapobieganie marnowaniu czasu.

– To dyskusja, Robercie – powiedziała Cross.

– Nie mogę przeproszać za coś, co w głębi duszy uważam za prawdę – upierała się Kaye. – Wolę stracić wszystko niż skłamać.

– Godne podziwu – powiedział Jackson. – „A jednak się kręci”, czyż nie tak, Kaye?

– Robercie, nie bądź dupkiem – rzuciła Nilson.

– Jestem przegłosowany, moje panie. – Jackson w złości odsunął krzesło. Położył serwetkę na talerzu, ale nie odchodził. Założył jedynie ręce i podniósł głowę, jakby zachęcając – lub wyzywając – Kaye, by mówiła dalej.

– Zachowujemy się jak dzieci, które nie wiedzą nawet, skąd biorą się dzieci – ciągnęła. – Jesteśmy świadkami odmiennego rodzaju ciąży. Nie jest nowy, zdarzał się już po wielekroć. To ewolucja, ale kierowana, krótkoterminowa, natychmiastowa, nieciągnąca, i nie mam pojęcia, jakie dzieci się narodzą. Nie będą jednak potworami i nie zjedzą swoich rodziców.

Jackson podniósł rękę jak uczeń w klasie.

– Jeśli pracuje nad nami ręka jakiegoś szybko działającego, mistrzowskiego rzemieślnika, jeśli naszą ewolucją kieruje teraz Bóg, to moim zdaniem pora wynająć jakiegoś kosmicznego prawnika. To najbardziej podstawowy błąd w sztuce. Dziecko C było jedną wielką fuszerką.

– Miało opryszczkę – powiedziała Kaye.

– Opryszcza tak nie działa – odparł Jackson. – Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– SHEVA wywołuje u płodów szczególną wrażliwość na zakażenia wirusowe. To błąd, błąd naturalny.

– Nie mamy na to żadnych dowodów. Dowody, pani Lang!

– CDC... – Zaczęła Kaye.

– Dziecko C było potworkiem Heroda drugiego stadium, z dodatkiem opryszcзки jako przystawką – powiedział Jackson.

– Naprawdę, drogie panie, mam dosyć. Wszyscy jesteśmy zmęczeni. Sam jestem wykończony. – Wstał, skłonił się szybko i wyszedł z jadalni.

Marge grzebała widelcem w sałatce.

– Wygląda mi to na problem pojęciowy. Zwołam zebranie.

– Wysłuchamy twoich dowodów, szczegółowo. Poproszę też Roberta o sprowadzenie swoich ekspertów.

– Nie sądzę, abym znalazła wielu takich, którzy otwarcie mnie wesprą – powiedziała Kaye. – Na pewno nie teraz. Sytuacja jest bardzo napięta.

– Sprawa jest bardzo ważna ze względu na odbiór społeczny – dodała Nilson z naciskiem.

– Dlaczego? – Spytała Cross.

– Jeśli jakaś grupa, sekta czy organizacja uzna, że Kaye ma rację, będziemy się musieli z tym zmierzyć.

Kaye poczuła się nagle całkowicie odkryta, odsłonięta ze wszystkich stron.

Cross nabiła na widelec pasek sera i oglądała go.

– Jeśli herod nie jest chorobą, nie wiem, co z tym pocniemy.

– Utkniemy między zjawiskiem naturalnym a pozbawionymi wiedzy i przerażonymi ludźmi. Polityka stanie się wówczas straszna, a interesy będą koszmarem.

Kaye zaschło w ustach. Nie miała żadnej odpowiedzi. Było tak rzeczywiście.

– Skoro nie ma żadnych ekspertów, którzy by cię wsparli – powiedziała Cross po namyśle, wkładając ser do ust – jak przedstawisz swą tezę?

– Przedłożę dowody, podam teorię – odparła Kaye.

– Sama? – Zapytała Cross.

– Pewnie zdołam kilku znaleźć.

– Ilu?

– Czterech lub pięciu.

Cross jadła przez chwilę.

– Jackson to dupek, ale jest bystry, jest uznanym specjalistą, setki pewnie podziela jego punkt widzenia.

– Tysiące – poprawiła Kaye, starając się, aby głos jej nie drżał. – Wszyscy oprócz mnie i kilku świrów.

Cross pogroziła Kaye palcem.

– Nie jesteś świrem, moja droga. Lauro, jedna z naszych spółek kilka lat temu opracowała pigułkę „dzień po”.

– W latach dziewięćdziesiątych.

– Dlaczego to zostawiliśmy?

– Przez politykę i odpowiedzialność.

– Mieliśmy już nazwę... Jak brzmiała?

– Jakiś dowcipniś nazwał ją RU-Pentium – odparła Nilson.

– Przypominam sobie, że na testach wypadła dobrze – powiedziała Marge. – Pewnie ciągle mamy wzory chemiczne i próbki.

– Poszperam po południu – obiecała Nilson. – Możemy wrócić do pigułki i zacząć jej produkcję za kilka miesięcy.

Kaye zaciskała fałdę obrusa leżącą na jej kolanach. Kiedyś opowiadała się z pasją za prawem kobiet do wyboru. Teraz nie mogła sobie poradzić ze sprzecznymi odczuciami.

– W pracy Roberta brakuje refleksji – powiedziała Cross – ale jest więcej niż pięćdziesiąt procent szans, że testy szczepionki zakończą się fiaskiem. I moje panie, stwierdzenie to musi zostać w tym pomieszczeniu.

– Modele komputerowe ciągle przewidują stwardnienie rozsiane jako uboczny skutek działania rybozymu – stwierdziła Kaye.

– Czy jako alternatywę Americol zaleca aborcję?

– Nie jako jedyne wyjście – odparła Cross. – Zasadą ewolucji jest dobór naturalny. Teraz zaś stoimy na środku pola minowego i chcę wiedzieć o wszystkim, co może pomóc nam z niego się wydostać.

Dicken odebrał rozmowę w pokoju ze sprzętem obok głównego laboratorium odbioru zwłok i przeprowadzania ich sekcji. Zdjął lateksowe rękawiczki, zaś młody technik komputerowy trzymał

telefon. Technik był tutaj, aby podłączyć odpowiednio starą, krnąbrną stację roboczą służącą do przechowywania wyników sekcji zwłok i śledzenia okazów w pozostałych laboratoriach. Na Dickena, w zielonym stroju lekarskim i w masce chirurgicznej, patrzył z pewnym niepokojem.

– Niczego pan nie złapie – powiedział mu Dicken, odbierając słuchawkę. – Tu Dicken. Jestem urobiony po łokcie.

– Christopher, tu Kaye.

– Cze-e-ść, Kaye. – Nie chciał jej sflawiać; Kaye miała ponury głos, ale bez względu na jego brzmienie, słuchanie jej było zawsze dla Dickena wielką przyjemnością.

– Dokumentnie schrzaniłam sprawę – powiedziała.

– Jak to? – Dicken machnął ręką do Scarry’ego, który został w laboratorium patologicznym i wykonywał niecierpliwe gesty.

– Miałam starcie z Robertem Jacksonem... W obecności Marge.

– Nie mogłam dłużej wytrzymać. Powiedziałam im, co myślę.

– Och. – Dicken wykrzywił twarz. – Jak zareagowali?

– Jackson mnie wyśmiał. Tak naprawdę potraktował z pogardą.

– Arogancki drań. Zawsze tak uważałem.

– Powiedział, że potrzebujemy dowodów na opryszczkę, Właśnie ich szukam ze Scarrym. W laboratorium patologicznym mamy ofiarę wypadku drogowego. prostytutka z Waszyngtonu, ciężarna. Pozytywny wynik badań na Herpes labialis, żółtaczkę typu A, HIV oraz SHEVE. Ciężkie życie.

Młody technik ponuro złożył narzędzia i wyszedł z pokoju.

– Marge zamierza ścigać się z Francuzami i ich pigułkę „dzień po”.

– Cholera – rzucił Dicken.

– Musimy działać szybko.

– Nie wiem, jak szybko zdołamy. Martwe młode kobiety z właściwym zestawem kłopotów nie spadają nam codziennie z nieba.

– Nie sędę, aby jakiegolwiek dowody zdołały przekonać Jacksona. Tracę już zmysły, Christopherze.

– Mam nadzieję, że Jackson nie pójdzie do Augustine'a. Jeszcze nie jesteśmy gotowi, a Mark i tak jest na mnie cięty – powiedział Dicken.

– Kaye, Scarry'ego już nosi po laboratorium. Muszę iść. Głowa do góry. Zadzwoń.

– Czy Mitch odezwał się do ciebie?

– Nie – skłamał Dicken. – Zadzwoń później do mojego pokoju. Kaye, dla ciebie jestem tu zawsze. Będę cię wspierał na wszelkie możliwe sposoby. Daję słowo.

– Dziękuję, Christopherze.

Dicken odłożył słuchawkę na miejsce i stał chwilę, czując się głupio. Nigdy nie lubił takich emocji. Praca stała się dla niego wszystkim, bo wszystko inne, co ważne, było zbyt bolesne.

– Nie jesteśmy w tym najlepsi, co? – Zapytał siebie cicho.

Scarry pukał ze złością w szkło dzielące pokój od laboratorium.

Dicken nałożył maskę chirurgiczną i wciągnął nową parę rękawiczek.

Baltimore

15 kwietnia

Mitch z rękoma w kieszeniach stał w portierni apartamentowca. Rano bardzo starannie się ogolił, wpatrując w długie lustro wspólnej łazienki w YMCA, a w zeszłym tygodniu był u fryzjera, gdzie przystrzyżono mu i uczesano włosy – a raczej próbowano uczesać. Włożył nowe džinsy. Przekopał walizkę i wyciągnął czarną marynarkę. Od ponad roku nie ubierał się dla kogoś, ale teraz był tutaj, myśląc tylko o Kaye Lang.

Portier pozostawał niewzruszony na jego starania. Pochylał się nad ladą i przyglądał Mitchowi kątem oka. Zadzwoił telefon, a on podniósł słuchawkę.

– Proszę na górę – powiedział, wskazując ręką windę. – Dwudzieste piętro. 2011. Proszę się zgłosić u strażnika. Taki napuszony byczek.

Mitch podziękował i wszedł do windy. Podczas zamykania drzwi chwilę zastanawiał się w panice, co u diabła robi. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował w tym bałaganie, było zaangażowanie się uczuciowo. Gdy chodziło o kobiety, Mitch stawał się skryty jak tajny agent, niechętnie ujawniający zarówno dalekosiężne cele, jak i najbliższe plany. Ta skrytość przysparzała mu wiele zgryzot.

Zamknął oczy, odetchnął głęboko i postanowił z rezygnacją przyjąć najbliższe kilka godzin, niech się dzieje co chce.

Na dwudziestym piętrze wysiadł z windy i zobaczył Kaye, rozmawiającą z mężczyzną w szarym ubraniu, o krótkich, czarnych

włosach, grubo ciosanej twarzy i orlim nosie. Dostrzegł Mitcha, zanim ten go zauważył.

Kaye uśmiechnęła się.

– Wejdz. Teren jest czysty. To Karl Benson.

– Miło mi pana poznać – powiedział Mitch.

– Benson kiwnął głową, założył ręce i wycofał się, pozwalając Mitchowi przejść, ale węsząc przy tym jak pies gończy szukający tropu.

– Marge Cross co tydzień dostaje około trzydziestu pogrózek – wyjaśniła Kaye, wprowadzając Mitcha do mieszkania. – Mnie po incydencie w NIH trzykrotnie grożono śmiercią.

– Gra się zaostrza – powiedział Mitch.

– Byłam bardzo zajęta po zamieszeniu z RU-86.

Mitch uniósł gęste brwi.

– Pigułką wczesnoporonną?

– Christopher nic ci nie mówił?

– Chris nie odebrał żadnego mojego telefonu – odparł Mitch.

– O? – Dicken nie mówił jej całej prawdy. Kaye uznała to za ciekawe. – Może dlatego, że nazywasz go Chrisem.

– Do niego tak się nie zwracam – uśmiechnął się Mitch i zaraz spochmurniał. – Jak powiedziałem, jestem ignorantem.

– RU-486 przerywa wtórną ciążę SHEVY, jeśli jest zażyte we wczesnym stadium. – Czekala na jego reakcję. – Nie pochwalasz tego?

– W tych okolicznościach jest chyba złem. – Mitch zerkał na proste, eleganckie meble i grafiki.

Kaye zamknęła drzwi.

– W ogóle aborcja... Czy ta akurat?

– Ta. – Mitch wyczuwał jej napięcie, a przez chwilę miał wrażenie, że Kaye robi mu szybki egzamin.

– Americol zamierza rzucić na rynek własną pigułkę

wczesnoporonną. Jeśli to choroba, jesteśmy bliscy jej powstrzymania
– powiedziała Kaye.

Mitch podszedł do wielkiej szyby okna, wsunął ręce do kieszeni, obejrzał się przez ramię na Kaye.

– Pomagasz im w tym?

– Nie – odparła. – Mam nadzieję przekonać pewne grube ryby, aby zmieniły nasze priorytety. Nie sądzę, aby mi się udało, ale muszę spróbować. Cieszę się jednak, że tu jesteś. Może to znak, że karty zaczną mi iść lepiej. Co cię sprowadza do Baltimore?

Mitch wyciągnął ręce z kieszeni.

– Nie jestem zbyt pomyślnym omenem. Ledwo starczyło mi na podróż. Dostałem trochę pieniędzy od ojca. Od dawna jestem na zasiłku rodzicielskim.

– Jedziesz gdzieś jeszcze? – Zapytała Kaye.

– Przyjechałem tylko do Baltimore – odparł Mitch.

– Och. – Kaye stanęła dłuższy krok za nim. Widział jej odbicie w szybie, jasnobrązowy kostium, ale nie twarz.

– No, to nie do końca prawda. Jadę do Nowego Jorku, na SUNY Przyjaciół z Oregonu załatwił mi rozmowę kwalifikacyjną. Chciałbym uczyć, latem prowadzić badania w terenie. Może zacznę od nowa na drugim wybrzeżu.

– Studiowałam na SUNY. Obawiam się, że teraz nikogo tam nie znam. Nikogo wpływowego. Usiądź, proszę. – Wskazała kanapę i fotel.

– Wody? Soku?

– Poproszę wody.

Gdy poszła do kuchni, Mitch powąchał kwiaty na etażerce, róże, lilie i łyśczec; potem okrążył kanapę i usiadł na jej brzegu. Sprawiał wrażenie, że brak mu miejsca na długie nogi. Złożył ręce na kolanach.

– Nie mogę po prostu nawrzeszczyć i zrezygnować – powiedziała Kaye. – Winna to jestem ludziom, z którymi pracuję.

– Rozumiem. Co ze szczepionką?

– Przeprowadziliśmy większość badań przedklinicznych. Dokonaliśmy kilku przyspieszonych prób klinicznych w Wielkiej Brytanii i Japonii, ale niezbyt mi się podobają. Jackson – kieruje projektem szczepionki – chce mnie wywalić ze swego działu.

– Dlaczego?

– Bo trzy dni temu zabrałam głos w jadalni. Marge Cross nie może wykorzystać naszej teorii. Nie pasuje do paradygmatu. Nie da się obronić.

– Efekt quorum – stwierdził Mitch.

Kaye przyniosła mu szklankę wody.

– Co to takiego?

– Przypadkowe odkrycie przy czytaniu. Gdy bakterie osiągają dostateczną liczebność, zmieniają swe zachowanie, działają w sposób skoordynowany. Może tak samo jest z nami. Po prostu jest za mało naukowców, aby uzyskać efekt quorum.

– Może – powiedziała Kaye. Raz jeszcze stanęła jakiś krok za nim. – Przeważnie pracuję w laboratoriach Americolu zajmujących się HERV-ami i genomem. Badam, gdzie może dochodzić do ekspresji innych niż SHEVA wirusów endogennych i w jakich warunkach. Jestem trochę zdziwiona, że Christopher...

Mitch spojrzał na nią i przerwał.

– Przyjechałem do Baltimore, aby spotkać się z tobą.

– Och – rzuciła cicho Kaye.

– Nie mogę przestać myśleć o tamtym wieczorze w zoo.

– Teraz wydaje się nierealny – powiedziała.

– Nie dla mnie – odparł Mitch.

– Marge chyba wykreśliła mnie z harmonogramu konferencji prasowych. – Kaye uparcie próbowała zmienić temat rozmowy, albo sprawdzała, czy on pozwoli na taką zmianę. – Przestałam być

rzeczniczką. Minie trochę czasu, zanim odzyskam jej zaufanie. Szczerze mówiąc, cieszę się, że zesłam ludziom z oczu. Groziło, że będzie jak...

– W San Diego – przerwał jej. – Dość mocno zareagowałem na twoją obecność.

– To miłe – stwierdziła Kaye i odwróciła się do połowy, jakby chciała uciec. Nie uciekła, ale obeszła stół i stanęła przy nim z drugiej strony, zaledwie o krok od Mitcha.

– Feromony – powiedział i także podniósł swą wysoką postać.

– Zapach ludzi jest dla mnie ważny. Nie używasz perfum.

– Nigdy nie używałam.

– Nie musiałaś.

– Poczekaj – rzuciła Kaye i cofnęła się jeszcze jeden krok.

Uniosła ręce i patrzyła na niego uważnie, zaciskając usta. – Łatwo mnie teraz wytrącić z uwagi. Muszę być skupiona.

– Musisz się odprężyć – powiedział Mitch.

– Bycie przy tobie nie jest odprężające.

– Nie masz pewności, jeśli chodzi o niektóre rzeczy.

Na pewno nie mam pewności, jeśli chodzi o ciebie.

Wyciągnął rękę.

– Chcesz najpierw poznać zapach mojej dłoni?

Zaśmiała się.

Mitch powąchał dłoń.

– Mydło firmy Dial. Drzwiczki taksówki. Od lat nie wykopałem dołu. Odciski zaczynają mięknąć. Nie mam pracy, tkwię w długach, mam opinię szalonego i naruszającego etykę sukinsyna.

– Przestań być dla siebie taki surowy. Czytałam twoje prace i stare artykuły prasowe. Niczego nie tuszujesz i nie kłamiesz. Interesuje cię prawda.

– Pochlebiasz mi – powiedział Mitch.

– A ty macisz mi w głowie. Nie wiem, co o tobie myśleć. Mało przypominasz mojego męża.

– To dobrze? – Zapytał.

– Kaye spojrzała nań krytycznie.

– Na razie tak.

– Zwyczaj każe, aby rzeczy toczyły się powoli. Chciałbym zaprosić cię na kolację.

– Każdy płaci za siebie?

– Na mój koszt – odparł Mitch ostro.

– Karl musiałby pójść z nami. Musiałby sprawdzić restaurację. Zwykle jadam tutaj albo w bufecie Americolu.

– Czy Karl podsłuchuje?

– Nie – odparła.

– Portier powiedział, że z niego napuszony byczek – rzekł Mitch.

– Mimo to jestem pilnowana. Nie lubię tego, ale tak już jest. Zostańmy tutaj i zjedzmy. Później możemy wyjść do ogrodu na dachu, jeśli przestanie padać. Mam parę naprawdę dobrych mrożonych dań. Kupiłam je w sklepie w centrum handlowym na parterze razem z sałatką w woreczku. Jestem dobrą kucharką, gdy mam czas, ale niemal zawsze mi go brakuje. – Znowu wyszła do kuchni.

Mitch poszedł za nią, oglądając obrazy na ścianach, te małe w tanich ramach, będące prawdopodobnie jej wkładem w urządzenie mieszkania. Nieduże grafiki Maxfielda Parrisha, Edmunda Dulaca, Arthura Rackhama; zdjęcia rodzinne. Nie widział żadnych fotografii jej zmarłego męża. Może miała je w sypialni.

– Chciałbym kiedyś ugotować coś dla ciebie – powiedział.

– Całkiem nieźle radzę sobie w warunkach polowych. Wina? Do kolacji?

– Przyda mi się teraz – odparł. – Jestem bardzo zdenerwowany.

– Ja też. – Kaye wyciągnęła rękę, aby mu pokazać. Drżały.

– Czy działasz tak na wszystkie kobiety?

– Nigdy.

– Bzdura. Ładnie pachniesz – powiedziała.

Dzielił ich niecały krok. Mitch pokonał tę odległość, dotknął jej podbródka, podniósł go. Pocałował ją lekko. Kaye cofnęła się kilka cali, potem chwyciła jego brodę między kciuk i palec wskazujący, ściągnęła w dół, pocałowała z większą mocą.

– Chyba można sobie z tobą pożartować – powiedziała. Z Saulem nigdy nie miała pewności, jak zareaguje. Nauczyła się narzucać granice swemu postępowaniu.

– Proszę bardzo.

– Jesteś mocny – uznała. Dotykała spowodowane słońcem zmarszczki na jego twarzy, przedwczesne kurze łapki. Miał młodą twarz i bystre oczy, ale mądrą skórę, która wiele doświadczyła.

– Jestem szalony, ale mocno.

– Świat się toczy, nasze instynkty pozostają niezmiennie – powiedziała Kaye; jej wzrok stracił ostrość. – Nie panujemy nad nimi.

– Pewnej jej części, która od bardzo dawna się nie odzywała, podobała się jego twarz.

Mitch dotknął jej czołem.

– Słyszysz to? Głęboko w sobie?

– Chyba tak – odparła. Postanowiła zarzucić wędkę. – Jak pachnę?

Mitch pochylił się nad jej włosami. Kaye wstrzymała oddech, gdy nosem dotknął ucha.

– Czysto i odżywczo, jak plaża w deszczu – powiedział.

– A ty jak lew – stwierdziła. Mitch musnął nosem jej usta, przyłożył ucho do skroni, jakby nasłuchiwał. – Co słyszysz? – Zapytała.

– Jesteś głodna – odparł Mitch i rozjaśnił się ogarniającym wszystkim, tysiącwatowym chłopięcym uśmiechem.

Było to w tak oczywisty sposób nieoczekiwane, że Kaye

w zadziwieniu dotknęła palcem jego ust, zanim z powrotem przywołał na twarz opiekuńczy, ujmujący, ale ostatecznie maskujący, niedbały uśmiech. Odsunęła się od niego.

– Racja. Jedzenie. Najpierw poproszę o wino. – Otworzyła lodówkę. Wręczyła mu butelkę semillon blanc.

Mitch wyjął z kieszeni spodni szwajcarski scyzoryk, wysunął korkociąg, zręcznie wydobyl korek.

– Na wykopaliskach piliśmy piwo, a wino po ich zakończeniu – powiedział, napełniając jej kieliszek.

– Jakie piwo?

– Coors. Budweiser. Każde niezbyt ciężkie.

– Wszyscy znani mi mężczyźni wolą piwo typu ale albo z minibrowaru.

– Nigdy w życiu – powiedział.

– Gdzie się zatrzymałeś? – Zapytała.

– W YMCA.

– Nigdy nie znałam nikogo, kto mieszkałby w YMCA.

– Nie jest tam tak źle.

Spróbowała wina, zwilżyła wargi, przysunęła się bliżej, wspięła na palce, pocałowała go. Smakował wino z jej języka, jeszcze trochę schłodzone.

– Zostań tutaj – powiedziała.

– Co pomyśli napuszony byczek?

Kaye pokręciła głową, pocałowała ponownie, a on otoczył ją ramionami, nadal trzymając kieliszek i butelkę. Odrobina wina splamiła jej sukienkę. Obrócił ją i odstawił kieliszek, a potem butelkę.

– Nie wiem, kiedy przestać – powiedziała Kaye.

– Ani ja – odparł. – Wiem jednak, jak należy uważać.

– Takie czasy – stwierdziła Kaye z żalem i wyciągnęła mu koszulę ze spodni.

Nie była najpiękniejszą kobietą, jaką Mitch widział nago, ani najbardziej żywiotową w łóżku. Taka była Tilde, która choć się dystansowała, działała ogromnie podniecająco. U Kaye najbardziej go uderzyło, że podobało mu się w niej absolutnie wszystko, od małych i trochę obwisłych piersi, wąskiej klatki piersiowej, szerokich bioder, bujnego puszku łonowego, długich nóg – lepszych niż u Tilde, pomyślał – po poważny i baczny wzrok, gdy się z nią kochał. Jej zapach wypełniał mu nos, wypełniał mózg, aż Mitch poczuł, że unosi się na ciepłym i podtrzymującym oceanie niezbędnej rozkoszy. Przez prezerwatywę czuł bardzo niewiele, ale odwzajemniały to wszystkie pozostałe zmysły, zaś dotyk jej piersi, twardych jak pestki wiśni sutków, wyniósł go ponad i poza falę. Nadal poruszał się w niej, instynktownie wzmacniając ostatki swego przypiływu, aż spojrzała z wielkim zdumieniem, wierzgnęła pod nim, zacisnęła powieki i zawołała: – O Boże, rznij, rznij!

Do tej pory przeważnie milczała, więc popatrzył na nią zdziwiony. Odwróciła twarz i przytuliła go mocno do siebie, pociągnęła w dół, owinęła nogami, otarła się mocno. Chciał się wycofać, zanim prezerwatywa popuści, ale Kaye poruszała się nadal, a on znów poczuł, że twardnieje, korzystał z tego, aż wydała urwany krzyk, tym razem z otwartymi oczami; twarz miała wykrzywioną, jakby w wielkiej potrzebie czy cierpieniu. Potem oblicze się wygładziło, ciało odprężyło i zamknęła oczy. Mitch wycofał się i sprawdził: prezerwatywa trzymała mocno. Zdjął ją i zręcznie związał, wyrzucił obok łóżka, aby później pozbyć się jej całkowicie.

– Nie mogę mówić – szepnęła Kaye.

Leżał obok niej, wchłaniając ich zmieszane zapachy. Nie pragnął niczego więcej. Po raz pierwszy od lat był szczęśliwy.

– Jak to było z neandertalczykami? – Spytała Kaye. Na dworze pogłębiał się zmierzch. Ciszę mieszkania zakłócały tylko odległe,

stłumione odgłosy ruchu ulicznego.

Mitch podniósł się na łokciu.

– Już o tym rozmawialiśmy.

Kaye leżała na plecach, naga od pasa w górę, z prześcieradłem podciągniętym do pępka, wsłuchując się w coś bardziej odległego niż ruch uliczny.

– W San Diego – powiedziała. – Pamiętam. O tym, że mieli maski. I o mężczyźnie, który został z nimi. Uważałeś, że musiał bardzo ją kochać.

– Zgadza się – potwierdził Mitch.

– Musiał być kimś rzadkim. Wyjątkowym. Kobieta na terenie NIH. Jej chłopak nie uwierzył, że to jego dziecko. – Słowa zaczęły z niej płynąć obficie. – Laura Nilson, kierownik działu kadr w Americolu, powiedziała nam, że mężczyźni przeważnie nie wierzą, iż to ich dzieci. Większość kobiet prędzej zdecyduje się na aborcję, niż podejmie takie ryzyko. To dlatego chcą zalecać pigułkę „dzień po”. Jeśli wystąpią problemy ze szczepionką, pozostanie ten sposób powstrzymywania epidemii.

Mitch wyglądał na niezadowolonego.

– Czy nie możemy na chwilę o tym zapomnieć?

– Nie – odparła. – Nie wytrzymam dłużej. Zamierzamy zabić wszystkich pierwotnych, jak faraon w Egipcie. Jeśli się uda, nigdy się nie dowiemy, jak będzie wyglądało następne pokolenie. Wymrze całkowicie. Czy chcesz, aby tak się stało?

– Nie – rzekł Mitch. – Nie oznacza to jednak, że nie jestem równie przerażony jak każdy inny facet. – Pokręcił głową. – Ciekaw jestem, jak bym postąpił na miejscu tamtego, wówczas, piętnaście tysięcy lat temu. Plemię musiało ich wyrzucić. A może uciekli. Może tylko szli sobie i wpadli na grupę pościgową, a kobieta została ranna.

– Wierzysz w to?

- Nie – odparł Mitch. – Naprawdę nie wiem. Nie jestem szurnięty.
- Psuję nastrój, tak?
- Mhm – wymruczał.
- Nasze życie nie należy do nas – powiedziała Kaye. Przesuwała palcami po jego sutkach, muskała sztywne włosy na piersiach.
- Na krótko możemy jednak wznieść mur. Zostajesz dzisiaj?
Mitch pocałował ją w czoło, potem nos, policzki.
- Warunki są znacznie lepsze niż w YMCA.
- Chodź tu – powiedziała Kaye.
- Nie mogę być bliżej.
- Spróbuj.

Kaye Lang leżała drżąca w ciemnościach. Była przekonana, że Mitch śpi, ale dla pewności lekko puknęła go w plecy. Otrząsnął się, ale nie odpowiedział. Dobrze się czuł. Dobrze mu było z nią.

Nigdy tak bardzo nie ryzykowała; od czasów pierwszych randek zawsze dbała o bezpieczeństwo i liczyła na oparcie, planując przytulną przystań, w której będzie mogła pracować i snuć myśli przy minimalnych wpływach świata zewnętrznego.

Wyjście za Saula było ostatecznym spełnieniem tych marzeń. Wiek, doświadczenie, pieniądze, przedsiębiorczość – tak myślała. Teraz wychylenie się tak bardzo w przeciwnym kierunku było aż nadto oczywistym odreagowaniem. Zastanawiała się, jak sobie z tym poradzić.

Kiedy obudzi się rano, po prostu powie Mitchowi, że to pomyłka...

Przerażał ją. Nie tym, że może ją skrzywdzić; był najłagodniejszy ze wszystkich ludzi i nie okazywał wcale, albo prawie wcale, wewnętrznej walki, która tak dręczyła Saula.

Mitch nie był tak przystojny jak Saul.

Z drugiej strony, był w pełni otwarty i szczery.

Mitch odszukał ją, ale była całkowicie pewna, że to ona jego

uwodziła. Na pewno niczego jej nie narzucał.

– Co ty, u licha, wyprawiasz? – Szepnęła w ciemnościach. Powiedziała to drugiej sobie, upartej Kaye, która tak rzadko wyjaśniała jej, co naprawdę się dzieje. Wstała z łóżka, nałożyła szlafrok, poszła do biurka w salonie i otworzyła środkową szufladę, gdzie trzymała wyciągi bankowe.

Miała sześćset tysięcy dolarów, jeśli dodać razem dochody ze sprzedaży domu i jej własny fundusz emerytalny. Gdyby zrezygnowała z Americolu i Zespołu Specjalnego, mogłaby przez lata wieść względnie wygodne życie.

Przez kilka minut podliczała na kartce notesika wydatki, budżet awaryjny, koszty żywności, comiesięczne świadczenia. Potem wyprostowała się na krześle.

– To głupie – powiedziała. – Co planuję? – Potem, zwracając się do owej upartej i skrytej siebie, dodała: – Co ty, do cholery, zamierzasz zrobić?

Rano nie powie Mitchowi, aby sobie poszedł. Poczwała się lepiej. Przy nim uspokajały się jej myśli, obawy i zmartwienia mniej przytłaczały. Wyglądał na takiego, który wie, co robi, i może rzeczywiście wiedział. Może to świat był stuknięty, zastawiał pułapki i wnyki, zmuszał ludzi do dokonywania złych wyborów.

Stuknęła piórem w papier, wyrwała z bloku następną kartkę. Palce prowadziły pióro niemal bez świadomej myśli, kreśląc szereg otwartych ramek odczytu na chromosomach 18 i 20, które mogły mieć związek z genami SHEVY, pierwotnie rozpoznawanych jako możliwe HERV-y, ale jak się ostatecznie okazało, nie mających cech fragmentów retrowirusa. Musiała przyjrzeć się tym miejscom, rozproszonym fragmentom, aby sprawdzić, czy pasują do siebie i mogą ulegać ekspresji; odkładała to od jakiegoś czasu. Jutro będzie właściwym momentem.

Zanim się za coś zabierze, potrzebuje argumentów, dowodów, które ją obronią.

Wróciła do sypialni. Mitch wyglądał na śpiącego. Zafascynowana położyła się przy nim cicho.

Ze szczytu pokrytego śniegiem wzniesienia mężczyzna zobaczył szamanów i ich pomocników, idących za nim i jego kobietą. Nie mogli uniknąć pozostawiania śladów na śniegu, ale nawet na leżących niżej halach, w lasach, tropili ich znakomici myśliwi.

Mężczyzna swą kobietę, ciężką i powolną przez dziecko, zabrał na tę wysokość w nadziei, że przejdą do innej doliny, którą odwiedzał w dzieciństwie.

Obejrzał się na figurki odległe o kilkaset kroków. Potem popatrzył na granie i szczyty przed nim, wyglądające jak mnóstwo przewróconych krzemieni. Zabłądził. Zapomniał drogę w dolinę.

Kobieta mało teraz mówiła. Twarz, na którą patrzył kiedyś z takim oddaniem, ukrywała maska.

Mężczyzna był pełen goryczy. Ta wysokość, mokry śnieg przesiąkający przez cienkie buty wypchane trawą. Wiatr kąsał mu skórę, nawet przez futro obrócone włosiem do środka, wysysał mu siły, zatykał oddech.

Kobieta się wlokła. Wiedział, że mógłby uciec, gdyby ją zostawił. Na myśl o tym jego gniew się nasilił. Nienawidził śniegu, szamanów, gór; nienawidził siebie. Nie mógł się zmusić do nienawidzenia kobiety. Przecierpiała krew na udach, stratę, ukrywała to przed nim, aby nie przynieść wstydu; pomazała swą twarz błotem, aby ukrywać znaki, a potem, gdy stało się to niemożliwe, próbowała go uratować, składając siebie w ofierze Wielkiej Matce, wyrzeźbionej na trawiastym stoku doliny. Wielka Matka nie przyjęła jej jednak i kobieta wróciła do niego, jęcząc i stękając. Nie mogła siebie zabić.

Znaki pokazały się i na jego twarzy. Zdumiewało go to i gniewało.

Szamani i siostry Wielkiej Matki, Matki Kozy, Matki Trawy, Matki Śniegu, Leoparda Ryczącego Zabójcy, Wrzodu Cichego Zabójcy, Deszczu Łkającego Ojca, podczas ochłodzenia zebrali się razem i podjęli decyzję. Zajęło im to kilka bolesnych tygodni, podczas których inni – ci ze znakami – pozostawali w swych chatach.

Mężczyzna postanowił biec. Nie mógł się przełamać, by zaufać szamanom i siostram.

Gdy uciekali, usłyszeli krzyki. Szamani i siostry zaczęli zabijać matki i ojców ze znakami.

Wszyscy wiedzą, że płaskolice są rodzeni przez ludzi. Kobiety mogą się ukrywać, ich mężczyźni mogą się ukrywać, ale wszyscy wiedzą. Rodzący płaskolice dzieci mogą tylko pogarszać sprawy.

Jedynie siostry bogów i bogiń rodzą prawdziwe dzieci, nigdy nie rodzą płaskolice, gdyż szkolą młodych mężczyzn plemienia. Mają wielu mężczyzn.

Powinien był pozwolić szamanom zabrać żonę na siostrę, aby i ona szkolila chłopców, ale chciała tylko jego.

Mężczyzna nie znosił gór, śniegu, biegania. Brnął dalej, mocno chwycił ramię kobiety, popychał ją za skatę, gdzie mogli znaleźć jakąś kryjówkę. Nie przyglądał się bliżej. Zbyt przepęłniała go nowa prawda, że matki i ojcowie nieba są albo ślepi, albo tylko kłamią, podobnie jak otaczający ich świat duchów.

Był sam, jego żona była sama, bez plemienia, bez ludzi, pomocników. Nawet Długowłosi i Mokroocy, najbardziej przerażający z martwych gości, najbardziej szkodliwi, nie dbali już o nich. Zaczynał myśleć, że żaden z tych martwych gości nie jest prawdziwy.

Zaskoczyli go trzej mężczyźni. Dostrzegł ich dopiero wówczas, gdy wyszli ze szczeliny górskiej i rzucili kijami w kobietę. Znał ich, ale już nie należał do nich. Jeden był bratem, drugi Wilkiem Ojcem. Teraz nie byli nimi i dziwił się, jak w ogóle ich rozpoznał.

Zanim zdążyli uciec, jeden rzucił opalony i zaostrzony kij, który wbił się w pełny brzuch kobiety. Okręciła się, sięgnęła na oślepie pod skóry, krzycząc, a on rzucał w nich kamieniami, wyrwał jednemu kij i pchnął nim po omacku, trafił któregoś w oko, pognał ich skamlących i piszczących jak szczeniaki.

Wrzeszczał w niebo, podtrzymując swą kobietę, gdy ta próbowała złapać oddech, potem niósł ją i włókł wyżej. Kobieta powiedziała mu rękoma i oczyma, że pomimo krwi, pomimo bólu, przyszedł jej czas. Nowy chce przyjść na świat.

Rozglądał się wyżej za miejscem, w którym mogliby się ukryć i patrzeć, jak przychodzi nowy. Było tyle krwi, więcej, niż widział kiedykolwiek, jeśli nie liczyć zwierząt. Idąc i niosąc kobietę, oglądał się przez ramię. Szamani i inni już za nimi nie podążali.

Mitch wołał, miotając się w pościeli. Wysunął nogi z łóżka i zmiął rękoma prześcieradła, zaskoczony zasłonami i meblami.

Przez chwilę nie wiedział, kim ani gdzie jest.

Kaye usiadła obok i objęła go.

– Sen? – Spytała, masując mu ramiona.

– No – powiedział. – Mój Boże. Żadnych przywidzeń. Żadnych podróży w czasie. Nie niósł drow na opał. A w jaskini było ognisko. Nie pasują także maski. Ale odczucia były rzeczywiste.

Kaye położyła go na łóżku i głaskała mu mokre włosy, dotykała zarostu na policzku. Mitch przeproszał, że ją obudził.

– Już nie spałam – odparła.

– Paskudny sposób na wywarcie na tobie wrażenia – szepnął Mitch.

– Nie musisz wywierać na mnie wrażenia – powiedziała Kaye.

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie. – To tylko sen.

Richmond, stan Wirginia

Dicken otworzył drzwiczki i wysiadł z dodge'a. Doktor Denise Lipton wręczyła mu plakietkę. Oślonił oczy przed silnym słońcem i spojrzał na małą tablicę na gołym, betonowym murze kliniki: Virginia Chatham Women's health and family center. Jakaś twarz zerknęła na nich przez szklaną szybę z drobną siatką drucianą, osadzoną w ciężkich, pomalowanych na niebiesko metalowych drzwiach. Włączył się domofon, Lipton podała swoje nazwisko i powiedziała, z kim jest umówiona. Drzwi się otworzyły. Doktor Henrietta Paskow stała na szeroko rozstawionych grubych nogach. Zastaniająca łydki szara spódnica i biała bluzka podkreślały silną, tęgą pospolitość, przez którą wyglądała na starszą, niż była w istocie.

– Dziękuję, że przyjechałaś, Denise. Byliśmy bardzo zajęci.

Żółto-białym korytarzem, mijając osiem poczekalni, poszli za nią do małego gabinetu w głębi. Za prostym, drewnianym biurkiem wisiły oprawione w brąz portrety licznej, wielodzietnej rodziny.

Lipton usiadła na składanym metalowym krześle. Dicken wolał stać. Paskow pchnęła w ich stronę dwa pudełka z teczkami.

– Mamy trzydzieści po dziecku C – powiedziała. – Trzydzieście D i C, siedemnaście „dzień po”. Pigułki działają pięć tygodni po odrzuceniu płodu pierwszego stadium.

Dicken przeglądał opisy przypadków. Były rzeczowe, zwięzłe, z notatkami lekarza i pielęgniarki.

– Nie było poważnych komplikacji – ciągnęła Pasków. – Tkanka blaszkowa chroni przed płukaniem słoną wodą. Pod koniec piątego tygodnia tkanka jednak się rozpuszcza i ciąża staje się wrażliwa.

– Ile jest dotąd zamówień? – Zapytała Lipton.

– Mieliśmy sześćset wizyt. Niemal wszystkie kobiety miały po dwadzieścia, trzydzieści kilka lat i mieszkały z mężczyzną, mężem lub kimś takim. Połowę odesłaliśmy do innych klinik. To znaczący wzrost.

Dicken odkładał teczki na biurko okładkami w dół.

Paskow przyglądała mu się bacznie.

– Nie podoba się to panu, doktorze Dicken?

– Nie chodzi o to, czy mi się podoba, czy nie podoba – odparł. – Doktor Lipton i ja prowadzimy badania terenowe, sprawdzając, czy liczby odpowiadają rzeczywistości.

– Herod zdziesiątkuje całe pokolenie – powiedziała Paskow.

– U jednej trzeciej przychodzących do nas kobiet testy nie wykazały wcale SHEVY. Nie miały poronień. Chcą jedynie usunąć ciążę, odczekać kilka lat i zobaczyć, co będzie. Jesteśmy prowincjonalnym urzędem zajmującym się kontrolą urodzeń. Nasze sale są pełne. Na górze kładziemy kobiety po trzy, cztery w sali. Przychodzi coraz więcej mężczyzn z żonami i dziewczynami.

– Może to jedyna dobra strona tego wszystkiego. Mężczyźni czują się winni.

– Nie ma powodów, aby przerywać każdą ciążę – stwierdziła Lipton. – Testy na SHEVE są bardzo dokładne.

– Tłumaczymy to im. Nie słuchają – powiedziała Paskow.

– Są przestraszeni i nie wierzą, że wiemy, co się stanie. Tymczasem w każdy wtorek i czwartek mamy na zewnątrz od dziesięciu do piętnastu pikiet Operacji Ratunek, wrzeszczących, że herod to świecki mit humanistyczny, że to żadna choroba. Śliczne dzieciątka są niepotrzebnie zabijane. Twierdzą, że działa światowy spisek.

– Piszczą i są przerażeni. To tysiąclecie jest jeszcze bardzo młode.

Paskow skopiowała kluczowe dane statystyczne. Wręczyła papiery Lipton.

– Dziękuję, że poświęciła nam pani czas – powiedział Dicken.

– Panie Dicken! – Zawołała za nimi Paskow. – Szczepionka oszczędziłaby wszystkim mnóstwa rozpaczy.

Lipton dołączyła do Dickena przy samochodzie. Czarna trzydziestoletnia kobieta minęła ich i stanęła przed niebieskimi drzwiami. Otulała się długim, wełnianym płaszczem, choć dzień był ciepły. Była w co najmniej szóstym miesiącu ciąży.

– Mam dość, jak na jeden dzień – powiedziała pobladła Lipton. – Wracam na kampus.

– Muszę wziąć próbki – odparł Dicken.

Lipton położyła rękę na drzwiach.

– Trzeba powiedzieć kobietom w naszej klinice. Żadna z nich nie ma choroby wenerycznej, ale wszystkie przeszły ospę wietrzną, a jedna choruje na żółtaczkę typu B.

– Nie wiemy, czy ospa wietrzna powoduje kłopoty – powiedział Dicken.

– To wirus opryszczki. Twoje wyniki laboratoryjne, Christopherze, są przerażające.

– Są niepełne. Do diabła, niemal każdy przeszedł ospę wietrzną czy mononukleozę lub miał na wardze wrzód opryszczki. Jak dotąd pewność mamy jedynie w odniesieniu do opryszczki narządów płciowych, żółtaczki i być może AIDS.

– Mimo to muszę im powiedzieć – stwierdziła i zamknęła mu drzwiczki ze zdecydowanym trzaskiem. – To kwestia etyki, Christopherze.

– No – potwierdził Dicken. Zwolnił hamulec ręczny i uruchomił silnik. Lipton poszła do swego samochodu. Po kilku sekundach Dicken

wykrzywił twarz, znowu wyłączył silnik i siedział z ręką wystawioną przez okno, próbując rozważyć, jak najlepiej może spędzić następne trzy tygodnie.

Wyniki badań w laboratoriach wcale nie były dobre. Analizy próbek tkanek płodów i łożysk przysłanych z Francji i Japonii wykazywały wrażliwość na wszelkiego rodzaju zakażenia wirusem opryszczki. Spośród poznanych dotąd stu dziesięciu ciąż drugiego stadium ani jedna nie dotrwała do narodzin.

Pora się zastanowić. Polityka zdrowotna jest w stanie krytycznym. Trzeba podjąć decyzje i wydać zalecenia, a politycy muszą reagować na te zalecenia w sposoby dające się wyjaśnić wyraźnie podzielonemu elektoratowi.

Być może nie zdoła uratować prawdy. Zresztą prawda wydawała się teraz niezmiernie odległa. Czy można skutecznie odsuwać na bok coś tak niezmiernie ważnego jak wielka zmiana ewolucyjna?

Na siedzenie obok kierowcy wysypał stos poczty ze swego biura w Atlancie. Nie zdążył jej przeczytać w samolocie. Wyciągnął jedną kopertę i zaklął pod nosem. Czemu nie zauważył jej od razu? Znaczek pocztowy i ręczne pismo mówiły wyraźnie: dr Leonid Sugaszwili z Tbilisi w Gruzji.

Rozerwał kopertę. Na kolano wypadło mu czarno-białe, nieduże zdjęcie na błyszczącym papierze. Wziął je i obejrzał: postacie stojące przed rozpadającym się starym, drewnianym domem, dwie kobiety w sukienkach, mężczyzna w kombinezonie. Wyglądali na szczupłych, może nawet chudych, ale nie mógł mieć pewności. Twarze były niewyraźne.

Dicken wyjął towarzyszący zdjęciu złożony list.

Drogi pan doktor Christopher Dicken.

Przysyłam to zdjęcie z Republiki Autonomicznej Atzharis, pan pewnie nazywa ją Adżaria. Wykonano je w Batumi dziesięć lat temu.

Ludzie ci przypuszczalnie ocaleli z czystek, którymi tak bardzo pan się interesował. Mało widać na tym zdjęciu. Niektórzy mówią, że nadal żyją. Niektórzy mówią, że naprawdę są z UFO, ale nie wierzę tym ludziom.

Poszukam ich i powiadomię pana, gdy nadejdzie pora. Bardzo brakuje finansów. Wdzięczny byłbym za pomoc finansową pańskiej organizacji, NCID. Dziękuję panu za zainteresowanie. Czuję, to wcale nie „Wstrętni ludzie śniegu”, ale prawdziwi! Nie powiadomiłem CDC w Tbilisi. Powiedziano mi, że tylko panu mogę zaufać.

Pozdrawiam,

Leonid Sugaszwili

Dicken znowu obejrzał zdjęcie. Żaden dowód. Czysta chimera.

Śmierć jedzie na bladym koniu, kosząc dzieci na prawo i na lewo, pomyślał. A jestem w drużynie ze świrami i zachłannymi na forszę dziwakami.

Baltimore

Kiedy Kaye brała prysznic, Mitch zadzwonił do swego mieszkania w Seattle. Wystukał kod i odsłuchał pocztę głosową. Dwa razy nagrał się ojciec, raz jakiś mężczyzna, który się nie przedstawił, a potem Oliver Merton z Londynu. Mitch zapisywał numer, gdy Kaye wyszła z łazienki, luźno owinięta ręcznikiem. – Lubisz mnie kusić – powiedział. Osuszała krótkie włosy drugim ręcznikiem, patrząc na niego denerwująco szacującymi, wytrwałymi oczyma.

– Kto dzwonił?

– Odsłuchiwałem moją pocztę głosową.

– Dawne dziewczyny?

– Mój ojciec, ktoś nieznajomy – mężczyzna – i Oliver Merton.

Kaye uniosła brwi.

– Bardziej by mnie ucieszyła dawna dziewczyna.

– Mhm. Zapytał, czy mógłbym przyjechać do Beresford w stanie Nowy Jork. Mam razem z nim odwiedzić kogoś ciekawego.

– Neandertalczyka?

– Powiedział, że może pokryć koszty podróży i hotelu.

– Brzmi wspaniale – stwierdziła Kaye.

– Nie powiedziałem, że pojedę. Nie mam zielonego pojęcia, co zamierza.

– Wie sporo o mojej pracy.

– Możesz pojechać ze mną. – Mina Mitcha zdradzała, że nie ma zbytnej nadziei na zgodę.

– Nie skończyłam tu jeszcze, daleko mi do tego – odparta. – Będę tęsknić, jeśli pojedziesz.

– Może zadzwonię do niego i zapytam, jaką niespodziankę trzyma w zanadrzu.

– No dobra – powiedziała Kaye. – Zrób to, a ja przygotuję nam dwie miski płatków zbożowych.

Połączenie zajęło kilka sekund. Niski trył angielskiego telefonu szybko przerwało zadyszane:

– Cholera jasna! Już późno i jestem zajęty. Kto tam?

– Mitch Rafelson.

– No tak. Przepraszam, coś narzucę. Nie lubię rozmawiać półnagi.

– Pó! – W słuchawce rozległ się dobiegający z tego samego pokoju oburzony kobiecy głos. – Powiedz im, że wkrótce będę twoją żoną, a ty jesteś kompletnie goły.

– Ciii. – Głośniej, zakrywając dłonią mikrofon, Merton zawołał do kobiety: – Weź rzeczy i idź do drugiego pokoju. – Zdjął rękę z telefonu i przysunął go bliżej ust. – Mitchell, musimy porozmawiać w cztery oczy.

– Dzwonię z Baltimore.

– Jak to daleko od Bethesdy?

– Kawalek.

– NIH złapało cię już w swoją sieć?

– Nie – odparł Mitch.

– Marge Cross? Och... Kaye Lang?

Mitch się skrzywił. Merton miał niesamowitą intuicję.

– Jestem prostym antropologiem, Oliverze.

– W porządku. Pokój już pusty. Mogę ci powiedzieć. Sytuacja w Innsbrucku mocno się zaogniła. Doszło do awantury i jeden z szefów chce z tobą porozmawiać.

– Kto?

– No, mówi, że od początku był ci przychylny; że zadzwonił do ciebie, aby powiedzieć, co znaleźli w jaskini.

Mitch przypomniał sobie nagranie poczty głosowej.

– Nie podał nazwiska.

– I nie poda. Ale jest wysoko, to ktoś ważny, i chce porozmawiać. Chciałbym tam być.

– Wygląda mi to na sprawę polityczną – powiedział Mitch.

– Jestem przekonany, że zamierza zdradzić to i owo i zobaczyć, jakie będą tego reperkusje. Chce spotkania w Nowym Jorku, a nie w Innsbrucku czy Wiedniu. W domu znajomego w Beresford. Czy znasz tam kogoś?

– Nie przypominam sobie – odparł Mitch.

– Jeszcze mi nie powiedział, co myśli, ale... Mogę połączyć kilka faktów i uzyskać całkiem przejrzysty obraz.

– Zastanowię się i zadzwonię za kilka minut.

Merton wydawał się niezadowolony nawet z tak krótkiej zwłoki.

– Tylko kilka minut – zapewnił go Mitch. Odwiesił słuchawkę. Kaye wyłoniła się z kuchni z tacą, na której stały dwie miseczki płatków zbożowych i dzbanek mleka. Nałożyła czarny szlafrok do łydek, związany czerwonym sznurem. Szlafrok odsłaniał jej nogi, a kiedy się pochylała, doskonale pokazywał biust. – Rice Chex czy Raisin Bran?

– Poproszę Chex.

– I jak?

Mitch się uśmiechnął.

– Śniadania z tobą mogę jadać przez tysiąc lat.

Kaye wyglądała jednocześnie na zmieszaną i zadowoloną. Położyła tacę na stoliku i wygładziła szlafrok na biodrach, pruderyjnie i trochę niezgrabnie; to zażenowanie bardzo spodobało się Mitchowi.

– Wiesz, co chcę usłyszeć – powiedziała.

Mitch łagodnie pociągnął ją na kanapę obok siebie.

– Merton powiedział, że w Innsbrucku są spory, podziały. Ważny członek zespołu chce ze mną porozmawiać. Merton zamierza napisać artykuł o mumiach.

– Interesuje się tym samym co my – stwierdziła Kaye z namysłem.
– Uważa, że dzieje się coś ważnego. I śledzi to ze wszystkich stron, ode mnie do Innsbrucku.

– Nie wątpię – potwierdził Mitch.

– Jest inteligentny?

– Raczej. Może bardzo inteligentny. Nie wiem; spędziłem z nim tylko kilka godzin.

– No to powinienes pojechać. Trzeba sprawdzić, co wie. Ponadto to bliżej Albany.

– Rzeczywiście. Normalnie spakowałbym torbę i wskoczył do pociągu.

Kaye naląła sobie mleka.

– Ale?

– To nie przelotna miłostka. Chciałbym spędzić z tobą następne kilka tygodni, bez żadnych przerw. Nigdy cię nie opuszczać.

Mitch wyciągnął szyję, masował ją. Kaye pomagała mu w tym.

– Mówię, jakbym oddał się całkowicie w twe łapki.

– Chcę, żebyś się oddał. Jestem bardzo zaborcza i opiekuńcza.

– Mogę zadzwonić do Mertona i odmówić.

– Ale nie odmówisz. – Pocałowała go czule i ugryzła lekko w wargę.

– Na pewno usłyszysz zdumiewającą historię. Dużo rozmyślałam w nocy i mam teraz mnóstwo roboty, na której muszę się skupić. Kiedy skończę, może też będę miała zdumiewającą historię dla ciebie, Mitch.

Waszyngton, Dystrykt Kolumbia

Augustine biegał zwawo w parku przy Kapitolu, po zakurzonej ścieżce do joggingu, pod drzewami wiśni, które zrzucały resztki kwiatów. Agent w granatowym garniturze podążał za nim równymi susami, co chwile się odwracając, aby sprawdzić, co się dzieje za ich plecami. Dicken stał z rękoma w kieszeniach kurtki, czekając, aż Augustine się zbliży. Godzinę wcześniej przyjechał z Bethesdy, przedzierając się przez ruch w porze szczytu. Ta bzdurna konspiracja złościła go coraz bardziej, był bliski furii. Augustine zatrzymał się przy nim i truchtał w miejscu, rozciągając ramiona.

– Dzień dobry, Christopherze – powiedział. – Powinieneś częściej biegać.

– Lubię tyć – odparł Dicken, czerwieniąc się przy tym.

– Nikt nie lubi tyć.

– No to w takim razie nie jestem otyły – stwierdził Dicken.

– Kim jesteście dzisiaj, Mark, tajniakami? Szpiclami? – Zastanawiał się, dlaczego dotąd jemu nie przydzielono agenta. Uznał, że nie stał się jeszcze postacią powszechnie znaną.

– Cholernymi specjalistami od oceny szkód – odparł Augustine. – Niejaki Mitchell Rafelson spędził noc z drogą panią Kaye Lang w jej ślicznym mieszkanku w Baltimore.

Serce Dickena zamarło.

– Spacerowałeś sobie z nimi po zoo w San Diego. Dałeś mu

identyfikator, aby wszedł na zamknięte przyjęcie Americolu. Było bardzo miło. Czy przedstawiłeś ich sobie, Christopherze?

– Można tak powiedzieć – odparł Dicken, zdumiony tym, jak paskudnie się czuje.

– To nie było mądre. Czy znasz jego przeszłość? – Zapytał znacząco Augustine. – Porywacza ciał z Alp? To szajbus, Christopherze.

– Myślałem, że może mieć coś ciekawego do powiedzenia.

– Jako wsparcie czyjego zdania w tym bajzlu?

– Zdania dającego się obronić – powiedział Dicken niechętnie, odwracając wzrok. Poranek był chłodny, przyjemny, na ścieżce biegało całkiem sporo ludzi, ćwiczących trochę na świeżym powietrzu, zanim się zaszyją w gabinetach rządowych.

– Cała sprawa śmierdzi. Wygląda, jakby ktoś chciał skierować cały projekt na zupełnie inne tory, a to mnie martwi.

– Mamy swoje zdanie, Mark. Całkiem uzasadnione zdanie.

– Marge Cross powiedziała, że chodzi o ewolucję – zauważył Augustine.

– Kaye szykuje wyjaśnienie, które obejmuje ewolucję – potwierdził Dicken. – Wszystko przewidziała w swoich artykułach, Mark, a Mitch Rafelson także prowadzi badania zmierzające w tym kierunku.

– Marge uważa, że po opublikowaniu tej teorii nastąpią poważne skutki uboczne. – Augustine przestał wywijać rękoma jak wiatrak i wykonywał ćwiczenia karku, chwytając ramiona przeciwną dłonią i mocno ciągnąc, a przy tym wzdychając, gdy odchyłał się w tył najdalej, jak tylko mógł. – Na razie nie ma powodu, aby posuwać się tak daleko. Przerwę to tu i teraz. Dziś rano dostaliśmy wstępną wiadomość z Paul-Ehrlich-Institut w Genewie, że znaleźli zmutowane formy SHEVY. Kilka. Choroby mutują, Christopherze. Będziemy musieli przerwać próby szczepionki i zacząć wszystko od początku. Nasze nadzieje naprawdę wyglądają teraz bardzo marnie. Moje

stanowisko może nie przetrwać tego wstrząsu.

Dicken patrzył, jak Augustine robi podskoki w miejscu, waląc stopami w ziemię. Po chwili przestał, aby złapać dech.

– Jutro na tych błoniach może demonstrować dwadzieścia lub trzydzieści tysięcy ludzi. Ktoś dopuścił do przecieku raportu Zespołu Specjalnego z wynikami dotyczącymi RU-486.

Dicken miał wrażenie, że coś się w nim skręca, poczuł drobne pęknięcie, rozczarowanie Kaye i jednocześnie całą pracę, jaką wykonywał. Zmarnował ten czas. Nie dostrzegął sensu w istnieniu posłańca, który mutuje, zmienia swe przesłanie. Żaden system biologiczny nigdy nie dał posłańcowi podobnej władzy.

Mylił się. Kaye Lang się myliła.

Agent wskazał na zegarek, ale Augustine wykrzywił twarz i pokręcił głową z troską.

– Powiedz mi o tym wszystko, Christopherze – polecił – a potem zdecyduję, czy mam pozwolić, abyś zachował swą cholerną pracę.

Baltimore

Kaye szła zdecydowanym krokiem ze swego budynku do siedziby Americolu, patrząc na gmach Bromo-Seltzer Tower – nazwany tak, gdyż kiedyś na jego wierzchołku znajdowała się olbrzymia niebieska butla tego lekarstwa łagodzącego działanie kwasów żołądkowych. Kaye nie mogła się otrząsnąć z myśli o Mitchu, ale, dziwna sprawa, wcale nie były dla niej zawadą. Rozumowała w sposób ścisły, znacznie wyraźniej dostrzegała, czego powinna szukać. Gra słońca i cieni bawiła ją, gdy szła alejką biegnącą między budynkami. Dzień był tak piękny, że mogła niemal zapomnieć o obecności Bensona. Jak zawsze towarzyszył jej na piętro laboratoriów, potem stawał przy windach i schodach, skąd nikt nie mógł umknąć jego bacznej uwadze.

Weszła do swego laboratorium, torebkę i płaszcz powiesiła na suszarce do szklanego sprzętu badawczego. Pięciu z sześciu jej asystentów sprawdzało w sąsiednim pokoju wyniki przeprowadzonych poprzedniego wieczoru analiz metodą elektroforezy. Rada była z odrobiny prywatności.

Zasiadła za małym biurkiem i połączyła się komputerem z wewnętrzną siecią Americolu. Już po kilku sekundach znalazła się na należącej do Americolu stronie Human Genome Project. Baza danych była pięknie zaprojektowana i łatwa do przeglądania, z zaznaczonymi głównymi genami oraz wyróżnionymi i wyjaśnionymi ich funkcjami.

Kaye wpisała hasło osobiste. Pierwotnie pracowała nad śledzeniem

siedmiu potencjalnych kandydatur na geny dokonujące ekspresji oraz składające pełną i zaraźliwą cząsteczkę HERV. Te z nich, które uważała za najbardziej prawdopodobnych kandydatów, okazały się – kwestia szczęścia, mogłaby pomyśleć – związane z SHEVA. Podczas miesięcy pracy dla Americolu zaczęła bardziej szczegółowo badać sześć następnych kandydatur i zamierzała przejść do listy tysięcy genów, które mogą się z nimi wiązać.

Kaye uważano za specjalistkę, ale w istocie w całym ogromnym świecie ludzkiego DNA – używając geograficznego porównania – znała kilka zrujnowanych i na pozór porzuconych chałup stojących w paru niewielkich, niemal zapomnianych miasteczkach. Geny HERV uchodzą za skamieniałości, fragmenty rozproszone w odcinkach DNA o długości wynoszącej poniżej miliona par zasad. Na tak niewielkich odległościach geny mogą jednak dość łatwo dokonywać rekombinacji – przeskakiwać z miejsca na miejsce. DNA jest w nieustannym ruchu – geny zmieniają położenie, tworząc maleńkie węzélki lub przetoki, replikują, szeregi kłębiących się i skręcających łańcuchów ciągle zwijają się na nowo, a wszystko z powodów, których nikt jeszcze nie zgłębił do końca. A mimo to SHEVA jest od milionów lat zdumiewająco stabilna. Szukane przez Kaye zmiany muszą być jednocześnie drobne i ogromnie ważne.

Jeśli ma rację, obali wielki paradygmat naukowy, nadweręży wiele autorytetów, wywoła walkę, może nawet wojnę naukową dwudziestego pierwszego wieku, a nie chce paść jej wczesną ofiarą, co nastąpi, jeśli wkroczy na pole bitwy bez odpowiedniego zabezpieczenia. Spekulacje dotyczące przyczyn to za mało. Nadzwyczajne stwierdzenia wymagają nadzwyczajnych dowodów.

Cierpliwie, mając nadzieję na co najmniej godzinę samotnej pracy w laboratorium, po raz kolejny porównywała znalezione w SHEVIE sekwencje z sześcioma pozostałymi kandydaturami.

Tym razem przyglądała się bliżej czynnikom transkrypcyjnym, które wywołują ekspresję wielkiego zespołu białkowego. Kilkakrotnie sprawdzała sekwencje, zanim dostrzegła czynniki, o których od wczoraj wiedziała, że istnieją. Kilka z nich, a każdy był odrobinę odmienny, występowało u czterech kandydatów.

Wstrzymała oddech. Przez chwilę miała wrażenie, że stoi na krawędzi wysokiego urwiska. Czynniki transkrypcyjne muszą odpowiadać poszczególnym odmianom wielkiego zespołu białkowego. Oznacza to, że koduje on więcej niż jeden tylko gen.

W radiu Darwina gra więcej niż jedna tylko rozgłośnia.

W poprzednim tygodniu Kaye poprosiła o najdokładniejsze z dostępnych sekwencje przeszło stu genów znajdujących się na kilku chromosomach. Kierownik grupy genomu powiedział jej, że będą gotowe tego ranka. I sprawił się dobrze. Nawet na oko dostrzegała interesujące podobieństwa. Kiedy jednak chodzi o takie mnóstwo danych, oko nie jest wystarczająco dobre. Korzystając z wewnętrznego oprogramowania o nazwie METABLAST poszukiwała sekwencji zgodnych w przybliżeniu ze znanym genem LPC w chromosomie 21. Poprosiła o zezwolenie na korzystanie przez ponad trzy minuty z większości mocy obliczeniowej komputerów budynku i je otrzymała.

Po zakończeniu poszukiwań Kaye uzyskała zgodności, na jakie liczyła – a także setki innych, wszystkie pogrzebane w tak zwanym DNA śmieciowym; każda była odrobinę odmienna, przekazująca różne zestawy instrukcji, zupełnie inne zespoły strategii.

Geny wielkiego zespołu białkowego występowały w dwudziestu dwóch autosomach ludzkich, czyli wszystkich chromosomach oprócz płciowych.

– Kopie zapasowe – szepnęła Kaye, jakby ktoś mógł ją podsłuchiwać – alternatywne – a potem przeszedł ją dreszcz.

Odsunęła się od biurka i zaczęła chodzić po laboratorium. – O Boże. O czym u licha tu myślę?

SHEVA w swej obecnej postaci nie działa właściwie. Nowe dzieci umierają. Eksperyment – stworzenie nowego podgatunku – udaremniłi wrogowie zewnętrzni, inne wirusy, nie te oswojone, przed stuleciami skłonię do współpracy, wchodzące w skład oprzyrządowania człowieka.

Znalazła kolejne ogniwo w łańcuchu dowodów. Jeśli chcemy, aby wiadomość doszła, korzystamy z wielu posłańców. Posłańcy mogą też przenosić różne wiadomości. Złożony mechanizm, który określa kształt gatunku, na pewno nie ogranicza się do jednego tylko maleńkiego posłańca i jednego niezmiennego przekazu. Musi automatycznie wprowadzać subtelne odmiany projektów, w nadziei, że niektóre zostaną ominięte przez wszelkie możliwe pociski, przez kłopoty, jakich nie można do końca przewidzieć.

To, czego szukała, mogło tłumaczyć olbrzymie ilości HERV-ów i innych elementów ruchomych – wszystko zostało zaprojektowane w celu skutecznego i zakończonego powodzeniem przejścia do nowego fenotypu, nowej odmiany człowieka. Nie wiemy zupełnie, jak to działa – myślała. Jest takie skomplikowane... Może nie wystarczy życia na zrozumienie!

Dreszcz wywołała w niej świadomość, że w obecnej atmosferze wyniki te mogą zostać zinterpretowane opacznie.

Odsunęła krzesło od komputera. Z całej energii odczuwanej rano, z całego optymizmu, blasku zrodzonego nocą z Mitchem, nic już nie pozostało.

Usłyszała głosy na korytarzu. Godzina szybko upłynęła. Wstała i zwinęła wydruki z położeniem kandydatów. Powinna je zanieść Jacksonowi; to jej pierwszy obowiązek. Potem omówi je z Dickenem. Muszą zaplanować odpowiedź.

Zdjęła płaszcz z suszarki i nałożyła. Miała już wychodzić, kiedy z korytarza wyłonił się Jackson. Kaye patrzyła na niego lekko wstrząśnięta; nigdy dotąd nie pojawił się w jej laboratorium.

Wyglądał na zmęczonego i mocno zmartwionego. On także miał plik papierów.

– Uznałem, że powinnaś dowiedzieć się pierwsza – powiedział, machając papierami przed jej nosem.

– Dowiedzieć się o czym? – Spytała Kaye.

– Jak bardzo możesz się mylić. SHEVA mutuje.

Kaye zakończyła dzień trzema godzinami spotkań z kierownictwem i asystentami, litanią harmonogramów, terminów, codziennymi szczegółikami badań w małym oddziale bardzo wielkiej korporacji, w najlepszym przypadku otępiającymi umysł, niemal zawsze nieznośnymi. Pełne zadowolenia z siebie streszczenie przez Jacksona wieści z Niemiec o mało nie skłoniło jej do ostrej odpowiedzi, ale poprzestała na uśmiechu, stwierdzeniu, że już pracuje nad tym problemem, i wyjściu... Staniu pięć minut w damskiej toalecie, wpatrywaniu się w lustro.

Z Americolu poszła do wieżowca mieszkalnego wraz z niezmiennie czujnym Bensonem, zastanawiając się, czy ostatnia noc nie była tylko snem. Portier otworzył wielkie szklane drzwi, uśmiechnął się uprzejmie do obojga, a potem kiwnął porozumiewawczo agentowi. Benson dołączył do niej w windzie. Kaye nigdy nie czuła się swobodnie w jego towarzystwie, ale dawniej potrafiła się zmuszać do grzecznościowej rozmowy. Teraz w odpowiedzi na jego pytanie, jak minął dzień, stać ją było jedynie na chrząknięcie.

Otwierając drzwi mieszkania numer 2011, przez chwilę sądziła, że nie ma w nim Mitcha. Gwizdnęła cicho. Dostał, co chciał, i teraz znowu będzie musiała samotnie stawiać czoła porażkom; swym najbardziej błyskotliwym i niszczycielskim porażkom.

Mitch wyszedł jednak z małego gabinetu tak szybko, że aż miło, i na chwilę stanął przed nią, wpatrując się w twarz, oceniając sytuację, zanim ją objął odrobinę zbyt lekko.

– Uściśnij mnie mocno – poprosiła. – Miałam naprawdę paskudny dzień.

Pomimo wszystko pożądała go. Kochali się znowu mocno, na mokro i z mnóstwem cudownego wdzięku, jakiego nie czuła nigdy dotąd. Podtrzymywała owe chwile, a kiedy nie była już w stanie, kiedy Mitch leżał obok niej pokryty kropelkami potu, a prześcieradła pod nią były nieprzyjemnie wilgotne, czuła się, jakby właśnie płakała.

– Robi się naprawdę ciężko – powiedziała. Broda jej drżała.

– Opowiedz mi – poprosił.

– Chyba się mylę. Mylimy. Wiem, że nie, ale wszystko mi mówi, że jednak tak.

– To nie ma sensu – odparł Mitch.

– Nie ma! – Zawołała. – Przewidziałam to, widziałam, jak nadciąga, ale nie dość wcześnie, i zaserwowali mi asa. Jackson zaserwował. Nie rozmawiałam z Marge Cross, ale...

Mitch potrzebował kilku minut na wydobywanie z niej szczegółów, a nawet potem tylko do połowy pojmował jej słowa. Mówiąc w skrócie, była przekonana, że w przypadkach, kiedy pierwszy sygnał radia Darwina okazuje się nieskuteczny albo natrafia na kłopoty, nowe ekspresje SHEVY wzbudzają nowe odmiany LPC, czyli wielkich zespołów białkowych. Jackson i niemal wszyscy inni uważali natomiast, że napotkali zmutowaną postać SHEVY, może jeszcze bardziej zakaźną.

– Radio Darwina – powtórzył Mitch, przetrawiając to określenie.

– Mechanizm sygnalizujący. SHEVA.

– Mhm – powiedział. – Twoje wyjaśnienia chyba nabierają sensu.

– Czemu nabierają sensu? Powiedz mi, proszę, że nie upieram się

jedynie jak osioł i że się nie mylę.

– Zestawmy fakty – odparł Mitch. – Jeszcze raz puśćmy w ruch tryby nauki. Wiemy, że specjacja niekiedy zachodzi małymi skokami. Z mumii w Alpach wiemy też, że SHEVA działała u ludzi, którzy tworzyli nowe rodzaje dzieci. Specjacja jest rzadka nawet w skali czasu historycznego, a SHEVA jest znana medycynie dopiero od niedawna. Gdyby SHEVA i postępująca małymi skokami ewolucja były niepowiązane, nie występowałoby tyle zbiegów okoliczności.

Przekręciła się, aby patrzeć na niego wprost; przesuwała palcami po jego policzkach, wokół oczu, aż się wzdrygnął.

– Przepraszam – powiedziała. – Jak cudownie, że tu jesteś. Przywracasz mi życie. Tego popołudnia... Nigdy nie czułam się równie zagubiona... Odkąd odszedł Saul.

– Nie sędzę, aby Saul kiedykolwiek docenił to, co ma.

Kaye pozwoliła, aby słowa te przez chwilę wisały między nimi. Sprawdzała, czy sama rozumie do końca, co znaczą.

– Nie – stwierdziła w końcu. – Nie był w stanie docenić.

– Wiem, kim i czym jesteś – powiedział Mitch.

– Wiesz?

– Jeszcze nie – przyznał z uśmiechem. – Ale chciałbym się dowiedzieć.

– Wsłuchuj się w nas. Powiedz mi, co robiłeś dzisiaj.

– Poszedłem do YMCA i opróżniłem szafkę. Wróciłem tu taksówką i próżnowałem niby żigolak.

– Już to widzę. – Kaye chwyciła jego dłoń.

– Zadzwoń mi w parę miejsc. Jutro pojedę pociągiem do Nowego Jorku, spotkam się z Mertonem i naszym tajemniczym nieznajomym z Austrii. Udamy się razem do miejsca, które Merton opisuje jako „cudowny, mocno podupadły dwór w północnej części stanu”. Potem pojedę pociągiem do Albany na rozmowę w sprawie pracy na SUNY.

- Dlaczego dwór?
- Nie mam pojęcia – odparł Mitch.
- Wrócisz?
- Jeśli mnie chcesz.
- Och. Chcę. O to nie musisz się martwić – powiedziała Kaye.
- Nie mamy za wiele czasu na myślenie, jeszcze mniej na zmartwienia.
- Najcudowniejsze są romanse z czasów wojny – stwierdził Mitch.
- Jutro zapowiada się znacznie gorszy dzień. Jackson podłoży świnie.
- A niech tam. Nie sądzę, aby na dłuższą metę ktokolwiek był w stanie to powstrzymać. Może zwolnij, ale nie ustawaj.

Waszyngton, Dystrykt Kolumbia

Dicken stał na stopniach Kapitolu. Mimo ciepłego wieczoru odczuwał lekki chłód, słuchając, niby szumu morza, rozbijających się jak fale ech głosów. Nigdy nie czuł się równie samotny, równie odległy jak teraz, gdy patrzył na co najmniej pięćdziesiąt tysięcy istot ludzkich, sięgających od Kapitolu do pomnika Waszyngtona i dalej. Płynna masa odbijała się od barykad ustawionych u podnóża schodów, opływała namioty i podesty dla mówców, słuchała uważnie dziesiątków różnych przemówień, mieszała się powoli niby zupa w ogromnej wazie. Dicken wychwytywał urywki niesionych wiatrem zdań, niepełnych, lecz wymownych: strzępów ostrych okrzyków tłumy. Spędził życie na śledzeniu i próbach zrozumienia chorób nawiedzających tych ludzi, postępował, jakby sam był w pewnym sensie niezniszczalny. Dzięki swym umiejętnościom i odrobinie szczęścia złapał jedynie gorączkę denga, atak był paskudny, ale ostatecznie niegroźny. Uważał się zawsze za samotnika, może trochę lepszego od innych, ale bardzo sympatycznego. Złudzenie wykształconego i osamotnionego intelektualnie głupka.

Teraz wiedział lepiej. To masy mają zawsze ostatnie słowo. Skoro masy nie potrafią zrozumieć, to na nic działania jego, Augustine'a, Zespołu Specjalnego. A masy najwyraźniej niczego nie pojmowały. Głosy dobiegające ku niemu mówiły o wściekłości na rząd, który zamierza dokonać rzezi dzieci; głosy gniewnie oskarżały

o „ludobójstwo dzień po”.

Wcześniej myślał o zadzwonieniu do Kaye Lang, zapanowaniu znowu nad sobą, odzyskaniu poczucia równowagi wewnętrznej, ale tego nie uczynił. Już minęło, skończyło się naprawdę.

Zszedł po stopniach, mijając zespoły reporterskie, kamery, grupki urzędników, mężczyzn w granatowych i brązowych ubraniach, z ciemnymi okularami i mikrofonami w uszach. Oddziały policji i Gwardii Narodowej miały odgradzać ludzi od Kapitolu, ale nie przeszkadzały poszczególnym osobom w dołączaniu do tłumu.

Widział już kilku senatorów schodzących w zwartej grupce i mieszących się z masą. Musieli wyczuć, że nie mogą się oddzielać, wywyższać, nie teraz. Łączyli się ze swoim ludem. Uznał ich za jednocześnie oportunistycznych i odważnych.

Przelażł przez barykadę i wcisnął się w tłum. Pora złapać tę gorączkę i zrozumieć jej objawy. Zajrzał głęboko we własne wnętrze i nie spodobało mu się to, co tam zobaczył. Lepiej już być w oddziale frontowym, poczuć się częścią masy, wchłaniać jej słowa i zapachy, wrócić zarażonym, aby z kolei jego analizowano, poznawano, aby stał się znowu użyteczny.

Byłoby to swego rodzaju rozmową. I zakończeniem bólu oddzielenia. A jeśli masa go zabije, być może zasłużył na to swą wcześniejszą głupotą i swymi porażkami.

Młodsze kobiety w tłumie nosiły kolorowe maski. Wszyscy mężczyźni białe lub czarne. Wielu także rękawiczki. Całkiem sporo włożyło obcisłe, czarne pulowery z przemysłowymi maskami przeciwdymnymi, tak zwane stroje „filtrowe”, które według zapewnien wielu przedsiębiorczych handlarzy miały chronić przed rozsyłaniem „diabelskiego wirusa”.

Ludzie z tłumu na końcu zajętego terenu śmieli się, prawie nie słuchając mówcy pod najbliższym namiotem – przywódcy ruchu

walki o prawa człowieka w Filadelfii, o głębokim i słodkim niby karmel głosie. Mówił o przywództwie i odpowiedzialności, o tym, co rząd powinien zrobić, aby opanować tę plagę, a także o możliwości, jedynie możliwości, że powstała ona w tajemnych wnętrznościach samego rządu.

– Niektórzy krzyczą, że zrodziła się w Afryce, ale to my jesteśmy chorzy, a nie Afryka. Inni krzyczą, że uderza w nas choroba diabła, że została przepowiedziana, aby zniszczyć...

Dicken szedł, aż dobiegł go bardziej żarliwy głos kaznodziei telewizyjnego, który okazał się jasno oświetlonym, wielkim, spoconym mężczyzną o kanciastej głowie, ubranym w obcisły czarny garnitur. Gestykulował i tańczył na podeście, nakłaniając ludzi do modłów o wskazówki, do zajrzenia głębiej we własne wnętrze.

Dicken pomyślał o swej babci, która lubiła takich. Ruszył dalej.

Ściemniało się, a w tłumie wyczuwał narastające napięcie. Gdzieś poza zasięgiem głosu coś się stało, coś powiedziano. Ciemność wywołała zmianę nastroju. Wokół zapalono światła, zalewające tłum ostrym jaskrawopomarańczowym blaskiem. Podniósł wzrok i ujrzał helikoptery wiszące na pełnej szacunku wysokości i brzęczące niby owady. Zastanawiał się chwilę, czy nie puszczą na nich gazów łzawiących, nie zaczną strzelać, ale poruszenie nie pochodziło od żołnierzy, policji ani helikopterów.

Impuls docierał falą.

Doświadczył głodu wyczekiwania, czuł nadciągający przypływ, miał nadzieję, że przyczyna niepokoju tłumowi coś mu zdradzi. Tak naprawdę nie była to jednak żadna wiadomość. Popychano go jedynie, najpierw w jedną stronę, potem w drugą, posuwał się tak z gęstym tłumem raz dziesięć stóp na północ, raz na południe, jakby uczestniczył w dziwnym tańcu.

Instynkt samozachowawczy Dickena powiedział mu, że pora

skończyć z gniewem osobistym, z tymi psychologicznymi pierdołami, i wydostać się z tłumu. Od pobliskiego mówcy dobiegło go ostrzeżenie. Od swego sąsiada, niosącego ubranie filtrowe, usłyszał stłumiony przez maseczkę głos, mówiący właśnie: „Teraz to już więcej niż jedna choroba. Jest o tym w wiadomościach. Nastąpiła nowa plaga”.

Kobieta w średnim wieku, ubrana w sukienkę z wydrukowanymi kwiatami, trzymała mały, przenośny telewizorek. Podniosła go dla stojących wokół, ukazując główkę mówiącą brzękliwym głosem. Dicken nie był w stanie słyszeć słów.

Przepychał się na skraj, powoli i łagodnie, jakby brodził w nitroglicerynie. Koszulę i lekkie spodnie miał mokre od potu. Kilka innych rozproszonych osób, podobnie jak on urodzonych obserwatorów, wyczuło zmianę; ich oczy rozbłyły. Tłum dusił się własnym zamętem. Wieczór nadszedł głęboki i wilgotny, nie było widać gwiazd, zaś w pomarańczowym świetle wzdłuż parku oraz wokół namiotów i podestów wszystko wyglądało smutniej.

Dicken znowu znalazł się niedaleko schodów Kapitolu, wśród dwudziestu czy trzydziestu osób na barykadzie, na której stał przed godziną. Policja konna, mężczyźni i kobiety na pięknych, gniadych wierzchowcach, teraz kasztanowych w nierzeczywistym świetle, poruszała się na obrzeżu w przód i w tył, były ich dziesiątki, więcej, niż widział kiedykolwiek. Oddziały Gwardii Narodowej cofnęły się, tworząc szereg, ale niezbyt zwarty. Nie były jeszcze gotowe. Nie spodziewali się kłopotów; nie nosili ani hełmów, ani tarcz.

Natychmiast otoczyły go głosy, szepczące, stłumione...

- Nie można...
- Dzieci mają...
- Moje wnuki będą...
- Ostatnie pokolenie...
- Książka...

– Zatrzymać...

Potem upiorna cisza. Pięć osób dzieliło Dickena od skraju. Nie pozwalały mu przesunąć się dalej. Twarze tępe i pełne urazy, jak u owiec, oczy puste, machające ręce. Nic nie wiedzieli. Byli przestraszeni.

Nie znosił ich, chciał rozkwasić im nosy. Nie chciał przebywać wśród owiec.

– Przepraszam. – Żadnej odpowiedzi. Narodził się umysł tłuszczy; Dicken czuł teraz, jak wyraźnie pulsuje. Tłum czekał, skupiony, nieobecny.

Na wschodzie zabłyśły światła i Dicken zobaczył, jak pomnik Waszyngtona pobiełał, stał się jaśniejszy, jakby zalany blaskiem reflektorów. Z ciemnego, parnego nieba dobiegał niewyraźny pomruk. Krople deszczu spadały na tłum. Twarze patrzyły w górę.

Był w stanie wyczuć zapach zapału tłuszczy. Coś się zmieniło. Ludzie mieli tylko jedną troskę: coś się zmieniło.

Lunał deszcz. Ludzie wznosili ręce nad głowy. Pojawiały się uśmiechy. Twarze przyjmowały ulewę, ludzie kręcili się w kółko, jak tylko mogli. Inni pokazywali wirujących i ci zatrzymywali się, zawstydzeni.

Tłum zadrgał i nagle go wyrzucił. Znalazł się na barykadzie tuż przed policjantem.

– Jezu – powiedział policjant, cofając się trzy kroki, a tłuszcza zalała barykady. Jeźdźcy próbowali ją cofnąć, napierając końmi. Jakaś kobieta wrzasnęła. Ciżba ruszyła, wchłonęła policjantów konnych i pieszych, zanim zdążyli podnieść pałki czy wydobyć pistolety. Wepchnięty na stopnie koń się zachwiał, upadł na tłum, zwalając jeźdźca, którego buty wzbiły się wysoko.

Dicken krzyknął „pracownik!” i pobiegł w górę schodów Kapitolu między strażnikami, którzy nie zwracali na niego uwagi. Kręcił głową

ze śmiechem, ciesząc się wolnością, czekając, aż zaczyną się prawdziwe zamieszki. Tłuszcza była jednak tuż za nim i ledwo zdążył znowu pobiec, wyprzedzając ludzi, rzadkie strzały z broni palnej, mokrą, rozlewającą się i śmierdzącą masę.

Nowy Jork

Mitch zobaczył nagłówki porannego wydania „Daily News”, rozłożonego na stojaku na Penn Station:

ZAMIESZKI PRZED KAPITOLEM

Szturm na Senat

Czterech senatorów zginęło, dziesiątki zmarłych, tysiące rannych

Wieczorem wraz z Kaye jedli przy świecach i kochali się. Bardzo romantycznie, bardzo nie na miejscu. Rozstali się dopiero przed godziną; Kaye starannie dobierała kolory ubioru, oczekując trudnego dnia. Wziął gazetę i wszedł do pociągu. Gdy zajął miejsce i rozłożył prasę, pociąg zaczął ruszać, nabierać prędkości, a on zastanawiać się, czy Kaye jest bezpieczna, czy zamieszki wybuchły spontanicznie, czy też zostały zorganizowane; co tak naprawdę się stało.

Ludzie przemówili, czy raczej warknęli. Mieli dość niepowodzeń i beczynności Waszyngtonu. Prezydent spotkał się z doradcami do spraw bezpieczeństwa, szefami sztabów sił zbrojnych, przywódcami wybranych komisji, naczelnym sędzią. Dla Mitcha zabrzmiało to jak łagodne wprowadzenie do ogłoszenia stanu wojennego.

Żałował, że jest w pociągu. Nie miał pojęcia, co Merton może mieć dla niego czy dla Kaye; nie mógł sobie wyobrazić siebie wykładającego studentom suchą jak gnat gnatologię i nigdy więcej niezajmującego się wykopaliskami.

Zostawił na swoim miejscu złożoną gazetę i przeszedł korytarzem do budki telefonicznej na końcu wagonu. Wykręcił numer Kaye, ale już wyszła, a uznał, że byłoby niepolitycznie dzwonić do Americolu.

Zaczerpnął głęboki oddech, próbując się uspokoić, i wrócił na miejsce.

Baltimore

Dicken spotkał się z Kaye o dziesiątej w kawiarni Americolu. Konferencję wyznaczono na szóstą, rozszerzono ją też o wielu dodatkowych uczestników: między innymi o wiceprezydenta i doradcę prezydenta do spraw nauki. Wyglądał okropnie. Nie spał całą noc.

– Teraz ja z kolei rozkleiłem się zupełnie – powiedział. – Już po debacie. Jesteśmy skończeni, już po nas. Możemy sobie krzyczeć, ale nikt nie zechce nas wysłuchać.

– Co z nauką? – Zapytała żałośnie Kaye. – Mocno się starałeś, abyśmy wzięli się w garść po tej katastrofie z opryszczka.

– SHEVA mutuje. – Dicken rytmicznie klepał ręką w stolik.

– Już ci to tłumaczyłam.

– Wykazałaś tylko, że SHEVA zmutowała dawno temu. To jedynie ludzki retrowirus, dawny, o bardzo powolnym, choć wielce zmyślnym sposobie na reprodukcję.

– Christopherze...

– Chcesz, aby cię wysłuchali – powiedział Dicken. Dopił kawę i wstał od stolika. – Nie wyjaśnij mi. Wyjaśnij to im.

Kaye patrzyła nań ze złością i zdumieniem.

– Co sprawiło, że po tak długim czasie zmieniłeś zdanie?

– Na początku szukałem wirusa. Twoje artykuły, twoje prace wskazywały, że może chodzić o coś innego. Wszyscy mogliśmy się pomylić. Nasza praca to szukanie dowodów, a kiedy są one nie do

podważenia, trzeba odrzucić nawet te przekonania, do których bardzo się przywiązaliśmy.

Kaye stanęła przy nim i dźgnęła go palcem.

– Powiedz, że chodzi ci wyłącznie o naukę.

– A skądże, Kaye. Byłem na stopniach Kapitolu. Mogłem być jednym z tych zastrzelonych bądź zatłuczonych na śmierć biedaków.

– Nie o tym mówię. Zaprzecz, że nie odpowiadałeś na telefony Mitcha po naszym spotkaniu w San Diego.

– Nie zaprzeczę.

– Dlaczego?

Dicken popatrzył na nią.

– Po ostatnim wieczorze, Kaye, wszystkie sprawy osobiste stały się błahe.

– Czyżby?

Dicken założył ręce.

– Nigdy nie zdołam zaprowadzić kogoś takiego jak Mitch do kogoś takiego jak Augustine z nadzieją, że wesprze naszą sprawę.

– Mitch ma pewne ciekawe informacje, ale dowodzą one jedynie, że SHEVA jest z nami od bardzo dawna.

– Wierzył w nas oboje.

– Chyba bardziej w ciebie – powiedział Dicken, odwracając wzrok.

– Czy to wpłynęło na twoje rozumowanie?

Dicken wybuchnął.

– A na twoje? Nie mogę się nawet odlać, aby ktoś nie zameldował komuś innemu, ile czasu spędziłem w kiblu. Ale ty, ty zaprosiłaś Mitcha do swojego mieszkania!

Kaye napierała na Dickena.

– Czy Augustine powiedział ci, że spałam z Mitchem?

Dicken nie lubił być przypierany do muru. Łagodnie odsunął Kaye i cofnął się o krok.

– Nienawidzę tego tak samo jak wszyscy inni, ale musi tak być!

– Czym zdaniem musi? Augustine'a?

– Augustine też jest wściekły. Mamy kryzys. Do cholery, Kaye, teraz powinno to być już jasne dla każdego.

– Nigdy nie miałam się za świętą, Christopherze! Ufałam ci, że skoro mnie w to wciągnąłeś, to już nie porzucisz.

Dicken spuścił głowę i odwrócił wzrok w jedną stronę, potem w drugą, rozdierany między litością nad sobą a gniewem.

– Myślałem, że będziesz partnerką.

– Jakiego rodzaju partnerką, Christopherze?

– No... Wspierającą. Równą intelektualnie.

– Dziewczyną?

Twarz Dickena przybrała na chwilę minę chłopczyka przekazującego złą wiadomość. Patrzył na Kaye z tęsknotą i smutkiem. Ledwo mógł stać prosto, tak był zmęczony.

Kaye cofnęła się, rozmyślając. Nie robiła niczego, co mógłby uznać za uwodzenie; nigdy nie uważała siebie za oszałamiającą piękność, której urokowi mężczyźni nie są w stanie się oprzeć. Nie miała możliwości przewidzenia głębi uczuć tego mężczyzny.

– Nigdy nie mówiłeś, że czujesz coś więcej niż ciekawość – powiedziała.

– Nigdy nie działałam pochoinnie i nigdy nie mówię, co czuję – odparł Dicken. – Nie winię cię, że niczego nie podejrzewałaś.

– Ale moje zbliżenie się z Mitchem cię rani.

– Nie zaprzeczę, że rani. Nie wpływa to jednak na moje rozumowanie w sprawach naukowych.

Kaye okrążyła stolik, kręcąc głową.

– Co jest jeszcze do uratowania?

– Możesz przedstawić swój dowód. Nie wierzę po prostu, aby okazał się niepodważalny. – Obrócił się i wyszedł z kawiarni.

Kaye odniosła tacę i naczynia do taśmociągu jadącego do kuchni. Zerknęła na zegarek. Mocno potrzebowała bycia z kimś, twarzą w twarz; chciała porozmawiać z Luellą Hamilton. Mogła się wymknąć do NIH i wrócić przed spotkaniem.

Przy biurku ochrony piętra zadzwoniła po samochód służbowy.

Beresford, stan Nowy Jork

Mitch wysiadł pod strzelisty, biały namiot, który okrywał zabytkowy dworzec kolejowy miasteczka Beresford. Osłonił oczy w porannym słońcu i popatrzył na tonącą w żółtych żonkilach żardynierę, stojącą obok jaskrawoczerwonego kosza na śmieci. Tylko on opuścił tu pociąg. Powietrze pachniało gorącym smarem, chodnikiem i świeżo ściętą trawą. Rozejrzał się, czy ktoś go przywita; oczekiwał Mertona. Miasteczko widoczne za torami, nad którymi wiodła kładka, składało się głównie z szeregu sklepów i parkingu dworcowego.

Na ten parking wjechał czarny lexus i Mitch zobaczył wysiadającego rudowłosego mężczyznę, który popatrzył na stację przez ogrodzenie z gęstej siatki i pomachał ręką.

– Nazywa się William Daney. Posiada większą część Beresfordu – to znaczy jego rodzina. Jakies dziesięć minut drogi stąd ma posiadłość, która rywalizuje z pałacem Buckingham. W swej naiwności zapomniałem, jakiego rodzaju arystokrację szanuje Ameryka – posiadane od dawna pieniądze wydawane na dziwaczne sposoby.

Mitch słuchał Mertona, gdy dziennikarz wiózł go krętą dwupasmową drogą, biegnącą wśród cudownych drzew liściastych, klonów i dębów. Świeże liście były tak mocno zielone, że czuł się jak w kinie. Słońce rzucało na szosę złote plamki. Przez pięć minut nie zobaczył żadnego innego samochodu.

– Daney był żeglarzem. Wydawał miliony na doskonalenie pięknej, wielkiej łodzi, która przegrała kilka regat. Było to przeszło dwadzieścia lat temu. Potem natrafił na antropologię. Kłopot w tym, że nie znosi brudu. Kocha wodę, nienawidzi brudu, nienawidzi kopania. Uwielbiam prowadzić w Ameryce. Odrobinę jednak mniej niż w Anglii. Mogę nawet... – Merton zboczył na chwilę na lewy pas -... Polegać na instynkcie. – Szybko wrócił na właściwy pas, uśmiechnął się do Mitcha. – Boleję nad zamieszkami. Anglia jest nadal względnie spokojna, ale w każdej chwili spodziewam się zmiany rządu. Drogi stary premier jeszcze się nie połapał. Ciągle myśli, że jego największą troską jest przejście na euro. Odstępuje go ginekologiczny aspekt całego tego zamieszania. Co u pana Dickena? Pani Lang?

– Mają się dobrze – odparł Mitch, nie chcąc mówić zbyt wiele, póki nie zobaczy, w co się pakuje. Lubił Mertona, uważał go za interesującego, ale za grosz mu nie ufał. Nie podobało mu się, że dziennikarz wydaje się zbyt dobrze znać jego życie prywatne.

Posiadłość Daneya była dwupiętrowym, wygiętym dworem z szarego kamienia na końcu wysypanego ceglana mączką podjazdu, który biegł wśród pięknie utrzymanych trawników, zupełnie jak na polu golfowym. Kilku ogrodników przyszytyło żywopłoty, zaś starsza kobieta w bryczesach i szerokim, potarganym kapeluszu słomkowym pomachała im ręką, gdy Merton przejechał obok.

– Pani Daney, matka naszego gospodarza – powiedział, także machając przez okienko. – Mieszka w domu zarządcy. Miła starsza pani. Nie za często zachodzi na pokoje syna.

Merton zaparkował przed schodami z brunatnego piaskowca, które wiodły do wielkich, dwuskrzydłowych drzwi wejściowych.

– Wszyscy już są – powiedział. – Ty, ja, Daney i Herr Professor Friedrich Brock, kiedyś z Uniwersytetu w Innsbrucku.

– Brock?

– Tak – uśmiechnął się Merton. – Powiedział, że już się z tobą spotkał.

– Spotkał – potwierdził Mitch. – Raz.

Drzwi wejściowe dworu Daneya wiodły do mrocznej, wielkiej sieni z boazerią ze starego drewna. Trzy równoległe pasma promieni słonecznych padały ze świetlika na pociemniałą od wieku wapienną posadzkę, rozświetlając ogromny chodnik z chińskiego jedwabiu, na którego środku stał okrągły stół pokryty półkulą kwiatów. Obok stołu, w cieniu, stał mężczyzna.

– William, to Mitch Rafelson – powiedział Merton, biorąc Mitcha za łokieć i popychając go naprzód.

Mężczyzna w cieniu wyciągnął rękę w jedno z pasm blasku słońca; na grubych, mocnych palcach zaśniły trzy złote pierścienie. Mitch mocno uściskał tę dłoń. Daney był pod pięćdziesiątkę, opalony, z żółtawobiałymi włosami cofającymi się na wagnerowskim czole. Miał małe, ładne usta, skore do uśmiechu, ciemnopiwnie oczy, gładkie jak u niemowlęcia policzki. Barki poszerzały mu poduszki szarej marynarki klubowej, ale ramiona i tak wyglądały na dobrze umięśnione.

– Spotkanie z panem jest dla mnie zaszczytem, sir – powiedział Daney. – Kupiłbym je od pańskich przyjaciół, gdyby tylko były na sprzedaż. A potem zwróciłbym do Innsbrucku. Powiedziałem to profesorowi Brockowi i dał mi rozgrzeszenie.

Mitch uśmiechnął się uprzejmie. Przybył tu na spotkanie z Brockiem.

– W rzeczywistości William nie posiada żadnych szczątków ludzkich – powiedział Merton.

– Chętnie poprzestaję na duplikatach, odlewach, rzeźbach – wyjaśnił Daney. – Nie jestem naukowcem, jedynie amatorem, ale mam nadzieję, że zaszczytam przeszłość, próbując ją zrozumieć.

– Do Komnaty Ludzkości. – Marton zrobił zamaszysty ruch ręką. Daney z dumą podniósł głowę i pokazał drogę.

Komnata zajmowała dawną salę balową we wschodnim skrzydle dworu. Mitch nigdy nie widział podobnego wnętrza poza muzeum: dziesiątki szklanych gablot ustawionych rzędami, między nimi pokryte dywanami przejścia; każda gablota zawierała odlewy i repliki wszystkich ważnych dla antropologii okazów. Australopithecus afarensis i robustus; Homo habilis i erectus. Mitch doliczył się szesnastu różnych szkieletów neandertalczyków, wszystkie były profesjonalnie wystawione, a sześć z nich pokrywały woskowe rekonstrukcje ciał, pokazujące, jak mogli wyglądać żywi. Nie próbowano wcale zachowywać pruderyjnej skromności: wszystkie modele były nagie i bezwłose, pominięto wszelkie spekulacje dotyczące ubiorów czy owłosienia.

Szereg za szeregiem bezwłosych małąp naczelnych, oświetlonych eleganckimi i odpowiednio zmiękczającymi światło reflektorami, patrzących ślepo na przechodzącego obok Mitcha.

– Niewiarygodne – powiedział Mitch wbrew sobie. – Dlaczego nigdy przedtem o tym nie słyszałem, panie Daney?

– Wie o tym tylko kilka osób. Rodzina Leakey, Björn Kurtén, parę innych. Moi najbliżsi przyjaciele. Jestem ekscentryczny, wiem, ale nie chcę się tym chlubić.

– Znalazłeś się w garstce wybrańców – powiedział Mitchowi Merton.

– Profesor Brock jest w bibliotece. – Daney wskazał drogę.

Mitch chętnie spędziłby więcej czasu w tej komnacie. Woskowe rzeźby były doskonałe, a reprodukcje okazów pierwszorzędne, niemal nieodróżnialne od oryginałów.

– Nie, jestem tutaj. Nie mogłem się doczekać. – Brock wyłonił się zza gabloty i podszedł. – Mam wrażenie, że się znamy, doktorze

Rafelson. Mamy też wspólnych znajomych, prawda?

Mitch uściśnął dłoń Brocka na oczach rozpromienionego Daneya. Przeszli kilkadziesiąt jardów do przyległej biblioteki, wyposażonej w szczyty elegancji stylu edwardiańskiego, z trzema poziomami okolonych barierkami pomostów, połączonych dwiema żeliwnymi kładkami. Ogromne malowidła ukazujące dramatyczne widoki z Yosemite i Alp wisały po obu stronach jedyne, wysokiego i wychodzącego na północ okna.

Usiedli wokół zajmującego środek sali wielkiego, okrągłego, niskiego stołu.

– Moje pierwsze pytanie – rozpoczął Brock – czy śni pan o nich, doktorze Rafelson? Bo ja często.

Daney osobiście podał kawę ze stolika na kółkach, który wtoczyła do biblioteki młoda kobieta, potężna i chmurna, w czarnym stroju. Napełnił wszystkim filiżanki z porcelany Flora Danica; wzory botaniczne tej serii ukazywały mikroskopijne rośliny charakterystyczne dla Danii, zaczerpnięte z ilustracji do dziewiętnastowiecznych dzieł naukowych. Mitch obejrzał swój spodek, ozdobiony trzema pięknie oddanymi bruzdnicami, zastanawiając się, co zrobiłby, gdyby miał dość pieniędzy, żeby pozwolić sobie na wszystko.

– Osobiście nie wierzę w sny – podjął rozmowę Brock. – Ale ci osobnicy mnie prześladują.

Mitch rozejrzał się po zebranych, nie mając pojęcia, czego po nim oczekują. Wydawało się w pełni możliwe, że powiązania z Daneyem, Brockiem, a nawet Mertonem w końcu obrócą się na jego niekorzyść. Może zbyt już często spadały na niego ciosy.

Merton wyczuł jego niepokój.

– Spotkanie jest całkowicie prywatne i zostanie zachowane w sekrecie – oznajmił. – Nie zamierzam zdradzać ani słowa z tego, co

tu zostanie powiedziane.

– Na moją prośbę – dodał Daney, wznosząc znacząco brwi.

– Chciałbym powiedzieć panu, że nie może się pan mylić w swych przypuszczeniach, co wykazał pan, wyszukując pewnych ludzi i przekazując im pewne wiadomości o własnych badaniach – zapewnił Brock. – Sam jednak właśnie pozbyłem się zobowiązań w odniesieniu do mumii alpejskich. Spory stały się osobiste i bardziej niż trochę zagrażają karierom nas wszystkich.

– Doktor Brock uważa, że mumie stanowią pierwszy oczywisty dowód na przypadek specjacji człowieka – wtrącił Merton w nadziei, że rozmowa stanie się rzeczowa.

– Właściwie subspecjacji – poprawił go Brock. – Czyż jednak samo pojęcie gatunku nie stało się w ostatnich dziesięcioleciach ogromnie płynne? Obecność SHEVY w ich tkankach jest bardzo wymowna, nie sądzi pan?

Daney pochylił się do przodu w swym fotelu, policzki i czoło zarumieniły mu się od wielkiego zainteresowania.

Mitch zdecydował, że pośród tylu ulepionych z tej samej gliny co on, nie może być powściągliwy.

– Znaleźliśmy inne przykłady – powiedział.

– Tak, słyszałem, od Olivera i Marii Konig z Uniwersytetu Stanu Waszyngton.

– Właściwie nie tyle ja, co ludzie, z którymi rozmawiałem. Sam jestem nieudacznikiem, mówiąc oględnie. Skompromitowanym własnymi postępami.

Brock machnął lekceważąco ręką.

– Nim zadzwoniłem do pańskiego mieszkania w Innsbrucku, wybaczyłem panu błąd. Mam wycucie, a pańska opowieść brzmiała prawdziwie.

– Dziękuję – odparł Mitch i stwierdził, że jest naprawdę wzruszony.

– Przepraszam, że nie ujawniłem się w porę, ale pan rozumie, mam nadzieję.

– Rozumiem – przyznał Mitch.

– Proszę powiedzieć, na co się zanosi – zabrał głos Daney.

– Czy zamierzają ogłosić swe odkrycia dotyczące mumii?

– Tak – odparł Brock. – Zamierzają ogłosić skażenie, podać, że mumie nie są w istocie ze sobą powiązane. Neandertalczykcy mają być określani jako *Homo sapiens alpinensis*, zaś dziecko zostanie wysłane do Włoch, aby zbadali je inni specjaliści.

– To śmieszne – uznał Mitch.

– Tak, i nie będą się wечно upierać przy tym błędnym poglądzie, ale na następne kilka lat górę wezmą konserwatyści, twarogłowi. Będą wedle swej woli wydzielać informacje, tym tylko, którzy nie zachwieją łodzią, którzy będą się z nimi zgadzać, chcą postępować jak zazdrośni naukowcy chroniący zwojów znad Morza Martwego. Mają nadzieję rozwijać kariery bez konieczności podejmowania się rewolucją, która pograży zarówno ich samych, jak i wyznawane przez nich poglądy.

– Niewiarygodne – wtrącił Daney.

– Nie, ludzkie, a przecież wszyscy badamy ludzi, prawda? Czy naszej samicy nie zranił ktoś, kto chciał zapobiec narodzeniu się dziecka?

– Tego nie wiemy – odparł Mitch.

– Ja wiem – powiedział Brock. – Zachowuje irracjonalną część wiary, choćby dla obrony przed fanatykami. Czy nie o takich wydarzeniach pan śni, w tej czy innej postaci, jakby wiedza o nich tkwiła w naszej krwi?

Mitch przytaknął.

– Może to właśnie było grzechem pierworodnym naszego rodu, że nasi neandertalscy przodkowie chcieli powstrzymać postęp, zachować

swą wyjątkową pozycję... Poprzez zabijanie nowych dzieci. Tych, z których wyrosliśmy. A może teraz postępujemy tak samo?

Daney kręcił głową, cicho mrucząc. Mitch odnotował to z pewnym zainteresowaniem, potem zwrócił się do Brocka.

– Na pewno poznał pan wyniki badań DNA. Muszą być dostępne dla celów krytycznych.

Brock sięgnął obok swego fotela i podniósł aktówkę. Popukał w nią znacząco.

– Mam tu wszystkie materiały na DVD-ROM-ie, ogromne pliki graficzne, tabele, wyniki badań prowadzonych przez różne laboratoria na całym świecie. Oliver i ja zamierzamy upublicznić je w Internecie, ogłosić próbę tuszowania faktów, a potem niech się dzieje co chce.

– Tak naprawdę chcemy to udostępnić w jak najszerszy sposób – dodał Merton. – Chcielibyśmy przedstawić twarde dowody na to, że ewolucja znowu puka do naszych drzwi.

Mitch przygryzł wargę, rozważając to wszystko.

– Czy rozmawiał pan z Christopherem Dickenem?

– Powiedział, że nie jest w stanie mi pomóc – odparł Merton.

Wstrząsnęło to Mitchem.

– Ostatnim razem, gdy z nim rozmawiałem, wydawał się pełen entuzjazmu, a nawet napalony – powiedział.

– Musiał zmienić zdanie – stwierdził Merton. – Powinniśmy wziąć na pokład doktor Lang. Myślę, że zdoła przekonać kogoś z Uniwersytetu Stanu Waszyngton, na pewno doktor Konig i doktora Packera, może nawet jednego czy dwóch biologów ewolucyjnych.

Daney przytakiwał entuzjastycznie.

Merton zwrócił się do Mitcha. Pozbył się uśmiechu i odchrząknął.

– Twoja mina wskazuje chyba, że jesteś przeciwny?

– Nie możemy przecież postępować, jakbyśmy byli studentami pierwszego roku występującymi w kółku dyskusyjnym.

– Uważałem pana za zawodnika grającego ostro – powiedział Merton łobuzersko.

– Błąd – odparł Mitch. – Uwielbiam, jak wszystko idzie gładko i według zasad. To życie gra ostro.

Daney się uśmiechnął.

– Dobrze powiedziane. Sam pragnę znaleźć się na boisku.

– Jak to? – Zapytał Merton.

– To doskonała sposobność – odparł Daney. – Chciałbym znaleźć chętną kobietę i wprowadzić do rodziny któregoś z tych nowych ludzi.

Przez dłuższą chwilę Merton, Brock ani Mitch nie potrafili znaleźć właściwej odpowiedzi.

– Ciekawa myśl – uznał Merton spokojnie i rzucił szybkie spojrzenie na Mitcha, unosząc brew.

– Skoro zamierzamy wywołać burzę poza zamkiem, być może w końcu więcej drzwi zamkniemy, niż otworzymy – przyznał Brock.

– Mitch – odezwał się przybity Merton – proszę nam wobec tego powiedzieć, jak powinniśmy postępować... By było to bardziej zgodne z zasadami?

– Zbierzmy grupę prawdziwych ekspertów – odparł Mitch i na chwilę głęboko pogrążył się w myślach. – Packer i Maria Konig to doskonały początek. Sięgnijemy do ich kolegów i znajomych; genetyków i biologów molekularnych z Uniwersytetu Stanu Waszyngton, NIH, kilkunastu innych uniwersytetów i instytutów badawczych. Oliver, pewnie wiesz, o kim myślę... Może nawet lepiej niż ja sam.

– O najbardziej postępowych biologach ewolucyjnych – potwierdził Merton, a potem się skrzywił, jakby to był oksymoron.

– Na razie o sprawie wiedzą tylko biolodzy molekularni i kilku wybranych paleontologów, jak Jack Niles.

– Znam tylko konserwatywnych – powiedział Brock. –

W Innsbrucku pijałem kawę z niewłaściwymi ludźmi.

– Potrzebujemy podstaw naukowych – ciągnął Mitch. – Zamykającego usta krytykom zespołu szanowanych uczonych.

– Zajmie to tygodnie, może miesiące – powiedział Merton. Wszyscy mają pozycje, których chcą strzec.

– A jeśli damy więcej pieniędzy na badania w sektorze prywatnym? – Spytał Daney.

– Tu właśnie może się przydać pomoc pana Daneya – odparł Merton, patrząc na gospodarza spod krzaczastych rudych brwi. – Masz dość pieniędzy, aby zorganizować konferencję na najwyższym poziomie, a teraz właśnie czegoś takiego potrzebujemy. Dla przeciwstawienia się oświadczeniom ogłaszanych przez Zespół Specjalny.

Daney spochmurniał.

– Ile by to kosztowało? Setki tysięcy, miliony?

– Podejrzewam, że raczej to pierwsze – wyjaśnił Merton z chichotem.

Daney popatrzył na nich niepewnie.

– To dużo pieniędzy, będę musiał poprosić mamę – powiedział.

National Institutes of Health, Bethesda

– Pozwolę jej odejść – powiedziała siedząca za swym biurkiem doktor Lipton. – Wszystkim pozwolę. Ordynator oddziału badań klinicznych stwierdził, że mamy dość informacji, aby móc wydawać zalecenia dla naszych pacjentów i zakończyć eksperymenty. Kaye patrzyła na nią w oszołomieniu.

– Tak po prostu... Wypuścisz ich z kliniki do domu?

– Lipton przytaknęła, lekko zaciskając szczęki.

– To nie był mój pomysł, Kaye. Muszę się jednak zgodzić.

Wykraczamy poza granice etyki.

– A jeśli w domu będą potrzebowały opieki?

Lipton spuściła wzrok na biurko.

– Mówimy im, że dzieci najprawdopodobniej urodzą się z poważnymi wadami, że nie przeżyją. Zapewniamy im opiekę w najbliższych szpitalach. Pokryjemy wszystkie wydatki, choćby nawet doszło do powikłań. Zwłaszcza jeśli dojdzie do powikłań.

Wszystkie są w okresie wrażliwości na lekarstwa.

– Czy wezmą RU-486?

– Mają wolny wybór.

– Denise, nie jestem z policji.

– Wiem o tym. Sześć kobiet poprosiło o pigułki. Chciały dokonać aborcji. W tej sytuacji nie możemy kontynuować eksperymentów.

– Czy im powiedziałaś...?

– Kaye, nasze wytyczne są krystalicznie czyste. Jeśli uznamy, że dzieci mogą zagrozić zdrowiu matki, dajemy im możliwość usunięcia ciąży. Jestem za zapewnieniem im prawa wyboru.

– To oczywiste, Denise, ale... – Kaye rozglądała się, patrząc na znajomy gabinet, wykresy, zdjęcia płodów w różnych stadiach rozwoju. – Nie mogę uwierzyć.

– Augustine poprosił nas o wstrzymanie podawania im RU-486, dopóki nie zostanie ustalona jasna polityka. Jednak to ordynator oddziału badań klinicznych dyktuje tu warunki.

– W porządku – powiedziała Kaye. – Kto nie poprosił o lekarstwo?

– Luella Hamilton – odparła Lipton. – Wzięła je ze sobą, obiecała regularnie chodzić do pediatry na badania, ale nie zażyła go pod naszym nadzorem.

– Czyli to już koniec?

– Wycofaliśmy się na z góry upatrzone pozycje – odparła Lipton łagodnie. – Nie mieliśmy wyboru. Moralnie, politycznie dostaniemy w skórę, cokolwiek byśmy zrobili. Wybraliśmy etykę i pomoc dla naszych pacjentek. Gdybyśmy jednak zaczekali do dzisiaj... Otrzymaliśmy nowe polecenia od ministra zdrowia i opieki społecznej. Żadnych zaleceń aborcji i brak zezwolenia na RU-486. W ostatniej chwili wygrzebaliśmy się z bagna.

– Nie mam ani adresu, ani numeru telefonu pani Hamilton – powiedziała Kaye.

– I nie dostaniesz ich ode mnie. Ma prawo do prywatności. – Lipton popatrzyła na nią. – Nie wyłamuj się z systemu, Kaye.

– Myślę, że teraz to system wypłuje mnie lada chwila – odparła Kaye. – Dzięki, Denise.

Stan Nowy Jork

W pociągu do Albany Mitch opadł na swoje miejsce, otoczony stęchłymi zapachami pasażerów, spłowiałego na słońcu materiału, środków czyszczących, tworzyw sztucznych. Miał wrażenie, że właśnie uciekł z Krainy Czarów. Entuzjazm Daneya wobec wprowadzenia do rodziny „nowej osoby” budził w nim zarówno fascynację, jak i obawę. Rasa ludzka tak rozwinęła się intelektualnie, tak zapanowała nad swoją biologią, że owa niespodziewana i dawna forma rozmnażania się, tworzenia nowych odmian gatunku, zostanie zdławiona w zarodku albo potraktowana jako nowy pionek w grze. Patrzył przez okno na miasteczka, młode lasy, większe miasta z szarymi budynkami nudnych, brudnych i przynoszących zyski magazynów i fabryk.

Centrala Americolu, Baltimore

Kaye wzięła zamówione w bibliotece wydruki z Medline, dwadzieścia egzemplarzy każdego z ośmiu różnych artykułów, wszystkie równo ułożone. Pokręciła głową i wsiadając do windy, przejrzała jeden z plików. Pięć minut trwało przejście przez kolejne posterunki ochrony na dziesiątym piętrze. Strażnicy machali różdżkami czytników, skanowali zdjęcie na jej identyfikatorze, przesuwali czujnikami po rękach i torebce. W końcu dowódca grupy Secret Service chroniącej wiceprezydenta połączył się z kimś w jadalni dyrekcji, pytając o Kaye. Wyszedł Dicken, potwierdził, że ją zna, i weszła do środka piętnaście minut po rozpoczęciu spotkania.

– Spóźniłaś się – szepnął Dicken.

– Utknęłam w korku. Czy wiesz, że zakończyli badania specjalne?

Dicken przytaknął.

– Teraz tańczą wokół siebie, starannie unikając podejmowania jakichkolwiek zobowiązań. Nikt nie chce, aby spadła na niego choćby cząstka winy.

Kaye zobaczyła wiceprezydenta siedzącego prawie na przodzie; obok siebie miał doradcę do spraw nauki. W sali było co najmniej czterech agentów Secret Service, cieszyła się więc, że Benson został na zewnątrz.

Napoje bezalkoholowe, owoce, herbatniki, ser i warzywa zajmowały stół na tyłach, ale nikt nie jadł. Wiceprezydent trzymał

puszkę pepsi.

Gdy Dicken prowadził Kaye do fotela z lewej strony sali, Frank Shawbeck kończył omawianie wyników badań prowadzonych przez NIH.

– Zajął mu to zaledwie pięć minut – szepnął Dicken do Kaye.

Shawbeck zebrał papiery na mównicy, cofnął się, a jego miejsce zajął Mark Augustine. Pochylił się nad katedrą.

– Doktor Lang już jest – oznajmił rzeczowo. – Przejdźmy do kwestii społecznych. W USA doszło do dwunastu przypadków poważnych zamieszek. Większość przypuszczalnie spowodowały wieści, że zamierzamy bezpłatnie rozprowadzać RU-486. Decyzje takie jeszcze nie zapadły, choć są oczywiście dyskutowane.

– Żadne z tych lekarstw nie jest nielegalne – powiedziała zdenerwowana Cross. Siedziała po prawej ręce wiceprezydenta. – Panie prezydencie, zaprosiłam na to spotkanie przywódcę większości w senacie, ale odmówił. Nie mogę być odpowiedzialna za...

– Proszę cię, Marge – przerwał jej Augustine. – Swoje żale będziemy mogli wylewać za kilka minut...

– Przepraszam. – Cross założyła ręce. Wiceprezydent zerknął przez ramię na obecnych. Jego wzrok padł na Kaye, przez chwilę jakby się zachmurzył, potem znowu spoglądał przed siebie.

– Niepokoje społeczne nie ograniczają się tylko do Stanów – ciągnął Augustine. – Oczekujemy bardzo groźnej katastrofy. Mówiąc szczerze, ludzie nie rozumieją, co się dzieje. W swym postępowaniu kierują się najniższymi instynktami albo ulegają namowom demagogów. Pat Robertson, niech go szlag, już zapowiada, że Bóg spuści na Waszyngton najgorętsze ognie piekła, jeśli Zespół Specjalny uzyska zezwolenie na dalsze badania z użyciem RU-486. Nie on jeden. Jest naprawdę bardzo prawdopodobne, że tłumy będą się miotać, dopóki nie znajdą czegoś, czegokolwiek, bardziej namacalnego od prawdy, potem zaś pójdą jak

barany za tym hasłem, a zapewne będzie ono religijne, natomiast nauka zostanie wyrzucona przez okno.

– Amen – powiedziała Cross. Przez grupkę zebranych przeszedł nerwowy śmieszek. Wiceprezydent nawet się nie uśmiechnął.

– Zebranie to wyznaczono trzy dni temu – mówił dalej Augustine.
– Wczorajsze i dzisiejsze wydarzenia sprawiają, że jeszcze pilniejsze staje się zachowanie zimnej krwi i chłodnej głowy.

Kaye pomyślała, że wyczuwa, do czego to zmierza. Spojrzała na Roberta Jacksona, dostrzegła go siedzącego obok Cross. Przekręcił głowę, a wzrokiem na mgnienie oka strzelił w lewo, patrząc prosto na nią. Poczowała, jak się rumieni.

– To o mnie – szepnęła do Dickena.

– Nie bądź zarozumiała – ostrzegł Dicken. – Dzisiaj wszyscy będziemy musieli posypać sobie głowę popiołem.

– Już zawiesiliśmy badania nad RU-486 i nad tak zwanym, bardzo beztroško i w bardzo złym guście, RU-Pentium – powiedział Augustine. – Panie doktorze Jackson.

Jackson wstał.

– Próby przedkliniczne wykazały brak skuteczności wszystkich naszych szczepionek i inhibitorów rybozomu na rozpoznane ostatnio szczepy SHEVY, wstępnie określone jako SHEVA-X. Mamy powody sądzić, że wszystkie nowe przypadki heroda w ciągu ostatnich trzech miesięcy należy przypisać zakażeniom poziomym SHEVA-X, mogącą występować w co najmniej dziewięciu różnych odmianach, z których każda ma odmienny płaszcz glikoproteinowy. Nie możemy atakować RNA matrycowego LPC w cytoplazmie, gdyż rybozomy, którymi teraz dysponujemy, nie rozpoznają formy zmutowanej. Mówiąc krótko, szczepionka utknęła w martwym punkcie. Przypuszczalnie nie ruszymy z miejsca przez następne sześć miesięcy.

Usiadł.

Augustine symetrycznie stykał palce obu dłoni, tworząc giętki wielokąt. W sali zapadła długa cisza, wszyscy przetrawiali wiadomości i płynące z nich wnioski.

– Pan doktor Phillips.

Gary Phillips, doradca prezydenta do spraw nauki, wstał i podszedł do mównicy.

– Pan prezydent poprosił mnie, abym przekazał wyrazy wdzięczności. Miał nadzieję na znacznie poważniejsze osiągnięcia, ale w żadnym innym kraju nie dokonano więcej niż zrobili NIH i Zespół Specjalny CDC. Musimy uznać, że mamy przed sobą wyjątkowo sprytnego i wszechstronnego przeciwnika, trzeba więc mówić jednym głosem, zdecydowanie, aby zapobiec popadnięciu narodu w anarchię. To dlatego wysłuchałem pana doktora Roberta Jacksona i Marka Augustine'a. Nasze obecne położenie jest bardzo niepewne, społecznie niepewne, a słyszę, że między niektórymi członkami Zespołu Specjalnego, a zwłaszcza w jej części związanej z Americolem, panuje niezgoda mogąca potencjalnie doprowadzić do pęknięcia.

– To nie rozłam – powiedział jadowicie Jackson. – Schizma.

– Pani doktor Lang, powiedziano mi, że nie podziela pani niektórych poglądów wyrażanych przez doktora Jacksona i Marka Augustine'a. Czy zechce pani przedstawić teraz wprost swój punkt widzenia, abyśmy mogli go poddać ocenie?

Kaye kilka sekund siedziała zszokowana; potem wstała i jakoś zdołała powiedzieć:

– Nie sądzę, sir, abym miała teraz szansę na uczciwe wysłuchanie. W tej sali jestem najwyraźniej jedyną osobą, która nie zgadza się z oficjalnym stanowiskiem, jakie jest niewątpliwie przygotowywane.

– Potrzebujemy solidarności, ale musimy być sprawiedliwi – powiedział doradca naukowy. – Czytałem pani artykuły o HERV. Pani prace są nowatorskie i błyskotliwe. Najpewniej zostanie pani

mianowana do Nagrody Nobla. Pani zastrzeżenia muszą być wysłuchane i jesteśmy na to gotowi. Żałuję, że nikogo nie stać na luksus posiadania dostatecznej ilości czasu. Tak byłoby lepiej.

Skinął ręką, aby wystąpiła. Kaye podeszła do mównicy. Phillips usunął się na bok.

– Swoje poglądy przedstawiałam podczas licznych rozmów z panem doktorem Dickenem, a także w jednej z panią Cross i doktorem Jacksonem – zaczęła Kaye. – Dziś rano zebrałam popierające je artykuły, niektóre z nich są moje, dowody zaczerpnięto z badań w ramach Human Genome Project, z dziedziny biologii ewolucyjnej, a nawet paleontologii. – Otworzyła aktówkę i podała Nilson stos wydruków, a ta ułożyła je z lewej strony.

– Nie znalazłam jeszcze kluczowego elementu, który połączyłby wszystkie moje teorie w jedną – ciągnęła Kaye, po czym wypięła odrobinę wody ze szklanki podanej przez Augustine'a. – Dane naukowe wynikające z badań mumii w Innsbrucku nie zostały jeszcze ogłoszone publicznie.

Jackson przewrócił oczyma.

– Mam wstępne podsumowanie danych zebranych przez doktora Dickena w Turcji i Gruzji...

Mówiła dwadzieścia minut, skupiając się na szczegółach oraz własnej pracy nad elementami mobilnymi i HERV-DL 3. Na grząski grunt wkroczyła, opisując swe poszukiwania różnych odmian LPC, zakończone powodzeniem tego samego dnia, w którym usłyszała od Jacksona o rozpoznaniu mutacji SHEVY. – Uważam, że SHEVA-X to kopia zapasowa lub odpowiedź na nieudane początkowe próby przekazywania poziomego, mającego przynieść narodziny żywych dzieci. Wywoływane przez SHEVE-X ciążę drugiego stadium będą odporne na oddziaływanie wirusa opryszczki. Dadzą zdrowe i zdolne do życia dzieci. Nie mam na to dowodów wprost; nic nie wiem

o narodzinach takiego dziecka. Wątpię jednak, abyśmy musieli długo na nie czekać. Powinniśmy być przygotowani.

Kaye była zdumiona, że mówi tak spójnie, choć uświadamiała sobie boleśnie, że nie zdoła powstrzymać lawiny. Augustine patrzył na nią uważnie, pewnie z podziwem; uśmiechnął się do niej ukradkiem.

– Dziękuję pani, doktor Lang – powiedział Phillips. – Jakies pytania? Frank Shawbeck podniósł rękę.

– Czy doktor Dicken podziela pani wnioski?

Dicken wystąpił naprzód.

– Jakiś czas podzielałem. Najnowsze dowody przekonały mnie, że się myliłem.

– Jakie dowody? – Zawołał Jackson. Augustine ostrzegawczo pokiwał palcem, ale dopuścił to pytanie.

– Uważam, że SHEVA mutuje tak, jak organizm chorobotwórczy – odparł Dicken. – Nic mnie nie przekona, że nie działa jak ludzki patogen.

– Pani doktor Lang, czy to prawda, że uważane wcześniej za niezakaźne formy HERV powiązano z niektórymi rodzajami guzów? – Zapytał Shawbeck.

– Tak, sir. Jednakże w wielu innych tkankach, w tym także w łożysku, powodują ekspresje form niezakaźnych. Dopiero teraz mamy sposobność zrozumieć, ile ról mogą pełnić owe retrowirusy endogenne.

– Pani doktor Lang, czy rozumiemy powody, dla których są w naszym genomie, w naszych tkankach? – Spytał Augustine.

– Na razie nie znamy żadnej teorii, która wyjaśniałaby ich obecność.

– Innej niż czyniącej z nich organizmy chorobotwórcze?

– Liczne substancje w naszych ciałach są jednocześnie korzystne i niezbędne, a mimo to niekiedy wywołują choroby – odparła Kaye. –

Onkogeny to niezbędne geny, które mogą być również pobudzane do wywoływania nowotworu.

Jackson podniósł rękę.

– Chciałbym odeprzeć ten argument, patrząc na niego z perspektywy ewolucyjnej – powiedział. – Choć nie jestem biologiem ewolucyjnym, a nawet nie udawałem go nigdy w telewizji...

Chichoty wszystkich oprócz Shawbecka i wiceprezydenta, którzy zachowali kamienne twarze.

– ...To jestem przekonany, że znam dostatecznie paradygmat wpojony mi w szkole i na uniwersytecie. Według tego paradygmatu ewolucja postępuje poprzez przypadkowe mutacje zachodzące w genomie. Mutacje te zmieniają rodzaj białek lub innych cząsteczek kodowanych przez nasze DNA i są zazwyczaj szkodliwe, gdyż powodują chorobę lub śmierć organizmu. W długim jednak czasie i przy zmienionych warunkach, mutacje mogą tworzyć także i takie nowe formy, które przynoszą korzyści. Chyba się na razie nie mylę, pani doktor?

– Taki jest paradygmat – potwierdziła Kaye.

– Pani jednak mówiła raczej o dotychczas nierozpoznanym mechanizmie, poprzez który genom przejmuje kontrolę nad własną ewolucją, w jakiś sposób wyczuwa, że nadeszła pora zmiany. Zgadza się?

– Na razie tak – powiedziała Kaye. – Uważam, że nasz genom jest dużo mądrzejszy aniżeli my. Dziesiątki tysięcy lat zajęło nam osiągnięcie punktu, w którym mamy nadzieję na zrozumienie, jak działa. Gatunki ziemskie ewoluują, rywalizując i współpracując, od miliardów lat. Nauczyły się przeżywać w warunkach, których nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Nawet najbardziej konserwatywni biolodzy znają różne rodzaje bakterii, które potrafią współpracować i uczyć się nawzajem – obecnie jednak wielu z nich rozumie, że różne

rodzaje organizmów wielokomórkowych, roślin i zwierząt, do których i my się zaliczamy, postępują w zasadzie tak samo, odgrywając swe role w ekosystemie. Gatunki ziemskie nauczyły się przewidywać zmiany klimatyczne i zawczasu na nie reagować, zdobywać przewagę już na starcie, a w naszym przypadku, moim zdaniem, genom człowieka reaguje teraz na zmiany społeczne i wywoływany nimi stres.

Jackson udawał, że przetrwają w umyśle te idee, zanim zapytał:

– Gdyby była pani promotorem i któryś ze studentów zechciał napisać pracę doktorską o tej możliwości, czy zachęcałaby go pani?

– Nie – odparła Kaye szczerze.

– Dlaczego? – Naciskał Jackson.

– Pogląd ten nie zyskał szerokiego poparcia. Ewolucja stała się bardzo zaskorupiałą dziedziną biologii i jedynie kilku śmiazków podważa paradygmat Współczesnej Syntezy Darwinowskiej. Żaden doktorant nie powinien zajmować się tym samotnie.

– Karol Darwin się mylił, a rację ma pani?

Kaye zwróciła się do Augustine'a.

– Czy doktor Jackson prowadzi tu przesłuchanie?

Augustine wystąpił naprzód.

– Doktor Lang, ma pani dziś sposobność udzielenia odpowiedzi swym oponentom.

Kaye obróciła się, lekko zmrużonymi oczyma popatrzyła na Jacksona i obecnych.

– Nie podważam dokonań Karola Darwina, niezmiernie go szanuję. Darwin pierwszy przestrzegałby, abyśmy nie zmieniali naszych idei w niepodważalne dogmaty, dopóki nie poznamy wszystkich rządzących nimi zasad. Sama nie odrzucam zbyt wielu zasad współczesnej syntezy; niewątpliwie wszystko, co wymyśla genom, musi przechodzić test przeżycia. Mutacja jest źródłem nowości

nieprzewidywalnych i niekiedy pożytecznych. Nie wystarcza jednak do wyjaśnienia wszystkiego, co dostrzegamy w przyrodzie. Współczesną syntezę opracowano w okresie, gdy dopiero zaczęliśmy poznawać naturę DNA i kłaść podwaliny dzisiejszej genetyki. Darwin byłby zafascynowany naszą dzisiejszą wiedzą o plazmidach i wymianie swobodnego DNA, o mechanizmie naprawiającym błędy w genomie, o edycji, transpozycji i ukrytych wirusach, o markerach genetycznych i budowie genu, o wszystkich zjawiskach genetycznych, z których wiele nie pasuje gładko do najbardziej sztywnej interpretacji współczesnej syntezy.

– Czy jakkolwiek szanowany naukowiec popiera pogląd, że genom jest samoświadomym „umysłem”, potrafiącym oceniać środowisko i określać przebieg własnej ewolucji?

Kaye zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Potrzebowałabym kilku godzin na poprawianie pana i wyjaśnianie, jak naprawdę wygląda pogląd, który pan streścił, ale z grubsza odpowiedź brzmi „tak”. Niestety, nie mówię o nikim z tu obecnych.

– Czy ich poglądy nie budzą kontrowersji?

– Oczywiście, że budzą – powiedziała Kaye. – W tej dziedzinie nie ma rzeczy niekontrowersyjnych. I wolę unikać słowa „umysł”, gdyż ma konotacje osobowe i religijne, które tylko zaciemniają sprawę. Używam określenia „sieć”; postrzegająca i przystosowująca się sieć współpracujących i rywalizujących osobników.

– Czy uważa pani, że ów umysł, albo sieć, może być w jakiejś mierze odpowiednikiem Boga? – Ku jej zdziwieniu, Jackson zadał to pytanie bez tonu pychy czy wzdargy.

– Nie – odparła Kaye. – Nasze własne mózgi działają jako postrzegające i przystosowujące się sieci, a nie uważam, że jesteśmy bogami.

– Ale nasze mózgi tworzą umysły, przyzna pani?

– Sądzę, że pasuje tu słowo „tak”.

Jackson wzniosł ręce ze zdumieniem i spytał:

– Mamy więc pełen krąg. Jakiś rodzaj Umysłu – może przez duże U – steruje ewolucją?

– Jeszcze raz powtórzę, że musimy tu unikać przesady i nadużywania słów – powiedziała Kaye powoli, a potem uświadomiła sobie, że powinna była pominąć to pytanie milczeniem.

– Czy swoje teorie przedstawiła pani w szerszej postaci w artykule poddanym recenzji i opublikowanym w poważnym czasopiśmie naukowym?

– Nie – odparła Kaye. – Niektóre ich aspekty opisałam w artykułach o HERV-DL 3, które były recenzowane.

– Inne czasopisma odrzuciły wiele pani artykułów?

– Zgadza się – powiedziała Kaye.

– Na przykład „Celi”.

– Tak.

– Czy „Virology” to najbardziej szanowane czasopismo w swej dziedzinie?

– To poważne czasopismo – odparła Kaye. – Publikowało bardzo ważne artykuły.

Jackson porzucił ten wątek.

– Nie zdążyłem przeczytać całości wręczonych przez panią materiałów. Przepraszam. – Wstał. – Czy jest pani przekonana, że którykolwiek z autorów artykułów zawartych w tych materiałach poparłby w pełni pani pogląd na temat sposobów działania ewolucji?

– Na pewno nie – odpowiedziała Kaye. – Dziedzina ta dopiero zaczyna się rozwijać.

– Jeszcze się nawet nie rozwija, doktor Lang, tkwi ciągle w niemowlęctwie, przyzna pani chyba?

– Tak, jest w niemowlęctwie – przyznała śmiało Kaye. – Ale niemowlętami są także wszyscy, którzy odrzucają przekonujące dowody. – Nie mogła się powstrzymać przed zerknięciem na Dickena. Odwzajemnił jej spojrzenie z miną ponurego zdecydowania.

Augustine ponownie wystąpił i wyciągnął rękę.

– Moglibyśmy tak jeszcze całe dni. Na pewno konferencja taka byłaby ciekawa. Musimy jednak ocenić, czy takie poglądy, jakie prezentuje pani doktor Lang, mogą być szkodliwe dla zadań Zespołu Specjalnego. Naszą misją jest ochrona zdrowia narodu, a nie dyskusowanie nad oderwanymi problemami nauki zamkniętej w wieży z kości słoniowej.

– To trochę niesprawiedliwe, Mark – wtrąciła się Marge Cross, wstając. – Kaye, czy czujesz się jak postawiona przed sądem kapturowym?

Kaye pozwoliła sobie na lekkie prychnięcie, na wpół chichot, na wpół westchnienie, spuściła głowę i nią pokiwała.

– Szkoda, że nie mamy czasu – powiedziała Marge. – Naprawdę szkoda. Twoje poglądy są fascynujące i podzielam wiele z nich, moja droga, ale ugrzęźliśmy po uszy w interesach i polityce, musimy ciągnąć to, co wszyscy jesteśmy w stanie znieść i co rozumieją ludzie. W tym pomieszczeniu nie dostrzegam wsparcia, wiem też, że brakuje nam czasu i ochoty, aby wszcząć całkowicie otwartą dyskusję. Niestety, panie doktorze Augustine, nauką zajmują się teraz komitety.

Augustine wyraźnie nie był zadowolony z tego stwierdzenia.

Kaye spojrzała na wiceprezydenta. Ten patrzył na teczkę trzymaną na kolanach, której nie otworzył; wyglądał na zagubionego w tym gąszczu fachowych sporów. Czekał na zakończenie dyskusji.

– Rozumiem, Marge – powiedziała Kaye. Nie mogła powstrzymać drżenia głosu. – Dziękuję ci za tak jasne postawienie sprawy.

– Jako jedyne możliwe wyjście widzę opuszczenie Zespołu

Specjalnego. Przypuszczalnie pomniejszy to moją wartość dla Americolu, dlatego zapowiadam ci, że opuszczę także jego.

Augustine po zebraniu wziął Dickena na stronę. Dicken chciał porozmawiać z Kaye, ale znacznie go wyprzedziła, idąc korytarzem do windy.

– Potoczyło się inaczej, niżbym sobie życzył – powiedział mu Augustine. – Nie chcę pozbywać się jej z Zespołu Specjalnego. Wystarczy mi, że nie rozgłosi publicznie tych poglądów. Chryste, Jackson pewnie wyrządził nam wszystkim niedźwiedzią przysługę...

– Znam dość dobrze Kaye Lang – odparł Dicken. – Odeszła na dobre; no tak, została wkurzona, ale nie odpowiadam za Jacksona.

– Co więc, u diabła, możesz zrobić, aby to wszystko posklejać? – Spytał Augustine.

Dicken odsunął się od niego.

– Nada, Mark. Nawet kiwnąć palcem. I nie prosź mnie, abym próbował.

Shawbeck podszedł do nich z ponurą miną.

– Na jutro zapowiadany jest kolejny marsz na Waszyngton. Grupy kobiet, chrześcijańskie, czarne, hiszpańskie. Ewakuują Kapitol i Biały Dom.

– Jezu Chryste – powiedział Augustine. – Co zamierzają, zamknąć kraj na klucz i wyjechać?

– Prezydent zgodził się na pełną obronę. Przez regularną armię i Gwardię Narodową. Burmistrz zamierza chyba ogłosić w mieście stan wyjątkowy. Wiceprezydent leci wieczorem do Los Angeles. Panowie, my też powinniśmy się stąd wynosić.

Dicken słyszał, jak Kaye spiera się ze swym ochroniarzem. Ruszył szybko korytarzem, aby zobaczyć, co się dzieje, ale byli już w windzie, której drzwi się zamknęły, zanim do nich doszedł.

Kaye stała w holu na parterze, z rękoma na biodrach, krzycząc ile

sił w płucach.

– Nie chcę waszej ochrony! Nie chcę żadnego z was! Mówiłam już...

– Nie mam możliwości wyboru, pani doktor – powiedział Benson, jak byczek zapierając się w miejscu. – Mamy stan alarmowy.

– Nie może pani wrócić do swego mieszkania, póki nie ściągniemy tu więcej ludzi, a potrwa to co najmniej godzinę.

Ochrona budynku zamknęła drzwi frontowe i ustawiała zapory. Kaye okręciła się, zobaczyła barykady, gapiów za szklanymi drzwiami. Na boczne wejście powoli opuszczały się stalowe kraty.

– Czy mogę zadzwonić?

– Nie teraz, pani Lang – odparł Benson. – Przeprosiłbym za to wszystko, gdyby było moją winą, wie pani przecież.

– Tak jak za to, że Augustine usłyszał od ciebie, kto był w moim mieszkaniu!

– Spytał portiera, pani Lang, a nie mnie.

– A więc to tak, teraz jesteśmy my i oni? Chcę być na zewnątrz z prawdziwymi ludźmi, a nie tutaj...

– Nie chciałyby pani, gdyby panią rozpoznali – powiedział Benson.

– Karl, na miłość boską, złożyłam rezygnację!

Agent podniósł ręce i mocno pokręcił głową; to bez znaczenia.

– No to gdzie mam pójść?

– Wraz z innymi naukowcami do saloniku dyrekcji.

– Z Jacksonem? – Kaye zagryzła wargę i popatrzyła na sufit, wstrząsana bezradnym śmiechem.

Uniwersytet Stanu Nowy Jork, Albany

Mitch patrzył przez okno taksówki na studentów maszerujących wysadzaną drzewami aleją. Po drodze z domów i gmachów publicznych wylewali się ludzie. Tym razem nie mieli żadnych tablic, transparentów, ale wszyscy wznosili wysoko lewą rękę z wyprostowanymi palcami, wnętrzem dłoni do przodu. Kierowca, imigrant z Somalii, pochylił głowę i wyjrzał przez prawe okienko.

– Co to znaczy, ręka w górze?

– Nie wiem – odparł Mitch.

Marsz zatrzymał ich na skrzyżowaniu. Kampus uniwersytecki był zaledwie kilka przecznic dalej, ale Mitch wątpił, aby dotarli tam dzisiaj.

– Straszne – powiedział taksówkarz, zerkając przez ramię na Mitcha. – Chcą, aby coś zrobili, tak?

Mitch przytaknął.

– Chyba tak.

Kierowca pokręcił głową.

– Nie mogę jechać dalej. Trzeba by długo czekać. Przepraszam, odwiozę pana na dworzec, gdzie będzie pan bezpieczny.

– Nie – powiedział Mitch. – Wsiądę tutaj.

Zapłacił kierowcy i wyszedł na chodnik. Taksówka zawróciła i odjechała, zanim zdążyły ją zablokować inne samochody.

Mitch zacisnął szczęki. Skórą i nosem czuł napięcie, elektryczność

gromadzącą się w tłumie, długim potoku mężczyzn i kobiet, na początku głównie młodych, ale teraz coraz starszych, wyłaniających się z budynków; wszyscy maszerowali ze wzniesioną lewą ręką.

Nie pięścią, ręką. Mitch uznał to za znaczące.

Samochód policyjny zatrzymał się zaledwie kilka jardów od niego. Dwaj funkcjonariusze stanęli przy otwartych drzwiczkach, patrząc tylko.

W dniu, w którym po raz pierwszy się kochali, Kaye żartowała o założeniu masek. Tak mało razy się kochali. Coś ścisnęło mu gardło. Zastanawiał się, ile maszerujących kobiet jest w ciąży, u ilu testy na obecność SHEVY dały wynik pozytywny, jak to wpłynęło na ich związki.

– Wie pan, co się dzieje? – Zawołał policjant do Mitcha.

– Nie.

– Sądzi pan, że zrobi się gorąco?

– Mam nadzieję, że nie – odparł Mitch.

– Nic nam nie powiedziano – poskarżył się policjant, potem wsiadł do radiowozu. Samochód ruszył na wstecznym, ale zatrzymały go inne i nie mógł posuwać się dalej. Mitch pomyślał, że mądrze zrobili, nie włączając syreny.

Marsz różnił się od tego w San Diego. Ludzie byli tutaj zmęczeni, po ciężkich przejściach, prawie bez resztek nadziei. Mitch chciałby móc im powiedzieć, że cały ich lęk jest niepotrzebny, że to nie choroba, zaraza, ale stracił już pewność, w co wierzyć. Wszystkie przekonania i cała wiara wyparowały w obliczu tej potężnej fali emocji i strachu.

Nie chciał pracy na SUNY. Pragnął być przy Kaye; pragnął ją chronić, pomagać jej wyjść z tego cało zawodowo i osobiście, pragnął również, aby to ona pomagała jemu.

To nie był dobry czas na samotność. Cały świat cierpiał.

Baltimore

Kaye otworzyła drzwi mieszkania i weszła powoli. Dwukrotnym kopnięciem zamknęła ciężkie drzwi, potem jeszcze pchnęła ręką, aby zatrzaskał się zamek. Torebkę i walizkę położyła na krześle i przez chwilę stała, jakby odzyskując siły. Nie spała od dwudziestu ośmiu godzin. Na dworze był późny ranek.

Zamrugało do niej światło automatycznej sekretarki. Odsłuchiwała trzy wiadomości. Pierwsza była od Judith Kushner, proszącej o oddzwonienie. Druga od Mitcha, który zostawił numer telefoniczny w Albany. Trzecia również od Mitcha. „Zdołałem wrócić do Baltimore, ale nie było to łatwe. Nie wpuścili mnie do budynku, choć miałem klucz, który mi dałaś. Próbowałem w Americolu, ale w centrali mówią, że nie łączą rozmów z zewnątrz, że jesteś niedostępna, i tym podobne. Bardzo się martwię, Kaye. Tutaj robi się piekło. Zadzwonię za parę godzin i zobaczę, czy jesteś w domu”.

Kaye otarła oczy i zaklęła pod nosem. Ledwo widziała. Czuła się, jakby wdepnęła w kisiel, a nikt nie pozwalał jej oczyścić butów.

Americol od dziewięciu godzin otaczały cztery tysiące manifestantów, odcinając cały ruch wokół budynku. Wkroczyła policja i udało się jej zmusić tłum do ruchu, rozbić go na mniejsze i łatwiejsze do opanowania grupy. Wywołało to zamieszki, zaczęło się podpalanie, przewracanie samochodów.

– Gdzie mam zadzwonić, Mitch? – Szepnęła, biorąc słuchawkę z ładowarki. Przeglądała książkę telefoniczną, szukając numeru

YMCA, kiedy telefon zadzwonił jej w dłoni.

Przyłożyła słuchawkę do ucha.

– Halo?

– Tu znowu Mroczny Intruz. Co u ciebie?

– Mitch, o Boże, u mnie dobrze, ale jestem skonana.

– Przeszedłem całe śródmieście. Spalili częściowo centrum konferencyjne.

– Wiem. Gdzie jesteście?

– Już blisko. Widzę twój blok i Pepto-Bismol Tower.

– Bromo-Seltzer – roześmiała się Kaye. – Wieża niebieska, a nie różowa. – Głęboko odetchnęła. – Nie chcę cię tutaj. To znaczy, nie chcę dłużej być z tobą tutaj. Mitch, gadam bez sensu. Bardzo cię potrzebuję. Przyjdź proszę. Muszę się spakować i wyjść. Goryl jest tu nadal, ale został w holu. Zadzwonię do niego i powiem żeby cię wpuścił.

– Nawet nie spróbowałem otrzymać pracy na SUNY – powiedział Mitch.

– Zerwałam z Americolem i Zespołem Specjalnym. Jesteśmy kwita.

– Oboje wylądowaliśmy na bruku?

– Bez roboty, korzeni i żadnych źródeł utrzymania. Oprócz sporego konta w banku.

– I gdzie my się teraz podziejemy? – Zapytał Mitch.

Kaye sięgnęła do torebki i wyjęła dwa pudełeczka z testami na SHEVE. Wzięła je z magazynu na siódmym piętrze Americolu.

– Może pojedziemy do Seattle? Masz tam mieszkanie, zdaje się?

– Tak.

– Doskonale. Pragnę cię, Mitch. Żyjmy długo i szczęśliwie w twej kawalerce w Seattle.

– Zwariowałam. Już idę.

Rozłączyła się i roześmiała z ulgą, potem zaczęła łkać. Pogładziła

telefonem policzek, pojęła, jakie to głupie i odłożyła komórkę.

– Naprawdę jestem jak na głodzie – powiedziała do siebie, idąc do kuchni. Kopnięciem zrzuciła buty, zdjęła ze ściany należącą do matki grafikę Parrisha, położyła ją na stole w jadalni, potem wszystkie inne związane z nią, jej rodziną, przeszłością.

W kuchni z kurka lodówki naląła szklanek zimnej wody.

– Pieprzyć luksus, pieprzyć bezpieczeństwo. Pieprzyć dobre wychowanie. – Wymieniła listę z dziesięciu innych rzeczy do pieprzenia, a na samym jej końcu umieściła: – beznadziejnie głupią mnie.

Potem przypomniała sobie, że powinna uprzedzić Bensaona o przyjsciu Mitcha.

Atlanta

Dicken szedł do swego starego pokoju w podziemiu budynku nr 1 przy Clifton Road 1600. Po drodze torował sobie przejście winylową torbą zawierającą nowe materiały – specjalną przepustkę federalną, świeżo wydrukowane instrukcje dotyczące nowych procedur bezpieczeństwa, tematy rozmów wyznaczonych na ten tydzień. Nie mógł uwierzyć, że do tego doszło. Oddziały Gwardii Narodowej patrołowały okolice i tereny CDC, choć bowiem nie doszło tam jeszcze do żadnych aktów przemocy, to co najmniej dziesięć razy dziennie dzwoniono z groźbami do głównej centrali.

Otworzył drzwi swego gabinetu i chwilę stał w tym pokoiku, rozkoszując się chłodem i ciszą. Wolałby być w Lagos lub Tegucigalpie. Bardziej na swoim miejscu czuł się w ciężkich warunkach odległych terenów; nawet Gruzja była dlań trochę zbyt cywilizowana, a zatem jak na jego gust trochę zbyt niebezpieczna.

Zdecydowanie wolał wirusy od niepanujących nad sobą ludzi.

Rzucił torbę na biurko. Przez chwilę nie pamiętał, po co tu przyszedł. Miał coś zabrać dla Augustine'a. Potem sobie przypomniał: pochodzące z Northside Hospital protokoły z sekcji płodów pierwszego stadium. Augustine pracował nad projektem tak ściśle tajnym, że Dicken nic o nim nie wiedział, ale w związku z nim kopiowane były wszystkie znajdujące się w budynku materiały dotyczące HERV i SHEVY.

Odnalazł protokoły, potem stał pogrążony w myślach,

przypominając sobie rozmowę z Jane Salter sprzed kilku miesięcy o wrzaskach małp w tych starych podziemnych pomieszczeniach.

Tupał nogą w rytm starej i makabrycznej piosenki dziecięcej, mrużąc: „Robaki wchodzą, robaki wychodzą, małpy zakrzyczą i małpy zawyją...”.

Już nie miał wątpliwości. Christopher Dicken grał zespołowo, mając nadzieję jedynie na to, że wyjdzie z tego posiadając umysł i uczucia w najwyżej kilku spójnych kawałkach.

Wziął winylową torbę i teczki i opuścił pokój.

Baltimore

28 kwietnia

Kaye zarzuciła na ramię torbę z ubraniami. Mitch wziął dwie walizki i stał w drzwiach, przytrzymywanych w otwartej pozycji gumowym klockiem. Do samochodu w garażu apartamentowca załadowali już trzy pudła. – Powiedzieli, że mam być w kontakcie. – Kaye pokazała Mitchowi czarny telefon komórkowy. – Marge płaci za nią. A Augustine powiedział, że nie mogę udzielać żadnych wywiadów. To przeżyję. Co z tobą?

– Mam zamknięte usta.

– Pocałunkami? – Kaye trąciła go biodrem.

Benson zjechał z nimi do garażu. Z miną wyrażającą wyraźne niezadowolenie przyglądał się, jak ładują samochód Mitcha.

– Nie podoba ci się moje rozumienie wolności? – Zapytała zaczepnie agenta Kaye, zatraskując bagażnik. Jęknęły tylne resory samochodu.

– Zabiera pani z sobą wszystko, pani doktor – odparł Benson z wielką powagą.

– Nie podoba mu się towarzystwo, jakie wybrałaś – powiedział Mitch.

– Pewnie – stwierdziła Kaye, stając obok Bensona i odrzucając włosy do tyłu. – Ma przecież dobry gust.

Benson się uśmiechnął.

– Głupio pani robi, wyjeżdżając bez ochrony.

– Może – odparła Kaye. – Dziękuję za twoją czujność. Przekaż wyrazy mojej wdzięczności.

– Tak jest, pani doktor – powiedział Benson. – Powodzenia.

Kaye objęła go. Benson się zarumienił.

– Jedziemy – rzuciła Kaye.

Przesunęła palcem po ramie drzwiczek buicka, szaroniebieskim lakierze zmatowiałym od zużycia. Zapytała Mitcha, ile lat ma samochód.

– Nie wiem – odparł. – Z dziesięć, piętnaście.

– Znajdź salon – poleciała Kaye. – Kupię ci nowiutkiego land rovera.

– Wystarcza mi ten, całkowicie. – Mitch uniósł brew. – Wolę nie rzucać się w oczy.

– Uwielbiam, gdy to robisz – powiedziała Kaye, podnosząc wysoko swą znacznie skromniejszą brew. Mitch się zaśmiał.

– No to zapomnij – powiedziała. – Zostań przy buicku. Będziemy obozować pod gwiazdami.

W drodze do Waszyngtonu

Należący do lotnictwa wojskowego odrzutowiec pasażerski Falcon leciał gładko na wschód. Augustine popijał colę i często wyglądał przez okno, wyraźnie zdenerwowany lotem. Dicken nie znał dotąd tej strony jego charakteru; nigdy przedtem nie lecieli razem. – Możemy przedstawić silne poszlaki wskazujące, że jeśli nawet płody SHEVY drugiego stadium przeżyją poród, będą przenosić wielką różnorodność zakaźnych HERV-ów – powiedział Augustine.

– Czyje to dowody? – Zapytała Jane Salter. Była nieco zarumieniona od ciepła w samolocie oczekującym na start; w najlepszym razie tylko trochę przejmowała się wojskowym otoczeniem.

– Badaczom z Zespołu Specjalnego kazałem zebrać wyniki biopsji z ostatnich dwóch tygodni, powodując się wyłącznie przecuciem. Znamy HERV-y ulegające ekspresji w najrozmaitszych warunkach, ale te cząsteczki nigdy dotąd nie były zakaźne.

– Nadal nie wiemy, jakim cholernym celom służą cząsteczki niezakaźne, jeśli w ogóle mają jakieś – powiedziała Salter. Inni członkowie kierownictwa, młodszy i mniej doświadczony, siedzieli spokojnie w swoich fotelach, poprzestając na słuchaniu.

– Żadnym dobrym – odparł Augustine, klepiąc poręcz fotela. Ciężko przełknął ślinę i znowu wyjrzał przez okno. – HERV ciągle wytwarzał cząsteczki wirusowe niemające charakteru zakaźnego... Dopóki

SHEVA nie zaczęła kodować pełnego zestawu narzędzi, wszystkiego, co konieczne dla złożenia wirusa i jego ucieczki z komórki. Mam sześć opinii ekspertów, w tym Jacksona, twierdzących, że SHEVA umie „uczyć” inne HERV-y, jak mają być znowu zakaźne. Najbardziej czynne stają się u osobników, u których komórki szybko się dzielą, a zatem w płodach SHEVY. Być może będziemy się musieli zmierzyć z chorobami, jakich nie widzieliśmy od milionów lat.

– chorobami, które być może przestaną być dla ludzi groźne – powiedział Dicken.

– Czy możemy na to liczyć? – Zapytał Augustine. Dicken wzruszył ramionami.

– Co więc chcesz zalecać? – Spytała Salter.

– W Waszyngtonie już zarządzono godzinę policyjną, a w każdej chwili mogą tam wprowadzić stan wojenny, wystarczy, że ktoś zbije szybę w oknie albo przewróci samochód. Skończą się demonstracje, podlegające komentarze... Politycy nie znoszą, jak się ich linczuje. To nie potrwa długo. Prosty lud jest jak stado krów, a jak rozpęta się burza, to zdenerwują się nawet kowboje.

– Niezbyt fortunne porównanie, doktorze Augustine – rzuciła surowo Salter.

– No dobrze, wybiorę inne – odparł Augustine. – Na wysokości dwudziestu tysięcy stóp nie jestem w najlepszej formie.

– Uważasz, że zostanie wprowadzony stan wojenny – zapytał Dicken – a wtedy będziemy mogli internować wszystkie kobiety w ciąży i zabierać im dzieci... Na badania?

– To straszne – przyznał Augustine. – Większość płodów prawdopodobnie umrze, a może i wszystkie. Jeśli jednak jakieś przeżyją, pewnie zdołam przekonać, kogo trzeba, że konieczne jest ich internowanie.

– Mówimy o gaszeniu ognia benzyną – zauważył Dicken.

Augustine zgodził się po namyśle.

– Łamię sobie głowę, próbując znaleźć inne wyjście. Przedstawię alternatywne rozwiązania.

– Może nie powinniśmy teraz mącić wody – powiedziała Salter.

– Nie mam zamiaru teraz nic mówić ani robić. Praca trwa.

– Lepiej, abyśmy się znaleźli na twardym gruncie – powiedział Dicken.

– Święta racja – przyznał Augustine z grymasem. – Terra firma, i im szybciej, tym lepiej.

Opuszczając Baltimore

– Każdy przeciw czemuś występuje – zauważył Mitch, wyjeżdżając z miasta drogą stanową 26, aby ominąć główne autostrady. Blokowało je zbyt wielu demonstrantów – w samochodach, na motocyklach, a nawet rowerach, przy czym wszyscy twierdzili, że korzystają z prawa do nieposłuszeństwa obywatelskiego. I tak musieli w śródmieściu odczekać dwadzieścia minut, dopóki policja nie usunęła ton śmieci porzuconych przez protestujących pracowników zakładów oczyszczania miasta. – Zawiedliśmy ich – powiedziała Kaye.

– Ty nie zawiodłaś – odparł Mitch, próbując znaleźć uliczkę, w którą mógłby skręcić.

– Spieprzyłam wszystko i nie zdołałam przekonać do moich racji – mruzczała pod nosem zdenerwowana Kaye.

– Coś się stało? – Zapytał Mitch.

– Nie ze mną – odparła szybko. – Z całą tą cholerną planetą.

W Wirginii Zachodniej zajechali na kemping KOA i zapłacili trzydzieści dolarów za miejsce pod namiot. Mitch rozbił lekką kopułkę, kupioną w Austrii przed spotkaniem Tilde, i ustawił kuchenkę turystyczną, a wszystko pod młodym dębem górującym nad płaską doliną, w której na starannie zaoranym polu tkwiły beczynnienie dwa traktory.

Słońce zaszło dwadzieścia minut wcześniej, a niebo zasnuwały obłoczki. Powietrze zaczęło się właśnie oziębiać. Kaye kleiły się włosy, obcierały ją elastyczne majtki.

Jakaś rodzina rozbiła dwa namioty mniej więcej sto jardów dalej, reszta kempingu była pusta.

Kaye weszła pod tropik.

– Chodź tu! – Zawołała Mitcha. Zdjęła ubranie i położyła się na rozłożonym przez Mitcha śpiworze. Mitch zostawił kuchenkę i wetknął głowę do namiotu.

– O Boże, kobieto – powiedział z podziwem.

– Czujesz mój zapach? – Spytała.

– Oczywiście, proszę pani – odparł akcentem z Karoliny Północnej, naśladowując agenta Bena. Wślizgnął się obok Kaye.

– Jeszcze jest ciepło.

– Czuję twój – powiedziała Kaye. Miała wyczekującą i poważną minę. Pomogła mu zdjąć koszulę, a on sam zdarł spodenki, zanim sięgnął po saszetkę z przyborami do golenia, w której trzymał prezerwatywy. Gdy zaczął otwierać opakowanie, pochyliła się nad nim i pocałowała penis w erekcji. – Nie tym razem – powiedziała. Lizła go szybko; podniosła głowę. – Chcę ciebie, nic oprócz ciebie.

Mitch wziął w dłonie głowę Kaye i odsunął od siebie jej usta.

– Nie – odparł.

– Dlaczego nie? – Zapytała.

– Jesteś płodna.

– Skąd, u diabła, wiesz?

– Widzę to po twojej skórze. Czuję też zapach.

– Jestem tego pewna – powiedziała Kaye z podziwem. – Czy czujesz coś jeszcze? – Przysunęła się do niego, uniosła nad jego głowę, przełożyła kolano na drugą stronę.

– Wiosnę – odparł Mitch, pomagając jej.

– Wygięła plecy w tył, przekręciła się do połowy, zręcznie pieściła go, gdy znalazł się między jej nogami.

– Baletnica – rzucił Mitch stłumionym głosem.

– Też jesteś płodny – powiedziała. – Inaczej byś tak nie mówił.

– Hmm.

Podniosła się znowu, stoczyła z niego, przekręciła, aby się znaleźć przed nim.

– Rozsiewasz – rzuciła.

– Mitch wykrzywił twarz w zdumieniu.

– Co?

– Rozsiewasz SHEVE. Test dał wynik pozytywny.

– Wielki Boże, Kaye. Wiesz doskonale, jak zepsuć nastrój.

– Mitch odepchnął się i usiadł z nogami wepchniętymi w narożnik namiotu. – Nie sądziłem, że to może się toczyć tak szybko.

– Coś uważa, że jestem twoją kobietą – powiedziała Kaye. – Przyroda twierdzi, że długo będziemy z sobą. Chciałabym, aby było tak naprawdę.

Mitch pogubił się całkowicie.

– Ja też, ale nie musimy postępować jak idioci.

– Każdy mężczyzna chce się kochać z płodną kobietą. Tkwi to w ich genach.

– Co za bzdura. – Mitch odsunął się od niej. – Co, u diabła, wyprawiasz?

Kaye przykucnęła obok niego i opadła na kolana. Rozpalała go do czerwoności. Cały namiot wypełniały zapachy ich obojga i Mitch nie mógł myśleć jasno.

– Mitch, możemy im dowieść, że się mylą.

– W czym?

– Kiedyś się martwiłam, że nie można łączyć pracy i założenia rodziny. Teraz nie ma takiego konfliktu. Jestem swoim laboratorium.

– Mitch uparcie kręcił głową.

– Nie.

Kaye wyciągnęła się obok niego, złożyła mu głowę na ramieniu.

– Przyznasz chyba, że to ładny sprzęt? – Zapytała łagodnie.

– Nie mamy zielonego pojęcia, co się stanie – odparł Mitch. Do oczu cisnęły mu się łzy, wywołane po części strachem, po części innym uczuciem, którego nie potrafił określić, dość bliskim czystej rozkoszy fizycznej. Ciało pragnęło jej teraz niezmiernie. Wiedział, że jeśli ulegnie, będzie to najgorętszy stosunek w całym jego życiu. Ale jeśli ulegnie, zapewne nigdy sobie tego nie wybaczy.

– Wiem, że wierzysz, iż mamy rację, a także, że będziesz dobrym ojcem. – Kaye zwięźliła oczy w szparki. Powoli unosiła jedną nogę. – Jeśli teraz czegoś nie zrobimy, to może nie zrobimy tego już nigdy i nigdy się nie dowiemy. Bądź moim facetem. Proszę.

Łzy napłynęły strugą i Mitch ukrył twarz. Podniosła się zaraz, objęła go i przeproszała, wyczuwając, jak drży. Niewyraźnym, szarpanym głosem mamrotał niespójnie, że kobiety po prostu nie rozumieją, nigdy nie są w stanie zrozumieć.

Kaye ukoła go jak dziecko i położyła się obok; przez chwilę ciszę między nimi zakłócało jedynie łopotanie tropiku na wietrze.

– To nic złego – powiedziała. Otarła twarz i spojrzała na niego, przestraszona tym, co wywołała. – To być może jedyna słuszna rzecz do zrobienia.

– Przepraszam – powiedziała Kaye sztywno, gdy ładowali samochód. Z leżących poniżej kempingu płaskich pól dopływał chłodny podmuch porannej bryzy. Szeleściły liście dębu. Traktory stały bez ruchu wśród nieskazitelnych, pustych bruzd.

– Nie masz za co przeproszać – stwierdził Mitch, otrząsając namiot. Zwinął go i wcisnął do długiego, fabrycznego pokrowca, a potem z pomocą Kaye rozłączył maszty i złożył je w wiązki związane na górze i dole napinającymi namiot linkami.

W nocy się nie kochali, a Mitch prawie wcale nie zmrużył oka.

– Coś ci się śniło? – Spytała Kaye, gdy popijali gorącą kawę

zaparzoną w kuchence turystycznej.

Mitch pokręcił głową.

– A tobie?

– Spałam tylko kilka godzin – odpowiedziała. – Śniłam o pracy w EcoBacter. Wszystkich przychodzących i wychodzących ludziach. Byłeś tam. – Kaye nie chciała mówić Mitchowi, że we śnie go nie rozpoznała.

– Niezbyt ciekawe – uznał.

Po drodze rzadko dostrzegali coś niezwykłego. Jechali na zachód dwupasmową szosą, mijając miasteczka – górnicze, stare, przemęczone miasteczka, przemalowane, wyremontowane, odpicowane miasteczka, mijając wielkie stare domy na bogatej starej wsi, przekształcone w pensjonaty dla zamożnych młodych ludzi z Filadelfii, Waszyngtonu, a nawet Nowego Jorku.

Mitch włączał radio i słuchali o czuwaniu przy świecach na Kapitolu, uroczystościach ku czci zmarłych senatorów, pogrzebach innych ofiar zamieszek. Mówiono o pracach nad szczepionką, o tym, że zdaniem naukowców pałeczkę przejmie teraz James Mondavi, a może zespół z Princeton. Jackson był chyba w odstawce i Kaye go żałowała, pomimo wszystkiego, co się między nimi działo.

Zjedli posiłek w High Street Grill w Morgantown, nowej restauracji zaprojektowanej tak, aby wyglądała na starą i szacowną, z kolonialnym wystrojem, o stolikach z grubymi drewnianymi blatami, pokrytymi przezroczystą sztuczną żywicą. Szyld na froncie obiecywał, że restauracja będzie „Ledwo odrobinę starsza niż Millennium, a do tego znacznie mniej ważna”.

Kaye patrzyła bacznie na Mitcha, biorąc kanapkę klubową.

Mitch unikał jej spojrzenia i przyglądał się gościom; wszyscy byli mocno zajęci wpychaniem paliwa w swe ciała. Starsze pary siedziały w milczeniu; samotny mężczyzna przy sąsiednim stoliku obok

parującej filiżanki kawy położył wełnianą czapkę; trzy nastolatki w łoży długimi łyżeczkami nabierały deser lodowy. Obsługa była młoda i uprzejma, a żadna z kobiet nie nosiła maski.

– Uwierzyłem teraz, że jestem zwykłym facetem – powiedział Mitch cicho, wpatrując się w stojącą przed nim miseczkę z papryczką chili. – Nigdy nie uważałem, że będę dobrym ojcem.

– Dlaczego? – Zapytała Kaye równie cicho, jakby omawiali jakąś tajemnicę.

– Zawsze pochłaniała mnie praca, wędrowanie i odwiedzanie miejsc, gdzie natrafiono na coś ciekawego. Jestem bardzo samolubny. Tak naprawdę nigdy nie sądziłem, że jakakolwiek inteligentna kobieta zechce mnie na ojca czy na męża. Niektóre jasno dawały do zrozumienia, że to nie dlatego są ze mną.

– No – powiedziała Kaye, całkowicie weń wsłuchana, jakby każde słowo mogło nieść podpowiedź, dzięki której zdoła rozwiązać dręczącą ją zagadkę.

Kelnerka zapytała, czy chcą jeszcze herbaty albo deseru. Odmówili.

– To takie pospolite – powiedział Mitch, podnosząc łyżeczkę i zakreślając nią mały łuk obejmujący całą restaurację. – Czuję się jak wielki robal pośrodku salonu Normana Rockwella.

– Właśnie – roześmiała się Kaye.

– Co znaczy to „właśnie”?

– Byłeś sobą, mówiąc to. I czuję, jak w środku cała drzę.

– To przez jedzenie – stwierdził Mitch.

– Przez ciebie.

– Muszę zostać mężem, zanim będę ojcem.

– To na pewno nie przez jedzenie. Trzęsę się, Mitch. – Wyciągnęła rękę i wypuścił łyżeczkę, aby ją ująć. Palce miała zimne, szczykała zębami, choć w środku było ciepło.

– Myślę, że powinniśmy się pobrać – powiedział Mitch.

- Cudowny pomysł.
 - Wyciągnął rękę.
 - Czy wyjdiesz za mnie?
 - Kaye przez chwilę wstrzymywała oddech.
 - O Boże, tak – odparła z krótkim westchnieniem ulgi.
 - Mamy źle w głowie i nie wiemy, w co się pakujemy.
 - Nie wiemy – przyznała Kaye.
 - Jesteśmy na progu spróbowania czegoś nowego, obcego nam – powiedział Mitch. – Czy nie wydaje ci się to przerażające?
 - Dogłębnie.
 - A jeśli się mylimy, jedna katastrofa pociągnie za sobą następne.
- Ból. Rozpacz.
- Nie mylimy się – zapewniła Kaye. – Zostań moim facetem.
 - Jestem twój.
 - Kochasz mnie?
 - Kocham cię tak, jak nigdy przedtem nikogo nie kochałem.
 - Tak szybko. To niewiarygodne.
 - Mitch przytakiwał ze szczerym przekonaniem.
 - Ale za mocno cię kocham, abym mógł przemilczeć małą uwagę.
 - Słucham.
 - Martwi mnie, że nazwałaś siebie laboratorium. To brzmi zimno i trochę tak, jakby nie chodziło o ciebie, Kaye.
 - Mam nadzieję, że dostrzegasz, co kryje się za słowami.
- Dostrzegasz, co chciałam powiedzieć i zrobić.
- Mógłbym – powiedział Mitch. – Tylko odrobinę.
 - Jak w górach.
 - Niezbyt lubię góry.
 - A ja je kocham – powiedziała Kaye, rozmyślając o stokach i białych wierzchołkach Kazbeku. – Dają wolność.
 - No. Zeskoczysz i będziesz miała dziesięć tysięcy stóp czystej

wolności.

Gdy Mitch płacił rachunek, Kaye poszła do toalety. W nagłym impulsie wyjęła z portmonetki kartę telefoniczną i kartkę papieru, a potem podniosła słuchawkę automatu.

Zadzwoiła do pani Luelli Hamilton w Richmond w stanie Wirginia. Wyprosiła jej numer u telefonistki w centrali kliniki.

Usłyszała głęboki, aksamitny głos mężczyzny.

– Przepraszam, czy jest może pani Hamilton?

Jemy wczesną kolację – odparł mężczyzna. – Kto chce z nią rozmawiać?

– Kaye Lang. Doktor Lang.

Mężczyzna coś wymamrotał, zawołał „Luella!” i nastąpiło kilka sekund ciszy. Nowe głosy. Luella Hamilton wzięła słuchawkę, jej oddech chwilę zazgrzytał w mikrofonie, potem stał się znajomy i spokojny.

– Albert powiedział, że to Kaye Lang, czy tak?

– To ja, pani Hamilton.

– No, Kaye, jestem teraz w domu i już nie trzeba mnie badać.

– Chciałam powiadomić, że odeszłam z Zespołu Specjalnego, pani Hamilton.

– Proszę, mów mi Lu. A dlaczegoż to, Kaye?

– Nasze drogi się rozeszły. Jadę na Zachód i martwię się o ciebie.

– Nie ma czym się martwić. Albert i dzieciaki są zdrowi, a ja też czuję się dobrze.

– Może zbytnio się przejmuję. Dużo o tobie myślę.

– No, doktor Lipton dała mi pigułki, te zabijające dzieci, zanim urosną duże, w środku. Znasz te pigułki.

– Znam.

– Nikomu o nich nie mówiłam i zastanawialiśmy się nad tym, tylko Albert i ja, i jesteśmy zgodni. Powiedział, że wierzy w to, co mówią

naukowcy, ale nie we wszystko, a jeszcze, że jestem za brzydka, aby coś kręcić za jego plecami. – Wybuchnęła głębokim śmiechem, w którym nie było za grosz wiary. – Nie zna nas, kobiet, i naszych możliwości, przyznasz, Kaye? – Potem, ciszej, do kogoś za sobą: – Przestań. Przecież rozmawiam.

– Nie zna – powiedziała Kaye.

– Zamierzamy mieć to dziecko – ciągnęła pani Hamilton, mocno podkreślając słowo „mieć”. – Powiedz doktor Lipton i ludziom w klinice. Kimkolwiek jest, jest nasze i zamierzamy mu dać szansę powalczenia o siebie.

– Bardzo się cieszę, słysząc to, Lu.

– Cieszysz się, Kaye? A może jesteś też ciekawa?

Kaye roześmiała się i poczuła, jak jej śmiech się rwie, grożąc przejściem w łzy.

– Jestem.

– Chciałabyś zobaczyć to dziecko, gdy się urodzi?

– Chciałabym kupić wam obojgu prezent – odparła Kaye.

– To miłe. Czemu sama nie znajdziesz faceta i nie złapiesz tej grypy, spotkamy się wtedy i porównamy, ty i ja, nasze dwa piękne bobasy, co? I to ja kupię prezent tobie. – Nie było w jej słowach ani odrobiny gniewu, absurdalności czy urazy.

– Może tak zrobię, Lu.

– Muszę kończyć, Kaye. Dziękuję za troskę o mnie i no wiesz, za to, że widziałas we mnie człowieka, a nie tylko królika doświadczalnego.

– Czy mogę jeszcze zadzwonić?

– Wkrótce się przeprowadzamy, Kaye, ale się odnajdziemy.

Na pewno. Uważaj na siebie.

Kaye szła długim korytarzem wiodącym z toalet. Dotknęła czoła. Była rozpalona. Także z jej żołądkiem coś się działo. Złap tę grypę, spotkamy się i porównamy.

Mitch stał przed restauracją z rękoma w kieszeniach, patrząc na przejeżdżające samochody. Odwrócił się i uśmiechnął do niej, gdy usłyszał odgłos otwierających się ciężkich, drewnianych drzwi.

– Zadzwoiłam do pani Hamilton – powiedziała. – Zamierza urodzić dziecko.

– Jest bardzo dzielna.

– Ludzie rodzą dzieci od milionów lat – zauważyła Kaye.

– Jasne. Bułka z masłem. Gdzie chcesz, abyśmy się pobrali? – Zapytał Mitch.

– Może w Columbus?

– Może w Morgantown?

– Pewnie – rzuciła Kaye.

– Jeśli będę się nad tym dłużej zastanawiał, stanę się zupełnie do niczego.

– Wątpię – powiedziała Kaye. Świeże powietrze sprawiło, że poczuła się lepiej.

Pojechali na ulicę Spruce i tam, w kwaciarni Monongahela Florist Company, Mitch kupił Kaye tuzin róż. Minęli pieszo siedzibę władz hrabstwa i ośrodek opieki nad osobami starszymi, potem przeszli przez ulicę High, kierując się na wysoką wieżę zegarową i maszt flagowy sądu hrabstwa. Zatrzymali się pod rozłożystym baldachimem klonów, aby obejrzeć mozaiki i cegły z napisami, zdobiące plac przed budynkiem sądowym.

– „Pamiętamy z miłością, James Crutchfield, lat 11” – przeczytała Kaye. Wiatr szeleścił w gałęziach klonu, a zielone liście szumiały w sposób przypominający szepty lub stare wspomnienia.

– „Moja miłość przez pięćdziesiąt lat, May Ellen Baker” – przeczytał Mitch.

– Jak myślisz, czy będziemy razem tak długo? – Spytała Kaye.

Mitch uśmiechnął się i otoczył ją ramieniem.

– Nigdy nie byłem żonaty – odparł. – Jestem naiwny. Odpowiem „tak, będziemy”. – Przeszli pod wysokim łukiem z prawej strony wieży i przez podwójne drzwi.

Wewnątrz, w Urzędzie Sekretarza Hrabstwa, długiej sali zastawionej regałami i stołami wypełnionymi opastymi i podniszczonymi czarnymi i zielonymi tomami akt obrotu ziemią, otrzymali potrzebne formularze i usłyszeli, że mają zbadać krew.

– Takie jest prawo stanowe – powiedziała im starsza urzędniczka, siedząca za szerokim drewnianym biurkiem. Uśmiechała się sympatycznie. – Badania obejmują syfilis, rzeżączkę, HIV, opryszczkę i tę nową, SHEVE. Przed kilku laty zapowiadano zniesienie obowiązku przeprowadzania badań krwi, ale teraz wszystko się zmieniło. Oczekacie trzy dni, a potem weźmiecie ślub w kościele lub przed sędzią sądu objazdowego w dowolnym hrabstwie stanu. Masz piękne róże, kochana. – Uniosła okulary wiszące na szyi na złotym łańcuszku i dokładnie się im przyjrzała. – Nie będzie konieczne zaświadczenie o wieku. Czemu tak długo zwlekaliście?

Wręczyła im formularze i skierowanie na badania.

– Nie pobierzemy się tutaj – powiedziała Kaye Mitchowi, kiedy opuścili budynek. – Oblalibyśmy badania. – Usiedli na drewnianej ławce pod klonami. Była czwarta po południu, a niebo szybko zasnuwały chmury. Położyła głowę na jego ramieniu.

Mitch dotknął jej czoła.

– Jesteś rozpalona. Źle się czujesz?

– To tylko dowód, jak gorąca jest nasza miłość.

Kaye powąchała róże; potem, gdy spadły pierwsze krople deszczu, podniosła rękę i powiedziała:

– Ja, Kaye Lang, biorę ciebie, Mitchella Rafelsona, za męża w tych czasach zamętu i wstrząsów.

Mitch popatrzył na nią.

– Podnieś rękę – nakazała Kaye – jeśli mnie chcesz.

Mitch szybko zrozumiał, o co prosi, wziął ją za rękę, przygotował się, aby stanąć na wysokości zadania.

– Chcę ciebie za żonę i cokolwiek się zdarzy, będziesz nią dla mnie i zostaniesz, wielbiona i czczona, czy znajdzie się dla nas pokój w gospodzie, czy nie, amen.

– Kocham cię, Mitch.

– Kocham cię, Kaye.

– W porządku – powiedziała. – Jestem teraz twoją żoną.

Gdy opuszczali Morgantown, jadąc na południowy zachód, Mitch powiedział:

– Wiedz, że w to wierzę. Wierzę, że jesteśmy małżeństwem.

– Tylko to się liczy – stwierdziła Kaye. Przysunęła się do niego na szerokim siedzeniu.

Tego wieczoru, na przedmieściach Clarksburga, kochali się w małym łóżku ciemnego pokoju w motelu wzniesionym z pustaków. Wiosenny deszcz spadał na płaski dach i ściekał z okapu stałym, kojącym rytmem. Nie naciągnęli potem kołdry, leżąc razem nago, z nogami na kocach, zagubieni w sobie nawzajem, niczego więcej nie potrzebując.

Wszechświat stał się mały, jasny i bardzo ciepły.

Wirginia Zachodnia i Ohio

Deszcz i mgła podążały za nimi od Clarksburga. Opony starego niebieskiego buicka piszczały stale na mokrych szosach, wspinających się i wijących poprzez wapienne wąwozy oraz niskie, okrągłe i zielone wzgórza. Wycieraczki machały czarnymi ogonkami, przypominając Kaye jęczącego fiacika Lado, jadącego gruzińską Drogą Wojenną. – Ciagle ci się śnią? – Spytała prowadzącego samochód Mitcha.

– Jestem zbyt zmęczony, aby śnić – odparł. Uśmiechnął się do niej, potem skupił uwagę na drodze.

– Ciekawi mnie, co się z nimi stało – powiedziała Kaye lekkim tonem.

Mitch się skrzywił.

– Stracili dziecko i umarli.

Kaye dostrzegła, że trafiła w czuły punkt, i wycofała się.

– Przepraszam.

– Mówiłem ci, jestem trochę stuknięty. Polegam na nosie i przejmuję się tym, co spotkało trzy mumie przed piętnastoma tysiącami lat.

– Daleko ci do stukniętego – powiedział Kaye. Potrząsnęła włosami, potem wrzasnęła.

– Rany! – Wzdrygnął się Mitch.

– Przejedziemy całą Amerykę! – Wołała Kaye. – Przez jej środeczek, i będziemy się kochać podczas każdego postoju, dowiemy

się także, co wkurza ten wielki naród!

Mitch walił pięścią w kierownicę i śmiał się.

– Ale źle się do tego zabraliśmy – dodała Kaye, nagle się krygując. – Nie mamy wielkiego pudła.

– Jak to?

– Podróże z Charleyem – wyjaśniła Kaye. – John Steinbeck miał ciężarówkę, nazwał ją Rosynant, z wielką przyczepą kempingową. Opisał podróżowanie nią z wielkim pudłem. To cudowna książka.

– Czy Charley miał luz?

– Jak cholera – odparła Kaye.

– No to będę pudłem.

Kaye zwichrzyła mu włosy, udając, że jest maszynką do strzyżenia.

– Założę się, że Steinbeckowi zajęło to więcej niż tydzień – powiedział Mitch.

– Nie musimy się śpieszyć – odparła Kaye. – Chciałabym, aby ta podróż nigdy się nie skończyła. Przywracasz mi życie, Mitch.

Na zachód od Athens w stanie Ohio zatrzymali się na obiad w małej knajpce urządzonej w jaskrawoczerwonym wagonie mieszkalnym. Wagon stał na betonowych podkładach i szynach przy szosie biegnącej równoległe do autostrady stanowej, pośród niskich wzgórz porośniętych klonami i dereniami. Jedzenie podane w ciemnym wnętrzu, oświetlonym żaróweczkami w latarniach kolejowych, było niezłe i nic więcej; czekolada do picia i cheeseburger dla Mitcha oraz hamburger i mrożona herbata bez cukru dla Kaye. Radio w kuchni z tyłu wagonu grało Gartha Brooksa i Selaya Sammiego. Z kucharza widzieli jedynie wysoką białą czapę podrygującą w takt muzyki.

Gdy opuszczali knajpkę, Kaye zauważyła troje nędznie ubranych nastolatków wędrujących poboczem: dwie dziewczyny w czarnych spódnicach i podartych szarych legginsach oraz chłopca w dżinsach i poplamionej wiatrówce. Niby odepchnięty i wyrzucony szczeniak,

chłopak szedł kilka kroków za dziewczętami. Kaye wsiadła do buicka.

– Co oni tutaj robią?

– Może mieszkają – odparł Mitch.

– Jedyne dom jest na wzgórzu za knajpą – powiedziała Kaye z westchnieniem.

– Zaczynasz się robić mamuszką – ostrzegł Mitch.

Zawrócił samochodem na pokrytym żwirem parkingu i miał właśnie wyjechać na szosę, kiedy chłopak pomachał z wielkim zapalem. Mitch stanął i opuścił szybę. Lekka mżawka wypełniała powietrze srebrną mgiełką pachnącą drzewami i spalinami buicka.

– Przepraszam, sir. Jedzie pan na zachód? – Spytał chłopiec.

Jego upiornie niebieskie oczy pływały w wąskiej, bladej twarzy. Wyglądał na zmartwionego i skonanego, a pod ubraniem miał chyba jedynie skórę i niezbyt grube kości.

Dwie dziewczyny zawróciły. Niższa i ciemniejsza z nich zakryła twarz rękoma, zerkając przez palce jak wstydlive dziecko.

Dłonie chłopca były brudne, paznokcie czarne. Dostrzegł spojrzenie Mitcha i na wpół świadomie wytarł ręce o spodnie.

– No – odparł Mitch.

– Naprawdę, naprawdę mi przykro, że przeszkadzam. Nie prosilibyśmy, sir, ale trudno tutaj o samochód, a zaczyna padać. Skoro jedzie pan na zachód, czy mógłby nas pan trochę podwieźć?

Desperacja chłopca i absurda uprzejmość, niepasująca do jego wieku, ujęły Mitcha. Przyjrzał się uważnie wyrostkowi, wahając się między współczuciem a podejrzliwością.

– Powiedz im, żeby wsiadali – poleciła Kaye.

Chłopiec patrzył na nich zaskoczony.

– Tak od razu?

– Jedziemy na zachód. – Mitch wskazał na autostradę za długim ogrodzeniem z łańcuchów.

– Nastolatek otworzył tylne drzwiczki, a dziewczęta podbiegły.

Kaye odwróciła się i położyła rękę na oparciu fotela, kiedy wskakiwały do środka.

– Dokąd zmierzacie? – Zapytała.

– Do Cincinnati – odparł chłopiec. – Albo jak najdalej za nim – dodał z nadzieją. – Tysiącrotne dzięki.

– Zapnijcie pasy – nakazał Mitch. – Z tyłu są dla trzech osób.

Dziewczyna ukrywająca twarz wyglądała najwyżej na siedemnaście lat, miała czarne, grube włosy, skórę barwy kawy, długie i gruzłowate palce o krótkich, opiłowanych paznokciach, pomalowanych na fioletowo. Jej koleżanka, biała i jasnowłosa, wydawała się starsza, o szerokiej, beztroskiej twarzy, bliskiej teraz bezmyślności. Młodzieniec nie miał więcej niż dziewiętnaście lat. Mitch bezwiednie marszczył nos; dawno się chyba nie myli.

– Skąd jesteście? – Zapytała Kaye.

– Z Richmond – odparł chłopak. – Jedziemy autostopem, śpimy po lasach lub na trawie. Delia i Jayce mają ciężko. To jest Delia. – Wskazał dziewczynę zasłaniającą twarz.

– Jestem Jayce – przedstawiła się obojętnie blondynka.

– Ja mam na imię Morgan – dodał nastolatek.

– Wyglądacie na zbyt młodych, aby podróżować sami – powiedział Mitch. Rozpędzał samochód na autostradzie.

– Delia nie mogła dłużej zostać tam, gdzie była – tłumaczył Morgan.

– Chciała wyjechać do Los Angeles albo Seattle. Postanowiliśmy pojechać z nią.

Jayne przytaknęła.

– Też mi plan – stwierdził Mitch.

– Macie krewnych na zachodzie? – Zapytała Kaye.

– Mam wujka w Cincinnati – odparł Jayce. – Może pozwoli nam trochę u siebie zostać.

Delia odchyłała się na kanapie, nadal skrywając twarz. Morgan polizał wargi i wykręcił szyję, aby spojrzeć na podsufitkę samochodu, jakby chciał z niej coś odczytać.

– Delia była w ciąży, ale dziecko urodziło się martwe – wyjaśniał. – Ma od tego kłopoty ze skórą.

– Przykro mi – powiedziała Kaye. Wyciągnęła rękę. – Mam na imię Kaye. Nie musisz się ukrywać, Delio.

– Delia kręciła głową, nie odrywając rąk.

– To brzydkie – odrzekła.

– Nie przejmuję się tym – powiedział Morgan. W samochodzie siedział najdalej na lewo, jak tylko mógł, zostawiając stopę odstęp między sobą a Jayce. – Dziewczyny są bardziej wrażliwe. Chłopak kazał się jej wynosić. Co za głupek. Jaka szkoda, hej.

– To zbyt brzydkie – powtórzyła cicho Delia.

– Przestań, żabko – powiedziała Kaye. – Czy lekarz może coś na to poradzić?

– Złapałam to, zanim przyszło dziecko – odparła Delia.

– Będzie dobrze – pocieszała ją Kaye. Wychyliła się, aby pogłodzić ramię dziewczyny. Mitch dostrzegał to w lusterku wstecznym, zafascynowany tą stroną Kaye. Delia stopniowo opuszczała rękę; jej palce się rozluźniły. Twarz nastolatki pokrywały plamy i cętki, jakby spryskała ją czerwono-brązowa farba.

– Czy to sprawka twojego chłopaka? – Zapytała Kaye.

– Nie – odrzekła Delia. – Samo przyszło i wszyscy mieli mnie dosyć.

– Miała maskę – powiedziała Jayce. – Zakrywała jej twarz przez kilka tygodni, a potem odpadła, zostawiając te ślady.

Mitcha przeszedł dreszcz. Kaye odwróciła się i na chwilę opuściła głowę, biorąc się w garść.

– Delia i Jayce nie chcą, abym ich dotykał – powiedział Morgan –

choć jesteśmy przyjaciółmi, to przez zarazę. Wie pani. Heroda.

– Nie chcę zająć w ciążę – wyznała Jayce. – Jesteśmy bardzo głodni.

Zatrzymamy się i kupimy coś do jedzenia – obiecała Kaye. – Czy chcielibyście się wykapać, umyć?

– O tak – odparła Delia. – To byłoby wspaniałe.

– Wyglądają państwo na przyzwoitych ludzi, naprawdę miłych – powiedział Morgan, patrząc znowu na podsufitkę, tym razem czerpiąc z niej odwagę. – Muszę to jednak państwu powiedzieć, dziewczyny są moimi koleżankami. Nie chcę niczego, jeśli za to on ma zobaczyć je bez ubrania. Nie zgodzę się na to.

– Nie martw się – odrzekła Kaye. – Gdybym była twoją mamą, byłabym z ciebie dumna, Morganie.

– Dziękuję – rzucił Morgan i wyjrzał przez okno. Zaciskał mięśnie wąskiej szczęki. – Takie są moje odczucia. Dość już przecierpiał. Jej chłopak też dostał maskę i naprawdę się wściekł. Jayce mówi, że zrzucił winę na Delię.

– Zrzucił – potwierdziła Jayce.

– Był biały – ciągnął Morgan – a Delia jest częściowo czarna.

– Cała jestem czarna – poprawiła go Delia.

– Trochę mieszkali na farmie, zanim kazał jej się wynieść – powiedziała Jayce. – Bił ją po poronieniu. Potem znowu zaszła w ciążę. Mówił, że choruje przez nią, bo ma maskę, a to nie jest jego dziecko. – Wyrzuciła to z siebie niewyraźnie i szybko.

– Moje drugie dziecko urodziło się martwe – wyznała Delia beznamiętnie. – Miało tylko połowę twarzy. Jayce i Morgan nigdy mi go nie pokazali.

– Pogrzebaliśmy je – wyjaśnił Morgan.

– O Boże – rzuciła Kaye. – Tak mi przykro.

– Było ciężko – ciągnął Morgan. – Ale hej, żyjemy dalej. – Zacisnął zęby i ponownie rytmicznie napinał szczękę.

– Jayce nie powinna była mi mówić, jak wyglądało – powiedziała Delia.

– Jakby to było dziecko Boga – odparła Jayce głuchym głosem – powinien był lepiej o nie zadbać.

Mitch otarł palcem oko i zamrugał, aby wyraźnie widzieć drogę.

– Czy byłeś u lekarza? – Spytała Kaye.

– Jestem zdrowa – odrzekła Delia. – Chcę się tylko pozbyć tych znaków.

– Pozwól mi lepiej się im przyjrzeć, żabko – poprosiła Kaye.

– Jest pani lekarzem? – Zapytała Delia.

– Jestem biologiem, ale nie lekarzem – wyjaśniła Kaye.

– Naukowcem? – Spytał Morgan z nagłym zainteresowaniem.

– Taa – przyznała Kaye.

Delia zastanawiała się kilka chwil, a potem się pochyliła, odwracając wzrok. Kaye dotknęła jej podbródka, aby ustawić głowę. Słońce przesłoniła wielka ciężarówka, warcząca z lewej strony; jej szerokie opony pokazały się przez przednią szybę. Rozwodnione światło rzucało na rysy dziewczyny migoczącą chmurę cienia.

Jej twarz pokrywał wzór z pozbawionych melaniny cętek w kształcie kropli, głównie na policzkach; od kącików oczu i ust ciągnęły się symetryczne paski. Gdy się odwracała od Kaye, plamki się przesunęły i pociemniały.

– Są jak piegi – powiedziała Delia z nadzieją. – Czasami dostaję piegi.

Athens, Ohio

1 maja

Mitch i Morgan stali na szerokim, pomalowanym na biało ganku przed gabinetem lekarskim Jamesa Jacobsa. Morgan był pobudzony. Zapalił ostatniego papierosa z paczki i zaciągał się nim chciwie ze zwężonymi w szparki oczami, potem podszedł do starego klonu o szorstkiej korze i oparł się o pień.

Kaye nalegała po postojach na obiad, aby w książce telefonicznej poszukać lekarza rodzinnego, który przebadałby Delię. Ta niechętnie się zgodziła.

– Nie popełniliśmy żadnego przestępstwa – powiedział Morgan.

– Nie mamy pieniędzy, hej, miała dziecko i to wszystko. – Machnięciem wskazał drogę.

– Gdzie to było? – Zapytał Mitch.

– W Wirginii Zachodniej. W lesie niedaleko farmy. Ładnie tam. Dobrze miejsce na grób. Wie pan, jestem taki zmęczony. Mam już dość traktowania mnie jak zapchlonego kundla.

– Przez dziewczyny?

– Wie pan, co myślą ludzie – powiedział Morgan. – Mężczyźni zakażają. Liczą na mnie, zawsze jestem przy nich, mówią mi, że mam mędy, tak o, hej. Nie, dzięki, nigdy.

– Takie czasy – odparł Mitch.

– To chore. Czemu żyjemy teraz, a nie w innych czasach, nie takich chorych?

W głównym gabinecie zabiegowym Delia siedziała na skraju stołu, dyndając nogami. Miała na sobie biały, zapinany z tyłu fartuch, drukowany w kwiatki. Jayce siedziała naprzeciw niej na krześle, czytając ulotkę o chorobach związanych z paleniem. Doktor Jacobs był po sześćdziesiątce, szczupły, z pasmem krótko przystrzyżonych, lekko kręconych szpakowatych włosów otaczających wysoką i gładką kopułę czaszki. Oczy miał duże, jednocześnie mądre i smutne. Powiedział dziewczętom, że zaraz wróci, i wezwał asystentkę, kobietę w średnim wieku z kokiem ładnych, kasztanowatych włosów, która weszła z podkładką pod kartki i ołówkiem. Zamknął drzwi i podszedł do Kaye.

– Czy to rodzina?

– Zabraliśmy ich na wschód stąd. Uznałam, że powinien zobaczyć ją lekarz.

– Mówi, że ma dziewiętnaście lat. Nie ma żadnego dokumentu, ale nie daję jej tylu lat, a pani?

– Niewiele o niej wiem – odparła Kaye. – Staram się im pomóc, a nie wpędzać w kłopoty.

Jacobs współczująco kiwał głową.

– Urodziła najwyżej tydzień, dziesięć dni temu. Żadnych większych obrażeń, ale rozdarła tkanekę i ma jeszcze krew na legginsach. Nie lubię patrzeć na dzieci żyjące jak zwierzęta, pani Lang.

– Ja też nie.

– Delia mówi, że miała dziecko Heroda i urodziło się martwe. Drugie stadium, sądząc po opisie. Nie widzę powodów, aby jej nie wierzyć, ale takie rzeczy trzeba zgłaszać. Należałoby przeprowadzić sekcję dziecka. Wprowadza się teraz takie prawo na poziomie federalnym, obowiązuje też w Ohio... Mówi, że urodziła w Wirginii Zachodniej. O ile wiem, Wirginia Zachodnia wykazuje pewien opór.

– Nie we wszystkim – stwierdziła Kaye i opowiedziała

o wymaganych badaniach krwi.

– Jacobs słuchał, potem z kieszeni wyjął pióro i nerwowo stukał nim jedną ręką.

– Pani Lang, nie byłem pewny, kim pani jest, kiedy przyszła pani po południu. Kazałem Georginie zajrzeć do Internetu i znalazła zdjęcia. Nie wiem, co pani robi w Athens, ale moim zdaniem zna się pani na tym lepiej ode mnie.

– Nie do końca się zgadzam – odparła Kaye. – Znamiona na jej twarzy...

– Niektóre kobiety dostają podczas ciąży ciemne znamiona. Są przejściowe.

– Nie takie jak te – powiedziała Kaye. – Mówili nam, że miała inne problemy ze skórą.

– Wiem. – Jacobs westchnął i przysiadł na narożniku biurka.

– Mam trzy pacjentki w ciąży, przypuszczalnie z herodem drugiego stadium. Nie pozwoliły mi na punkcję owodni ani żadne prześwietlenia. Wszystkie są religijne i myślę, że nie chcą znać prawdy. Są przerażone i pod presją. Odrzucili je znajomi. Nie są wpuszczane do kościoła. Mężowie nie przyszli do mnie z nimi. – Wskazał swoją twarz. – U wszystkich skóra zeszywniała i stała się luźna wokół oczu, nosa, policzków, kącików ust. Nie zeszła po prostu... Jeszcze nie. Zrzuciły kilka warstw skóry właściwej i naskórka twarzy. – Skrzywił się i udał, że odrywa palcami płaty skóry. – Jest trochę chropawa. Brzydka jak diabeł, naprawdę przerażająca. To dlatego są nerwowe i zostały odrzucone. Wyklucza to je ze społeczeństwa, pani Lang. To je boli. Składałem sprawozdania władzom stanowym i federalnym, ale nie dostaję odpowiedzi. Jakbym gadał do obrazu.

– Czy pana zdaniem maski są cechą wspólną?

– Pani Lang, przestrzegam podstawowych założeń nauki. Jeśli widzę jakąś cechę więcej niż raz, a teraz przychodzi ta dziewczyna,

spoza stanu, i widzę ją ponownie... To wątpię, aby była czymś nadzwyczajnym. – Patrzył na nią krytycznie. – Czy wie pani coś więcej?

Kaye uświadomiła sobie, że przygryza wargę jak mała dziewczynka.

– Tak i nie – odpowiedziała. – Zrezygnowałam z uczestnictwa w Zespole Specjalnym do spraw Heroda.

– Dlaczego?

– To zbyt skomplikowane.

– Czy dlatego, że podchodzą do sprawy niewłaściwie?

Kaye odwróciła wzrok i uśmiechnęła się.

– Tak bym nie powiedziała.

– Czy widziała to pani wcześniej? U innych kobiet?

– Sądzę, że będziemy widywali to częściej.

– A wszystkie dzieci będą potworkami i umrą?

Kaye pokręciła głową.

– Sądzę, że tu będzie inaczej.

Jacobs schował pióro do kieszeni, położył rękę na suszce, uniósł jej skórzany narożnik, opuścił powoli.

– Nie sporządzę raportu o Delii. Nie wiem na pewno, co mógłbym ani co powinienem powiedzieć. Myślę, że zniknie, zanim władze zdążyłyby przybyć, aby jej pomóc. Wątpię, żeby kiedykolwiek znaleziono jej dziecko czy miejsce, w którym je pochowano. Jest wyczerpana i wymaga stałej opieki. Potrzebuje miejsca, gdzie mogłaby się zatrzymać i odpocząć. Dam jej zastrzyk z witaminami oraz przepiszę antybiotyki i żelazo.

– A znaki?

– Czy wie pani, czym są chromatofory?

– To komórki zmieniające kolor. U małp.

– Te znaki mogą zmieniać kolor – powiedział Jacobs. – To coś więcej niż wywołany hormonalnie melanizm.

– Melanofory – stwierdziła Kaye.

– To właściwe słowo – pokiwał głową Jacobs. – Czy kiedykolwiek znaleziono melanofory u ludzi?

– Nie – odparła Kaye.

– Też nic o tym nie słyszałem, pani Lang. Dokąd pani jedzie?

– Dalej na zachód – odpowiedziała. Podniosła portmonetkę. – Chciałabym teraz zapłacić.

Jacobs spojrział na nią w najbardziej posępny sposób.

– Nie prowadzę cholernej przychodni publicznej, pani Lang. Nic nie wezmę. Przepiszę pigułki, a pani kupi je w dobrej aptece. Nakarmi ją pani i znajdzie czyste miejsce, w którym spędzi spokojnie noc.

Otworzyły się drzwi, wyszły nimi Delia i Jayce. Delia była całkowicie ubrana.

– Potrzebuje czystego ubrania i mnóstwa mydła w gorącej kąpieli – powiedziała stanowczo Georgina.

– Po raz pierwszy, odkąd się spotkali, Delia się uśmiechała.

– Popatrzyłam w lustro – wyznała. – Jayce powiedziała, że znaki są ładne. Pan doktor powiedział, że nie jestem chora i jeśli zechcę, będę mogła znowu mieć dzieci.

Kaye uścisnęła dłoń Jacobsa.

– Bardzo gorąco panu dziękuję.

Gdy we trzy wychodziły na zewnątrz, dołączając do Mitcha i Morgana stojących na ganku, Jacobs zawołał:

– Żyjemy i się uczymy, pani Lang! A im szybciej się uczymy, tym lepiej.

Mały motel z ogromnym czarnym szyldem, na który wciśnięto napis Pokoiki i \$50, był wyraźnie widoczny z autostrady. Miał siedem pokoi, trzy były wolne. Kaye wynajęła wszystkie trzy i dała Morganowi jeden z kluczy. Morgan wziął go, skrzywił się i schował do kieszeni.

– Nie chciałbym być sam – powiedział.

– Nie znalazłam innej możliwości – odparła Kaye.

Mitch otoczył chłopca ramieniem.

– Zostanę z tobą – popatrzył znacząco na Kaye. – Wykapiemy się i obejrzymy telewizję.

– Niech pani zamieszka w naszym pokoju – poprosiła Kaye Jayce. – Poczujemy się znacznie bezpieczniej.

Pokoje były niemal brudne. Łóżka z wyraźnymi zagłębieniami załano cienkimi i zużytymi pikowanymi kołdrami z postrzępionymi nylonowymi nitkami i śladami gaszenia na nich papierosów. Jayce i Delia rozejrzały się i usiadły zadowolone, jakby była to królewska komnata. Delia wybrała jedyne pomarańczowe krzesło obok stolika z lampą, obwieszzonego czarnymi, metalowymi puszkami w kształcie stożka. Jayce opadła na łóżko i włączyła telewizor.

– Mają HBO – powiedziała cicho i z podziwem. – Możemy obejrzeć film!

Mitch poczekał, aż Morgan pójdzie pod prysznic, po czym otworzył drzwi wejściowe. Kaye stała za nimi z uniesioną ręką, gotową do zapukania.

– Marnujemy pokój – powiedziała. – Wzięliśmy na siebie pewne zobowiązania, nie sądzisz?

Mitch objął ją.

– Twoja intuicja.

– A co powiedziała twoja? – Zapytała, masując mu ramię.

– To dzieciaki. Od tygodni, miesięcy są w drodze. Trzeba by zadzwonić do ich rodziców.

– Może nigdy nie mieli prawdziwych rodziców, Mitch. Są zdesperowani. – Kaye odsunęła się, aby spojrzeć na niego.

– Byli także dostatecznie samodzielni, aby pogrzebać martwe dziecko i wyruszyć w dalszą drogę. Kaye, lekarz powinien był wezwać

policję.

– Wiem – przyznała Kaye. – I wiem także, dlaczego tego nie zrobił. Zmieniły się zasady. Jacobs uważa, że dzieci będą się przeważnie rodziły martwe. Czy jesteśmy jedynymi, którzy mają jakąkolwiek nadzieję?

Ustały odgłosy prysznicza i szcęknięty drzwiczki kabiny. Małą łazienkę wypełniała para.

– Dziewczyny – rzuciła Kaye i poszła do sąsiedniego pokoju. Dała Mitchowi znak otwartą ręką, w którym natychmiast rozpoznał gest wykonywany przez tłumy maszerujące w Albany i po raz pierwszy zrozumiał, co chciały wyrazić: silną wiarę w drogi Życia i powściągliwe podporządkowanie się im, wiarę w najwyższą mądrość ludzkiego genomu. Żadnych przeczuć zagłady, żadnych płynących z niewiedzy prób wykorzystania nowych mocy ludzkości do zablokowania rzek DNA przepływających przez pokolenia.

Wiara w Życie.

Morgan ubierał się szybko.

– Jayce i Delia mnie nie potrzebują – powiedział, stojąc w pokoiku. Dziury w rękawach jego czarnego puloweru były łatwiejsze do zauważenia teraz, gdy skóra stała się czysta. Brudną wiatrówkę zarzucił na ramię. – Nie chcę być ciężarem. Pójdę sobie. Bardzo dziękuję, hej, ale...

– Uspokój się, proszę, i usiądź – przerwał mu Mitch. – Ważne, co chce Kaye. A ona chce, abyś został.

Morgan zamrugał ze zdziwieniem i usiadł na brzeżku łóżka. Sprężyny jęknęły, a rama zaskrzypiała.

– Myślę, że nadchodzi koniec świata – powiedział. – Naprawdę rozgniewaliśmy Boga.

– Nie bądź zbyt pochopny z wnioskami – stwierdził Mitch. – Możesz mi nie wierzyć, ale takie rzeczy już się zdarzały.

Jayce włączyła telewizję i oglądała ją z łóżka, podczas gdy Delia brała długą kąpiel w poobijanej i wąskiej wannie. Nuciała melodie z kreskówek – Scooby Doo, Animaniacy, Inspektor Gadżet. Kaye siedziała na jedynym krześle. Jayce znalazła w programie coś starego i uspokajającego: Pollyannę z Hayley Mills. Karl Maiden klęczał na wyschłym pastwisku, pokutując za swą upartą ślepotę. Była to bardzo emocjonująca scena. Kaye nie pamiętała tak wciągającego filmu. Oglądała go z Jayce, aż zauważyła, że dziewczyna śpi głęboko. Wtedy zmniejszyła głośność i przełączyła na Fox News.

Leciały nieciekawe wiadomości ze świata rozrywki, krótki reportaż o wyborach do Kongresu, potem wywiad z Billem Cosbym o jego występie w reklamie społecznej CDC i Zespołu Specjalnego. Kaye zwiększyła głośność.

– Byłem kumplem Davida Satchera, byłego naczelnego lekarza, i swego rodzaju sztama staruszków zapewne trwa ciągle – mówił Cosby dziennikarce, blondynce z szerokim uśmiechem i ciemnoniebieskimi oczyma – bo już przed laty namówili obecnego tu staruszka do opowiadania o tym, co robią i co jest ważne. Uznali, że na coś się im przydam.

– Wszedł pan do zespołu wybrańców – powiedziała dziennikarka. – Dustin Hoffman i Michael Crichton. Popatrzmy z panem na reklamę społeczną.

Kaye pochyliła się do przodu. Cosby pojawił się na czarnym tle, jego twarz wyrażała ojcowską troskę.

– Moi przyjaciele z Centers for Disease Control i wielu innych uczonych z całego świata każdego dnia ciężko pracują, aby rozwiązać problem, który dotyczy nas wszystkich. Grypa Heroda. SHEVA. Każdego dnia. Nikt nie spocznie, póki problem nie zostanie rozpracowany i nie będziemy umieli jej leczyć. Możecie mi wierzyć, ci ludzie się przejmują i kiedy wy cierpicie, oni także. Nikt nie prosi

was o cierpliwość. Aby jednak przetrwać, wszyscy musimy być rozsądni.

Dziennikarka oderwała wzrok od wielkiego ekranu telewizyjnego.

– Wyświetlmy teraz scenę z wystąpienia Dustina Hoffmana...

Hoffman stał na pustej scenie sali kinowej z rękoma w kieszeniach dopasowanych beżowych spodni. Uśmiechał się przyjaźnie, ale mówił z powagą.

– Nazywam się Dustin Hoffman. Może pamiętacie, że w filmie pod tytułem Epidemia grałem naukowca walczącego ze śmiertelnością chorobą. Rozmawiałem z naukowcami z National Institutes of Health i z Centers for Disease Control and Prevention, pracują najciężej, jak tylko mogą, codziennie, aby pokonać SHEVE i powstrzymać umieranie naszych dzieci.

Dziennikarka przerwała nagranie.

– Co naukowcy robią innego, niż robili w zeszłym roku? Jakie nowe wysiłki podejmują?

Cosby sposepniał.

– Chcę jedynie pomóc w przetrwaniu tych ciężkich dni. Lekarze i naukowcy to nasza jedyna nadzieja, nie możemy wychodzić na ulice, palić rzeczy i wyłącznie niszczyć wszystkiego. Mówimy o zastanowieniu się z awansu, włączeniu się razem do pracy, a nie do zamieszek, oraz o nieuleganiu panice.

Delia stanęła w drzwiach łazienki, pulchne nogi wystawały spod małego ręcznika hotelowego, głowę owijał kolejny. Patrzyła uważnie w telewizor.

– To niczego nie zmieni – powiedziała. – Moje dzieci umarły.

* * *

Kiedy Mitch wrócił od stojącego na końcu szeregu pokoiów automatu z colą, zobaczył Morgana chodzącego wzdłuż łóżka. Chłopiec

zaciskał dłonie w zdenerwowaniu. – Nie mogę przestać myśleć – powiedział. Mitch podał mu colę i Morgan popatrzył na nią, wziął, otworzył z trzaskiem i gorączkowo potrząsał puszką. – Czy wie pan, co robiły, co Jayce robiła? Kiedy potrzebowaliśmy pieniędzy?

– Nie muszę wiedzieć, Morganie – odparł Mitch.

– Tak mnie traktowały. Jayce wychodziła, łapała mężczyznę, który zapłaci, no wie pan, ona i Delia obciągały mu i brały pieniądze. Jezu, ja też jadłem za tę forszę. Potem łapaliśmy stopa i Delia zaczęła rodzić. Nie pozwalały, abym ich dotykał, ściskał je, nie obejmowały mnie, ale za pieniądze obciągały facetom i nie przejmowały się nawet, czy je ktoś widzi, czy nie! – Ściskał skronie opuszkami palców. – Są takie głupie jak zwierzęta na farmie.

– Musiało wam być ciężko – stwierdził Mitch. – Byliście głodni.

– Poszedłem z nimi, bo mój ojciec to nic nadzwyczajnego, wie pan, ale mnie nie bił. Harował cały dzień. Potrzebowały mnie bardziej niż ja ich. Teraz chcę wracać. Nic więcej nie mogę dla nich zrobić.

– Rozumiem – powiedział Mitch. – Nie musisz się jednak śpieszyć. Zastanowimy się nad tym.

– Mam tego gówna powyżej uszu! – Ryknął Morgan.

Usłyszały ten ryk w sąsiednim pokoju. Jayce usiadła w łóżku i przetarła oczy.

– To znowu on – mruknęła.

Delia suszyła włosy.

– Czasami naprawdę nie wytrzymuje – powiedziała.

– Możecie podrzucić nas do Cincinnati? – Zapytała Jayce.

– Mam tam wujka. Możecie teraz odesłać Morgana do domu.

– Czasami z niego taki dzieciak – dodała Delia.

Kaye przyglądała się im z krzesła, zarumieniona od emocji, które nie do końca rozumiała: poczucia solidarności połączonego z instynktowną niechęcią.

Kilka minut później spotkała się z Mitchem na dworze, pod długim pomostem motelu. Trzymali się za ręce.

Mitch wskazał kciukiem przez ramię na otwarte drzwi pokoju. Znowu słychać było prysznic.

– To już drugi raz. Powiedział, że bez przerwy czuje się brudny. Dziewczyny trochę sobie pogrywały z biednym Morganem.

– A czego oczekiwał?

Nie mam pojęcia.

– Że pójda z nim do łóżka?

– Nie wiem – odparł Mitch spokojnie. – Może po prostu chciał być traktowany z szacunkiem.

– Chyba nie wiedzą, jak to się robi – stwierdziła Kaye. Przycisnęła dłoń do jego piersi, masowała, jej oczy skupiły się na czymś odległym i niewidocznym. – Dziewczyny chcą, aby podrzucić je do Cincinnati.

– Morgan chce pójść na przystanek autobusowy – powiedział Mitch. – Ma już dosyć.

– Matka Natura nie jest zbyt uprzejma czy litościwa, przyznasz chyba?

– Czy Matka Natura zawsze była zdziwą? – Spytał Mitch.

– No to po Rosynancie i objeździe Ameryki – uznała Kaye ze smutkiem.

– Chcesz zadzwonić w parę miejsc, znowu działać, prawda?

Kaye uniosła rękę.

– Nie wiem! – Jęknęła. – Zmycie się, by po prostu żyć, wydaje się skrajnie nieodpowiedzialne. Chcę się dowiedzieć więcej. Czy jednak cokolwiek nam powiedzą – Christopher, albo ktokolwiek inny z Zespołu Specjalnego? Jestem teraz na aucie.

– Jest sposób, abyśmy pozostali na boisku na innych zasadach – powiedział Mitch.

– Ten bogacz z Nowego Jorku?

– Daney. I Oliver Merton.

– Nie jedziemy do Seattle?

– Jedziemy – odparł Mitch. – Ale zadzwonię do Mertona i powiem mu, że jestem zainteresowany.

– Nadal chcę naszego dziecka – powiedziała Kaye z otwartymi szeroko oczyma i głosem kruchym jak zasuszony kwiat.

Odgłos prysznica ustał. Słyszeli, jak Morgan się wyciera, na przemian nucąc i przeklinając.

– Zabawne – szepnął prawie niedosłyszalnie Mitch. – Bardzo mi się nie podobał ten pomysł. Ale teraz... Wydaje mi się równie prosty jak wszystko inne, sny, spotkanie ciebie. Też chcę dziecka. Nie możemy pozostać niewinni. – Odetchnął głęboko, uniósł wzrok, aby spojrzeć w oczy Kaye, i dodał: – Zróbmy to.

Morgan wyszedł na pomost i utkwiał w nich wzrok uważnie jak sowa.

– Jestem gotów. Chcę wrócić do domu.

Kaye popatrzyła na Morgana i niemal się wzdrygnęła od mocy jego spojrzenia. Oczy chłopca wyglądały, jakby miały tysiąc lat.

– Podwiozę cię na przystanek autobusowy – powiedział Mitch.

**National Institutes
of Health,
Bethesda
5 maja**

Przed Budynkiem im. Natchera Dicken spotkał się z dyrektorem National Institute of Child Health and Human Development, panią doktor Tanią Bao, i dalej poszli razem. Niska, starannie ubrana, ze skupioną i niezdradzającą wieku prawie płaską twarzą, małym nosem, ustami skrzywionymi w delikatnym uśmiechu, lekko zgarbionymi ramionami, Bao wyglądała na niemającą jeszcze czterdziestu lat, ale w istocie liczyła ich sześćdziesiąt trzy. Nosiła jasnoniebieski kostium ze spodniami i mokasyny z frędzelkami. Szła szybkimi, drobnymi krokami, uważając na nierównym gruncie. Niedokończoną budowlę zespołu NIH odgrodzono ze względów bezpieczeństwa, ale już usunięto większość pomostów łączących Budynek im. Natchera z Kliniką im. Magnusona. – NIH był kiedyś obszarem otwartym – powiedziała Bao. – Teraz Gwardia Narodowa czuwa nad każdym naszym ruchem. Nie mogę nawet kupować wnuczce zabawek u handlarza. Chętnie ich widywałam na alejkach lub korytarzach. Teraz zostali przegnani wraz z robotnikami budowlanymi.

Dicken wzruszeniem ramionami wskazał, że nie ma żadnego wpływu na takie rzeczy. Przestał mieć taką władzę.

– Przyjechałem słuchać – oznajmił. – Mogę przekazać twoją uwagę doktorowi Augustine'owi, ale nie mogę zagwarantować, że coś zrobi.

– Co się stało, Christopherze? – Zapytała Bao płacząco.

– Dlaczego nie reagują na taką oczywistość? Dlaczego Augustine jest taki uparty?

– W zarządzaniu masz znacznie większe doświadczenie ode mnie – odparł Dicken. – Wiem tylko tyle, ile zobaczę i usłyszę w wiadomościach. Dostrzegam niewiarygodne naciski ze wszystkich stron. Zespoły szczepionki niczego nie dokonały. Mark mimo to zrobi wszystko, co możliwe, aby chronić zdrowie publiczne. Chce skupić nasze wysiłki na walce z tym, co uważa za chorobę zakaźną. Obecnie jedyną dostępną możliwością jest aborcja.

– Co uważa... – Powtórzyła Bao, nie wierząc własnym uszom. – A co ty uważasz, doktorze Dicken?

Pogoda przechodziła w ciepłe i wilgotne lato, które Dickenowi wydawało się znajome, a nawet kojące; sprawiała, że ukryta w nim głęboko smutna cząstka „ja” wierzyła, iż jest w Afryce, co byłoby znacznie lepsze aniżeli obecne życie. Prowizoryczną rampą asfaltową weszli na następny poziom kończącego chodnika, przekroczyli żółtą taśmę budowlańców i znaleźli się przed głównym wejściem do budynku nr 10.

Przed dwoma miesiącami życie Christophera Dickena zaczęło się rozszczepiać. Uświadomienie sobie, że skrywane cząstki osobowości mogą wpływać na poglądy naukowe – że mieszanka zawiedzionego zadurzenia się i nacisków w pracy może skłonić go do decyzji, które na pewno okażą się błędne – dręczyło go niby chmara gryzących muszek. Na zewnątrz jakimś cudem utrzymywał pozory spokoju, skupienia się na grze, drużynie, Zespole Specjalnym. Wiedział, że na dłuższą metę jest to niemożliwe.

– Uważam, że trzeba pracować – powiedział Dicken zakłopotany, że

przez zamyślenie zwlekał tak długo z odpowiedzią.

Samo odcięcie się od Kaye Lang i nieudzielenie jej wsparcia, gdy wpadła w zasadzkę Jacksona, było błędem niemożliwym do pojęcia i do wybaczenia. Z każdym dniem żałował go coraz bardziej, ale było już za późno na jego naprawienie. Pozostawało mu tylko wznoszenie murów w umyśle i pilne zatapianie się w przydzielanej mu pracy.

Wjechali windą na siódme piętro, skręcili w lewo i w połowie długiego, pomalowanego na beżowo i różowo korytarza odnaleźli salkę konferencyjną dyirekcji.

Bao usiadła.

– Christopherze, znasz Anitę, Prestona.

Przywitali się niezbyt serdecznie.

– Niestety, nie mam dobrych wiadomości – powiedział Dicken, siadając naprzeciw Prestona Meekera.

Meeker, podobnie jak jego koledzy w tym odosobnionym pokoiku, był uosobieniem pediatry – w tym przypadku specjalisty od wzrostu i rozwoju neonatalnego.

– Czy Augustine nadal jest za tym? – Spytał, od początku wojowniczy. – Nadal forsuje RU-486?

– Na jego obronę – zaczął Dicken i odczekał chwilę, aby zebrać myśli i uczynić bardziej przekonującym wpajane od dawna kłamstwo – nie mamy wyboru. Retrowirusowcy w CDC zgadzają się, że teoria o ekspresji i składaniu ma sens.

– Dzieci byłyby nosicielami nieznaney zarazy? – Meeker wyduł usta i prychnął drwiąco.

– Takie przekonanie można łatwo uzasadnić. Na dobitkę prawdopodobieństwo, że większość nowych dzieci urodzi się jako potworki...

– Tego nie wiemy – powiedziała House. Pełniła teraz obowiązki wicedyrektora National Institutes of Child Health and Human

Development; poprzedni wicedyrektor złożył rezygnację dwa tygodnie temu. Postąpiło tak bardzo wielu pracowników NIH związanych z Zespołem Specjalnym do spraw SHEVY.

Skurcz serca uświadomił Dickenowi, że Kaye Lang raz jeszcze okazała się pionierką, odchodząc jako pierwsza.

– To niepodważalne – odparł, tym razem bez trudu, gdyż była to prawda: żadna z zarażonych SHEVĄ matek nie urodziła jeszcze normalnego dziecka. – Z dwustu większość była poważnie zdeformowana. Wszystkie urodziły się martwe.

Ale nie wszystkie były zdeformowane, przypomniał sobie.

– Być może prezydent zgodzi się na podawanie RU-486 w całym kraju – powiedziała Bao. – Wątpię, aby CDC mogło wówczas działać otwarcie w Atlancie. W Bethesdzie mieszka wielu inteligentów, ale to jednak religijny Pas Biblijny. Miałam już pikiety przed domem, Christopherze. Jest stale pilnowany przez strażę.

– Rozumiem – stwierdził Christopher.

– Być może, ale czy Mark rozumie? Nie odpowiada na moje telefony i e-maile.

– Niewybaczalne odcinanie się – uznał Meeker.

– Do ilu przejawów nieposłuszeństwa obywatelskiego dojdzie? – Zapytała House, łącząc ręce na stole i je zacierając. Rozglądała się po zebranych.

Bao wstała i podniosła marker do tablicy. Szybko, niemal dziko kreśliła jaskrawoczerwone słowa, mówiąc:

– Dwa miliony poronień od heroda pierwszego stadium tylko w ostatnim miesiącu. Szpitale są przepełnione.

– Jeżdżę do tych szpitali – powiedział Dicken. – Moim obowiązkiem jest być na pierwszej linii.

– Tu i w całym kraju mamy także pacjentki przychodzące do lekarzy – ciągnęła Bao, zaciskając w zdenerwowaniu usta. – W samym

tym budynku jest trzysta matek SHEVY. Niektóre widuję codziennie. Christopherze, nie żyjemy w wieży z kości słoniowej.

– Przepraszam – powiedział Dicken.

Bao pokiwała głową.

– Siedemset tysięcy zgłoszonych przypadków ciąży z herodem drugiego stadium. Tutaj statystyka się wali – nie wiemy, co się dzieje.

– Spojrzała na Dickena. – Co się stało z pozostałymi?

– Nikt ich nie zgłasza. Czy Mark to wie?

– Ja wiem – odparł Dicken. – Mark też. To poufna informacja. Nie chcemy rozgłaszać, ile wiemy, dopóki prezydent nie podejmie decyzji politycznej, wybierając którąś z propozycji Zespołu Specjalnego.

– Można się domyślić – stwierdziła House sardonicznie. – Wykształcone, zamożne kobiety kupują RU-486 na czarnym rynku albo w inny sposób załatwiają sobie przerwanie ciąży na różnych jej etapach. Doszło do masowych buntów w społeczności lekarskiej, w klinikach dla kobiet. Z powodu nowego prawa regulującego przeprowadzanie aborcji przestały one przekazywać dane do Zespołu Specjalnego. Moim zdaniem Mark chce usankcjonować to, co już się dzieje w całym kraju.

Dicken odczekał chwilę, aby zebrać myśli, podtrzymać udawaną smutną minę.

– Mark nie ma władzy ani nad Kongresem, ani nad Senatem. Mówi, ale go nie słuchają. Wszyscy wiemy, że rośnie liczba przypadków przemocy w rodzinie. Kobiety są wyrzucane ze swych domów. Rozwody. Morderstwa. – Dicken pozwalał, aby fakty te zaciążyły na nich, tak jak od kilku miesięcy przytłaczały jego myśli i duszę. – Przemoc wobec ciężarnych kobiet jest nadal częsta. Niektóre kobiety uciekają się nawet do kwinakryny, jeśli mogą ją dostać, same się sterylizują.

Bao ze smutkiem kręciła głową.

– Wiele kobiet wie – ciągnął Dicken – że najprostszym wyjściem jest przerwanie ciąży drugiego stadium, zanim się rozwinie i pojawią się inne skutki uboczne.

– Mark Augustine i Zespół Specjalny niechętnie opisują te skutki uboczne – powiedziała Bao. – Masz zapewne na myśli czepki twarzowe i melanizm u obojga rodziców.

– Chodzi mi też o gwiżdżące podniebienie i deformację narządu przylemieszowego – wyjaśnił Dicken.

– Skąd to u ojców? – Zapytała Bao.

– Nie mam pojęcia – odparł Dicken. – Gdyby NIH, wskutek przesadnej troski o prawa pacjenta, nie utracił osób badanych przez siebie klinicznie, wiedzielibyśmy być może znacznie więcej, a przynajmniej wszystko odbywałoby się w jako tako kontrolowanych warunkach.

Bao przypomniała Dickenowi, że nikt z zebranych w pokoju nie miał nic wspólnego z zamknięciem prowadzonego właśnie w tym budynku programu badań klinicznych Zespołu Specjalnego.

– Rozumiem – powiedział Dicken, przeklinając siebie za wściekłość, którą ledwo był w stanie ukrywać. – Nie zgłaszam sprzeciwu. Wszystkie ciąży drugiego stadium zostaną przerwane, z wyjątkiem tych biednych kobiet, które nie dostaną się do klinik ani nie kupią pigułek... Oraz...

– Oraz? – Spytał Meeker.

– Poświęcających się.

– Poświęcających się czemu?

– Naturze. Uważających, że należy dać szansę tym dzieciom, obojętnie, jak wielkie jest niebezpieczeństwo, że urodzą się martwe lub zdeformowane.

– Augustine nie uważa, zdaje się, że owym dzieciom należy dawać szansę – powiedziała Bao. – Dlaczego?

– Herod to choroba. A tak właśnie walczy się z chorobą.

Dużo dłużej tak się nie da. Albo zrezygnujesz, albo wykończysz się, próbując wyjaśniać rzeczy, których nie rozumiesz i w które nie wierzysz.

– Powtórzę, Christopherze, nie żyjemy w wieży z kości słoniowej.

– Bao pokręciła głową. – Odwiedzamy oddziały położnicze i chirurgiczne tej kliniki, chodzimy do innych klinik i szpitali. Widzimy cierpiące kobiety i cierpiących mężczyzn. Potrzebujemy jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia, które uwzględni wszystkie te poglądy, wszystkie naciski.

Dicken zmarszczył brwi w skupieniu.

– Mark liczy się jedynie z rzeczywistością medyczną. Brakuje też consensusu politycznego – dodał spokojnie. – Czasy są niebezpieczne.

– Ujmując to łagodnie – powiedział Meeker. – Christopherze, moim zdaniem Biały Dom jest sparaliżowany. W obecnej sytuacji będziesz przeklęty, jeśli coś zrobisz, a już na pewno, jeśli nie zrobisz niczego.

– Nawet gubernator Marylandu dołączył do tak zwanego buntu Zdrowych Stanów – dodała House. – Nigdy tu jeszcze nie widziałam podobnego zapału w sprawach religijnych.

– To bardziej ruch oddolny niż chrześcijański – powiedziała Bao. – Społeczność chińska pokazała swe rogi, i nie bez powodu. Narasta bigoteria. Christopherze, rozpadamy się na przestraszone i niezadowolone grupy.

Dicken wpatrywał się w stół, potem w liczby na białej tablicy; powieki drżały mu z przemęczenia.

– Boli to nas wszystkich – odpowiedział. – Boli Marka i boli mnie.

– Wątpię, aby bolało to Marka tak samo, jak boli matki – stwierdziła Bao spokojnie.

Oregon 10 maja

– Jestem nieuczony i wielu rzeczy nie rozumiem – powiedział Sam. Opierał się o drewniany płot otaczający cztery akry farmy, piętrowy drewniany dom, starą, rozpadającą się stodołę i murowaną szopę. Mitch wolną rękę włożył do kieszeni, a puszkę piwa Michelob postawił na szarym od porostów słupku ogrodzenia. Czarno-biała krowa o kanciastym zadzie, pasąca się na dwunastu akrach sąsiada, patrzyła na nich z niemal całkowitym brakiem zaciekawienia. – Te kobiety znasz dopiero, no ile, dwa tygodnie?

– Trochę ponad miesiąc.

– Szalone tempo!

Mitch zgodził się potulnie.

– Po co się tak śpieszyć? Czemu, u diabła, ktoś chce zajść w ciążę akurat teraz? Twoja matka miała na coś ochotę ostatnio z dziesięć lat temu, ale po herodzie uparcie nie pozwala, abym jej dotykał.

– Kaye jest inna – powiedział Mitch, jakby się do czegoś przyznawał. Doszli do tego tematu po omówieniu owego popołudnia wielu innych. Najtrudniejszym było wyznanie Mitcha, że tymczasowo przestał się rozglądać za pracą, że będą żyli głównie za pieniądze Kaye. Jego ojciec uznał to za niepojęte.

– A gdzie tu szacunek dla siebie? – Spytał, a zaraz potem zostawili ten temat i powrócili do wydarzeń w Austrii.

Mitch opowiedział Samowi o spotkaniu z Brockiem w posiadłości

Daneyą, co dość mocno zaciekało tamtego.

– Zada bobu nauce – zauważył szyderczo. Dotarli wreszcie do tematu Kaye, rozmawiającej nadal w wielkiej kuchni z Abby, matką Mitcha. Zaskoczenie Sama przeszło w zdenerwowanie, potem w jawną złość. Przyznaję, że być może moja głupota jest bezdenna – powiedział Sam – ale czy robienie teraz takich rzeczy, i to rozmyślnie, nie jest cholernie niebezpieczne?

– Może być – przyznał Mitch.

– Czemu więc, u diabła, się zgodziłeś?

– Niełatwo to wytłumaczyć – odparł Mitch. – Po pierwsze, uważam, że ona może mieć rację. To znaczy uważam, że ma rację.

– Będziemy mieli zdrowe dziecko.

– Przecież testy wypadły pozytywnie u ciebie, a przede wszystkim u niej – powiedział Sam, patrząc na niego i mocno zaciskając ręce na drągu płotu.

– Wypadły.

– I popraw mnie, jeśli się mylę, ale jeszcze nigdy kobieta, u której testy wypadły pozytywnie, nie urodziła zdrowego dziecka.

– Nigdy – potwierdził Mitch.

– Szanse są więc marne.

– To ona odkryła ten wirus. Wie o nim więcej niż ktokolwiek inny na Ziemi i jest przekonana...

– Że wszyscy inni się mylą? – Spytał Sam.

– Że w ciągu kilku lat zmienimy nasze poglądy.

– No to jest szalona, a może tylko fanatyczna?

Mitch się skrzywił.

– Uważaj, tato.

– Sam wniósł ręce w powietrze.

– Mitch, na miłość boską, poleciałem do Austrii, po raz pierwszy byłem w Europie, i to, cholera, bez twojej matki, aby zabrać syna ze

szpitala, po tym jak... No, przeszliśmy przez to wszyscy. Po co jednak narażać się na taką rozpacz, polegać na tego rodzaju szansie, pytam się, w imię Boga?

– Po śmierci pierwszego męża trochę szaleńczo myśli o przyszłości, patrzy na świat z optymizmem – powiedział Mitch. – Nie mogę zapewnić, że ją rozumiem, tato, ale ją kocham. Ufam jej. Coś we mnie mówi, że ma rację, inaczej nie byłbym z nią.

– To znaczy współpracował. – Sam popatrzył na krowę i wytarł o nogawki ręce pobrudzone od porostów. – A jeśli oboje się mylicie? – Spytał.

– Znamy konsekwencje. Będziemy z nimi żyli – odparł Mitch. Ale się nie mylimy. Nie tym razem, tato.

– Czytałam, ile tylko mogłam – powiedziała Abby Rafelson. – To oszałamiające. Wszystkie te wirusy. – Popołudniowe słońce wpadało oknem kuchni i kładło żółte trapezoidy na podłodze z niepokrytych lakierem dębowych desek. Kuchnia pachniała kawa – za dużo kawy, pomyślała Kaye, będąca kłębkim nerwów – i pierożkami z mąki kukurydzianej, zjedzonymi na obiad, zanim mężczyźni wyszli na spacer.

Matka Mitcha zachowała urodę do sześćdziesiątki, dobry wygląd budzący respekt wystającymi kośćmi policzkowymi i zapadniętymi niebieskimi oczami, dopełniony nienagannym uczesaniem.

– Te akurat wirusy były z nami od bardzo dawna – powiedziała Kaye. Trzymała zdjęcie Mitcha z czasów, gdy miał pięć lat, siedzącego na trójkołowym rowerku na nabrzeżu Willamette w Portland. Patrzył uważnie, nie zważając na aparat; dostrzegła ten sam wyraz twarzy, jaki przybierał, gdy prowadził samochód albo czytał gazetę.

– Jak dawna? – Spytała Abby.

– Może od dziesiątków milionów lat. – Kaye wzięła inne zdjęcie ze stosiku na stoliku do picia kawy. Przedstawiało Mitcha i Sama

załadowujących drewno na pakę półciężarówki. Wzrost i cienkie nogi Mitcha wskazywały, że miał jakieś dziesięć, jedenaście lat.

– Co robiły na początku? Nie mogę tego pojąć.

– Mogły nas zarazić poprzez gamety, komórki jajowe lub spermę. Potem zostały. Zmutowały, albo coś uczyniło je nieaktywnymi, albo... Skłoniliśmy je, aby dla nas pracowały. Znaleźliśmy sposób, aby były przydatne. – Kaye uniosła wzrok znad zdjęcia.

Abby patrzyła na nią niewzruszona.

– Spermę lub komórki jajowe?

– Jajniki, jądra – odparła Kaye, znowu opuszczając wzrok.

– Co spowodowało, że postanowiły znowu działać?

– Coś w naszym codziennym życiu – odparła Kaye. – Może stres.

Abby zastanawiała się kilka chwil.

– Skończyłam szkołę pomaturalną. Wychowanie fizyczne. Czy Mitch ci o tym powiedział?

Kaye przytaknęła.

– Powiedział, że uczyłaś się także biochemii. Chodziłaś na kursy przygotowujące do studiów medycznych.

– No tak, to za mało, aby być na twoim poziomie. Wystarcza jednak, abym nabrała wątpliwości dotyczących mojego wychowania religijnego. Nie wiem, co pomyślałaby moja matka, gdyby się dowiedziała o tych wirusach w naszych komórkach rozrodczych. – Abby uśmiechnęła się do Kaye i pokręciła głową. – Może nazwałaby je naszym grzechem pierwotnym.

Kaye patrzyła na Abby i próbowała wymyślić odpowiedź.

– To ciekawe – tylko taką znalazła. Nie wiedziała, dlaczego to ją dręczy, ale zmartwiła się jeszcze bardziej. Myśl ta budziła w niej lęk.

– Groby w Rosji – powiedziała Abby spokojnie. – Może tamtejsze matki miały sąsiadów, którzy uznali, że to wina grzechu pierwotnego.

– Nie wierzę w to – odparła Kaye.

– Och, też nie wierzę – powiedziała Abby. Wbiła teraz w Kaye swe niebieskie, badawcze, niespokojne, uważne oczy. – Nigdy nie czułam się swobodnie, gdy chodziło o cokolwiek związanego z seksem. Sam jest dobrym człowiekiem, jedynym, którego pokochałam, choć nie tylko jego zapraszałam do łóżka. Moje wychowanie... Nie było pod tym względem najlepsze. Ani najmądrzejsze. Nigdy z Mitchem nie rozmawiałam o seksie. Ani o miłości. Uważałam, że i tak sobie poradzi, jest taki przystojny, taki mądry. – Abby położyła dłoń na ręce Kaye. – Czy ci powiedział, że jego matka jest zwariowaną, pruderyjną babą? – Wyglądała na tak zasmuconą, zrozpaczoną i zagubioną, że Kaye mocno ścisnęła jej dłoń i uśmiechała się; miała nadzieję, że pocieszą ją.

– Powiedział mi, że jesteś wspaniałą, troskliwą matką – wyznała. – Że jest waszym jedynym synem i że rozetrzesz mnie na miazgę.

Abby zaśmiała się i jakby iskra przeskoczyła między nimi.

– Mówił mi, że jesteś bardziej nieprzejednana i mądrzejsza niż wszystkie kobiety, które spotkał, że tak bardzo dbasz o drobiazgi.

– Powiedział, że jeśli cię nie polubię, to inaczej ze mną pogada.

Kaye spojrzała na nią przerażona.

– Nic takiego nie powiedział!

– Powiedział – zapewniła Abby z całą powagą. – Mężczyźni w tej rodzinie nie owijają w bawełnę. Powiedziałam mu, że postaram się nie drzeć z tobą kotów.

– Wielkie nieba! – Zawołała Kaye, śmiejąc się z niedowierzaniem.

– Właśnie – powiedziała Abby. – Bronił się. Ale mnie zna. Wie, że ja także nie owijam w bawełnę. Wobec tego całego gadania o grzechu pierworodnym świat musi się zmienić. Zmieni się wiele pomiędzy mężczyznami i kobietami. Nie sądzisz?

– Jestem tego pewna – odparła Kaye.

– Chcę, abyś pracowała najciężej, jak zdołasz, proszę cię, kochana,

moja nowa córeczko, proszę o stworzenie miejsca, w którym Mitch znajdzie miłość, czułość i opiekę. Wygląda na twardego i mocnego, ale mężczyźni tak naprawdę są bardzo wrażliwi. Nie pozwól, aby to wszystko was rozdzieliło albo go skrzywdziło. Chcę, aby jak najwięcej zostało z Mitcha, którego znam i kocham. Ciągle widzę w nim swojego synka. Mój synek jest tam nadal silny.

W oczach Abby pojawiły się łzy i Kaye pojęła, trzymając dłoń kobiety, że sama przez tyle lat bardzo tęskniła za matką, bez powodzenia usiłując złożyć to uczucie do grobu.

– Było ciężko, gdy rodziłam Mitcha – wspominała Abby. – Cierpiałam cztery dni. Moje pierwsze dziecko, domyślałam się, że poród będzie bolesny, ale nie aż tak. Żałuję, że nie mamy więcej dzieci... Ale tylko trochę. Teraz przestraszyłabym się śmiertelnie. Jestem śmiertelnie przestraszona, chociaż nie muszę się martwić, że coś zajdzie między Samem i mną.

– Zaopiekuję się Mitchem – obiecała Kaye.

– Czasy są straszne – powiedziała Abby. – Ktoś napisze o nich książkę, wielką, grubą książkę. Mam nadzieję, że będzie pogodna i dobrze się skończy.

Tego wieczoru, po kolacji zjedzonej wspólnie przez mężczyzn i kobiety, rozmowa była miła, żartobliwa, beztroska. Atmosfera chyba się oczyściła, wszystkie problemy zostały zapewne rozwiązane. Kaye spała z Mitchem w jego dawnej sypialni, co było oznaką akceptacji jej przez Abby bądź wynikiem wiary w Mitcha albo w nich oboje.

To była pierwsza prawdziwa rodzina, jaką miała od lat. Myślała o tym, kuląc się obok Mitcha w zbyt małym łóżku i roniąc łzy szczęścia.

W Eugene, kiedy niedaleko wielkiej drogerii zatrzymali się, by nabrać benzyny, kupiła test ciążowy. Potem, aby przekonać siebie, że naprawdę podejmuje zwykłą decyzję, choć świat tak wyraźnie staje na

głowie, poszła do księgarenki w tym samym pasażu ze sklepami i kupiła podręcznik doktora Spocka w miękkiej okładce.

Pokazała książkę Mitchowi, który się uśmiechnął, ale nie pochwaliła się testem ciążowym.

– To takie normalne – szepnęła, gdy Mitch lekko zachrapał. – To, co robimy, jest takie naturalne i normalne, proszę cię, Boże.

**Seattle, stan
Waszyngton/Waszyngton,
Dystrykt Kolumbia
14 maja**

Kaye prowadziła przez Portland, a Mitch spał. Przejechali mostem do stanu Waszyngton, trafili na przelotny deszcz, a potem znowu mocno zaświeciło słońce. Kaye zjechała w bok i zjedli obiad w małej restauracji meksykańskiej obok miasteczka, którego nazwa nic jej nie mówiła. Drogi były pustawe, jak to w niedzielę. Ucięli sobie kilka minut drzemki na parkingu. Kaye położyła głowę na ramieniu Mitcha. Pogoda była ładna, słońce grzało jej twarz i włosy. Słyszeli śpiew kilku ptaków. Chmury ciągnęły z południa w równych szeregach, by wkrótce zasnuć niebo, ale powietrze pozostawało ciepłe.

Po drzemce Kaye prowadziła do Tacomy, potem kierownicę przejął Mitch i tak dojechali do Seattle. Na przedmieściu, mijając górujące nad autostradą centrum kongresowe, poczuł niechęć na myśl o zabraniu jej prosto do swego mieszkania.

– Może chciałabyś trochę pozwiedzać, zanim pojedziemy do domu – powiedział.

Kaye uśmiechnęła się.

– Co, masz bałagan w mieszkaniu?

– Jest porządek – odparł Mitch. – Może nie do końca... – Pokręcił głową.

– Nie martw się. Nie mam nastroju do zrządzenia. Lubię jednak zwiedzać.

– Pokażę ci miejsce, do którego uwielbiałem przychodzić, gdy nie kopałem...

* * *

Park Gasworks rozciągał się na południowym, trawiastym krańcu przylądka wychodzącym w jezioro Union. Pozostałości po dawnej gazowni i inne budynki fabryczne posprzątało, pomalowano na jaskrawe kolory i przekształcono w park publiczny. Pionowe zbiorniki na gaz, niszczące pomosty między nimi i rurociągi nie zostały pomalowane, odgrodzono je i pozwolono, aby rdzewiały. Gdy wyszli z parkingu, Mitch wziął Kaye za rękę i pokierował. Pomyślała, że park jest raczej brzydki, a trawa trochę wyleniała, ale ze względu na Mitcha nic nie mówiła.

Usiedli na murawie obok ogrodzenia z łańcuchów i patrzyli na samoloty pasażerskie schodzące do lądowania nad jeziorem Union. Parę samotnych osób – mężczyzn i kobiet, a także matek z dziećmi – szło w stronę placu zabaw obok budynków fabrycznych. Mitch powiedział, że jak na słoneczną niedzielę ludzi jest niewiele.

– Ludzie nie lubią się gromadzić – stwierdziła Kaye, ale gdy to mówiła, na parking zajeżdżały wynajęte autobusy, zajmując miejsca wyznaczone linami.

– Na coś się zanosi – powiedział Mitch, wyciągając szyję.

– Coś dla mnie zaplanowałeś? – Spytała bez troski.

– Nic a nic – uśmiechnął się Mitch. – Choć może po ostatniej nocy o czymś zapomniałem.

– Mówisz tak po każdej – odparła Kaye. Ziewnęła, zasłaniając dłonią usta, i leniwie śledziła wzrokiem żaglówkę przecinającą jezioro, a potem deskarza w pianie.

– Osiem autobusów. Ciekawe.

Okres Kaye spóźniał się trzy dni, a miesięczkowała regularnie, odkąd odstawiła pigułki po śmierci Saula. Coraz bardziej się martwiła. Potem pomyślała o tym, co być może zapoczątkowali, i zacisnęła zęby. Tak szybko. Staroświecki romans. Staczanie się po stoku, nabieranie prędkości.

Nic jeszcze nie powiedziała Mitchowi, chciała się upewnić, że to nie jest fałszywy alarm.

Gdy Kaye zbyt mocno pogrążała się w myślach, to jakby się oddzielała od ciała. Kiedy zdołała odciąć się od narastającej troski i po prostu przeanalizowała odbierane wrażenia, naturalny stan tkanek, komórek i emocji, poczuła się dobrze; to kontekst, skutki, wiedza zakłócały jej poczucie, że jest zdrowa i zakochana.

Rzecz w tym, że wiedziała za dużo, a jednocześnie zawsze nie dość.
Normalka.

– Dziesięć autobusów, rany, jednaście – liczył Mitch. – Cholerny tłum. – Podrapał się po szyi. – Nie wiem, czy mi się to podoba.

– To twój park. Nie chcę jeszcze odchodzić – powiedziała Kaye. – Jest ładnie. – Słońce rzucało wokół jasne plamki. Zardzewiałe, matowopomarańczowe zbiorniki lśniły.

Dziesiątki mężczyzn i kobiet przystrojonych w barwy ziemi szły grupkami od autobusów w stronę wzgórza. Nie wyglądało, aby się śpieszyli. Cztery kobiety niosły drewniany pierścień mający z jard szerokości, a kilku mężczyzn pomagało pchać na wózku długi słup.

Kaye zmarszczyła brwi, potem zachichotała.

– Coś robią z joni i linga.

Mitch przyglądał się uważnie procesji.

– Może to zabawa w toczenie gigantycznej fajerki. Albo jakaś inna gra.

– Tak sądzisz? – Spytała Kaye tym znanym mu i wyzbytym krytyki

tonem, w którym natychmiast wykrył nieznoszącą sprzeciwu niezgodę.

– Nie – odparł, waląc się dłonią w czoło. – Jak mogłem nie dostrzec tego od razu. To joni i linga.

– A jesteś antropologiem – powiedziała Kaye, lekko przeciągając sylaby. Podniosła się na kolana i osłoniła ręką oczy. – Chodźmy zobaczyć.

– A jeśli będą niezadowoleni?

– Wątpię, aby impreza była zamknięta – odpowiedziała.

Dicken minął posterunek kontrolny – klepanie po ubraniu, ręczny wykrywacz metali, sztuczny nos – i wkroczył do Białego Domu tak zwanym wejściem dyplomatycznym. Młody strażnik z piechoty morskiej natychmiast zaprowadził go schodami w dół do wielkiej sali konferencyjnej w podziemiu. Klimatyzacja działała na cały regulator, w środku było zimno niby w lodówce w porównaniu z osiemdziesięcioma pięcioma stopniami Fahrenheita i wilgocią na zewnątrz.

Dicken przybył pierwszy. Oprócz strażnika z piechoty morskiej i kelnera ustawiającego na długim, owalnym stole butelki wody Evian oraz notatniki i pióra, w sali nie było nikogo. Zajął jedno z krzeseł z tyłu, przeznaczonych dla młodszych asystentów. Kelner zapytał, czy napije się czegoś, mógł podać szklankę coli lub soku.

– Kawa będzie za kilka minut.

– Wystarczy cola – powiedział Dicken.

– Dopiero co pan przyleciał?

– Przyjechałem z Bethesdy – odparł.

– Na popołudnie zapowiada się paskudna pogoda – oznajmił kelner.

– O piątej będzie burza, tak mówią spece od pogody w Andrews. Dostajemy tu najlepsze prognozy. – Mrugnął okiem i się uśmiechnął, potem wyszedł i wrócił po kilku minutach z colą i szklanką pełną

pokruszonego lodu.

Dziesięć minut później zaczęli przybywać następni. Dicken rozpoznał gubernatorów Nowego Meksyku, Alabamy i Marylandu; towarzyszyło im szczupłe grono asystentów. Sala wypełniła się wkrótce śmietanką tak zwanego Buntu Gubernatorów, który w całym kraju wieszał psy na Zespole Specjalnym.

Augustine będzie miał ciężką godzinę tutaj, w podziemiu Białego Domu. Spróbuje przekonywać dziesięciu gubernatorów, w tym siedmiu z bardzo konserwatywnych stanów, że zapewnienie kobietom dostępu do pełnego zakresu środków poronnych jest jedynym humanitarnym wyjściem.

Dicken wątpił, aby to wezwanie spotkało się z aprobatą, a choćby nawet z uprzejmą odmową.

Po kolejnych kilku minutach na salę wkroczył Augustine w towarzystwie łącznika Białego Domu z Zespołem Specjalnym i szefa sztabu. Położył aktówkę na stole i podszedł do Dickena. Jego buty stukały na posadzce z płytek.

– Masz jakieś nowe atuty? – Spytał.

– Pełna klęska – odparł Dicken cicho. – Żadna z agencji medycznych nie sądzi, abyśmy mieli jakiegokolwiek szanse na ponowne przejęcie kontroli. Uważają też, że i prezydentowi sprawa wymknie się z rąk.

Augustine zmarszczył lekko brwi. W ostatnim roku kurze łapki wyraźnie się u niego pogłębiły, a włosy posiwiały.

– Pewnie obstają przy swoich, oddolnych rozwiązaniach?

– Tylko takie dostrzegają. AMA i większość pomniejszych oddziałów NIH wycofały swe poparcie, potajemnie, a niektóre wprost.

– Cóż – przyznał Augustine łagodnie – jest jasne jak słońce, że nie mamy niczego, co przyciągnęłoby je z powrotem do stada. Na razie. – Wziął od kelnera filiżankę kawy. – Może powinniśmy po prostu pójść

sobie do domu i zostawić działanie innym.

Odwrócił się, patrząc na wchodzących następnych gubernatorów. Zaraz potem pojawił się Shawbeck z sekretarzem stanu departamentu zdrowia i opieki społecznej.

– Oto przybyły lwy, a za nimi przyprowadzają chrześcijan – powiedział. – Nie mogło być inaczej. – Zanim wrócił na swoje miejsce na drugim końcu stołu, na jeden z trzech foteli, przed którymi nie stała mała flaga, dodał bardzo cichym głosem:

– Christopherze, prezydent przez ostatnie dwie godziny rozmawiał z Alabamą i Marylandem. Namawiali go do odłożenia decyzji. Chyba nie chce. W ostatnich sześciu tygodniach zamordowano piętnaście tysięcy ciężarnych kobiet. Piętnaście tysięcy, Christopherze!

Dicken już kilka razy widział tę liczbę.

– Powinniśmy wszyscy się wypiąć i nastawić na porządnego kopniaka – jęknął Augustine.

Mitch ocenił, że tłum ciągnący na wierzchołek wzgórza liczy co najmniej sześćset osób. Kilkudziesięciu gapiów podążało za główną grupą z pierścieniem i słupem.

Kaye wzięła go za rękę.

– Czy to miejscowy zwyczaj? – Spytała, ciągnąc Mitcha za sobą. Ciągle myślała o jakimś obrzędzie płodności.

– Nigdy o takim nie słyszałem – odparł Mitch. Od czasu San Diego włosy stawały mu dęba ze strachu, ilekroć napotykał zbyt wielki tłum ludzi.

Na szczycie wzgórza Kaye i Mitch stanęli na skraju wielkiego, płaskiego zegara słonecznego, mającego ze trzydzieści stóp średnicy. Widniały na nim płaskorzeźby w brązie przedstawiające znaki astrologiczne, cyfry, wyciągnięte ręce ludzkie i wykaligrafowane litery oznaczające cztery strony świata. Resztę koła wypełniały ceramika, szkło i barwiony beton.

Mitch pokazał Kaye, jak człowiek staje się gnomonem zegara, stając między równoległymi liniami z wyrytymi na nich nazwami pór roku i datami. Wedle jej szacunku była druga.

– To jest piękne – powiedziała. – Jakby przybytek pogański, nie sądzisz? – Mitch przytaknął, wpatrując się w nadciągający tłum.

Kilku puszczających latawce dorosłych i chłopców usuwało się z drogi, ściągając i nawijając sznurki, gdy grupa wspinała się na wzgórze. Trzy kobiety wniosły pierścień, pocąc się od jego ciężaru. Opuściły go ostrożnie na środek zegara słonecznego. Dwaj mężczyźni dźwigający słup zatrzymali się z boku, czekając na jego ustawienie.

Pięć starszych kobiet w jasnożółtych sukniach weszło do kręgu, trzymając się za ręce i uśmiechając z godnością. Otoczyły pierścień w środku zegara. Grupa nie wymówiła dotąd ani słowa.

Kaye i Mitch zeszli na południowy stok wzgórza z widokiem na jezioro Union. Mitch poczuł wietrzyk z południa i ujrzał kilka niskich zwałów chmur ciągnących nad przedmieściami Seattle. Powietrze było jak wino, czyste i słodkie, temperatura trochę przekraczała siedemdziesiąt stopni Fahrenheita. Cienie obłoków padały groźnie na pagórek.

– Zbyt wielu ludzi – powiedział Mitch do Kaye.

– Zostańmy i zobaczmy, co się stanie – odrzekła.

Tłum narastał, tworzył koncentryczne kręgi, wszyscy trzymali się za ręce. Poproszono grzecznie Kaye i Mitcha, a także innych, aby zeszli niżej ze wzgórza i zaczekali, aż dopełni się obrzęd.

– Możecie stamtąd patrzeć – powiedziała do Kaye tęga młoda kobieta w zielonej, luźnej sukience. Wyraźnie ignorowała Mitcha.

Jej wzrok zdawał się sięgać za niego, poprzez niego.

Jedynym odgłosem wydawanym przez zebranych był szelest ich szat i szmer odzianych w sandały stóp, kroczących po trawie i płaskorzeźbach zegara słonecznego.

Mitch włożył ręce do kieszeni i przygarbił ramiona.

Gubernatorzy siedzieli za stołem, przechylali się na lewo lub prawo, rozmawiając szeptem z asystentami bądź swymi kolegami.

Shawbeck ciągle stał z założonymi przed sobą rękoma. Augustine okrążył ćwierć stołu, aby pomówić z gubernatorem Kalifornii. Dicken próbował rozszyfrować wzór zajętych miejsc, a potem pojął, że ktoś zastosował sprytny układ. Gubernatorzy siedzieli nie według starszeństwa czy wpływów, ale w porządku geograficznym ich stanów. Kalifornia była na zachodnim skraju stołu, zaś gubernator Alabamy zajmował fotel w tyle sali, w jej południowo-wschodnim narożniku. Augustine, Shawbeck i sekretarz stanu siedzieli blisko miejsca prezydenta.

To coś oznacza, wywnioskował Dicken. Może naprawdę będą musieli przełknąć gorzką pigułkę i zalecić wprowadzenie taktyki Augustine'a.

Dicken nie był pewien, co sam o niej sądzi. Wysłuchał przedstawienia szacunków kosztów medycznych opieki nad dziećmi drugiego stadium, jeśli któreś pożyje dłużej; zapoznawał się także z liczbami wskazującymi, jak kosztowna będzie dla Stanów Zjednoczonych utrata całego pokolenia dzieci.

Łącznik prezydenta z ministerstwem zdrowia stanął w drzwiach.

– Panie i panowie, pan prezydent Stanów Zjednoczonych.

Wszyscy wstali. Gubernator Alabamy podniósł się z miejsca wolniej od innych. Dicken dostrzegł, że ma spoconą twarz, przypuszczalnie od wewnętrznego żaru. Augustine powiedział mu jednak, że gubernator przez ubiegłe dwie godziny naradzał się z prezydentem.

Agent Secret Service w marynarce klubowej i koszulce polo przeszedł za Dickenem, patrząc na niego z ową zimną precyzją, do której Christopher przywykł już dawno temu. Prezydent pierwszy

wszedł do sali, wysoki, ze słynną szopą siwych włosów. Wyglądał na zdrowego, choć trochę zmęczonego; świadomość jego władzy przejęła Dickena dreszczem. Ucieszył się, że prezydent spojrział w jego stronę, rozpoznał go i przechodząc, kiwnął z powagą głową.

Gubernator Alabamy odsunął fotel. Drewniane nogi zaszurały piskliwie na posadzce z płytek.

– Panie prezydencie – powiedział trochę za głośno. Prezydent stanął, aby z nim porozmawiać, i gubernator zrobił dwa kroki do przodu.

Dwaj agenci spojrzeli po sobie i przysunęli się, aby móc grzecznie interweniować.

– Kocham urząd i kocham nasz wielki kraj, sir – powiedział gubernator i objął prezydenta ramionami, jakby zamykając go w ochronnym, niedźwiedzim uścisku.

Gubernator Florydy, stojący obok, skrzywił się i pokręcił głową w zażenowaniu.

Agenci byli zaledwie o stopę dalej.

Och, pomyślał Dicken, nic więcej; jedynie pusta i prorocza świadomość zawieszenia w czasie, gwizdu pociągu jeszcze nie słysząc, hamulce nie zostały jeszcze wciśnięte, ręka chce się ruszyć, ale nadal zwisa leniwie wzdłuż boku.

Pomyślał, że może powinien się odsunąć.

Młody blondyn w czarnej szacie i zielonej maseczce chirurgicznej wspinał się ze spuszczonej oczami stokiem wzgórza do róży kompasu. Za nim szły trzy kobiety w brązowo-zielonych strojach. Niosły związany złotym sznurem woreczek z brązowej tkaniny. Rzadkie, niemal białe włosy mężczyzny powiewały na wietrze, który nasilał się na wzgórzu.

Kręgi kobiet i mężczyzn rozstały się, aby ich przepuścić.

Mitch przypatrywał się z ciekawością. Kaye stała za nim

z założonymi rękoma.

– Co zamierzają? – Zapytał.

– To jakiś obrzęd – odparła Kaye.

– Płodności?

– Czemu nie?

Mitch przetrwał ten domysł.

– Zdumiewające – powiedział. – Kobiet jest więcej niż mężczyzn.

– Jakies trzy do jednego – potwierdziła Kaye.

– Przeważają starsi mężczyźni.

– Waciki.

– Co?

– Tak dziewczęta nazywają mężczyzn mogących być ich ojcami – wyjaśniła Kaye. – Siwych jak prezydent.

– To obraźliwe – uznał Mitch.

– Prawdziwe – powiedziała. – Nie wiń mnie.

Młody mężczyzna zniknął im z oczu, gdy tłum znowu się skupił.

Wielka, rozpalona łapa chwyciła Christophera Dickena i przycisnęła plecami do ściany. Rozerwała mu bębenki w uszach i przygniotła pierś. Potem łapa puściła i osunął się na podłogę. Zamrugał i otworzył oczy. Ujrzał płomień rozchodzący się koncentrycznymi falami po zgniecionym suficie, ogarniane płomieniami płytki.

Pokrywała go krew i kawałki ciała. Biały dym i żar piekły oczy; zamknął je. Nie mógł oddychać, nie słyszał, nie mógł się ruszać.

Rozległ się niski szum pieśni.

– Idziemy – powiedział Mitch do Kaye.

Spojrzała na tłum. Teraz i jej coś zaczęło się nie podobać. Poczula jeżące się włoski na karku.

– Dobrze.

Skręcili na dróżkę i zaczęli schodzić północnym stokiem wzgórza.

Minęli mężczyznę z synem, pięcio – lub sześciolatkiem, trzymającym w rączkach latawiec. Chłopczyk uśmiechnął się do Kaye i Mitcha. Kaye popatrzyła na jego ładne oczy o wykroju migdała, długą, krótko ostrzyżoną głową, bardzo egipską, niby u pięknego starożytnego posągu z kości słoniowej, który nagle ożył, i pomyślała: „Jakie piękne, normalne dziecko. Jaki piękny chłopczyk”.

Przypomniała sobie dziewczynkę stojącą na poboczu drogi w Gordi, gdy karawana ONZ opuszczała miasteczko; bardzo różniącą się wyglądem, a jednak wywołującą tak podobne myśli.

Wzięła Mitcha za rękę akurat wtedy, gdy zawyły syreny. Popatrzyli na północ, w stronę parkingu, i zobaczyli pięć radiowozów zatrzymujących się z poślizgiem, otwierane drzwiczki i wysiadających policjantów, którzy biegli wśród zaparkowanych samochodów, a potem przez trawę w górę wzgórza.

– Patrz – powiedział Mitch, wskazując samotnego mężczyznę w średnim wieku, ubranego w szorty i bluzę, rozmawiającego przez telefon komórkowy. Wyglądał na przestraszonego.

– Co u diabła? – Zapytała Kaye.

Nasilił się szum śpiewanej modlitwy. Trzej policjanci minęli Kaye i Mitcha, pistolety mieli nadal w kaburach, ale jeden wyciągnął pałkę. Przepychali się przez zewnętrzne kręgi tłumu na wierzchołku wzgórza.

Kobiety obrzucały ich wyzwiskami. Walczyły z policjantami, bijąc pięściami, kopiąc, drapiąc, starając się ich odepchnąć.

Kaye nie mogła uwierzyć własnym oczom i uszom. Dwie kobiety wskoczyły na jednego z funkcjonariuszy, miotając przekleństwa.

Policjant z pałką zaczął nią walić, broniąc kolegów. Kaye słyszała skrzęcające żołądek, głuche plaśnięcia ciężkiego tworzywa sztucznego zderzającego się z ciałem i kością.

Zawróciła na wzgórze, ale Mitch chwycił ją za ramię.

Więcej policjantów wdzierło się w ciżbę, wywijając pałkami. Śpiewy ustały. Tłum jakby stracił wszelką spójność. Kobiety w długich szatach rozbiegały się, w gniewie i strachu przyciskając dłonie do twarzy, wrzeszczały, płakały, ich głosy były piskliwe i oszalałe. Niektóre z nich padały i waliły pięściami w wyleniałą, pożółkłą trawę. Piana ściekała im z ust.

Suka policyjna pokonała krawężnik i z wyjącem silnikiem wjechała na trawę. Dwie policjantki włączyły się do zbiegowiska.

Mitch sprowadził Kaye z kopca. Gdy dotarli do jego podnóża, popatrzyli w górę i zobaczyli tłum, nadal zgromadzony wokół zegara słonecznego. Dwaj funkcjonariusze wyłonili się ze skupiska, prowadząc młodego mężczyznę w czerni. Na szyi i rękach miał czerwone, ociekające krwią cięcia. Policjantka wzywała przez radiostację karetkę. Minęła Mitcha i Kaye w odległości kilku jardów, twarz miała bladą, a usta czerwone z gniewu.

– Cholera! – Krzyknęła na gapiów. – Czemu nie próbowaliście ich powstrzymać?

Ani Kaye, ani Mitch nie znaleźli na to odpowiedzi.

Młody mężczyzna w czerni zachwiał się i opadł między dwoma podtrzymującymi go policjantami. Jego twarz, wykrzywiona bólem i szokiem, mignęła bielą obłoku na tle zdeptanej, brudnej, żółtej trawy.

Seattle

Mitch pojechał autostradą na południe w stronę Capitol Hill, potem skręcił na wschód do Denny. Buick z warkotem wspinał się na wzniesienie. – Żałuję, że to widzieliśmy – powiedziała Kaye.

Mitch klął pod nosem.

– Żałuję, że się zatrzymaliśmy.

– Czy wszyscy oszaleli? Tego już za wiele. Nie mam pojęcia, jakie jest nasze miejsce w tym wszystkim.

– Wracają stare zwyczaje.

– Jak w Gruzji. – Kaye przyciskała knykcie palców do warg i zębów.

– Wściekam się, że kobiety winią mężczyzn – powiedział Mitch. – Chce mi się od tego rzygać.

– Ja nikogo nie winię – odparła Kaye. – Musisz jednak przyznać, że to naturalna reakcja.

Mitch zachmurzył się, niemal zgromił ją wzrokiem, po raz pierwszy, odkąd się poznali. Ukradkiem wstrzymała oddech, pełna jednocześnie poczucia winy i rozpacz, a potem wyjrzała przez okno na ciągnący się długo i prosto Broadway: ceglane budynki, pieszych, młodych mężczyzn w zielonych maseczkach, chodzących z innymi mężczyznami, i kobiety chodzące z kobietami.

– Zapomnijmy o tym – powiedział Mitch. – Odpocznijmy trochę.

Mieszkanie na pierwszym piętrze, schludne, przytulne i trochę zakurzone po długiej nieobecności Mitcha, miało okna wychodzące na Broadway. Widać było przez nie ceglany fronton poczty, księgarenkę

i tajsą restaurację. Wnosząc torby, Mitch przeprosił za nieistniejący – a przynajmniej niewidoczny dla Kaye – bałagan.

– Kawalerska nora – powiedział Mitch. – Nie wiem, czemu ją wynajmuję.

– Jest ładnie – stwierdziła Kaye, przesuwając palcami po ciemnym drewnie parapetu okiennego, białej emalii na ścianie. Duży pokój ogrzewało słońce, było trochę duszno, choć nie przytłaczająco. Kaye z pewnym trudem otworzyła okno. Mitch stanął obok i powoli je zamknął.

– Spaliny z ulicy – powiedział. – Okno sypialni wychodzi na tył budynku. Jest tam dobry ciąg.

Kaye myślała, że ujrzenie mieszkania Mitcha będzie przeżyciem romantycznym, miłym, dzięki któremu wiele się dowie o swoim partnerze, ale było posprzątane i tak skąpo umeblowane, że się rozczarowała. Obejrzała książki w wysokim do sufitu zamykanym regale obok wnęki kuchennej: podręczniki z antropologii i archeologii, kilka postrzępionych pozycji o biologii, pudło z czasopismami naukowymi i kserokopiami. Żadnych powieści.

– Restauracja tajska jest dobra – powiedział Mitch, otaczając ją ramieniem, gdy stała przed regałem.

– Nie jestem głodna. To tu prowadziłeś badania?

– A jakże. Miałem olśnienie. Jesteś moim natchnieniem.

– Dziękuję – powiedziała.

– Chcesz się zdrzemnąć? Mam piwo w lodówce...

– Budweisera?

Mitch się uśmiechnął.

– Wezmę jedno – powiedziała. Puścił ją i grzebał w lodówce.

– Kurczę. Musieli wyłączyć prąd. Wszystko w zamrażalniku się roztopiło... – Z kuchni doleciał chłodny, kwaśny zapach. – Ale piwo jest ciągle dobre. – Przyniósł jej butelkę i zrećźnie ją otworzył. Wzięła

piwo i pociągnęła łyczek. Ledwo czuła smak. Żadnej ulgi.

– Muszę do łazienki – powiedziała. Czuła się odrętwiała, oderwana od wszystkiego, co ważne. Zabrała z sobą torebkę i wyjęła z niej test ciążowy. Badanie było łatwe i proste: dwie kropelki moczu na pasek, kolor niebieski oznacza ciążę, różowy jej brak. Wyniki po dziesięciu minutach.

Nagle Kaye nie mogła się ich doczekać.

Łazienka była nieskazitelnie czysta.

– Co mogę dla niego zrobić? – Pytała siebie Kaye. – Ma tu swoje życie. – Odepchnęła jednak tę myśl i opuściła deskę klozetową, aby na niej usiąść.

W dużym pokoju Mitch włączył telewizor. Przez drzwi ze starych sosnowych desek Kaye usłyszała stłumione głosy, kilka wyrwanych słów. „Ranny w wybuchu został także sekretarz...”.

– Kaye! – Zawołał Mitch.

Zakryła pasek testu chusteczką higieniczną i otworzyła drzwi.

– Prezydent – powiedział Mitch z napiętą twarzą. Wygrażał pięścią w powietrzu. – Żałuję, że włączyłem to cholerstwo!

Kaye stanęła w dużym pokoju przed małym telewizorem, patrząc na głowę i ramiona spikerki, jej poruszające się usta, spływający z jednego oka tusz. „Na razie doliczono się siedmiu zabitych, w tym gubernatorów Florydy, Mississippi i Alabamy, prezydenta, agenta Secret Service i dwóch dotychczas niezidentyfikowanych. Wśród ocalałych są gubernatorzy Nowego Meksyku i Arizony, dyrektor Zespołu Specjalnego do spraw Heroda Mark Augustine i Frank Shawbeck z National Institutes of Health. Wiceprezydenta nie było wówczas w Białym Domu...”.

Mitch stał obok niej ze zwieszonymi ramionami.

– Gdzie był Christopher? – Spytała cicho Kaye.

„Nie wyjaśniono jeszcze, jak pomimo tak ścisłych środków

bezpieczeństwa przemycono bombę. Frank Sesno jest teraz przed Białym Domem”.

Kaye wysmyknęła się spod ramienia Mitcha.

– Przepraszam – powiedziała, klepiąc go nerwowo po plecach. – Łazienka.

– Dobrze się czujesz?

– Doskonale. – Zamknęła drzwi na zamek, wzięła głęboki oddech i podniosła chusteczkę higieniczną. Dziesięć minut już upłynęło.

– Na pewno dobrze się czujesz? – Zawołał Mitch przez drzwi.

Kaye uniosła pasek pod światło, spojrzała na dwa okienka testowe. Pierwszy test dał kolor niebieski. Drugi test dał kolor niebieski. Jeszcze raz przeczytała instrukcję, zrobiła porównanie z wydrukowanymi w niej wzorami barw i oparła się łokciem o drzwi. Kręciło jej się w głowie.

– Stało się – powiedziała cicho. Wyprostowała się i pomyślała: „Co za straszny czas. Niech zaczeka. Niech zaczeka, jeśli tylko ono może zaczekać”.

– Kaye! – Mitch był bliski paniki. Potrzebował jej, potrzebował pociechy. Kaye pochyliła się nad umywalką; ledwo była w stanie stać prosto, tak mocno odczuwała mieszankę przerażenia, ulgi i obawy, wywołaną tym, co zrobili, co robi świat.

Otworzyła drzwi i zobaczyła łzy w oczach Mitcha.

– A nawet na niego nie głosowałem! – Powiedział drżącymi ustami.

Kaye objęła go mocno. Śmierć prezydenta była znacząca, nieobojętna, miała swoją wagę, choć w tej chwili Kaye nie do końca ją sobie uświadamiała. Jej uczucia dotyczyły czegoś innego, Mitcha, jego matki i ojca, jej własnych nieobecnych rodziców; przejmowała się nawet odrobinę sobą, ale co ciekawe, nie czuła prawdziwego związku z życiem wewnątrz niej.

Jeszcze nie czuła.

To tak naprawdę nie jest dziecko.

Jeszcze nie.

Nie pokochaj go. Nie kochaj. Kochaj to, co robi, co przynosi.

Wbrew swej woli, gdy ścisnęła Mitcha i poklepywała go po plecach, nagle zemdląca. Mitch zaniósł ją do sypialni, przyniósł moką szmatkę.

Unosiła się chwilę w zamkniętej ciemności, potem uświadomiła sobie suchość ust. Odchrząknęła, otworzyła oczy.

Popatrzyła na męża, próbowała ucałować jego dłoń, gdy przesunął szmatką po jej policzkach i brodzie.

– Co za głupiec – powiedziała.

– Ze mnie?

– Ze mnie. Myślałam, że będę silna.

– Jesteś silna.

– Kocham cię – powiedziała. Tylko tyle zdołała z siebie wykrzesać.

Mitch zobaczył, że głęboko śpi, przykrył ją kocem, zgasił światło i wrócił do dużego pokoju. Mieszkanie wydało mu się zupełnie przemienione. Za oknami trwał jasny, letni zmierzch, rzucając bajeczny blask na przeciwną ścianę. Mitch usiadł przed telewizorem na podniszczonym fotelu. Przyciszony dźwięk brzmiał wyraźnie w ciszy pokoju.

„Gubernator Harris ogłosił stan wyjątkowy i wezwał oddziały Gwardii Narodowej. Godzina policyjna obowiązuje od siódmej wieczorem w dni powszednie, od piątej po południu w soboty i niedziele, a jeśli na poziomie federalnym zostanie wprowadzony, przypuszczalnie przez wiceprezydenta, stan wojenny, co wydaje się bardzo prawdopodobne, wówczas na obszarze kraju obowiązywać będzie zakaz gromadzenia się w miejscach publicznych jakichkolwiek grup ludności, jeśli nie uzyskają one zezwolenia od Urzędu Działań Doroznych w każdej społeczności lokalnej. Oficjalnie stan wyjątkowy wprowadzono bezterminowo, i po części, jak mówią członkowie

władz, jest on odpowiedzią na sytuację w stolicy kraju, a po części stanowi próbę opanowania niezwykle i trwających ciągle zamieszek w stanie Waszyngton...”.

Mitch postukał palcem w plastikowy pasek testowy. Zmienił kanał tylko po to, aby móc nad czymś panować.

– ...Nie żyje. Prezydent i pięciu z dziesięciu przybyłych z wizytą gubernatorów stanów zginęło dziś rano w sali konferencyjnej Białego Domu...

I znowu nacisnął guzik małego pilota.

– ...Gubernator Alabamy, Abraham C. Darzelle, przywódca tak zwanego Ruchu Zbuntowanych Stanów, tuż przed wybuchem objął prezydenta Stanów Zjednoczonych. Gubernatorzy Alabamy i Florydy oraz pan prezydent zostali rozerwani wskutek eksplozji...

Mitch wyłączył telewizor. Odniósł plastikowy pasek do łazienki i poszedł położyć się przy Kaye. Nie podniósł koca ani się nie rozebrał, aby jej nie przeszkadzać. Ściągnął buty, skulił się, łagodnie kładąc jedną nogę na okrytym pościelą udzie, i przytknął nos do jej krótkich, brązowych włosów. Zapach włosów i skóry głowy Kaye był bardziej kojący aniżeli jakiegokolwiek lekarstwo.

Na o wiele za krótką chwilę wszechświat raz jeszcze stał się maleńki, ciepły i całkowicie wystarczający.

Część trzecia

Stella Nova

Seattle Czerwiec

Kaye uporządkowała swoje papiery na biurku Mitcha i wzięła maszynopis Biblioteki Królowej. Trzy tygodnie temu postanowiła napisać książkę o SHEVIE, o współczesnej biologii, o wszystkim, co jej zdaniem rasa ludzka powinna wiedzieć w nadchodzących latach. Tytuł nawiązywał do jej metafory dotyczącej genomu, wszystkich jego rojących się ruchomych elementów i szukających własnych korzyści graczy, częścią swych sił służących królowej genomu w egoistycznej nadziei, że zostaną włączeni do Biblioteki Królowej, czyli DNA; czasami zaś przyjmujących w pozostałej części inne oblicze, grających inną rolę, bardziej samolubną niż użyteczną, pasożytniczą bądź drapieżną, powodujących kłopoty, a nawet katastrofy... Metafora polityczna, która wydawała się jej wyjątkowo trafna. W poprzednich dwóch tygodniach napisała na laptopie i wydrukowała na przenośnej drukarce ponad sto sześćdziesiąt stron, częściowo dla zebrania myśli przed konferencją.

I aby zabić czas. Czasami, gdy Mitch był nieobecny, godziny strasznie się wlokły.

Walnęła kartkami o drewniany blat, rada z mocnego huku, jaki wydały, a potem położyła je przed zdjęciem Christophera Dickena w srebrnej ramce, stojącym obok fotografii Sama i Abby. Ostatnie w jej pudełku z rzeczami osobistymi było błyszczące, czarnobiałe zdjęcie Saula, wykonane na Long Island przez zawodowego fotografa.

Saul wyglądał na uzdolnionego, uśmiechniętego, pewnego siebie, mądrego. Odbitki wraz z prospektami EcoBacter ponad pięć lat temu rozsyłali do firm udzielających kredytów wysokiego ryzyka. Wieki temu.

Kaye bardzo mało czasu poświęcała powrotom do przeszłości czy gromadzeniu pamiątek. Teraz tego żałowała. Chciała, aby jej dziecko zyskało poczucie tego, co było kiedyś. Patrząc na siebie w lustrze, widziała się w pełni rozkwitu zdrowia i żywotności, z cerą piękną jak brzoskwinia. Cięża bardzo jej służyła.

I jakby nie miała dość pisania, notowania, trzy dni temu zaczęła prowadzić pamiętnik, pierwszy w całym jej dotychczasowym życiu.

10 czerwca

Ostatni tydzień poświęciliśmy na przygotowania do konferencji i szukanie domu. Wysokość odsetek wystrzeliła w niebo, wynosi teraz dwadzieścia jeden procent, ale stać nas na coś większego od tego mieszkania, a Mitch nie jest wymagający. Ja tak. Mitch pisze wolniej ode mnie, o mumiach i jaskini, posyłając poszczególne kartki do Nowego Jorku Oliverowi Mertonowi, który je redaguje, niekiedy dość okrutnie. Mitch przyjmuje to spokojnie, stara się poprawiać tekst. Staliśmy się tacy literaccy, tacy skupieni na sobie, może trochę samolubni, odkąd nie mamy żadnych innych zajęć.

Mitch wyszedł dziś po popołudniu na rozmowę z nowym dyrektorem Hayera, mając nadzieję na odzyskanie stanowiska. (Nigdy nie oddala się od mieszkania bardziej niż o dwadzieścia minut drogi, kupiliśmy też przedwczoraj dodatkowy telefon komórkowy. Mówię mu, że doskonale sobie radzę, ale i tak się martwi).

Dostał od profesora Brocka list omawiający charakter obecnego sporu. Brock wziął udział w kilku talk show. Kilka gazet opisało całą historię, a artykuł Mertona w „NATURE” spotkał się z wielkim zainteresowaniem i mnóstwem krytyki.

Innsbruck nadal przechowuje wszystkie próbki tkanek i nie będzie niczego komentował ani udostępniał, ale Mitch namawia swych przyjaciół z Uniwersytetu Stanu Waszyngton, aby opublikowali wszystko, co wiedzą, i w ten sposób przełamali zмовę milczenia Innsbrucku. Merton uważa, że gradualisci trzymający łapę na mumiach mają najwyżej dwa, trzy miesiące, aby przygotować sprawozdania i je upublicznić, bo inaczej zostaną usunięci, zastąpieni.

Brock ma nadzieję doczekać bardziej obiektywnego zespołu i wyraźnie liczy, że stanie na jego czele. Mitch może się także w nim znaleźć, choć chyba jego oczekiwania nie są zbyt wielkie.

Merton i Daney nie zdołali przekonać nowojorskiego Urzędu Działań Doroznych, aby zezwolił na urządzenie konferencji w Albany. Powiedział coś o roku 1845, gubernatorze Silasie Wryghtie i zamieszkach wywołanych czynszami; władze nie chcą ich powtórki podczas działania tego „eksperymentalnego” i „tymczasowego” prawa o stanie wyjątkowym.

Poprzez Marię Konig z Uniwersytetu Stanu Waszyngton zwróciliśmy się z podaniem do waszyngtońskiego Urzędu Działań Doroznych i ten zezwolił na dwudniową konferencję w Kane Hall, z najwyżej stoma uczestnikami. Wszyscy mają być zatwierdzeni przez władze. Prawa obywatelskie nie zostały całkowicie zapomniane, choć mało do tego brakuje. Nikt nie chce tego nazywać stanem wojennym, sądy cywilne właściwie działają bez przeszkód, ale w każdym stanie nadzoruje je Urząd.

Niczego podobnego nie było od roku 1942, powiedział Mitch.

Czuję się niesamowicie: zdrowa, pełna życia, energii, nie wyglądam zbyttnio na ciężarną. Hormony są takie same, skutki takie same.

Jutro idę na badania ultradźwiękowe i skaningowe w Marine Pacific; pomimo zagrożenia będziemy robili punkcję owodni i pobranie kosmków kosmówki, gdyż chcemy poznać charakter tkanek.

Następny krok nie będzie taki łatwy.

Pani Hamilton, teraz ja także jestem szczurem laboratoryjnym.

**Budynek nr 10, National
Institutes of Health,
Bethesda
Lipiec**

Napędzając wózek jedną ręką, Dicken jechał długim korytarzem na dziesiątym piętrze Magnuson Clinical Center. Skręcił z wielką, miał nadzieję, gracją – ciągle jedną ręką – i niewyraźnie zobaczył dwoje idących mu naprzeciw ludzi. Szary garnitur, długi, powolny krok i wzrost powiedziały mu, że jedną z tych osób jest Augustine. Nie ma pojęcia, kim może być druga. Ze stłumionym jękiem opuścił prawą rękę i ruszył w stronę zauważonej pary. Gdy się zbliżył, zobaczył, że twarz Augustine’a goi się nieźle, chociaż na zawsze już zachowa trochę surowy wygląd. Miejsca niezakryte bandażami po nieustannych zabiegach chirurgii plastycznej, owijającymi poziomo twarz na wysokości nosa, oraz plastrami na obu policzkach i skroniach, ciągle szpeciły rany od odłamków. Augustine zachował dwoje oczu. Dicken stracił jedno, a drugie zamglił żar wybuchu.

– Nadal paskudnie wyglądasz, Mark – powiedział, hamując jedną ręką i lekko powłócząc nogą w kapciu.

– Nawzajem, Christopherze. Chcę ci przedstawić panią doktor Kelly Newcomb.

Ostrożnie uścisnęli sobie ręce. Dicken chwilę przyglądał się Newcomb, a potem powiedział:

- Jest pani nowym komiwojażerem Marka.
 - Tak – potwierdziła Newcomb.
 - Gratuluję otrzymanego stanowiska. – Te słowa Dicken wypowiedział do Augustine’a.
 - Nie ma czego – odparł Augustine. – Zapowiada się koszmarnie.
 - Zbierzesz wszystkie dzieci pod jeden parasol – stwierdził Dicken.
 - Co z Frankiem?
 - W następnym tygodniu wyjdzie z Walter Reed.
- Znowu milczenie. Dicken nie potrafił wymyślić, co ma powiedzieć. Newcomb niewygodnie wykręcała ręce, potem poprawiła okulary, popychała je wyżej na nosie. Dicken nie wytrzymał ciszy i gdy Augustine miał się już odezwać, wpadł mu w słowo:
- Zatrzymają mnie jeszcze kilka tygodni. Kolejna operacja ręki. Chciałbym na chwilę wyrwać się stąd, zobaczyć, co się dzieje na świecie.
 - Chodźmy do twego pokoju i pogadajmy – zaproponował Augustine.
 - Zapraszam – powiedział Dicken.
- Już w pokoju Augustine poprosił Newcomb o zamknięcie drzwi.
- Chcę, aby Kelly kilka dni rozmawiała z tobą. Trzeba przyspieszyć. Przechodzimy w nową fazę. Prezydent umieścił nas w swoim nieograniczonym budżecie.
 - Wspaniale – rzucił szybko Dicken. Przełknął ślinę i usiłował znaleźć nową, aby zwilżyć język. Lekarstwa uśmierzające ból i antybiotyki mieszały piekielnie w jego wewnętrznej chemii.
 - Nie zamierzamy robić niczego radykalnego – ciągnął Augustine. – Wszyscy się zgadzają, że nasza sytuacja jest niewiarygodnie delikatna.
 - Sytuacja przez duże S – powiedział Dicken.
 - Teraz na pewno – stwierdził Augustine spokojnie. – Nie proszę się o to, Christopherze.

– Wiem – odparł Dicken.

– Aby jednak żadne dziecko SHEVY nie urodziło się żywe, musimy działać szybko. Mam raporty z siedmiu laboratoriów, które dowodzą, że SHEVA potrafi mobilizować w genomie dawne retrowirusy.

– Robi, co tylko zechce z HERV-ami i retrotranspozonomi – powiedział Dicken. Próbował czytać teksty na specjalnym ekranie w pokoju. – Nie jestem pewny, czy to naprawdę wirusy. Mogą być...

– Obojętnie, jak je nazwiesz, mają niezbędne geny wirusowe – przerwał mu Augustine. – Nie stykaliśmy się z nimi od milionów lat, a więc zapewne będą patogeniczne. Martwią mnie teraz wszelkie ruchy, które mogą zachęcać kobiety do donoszenia tych dzieci. Nie ma kłopotów w Europie Wschodniej i Azji. Japonia już uruchomiła program prewencji. Tu jednak jesteśmy coraz bardziej przeklinani.

Było to mocne niedopowiedzenie.

– Nie przekraczaj znowu tej granicy, Marku – doradził Dicken.

Augustine nie był w nastroju do przyjmowania dobrych rad.

– Christopherze, możemy stracić więcej aniżeli tylko pokolenie dzieci. Kelly zgadza się ze mną.

– Brzmi to rozsądnie – potwierdziła Newcomb.

Dicken zakasłał, opanował skurcze, ale rumienił się ze zdenerwowania.

– Do czego zmierzamy... Do ośrodków internowania? Żłobków koncentracyjnych?

– Szacujemy, że do końca roku w Ameryce Północnej urodzi się najwyżej tysiąc lub dwa żywych dzieci SHEVY. Być może żadne, zero, Christopherze. Prezydent podpisał już nadzwyczajny rozkaz oddający je pod naszą pieczę, jeśli któreś urodzi się żywe. Pracujemy teraz nad szczegółami. Bóg jeden wie, co zamierza zrobić Unia Europejska. Azja postępuje bardzo praktycznie. Aborcja i kwarantanna. Szkoda, że nie jesteśmy tacy odważni.

– Dla mnie, Marku, nie wygląda to na poważne zagrożenie zdrowotne – powiedział Dicken. Za gardło znowu złapał go skurcz. Zakasłał. Uszkodzonym wzrokiem nie był w stanie odczytać pod bandażami miny Augustine’a.

– Są przechowalnikiem, Christopherze – odparł Augustine.

– Jeśli te dzieci pojawią się wśród ludzi, będą przekazywanymi. AIDS zaczęło się od paru osób.

– Przyznajemy, że to śmiertelne – powiedziała Newcomb, patrząc na Augustine’a. – Czuję to w kościach. Dokonaliśmy jednak analizy komputerowej niektórych z tych aktywowanych HERV-ów. Przy ekspresji czynnych genów env i pol możemy dostać coś znacznie gorszego od HIV. Komputery zapowiadają chorobę, jakiej jeszcze nie było w całych dziejach. Może wytepić rasę ludzką, doktorze Dicken. Możemy zostać zmieceni jak kurz.

Dicken dźwignął się z wózka i usiadł na skraju łóżka.

– Kto się z tym nie zgadza? – Zapytał.

– Doktor Mahy z CDC – odparł Augustine. – Bishop i Thorne. I oczywiście James Mondavi. Zgadza się jednak ludzie z Princeton, a cieszą się zaufaniem prezydenta. Chcą pracować nad tym z nami.

– Co twierdzą oponenty? – Dicken zadał to pytanie Newcomb.

– Mahy uważa, że wszystkie uwolnione cząsteczki będą w pełni przystosowanymi retrowirusami, ale niechorobotwórczymi, i w najgorszym razie wywołają kilka przypadków rzadkich rodzajów raka – odparł Augustine. – Także Mondavi nie dopuszcza patogenez.

– Ale to z innego powodu tu jesteśmy, Christopherze.

– Z jakiego?

– Potrzebujemy ciebie osobiście. Kaye Lang zaszła w ciążę. Znasz ojca. To SHEVA pierwszego stadium. Teraz w każdej chwili może poronić.

– Dicken się odwrócił.

– Sponsoruje konferencję w stanie Waszyngton. Próbowaliśmy skłonić Urząd Działań Doradźnych, aby zakazał jej organizacji...

– Konferencję naukową?

– Kolejne koszałki-opałki o ewolucji. I na pewno zachęta dla nowych matek. Byłaby to katastrofa propagandowa, wielki cios w morale. Nie kontrolujemy prasy, Christopherze. Jak sądzisz, czy będzie w tej sprawie ekstremistką?

– Nie – odparł Dicken. – Sądzę, że będzie bardzo rozsądna.

– To być może jeszcze gorzej – powiedział Augustine. – Ale jest coś, czego możemy użyć przeciwko niej, jeśli zacznie się powoływać na Naukę przez duże N. Reputacja Mitcha Rafelsona jest mocno zszargana.

– Jest przyzwoitym facetem – stwierdził Dicken.

– Jest kulą u nogi, Christopherze – poprawił go Augustine. – Na szczęście u jej nogi, a nie naszej.

Seattle 10 sierpnia

Kaye zabrała z sypialni do kuchni swój żółty notatnik. Mitch od dziewiątej rano był na Uniwersytecie Stanu Waszyngton. Gdy odwiedził Hayer Museum, od razu uzyskał odpowiedź odmowną; woleli unikać kontrowersji, nie zważając na popieranie go przez Brocka czy jakiegokolwiek innego naukowca. Sam Brock, jak wskazali rozsądnie, jest także kontrowersyjny, według anonimowych źródeł „pozwolono mu odejść”, a nawet „został wyrzucony” z badań nad neandertalczykami na Uniwersytecie w Innsbrucku. Kaye nigdy nie lubiła świata akademickiego. Notebook i szklankę soku pomarańczowego postawiła na małej tacce przy podniszczonym krześle Mitcha, potem usiadła z cichym jękiem. Tego ranka nikt jej nie odwiedzał, nie miała pojęcia, co ma teraz poruszyć w książce, zaczęła więc pisać krótki ogólny esej, który mógł się jej przydać na konferencji za dwa tygodnie...

Jednakże i esej nagle utknął. Natchnienie nie miało po prostu szans wobec tych szczególnych, mieszanych uczuć płynących z jej brzucha.

To ma już prawie dziewięćdziesiąt dni. Poprzedniego wieczoru napisała w swoim dzienniku: „Jest już mniej więcej wielkości myszy”. I nic więcej.

Pilotem Mitcha włączyła stary telewizor. Gubernator Harris zwołał jeszcze jedną konferencję prasową. Występował codziennie, opowiadając o prawie stanu wyjątkowego, o tym, jak stan Waszyngton

współpracuje z Waszyngtonem w Dystrykcie Kolumbia, jakim środkiem jest przeciwny – był bardzo dobry w sprzeciwach, odwołując się do twardych indywidualistów mieszkających na wschód od Gór Kaskadowych – i bardzo starannie tłumacząc, że jego zdaniem współpraca jest korzystna i niezbędna. Raz jeszcze snuł ponurą litanie danych statystycznych.

– Na północnym zachodzie, od Oregonu do Idaho, organy porządku publicznego powiadomiły mnie o co najmniej trzydziestu przypadkach złożenia ludzi w ofierze. Jeśli dodamy do tego szacunkowe dwadzieścia dwa tysiące aktów przemocy wobec kobiet w całym kraju, wówczas okaże się, że prawo o stanie wyjątkowym wprowadzono dużo za późno. Jesteśmy społecznością, stanem, rejonem, narodem, który przez rozpacz przestał nad sobą panować i wpadł w panikę wywołaną niepojętym postępowaniem Boga.

Kaye łagodnie potarła brzuch. Zadanie Harrisa było niewykonalne. Dumni obywatele USA, pomyślała, przyjmują postawę bardzo chińską. Wobec tak wyraźnie wycofanej łaski Niebios ich poparcie dla jakichkolwiek władz zmniejszyło się drastycznie.

Dyskusja przy okrągłym stole z dwoma naukowcami i przedstawicielem władz stanowych rozpoczęła się tuż po konferencji gubernatora. Rozmowa zeszła na dzieci SHEVY, będące rzekomo nosicielami choroby; padały same bzdury i jakoś nie miała ochoty ani potrzeby ich słuchać. Wyłączyła telewizor.

Zadzwoiła komórka. Kaye złapała ją szybko.

– Halo?

– Och, najpiękniejsza... Jest tu Wendell Packer, Maria Konig, Oliver Merton i profesor Brock, wszyscy siedzimy w tym samym pokoju.

Twarz Kaye rozjaśniła się i rozpogodziła na dźwięk głosu Mitcha.

– Chcieliby się z tobą spotkać.

– Tylko pod warunkiem, że zapragną zostać akuszerami –

powiedziała Kaye.

– Jezu, czujesz coś?

– Kwasotę w żołądku – odparła Kaye. – Jestem nieszczęśliwa i bez natchnienia. Ale nie, nie sędzę, aby nastąpiło to dzisiaj.

– No, jest coś, co powinno być dla ciebie natchnieniem – powiedział Mitch. – Zamierzają ogłosić swoją analizę próbek tkanek z Innsbrucku. I chcą wystąpić na konferencji. Packer i Konig mówią, że nas poprą.

Kaye zamknęła oczy, rozkoszując się chwilą.

– A ich wydziały?

– Nie pójdą na to. Polityka po prostu zbyt mocno naciska na dziekanów. Maria i Wendell zamierzają jednak pracować nad swymi kolegami. Mamy nadzieję na zjedzenie razem obiadu. Zechcesz się przyłączyć?

Żołądek Kaye przestał się przewracać. Pomyślała, że za godzinę lub dwie może rzeczywiście być głodna. Od lat śledziła pracę Marii Konig, niezmiernie ją podziwiała. W tym męskim zespole być może największą jednak zaletą Konig była jej płęć.

– Gdzie idziecie?

– Pięć minut drogi od Marine Pacific Hospital – odparł Mitch.

– Nic więcej nie wiem.

– Możecie zamówić dla mnie talerz owsianki – powiedziała Kaye. – Czy mam przyjechać autobusem?

– Broń Boże. Będę za pięć minut. – Mitch cmoknął przez telefon i dodał: – Oliver Merton chciałby coś powiedzieć.

– Jeszcze się nie spotkaliśmy, nie podaliśmy sobie ręki – powiedział zadyszany Merton, jakby przed chwilą spierał się o coś głośno albo wbiegł po schodach. – Chryste, pani Lang, jestem zdenerwowany samą rozmową z panią.

– Nieźle mi pan przyłożył w Baltimore – przypomniała Kaye.

– Tak, ale wtedy to było co innego – odparł Merton bez żadnego śladu skruchy. – Nie potrafię wyrazić, jak bardzo podziwiam to, co planuje pani z Mitchem. Dostaję wypieków w oczekiwaniu na cuda.

– Po prostu postępujemy zgodnie z naturą – stwierdziła.

– Proszę odkreślić przeszłość grubą kreską – powiedział Merton. – Pani Lang, jestem przyjacielem.

– Jeszcze się o tym przekonamy – odparła.

Merton zachichotał i oddał komórkę Mitchowi.

– Maria Konig poleca dobrą restaurację wietnamską podającą zupę phô. Na nią miewała zachcianki, gdy była w ciąży. Co powiesz?

– Po owsiance – odparła Kaye. – Czy będzie tam Merton?

– Nie, jeśli sobie tego nie życzysz.

– Powiedz mu, że będę mordować go wzrokiem. Niech pocierpi.

– Powiem – obiecał Mitch. – Ale od ataków rozkwita.

– Już dziesięć lat analizuję tkanki pobierane ze zwłok – powiedziała Maria Konig. – Wendell wie, czym to pachnie.

– O tak, aż za dobrze – potwierdził Packer.

Konig, siedząca naprzeciw Kaye, była bardziej niż piękna – stanowiła idealny wzorzec tego, jak ona sama pragnęłaby wyglądać, gdy osiągnie pięćdziesiątkę. Wendell Packer był bardzo przystojny, szczupły i żyłasty – zupełne przeciwieństwo Mitcha. Brock nosił szary płaszcz i czarną koszulkę; wytworny i spokojny, wyglądał na pogrążonego w bardzo głębokich rozmyślaniach.

– Codziennie poczta kurierska dostarcza przesyłkę, dwie lub trzy – ciągnęła Maria. – Otwiera się ją, a w środku są próbówki lub buteleczki z Bośni, Timoru Wschodniego albo Konga, zawierające zasmucający skrawek skóry bądź kości tej czy innej ofiary, zazwyczaj niewinnej, oraz koperta z odbitkami dokumentów, dalsze próbówki, w nich próbki krwi lub wymazy z wewnętrznej strony policzków, pochodzące od krewnych ofiar. Dzień w dzień, stale. Bez żadnych

przerw. Jeśli te niemowlęta są następnym krokiem, jeśli będą lepsze od żyjących teraz na tej planecie, nie mogę się doczekać. Potrzebujemy zmian.

Małeńka kelnerka przyjmująca zamówienia przestała zapisywać je w bloczku.

– Identyfikuje pani martwe ludzkie dla ONZ? – Zapytała Marię.

Konig spojrzała na nią z zaskoczeniem.

– Czasami.

Ja z Kampucza, Kambodża, przyjechałam tu piętnaście lat temu. Pracowała pani z Kampuczczanami?

– To było przed moimi czasami, moja droga – odparła Maria.

– Ja ciągle bardzo zła – powiedziała kelnerka. – Matka, ojciec, bracia, wujek. Potem pozwolili mordercom iść bez kary. Bardzo paskudne mężczyźni i kobiety.

Przy stoliku zapadła cisza, gdy wielkie, czarne oczy kelnerki zabłyśły od wspomnień. Brock pochylił się do przodu, złożył dłonie i dotknął nosa opuszką kciuka.

– Bardzo źle teraz, jeszcze. I tak chcę mieć dziecko – mówiła dalej kelnerka. Dotknęła brzucha i popatrzyła na Kaye.

– Pani?

– Tak – potwierdziła Kaye.

– Ja wierzę w przyszłość – powiedziała kelnerka. – Musi dać lepiej.

Dokończyła zbieranie zamówień i odeszła. Merton wziął pałeczki i kilka chwil bawił się nimi bezradnie.

– Muszę to sobie przypominać, gdy tylko będę przygnębiony.

– Niech pan to wykorzysta w swej książce – radził Brock.

– Piszę teraz jedną. – Merton uniósł brwi. – Nic w tym dziwnego.

Dzieją się najważniejsze wydarzenia naukowe naszych czasów.

– Mam nadzieję, że powie panu lepiej niż mnie – powiedziała Kaye.

– Utknąłem, zupełnie się zakorkowałem – stwierdził Merton i poprawił okulary grubszym końcem pałeczki. – Ale to nie potrwa długo. Nigdy nie trwa.

Kelnerka przyniosła sajgonki, krewetki z pędami fasoli i przezroczyste naleśniki z liśćmi bazylii. Kaye przeszła zachcianka na mdłą i uspokajającą owsiankę. Czując się gotowa na większe wyzwania, złapała pałeczkami sajgonkę i umoczyła ją w małej ceramicznej czarce ze słodkim, brązowym sosem. Smak był nadzwyczajny – mogłaby minutami rozkoszować się każdym kęsem, pochłaniać każdy wyborny kawałeczek. Bazylia i mięta w środku sajgonki były niemal zbyt mocne, zaś krewetka miała bogaty, chrupiący i oceaniczny smak.

Wyostrzyły się wszystkie jej zmysły. W wielkiej, choć ciemnej i chłodnej sali, dostrzegała mnóstwo barw, mnóstwo szczegółów.

– Co do nich wsadzają? – Spytała, przeżuwając ostatni kawałek sajgonki.

– Są dobre – potwierdził Merton.

– Nie powinnam była tyle mówić – przeprosiła Maria, nadal czująca emocje wywołane krótką opowieścią kelnerki.

– Wszyscy wierzymy w przyszłość – stwierdził Mitch. – Nie znaleźlibyśmy się tutaj, gdybyśmy wciąż tkwili w swych wąskich koleinach.

– Musimy ustalić, co możemy powiedzieć, jakie są nasze ograniczenia – powiedział Wendell. – Tylko tyle mogę się wychylić, wyjść poza moją specjalność, i jedynie tyle jest w stanie tolerować wydział, choćbym się zastrzegł, że się wypowiadam wyłącznie we własnym imieniu.

– Odwagi, Wendellu – zachęcał Merton. – Zwarty front. Freddie?

Brock pociągnął łyk bladego piwa z mnóstwem piany. Miał minę zbitego psa.

– Nie potrafię uwierzyć, że jesteśmy tu wszyscy, że dotarliśmy tak daleko – powiedział. – Zmiany są tak bliskie, boję się bardzo. Czy wiecie, co się stanie, kiedy przedstawimy nasze odkrycia?

– Ukrzyżuje nas niemal każde czasopismo naukowe świata – odparł Packer ze śmiechem.

– Nie „Nature” – zaproponował Merton. – Przygotowałem ich trochę. Zadałem im dziennikarski i naukowy sztych. – Uśmiechał się szeroko.

– Nie, przestańcie, przyjaciele – poprosił Brock. – Zatrzymajmy się na chwilę i pomyślmy. Ledwo co zaczęło się nowe tysiąclecie, a już dowiadujemy się, jak zostaliśmy ludźmi. – Zdjął grube okulary i wytarł je serwetką. Oczy miał zamglone, patrzące bardzo daleko. – W Innsbrucku mamy nasze mumie, przyłapano w ostatnich stadiach zmiany, jaka zachodziła dziesiątki tysięcy lat. Twardość i dzielność kobiety musiały przekraczać wszelkie nasze wyobrażenia, ale wiemy bardzo mało. Pani doktor Lang, pani wiedza jest ogromna i jakoś posuwa się pani do przodu. Pani odwaga jest być może jeszcze bardziej godna podziwu. – Uniósł szklankę z piwem. – Płynący z głębi serca toast to najmniejsze, co mogę dla pani zrobić.

Wszyscy wzniesli szklanki. Kaye poczuła, jak jej żołądek znowu podskoczył, ale tym razem nie było to niemiłe.

– Za Kaye – powiedział Friedrich Brock. – Za następną Ewę.

Seattle

12 sierpnia

Kaye siedziała w starym buicku, chroniąc się przed deszczem. Mitch szedł wzdłuż rzędu samochodów na małym placu przy ulicy Roosevelta, szukając opisanego przez nią auta – małego, z końca lat dziewięćdziesiątych, japońskiego bądź volvo, niebieskiego albo zielonego – i patrzył na nią, widoczną znad opuszczonej dla nabrania powietrza szyby. Ściągnął mokry filcowy stetson i uśmiechnął się.

– Co powiesz na to cacko? – Wskazał czarnego capricea.

– Nie – odparła Kaye z przekonaniem. Mitch uwielbiał wielkie, stare samochody amerykańskie. Czuł się wygodnie w ich wielkich wnętrzach, a bagażniki umożliwiały przewożenie narzędzi i odłamków skał. Najchętniej kupiłby półciężarówkę, dyskutowali o tym od kilku dni. Kaye nie była przeciwna napędowi na cztery koła, ale nie znaleźli niczego, na co jej zdaniem było ich stać.

Chciała zostawić w banku dużą rezerwę na czarną godzinę. Ustanowiła limit dwunastu tysięcy dolarów.

– Jestem utrzymankiem – powiedział, trzymając ponuro kapelusz i wskazując głową na capricea.

Kaye świadomie to zignorowała. Cały ranek była w złym humorze – przy śniadaniu dwa razy warknęła na Mitcha, który przyjął te reprimendy z wkurzającą pokorą. Potrzebowała prawdziwej kłótni, od której zawrzałyby w niej krew, zagotowałyby się myśli – która dałoby kopa jej ciału. Miała już dość trwającego od trzech dni i dręczącego jej

wnętrznosci odczucia. Miała powyżej uszu czekania, prób połapania się w tym, co nosi w sobie.

Nade wszystko zaś Kaye pragnęła skoczyć do oczu Mitcha za to, że pozwolił, aby zaszła w ciążę i zapoczątkowała ten okropny, wlokący się w nieskończoność proces.

Mitch ruszył wzdłuż drugiego szeregu, patrząc na nalepki. Po drewnianych stopniach z małej przyczepy mieszkalnej służącej za biuro zeszła kobieta z parasolką i zaczęła z nim rozmawiać.

Kaye patrzyła na nich podejrzliwie. Nienawidziła siebie, nienawidziła swych obłąkańczych i chaotycznych uczuć. W jej myślach nie było ani krzty sensu.

Mitch wskazał używanego lexusa.

– O wiele za drogi – mruknęła Kaye pod nosem, obgryzając skórkę przy paznokciu. Potem... – O cholera. – Pomyślała, że zsikała się w majtki. Strużka leciała ciągle, ale nie z pęcherza. Sięgnęła ręką między nogi.

– Mitch! – Ryknęła. Wrócił biegiem, otworzył drzwiczki od strony kierowcy, wskoczył do środka, uruchomił silnik, gdy pierwszy szturchaniec tępego bólu zgiął ją wpół. W skurczu niemal przytrzasnęła sobie dłoń. Jedną ręką odchylił ją do tyłu. – O Boże! – Krzyknęła.

– Jedziemy – powiedział. Ruszył ulicą Roosevelta, skręcił na zachód w 45, omijając samochody na estakadzie, i ostro zjechał na lewo na autostradę.

Ból stał się teraz mniejszy. Brzuch wydawał się wypełniać lodowatą wodą, a uda jej dygotały.

– Co czujesz? – Zapytał Mitch.

– Strach – odpowiedziała. – Takie to dziwne.

Mitch pędził osiemdziesiąt mil na godzinę.

Kaye czuła jakby lekki ruch kiszek. Takie to ostre, takie naturalne,

niemożliwe do opisania. Próbowwała zaciskać nogi. Nie była pewna, co czuje, co dokładnie się dzieje. Ból prawie minął.

Kiedy zajechali przed wejście dla nagłych wypadków szpitala Marine Pacific, była już całkowicie przekonana, że wszystko ma za sobą.

Maria Konig poleciła im doktor Felicity Galbreath, kiedy Kaye napotkała na opory kilku pediatrów, niechętnych prowadzeniu ciąży SHEVY. Jej ubezpieczenie zdrowotne tego nie obejmowało; SHEVA była uważana za chorobę, stan przedciążowy, na pewno nie za ciążę naturalną.

Doktor Galbreath pracowała w kilku szpitalach, ale zachowała swój gabinet w Marine Pacific, wielkim, brązowym gmachu w stylu art deco z epoki wielkiego kryzysu, górującym nad autostradą, jeziorem Union i sporą częścią zachodniego Seattle. Dwa dni w tygodniu wykładała także na Western Washington University i Kaye nie mogła się nadziwić, jak znajduje czas na prowadzenie drugiego życia.

Galbreath, wysoka i otyła, z okrągłymi ramionami, miłą, niezapadającą w pamięć twarzą i ciasnym hełmem krótkich, myszowatych włosów, weszła do wspólnej sali dwadzieścia minut po przyjęciu Kaye. Miejscowa pielęgniarka umyła Kaye, a dyżurny lekarz zbadał ją pobieżnie. Położna, której nigdy przedtem nie spotkała, także ją obejrzała, dowiedziawszy się o jej przypadku z krótkiego artykułu w „Seattle Weekly”.

Kaye usiadła w łóżku, bolały ją plecy, ale poza tym czuła się dobrze. Wypiła szklankę soku pomarańczowego.

- No, stało się – powiedziała Galbreath.
- Stało – powtórzyła Kaye tępo.
- Powiedzieli mi, że jesteś w dobrym stanie.
- Czuję się teraz lepiej.

Bardzo przepraszam, że nie zjawiłam się wcześniej. Byłam

w uniwersyteckim ośrodku medycznym.

– To stało się chyba zanim jeszcze zostałam tu przyjęta – powiedziała Kaye.

– Jak się czujesz?

– Paskudnie. Fizycznie dobrze, ale paskudnie.

– Gdzie jest Mitch?

– Powiedziałam mu, aby przyniósł mi dziecko. Płód.

Galbreath spojrzała na nią z mieszaniną rozdrażnienia i podziwu.

– Czy wy, naukowcy, nie posuwacie się za daleko?

– Bzdura – odparła Kaye z zapalem.

– Możesz być w szoku emocjonalnym.

– Podwójna bzdura. Zabiorą je, nic mi nie mówią. Muszę je zobaczyć. Muszę się dowiedzieć, co się stało.

– To poronienie pierwszego stadium. Wiesz przecież, jak wygląda – powiedziała Galbreath łagodnie, badając puls Kaye i patrząc na monitor. Dla bezpieczeństwa założono jej kroplówkę.

– Mitch wrócił z małą metalową miską przykrytą tkaniną.

– Wysyłają to do... – Uniósł głowę, twarz miał bladą jak prześcieradło. – Nie wiem gdzie. Musiałem na nich nawrzeszczyć.

Galbreath patrzyła na nich oboje z wymuszonym opanowaniem.

– To tylko tkanka, Kaye. Szpital musi ją wysyłać do zatwierdzonego przez Zespół Specjalny ośrodka przeprowadzającego sekcje. Takie jest prawo.

– To moja córka! – Powiedziała Kaye; łzy spływały jej po policzkach. – Chcę ją zobaczyć, zanim zostanie zabrana. – Zaczęła łkać i nie mogła nad tym zapanować. Zajrzała pielęgniarka, zobaczyła, że jest tu Galbreath, stanęła w drzwiach z wyrazem bezradności i troski na twarzy.

Galbreath wzięła od Mitcha miskę, który chętnie się jej pozbył. Czekala, aż Kaye się uspokoi.

– Proszę – powiedziała Kaye. Galbreath łagodnie położyła miskę na jej kolanach.

Pielęgniarka odeszła, zamykając za sobą drzwi.

Mitch odwrócił się, gdy Kaye podniosła szmatkę.

Na podłożu z potłuczonego lodu, w małej plastikowej torebce z zaciskowym zamknięciem, nie większa niż mysz laboratoryjna, leżała córka pośrednia. Jej córka. Kaye karmiła, nosiła i chroniła to przez ponad dziewięćdziesiąt dni.

Przez chwilę czuła ogromny niepokój. Przesunęła palcem po torebce, po okrytym nią krótkim i wygiętym kręgosłupie za skrajem rozerwanej maleńkiej owodni. Musnęła stosunkowo dużą i niemal pozbawioną twarzy główkę, wyczuwając drobniutkie szparki oczu, pomarszczony, przypominający króliczy pyszczek, wszystko mocno zaciśnięte, guzki w miejscu rąk i nóg. Pod owodnią leżało maleńkie, purpurowe łóżysko.

– Dziękuję ci – powiedziała Kaye płodowi.

Przykryła miskę. Galbreath spróbowała ją zabrać, lecz Kaye przytrzymała jej rękę.

– Zostawcie mnie z nią na kilka minut – poprosiła. – Chcę się upewnić, że nie jest samotna. Gdziekolwiek pójdzie.

* * *

Galbreath dołączyła do Mitcha w poczekalni. Siedział z głową ukrytą w dłoniach na jasnym fotelu z wybielonego dębu, stojącym pod obrazem w jesionowej ramie z pastelowym motywem morskim. – Chyba powinien się pan czegoś napić – powiedziała.

– Czy Kaye nadal śpi? – Spytał Mitch. – Chcę być przy niej.

Galbreath kiwnęła głową.

– Może pan pójść do niej, kiedy tylko zechce. Zbadałam ją.

– Czy chce pan poznać szczegóły?

– Proszę. – Mitch przetarł twarz. – Nie wiedziałem, że się tak zachowam. Bardzo mi przykro.

– Niepotrzebnie. Jest odważną kobietą, która uważa, że wie, czego chce. Cóż, nadał jest w ciąży. Wtórny czop śluzowy wydaje się być na miejscu. Nie doszło do urazu, do krwawienia; odłączenie było jak w podręczniku, gdyby komukolwiek przyszło do głowy napisać jakiś o czymś takim. Szpital przeprowadził pośpieszną biopsję. To niewątpliwie odrzucenie SHEVY pierwszego stadium. Potwierdzono liczbę chromosomów.

– Pięćdziesiąt dwa? – Spytał.

Galbreath przytaknęła.

– Jak u wszystkich innych. Powinno być ich czterdzieści sześć. Wielkie nieprawidłowości chromosomalne.

– To odmienny rodzaj normalności – odparł.

Galbreath usiadła obok niego i założyła nogę na nogę.

– Miejmy nadzieję. W ciągu kilku miesięcy przeprowadzimy dalsze badania.

– Nie wiem, co kobiety czują po czymś takim – powiedział Mitch powoli, splatając i rozkładając dłonie. – Co mam jej powiedzieć?

– Proszę pozwolić jej się wyspać. Kiedy się obudzi, powie jej pan, że ją kocha, że jest dzielna i cudowna. Zapewne uzna to wszystko za zły sen.

Mitch patrzył na nią.

– Co jej powiem, jeśli następnej ciąży też nie donosi?

Galbreath przechyliła głowę na bok, przesunęła palcem po policzku.

– Nie wiem, panie Rafelson.

Mitch wypełnił dokumenty wypisania ze szpitala i przejrzał dołączony raport medyczny, podpisany przez Galbreath. Kaye złożyła koszulę nocną i schowała ją do małej nocnej szafki, a potem poszła sztywno do łazienki i zapakowała szczoteczkę do zębów.

– Wszystko mnie boli – powiedziała. Jej głos zabrzmiał głucho przez otwarte drzwi.

– Mogę pójść po wózek – zaproponował Mitch. Był już prawie na korytarzu, zanim Kaye opuściła łazienkę i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Mogę chodzić. Tę część mam za sobą, czuję się teraz znacznie lepiej. Ale... Pięćdziesiąt dwa chromosomy, Mitch. Chciałabym wiedzieć, co to znaczy.

– Masz jeszcze czas – odparł Mitch spokojnie.

Kaye w pierwszym odruchu chciała spojrzeć nań surowo, ale jego mina powiedziała jej, że postąpiłaby niesprawiedliwie; że Mitch przeżywa się tak samo jak ona.

– Nie – sprzeciwiła się prosto i łagodnie.

Galbreath zapukała w ramę drzwi.

– Wejdz – zaprosiła ją Kaye. Zamknęła na zamek drzwiczki szafki nocnej. Lekarka weszła z młodym, skrupowanym mężczyzną w szarym garniturze.

– Kaye, to Ed Gianelli. Jest przedstawicielem Urzędu Działań Doradczych w Marine Pacific.

– Pani Lang, panie Rafelson. Przepraszam, że przeszkadzam.

– Muszę otrzymać pewne dane osobowe i podpis, zgodnie z umową podporządkowującą stan Waszyngton prawu federalnemu o stanie wyjątkowym, przyjętą przez władze stanowe 22 lipca bieżącego roku i podpisaną przez gubernatora 26 lipca. Przykro mi, że musiałem się pojawić w tej bolesnej chwili...

– O co chodzi? – Spytał Mitch. – Co mamy zrobić?

– Wszystkie kobiety brzemiennie płodem SHEVY drugiego stadium muszą się zarejestrować w stanowym Urzędzie Działań Doradczych i wyrazić zgodę na objęcie ich odpowiednią opieką medyczną. Może pani umawiać się na wizyty u pani doktor Galbreath, jako

uprawnionym lekarzem położnikiem, i u niej przeprowadzać standardowe badania.

– Nie zarejestrujemy się – powiedział Mitch. – Możesz już iść? – Spytał Kaye, obejmując ją ramieniem.

Gianelli zmienił swą postawę.

– Nie chcę wnikać w powody, panie Rafelson, ale rejestracja i wynikające z niej postępowanie są nakazane przez Wydział Zdrowia hrabstwa King, w zgodzie z prawem stanowym i federalnym.

– Nie uznaję tego prawa – stwierdził Mitch stanowczo.

– Karą jest grzywna w wysokości pięciuset dolarów za każdy tydzień odmowy – oznajmił Gianelli.

– Lepiej nie robić z tego wielkiego problemu – stwierdziła Galbreath. – To rodzaj dodatku do metryki urodzenia.

– Dziecko się jeszcze nie urodziło.

– Proszę więc uznać to za aneks do raportu medycznego dotyczącego poronienia. – Gianelli wzruszył ramionami.

– To nie było poronienie – odparła Kaye. – Wszystko dzieje się w sposób naturalny.

Gianelli wyciągnął ze złością rękę.

– Potrzebny mi jest jedynie pani obecny adres i formalna odmowa znalezienia się w odpowiednich rejestrach medycznych. Jeśli pani sobie życzy, doktor Galbreath i pani prawnik mogą sprawdzać wszystko, co robimy.

– O Boże – rzucił Mitch. Poprowadził Kaye obok Galbreath i Gianellego, po czym zatrzymał się, aby powiedzieć lekarce:

– Rozumie pani, co to znaczy, prawda? Ludzie będą unikać szpitali, swoich lekarzy.

– Mam mocno związane ręce – odparła. – Szpital walczył z tym jeszcze do wczoraj. Ciągłe zamierzamy się odwołać do Wydziału Zdrowia. Obecnie jednak...

Mitch i Kaye wyszli. Galbreath stała na progu z plamami na twarzy.
Wzburzony Gianelli poszedł za nimi korytarzem.

– Muszę państwu przypomnieć – powiedział – że te grzywny narastają...

– Zostaw, Ed! – Zawołała Galbreath, waląc dłonią w ścianę.

– Zostaw i pozwól im iść, na miłość boską!

Gianelli stał na środku korytarza, kręcąc głową.

– Nienawidzę tej roboty!

– Ty jej nienawidzisz? – Wołała do niego Galbreath. – Zostaw, u diabła, w spokoju moich pacjentów!

**Budynek nr 52,
National Institutes
of Health,
Bethesda
Październik**

– Twoja twarz wygląda naprawdę dobrze – powiedział Shawbeck. Do gabinetu Augustine’a wszedł o kulach. Asystent pomógł mu opuścić się na krzesło. Augustine skończył jedzenie kanapki z wołowiną z puszki. Otarł usta i nałożył wieczko pudełka z pianki, zamknął je na wcisk. – W porządku – powiedział Shawbeck, gdy już usiadł. – Cotygodniowe spotkanie ocalałych po dwudziestym lipca, przewodniczy mu der Führer.

Augustine uniósł brwi.

– To wcale nie było śmieszne.

– Kiedy dołączy do nas Christopher? Powinniśmy przygotować butelkę brandy, a ostatni ocalały wzniesie toast za tych, którzy odeszli.

– Christopher czuje coraz większe zniechęcenie – odparł Augustine.

– A ty nie? – Spytał Shawbeck. – Kiedy spotkałeś się z prezydentem?

– Trzy dni temu.

– Rozmawialiście o tajnym budżecie?

– O rezerwach finansowych dla Urzędów Działań Doraźnych –

poprawił go Augustine.

– Nawet słowem mi o nich nie wspomniał – powiedział Shawbeck.

– To teraz moja działka. Chcą powiesić mi na szyi starą deskę klozetową i zrobić ze mnie kozła ofiarnego.

– Bo zestawieś razem racjonalne powody. Tak więc... Owe nowe dzieci mają się nie tylko rodzić martwe, ale też, jeśli jakimś cudem urodzą się żywe, będziemy odbierać je rodzicom i umieszczać w specjalnie finansowanych szpitalach. Na tej drodze posunęliśmy się dość daleko.

– Opinia publiczna jest chyba po naszej stronie – stwierdził Augustine. – I opinia prezydenta, opisującego to jako ogromne zagrożenie zdrowia narodu.

– Za nic w świecie, Mark, nie chciałbym być na twoim miejscu. Zapowiada się samobójstwo polityczne. Prezydent musiał być w szoku, skoro to poparł.

– Mówiąc prawdę, Frank, to po tylu latach tkwienia w ciemnym kącie Białego Domu czuje się, jakby go ktoś na koń wsadził. Zamierza wyprowadzić nas ze starych kolein, naprawić dawne błędy i uczynić z nas męczenników.

– A ty zamierzasz jeszcze wbić ostrogę w bok jego konia?

Augustine odchylił głowę do tyłu. Przytaknął.

– Uwięzić chore niemowlęta?

– Znasz naukę.

Shawbeck uśmiechnął się pod wąsem.

– Znalazłeś pięciu wirusologów potwierdzających możliwość, że owe dzieci – i ich matki – będą stanowić lęgownię pradawnych wirusów. Cóż, trzydziestu siedmiu innych stwierdziło oficjalnie, że to nieprawda.

– Nie tak wybitnych i o wiele mniej wpływowych.

– Thorne, Mahy, Mondavi i Bishop, Mark.

– Mam swoje wyczucie, Frank. Pamiętaj, że to także moja dziedzina.

Shawbeck przysunął bliżej krzesło.

– Kim teraz jesteśmy, drobnymi tyranami?

Twarz Augustine’a pobladła.

– Dzięki, Frank.

– Opinia publiczna zaczyna występować przeciwko matkom i nienarodzonym dzieciom. A jeśli niemowlęta będą słodziutkie? Ile czasu potrwa, Marku, zanim sytuacja się odwróci? Co wtedy zrobisz?

Augustine nie odpowiedział.

– Wiem, dlaczego prezydent nie chce się ze mną spotkać – ciągnął Shawbeck. – Mówisz mu, co chce usłyszeć. Boi się, a państwo wymyka mu się z rąk, wybiera więc jakieś rozwiązanie, a ty je popierasz. To nie nauka, ale polityka.

– Prezydent zgadza się ze mną.

– Obojętnie, jak to nazwiesz – dwudziesty lipca, podpalenie Reichstagu – to bombardowanie nie daje ci carte blanche – powiedział Shawbeck.

– Chcemy przeżyć – odparł Augustine. – To nie ja rozdałem te karty.

– Nie. Ale na pewno nie pozwalasz, aby były rozdawane uczciwie.

Augustine patrzył prosto przed siebie.

– Nazywają to „grzechem pierworodnym”, wiedziałeś o tym?

– Nie słyszałem – odparł Augustine.

– Włącz Christian Broadcasting Network. W całej Ameryce wprowadzają rozłam wśród wyborców. Pat Robertson powiedział swoim widzom, że te potwory są zesłanym przez Boga ostatecznym sprawdzianem przed nastaniem nowego Królestwa Niebieskiego. Mówi, że nasze DNA próbuje się wyzbyć wszystkich nagromadzonych przez ludzi grzechów, aby... Jak to brzmi, Ted?

– Oczyszczyć nasze zapisy w księdze, zanim Bóg wezwie ludzi na Sąd Ostateczny – podpowiedział asystent.

– No właśnie.

– Jeszcze nie kontrolujemy eteru, Frank – oznajmił Augustine. – Nie mogę być odpowiedzialny...

– Pół tuzina innych ewangelistów telewizyjnych uważa te nienarodzone dzieci za diabelski pomiot – ciągnął Shawbeck, podgrzewając atmosferę. – Urodzą się z piętnem szatana, jednookie i z zajęczą wargą. Niektórzy twierdzą nawet, że będą miały kopyta.

Augustine ze smutkiem kręcił głową.

– To teraz twoje grupy wsparcia – powiedział Shawbeck i machnął ręką na asystenta, aby podszedł. Z trudem wstał, wsunął kule pod pachy. – Jutro rano złożę rezygnację. Z Zespołu Specjalnego i z NIH. Jestem wypalony. Nie zniosę więcej ignorancji – ani mojej, ani wszystkich innych. Uznałem, że powinieneś pierwszy się o tym dowiedzieć. Może zdołasz skonsolidować całą władzę.

Gdy Shawbeck wyszedł, Augustine stanął za biurkiem, ciężko oddychając. Knykcie miał zbielełe, dłonie drżące. Powoli zapanował nad emocjami, zmusił się do głębszego i równiejszego oddychania.

– Teraz możemy jedynie czekać na bieg wypadków – powiedział do pustego pokoju.

Seattle Grudzień

Wynieśli na śnieg ostatnie kartony ze starego mieszkania Mitcha. Kaye nalegała na dźwiganie kilku mniejszych, ale Mitch i Wendell uporali się ze wszystkimi ciężkimi rzeczami wczesnym rankiem, pakując je na wielką wynajętą ciężarówkę firmy U-Haul, pomalowaną na pomarańczowo i biało. Kaye wdrapała się do ciężarówki i usiadła obok Mitcha. Prowadził Wendell.

– Żegnajcie, kawalerskie czasy – powiedziała Kaye.

Mitch się uśmiechnął.

– Niedaleko domu jest szkółka leśna – powiedział Wendell.

– Po drodze możemy kupić choinkę. Powinno być niezmiernie przytulnie.

Swój nowy dom zobaczyli wśród niskich krzewów i drzew w pobliżu Ebey Slough i miasteczka Snobomish. Był w stylu wiejskim, pomalowany na zielono i biało, z jednym oknem szczytowym na fasadzie i wielkim, zabudowanym gankiem. Miał dwie sypialnie, stał na końcu długiej wiejskiej drogi okolonej sosnami. Wynajęli dom od rodziców Wendella, którzy posiadali go od trzydziestu czterech lat.

Zmianę adresu zachowali w tajemnicy.

Gdy mężczyźni rozładowywali ciężarówkę, Kaye zrobiła kanapki i do świeżo wyszorowanej lodówki włożyła sześciopak piwa i kilka butelek napojów owocowych. W pustym i czystym saloniku, stojąc w skarpetkach na dębowej podłodze, czuła się bezpieczna.

Wendell wniósł do saloniku lampę i postawił ją na stole kuchennym. Kaye podała mu piwo. Chętnie pociągnął długi łyk, wyraźnie poruszając grdyką.

– Powiedzieli ci? – Spytał.

– Kto? Co mieli powiedzieć?

– Moi starzy. Urodziłem się tutaj. To był ich pierwszy dom.

– Zatoczył ręką krąg po saloniku. – Chodziłem z mikroskopem do ogrodu.

– Cudownie – powiedziała Kaye.

– To tu zostałem naukowcem – ciągnął Wendell. – Święte miejsce. Niech będzie błogosławieństwem dla was obojga!

Mitch wtaszczył krzesło i stojak na gazety. Wybrał piwo Full Sail i wzniosł nim toast, stukając szklanką o sok Snapple pity przez Kaye.

– Za zostanie tu kretami – powiedział. – Za zejście do podziemia.

Maria Konig i pół tuzina innych przyjaciół przyjechali cztery godziny później i pomogli ustawić meble. Prawie skończyli, kiedy do drzwi zapukała Eileen Ripper. Niosła wypchaną płócienną torbę. Mitch przedstawił ją, a potem zobaczył dwóch innych przybyszy stojących na ganku.

– Przywiozłam przyjaciół – powiedziała Eileen. – Pomyślałam, że uczymy też nasze wieści.

Sue Champion i wysoki, starszy mężczyzna o długich, czarnych włosach i bardzo dobrze umięśnionym brzuchu wystąpili naprzód, bardziej niż trochę niepewnie. Oczy dryblasa zabłyśły bielą jak u wilka.

Eileen uścisnęła ręce Marii i Wendella.

– Mitch, spotkałeś już Sue. To jej mąż, Jack. A to do kuchenki opalanej drewnem – powiedziała do Kaye, stawiając torbę obok kominka. – Ścinki klonu i wiśni. Cudownie pachną. Jaki piękny dom!

Sue kiwnęła głową Mitchowi i uśmiechnęła się do Kaye.

– Nigdy się nie spotkałyśmy – powiedziała. Kaye jak ryba otwierała i zamykała usta; brakowało jej słów. Wreszcie obie zaśmiały się nerwowo.

Na kolację przywieziono pieczoną szynkę i pstrąga tęczowego. Jack i Mitch krążyli jak nieufni chłopcy, mierząc się wzrokiem. Sue wydawała się tym nie przejmować, ale Mitch nie wiedział, co mówić. Trochę wstawiony, przeprosił, że nie ma żadnych świec, i uznał, że taka okazja wymaga lamp biwakowych.

Wendell wyłączył całe światło. Salonik stał się namiotem, lampy rzucały długie cienie, jedli w oświetlonym środku wśród stojących kartonów. Sue i Jack naradzali się chwilę w kącie.

Sue powiedziała, że lubi was oboje – oznajmił Jack, gdy wrócili. – Ja jednak jestem podejrzliwy i widzę, że jesteście zwariowani.

– Nie zaprzeczę – odparł Mitch, wznosząc piwo.

– Sue powiedziała, co robiłeś nad Columbia.

– To dawne czasy – stwierdził Mitch.

– Bądź grzeczny – ostrzegła męża Sue.

– Chcę tylko wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś – powiedział Jack. Mógł być jednym z naszych przodków.

– Chciałem się dowiedzieć, czy istotnie nim był – odparł Mitch.

– I był?

– Chyba tak.

Jack zmrużył oczy w jasnym świetle syczących lamp.

– A ci, których znalazłeś w jaskini w górach? Czy byli przodkami nas wszystkich?

W pewnym sensie.

Jack kręcił powątpiewająco głową.

– Sue powiedziała mi, że przodków można zwracać ich ludom, kiedy poznajemy ich prawdziwe imiona. Duchy mogą być niebezpieczne. Nie jestem pewny, że to sposób na uczynienie ich

szczęśliwymi.

– Sue i ja doszliśmy do innej ugody – powiedziała Eileen.

– Kiedyś zawrzemy ją tak, jak wymaga prawo. Będę specjalnym konsultantem plemion. Kiedy ktoś odnajdzie stare kości, zostaną wezwana, aby się im przyjrzeć. Dokonamy szybkich pomiarów i weźmiemy małą próbkę, a potem oddamy kości plemionom. Jack i jego przyjaciele będą mogli odprawić Obrzęd Mądrości, jak go nazywają.

– Ich imiona kryją się w kościach – stwierdził Jack. – Powiemy im, że nazwiemy od nich nasze dzieci.

– Wspaniale – odparł Mitch. – Jestem rad. Osłupiały, ale rad.

– Wszyscy uważają Indian za nieuków – powiedział Jack. – Po prostu troszczymy się o inne rzeczy.

Mitch przechylił się nad lampą i podał rękę Jackowi. Ten patrzył w sufit, słyhać było, jak pracują jego zęby.

– To zbyt nowe – stwierdził. Ujął jednak wyciągniętą dłoń Mitcha i potrząsnął nią tak mocno, że niemal zwałił lampę obozową. Kaye miała przez chwilę wrażenie, że zaraz zaczną siłować się na rękę.

– Coś ci jednak powiem – rzekł Jack, kiedy puścili swe dłonie. – Powinieneś uważać, Mitchu Rafelsonie.

– Na dobre zerwałem z pracą przy kościach – odparł Mitch.

– Mitchowi śnią się ludzie, których znalazł – wtrąciła Eileen.

– Naprawdę? – Na Jacku wywarło to wrażenie. – Czy przemawiają do ciebie?

– Staję się nimi – odparł Mitch.

– Och – rzucił Jack.

Kaye była zafascynowana nimi wszystkimi, ale najbardziej Sue. Mimo twardych, przypominających męskie rysów Indianki uważała, że nigdy nie spotkała większej piękności. Zachowanie Eileen wobec Mitcha było tak swobodne i pełne wyczucia, że Kaye zaczęła się

zastanawiać, czy kiedyś nie byli kochankami.

– Wszyscy się boją – oznajmiła Sue. – Mamy w Kumash wiele ciąż SHEVY. To jeden z powodów, dla których pracujemy z Eileen. Rada uznała, że przodkowie są w stanie powiedzieć nam, jak przetrwać te czasy. Nosisz dziecko Mitcha? – Spytała.

– Tak – potwierdziła Kaye.

– Czy mały pomocnik przyszedł i odszedł?

Kaye przytaknęła.

– Tak jak u mnie – powiedziała Sue. – Pogrzebaliśmy ją ze specjalnym imieniem oraz naszą wdzięcznością i miłością.

– Nazywała się Małeńka Prędką – dodał Jack cicho.

– Moje gratulacje – powiedział równie cicho Mitch.

– Tak, słusznie – ucieszył się Jack. – Bez rozpacz. Wykonała swe zadanie.

– Rząd nie może przyjść i rościć sobie prawa do ziemi rady – stwierdziła Sue. – Nie pozwolimy mu. Jeśli zaczniesz mocniej straszyć, będziesz mogła zostać u nas. Już przedtem nad nim zwyciężaliśmy.

– To takie wspaniałe – promieniała Eileen.

Jack oglądał się jednak przez ramię w mroczne cienie. Zwęził oczy w szparki, ciężko przełykał ślinę, na jego twarzy pogłębiały się zmarszczki.

– Jakże ciężko się dowiedzieć, co czynić albo w co wierzyć – powiedział. – Wolałbym, aby duchy przemawiały bardziej wyraźnie.

– Czy wspomozesz nas swoją wiedzą, Kaye? – Spytała Sue.

– Spróbuję – odparła Kaye.

– Potem, z wahaniem, Sue powiedziała do Mitcha:

– Też mam sny. Śnią mi się nowe dzieci.

– Opowiedz nam o swoich snach – poprosiła Kaye.

– Może są osobiste – przestrzegł ją Mitch.

Sue położyła rękę na ramieniu Mitcha.

– Cieszę się, że rozumiesz. Są osobiste, a niekiedy także przerażające.

Wendell zszedł po drabinie ze strychu, niosąc tekturowe pudełko.

– Moi staruszkowie mówili, że nadal tu są, i rzeczywiście były. Ozdoby – Boże, co za wspomnienia! Kto chce ustawić i ubrać choinkę?

**Budynek nr 52,
National Institutes
of Health,
Bethesda
Styczeń**

– To twoje spotkania na najbliższe dwa dni. – Florence Leighton podała Augustine’owi małą kartkę papieru, którą mógł trzymać w kieszonce koszuli i w każdej chwili sprawdzać grafik, jeśli tylko zechce. Lista się wydłużyła; tego popołudnia miał rozmowę z gubernatorem Nebraski i jeśli czas pozwoli, miał przyjąć grupę komentatorów ekonomicznych. A tęsknił za kolacją o siódmej z piękną kobietą, która ma w nosie jego wybitną pozycję w mediach i renomę niez mordowanego pracoholika. Mark Augustine zgarbił ramiona i przesunął palcem po kartce, zanim ją złożył, co było jego znakiem dla pani Leighton, że grafik został ostatecznie zatwierdzony.

– I jeszcze coś dziwnego – dodała Leighton. – Nie był umówiony, ale mówi, że pan na pewno zechce się z nim spotkać. – Położyła na biurko wizytówkę i popatrzyła spode łba. – Ciota.

Augustine spojrział na nazwisko i poczuł budzącą się ciekawość.

– Znasz go? – Zapytała Leighton.

– To reporter – odparł Augustine. – Dziennikarz naukowy wściubiający nos w wiele najgorętszych prac badawczych.

– Jest z przodu czy z tyłu?

Augustine się uśmiechnął.

- No dobrze. Niech wyłoży karty. Powiedz mu, że ma pięć minut.
- Przynieść mu kawę?
- Będzie wolał herbatę.

Augustine uporządkował biurko i schował do szuflady dwie książki. Nie chciał nikomu pokazywać, co właśnie czyta. Jedna to gruba monografia, Elementy mobilne jako źródła nowości w genomie traw. Druga to powieść Robina Cooka, która się właśnie ukazała, o wybuchu groźnej i niewytłumaczalnej choroby wywołanej nowym rodzajem organizmu, być może przybyłym z kosmosu. Augustine lubił książki o takiej tematyce, chociaż stronił od nich w ostatnim roku. Czytanie takiej teraz było oznaką, że znowu nabiera pewności siebie.

Wstał z uśmiechem, gdy wszedł Oliver Merton.

- Cieszę się, że widzę pana znowu, panie Merton.
- Panie doktorze, dziękuję za przyjęcie mnie – odparł Merton.
- Nieźle mnie przetrząsnęli. Zabrali mi nawet laptop.

Augustine zrobił przeproszającą minę.

– Mamy bardzo mało czasu. Ma pan na pewno coś interesującego do powiedzenia.

– Racja. – Merton zerknął, gdy pani Leighton weszła z tacą i dwiema filiżankami.

– Herbaty, panie Merton? – Spytała.

Merton uśmiechnął się skromnie.

– Raczej kawy. Ostatnie tygodnie spędziłem w Seattle i odwykłem od herbaty.

Pani Leighton pokazała Augustine'owi język i wróciła po kawę.

– Jest harda – zauważył Merton.
– Przepracowaliśmy razem dość ciężkie czasy – powiedział Augustine. – I całkiem mroczne.

– Oczywiście – przyznał Merton. – Najpierw gratulacje z okazji

uzyskania odroczenia konferencji o SHEVIE na Uniwersytecie Stanu Waszyngton.

Augustine popatrzył ze zdziwieniem.

– Zapowiedzi wycofania grantów z NIH, jeśli konferencja się odbędzie, tylko tyle zdołałem wydobyć z kilku źródeł na uniwersytecie.

– To dla mnie nowość – stwierdził Augustine.

– W takim razie urządzimy ją w małym motelu poza kampusem uniwersyteckim. A jedzenie może dostarczy sławna francuska restauracja ze sprzyjającym nam szefem kuchni. To może osłodzi nam nieco naszą gorycz. A jeżeli okażemy się skończonymi i niezależnymi draniami, to będziemy się cieszyć sami.

– Nie brzmi pan obiektywnie, ale życzę wam szczęścia – powiedział Augustine.

Mina Mertona stała się teraz wyzywająca.

– Akurat dziś rano usłyszałem od Friedricha Brocka, że na Uniwersytecie w Innsbrucku nastąpiło całkowite przemeblowanie sztabu kierującego badaniami mumii neandertalczyków. Wewnętrzna inspekcja naukowa stwierdziła, że ignorowano kluczowe fakty i dochodziło do poważnych błędów naukowych. Herr Professor Brock został wezwany do Innsbrucku. Jest teraz w drodze.

– Nie mam pojęcia, dlaczego miałyby to mnie interesować – powiedział Augustine. – Zostało nam około dwóch minut.

Pani Leighton wróciła z filiżanką kawy. Merton wypił spory łyk.

– Dziękuję pani. Zamierzają uznać trzy mumie za rodzinę, spokrewnioną genetycznie. A to oznacza, że uzyskali pierwszy mocny dowód na specjację u ludzi. W tych okazach znaleziono SHEVE.

– Bardzo dobrze – odparł Augustine.

Merton złożył razem dłonie. Florence przyglądała mu się z odrobiną ciekawości.

– Dotarliśmy na samą krawędź długiego i stromego stoku wiodącego do prawdy, panie doktorze – powiedział Merton. – Byłem ciekaw, jak pan przyjmie te wiadomości.

Augustine wciągnął powietrze nosem.

– Cokolwiek nastąpiło dziesiątki tysięcy lat temu, nie wpływa na nasz osąd wydarzeń zachodzących teraz. Ani jeden płód Heroda nie został donoszony. Nie dalej jak wczoraj naukowcy pracujący w National Institute of Allergy and Infectious Diseases powiadomili nas, że owe płody drugiego stadium są nie tylko ronione w zastraszającym odsetku w pierwszym trymestrze ciąży, ale okazują się dodatkowo wyjątkowo podatne na dosłownie wszystkie wirusy opryszczki, łącznie z Epsteinem-Barr. Na mononukleozę. Dziewięćdziesiąt pięć procent ludzi na Ziemi ma Epstein-Barr, panie Merton.

– Nic nie zdoła pana przekonać, doktorze? – Spytał Merton.

– W moim jedynym dobrym uchu ciągle szumi od bomby, która zabiła naszego prezydenta. Zataczam się po każdym ciosie. Wstrząsnąć mną mogą tylko fakty, bieżące, istotne fakty. – Augustine obszedł biurko i usiadł na jego narożniku. – Życzę wszystkiego najlepszego ludziom z Innsbrucku, cokolwiek badają. Biologia kryje dość tajemnic, aby wystarczyło nam ich do końca świata. Kiedy znowu znajdzie się pan w Waszyngtonie, panie Merton, proszę wpaść. Florence na pewno zapamięta – żadnej herbaty, tylko kawa.

Z kołyszącą się na kolanach tacą Dicken jechał wózkiem przez bufet w Budynku im. Natchera; dostrzegł Mertona i dotoczył się do końca stołu. Jedną ręką postawił tacę.

– Dobrze ci się jechało pociągiem? – Spytał.

– Pysznie – odparł Merton. – Myślę, że powinieneś wiedzieć, iż Kaye Lang ma twoje zdjęcie na tapecie komputera.

– Co za dziwaczny przekaz, Oliverze – powiedział Dicken.

– Czemu, u licha, miałyby to mnie obchodzić?

– Gdyż uważam, że jest dla ciebie kimś więcej niż tylko koleżanką naukowcem – odparł Merton. – Po zamachu bombowym wysyłała ci listy. Nigdy nie odpowiedziałeś.

– Jeśli zamierzasz być złośliwy, zjem gdzieś indziej. – Dicken na nowo zabrał tacę.

Merton podniósł rękę.

– Proszę o wybaczenie. Odezwały się moje ciagotki do ciętych odpowiedzi i zdradzania tajemnic.

Dicken położył tacę i ustawił wózek.

– Pół dnia spędzam na oczekiwaniu na leczenie, zamartwianiu się, że nigdy nie wrócę do pełni władzy nad nogami i ręką... Próbuję odzyskiwać wiarę we własne ciało. Przez drugą połowę jestem na rehabilitacji, pchając, aż zaboli. Nie mam czasu na rojenia o straconych możliwościach. A ty?

– Dziewczyna w Leeds rzuciła mnie w zeszłym tygodniu. Nie bywam wcale w domu. Ponadto okazało się, że mam pozytywny wynik. Przestraszyłem ją.

– Przykro mi – powiedział Dicken.

– Właśnie byłem w wewnętrznym sanktuarium Augustine'a. Wygląda na mocno zadufanego.

– Wspierają go sondáže. Kryzys publicznej służby zdrowia wpływa mocno na politykę międzynarodową. Fanatycy popychają nas ku zaostrzeniu przepisów. Panuje prawo wojenne, choć nazywa się inaczej, a Kryzysowy Zespół Specjalny wydaje dekrety medyczne – co oznacza, że rządzi niemal wszystkim. Teraz, po ustąpieniu Shawbecka, Augustine jest w kraju numerem dwa.

– Przeróżające – powiedział Merton.

– Powiedz mi o czymś nowym, co takie nie jest – poprosił Dicken.

Merton ustąpił.

– Jestem przekonany, że to Augustine pociągał za sznurki przy odwołaniu naszej północno-zachodniej konferencji o SHEVIE.

– Jest wcielonym biurokrata, co oznacza, że swej pozycji będzie bronił wszelkimi dostępnymi mu środkami.

– A co z prawdą? – Spytał Merton marszcząc brwi. – Nie przywykłem po prostu do widoku rządu sterującego dyskusją naukową.

– Przeważnie nie jesteś taki naiwny, Oliverze. Brytyjski czynił tak przez lata.

– Tak, tak. Miałem dość do czynienia z ministrami, aby wiedzieć, co to musztrowanie. Ale jakie jest twoje stanowisko? Pomagałeś Kaye w zawiązywaniu koalicji – czemu Augustine po prostu ciebie nie wylał i nie ciągnął dalej po swojemu?

– Gdyż widziałem światło – odparł przygnębiony Dicken. – A raczej ciemność. Martwe noworodki. Straciłem nadzieję. Jeszcze wcześniej Augustine całkiem zgrabnie związał mnie z sobą – zapewniałem mu rzekomą równowagę poglądów, dopuszczał mnie do narad politycznych. Nigdy jednak nie spuszczał mnie ze smyczy i nie zdejmował mi kagańca, abym mógł wszystko wyszczekać. Teraz... Nie mogę podróżować, nie mogę prowadzić koniecznych badań. Jestem nieprzydatny.

– Ubezwłasnowolniony? – Odważył się powiedzieć Merton.

– Wykastrowany – poprawił go Dicken.

– Czy przynajmniej nie szepniesz mu do ucha: „To nauka, o potężny Cezarze, możesz się mylić”?

Dicken pokręcił głową.

– Liczba chromosomów jest mocno przygnębiająca. Pięćdziesiąt dwa, w przeciwieństwie do czterdziestu sześciu. Trisomia, tetrasomia... Ostatecznie może się okazać, że mają coś w rodzaju zespołu Downa lub gorsze jeszcze лихо. Jeśli nie dopadnie ich

Epstein-Barr.

Merton najlepsze zachował na koniec. Powiedział Dickenowi o zmianach w Innsbrucku. Dicken słuchał uważnie, mrużąc ślepe oko, potem zdrowym popatrzył na ścianę z oknami i jasny blask wiosny za nimi.

Pamiętał rozmowę z Kaye, zanim jeszcze spotkała Rafelsona.

– A więc Rafelson jedzie do Austrii? – Dicken rozgrzebywał widelcem parującą na talerzu solę i dziki ryż.

– Jeśli go zaproszą. Może nadal być dla nich zbyt kontrowersyjny.

– Będę czekał na sprawozdanie – powiedział Dicken. – Ale bez wstrzymywania oddechu.

– Uważasz, że Kaye wykonuje karkołomny skok – domyślił się Merton.

– Nie wiem, po co wziąłem to jedzenie. – Dicken odłożył widelec. – Nie jestem głodny.

Seattle

Luty

– Dziecko chyba ma się doskonale – powiedziała doktor Galbreath.
– Rozwój w drugim trymestrze następuje jak należy. Przeprowadziliśmy analizy i wyszło wszystko, czego należało się spodziewać po płodzie SHEVY drugiego stadium. Stwierdzenia te wydały się Kaye zbyt chłodne.

– Chłopczyk czy dziewczynka? – Zapytała.

– Pięćdziesiąt dwa XX – odparła Galbreath. Otworzyła tekturową teczkę i podała Kaye kopie wyników badań próbki. – Chromosomalnie nienormalna kobieta.

Kaye patrzyła na kartkę, serce się jej tłukło. Nic nie mówiła Mitchowi, ale miała nadzieję na dziewczynkę, co przynajmniej zmniejszyłoby dystans, liczbę różnic, już samo to by ją zadowoliło.

– Czy chodzi o duplikację, czy o nowe chromosomy? – Spytała.

– Gdybyśmy byli w stanie to rozstrzygnąć, zdobylibyśmy sławę – odparła Galbreath. Potem dodała łagodniej: – Nie wiemy. Pobieźny ogląd powiedział nam, że mogą nie być duplikatami.

– Nie ma dodatkowego chromosomu 21? – Zapytała spokojnie Kaye, patrząc na kartkę z rzędami liczb i krótkimi objaśnieniami.

– Nie sędzę, aby płód miał zespół Downa. Wiesz jednak, jak teraz na to patrzę.

– Ze względu na dodatkowe chromosomy?

Galbreath przytaknęła.

– Nie mamy jak się dowiedzieć, ile chromosomów mieli neandertalczyki – stwierdziła Kaye.

– Jeśli byli jak my, to czterdzieści sześć.

– Ale nie byli. To nadal tajemnica. – Słowa Kaye brzmiały niepewnie nawet w jej własnych uszach. Wstała, trzymając rękę na brzuchu. – Na ile się orientujesz, jest zdrowa.

Galbreath przytaknęła.

– Ale co ja naprawdę wiem? Prawie nic. U ciebie testy na opryszczkę pospolitą typu pierwszego dały wynik pozytywny, ale negatywny na mononukleozę – to znaczy na obecność wirusa Epsteina-Barr. Nie miałaś nigdy ospy wietrznej. Na miłość boską, Kaye, trzymaj się z dala od wszystkich z ospą wietrzną.

– Będę uważała – obiecała Kaye.

– Nie wiem, co jeszcze mogę ci powiedzieć.

– Życz mi szczęścia.

– Życzę ci wszelkiego szczęścia na Ziemi i w niebiosach. Choć nie czuję się przez to lepiej jako lekarka.

– To przecież nasza decyzja, Felicity.

– Oczywiście. – Galbreath przerzucała papiery, aż doszła do końca teczki. – Gdyby to była moja decyzja, nigdy byś nie zobaczyła tego, co chcę ci pokazać. Przegraliśmy odwołanie. Musimy rejestrować wszystkie nasze pacjentki z SHEVA. Jeśli się nie zgodzisz, będziemy musieli dokonać rejestracji za ciebie.

– No to dokonaj – rzuciła Kaye obojętnie. Bawiła się fałdą luźnych spodni.

– Wiem, że się przeprowadziłaś – powiedziała Galbreath.

– Jeśli dokonam rejestracji nieprawidłowo, Marine Pacific wpadnie w kłopoty, mogą mnie wezwać przed komisję kontrolną i odebrać uprawnienia. – Patrzyła na Kaye ze smutkiem, ale stanowczo. Jest mi potrzebny twój nowy adres.

Kaye wpatrywała się chwilę w formularz, potem pokręciła głową.

– Błagam cię, Kaye. Chcę aż do końca pozostać twoją lekarką.

– Do końca?

– Do porodu.

Kaye ponownie pokręciła głową; wzrok miała uparty i dziki, jak u osaczonego królika.

Galbreath nie odrywała oczu od skraju stołu do badań. Zalsniły w nich łzy.

– Nie mam wyboru. Nikt z nas nie ma najmniejszego wyboru.

– Nie chcę, aby ktoś przybył zabrać moje dziecko – powiedziała Kaye ze ściśniętym gardłem i chłodnymi dłońmi.

– Jeśli nie będziesz współpracować, nie będę mogła pozostać twoją lekarką – wyjaśniła Galbreath. Odwróciła się gwałtownie i wyszła z pokoju. Po kilku minutach zajrzała do niego pielęgniarka, zobaczyła Kaye stojącą w oszołomieniu i zapytała, czy nie potrzebuje pomocy.

– Nie mam lekarza – odparła Kaye.

Pielęgniarka odsunęła się, gdy wróciła Galbreath.

– Proszę, podaj mi swój nowy adres. Wiem, że Marine Pacific opiera się wszystkim próbom miejscowego Zespołu Specjalnego zmierzającym do kontaktowania się z jego pacjentkami. W twojej kartotece umieszczę dodatkowe zastrzeżenia. Jesteśmy po twojej stronie, Kaye, wierz mi.

Kaye rozpaczliwie pragnęła porozmawiać z Mitchem, ale był na terenie uniwersytetu, próbując ostatecznie załatwić zakwaterowanie dla uczestników konferencji. Nie chciała mu w tym przeszkadzać.

Galbreath podała jej pióro. Kaye powoli wypełniła formularz, po czym Galbreath go zabrała.

– I tak w jakiś sposób by się tego dowiedzieli – powiedziała niechętnie.

Kaye wyniosła ze szpitala wyniki badań i skierowała się do

brązowej toyoty camry, którą kupili przed dwoma miesiącami.

Dziesięć minut siedziała otępiała w samochodzie, ściskając kierownicę palcami, z których odpłynęła krew, a potem przekręciła kluczyk w stacyjce.

Opuszczała szybę, aby wpuścić powietrze, kiedy usłyszała wołającą ją Galbreath. Przemknęło jej przez myśl, aby po prostu wyjechać z parkingu i zniknąć, ale zaciągnęła hamulec ręczny i odwróciła głowę w lewo. Galbreath biegła parkingiem. Położyła rękę na drzwiczkach i spojrzała na Kaye.

– Podałaś fałszywy adres? – Spytała zadyszana, z czerwoną twarzą.

Kaye po prostu patrzyła przed siebie.

Galbreath zamknęła oczy, łapiąc oddech.

– Nie ma niczego złego w twoim dziecku – powiedziała. – Niczego takiego nie dostrzegam. Niczego nie rozumiem. Dlaczego nie odrzucasz jej jako obcej tkanki – jest zupełnie inna niż ty! Równie dobrze mogłabyś nosić gorylicę. Mimo to tolerujesz ją, karmisz. Jak wszystkie matki. Dlaczego Zespół Specjalny nie bada właśnie tego?

– To zagadka – przyznała Kaye.

– Proszę, wybacz mi, Kaye.

– Przebaczam – powiedziała Kaye bez większego przekonania.

– Nie, naprawdę. Nie dbam, czy zabiorą mi uprawnienia – mogą się w tym wszystkim mylić! Chcę być twoją lekarką.

Kaye skryła twarz w dłoniach, wyczerpana napięciem. Czuła się, jakby miała w szyi stalowe sprężyny. Podniosła głowę i położyła dłoń na ręce Galbreath.

– Jeśli to możliwe, bardzo bym chciała – powiedziała.

– Gdziekolwiek pojedziesz, cokolwiek zrobisz, obiecaj mi, że wezwiesz mnie do porodu – poprosiła Galbreath. – Chcę dowiedzieć się wszystkiego, co tylko możliwe, o ciąży SHEVY, aby być przygotowana, i chcę odebrać twoją córeczkę.

Kaye zaparkowała na ulicy przed starym, klockowatym hotelem University Plaza, naprzeciw Uniwersytetu Stanu Waszyngton. Męża odnalazła na parterze, czekającego na umowę przygotowywaną przez dyrektora hotelu, który wycofał się do swego kantorka.

Opowiedziała mu, co zaszło w Marine Pacific. Mitch walnął wściekle pięścią w drzwi sali konferencyjnej.

– Nie mogę nigdzie zostawiać cię samej – nawet na minutkę!

– Wiesz, że to niewykonalne – odparła Kaye. Położyła mu dłoń na ramieniu. – Sądzę, że sprawiłam się całkiem niezłe.

– Nie mogę uwierzyć, że Galbreath zrobiłaby to tobie.

– Wiem, że nie zrobiłaby.

Mitch chodził w kółko, kopał w metalowe składane krzesło, bezradnie wymachiwał rękoma.

– Chce nam pomóc – powiedziała Kaye.

– Jak możemy jej teraz ufać?

– Nie wolno wpadać w paranoję.

Mitch zatrzymał się gwałtownie.

– Wielki, stary pociąg stacza się torami. Ma nas w świetle swych reflektorów. Wiem to, Kaye. Chodzi nie tylko o rząd. Podejrzana jest każda ciężarna kobieta na całej Ziemi. Augustine – ten skończony gnojek – dba, abyście wszystkie stały się pariasami! Powinienem go zabić!

Kaye chwyciła go za ręce i delikatnie przyciągnęła, a potem objęła. Był dostatecznie zły, aby spróbować się wyswobodzić i dalej chodzić po pomieszczeniu. Przytrzymała go mocniej.

– Proszę cię, Mitch, już wystarczy.

– A teraz jesteś tutaj, bezbronna wobec każdego, kto może wejść! – Jego ramiona drżały.

– Odmawiam trzymania mnie pod szklanym kloszem – powiedziała Kaye stanowczo.

Poddał się i opuścił ręce.

– Co możemy zrobić? Kiedy przyślą policyjne suki ze zbirami, aby nas zgarnąć?

– Nie wiem – odparła Kaye. – Trzeba czemuś ufać. Wierzę w ten kraj, Mitch. Ludzie tego nie zniosą.

Mitch usiadł na składanym krześle w końcu przejścia. Pomieszczenie było jasno oświetlone, z pięćdziesięcioma krzesłami ustawionymi w pięć rzędów, pokrytym płótnem stołem i kącikiem kawowym z tyłu.

– Wendell i Maria mówią, że naciski są wprost niewiarygodne. Składają protesty, ale nikt z wydziału na nic nie pozwala. Fundusze są obcinane, pokoje przyznawane innym, laboratoria nękanie przez inspektorów. Tracę całą wiarę, Kaye. Widziałem to, spotkało mnie, gdy...

– Wiem.

– A teraz Departament Stanu nie pozwala Brockowi na przyjazd z Innsbrucku.

– Kiedy o tym usłyszałeś?

Merton dziś po południu zadzwonił z Bethesdy. Augustine usilnie próbuje zapobiec konferencji. Zostaniemy tylko ty i ja... A ty musisz się ukrywać!

Kaye usiadła przy nim. Nie dotarło do niej ani jedno słowo od dawnych kolegów ze Wschodniego Wybrzeża. Nic od Judith. Przekornie chciałyby porozmawiać z Marge Cross. Pragnęła uzyskać wszelkie wsparcie, jakie zostało jej na świecie.

Okropnie tęskniła za matką i ojcem.

Pochyliła się i położyła głowę na ramieniu Mitcha. Delikatnie pogładził jej włosy swymi wielkimi dłońmi.

Nie poruszyli choćby słowem tematu głównych wieści porannych. Ważne wydarzenia tak szybko następowały po sobie.

– Wiem coś, czego ty nie wiesz – powiedziała Kaye.

– Co takiego?

– Będziemy mieli córkę.

Mitch na chwilę przestał oddychać i ściągnął twarz.

– Wielki Boże.

– Musiało być jedno albo drugie – powiedziała Kaye, rozbawiona jego reakcją.

– Jest jak chciałaś.

– Czy tak powiedziałam?

– W Wigilię. Powiedziałaś, że chciałybyś kupować jej lalki.

– Wolałybyś inaczej?

– Jasne, że nie. Po prostu każdy nasz następny krok jest dla mnie małym szokiem, nic więcej.

– Doktor Galbreath mówi, że jest zdrowa. Nie ma w niej nic nieprawidłowego. Ma dodatkowe chromosomy... Ale to już wiedzieliśmy.

Mitch położył rękę na jej brzuchu.

– Wyczuwam jej ruchy. – Klęknął na podłodze przed Kaye, aby przyłożyć ucho. – Będzie taka piękna!

Dyrektor hotelu wszedł do sali konferencyjnej z plikiem papierów i popatrzył na nich ze zdziwieniem. Po pięćdziesiątce, z głową pokrytą kędzierzawymi, brązowymi włosami i pulchną, niewyróżniającą się niczym twarzą, mógłby być typowym, niezbyt lubianym wujkiem. Mitch wstał i otrzepał spodnie.

– Moja żona – wytłumaczył się zażenowany.

– Oczywiście – powiedział dyrektor. Zwęził bladoniebieskie oczy i odciągnął Mitcha na bok. – Jest w ciąży, prawda? Nie powiedział mi pan o tym. Nie wspomniał zupełnie w tym... – Przerzucał papiery, patrząc na Mitcha oskarżycielskim wzrokiem. – Ani słowem. Musimy być teraz ogromnie ostrożni, jeśli chodzi o zgromadzenia publiczne

i wystawianie się na pokaz.

Mitch opierał się o buicka, trąc dłonią podbródek. Jego palce powodowały cichy zgrzyt, choć rano się ogolił. Cofnął rękę. Kaye stanęła przed nim.

– Odwiozę cię do domu – powiedział.

– A co z buickiem?

Pokręcił głową.

– Zabiorę go później. Wendell mnie podwiezie.

– Gdzie teraz pójdziemy? – Zapytała Kaye. – Możemy spróbować w innym hotelu. Albo wynająć pensjonat.

Mitch skrzywił się zde gustowany.

– Dupek szukał tylko wymówki. Poznał twoje nazwisko. Zadzwo nił do kogoś. Sprawdził, jak dobry mały nazista. – Strzelił ręką w górę. – Chwała wolnej Ameryce!

– Gdyby Brock mógł teraz przyjechać...

– Urządzimy konferencję przez Internet – zapowiedział Mitch. – Coś wymyślimy. Ale to o ciebie się teraz martwię. Na coś się zanos i.

– Na co?

– Nie czujesz? – Potarł czoło. – Wyraz oczu tego dyrektora, tego tchórzliwego drania. Wyglądał na przerażonego barana. Za grosz nie zna się na biologii. Całe życie wykonywał tylko maleńkie, bezpieczne kroki i nie podważał systemu. Niemal wszyscy są tacy jak on. Pozwalają się popychać i biegną w kierunku, w którym ich popędzono.

– Jesteś taki cyniczny – stwierdziła Kaye.

– To rzeczywistość polityczna. Dotąd byłem tak strasznie głupi. Pozwalałem ci jeździć samej. Mogłaś być narażona, wystawiona...

– Nie chcę być trzymana w izolacji, Mitch.

Skrzywił się.

Kaye położyła rękę na jego ramieniu.

– Przepraszam. Wiesz, o co mi chodzi.

– Wszystko pasuje, Kaye. Widziałaś to w Gruzji. Ja zobaczyłem w Alpach. Stajemy się obcymi. Ludzie nas nienawidzą.

– Nienawidzą mnie – powiedziała Kaye; jej twarz pobrała.

– Bo jestem w ciąży.

– Mnie też nienawidzą.

– Ale nie żądają, abys się zarejestrował, jak Żydzi w Niemczech.

– Jeszcze nie – odparł Mitch. – Chodźmy. – Otoczył ją ramieniem i poprowadził do toyoty. Kaye trudno było nadać za jego długimi krokami. – Myślę, że mamy dzień lub dwa, może trzy. Potem... Ktoś coś zrobi. Jesteś drzazgą za ich paznokciem. Podwójną drzazgą.

– Dlaczego podwójną?

– Znani ci ludzie mają władzę – wyjaśnił Mitch. – Wiedzą, kim jesteś, że znasz prawdę.

Kaye wsiadła od strony pasażera i opuściła szybę. Wewnątrz samochodu było ciepło. Mitch zamknął za nią drzwiczki.

– Czyżby? – Rzuciła.

– Masz całkowitą rację. Sue złożyła ci propozycję. Rozważ ją.

– Powiem Wendellowi, dokąd pojedziemy. Nikomu innemu.

– Lubię ten dom – powiedziała Kaye.

– Znajdziemy inny – odparł Mitch.

**Budynek nr 52,
National Institutes
of Health,
Bethesda**

Mark Augustine niemal butnierzokoszował się swym triumfem.

Rozłożył zdjęcia przed Dickenem i włożył do odtwarzacza taśmę wideo. Dicken wziął pierwszą fotografię, przysunął do oka, zmrużył je. Zwykłe kolorowe zdjęcie medyczne, dziwnie pomarańczowe i oliwkowe ciało i jaskraworóżowe okaleczenia, nieostre rysy twarzy. Mężczyzna, może czterdziestoletni, żywy, ale daleko mu było do dobrego samopoczucia. Dicken sięgnął po następną fotografię, zbliżenie prawej ręki tego mężczyzny, pokrytej różowymi plamami, wzdłuż niej leżała plastikowa linijka, wskazująca rozmiary. Największa plama miała średnicę siedmiu centymetrów, a w środku paskudną ranę, pokrytą grubo żółtym płynem. Dicken doliczył się siedmiu plam jedynie na prawej ręce. – Pokazałem je dziś rano kierownictwu – powiedział Augustine, biorąc pilota i uruchamiając taśmę. Dicken przeszedł do kilku następnych zdjęć. Ciało mężczyzny pokrywały jeszcze większe różowe okaleczenia, niektóre tworzyły ogromne pęcherze, dumne, pewne siebie i na pewno niezmiernie bolesne. – Próbkę są teraz analizowane, ale zespół terenowy zrobił szybkie badanie serologiczne na SHEVE, jedynie dla potwierdzenia. Żona tego mężczyzny jest w drugim trymestrze ciąży SHEVY drugiego stadium

i nadal wykazuje SHEVE typu 3-s. Mężczyzna jest teraz wolny od SHEVY, możemy więc wykluczyć, że to ona wywołała okaleczenia, czego i tak nie należało się spodziewać.

– Skąd oni są? – Zapytał Dicken.

– Z San Diego w Kalifornii. Para nielegalnych imigrantów. Ludzie z naszego Korpusu Pełnomocnego przeprowadzili dochodzenie i przysłali ten materiał. Ma jakieś trzy dni. Miejscowa prasa jest na razie trzymana z dala.

Uśmiech Augustine'a napływał i odpływał niby maleńkie błyskawice. Mark włączył ekran na przedzie biurka, przewijając szybko sceny ze szpitala, oddziału, widok tymczasowej izolátky – plastikowych zasłon pokrywających ściany i drzwi, oddzielnego obiegu powietrza. Uniósł palec z pilota i wrócił do trybu odtwarzania.

Doktor Ed Sanger, członek Korpusu Pełnomocnego Zespołu Specjalnego w szpitalu Mercy, po pięćdziesiątce, o prostych, płowych włosach, przedstawił się i nieśmiało opowiadał o diagnozie. Dicken słuchał z narastającym lękiem. Jakże się myliłem. Augustine ma rację. Wszystkie jego domysły się ziściły.

Augustine zatrzymał taśmę.

To wirus mający pojedynczą nić RNA, wielki i prymitywny, zapewne liczący około 160000 nukleotydów. Niczego takiego jeszcze nie widzieliśmy. Pracujemy nad dopasowaniem jego genomu do wybranych rejonów kodujących znane nam HERV-y. Jest niewiarygodnie szybki, niedostosowany i śmiertelny.

– Facet wydaje się być w złym stanie – powiedział Dicken.

– Zmarł w nocy. – Augustine wyłączył taśmę. – Kobieta chyba nie wykazuje objawów, ale w ciąży miała zwykłe kłopoty. – Założył ramiona i przysiadł na skraju biurka. – Przekaz poziomy nieznanego retrowirusa, niemal na pewno wzbudzonego i wyposażonego przez SHEVE. Kobieta zaraziła mężczyznę. To właśnie to, Christopherze.

Właśnie to, czego potrzebujemy. Czy jesteś gotów pomóc nam w upublicznieniu tego?

– Jakim upublicznieniem?

– Wprowadzimy kwarantannę, internowanie, albo jedno i drugie kobiet w ciąży drugiego stadium. Musimy mieć poważne podstawy dla tego rodzaju pogwałcenia praw obywatelskich. Prezydent jest gotów z tym wystąpić, ale jego zespół mówi, że potrzebujemy znanych osobistości, aby przekonać ludzi.

– Nie jestem osobistością. Weźcie Billa Cosby'ego.

– Cosby wymigał się od tego. Ale ty... Jesteś praktycznie książkowym przykładem dzielnego pracownika służby zdrowia, wylizującego się z ran odniesionych z rąk fanatyków pragnących nas powstrzymać. – Uśmiech Augustine'a znowu zabłysnął.

Dicken spuścił wzrok na kolana.

– Jesteś tego pewien?

– Tak pewien, jak to tylko możliwe, gdy ma się za sobą naukę. Może to zająć trzy, cztery miesiące. Zważywszy na konsekwencje, nie możemy sobie pozwolić na zwlekanie.

Dicken spojrzał na Augustine'a, potem przeniósł wzrok na strzępy chmur i drzew widoczne na tle nieba w oknie gabinetu. Augustine powiesił w nim mały kwadratowy witraż, stylizowaną lilię w czerwieni i zieleni.

– Wszystkie matki będą musiały mieć wywieszki na swoich domach – powiedział Dicken. – Może K albo S. Każda ciężarna będzie musiała dowieść, że nie nosi dziecka SHEVY. Może to kosztować miliardy dolarów.

– Nikt się nie przejmuje pieniędzmi – odparł Augustine.

– Stoimy w obliczu największego zagrożenia zdrowotnego w całej historii ludzkości. To biologiczny odpowiednik puszkę Pandory, Christopherze. Grozi nam każda choroba retrowirusowa, którą

pokonałiśmy, ale całkowicie jej nie wytepełiłyśmy. Setki, może tysiące chorób, przeciw którym nie mamy obecnie obrony. Nie ma mowy, żeby na tę jedną zabrakło nam funduszy.

– Kłopot tylko w tym, że nie wierzę – powiedział cicho Dicken.

Augustine spojrzał nań, przy jego ustach pojawiły się głębokie zmarszczki, brwi ściągnęły się ku sobie.

– Całe dorosłe życie polowałem na wirusy – mówił dalej Dicken. – Widziałem, do czego są zdolne. Znam się na retrowirusach, na HERV-ach. Znam się na SHEVIE. HERV-y przypuszczalnie dlatego nie zostały nigdy usunięte z naszego genomu, że zapewniały ochronę przed innymi, nowszymi retrowirusami. Tworzą naszą biblioteczkę środków obrony. I... Nasz genom używa ich do wprowadzania nowości.

– Tego nie wiemy – stwierdził Augustine. Jego głos chrypiał z napięcia.

– Chciałbym poczekać na naukę, zanim weźmiemy pod straż wszystkie matki w Ameryce – powiedział Dicken.

Twarz Augustine'a pociemniała z oburzenia, potem gniewu, uwydatniając pasma blizn od odłamków.

– Niebezpieczeństwo jest zbyt wielkie – odpowiedział. – Myślałem, że chętnie przyjmiesz szansę powrotu na scenę.

– Nie – odparł Dicken. – Nie mogę.

– Nadal roisz o nowych gatunkach? – Spytał Augustine zgryźliwie.

– Poszedłem znacznie dalej – odpowiedział Dicken. Zaskoczył go zgrzyt zmęczenia we własnym głosie. Brzmiał jak staruszek.

Augustine obszedł biurko i otworzył górną szufladę. Wyjął z niej kopertę. Wszystko w jego postawie, lekka, świadoma godność w chodzie, narzucona twardość rysów, budziło u Dickena swoisty lęk. Takiego Marka Augustine'a jeszcze nie widział: człowieka gotowego z litości dobić rannego.

– Przyszło, gdy byłeś w szpitalu. Trafiło do twojej skrzynki na pocztę. Było zaadresowane do ciebie na adres urzędowy, pozwoliłem więc sobie na otwarcie przesyłki.

Wręczył Dickenowi cienki plik kartek.

– To z Gruzji. Leonid Sugaszwili miał, zdaje się, przysłać ci zdjęcia okazów tak zwanego przez niego Homo superior?

– Jeszcze go nie sprawdziłem – powiedział Dicken – dlatego nic ci nie wspomniałem.

– Mądrze. Aresztowano go w Tbilisi za oszustwa. Za naciąganie rodzin osób zaginionych podczas niepokojów społecznych. Pograżonym w żałobie krewnym obiecywał, że pokaże im miejsce pochówku drogich zmarłych. Wygląda na to, że chciał oszukać i CDC

– To mnie nie zaskakuje, Marku, i nie zmieniam zdania. Jestem po prostu wypalony. Dość kłopotów mam z leczeniem swego ciała. Nie jestem właściwym człowiekiem do tego zadania.

– W porządku – powiedział Augustine. – Udzielę ci długoterminowego urlopu zdrowotnego. Potrzebujemy twego gabinetu w CDC Ściągamy w przyszłym tygodniu sześćdziesięciu wyszkolonych epidemiologów, aby zaczęli drugą fazę. Wobec braków lokalowych zapewne na początek umieścimy trzech z nich w twoim gabinecie.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

– Dziękuję, że zatrzymałaś mnie tak długo – powiedział Dicken bez śladu ironii.

– Nie ma sprawy – odparł równie obojętnie Augustine.

Hrabstwo Snohomish

Mitch postawił ostatnie pudła obok drzwi frontowych. Wendell Packer przyjechał rano furgonetką. Obejrzał dom i wykrzywił usta w niezadowoleniu. Spędzili w nim tylko dwa miesiące. Jedno Boże Narodzenie. Kaye przyniosła z sypialni telefon z dyndającym przewodem.

– Wyłączony – powiedziała. – Nie zwlekają, kiedy rozbierasz dom. Jak długo w nim przebywaliście?

Mitch usiadł w zniszczonym fotelu, który miał jeszcze od czasów studenckich.

– Poradzimy sobie – stwierdził. Czuł się jakoś dziwnie; miał wrażenie, że jego dłonie stały się większe. – Boże, jakże jestem zmęczony.

Kaye przysiadła na poręczu fotela i zaczęła masować mu ramiona. Pochylił głowę w jej rękach, nieogolonym podbródkiem potarł o brzoskwiniowy sweterek.

– Do licha – powiedziała Kaye. – Zapomniałam naładować baterie w komórce. – Pocałowała go w czubek głowy i wróciła do sypialni. Mitch zauważył, że idzie dość prosto, choć jest już w siódmym miesiącu. Brzuch miała wydatny, ale niezbyt wielki. Żałował, że mało zna się na ciążach. Ta była jego pierwszym doświadczeniem...

– Padły obie baterie! – Zawołała Kaye z sypialni. – Ładowanie zajmie z godzinkę.

Mitch patrzył na różne rzeczy w pokoju, mrugając oczyma. Potem

wyciągnął rękę. Wyglądały na spuchnięte, przypominały przedramiona marynarza Popeye z kreskówki. Czuł także, że urosły mu nogi, choć nie patrzył na nie. To niezwykle drażniące. Miał ochotę pójść spać, ale była dopiero czwarta po południu. Dopiero co zjedli na obiad zupę z puszki. Na dworze nadal było jasno.

Miał nadzieję na kochanie się z Kaye po raz ostatni w tym domu. Ta właśnie wróciła i przyniosła stołek pod nogi.

– Usiądź tutaj – powiedział Mitch, podnosząc się z fotela.

– Będzie ci wygodniej.

– Wszystko w porządku. Chcę siedzieć wyprostowana.

Mitch przerwał w połowie wstawanie, zakręciło mu się w głowie.

– Coś się stało?

Ujrzał pierwszy klin światła. Zamknął oczy i opadł na fotel.

– Nadciąga – powiedział.

– Co?

Wskazał na skronie i rzucił cicho:

– Bach! – Miewał już poczucie zniekształcenia ciała przed atakami migreny i podczas nich, kiedy był chłopcem. Pamiętał, że tego nie znosił, a teraz niemal wychodził z siebie ze złości i poczucia beznadziei.

– Mam w torebce trochę Naproze – powiedziała Kaye. Mitch słyszał, jak chodzi po pokoju. Przy zamkniętych oczach widział widmowe błyskawice, a nogi wydawały mu się wielkie jak u słonia. Ból był jak salwa strzałów armatnich rozbrzmiewająca w szerokiej dolinie.

Kaye wcisnęła mu w dłoń dwie tabletki i pełną wody szklaneczkę. Połknął tabletki, popił je wodą, nie do końca przekonany, że mu pomogą. Może gdyby otrzymał jakieś przyzwoite ostrzeżenie, wzięłby je zawczasu.

– Idź do łóżka – powiedziała Kaye.

– Co? – Spytał.

– Łóżko.

– Chcę pójść.

– Słusznie. Spać.

Była to jedyna droga ucieczki, na jaką mógł liczyć. Chociaż będzie miał koszmarne i nieprzyjemne sny. Je także pamiętał: sny o miażdżeniu przez spadające góry.

Położył się w chłodzie pustego łóżka, na prześcieradle pozostawionym po ich ostatniej nocy, pod kołdrą. Nasunął ją na głowę, zostawiając małą szparkę, przez którą mógł oddychać.

Ledwo usłyszał Kaye mówiącą, że go kocha.

Kaye odsunęła kołdrę. Czoło Mitcha było lepkie od potu, zimne jak lód. Martwiła się, czuła się winna, że nie może dzielić jego cierpień; potem mimowolnie pomyślała, że Mitch nie będzie dzielił jej cierpień przy rodzeniu ich dziecka.

Usiadła przy nim na łóżku. Jego oddech był krótki i urywany. Zamyślona, poczuła brzuch wypinający sweterek, podniosła go, potarła skórę, tak napiętą, że niemal lśniła. Dziecko uspokoiło się na kilka godzin po licznych kopnięciach tego popołudnia.

Nigdy dotąd Kaye nie czuła ciosów bombardujących nerki od środka; nie podobało się jej to doświadczenie. Podobnie jak chodzenie co godzina do łazienki czy utrzymująca się długo zgaga. W nocy, leżąc w łóżku, wyczuwała nawet rytmiczne ruchy swych jelit.

Wszystko to czyniło ją bardzo czujną, a zarazem wyjątkowo żywą i świadomą.

Odbiegła jednak od myślenia o Mitchu, o jego bóle. Położyła się obok niego i nagle przekręciła, ściągając kołdrę.

– Mitch?

Nie odpowiadał. Chwilę leżała na plecach, ale było jej niewygodnie, przewróciła się więc na bok, plecami do Mitcha, i powoli przytulała

się doń, łagodnie, czerpiąc ciepło. Nie poruszył się ani nie zaprotestował. Patrzyła na pogrążoną w półmroku pustą ścianę. Pomyślała, że mogłaby wstać i spróbować kilka minut popracować nad książką, ale laptop i notatniki nie zostały jeszcze rozpakowane. Chęć jej przeszła.

Niepokoili ją cisza domu. Nasłuchiwała jakiegokolwiek dźwięku, ale słyszała jedynie ich własne oddechy. Na dworze było zupełnie bezwietrznie. Nie słyszała nawet ruchu na Autostradzie 2, oddalonej o niecałą milę. Nie śpiewał żaden ptak. Nie skrzypiała żadna osiadająca belka czy podłoga.

Po półgodzinie upewniła się, że Mitch śpi, usiadła, przesunęła się na skraj łóżka, wstała i poszła do kuchni nastawić wodę na herbatę. Popatrzyła na końcówkę zmierzchu za oknem kuchennym.

Woda w czajniku zaczęła powoli wrzeć i gwizdać. Kaye zalała nią torebkę rumianku w jednym z dwóch kubków pozostawionych na wykładanym białymi płytkami stole. Czekać, aż herbata naciągnie, muskała palcem gładkie kafelki, zastanawiając się, jaki będzie jej następny dom. Prawdopodobnie słyhać zeń będzie dźwięki dobiegające od należącego do Pięciu Plemion wielkiego kasyna „Dziki Orzeł”. Sue rano zajmowała się jeszcze przygotowaniami, obiecała jedynie, że w końcu znajdzie dom i to ładny. „Może najpierw będzie nim przyczepa kempingowa” – dodała przez telefon.

Kaye poczuła przyptyw bezradnej złości. Wolałaby zostać tutaj. Czują się tu u siebie. „To takie dziwne” – powiedziała do okna.

Jakby w odpowiedzi, dziecko kopnęło jeden raz.

Wzięła kubek i wyrzuciła do zlewu torebkę z herbatą. Pijąc pierwszy łyk, usłyszała szum pracy silników i chrzęst opon na żwirowym podjeździe.

Przeszła do pokoju i stanęła, wpatrując się w światła reflektorów przed domem. Nikogo nie oczekiwali; Wendell był w Seattle,

ciężarówka z wypożyczalni miała być wolna dopiero jutro rano, Merton pojechał do Beresford w stanie Nowy Jork; słyszała, że Sue i Jack przebywają we wschodniej części stanu Waszyngton.

Przyszło jej na myśl, by obudzić Mitcha, ale nie wiedziała, czy w jego stanie będzie to łatwe. Może to Maria albo ktoś inny.

Nie podeszła jednak do drzwi. Światło w pokoju było zgaszone, na ganku także, paliło się jedynie w kuchni. Blask reflektorów samochodowych wpadał przez okno na południową ścianę.

Nie zaciągnęła zasłon, nie mieli w pobliżu sąsiadów, nikt do nich nie mógł zaglądać.

Ostre pukanie w drzwi wejściowe. Kaye spojrzała na zegarek, wcisnęła guziczek włączający niebiesko-zielone oświetlenie tarczy. Siódma.

Pukanie zabrzmiało znowu, potem odezwał się nieznajomy głos.

– Kaye Lang? Mitchell Rafelson? Urząd szeryfa hrabstwa, wydział sądowy.

Kaye zaparło dech w piersiach. O co może chodzić? Na pewno nie o nią! Podeszła do drzwi wejściowych i odsunęła jedyną zasuwkę, otwierając drzwi. Na ganku stali czterej ludzie, dwaj w mundurach, dwaj po cywilnemu, w luźnych spodniach i jasnych kurtkach. Światło latarki padło na jej twarz, gdy włączała lampę na ganku. Zmrużyła oczy.

– Kaye Lang to ja.

Jeden z cywilów, wysoki, krępy mężczyzna z krótko przystrzyżonymi brązowymi włosami i długą, owalną twarzą, postąpił krok naprzód.

Panno Lang, musimy...

– Pani Lang – poprawiła go Kaye.

– No dobrze. Nazywam się Wallace Jurgenson. To doktor Kevin Clark z Wydziału Zdrowia hrabstwa Snohomish. Jestem

przedstawicielem Korpusu Pełnomocnego publicznej służby zdrowia w Kryzysowym Zespole Specjalnym w stanie Waszyngton. Pani Lang, mamy rozkaz federalnego Kryzysowego Zespołu Specjalnego, potwierdzony przez urząd Zespołu Specjalnego w Olimpii, stan Waszyngton. Kontaktujemy się z kobietami o których wiemy, że mogą zakażać, będąc w ciąży z...

– Co za bzdura – powiedziała Kaye.

Jurgenson urwał, lekko zadyszany, i dokończył:

– Z płodem SHEVY drugiego stadium. Czy wie pani, co to znaczy?

– Tak – odparła Kaye – ale jest zupełnie inaczej.

– Jestem tutaj, aby poinformować panią, że zdaniem federalnego Kryzysowego Zespołu Specjalnego oraz Centers for Disease Control and Prevention...

– Pracowałam dla nich – wtrąciła Kaye.

– Wiem o tym – powiedział Jurgenson. Clark uśmiechał się i kiwał głową, jakby cieszył się ze spotkania z nią. Funkcjonariusze stali poza gankiem z założonymi rękoma. – Panno Lang, stwierdzono, że może pani stanowić zagrożenie dla zdrowia publicznego. Tak jak inne kobiety na tym terenie, zostanie pani poinformowana o konieczności dokonania wyboru.

– Wybieram pozostanie tutaj – odparła Kaye drżącym głosem. Przesuwała wzrokiem po twarzach. Przyzwoicie wyglądający mężczyźni, gładko ogoleni, poważni, zdenerwowani prawie tak samo jak ona, niezadowoleni, że są tutaj.

– Mamy rozkaz zabrać panią wraz z mężem do Lynnwood, do schroniska oddziału kryzysowego miejscowego hrabstwa, gdzie zostanie pani internowana i otoczona opieką medyczną do czasu ustalenia, czy nadal stanowi pani zagrożenie dla zdrowia publicznego...

– Nie – rzuciła Kaye, czując, jak dostaje wypieków na twarzy. – To całkowicie wykluczone. Mój mąż jest chory. Nie może jechać.

Jurgenson przybrał zaciętą minę. Gotów był wykonać zadanie, które mu się nie podobało. Zerknął na Clarka. Funkcjonariusze podeszli, jeden prawie się potknął o kamień. Jurgenson przełknął ślinę Doktor Clark może zbadać pani męża, zanim panią zabierzemy – powiedział. Para wydychana przez niego była widoczna w wieczornym powietrzu.

– Ma ostry ból głowy – wyjaśniła Kaye. – Migrenę. Niekiedy mu się to zdarza. – Na zwirowym podejździe czekał radiowóz szeryfa i mała karetka. Za samochodami otaczający dom nieprzystrzyżony trawnik ciągnął się do ogrodzenia. W chłodnym wieczornym powietrzu czuć było zapach wilgotnej zieleni i gleby.

– Nie mamy wyboru, panno Lang.

Niewiele mogła tu poradzić. Jeśli będzie stawiać opór, po prostu wrócą z liczniejszą ekipą.

– Pojadę. Mojego męża nie należy ruszać.

– Oboje możecie być nosicielami, proszę pani. Musimy zabrać i jego.

– Mogę zbadać pani męża i zobaczyć, czy jego stan wymaga opieki lekarskiej – powiedział Clark.

Kaye była zła na napływające łzy. Zdenerwowanie, bezradność, samotność. Widziała, jak Clark i Jurgenson patrzą za nią, usłyszała jakiś ruch, okręciła się, jakby wpadła w pułapkę.

To Mitch. Szedł wyraźnie urywanymi ruchami, miał przymknięte oczy, wyciągnięte ręce, niby potwór Frankensteina.

– Kaye, co jest? – Spytał stłumionym głosem. Samo mówienie sprawiało, że krzywił się z bólu.

Clark i Jurgenson cofnęli się, a najbliższy funkcjonariusz rozpiął kaburę. Kaye odwróciła się i spojrzała na nich.

– To migrena! Ma migrenę!

– Kim oni są? – Zapytał Mitch. O mało się nie przewrócił.

Kaye podeszła do niego i objęła go, pomagając stać.

– Słabo widzę – szepnął Mitch.

Clark i Jurgenson naradzali się szeptem.

– Proszę zabrać go z ganku, panno Lang – powiedział Jurgenson napiętym głosem. Kaye zobaczyła pistolet w ręku funkcjonariusza.

– Co to znaczy?

– Są z Zespołu Specjalnego – odparła Kaye. – Chcą, abyśmy pojechali z nimi.

– Czemu?

– Coś mówią o zakażaniu.

– Nie. – Mitch z trudem łapał oddech.

– Tak właśnie im powiedziałam. Cóż, Mitch, nic nie możemy poradzić.

– Nie! – Zawołał Mitch, machając jedną ręką. – Wróćcie, gdy będę mógł was widzieć, gdy będę mógł rozmawiać! Zostawcie moją żonę w spokoju, na miłość boską!

– Niech pani zejdzie z ganku – powiedział funkcjonariusz.

Kaye wiedziała, że sytuacja staje się niebezpieczna. Mitch nie był w stanie myśleć rozsądnie. Nie wiadomo, co może zrobić, aby ją chronić. Mężczyźni przed domem byli przestraszeni. Czasy były paskudne, zdarzały się paskudne rzeczy i nikt nie zostałby ukarany; mogli go zastrzelić i spalić dom do zgliszczy, jakby chcieli zniszczyć ognisko zarazy.

– Żona jest w ciąży – powiedział Mitch. – Proszę zostawić ją w spokoju. – Próbował wrócić do domu. Kaye stanęła przy nim, zaprowadziła do drzwi.

Funkcjonariusz celował z pistoletu w ganek, ale teraz trzymał go oburącz, w wyprostowanych rękach. Jurgenson kazał mu opuścić broń. Pokręcił głową.

– Nie chcę, aby zrobili coś głupiego – powiedział cichym głosem.

– Wychodzimy – oznajmiła Kaye. – Nie zachowujcie się jak idioci. Nie jesteśmy chorzy i nie zakażamy.

– Jurgenson powiedział im, aby wyszli drzwiami i zeszli po schodkach ganku.

– Mamy karetkę. Zabierzemy państwa razem do miejsca, gdzie zaopiekują się pani mężem.

Kaye pomogła Mitchowi na stopniach ganku. Mocno się pocił, jego dłonie były wilgotne i zimne.

– Niezbyt dobrze widzę – szepnął do ucha Kaye. – Mów mi, co robia.

– Chcą nas zabrać. – Stali teraz na podwórku. Jurgenson dał znak Clarkowi, który otworzył drzwiczki karetki. Kaye zobaczyła, że za jej kierownicą siedzi młoda kobieta, wpatrująca się uważnie przez zamknięte okienko. – Nie rób żadnych głupstw – nakazała Mitchowi. – Idź powoli. Czy pigułki pomogły?

Pokręcił głową.

– Jest źle. Tak mi głupio... Zostawiłem cię samą. Bezbronną. – Słowa były zduszone, a oczy prawie zamknięte. Nie mógł znieść blasku reflektorów. Funkcjonariusze włączyli latarki i wycelowali nimi w Kaye i Mitcha. Ten zakrył oczy jedną ręką i próbował się odwrócić.

– Nie ruszać się! – Rozkazał funkcjonariusz z pistoletem.

– Trzymać ręce na widoku!

Kaye usłyszała dalsze samochody. Drugi funkcjonariusz się odwrócił.

– Ktoś nadjeżdża – powiedział. – Półciężarówki. Dużo ich.

Naliczyła cztery pary świateł poruszających się drogą wiodącą do domu. Trzy półciężarówki i samochód osobowy wtoczyły się na podwórko, rozpryskując żwir; zapiszczały hamulce. Przyjechali nimi smagli mężczyźni – z czarnymi włosami, w kraciastych koszulach, skórzanych kurtkach, wiatrówkach, mężczyźni z kucykami. Potem

dostrzegła Jacka, męża Sue.

Jack otworzył drzwiczki od strony kierowcy i wysiadł z samochodu, marszcząc brwi. Wyciągnął rękę i mężczyźni pozostali na pakach półciężarówek.

– Dobry wieczór – powiedział. Przestał się krzywić, jego twarz stała się nagle obojętna. – Cześć, Kaye, Mitch. Wasze telefony nie działają.

Funkcjonariusze patrzyli na Jurgensona i Clarka, nie wiedząc, co robić. Pistolety były zwrócone w żwir podjazdu. Wendell Packer i Maria Konig wysiedli z samochodu i podeszli do Mitcha i Kaye.

– Wszystko w porządku – powiedział Packer do czterech mężczyzn, ustawionych teraz w obronny kwadrat. Podniósł ręce, pokazując, że są puste. – Przywieźliśmy przyjaciół, aby pomogli w przeprowadzce. Dobrze?

– Mitch ma migrenę! – Zawołała Kaye. Mitch próbował odtrącić jej rękę, stać samodzielnie, ale nogi zbyt mu dygotały.

– Biedne dziecko – powiedziała Maria, omijając półkolem funkcjonariuszy. – Wszystko w porządku! – Zawołała do nich.

– Jesteśmy z Uniwersytetu Stanu Waszyngton.

– A my z Pięciu Plemion – dodał Jack. – To nasi przyjaciele. Pomagamy im w przeprowadzce. – Ludzie na furgonetkach pokazywali ręce, ale uśmiechali się jak wilki, jak wojownicy.

Clark poklepał Jurgensona po ramieniu.

– Nie róbmy afery na pierwsze strony gazet – powiedział. Jurgenson przyznał mu rację kiwnięciem głowy. Clark poszedł do karetki, a Jurgenson dołączył do funkcjonariuszy w caprice. Bez dalszych rozkazów oba samochody cofnęły się, skrzyły i kiwając się, odjechały w mrok długim żwirowym podjazdem.

Jack podszedł z dłońmi w kieszeniach dżinsów i wielkim, zaraźliwym uśmiechem.

– To ci zabawa – stwierdził.

Wendell i Kaye pomogli Mitchowi usiąść na ziemi.

– Poradzę sobie – powiedział, trzymając głowę w rękach. – Nie mogłem nic zrobić. Jezu, nic nie mogłem zrobić.

– Już wszystko dobrze – odparła Maria.

Kaye klęczała przy Mitchu. Przycisnęła policzek do jego czoła.

– Zabierzemy cię do środka. – Wspólnie z Marią pomogły mu wstać i prawie wniosły go do domu.

– Dowiedzieliśmy się od Olivera w Nowym Jorku – wyjaśnił Wendell. – Christopher Dicken zadzwonił do niego i powiedział, że nadciąga coś paskudnego. Mówił, że nie odpowiadasz na jego telefony.

– Było to późnym popołudniem – dodała Maria.

– Maria zadzwoniła do Sue – ciągnął Wendell. – Sue do Jacka.

– Jack był w Seattle. Nikt nie mógł się z tobą połączyć.

– Byłem na spotkaniu w kasynie Lummi – wyjaśnił Jack. Pomachał mężczyznom w półciężarówkach. – Rozmawialiśmy o nowych grach i maszynach. Chętnie zaofiarowali, że tu przyjadą. Dobrze zrobili, jak sądzę. Powinniśmy zaraz pojechać do Kumash.

– Jestem gotów – powiedział Mitch. Wszedł po schodkach o własnych siłach, odwrócił się i wyciągnął ręce, patrząc na nich. – Mogę to zrobić. Poczuję się lepiej.

– Nie mogą cię tam tknąć – stwierdził Jack. Patrzył na podjazd błyszczącymi oczyma. – Zamierzają pozbawić Indian wszystkiego. Przeklęte dranie.

**Hrabstwo Kumash,
wschodnia część stanu
Waszyngton
Maj**

Mitch stał na wierzchołku niskiego kredowego pagórka, u podnóża którego zbudowano Kasyno i Ośrodek Wypoczynkowy „Dziki Orzeł”. Odchylił kapelusz do tyłu i mrużył oczy w jaskrawym słońcu. O dziewiątej rano powietrze było nieruchome i już ciepłe. W normalnych czasach kasyno, jarmarczna buda w kolorach czerwieni, złota i bieli, widoczna na tle wyblakłych odcieni barwy ziemi południowo-wschodniej części stanu Waszyngton, zatrudniało czterysta osób, w tym trzysta z Pięciu Plemion. Za brak współpracy z Markiem Augustine’em rezerwat objęto kwarantanną. Trzy samochody patrolowe urzędu szeryfa hrabstwa Kumash parkowały na drodze dojazdowej z autostrady. Stanowiły wsparcie dla szeryfów federalnych, będących siłą zbrojną doradcy do spraw zagrożenia zdrowotnego z ramienia Kryzysowego Zespołu Specjalnego, który zajmował się całym rezerwatem Pięciu Plemion.

Od przeszło trzech tygodni w kasynie nie było wcale ruchu. Parking stał niemal pusty, wygaszono światła na tablicach.

Mitch pogrzebał butem w mocno ubitym pyłe. Zostawił niewielką, wyposażoną w klimatyzację przyczepę kempingową i wspiał się na wzgórze, aby pobyć samemu i trochę pomyśleć, dlatego na widok

Jacka wspinającego się powoli tą samą ścieżką poczuł lekką niechęć. Nie ruszył się jednak z miejsca.

Ani Mitch, ani Jack nie wiedzieli, czy jest im przeznaczone polubić się nawzajem. Przy każdym ich spotkaniu Jack zadawał różne pytania, jakby rzucał wyzwanie, a Mitch udzielał różnych odpowiedzi, które nigdy do końca nie zadowalały Indianina.

Mitch ukucnął i wziął okrągły kamień pokryty zaschłym błotem. Jack pokonał ostatnie kilka jardów i wszedł na wierzchołek wzgórza.

– Cześć – powiedział.

Mitch kiwnął głową.

– Widzę, że też to masz. – Jack podrapał się palcem w policzek. Skóra na jego twarzy wyglądała jak maska Lone Rangera czy Zorro, odchodząca na krawędziach, lecz grubiejąca wokół oczu.

Obaj zdawali się patrzeć przez grubą warstwę gliny. – Nie zejdzie bez okaleczenia skóry.

– Nie należy jej odrywać – powiedział Mitch.

– Kiedy zaczęła ci się robić?

– Trzy noce temu.

Jack przykucnął obok Mitcha.

– Czasami się wściekam. Myślę, że Sue mogłaby lepiej to zaplanować.

Mitch się uśmiechnął.

– Co, zajście w ciążę?

– No – potwierdził Jack. – Kasyno jest puste. Tracimy pieniądze. Pozwoliłem odejść wielu naszym ludziom, a inni z zewnątrz nie mogą przyjeżdżać tu do pracy. Nie najlepiej jest też ze mną.

– Znowu dotknął maski, potem spojrzął na swój palec. – Jeden z naszych młodych ojców próbował zetrzeć ją piaskiem. Jest teraz w lecznicy. Powiedziałem mu, że głupio zrobił.

– Nic teraz nie jest łatwe – powiedział Mitch.

- Mógłbyś czasami przychodzić na zebrania rady nadzorczej.
- Jestem wdzięczny, Jack, że mogę tu być. Nie chcę drażnić ludzi.
- Sue uważa, że może nie będą źli, jeśli się z tobą spotkają.
- Całkiem miły z ciebie facet.
- Tak właśnie powiedziała przeszło rok temu.

– Mówi, że skoro ja się nie gniewam, to i inni nie będą. Może to i racja. Choć jest tu stara kobieta z plemienia Cayuse, Becky. Wygnali ją z Colville i przyjechała do nas. Jest miłą babcią, ale uważa, że jej obowiązkiem jest sprzeciwiać się wszystkiemu, za czym będą plemiona. Mogłaby, no wiesz, gapić się na ciebie, trochę cię szturchać.

– Jack zrobił zrzędliwą minę i dźgnął powietrze sztywno wyprostowanym palcem.

Rzadko bywał tak gadatliwy, a nigdy nie mówił o sprawach poruszanych na radzie.

Mitch roześmiał się.

- Według ciebie zanosz się na kłopoty?

Jack wzruszył ramionami.

– Chcemy wkrótce zwołać zebranie ojców. Tylko ojców. Nie takie jak te kursy szkoły rodzenia wraz z kobietami. Są krępujące dla mężczyzn. Przyjdiesz wieczorem?

Mitch kiwnął głową.

– Pierwszy raz mam tę skórę. Będzie ciężko. Niektórzy nowi ojcowie oglądają telewizję i pytają, kiedy będą mogli wrócić do pracy, a potem obwiniają kobiety.

Mitch wiedział, że oprócz niego i Kaye w rezerwacie są jeszcze trzy inne pary spodziewające się dzieci SHEVY. Spośród trzech tysięcy siedemdziesięciu dwóch mieszkających w rezerwacie osób należących do Pięciu Plemion narodziło się sześcioro takich dzieci. Wszystkie przyszły na świat martwe.

Kaye współpracowała z pediatrią lecznicy, młodym białym

lekarzem nazwiskiem Chambers. Pomagała prowadzić szkołę rodzenia. Mężczyźni byli trochę oporni i mogło im być znacznie trudniej zaakceptować zastaną sytuację.

– Sue ma wyznaczony termin mniej więcej jednocześnie z Kaye – powiedział Jack. Ułożył nogi w pozycji lotosu i usiadł prosto na ziemi, na co Mitchowi trudno się było zdobyć. – Próbowałem zrozumieć coś o genach, DNA, czym jest wirus. To nie mój język.

– Może być trudny – przyznał Mitch. Nie wiedział, czy powinien wyciągnąć rękę i położyć ją na ramieniu Jacka. Tak mało się znał na dzisiejszych ludziach, których przodków badał. – Możemy jako pierwsi mieć zdrowe dzieci. Być pierwszymi, którzy zobaczą, jak wyglądają.

– Pewnie tak. Byłoby to wielce... – Jack urwał i zacisnął usta, jakby się namyślał. – Chciałem powiedzieć zaszczytne. Ale to zaszczyty nie dla nas.

– Może i nie – przyznał Mitch.

– Dla mnie wszystko żyje wiecznie. Cała Ziemia roi się od żywych istot, jedne są odziane w ciało, drugie nie. Jesteśmy tutaj dla wielu, którzy byli wcześniej. Nie tracimy związku z ciałem, gdy je zrzucamy. Rozkładamy się po śmierci, ale chcemy powracać do naszych kości, rozglądać się wokół. Patrząc, co robią młodzi.

Mitch wyczuł, że zaczyna się na nowo stara dyskusja.

– Nie patrzysz w ten sam sposób – zauważył Jack.

– Nie jestem pewny, jak teraz patrzę – odpowiedział Mitch.

– Poczucie rozrywania naszych ciał przez naturę jest orzeźwiające. Kobiety czują to bardziej bezpośrednio, ale po raz pierwszy doświadczą tego mężczyźni.

– Owo DNA musi być duchem w nas, słowami przekazywanymi przez naszych przodków, słowami Stwórcy. Tak to widzę.

– Równie dobry opis jak każdy inny – uznał Mitch. – Nie wiem

tylko, kim może być ten Stwórca, ani nawet czy w ogóle istnieje.

Jack westchnął.

– Badasz martwe rzeczy.

Mitch zarumienił się lekko, jak zawsze, gdy rozmawiał z Jackiem na te tematy.

– Próbuję zrozumieć, czym były, kiedy jeszcze żyły.

– Duchy mogą ci powiedzieć – rzekł Jack.

– Czy mówiły tobie?

– Czasami – odparł Jack. – Raz czy dwa.

– Co ci powiedziały?

– Że czegoś chcą. Nie są szczęśliwe. Pewien starzec, już nie żyje, słyszał ducha człowieka z Pasco, kiedy wykopałeś go na brzegu rzeki. Starzec mówił, że duch był bardzo nieszczęśliwy. – Jack wziął kamyk i rzucił nim w dół pagórka. – Potem powiedział, że nie mówił jak nasze duchy. Może był inny. Starzec zdradził to tylko mnie, nikomu innemu. Sądził, że ten duch mógł nie być z naszego plemienia.

– Ojej – rzucił Mitch.

Jack potarł nos i skubnął brew.

– Bez przerwy swędzi mnie skóra. A ciebie?

– Czasami. – Za każdym razem, gdy rozmawiał z Jackiem o kościach, miał poczucie, że stąpa wzdłuż krawędzi przepaści.

– Może to poczucie winy. – Nikt nie jest wyjątkowy. Wszyscy jesteśmy ludźmi. Młodzi uczą się od starych, martwych bądź żywych.

– Szanuję ciebie, Jacku, i to co mówisz, ale możemy nigdy nie dojść do porozumienia.

– Sue każe mi rozważyć wiele rzeczy – powiedział Jack ze śladem pokory i popatrzył na Mitcha głęboko osadzonymi czarnymi oczami. – Jej zdaniem powinienem z tobą rozmawiać, bo słuchasz, a potem mówisz, co myślisz, i to jest uczciwe. Inni ojcowie trochę tego teraz potrzebują.

– Porozmawiam z nimi, jeśli ma to pomóc. Wiele ci zawdzięczamy, Jack.

– Nie, niczego nie zawdzięczacie. Pewnie i tak wpadlibyśmy w tarapaty. Jeśli nie w te nowe, to z powodu automatów hazardowych. Chcielibyśmy obrzucić włóczyniami biuro do spraw Indian i cały rząd.

– Kosztuje was to mnóstwo pieniędzy – powiedział Mitch.

– Wciskamy się chyłkiem w rynek nowych automatów do gier na karty kredytowe – wyjaśnił Jack. – Nasi chłopcy jeżdżą z nimi na pakach półciężarówek za wzgórze, gdzie nie widzą tego tropiciele. Może uda się z nich korzystać przez sześć miesięcy, albo i dłużej, zanim zostaną skonfiskowane przez państwo.

– To automaty wrzutowe?

Jack pokręcił głową.

– Naszym zdaniem nie. Zarobimy trochę pieniędzy, zanim zostaną zabrane.

– Zemsta na białym człowieku?

– Obdzieramy ich ze skóry – powiedział Jack z całą powagą.

– Uwielbiają to.

– Jeśli dzieci będą zdrowe, może zniosą kwarantannę. Za kilka miesięcy będziecie mogli znowu otworzyć kasyno.

– Na nic nie liczę. Ponadto nie chcę wychodzić na scenę i grać szefa, dopóki tak wyglądam. – Jack położył rękę na ramieniu Mitcha. – Przyjdź pogadać – poprosił, wstając. – Mężczyźni chcą posłuchać.

– Postaram się.

– Powiem im, aby wybaczyli ci tamtą sprawę. Duch i tak nie był z żadnego z naszych plemion. – Jack zaczął schodzić w dół wzgórza.

Hrabstwo Kumash, wschodnia część stanu Waszyngton

Mitch pracował przy starym niebieskim buicku, stojącym na wyschłej trawie podwórka przed przyczepą kempingową, kiedy na południu zbierały się przedwieczne chmury burzowe. W powietrzu można było wyczuć napięcie i podniecenie. Kaye ledwo siedziała. Odepchnęła się od biurka przy oknie i przerwała udawaną pracę nad książką. Przeważnie przyglądała się, jak Mitch grzebie w przewodach elektrycznych.

Położyła ręce na biodrach, aby się wyprostować. Dzień nie był zbyt gorący i woleli zostać w przyczepie zamiast pojechać do klimatyzowanego domu kultury. Kaye lubiła patrzeć, jak Mitch gra w koszykówkę; czasami chodziła popływać w małym basenie. Nie żyło jej się źle, ale miała poczucie winy.

Wieści ze świata zewnętrznego rzadko bywały dobre. W rezerwacie przebywali już trzy tygodnie i Kaye obawiała się, że w każdej chwili mogą przyjechać szeryfowie federalni, aby zgarnąć matki SHEVY. Zrobili tak w Montgomery w stanie Alabama, wdzierając się do prywatnej kliniki położniczej i o mało nie wywołując rozruchów.

– Rozzuchwalają się – powiedział Mitch, gdy oglądali w telewizji wiadomości. Prezydent później przeprosił i zapewnił naród, że prawa obywatelskie będą przestrzegane, na ile to tylko możliwe, zważywszy

na zagrożenie dotyczące wszystkich. Dwa dni później klinikę w Montgomery zamknięto wskutek żądań pikietujących ją obywateli, a matki i ojców zmuszono do przeniesienia się gdzieś indziej. Nowi rodzice wyglądali dziwnie w swych maskach; sądząc po tym, co wraz z Mitchem słyszała w wiadomościach, w bardzo wielu miejscach byli źle widziani.

Nigdy nie byli lubiani w Gruzji.

Kaye nie dowiedziała się niczego nowego o kolejnych zakażeniach retrowirusowych matek SHEVY. Milczały także jej kontakty. Sprawa była śliska, to na pewno; nikt nie wyrażał chętnie swego zdania.

Udawiała więc, że pracuje nad książką, codziennie tworząc jeden dobry akapit, najwyżej dwa, pisała czasami na laptopie, czasami ręcznie w notatniku. Mitch czytał, co powstało, i nanosił uwagi na marginesie, ale wyglądał na zaprzątniętego czymś innym, jakby oszołomionego perspektywą zostania ojcem... Wiedziała jednak, że nie tym się trapi.

Nie chodzi o to, że zostanie ojcem. Co innego go martwi. Ja. Moje samopoczucie.

Nie wiedziała, jak uspokoić myśli. Czuła się dobrze, a nawet wspaniale, pomimo niewygód swego stanu. Patrzyła na siebie w pokrytym plamami lustrze w łazience i czuła, że jej twarz wypełnia się całkiem nieźle; nie zmizerniała, jak się kiedyś obawiała, ale wyglądała zdrowo. Miała ładną skórę – pomijając oczywiście maskę.

Z każdym dniem maska ciemniała i nabierała grubości. Stanowiła dziwny czepek, będący oznaką tego rodzaju rodzicielstwa.

Kaye ćwiczyła na cienkim dywaniku w małym pokoju. W końcu stało się zbyt parno, aby robić cokolwiek. Mitch wszedł napić się wody i zobaczył ją na podłodze. Podniosła na niego wzrok.

– Zagramy w karty w świetlicy? – Zapytał.

– Chcę być sama – zadeklamowała, naśladując Garbo. – To znaczy

sama z tobą.

– Jak plecy?

– Masaż wieczorem, kiedy się ochłodzi – zamówiła Kaye.

– Czyż tu nie jest spokojnie? – Zapytał Mitch, stając w drzwiach i machając dla ochłody swą koszulką.

– Zastanawiałam się nad imionami.

– O? – Mitch wyglądał na zaskoczonego.

– Co?

– Rozbawiłaś mnie trochę. Chcę ją zobaczyć, zanim wybierzemy imię.

– Czemu? – Kaye była trochę urażona. – Mówisz do niej, śpiewasz jej co wieczór. Mówisz nawet, że czujesz jej zapach w moim oddechu.

– No – potwierdził Mitch, ale twarz miał nadal napiętą. – Chcę tylko zobaczyć, jak będzie wyglądała.

Kaye nagle udała, że załapała.

– Nie chodzi mi o termin naukowy. Mówię o naszej nazwie, o imieniu naszej córki.

Mitch patrzył na nią z rozpaczą.

– Nie prosź mnie o wyjaśnienia. – Wyglądał na zamyślonego.

– Termin naukowy ustaliłem wczoraj z Brockiem przez telefon. Choć uważa, że to przedwczesne, gdyż żadne...

Mitch zorientował się, zakasłał, zamknął siatkowe drzwi i poszedł do kuchni.

Kaye poczuła, jak ściska się jej serce.

Mitch wrócił z kilkoma kostkami lodu w mokrym ręczniku, ukląkł przy niej i otarł pot na czole. Kaye nie patrzyła mu w oczy.

– Głupi – szepnął.

– Oboje jesteście dorośli – powiedziała Kaye na głos. – Chcę nadać jej imię. Chcę robić na drutach buciki, kupować śpioszki, zabawki do zawieszania w łóżeczku, i zachowywać się, jakbyśmy byli zwykłymi

rodzicami, a zwłaszcza przestać myśleć o wszystkich tych bredniach.

– Wiem – odparł Mitch, wyglądający wielce żałośnie, niemal załamany.

Kaye podniosła się na kolana i lekko położyła dłonie na jego ramionach. Przesuwała nimi w przód i w tył, jakby ścierała kurz.

– Posłuchaj mnie. Czuję się dobrze. Ona czuje się dobrze. Jeśli mi nie wierzysz...

– Wierzę ci – zapewnił Mitch.

Kaye oparła się o niego czołem.

– Już dobrze, Kemosabe – powiedziała. Indianie w westernach tak nazywali wiernego przyjaciela.

Mitch dotknął ciemnej, twardej skóry jej policzka.

– Wyglądasz bardzo tajemniczo. Jak bandyta.

– Może potrzebujemy nowej nazwy naukowej i dla nas samych.

– Czy nie czujesz tego w środku... Gdzieś głęboko, pod skórą?

– Czuję coś w kościach – odpowiedział. – A moje gardło... Język jest jakby inny. Po co dostałem tę maskę, jak i wszyscy inni?

– Masz wirusa. Czemu nie miałby zmieniać i ciebie? A jeśli chodzi o maskę... Może jesteśmy przygotowywani do rozpoznania przez nią. Jesteśmy zwierzętami społecznymi. Tatusiowie dla niemowląt są równie ważni co mamusie.

– Będziemy wyglądać jak ona?

– Może troszeczkę. – Kaye wróciła do krzesła przy biurku i usiadła.

– Jaką nazwę naukową zaproponował Brock?

– Nie przewiduje radykalnej zmiany – odparł Mitch. – Najwyżej podgatunek, może jedynie odrębną odmianę. Stąd... Homo sapiens novus.

Kaye cicho powtórzyła tę nazwę i lekko się uśmiechnęła.

– Brzmi jak warsztat naprawiający przednie szyby samochodów.

– Łacina jest dobra – powiedział Mitch.

– Muszę się jeszcze zastanowić.

– Lecznice opłacają dochodami z kasyna – powiedziała Kaye, składając ręczniki. Mitch przed zachodem słońca ze służącej za pralnię szopy przyniósł do przyczepy kempingowej dwa koszyki prania. Siedział na średniej wielkości łóżku w małej sypialni, gdyż nie było miejsca, w którym mógłby stać. Jego wielkie stopy ledwo się mieściły między ścianą a ramą łóżka.

Kaye wzięła cztery pary majtek i dwa nowe staniki do karmienia, złożyła je i odłożyła na bok, aby potem schować do małej walizeczki. Trzymała ją w gotowości od tygodnia i uznała, że nadeszła pora, aby ją zapełnić.

– Masz kosmetyczkę? Nie mogę znaleźć mojej.

Mitch przeszedł na czworakach na koniec łóżka, aby pogrzebać w walizce. Wrócił ze starą, znoszoną torebką z brązowej skóry, zapinaną na zamek.

– Saszetka na przyrządy do golenia załogi bombowca sił lotniczych?

– Zapytała Kaye, podnosząc torebkę za rączki.

– Autentyczność zagwarantowana – odparł Mitch. Przyglądał się jej bacznie niby sokół, przez co czuła się jednocześnie uspokojona i odrobinę wyszydzona. Dalej składała pranie.

– Doktor Chambers mówi, że wszystkie przyszłe matki wyglądają zdrowo. Odebrał poród od trzech innych. Stwierdził, że miesiące przedtem działo się z nimi coś złego. Marine Pacific przysłał mu w zeszłym tygodniu moje dane. Wypełnia niektóre formularze Zespołu Specjalnego, ale nie wszystkie. Zadaje mnóstwo pytań.

Skończyła z praniem i usiadła na skraju łóżka.

– Gdy tak się rzuca, mam wrażenie, że właśnie zaczyna się poród.

Mitch pochylił się nad nią i położył rękę na jej wydatnym brzuchu. Oczy miał błyszczące i wielkie.

– Dzisiaj naprawdę się kręci.

– Jest szczęśliwa – powiedziała Kaye. – Wie, że tu jesteś. Zaśpiewaj jej.

Mitch spojrzał na nią, po czym zaczął nucić swoją wersję abecadła: „Ach, bach, ci, duch, ech, fuch, gach, hech, ich, juch, kuch, la much nuch, och puch...”.

Kaye się śmiała.

– To bardzo poważna piosenka – powiedział Mitch.

– Uwielbia ją.

– Ojciec mi ją śpiewał. Alfabet fonetyczny. Przygotuj ją na język angielski. Wiedz, że zacząłem czytać, mając cztery lata.

– Kopie w takt – powiedziała wniebowzięta Kaye.

– Wcale nie.

– Przysięgam, czuję to!

Właściwie polubiła małą przyczepę kempingową z jej podniszczonymi pomieszczeniami ze sklejki w kolorze jasnego dębu i starymi meblami. Grafiki matki zawiesiła w saloniku. Mieli dość jedzenia, a w nocy było wystarczająco ciepło, za gorąco w dzień, dlatego Kaye chodziła ćwiczyć z Sue do budynku zarządu, a Mitch spacerował po wzgórzach z komórką w kieszeni, niekiedy z Jackiem, albo w poczekalni lecznicy rozmawiał z innymi przyszłymi ojcami.

Mężczyźni lubili przebywać tam razem, a kobiety były z tego zadowolone. Kaye tęskniła za Mitchem, kiedy go nie miała obok, ale było wiele spraw do przemyślenia i przygotowania. Wieczorami był zawsze przy niej i nigdy nie czuła się bardziej szczęśliwa.

Wiedziała, że dziecko jest zdrowe. Wyczuwała to. Gdy Mitch skończył piosenkę, dotknęła maski wokół jego oczu. Nie wzdrygnął się, kiedy to zrobiła, choć czynił tak w pierwszym tygodniu. Ich maski stały się teraz dużo grubsze i łuszczyły się na krawędziach.

– Wiesz, czego chcę – powiedziała Kaye.

– Czego?

– Chciałabym wcisnąć się w jakąś ciemną norę, kiedy przyjdzie czas.

– Jak kotka?

– Właśnie.

– Mogę to sobie wyobrazić – powiedział Mitch życzliwie. – Żadnej nowoczesnej medycyny, brudna podłoga, dzicz i prostota.

– Skórzany knebel w ustach – dodała Kaye. – Tak właśnie rodziła matka Sue. Zanim mieli tę lecznicę.

– Mnie odebrał ojciec – powiedział Mitch. – Nasza półciążarówka wpadła do rowu. Mama wdrapała się na pakę. Nigdy nie pozwalała mu o tym zapomnieć.

– Słowem mi o tym nie wspomniała! – Zaśmiała się Kaye.

– Nazywa to „ciężkim porodem”.

– Niezbyt daleko odeszliśmy od starych czasów. – Kaye dotknęła brzucha. – Chyba uznała twoją piosenkę za kołysankę i śpi.

Następnego ranka, kiedy Kaye się obudziła, poczuła nabrzmiąły język. Wypchnęła się z łóżka, budząc Mitcha, i poszła do kuchni napić się pozbawionej smaku wody ze zbiornika. Ledwo mogła mówić.

– Miczcz! – Zawołała.

– Czo? – Spytał.

– Czhy czosz złałpaliszmy?

– Czo?

– Usiadła przy nim i pokazała język.

– Jeszt ochropny.

– Mój tesz – powiedział Mitch.

– Jach nasze czwarze.

Tylko jeden z czterech ojców mógł tego popołudnia mówić w poczekalni lecznicy. Jack stał przy przenośnej tablicy. Odhaczył dni dla wszystkich ich żon, potem usiadł i próbował rozmawiać z innymi, ale zebranie szybko się zakończyło. Kierownik lecznicy – oprócz

pediatry pracowali w niej czterej inni lekarze – zbadał ich wszystkich, ale nie potrafił postawić diagnozy. Nie wykrył żadnej infekcji.

Inne przyszłe matki też to miały.

Kaye i Sue zrobiły razem zakupy w sklepie Little Silver Market przy drodze prowadzącej do kawiarni Biscuit House. Inni klienci patrzyli na nie, ale nic nie mówili. Było mnóstwo zrządzenia wśród pracowników kasyna, ale jedynie stara Becky z plemienia Cayuse otwarcie wyraziła swe zdanie na zebraniu rady powierniczej.

Kaye i Sue zgodziły się, że to Sue urodzi pierwsza.

– Ne mogę sze doczekacz – powiedziała Sue. – Jack tesz.

Hrabstwo Kumash, wschodnia część stanu Waszyngton

Mitch był tam znowu. Na początku widział niewyraźnie, potem w całej okrutnej okazałości. Wszystkie jego wspomnienia o byciu Mitchem zostały starannie odłożone na bok, zupełnie jak w snach. Ostatnią rzeczą, jaką uczynił jako Mitch, było poczucie twarzy, ściągnięcie grubej maski, maski skrywającej nową i obrzmiałą skórę. Potem znowu był na łodzi i skale. Jego kobieta wrzeszczała i płakała, niemal zwijała się z bólu. Oddalił się biegiem, potem zawrócił i pomógł jej wstać, cały czas lamentując, piekło go gardło, ręce i nogi miał posiniaczone od bicia, szydzono z niego tam na jeziorze, w wiosce, i nienawidził ich, wyśmiewających się i wygwizdujących, gdy machali kijami i tak brzydko mówili.

Młody łowca, który pchnął kijem w brzuch jego kobietę, już nie żyje. Powalił go na ziemię, gdzie wił się i jęczał, potem stanął mu na karku, ale za późno, połała się krew, a jego kobieta została ranna. Szamani wrócili do tłumu i próbowali wypychać innych gardłowymi słowami, wzburzonymi, ciemnymi i śpiewnymi, nieprzypominającymi zupełnie płynnych jak woda ptasich treli, które potrafił teraz z siebie wydawać.

Zabrał swą kobietę do chaty i próbował pocieszać, ale zbyt mocno ją bolało.

Padał śnieg. Słyszał wrzaski, żałobne krzyki, i wiedział, że nadszedł

czas. Rodzina zmarłego łowcy ruszy na nich. Będzie musiała poprosić o pozwolenie starego Bykoczłeka. Stary Bykoczłek nigdy nie lubił zamaskowanych rodziców ani ich płaskolichy dzieci.

To koniec, zrzędził często stary Bykoczłek, płaskolichy przejmowali całą zwierzynę, co roku wypierając lud coraz dalej w góry, a teraz zdradzały ich własne kobiety, często rodząc płaskolice dzieci.

Wyniósł swą kobietę z chaty i przeszedł mostem z bali na brzeg, nasłuchując wezwań do zemsty. Goniącymi dowodził Bykoczłek. Zaczął się pościg.

Wykorzystywał kiedyś tę jaskinię do przechowywania jedzenia. Trudno było o zwierzynę, a grotta była chłodna, dlatego składał do niej dla swej kobiety królika i świstaka, żołądzie, dzikie trawy i myszy, gdy sam wyruszał na łowy. Inaczej mogłaby nie dostać dość do jedzenia z zapasów wioski. Inne kobiety z głodnymi dziećmi nie chciały się nią opiekować, kiedy urósł jej brzuch.

Nocami przynosił skrycie z jaskini do wioski drobną zwierzynę i karmił swą kobietę. Kochał ją tak mocno, że miał wielką ochotę wyc albo rzucić się na ziemię i jęczeć, nie mógł uwierzyć, że jest ciężko ranna, pomimo krwi, którą nasiąkły jej futra.

Znowu niósł swą kobietę, a ona patrzyła na niego, błagając wysokim, śpiewnym głosem, jak rzeka, która opływa skały, a nie rozbija się o nie; on też miał nowy głos. Oboje brzmiali teraz jak dzieci, a nie jak dorośli.

Ukrył się kiedyś blisko obozu łowieckiego płaskolichy i patrzył, jak śpiewają i tańczą wieczorem wokół wielkiego ogniska.

Ich głosy były wysokie i płynne, dziecięce. Może z żoną staną się płaskolichymi, pójdą zamieszkać z nimi, gdy urodzi się dziecko.

Niósł ją w miękkim, pylistym śniegu na nogach sztywnych jak kłody. Jakiś czas była cicho, spała. Gdy się obudziła, zawołała i próbowała skulić się w jego ramionach. W półmroku, gdy złocista

poświęta zalewała leżące wysoko pokryte śniegiem skały, spojrzął na nią i zobaczył, że starannie wygolone miejsca na skroniach i policzkach, których nie zakrywa maska, a także całe jej owłosienie wyglądają matowo i szaro, martwo. Pachniała jak zwierzę bliskie śmierci.

W górę skalnych tarasów śliskich od świeżego śniegu. Wzdłuż ośnieżonej grani, a potem w dół, ześlizgując się, potykając, zawsze z kobietą w ramionach. Na dole znowu wstał, obrócił się, aby się rozejrzeć po płaskich ścianach gór, nagle zaczął się zastanawiać, dlaczego wydają się takie znajome, jak coś, co ćwiczył po wielekroć z nauczycielami łowów w porze polowań na koziorożce.

Były to dobre czasy. Myślał o nich, niosąc kobietę na ostatnim odcinku.

Od dzieciństwa używał do polowań na króliki atlatlu, małego miotacza włóczni, ale nigdy nie pozwalano mu chodzić z dużym atlatlem na łosie i żubry, dopóki do wioski nie przybyli wędrowni nauczyciele łowów. Było to w roku, gdy bolały go jaja i we śnie tryskał nasieniem.

Potem wyruszył z ojcem, który jest teraz z ludem snów, i spotkali nauczycieli łowów. Byli to samotni, brzydcy mężczyźni, zaniedbani, pokryci bliznami, z kołtunami we włosach. Nie mieli wioski, nie mieli zasad regulujących wygląd, ale chodzili z miejsca na miejsce i organizowali ludzi, kiedy koziorożce, jelenie, łosie czy żubry gotowe były podzielić się swymi ciałami. Niektórzy mieli im za złe, że pewnego roku poszli do wiosek płaskolicych i uczyli ich, jak polować. Rzeczywiście, niektórzy nauczyciele łowów mogli być płaskolicymi, którzy skrywali swe rysy pod zmierzwionymi brodami i włosami. Któż ośmieliłby się sprawdzić? Nikt, nawet Bykoczłek. Gdy przychodzili, wszyscy byli dobrze najedzeni, a kobiety oskrobywały skóry, śmiały się, jadły podrażniające zioła i cały dzień piły wodę,

a potem wszystkie sikały do skórzanych kubłów, w których moczyły przeżute skóry. Polowanie na grubą zwierzynę bez obecności nauczycieli łowów było zakazane.

Dotarł do wylotu jaskini. Jego kobieta pojękiwała cicho, rytmicznie, gdy ją wniósł, złożył i wepchnął do środka. Obejrzał się za siebie. Śnieg pokrywał pozostawione przez nich kropelki krwi.

Wiedział, że koniec z nimi. Przykucnął, ledwo wciskając szerokie ramiona, i owinął ją łagodnie skórą, której używał do przykrywania mięsa, gdy zamarzało w jaskini. Wciągnął ją, a potem wepchnął w głąb grotu i wyszedł poszukać mchu i patyków pod nawisem, gdzie mogły być suche. Miał nadzieję, że nie umrze, zanim on wróci.

O Boże, daj mi się obudzić. Nie chcę na to patrzeć.

Znalazł dość patyków, aby wystarczyło na małe ognisko, i zaniósł je do jaskini, gdzie ułożył stosik i zaczął wiercić kijkiem, upewniwszy się najpierw, że kobieta tego nie widzi. Niecenie ognia było męskim zajęciem. Nadal spała. Potem zbyt osłabł, aby dalej wiercić kijkiem, a ciągle nie ukazywał się dym, wyjął więc krzemień i odłupał jego część. Długo, dopóki jego palce nie zdrętwiały i nie pokryły się skaleczeniami, uderzał o siebie kawałkami krzemienia nad mchem, w mchu, aż nagle Ptak Słońca otworzył oko i rozpostarł maleńkie, pomarańczowe skrzydełka. Dorzucił patyków.

Jego kobieta znowu jęknęła. Przekręciła się na plecy i swym wodnistym, skrzekliwym głosem kazała mu odejść. To zajęcie kobiece. Nie posłuchał, na co czasami pozwalała, i pomógł jej urodzić dziecko.

Było to dla niej bardzo bolesne i głośno krzyczała. Zastanawiał się, ile życia mogło w niej jeszcze zostać, skoro straciła tyle krwi, ale dziecko wyszło szybko.

Nie. Proszę, daj mi się obudzić.

Wziął dziecko i pokazał je kobiecie, ale jej oczy były płaskie, a włosy sztywne i suche. Dziecko nie ruszało się i nie płakało, chociaż

długo je masował.

Odłożył dziecko i walnął pięścią w skalną ścianę. Wrzeszczał ochryple i skulił się obok swej kobiety, która była teraz cicho, starała się ją ogrzewać, gdy dym wypełniał górę jaskini; żar zaczął szarzeć, a Ptak Słońca zwinął skrzydełka i zasnął.

Dziecko byłoby jego córką, najwspanialszym podarunkiem od Matki Snów. Nie wyglądało na mocno odmienne od innych dzieci w wiosce, choć miało mały nosek i wystającą bródkę. Pewnie wyrosłoby na płaskolicego. Próbował wpychać uschłą trawę w dziurę na potylicy główki dziecka. Pomyślał, że kij mógł w tym miejscu przebić dziewczynkę. Zdjął skórę ze swej szyi, najcieńszą i najbardziej miękką, owinał w nią dziecko i wepchnął je w najdalszy kąt jaskini.

Przypomniał sobie jęki niemego mężczyzny, gdy stanął na jego karku, ale niewiele to pomogło.

Wszystko przepadło. Jaskinie były właściwymi miejscami na pochówki od Czasów Snu, nim jeszcze przenieśli się do drewnianych wiosek i zaczęli żyć jak płaskolicy, choć wszyscy mówili, że to Lud wynalazł drewniane wioski. To stary sposób umierania i chowania zmarłych w głębi jaskiń, było więc dobrze. Ludzie snów znajdą dziecko i zabiorą je do siebie, do domu, w którym zamieszka tylko chwilowo, i może znowu szybko narodzi się ponownie.

Jego kobieta stawała się zimna jak skała. Ułożył jej ręce i nogi, wygładził zmierzwione futra i skóry, odsunął luźną maskę trzymającą się nadal jej brwi, zajrzał w puste i ślepe oczy. Nie miał sił na opłakiwanie.

Po chwili poczuł się dość ciepło, aby nie potrzebować skór.

Ściągnął je więc. Może jej też było ciepło. Zdjął skóry ze swej kobiety, aby leżała niemal naga, łatwiejsza do rozpoznania przez ludzi snów.

Miał nadzieję, że ludzie snów z jej rodziny porozumieją się

z ludźmi snów z jego własnej. Chciał być z nią także w miejscu snów. Może on i jego kobieta odnajdą tam dziecko. Wierzył, że ludzie snów są w stanie robić wiele dobrych rzeczy.

Może to, może tamto, może tyle innych rzeczy, lepszych rzeczy. Zrobiło mu się ciepłej.

Przez krótką chwilę nikogo nie nienawdził. Wpatrywał się w mrok skrywający twarz jego kobiety i szeptał krzemienne słowa, słowa przeciwko ciemności, jakby mógł wykrzesać następnego Ptaka Słońca. Jak to dobrze, że nie musiał się ruszać. Było ciepło.

Potem do jaskini wkroczył jego ojciec i zawołał go prawdziwym imieniem.

Mitch stał w bokserkach przed przyczepą i wpatrywał się w księżyc i gwiazdy nad Kumash. Cicho wydymuchał nos. Wczesny ranek był chłodny i spokojny. Pot na jego twarzy i ciele powoli wysychał, wywołując dygotanie. Dostał gęziej skórki. W krzakach, rosnących obok przyczepy, szeleściły przepiórki.

Kaye ze skrzypieniem i piskiem otworzyła siatkowe drzwi i wyszła w koszuli nocnej, aby stanąć obok niego.

– Zmarzniesz – powiedział i otoczył ją ramieniem. Obrzmienie języka zeszło w ostatnich dniach. Na jego lewej krawędzi pojawił się dziwny grzebień, ale mówiło się teraz łatwiej.

– Spoczęłaś się mocno w łóżku – stwierdziła. Była taka okrągła, tak odmienna od drobnej, szczupłej Kaye, której obraz przechowywał ciągle w głowie. Jej ciepło i zapach wypełniały powietrze jak opary znad gęstej zupy. – Śniłeś? – Spytała.

– Koszmary – odpowiedział. – To był chyba ostatni sen.

– Wszystkie są takie same?

– Każdy jest inny.

– Jack zechce poznać nawet najgorsze szczegóły.

– A ty nie?

– Cii, cii – odparła Kaye. – Jest niespokojna, Mitchu. Mów do niej.

**Hrabstwo Kumash,
wschodnia część stanu
Waszyngton
18 maja**

Skurcze następowały u Kaye regularnie. Mitch zadzwonił, aby się upewnić, że lecznica jest przygotowana, a doktor Chambers, pediatra, przyjedzie ze swego ceglanego domu w północnej części rezerwatu. Gdy Kaye chowała do torby ostatnie przyrządy toaletowe i układała nowe ciuchy, twierdząc, że chętnie je założy po wszystkim, Mitch zadzwonił jeszcze do doktor Galbreath, ale odezwała się automatyczna sekretarka. – Musi być w drodze – powiedział Mitch, odkładając komórkę.

Jeśli funkcjonariusze nie przepuszczą Galbreath przez posterunek kontrolny przy zjeździe z głównej szosy – rzeczywistość tej groźby wywoływała wściekłość Mitcha – Jack miał wysłać dwóch ludzi, którzy będą czekać na nią pięć mil dalej na południe i przesznują ją łożyskiem wyschłego potoku, biegnącym między niskimi wzgórzami.

Mitch wyciągnął pudełko i wyjął z niego mały cyfrowy aparat fotograficzny, którym kiedyś dokumentował przebieg wykopalisk.

Sprawdził, czy bateria jest naładowana.

Kaye stała w pokoju, podtrzymując brzuch i oddychając urywanie. Uśmiechnęła się, gdy do niej dołączył.

– Strasznie się boję – powiedziała.

– Dlaczego?

– Boże, pytasz dlaczego?

– Wszystko będzie dobrze – odparł Mitch, ale był blady jak płótno.

– To dlatego masz lodowate ręce – powiedziała Kaye. – Jest za wcześnie. Może to fałszywy alarm. – Potem śmiesznie chrząknęła i sięgnęła między nogi. – Chyba właśnie odeszły wody. Pójdę po ręczniki.

– Do diabła z cholernymi ręcznikami! – Krzyknął Mitch.

Pomógł jej dojść do toyoty. Kaye przypięła się pasami. Wszystko inaczej niż we śnie, pomyślał Mitch. Słowa te stały się dlań rodzajem modlitwy, powtarzał je ciągle.

– Żadnych wieści o Augustynie – powiedziała Kaye, gdy Mitch skręcił na drogę z płyt i rozpoczął dwumilową jazdę do lecznicy.

– A czemu miałyby być?

– Może spróbuje nas powstrzymać.

Mitch dziwnie na nią popatrzył.

– To równie zwariowane jak moje sny.

– Jest jak zły duch, Mitch. Boję się go.

– Też go nie lubię, ale nie jest potworem.

– Uważa nas za chorych – powiedziała Kaye. Po policzkach spływały jej łzy. Mitch się skrzywił.

– Znowu? – Zapytał.

Kiwnęła głową.

– W porządku. Co dwadzieścia minut. – Ujrzeni półciężarówkę Jacka wyjeżdżającą z East Ridge Road i zatrzymali się, aby porozmawiać przez otwarte okna. Sue była z Jackiem. Pojechali za nimi.

– Chciałam, aby Sue pomagała ci w przekazywaniu mi instrukcji – powiedziała Kaye. – Chciałam, aby była z nami. Jeśli ze mną pójdzie dobrze, będzie jej dużo łatwiej.

– Dla mnie jest dobrze – odparł Mitch. – Nie jestem specjalistą.
Kaye uśmiechnęła się i znowu skrzywiła.

Pokój numer jeden w Lecznicy Kumash przekształcono szybko w salę porodową. Umieszczono w niej łóżko szpitalne na kółkach i jasną, okrągłą lampę chirurgiczną na wysokim stalowym statywie.

Mary Hand, pulchna pielęgniarka w średnim wieku z wystającymi kośćmi policzkowymi, ustawiła tacę z przyrządami medycznymi i pomogła Kaye przebrać się w fartuch szpitalny. Anestezjolog, doktor Pound, młody, mizernie wyglądający mężczyzna o gęstych, czarnych włosach i płaskim nosie, przyszedł pół godziny po przygotowaniu sali i naradzał się z Chambersem, podczas gdy Mitch w zlewie kruszył lód w plastikowej torebce, a potem umieścił jego kawałki w miseczce.

– To już? – Spytała Kaye Chambersa, gdy ją zbadał.

– Jeszcze trochę – odpowiedział. – Rozwarcie ma cztery centymetry.

Sue wciągnęła się na krzesło. Przy jej wzroście ciąża była dużo mniej widoczna. Jack zawołał ją przez drzwi. Odwróciła się. Podał jej małą torbę, wbił ręce w kieszenie, kiwnął Mitchowi i wycofał się. Postawiła torbę na stoliku obok łóżka.

– Wstydzę się wchodzić tutaj – powiedziała do Kaye. – Uważa, że to sprawa kobiet.

Kaye uniosła głowę, aby zerknąć na torbę. Była ze skóry, związana rzemykami z paciorkami.

– Co masz w torbie?

– Różne rzeczy. Niektóre ładnie pachną. Inne nie.

– Jack jest znachorem?

– Boże, nie – odparła Sue. – Myślisz, że wyszłabym za znachora?
Zna jednak paru dobrych.

– Mitch i ja chcemy, aby poród był naturalny – powiedziała Kaye doktorowi Poundowi, gdy ten wtoczył stół na kółkach ze swymi

naczyniami, rurkami i strzykawkami.

– Oczywiście – odrzekł anestezjolog z uśmiechem. – Jestem tu na wszelki wypadek.

Chambers powiadomił Kaye i Mitcha, że kobieta mieszkająca pięć mil dalej ma rodzić. Nie będzie to dziecko SHEVY.

– Upiera się przy porodzie w domu. Mają gorącą wodę i wszystko. Wieczorem być może będę musiał tam pojechać. Powiedziała pani, że ma tu przybyć doktor Galbreath.

– Powinna być w drodze – potwierdził Mitch.

– Miejmy nadzieję, że zdąży. Dziecko jest ułożone główką w dół.

– Za kilka minut podłączymy urządzenie śledzące zdrowie płodu. Pani Lang, mamy wszystkie udogodnienia dużego szpitala.

Chambers wziął Mitcha na bok. Popatrzył na jego twarz, przyglądając się zarysowi maski skórnej.

– Urocza, prawda? – Zapytał Mitch nerwowo.

– Odebrałem czworo dzieci drugiego stadium SHEVY – odparł Chambers. – Na pewno zna pan zagrożenie, ale muszę wspomnieć o niektórych możliwych komplikacjach, abyśmy wszyscy byli na nie przygotowani.

Mitch przytakiwał, przytrzymując dygoczące ręce.

– Żadne nie urodziło się żywe. Dwoje wyglądało doskonale, bez żadnych widocznych zniekształceń, jedynie... Nie żyło. – Chambers patrzył na Mitcha z pewnym wyrzutem. – Nie lubię takich przypadków.

Mitch się zarumienił.

– Z nami jest inaczej.

– Ponadto matki mogą cierpieć na skutek szoku, jeśli podczas porodu dojdzie do komplikacji. Ma to coś wspólnego z sygnałami hormonalnymi wysyłanymi przez zaniepokojony płód SHEVY. Nikt nie wie dlaczego, ale tkanki dzieci są bardzo odmienne. Niektóre

kobiety źle na nie reagują. Jeśli tak się stanie, przeprowadzę cesarskie cięcie i jak najszybciej wydobędę noworodka. – Położył dłoń na ramieniu Mitcha. Pisał pager. – Tak na wszelki wypadek poświęcę dodatkową uwagę wydzielanym płynom i tkankom. Wszyscy będą w maskach nieprzepuszczających wirusów, nawet pan. Jesteśmy tu na nieodkrytym jeszcze lądzie, panie Rafelson. Proszę wybaczyć.

Sue karmiła Kaye lodem. Rozmawiały, stykając się głowami.

Wydawały się sobie zwierzać, Mitch wycofał się więc, a ponadto chciał zapanować nad trudnymi emocjami.

Wyszedł na korytarz. Jack siedział tam na krześle obok starego stolika do gry w karty, patrząc na stosik numerów „National Geographic”. W światłach fluorescencyjnych wszystko wydawało się niebieskie i chłodne.

– Wyglądasz na rozgniewanego – stwierdził Jack.

– Prawie już wypełnili świadectwo zgonu – odparł Mitch drżącym głosem.

– No. Sue i ja uznaliśmy, że może urodzimy w domu. Bez lekarzy.

– Według niego to niebezpieczne.

– Może i tak, ale już tak zrobiliśmy – powiedział Jack.

– Kiedy? – Spytał Mitch.

– Twoje sny – odparł Jack. – Mumie. Przed tysiącami lat.

Mitch usiadł na innym krześle i położył głowę na stoliku.

– Źle się wtedy skończyło.

– Opowiedz – poprosił Jack.

Mitch powiedział mu o ostatnim śnie. Jack słuchał uważnie.

– Był niedobry – stwierdził. – Nie opowiadaj go Sue.

– Powiedz coś pocieszającego – poprosił Mitch cierpko.

– Próbowałem mieć sny, które pomogłyby mi uzmysłwić sobie, co robić – odrzekł Jack. – Śniłem tylko o wielkich szpitalach i wielkich doktorach pokazujących Sue palcem. Świat białego człowieka staje na

drodze. Nic więc mi nie pomogło. – Jack drapał się po brwiach. – Nikt nie jest dość stary, aby wiedzieć, co robić. Mój lud od zawsze żyje na tej ziemi. Dziadek oznajmił mi jednak, że duchy nie mają nic do powiedzenia. Niczego nie pamiętają.

Mitch położył rękę na czasopismach. Jedno ześlizgnęło się i z plaśnięciem spadło na podłogę.

– To nie ma sensu, Jack.

* * *

Kaye położyła się na plecach i patrzyła, jak Chambers podłącza urządzenie śledzące stan płodu. Ciągły odgłos pracy i pulsowanie taśmy maszyny przy łóżku dawały jej uspokojenie, kolejne poziomy otuchy. Mitch wrócił z lodem na patyku i rozpakował go dla niej.

Oddała pusty kubek i z wdzięcznością przyjęła malinową, zimną słodycz.

– Żadnych wieści od Galbreath – oznajmił Mitch.

– Poradzimy sobie – odparła Kaye. – Pięć centymetrów i trzyma. Całe to zamieszanie dla zaledwie jednej matki.

– Ale jakiej matki. – Mitch zaczął masować jej rękę, usuwając z nich napięcie, a potem przeszedł do ramion.

– Matko wszystkich matek – szepnęła Kaye, gdy nadszedł następny skurcz. Przetrwiała go, trzymając goły patyk po lodach. – Jeszcze jeden – poprosiła z trudem.

Poznała już każdy cal sufitu. Ostrożnie wstała z łóżka i obesła pokój, trzymając się metalowego stojaka podtrzymującego sprzęt monitorujący. Spod jej koszuli biegły przewody. Czuła, że ma sztywne włosy, tłustą skórę, piekące oczy. Mitch podniósł wzrok znad czytanego numeru „National Geographic”, kiedy ledwo wtoczyła się do poczekalni. Otarła twarz i stanęła przy drzwiach.

– Czuję się dobrze – oznajmiła.

– Jeśli ci nie pomogę, chyba zwariuję – powiedział Mitch.

– Tego nie chcę – odparła Kaye. Usiadła na skraju łóżka i kilka razy głęboko odetchnęła. Chambers powiedział im, że wróci za godzinę. Mary Hand weszła w maseczkę, wyglądając jak supernowoczesny żołnierz przygotowany na atak gazowy, i kazała Kaye się położyć. Położna ją zbadała. Uśmiechnęła się błogo i Kaye pomyślała „Dobra, jestem gotowa”, ale ta pokręciła głową. – Ciągłe pięć centymetrów. Wszystko w porządku. Pani pierwsze dziecko. – Jej głos był stłumiony przez maseczkę.

Kaye znowu gapiła się w sufit i przetrzymywała skurcz. Mitch zachęcał ją do szybkich oddechów, aż przeszła fala. Plecy bolały ją strasznie. Przez pełną goryczy chwilę na koniec skurczu czuła się zapędzona w pułapkę i zła; zastanawiała się, jak będzie, jeśli wszystko pójdzie źle, jeśli umrze, jeśli dziecko urodzi się żywe, ale zostanie bez matki, jeśli Augustine ma rację i zarówno ona, jak i dziecko będą źródłami straszliwej choroby. Czemu nie ma potwierdzenia? Czemu nauka nie opowiada się po jednej bądź drugiej stronie? Uspokoiała siebie powolnym oddychaniem i usiłowała odpoczywać.

Kiedy znowu otworzyła oczy, Mitch drzemał na krześle stojącym przy łóżku. Zegar powiedział jej, że jest północ. Wiecznie pozostaną w tym pokoju.

Musiła znowu iść do łazienki.

– Mitch! – Zawołała. Nie zdołała go obudzić. Rozejrzała się za Mary Hand albo Sue, ale nie było ich w pokoju. Urządzenie monitorujące piszczało i przewijało taśmę. – Mitch!

Wzdrygnął się, wstał i zaspany pomógł jej przejść do łazienki.

Chciała opróżnić kiszki przed pojechaniem do lecznicy, ale ciało nie chciało współpracować i była tym zmartwiona. Czuła mieszaninę złości i zdumienia swoim obecnym stanem. Ciało przejmowało władzę, ale nie miała pewności, że wie, co ma robić. Jestem moim

ciałem. Umysł to złudzenie. Organizm jest zdezorientowany.

Mitch chodził po pokoju, popijając nędzną kawę z bufetu lecznicy. Chłodne niebieskie światła fluorescencyjne wryły się w jego pamięć. Miał wrażenie, że nigdy nie widział jasnego słońca. Okropnie swędziały go brwi. Pójść do jaskini. Zapaść w sen zimowy, aby urodziła, gdy będziemy spali. Tak robią niedźwiedzie. Ewolują, kiedy śpią. Lepszy sposób.

Sue przyszła zastąpić go przy Kaye, żeby mógł odpocząć. Wyszedł na zewnątrz i stanął pod czystym, rozgwieżdżonym niebem.

Nawet tutaj, gdzie mieszkało tak niewielu ludzi, oślepiały go światła uliczne, odcinając od bezmiaru wszechświata.

Boże, dotarłem tak daleko, ale nic się nie zmieniło. Mam żonę, zostanę ojcem, a nadal jestem bezrobotny, żyję na...

Przerwał ten tok myśli, pomachał rękoma, otrząsnął się ze spowodowanego kawą wzburzenia nerwów. Jego myśli biegły w najróżniejszych kierunkach, od pierwszego w życiu uprawiania seksu – martwił się, czy dziewczyna nie zajdzie w ciążę – poprzez rozmowy z dyrektorem Hayer Museum, zanim został wylany, do Jacka, usiłującego patrzeć na wszystko z indiańskiego punktu widzenia.

Mitch nigdy nie miał innego niż naukowy. Przez całe życie starał się być obiektywny, stawiać siebie poza nawiasem równania, widzieć wyraźnie, co odsłaniają jego wykopaliska. Skrawki swego życia wymieniał na przypuszczalnie niedokładne wejrzenia w życie martwych ludzi. Jack wierzył w krąg życia, z którego tak naprawdę nikt nie zostanie całkowicie wykluczony. Mitch nie był w stanie w to uwierzyć. Wolałby jednak, aby to Jack miał rację.

Powietrze ładnie pachniało. Chciałby przyprowadzić tu Kaye, aby mogła poczuć świeżość, ale potem przejechała półciężarówka, ciągnąc za sobą smród spalin i spalonego oleju.

Kaye podsypiała między skurczami, ale tylko po kilka minut. O drugiej w nocy rozwarcie nadal miało pięć centymetrów. Chambers przyszedł przed krótką drzemką, zbadał ją, obejrzał taśmę urządzenia monitorującego, uśmiechnął się uspokajająco. – Może wkrótce podamy trochę pitocyny. Przyspiesza poród. Nazywamy ją bardahlem dla dzieci – powiedział. Kaye nie wiedziała jednak, czym jest bardahl, i nie zrozumiała porównania.

Mary Hand wzięła jej rękę, przemyła ją alkoholem, znalazła żyłę i wbiła igłę, umocowała ją taśmą, przytwierdziła plastikową rurkę, na kolejnym stojaku zawiesiła butelkę z solą fizjologiczną. Małe fiołki z lekarami ustawiła na niebieskim arkuszu jednorazowego papieru wyściełającego stojącą obok łóżka stalową tackę.

Kaye normalnie nie znosiła zastrzyków i ukłuć igłą, ale ta obawa była niczym w porównaniu z pozostałymi. Mitch jakby się oddalał, chociaż stał tuż obok, masując jej kark, przynosząc ciągle lód. Spojrzała nań i zobaczyła nie męża, nie kochanka, ale po prostu mężczyznę, kolejną postać pojawiającą się na krócej lub dłużej w jej zgniecionym, skurczonym i bezkresnym życiu. Skrzywiła się, patrząc na jego plecy, gdy rozmawiał z pielęgniarką. Usiłowała się skupić i odnaleźć elementy uczuciowe, niezbędne, aby umieścić go w tej układance, ale gdzieś odpłynęła. Wyzwoliła się od wszelkich uczuć i obowiązków społecznych.

Kolejny skurcz.

– O kurde! – Zawołała.

Mary Hand zbadała ją i wstała z zatroskaną miną.

– Czy doktor Chambers powiedział, kiedy chce podać pitocynę?

Kaye pokręciła głową, niezdolna do odpowiedzi. Mary Hand wyszła poszukać Chambersa. Mitch został przy łóżku. Przyszła Sue i usiadła na krześle. Kaye zamknęła oczy i stwierdziła, że wszechświat w tym osobistym mroku jest taki mały, iż omal nie spanikowała. Chciała mieć

to już za sobą. Bóle menstruacyjne nie miały nigdy mocy tych skurczów. W połowie kolejnego odniosła wrażenie, że złamie sobie plecy.

Wiedziała, że ciało jest wszystkim, a duch niczym.

– Każdy rodzi się w ten sposób – powiedziała Sue Mitchowi. – Dobrze, że tu jesteś. Jack obiecał, że będzie przy mnie przy porodzie, ale to niezgodne z tradycją.

– Kobięce zajęcie – odparł Mitch. Fascynowała go maska Sue. Kobieta stała wyprostowana. Wysoka, z wydatnym brzuchem, ale zachowująca równowagę, wyglądała na kwintesencję silnej kobiecości. Pewna siebie, spokojna, filozoficzna.

Kaye jęknęła. Mitch pochylił się i pogładził ją po policzku. Leżała na boku, próbując znaleźć choć trochę wygodną pozycję.

– Boże, dajcie mi coś – powiedziała z nikłym uśmiechem.

– Co za poczucie humoru – stwierdził Mitch.

– Naprawdę chcę. Nie, nie chcę. Nie wiem, czego chcę. Gdzie Felicity?

– Jack będzie za kilka minut. Wysłał parę półciężarówek, ale nie ma od nich wieści.

– Potrzebuję Felicity. Nie wiem, co zamierza Chambers. Dajcie mi coś, aby się zaczęło.

Mitch czuł się żałośnie, bezradnie. Byli w rękach medycyny zachodniej – obecnej w Konfederacji Pięciu Plemion. Nie miał za grosz zaufania do Chambersa.

– Och, cholera, KURDE! – Ryknęła Kaye i przekręciła się na plecy. Twarz miała tak wykrzywioną, że Mitch nie mógł jej poznać.

Siódma rano. Kaye zmrużonymi oczyma patrzyła na zegar na ścianie. Przeszło dwanaście godzin. Nie pamiętała, kiedy przyjechali. Czy było wtedy popołudnie? Tak. Przeszło dwanaście godzin. Ciągle nic. Matka powiedziała jej, kiedy była jeszcze małą dziewczynką, że

rodziła ją ponad trzydzieści godzin. Dla ciebie, Matko. Boże, chciałabym mieć cię tutaj.

Sue nie było w pokoju. Był Mitch, masujący jej jedno, potem drugie ramię. Czuła dalekie przywiązanie do Mitcha, ale wątpiła poważnie, aby kiedykolwiek jeszcze poszła z nim do łóżka. Skąd w ogóle takie myśli. Kaye czuła się olbrzymim balonem, który zaraz pęknie. Musiała siusiu i zamiar przeszedł w czyn, czym się w ogóle nie przejęła. Przyszła Mary Hand, wymieniła przesiąkniętą papierową podpaskę.

Wszedł doktor Chambers i polecił Mary zacząć podawanie pitocyny. Ta umieściła fiolkę we właściwym zbiorniku i sprawdziła automat podający odpowiednie dawki. Kaye ogromnie się tym zainteresowała. Bardahl dla dzieci. Niewyraźnie pamiętała listę peptydów i glikoprotein, które Judith wykryła w wielkim zespole białkowym. Złe wieści dla kobiet. Możliwe.

Możliwe.

Wszechświat składał się wyłącznie z bólu. Kaye tkwiła na jego szczycie niby małeńka, odurzona muszka na ogromnej piłce. Niewyraźnie słyszała krzątającego się przy niej anestezjologa. Słyszała Mitcha rozmawiającego z lekarzem. Mary Hand była w pokoju.

Chambers powiedział coś zupełnie bez znaczenia, coś o przechowywaniu krwi pępowinowej albo dla potrzeb przyszłych transfuzji, jeśli niemowlę będzie ich wymagać, albo dla potrzeb nauki: krwi z pępowiny, bogatej w komórki macierzyste.

– Zrób to – powiedziała Kaye.

– Co? – Rzucił Mitch. Chambers zapytał ją, czy chce znieczulenia zewnątrzoponowego.

– Boże, tak – odparła Kaye, bez najmniejszego poczucia winy, że już teraz nie wytrzymuje.

Przewrócili ją na bok.

– Proszę się nie ruszać – powiedział anestezjolog, jakże on się

nazywał. Nie mogła sobie przypomnieć. Pojawiała się przed nią twarz Sue.

- Jack mówi, że ją sprowadzają.
- Kogo? – Zapytała Kaye.
- Doktor Galbreath.
- Dobrze. – Kaye pomyślała, że Galbreath się nią zajmie.
- Nie chcieli jej przepuścić przez posterunki kontrolne.
- Dranie – powiedział Mitch.
- Dranie – powtórzyła Kaye.

Poczuła ukłucie w plecy. Kolejny skurcz. Zaczęła drżeć. Anestezjolog zaklął i przeprosił.

– Pudło. Nie wolno się pani ruszać. – Bolały ją plecy. Nic w tym nowego. Mitch położył jej na czoło zimną szmatkę. Nowoczesna medycyna. Miała dość nowoczesnej medycyny.

– O rany.

Gdzieś poza sferą świadomości słyszała głosy, jakby śpiewy odległych aniołów.

– Felicity jest tutaj – powiedział Mitch, a jego twarz, pochyloną tuż nad nią, rozjaśniła ulga. Doktorzy Galbreath i Chambers wiedli jakiś spór, do którego wtrącał się też anestezjolog.

– Bez znieczulenia zewnątrzoponowego – powiedziała Galbreath. – Zabierzcie jej pitocynę, już. Jak długo ją podajecie? Ile?

Kiedy Chambers patrzył na ekran i odczytywał liczby, Mary Hand robiła coś z rurkami. Urządzenie świszczało. Kaye spojrzała na zegar. Siódma trzydzieści. Co to znaczy? Czas. A tak.

– Uczyni to własnymi siłami – oznajmiła Galbreath. Chambers odpowiadał jej z irytacją; ostre, choć spokojne słowa padały spoza jego okropnej maseczki, ale Kaye ich nie słuchała.

Odebrali jej lekarstwa.

Felicity pochyliła się nad Kaye i weszła w zasięg wzroku. Nie nosiła

maseczki. Włączono wielkie lampy chirurgiczne, a ona ewidentnie nie nosiła maseczki, niech będzie błogosławiona.

– Dziękuję ci – powiedziała Kaye.

– Może zaraz przestaniesz mi dziękować, kochana – odparła Felicity. – Jeśli chcesz tego dziecka, nie możesz brać już żadnych lekarstw. Żadnej pitocyny, żadnych środków przeciwbólowych. Cieszę się, że zdążyłam. Zabijają je, Kaye. Rozumiesz?

Kaye się skrzywiła.

– Jedna cholerna zniewaga po drugiej, co, kochana? Te nowe dzieci są takie delikatne.

Chambers skarżył się, że się tak wtrąca, ale Kaye usłyszała głosy sprzeciwu Jacka i Mitcha – cichnące, najwyraźniej wyprowadzili go z pokoju. Mary Hand czekała na polecenia Galbreath.

– CDC czasami się przydaje, kochana – powiedziała Felicity. – Przysyłają mi specjalne biuletyny opisujące żywe narodziny. Bez lekarstw, a zwłaszcza bez znieczulenia. Wykluczona jest nawet aspiryna. Te dzieci jej nie przetrzymują. – Krzątała się przez chwilę między nogami Kaye. – Nacięcie krocza – powiedziała do Mary. – Nie takie małe. Trzymaj się, moja droga. Zboli, jakbyś znowu traciła dziewictwo. Mitch, wiesz, co to znaczy.

Parcie do dziesięciu. Wydech. Odpuszczanie, wdech, parcie do dziesięciu. Ciało Kaye było jak te konie, które wiedzą, dokąd iść, ale lubią być lekko prowadzone. Mitch masował mocno, stojąc przy niej. Ścisnęła jego dłoń, potem rękę, aż się skrzywił. Opuściła, parcie do dziesięciu. Wydech.

– W porządku. Widać główkę. Oto ona. Boże, tyle to trwało, droga była taka długa i dziwaczna, co? Mary, jest pępowina. Mamy kłopot. Trochę ciemna. Jeszcze trochę, Kaye. Zrób to, kochana. Zrób teraz.

Zrobiła i coś wyzwoliła, potężne pchnięcie, pestka dyni między zaciśniętymi palcami, wybuch bólu, ulga, znowu ból, cierpienie.

Drżały jej nogi. Miała zakwasy w łydkach, ale ledwo je zauważała. Poczowała nagły napływ szczęścia, upragnioną pustkę, potem pchnięcie jakby nożem w kość ogonową.

– Jest tutaj, Kaye. Żyje.

Kaye usłyszała ciche łkanie, odgłos ssania, coś przypominającego melodyjne gwizdanie.

Felicity podniosła dziecko, różowe i zakrwawione, pępowina dyndała między nogami Kaye, która spojrzała na córkę i przez chwilę nie czuła nic, a potem coś wielkiego i pierzastego, olbrzymiego, musnęło jej duszę.

Mary Hand położyła niemowlę na niebieskim kocyku przykrywającym brzuch matki i wycierała je szybkimi ruchami.

Mitch patrzył na krew, na noworodka.

Wrócił Chambers, nadal nosił maseczkę, ale Mitch nie zwracał na niego uwagi. Skupiał się wyłącznie na Kaye i dziecku, tak maleńkim, przebijającym nóżkami i rączkami. Po policzkach Mitcha spływały łzy wyczerpania i ulgi. Gardło miał tak zaciśnięte i pełne, że aż go bolało. Waliło mu serce. Objął Kaye i ta ze zdumiewającą siłą odpowiedziała tym samym.

– Nie wkraplaj jej niczego do oczu – nauczyła Mary Felicity.

– To zupełnie nowa sytuacja.

Mary kiwała z zapalem osłoniętą maseczką głową.

– Łóżysko – powiedziała Felicity. Mary podstawiła stalową miseczkę.

Kaye nigdy nie miała pewności, czy będzie dobrą matką. Teraz zupełnie się tym nie martwiła. Patrząc, jak kładą noworodka na wadze, pomyślała: „Nie przypatrzyłam się dobrze jej twarzy. Cała jest pomarszczona”.

Trzymająca piekący tampon przesycony alkoholem i wielką chirurgiczną igłą do szycia Felicity pochyliła się między nogami Kaye,

której bardzo się to nie podobało, ale jedynie zamknęła oczy.

Mary Hand dokonała różnych drobnych badań, zakończyła mycie noworodka, zaś Chambers pobrał krew pępowinową. Felicity pokazała Mitchowi, gdzie ma przeciąć pępowinę, a potem przyniosła dziecko do Kaye. Mary pomogła jej podciągnąć koszulę powyżej nabrzmiąłych piersi i uniosła niemowlę.

– Czy mogę karmić piersią? – Zapytała Kaye; jej głos był właściwie jedynie ochryplym szeptem.

– Gdybyś nie mogła, wielki eksperyment zakończyłby się klapą – odparła Felicity z uśmiechem. – No spróbuj, kochaniutka.

– Masz coś, czego ona potrzebuje.

Pokazała Kaye, jak pogłodzić policzek dziecka. Małeńka różowa buzia otworzyła się i przypięła do wielkiego, brązowego sutka. Mitch rozdziawił usta. Kaye chciało się śmiać na widok jego miny, ale skupiła się znowu na twarzyczce, nie mogła się doczekać ujrzenia córeczki. Sue stanęła obok, obdarzając matkę i dziecko cichymi, kojącymi dźwiękami.

Mitch patrzył na dziewczynkę ssącą pierś Kaye. Czuł niezmiernie błogi spokój. Już po wszystkim; to dopiero początek. W każdym razie to naprawdę coś, na czym mógł się teraz skupiać, miał punkt odniesienia.

Twarzyczka dziecka była czerwona i pomarszczona, za to włosy gęste, delikatne i jedwabiste, brązowe z rudawym odcieniem. Oczka miało zamknięte, powieki zaciśnięte w trosce i skupieniu.

– Dziewięć funtów – oznajmiła Mary. – Osiem punktów w skali Apgar. Dobra, mocna Apgar. – Zdjęła maseczkę.

– O Boże, jest tutaj – powiedziała Sue i przytknęła dłoń do ust, jakby nagle to sobie uświadomiła. Mitch obdarzył ją głupawym uśmiechem, po czym usiadł przy Kaye i dziecku i położył podbródek na ramieniu żony, trzymając twarz zaledwie kilka cali od swej

córeczki.

Felicity skończyła mycie. Chambers polecił Mary umieścić wszystkie tkaniny i sprzęty jednorazowe w specjalnej szczelnej torbie, aby je spalić. Pielęgniarka uczyniła to posłusznie.

– Jest cudowna – powiedział Mitch.

Dziewczynka próbowała odwrócić główkę na dźwięk jego głosu, otworzyła oczka, starała się go zobaczyć.

– Twój tatuś – przedstawiła go Kaye. Gęsta, żółta siara spływa z jej sutka. Dziewczynka opuściła główkę i przyssała się znowu po lekkim pchnięciu palcem matki. – Uniosła głowę – powiedziała Kaye ze zdumieniem.

– Jest piękna – stwierdziła Sue. – Gratulacje.

Felicity chwilę rozmawiała z Sue, zaś Kaye, Mitch i niemowlę wypełniali plamę słonecznego blasku rzucaną przez lampę chirurgiczną.

– Jest tu – powiedziała Kaye.

– Jest tu – potwierdził Mitch.

– Zrobiliśmy to.

– Ty na pewno – odparł Mitch.

– Ich córeczka znowu uniosła główkę i otworzyła oczy, tym razem szeroko.

– Proszę spojrzeć – powiedział Chambers. Felicity pochyliła się, niemal zderzając się głową z Sue.

Mitch zafascynowany przyjął spojrzenie swej córeczki. Miała jasnobrązowe źrenice nakrapiane złotem. Pochylił się.

– Jestem tutaj – powiedział do dziecka.

Kaye ponownie pokazała dziecku sutek, ale niemowlę nie chciało ssać; kiwało główką ze zdumiewającą siłą.

– Hej, Mitch – powiedziała jego córeczka. Miała głosik jak miauczenie kotka; wydała ledwo słyszalne, ale bardzo wyraźne

piśnięcie.

Włosy stanęły mu dęba na karku. Felicity Galbreath otworzyła usta i cofnęła się, jakby użadlona.

Mitch odepchnął się od brzegu łóżka i wstał. Cały drżał. Niemowlę leżące na piersiach Kaye było przez chwilę ponad jego siły; było czymś nie tyle nieoczekiwanym, co niewłaściwym. Pragnął uciec. Mimo to nie potrafił oderwać oczu od dziewczynki. Oblewał się potem. Maleńka twarzą wykrzywiła się jakby w wysiłku. Niemowlę usiłowało znowu coś powiedzieć, wydymało i wykręcało w bok maleńką, różową buzię. Żółta bańka mleka pojawiła się w kąciku ust. Drobnutkie, płowe jak sierść lwa piegi wykwitły na policzkach i brwiach.

Dziewczynka przekręciła główkę i spojrzała na twarz Kaye.

Zmarszczka namysłu pojawiła się między oczkami.

Mitch Rafelson wyciągnął wielką, kościstą dłoń i pokryte odciskami palce, aby dotknąć córeczki. Pochylił się, ucałował Kaye, potem niemowlę; z wielką ostrożnością pogładził jego skroń. Naciskiem kciuka znowu nakierował różowe usteczka na bogaty w pokarm sutek. Dziecko westchnęło – cichutki, świszczący dźwięk – i zwinęło się, przywierając do piersi matki i ssąc chciwie. Rączki zagięły doskonale, złotobrazowe paluszki.

* * *

Mitch zadzwonił do Sama i Abby w Oregonie i przekazał im dobre wiadomości. Ledwo był w stanie skupić się na ich słowach; drżącym głósie ojca, przenikliwym pisku radości i ulgi matki. Rozmawiali chwilę, a potem oznajmił im, że ledwo stoi na nogach. – Potrzebujemy snu – powiedział.

Kaye i dziecko już prawie spali. Chambers powiedział mu, że zostaną tutaj jeszcze dwa dni. Mitch poprosił o przyniesienie do

pokoju leżanki, ale Felicity i Sue przetłumaczyły mu, że wszystko będzie dobrze.

– Jedź do domu i odpocznij – powiedziała Sue. – Nic jej nie będzie.

Mitch niepewnie przestępował z nogi na nogę.

– Czy zadzwonią, jeśli coś się stanie?

– Zadzwonimy – obiecała Mary Hand, przechodząca obok z torbą z rzeczami.

– Poproszę dwóch przyjaciół, aby cały dzień stali przed lecznicą – dodał Jack.

– Potrzebuję miejsca na nocleg – powiedziała Felicity. – Chcę obejrzeć matkę i córkę jutro.

– Zostań w naszym domu – zaprosił ją Jack.

Na chwiejnych nogach Mitch wyszedł z nimi z lecznicy i wsiadł do toyoty.

W przyczepie kempingowej przespał popołudnie i wieczór. Obudził się o zmierzchu. Ukląkł na łożku, wyglądając przez szerokie okno na zarośla, piaski i odległe wzgórza.

Potem wziął prysznic, ogolił się, ubrał. Poszukał zapomnianych rzeczy, które mogłyby się przydać Kaye i niemowlęciu.

Spojrzał na siebie w lustrze w łazience.

Płakał.

Poszedł samotnie do lecznicy w ślicznym zachodzie słońca.

Powietrze było czyste, przejrzyste, pełne woni szałwi, trawy, kurzu i wody z płytkiego strumyka. Minał dom, przy którym czterej mężczyźni wyjmowali silnik ze starego forda, pomagając sobie dębowym drągiem i podnośnikiem łańcuchowym. Kiwnęli mu głowami i szybko odwrócili wzrok. Wiedzieli, kim jest; wiedzieli, co się stało. Nie podobał się im ani on, ani wydarzenie. Przyspieszył kroku. Swędziły go brwi, a teraz i policzki. Maska była bardzo luźna. Wkrótce odpadnie. Czuł język dotykający policzków od środka. Był

jakiś inny. Cała głowa była jakaś inna.

Nade wszystko pragnął ujrzeć znowu Kaye i dziecko, dziewczynkę, córeczkę, aby się upewnić, że wszystko to stało się naprawdę.

Arlington, stan Wirginia

Wesele zajmowało znaczną część półakrowego podwórka z tyłu. Dzień był ciepły i mglisty, przejaśnienia z blaskiem słońca przeplatały się z zachmurzeniami. Mark Augustine czterdzieści minut stał obok panny młodej, uśmiechając się, ściskając ręce, uprzejmie obejmując składających życzenia, stojących w długiej kolejce gości. Senatorzy i kongresmani podchodzili bez kolejki i uprzejmie rozmawiali. Mężczyźni i kobiety w jednakowej, czarno-białej liberii roznosili tace z szampanem i kanapkami po przystrzyżonych jak na polu golfowym trawnikach. Augustine patrzył na swą oblubienicę z przylepionym uśmiechem; wiedział, co czuje w środku – miłość, ulgę i spełnienie, wszystko lekko wychłodzone. Twarz, jaką ukazywał gościom i nielicznym reporterom, którzy wygrali szczęśliwe losy w loterii urządzonej dla dziennikarzy, była spokojna, serdecznie kochająca, pełna oddania. Coś zajmowało mu myśli przez cały dzień, zawsze, nawet podczas uroczystości ślubnej. Sknocił proste słowa przysięgi małżeńskiej, wywołując lekki śmiech w przednich rzędach kaplicy.

Dzieci rodziły się żywe. W objętych kwarantanną szpitalach, w wyznaczonych klinikach Zespołu Specjalnego, a nawet w domach prywatnych przychodziły na świat nowe dzieci.

Przelotnie przyszła mu do głowy możliwość, że się mylił; lekko go niepokoiła, dopóki nie usłyszał, że urodziło się żywe dziecko Kaye Lang, odebrane przez lekarza pracującego według wskazówek

postępowania w wyjątkowych przypadkach, wydanych przez Centers for Disease Control, ten sam zespół badań epidemiologicznych, który ustanowiono na jego polecenie. Specjalne procedury, specjalne środki ostrożności; noworodki były odmienne.

Jak dotąd w klinikach samotne matki lub rodzice, których nie wyśledził Zespół Specjalny, zostawili dwadzieścioro czworo niemowląt SHEVY.

Anonimowe, żywe podrzutki, teraz pod jego opieką.

Kolejka składających życzenia dobiegła końca. Z bolącymi stopami w ciasnych lakierkach uściśnął pannę młodą, szepnął jej coś do ucha, a potem skinął na Florence Leighton, aby dołączyła do niego w głównym budynku.

– Co przysłały nam Allergy and Infectious Diseases? – Zapytał. Pani Leighton otworzyła aktówkę, którą nosiła cały dzień, i wręczyła mu świeży faks.

– Czekałam na okazję – powiedziała. – Wcześniej zadzwonił prezydent, złożył najlepsze życzenia, zaprasza cię wieczorem do Białego Domu, najszybciej, jak tylko zdołasz.

Augustine przeczytał faks.

– Kaye Lang urodziła – powiadomił ją z podniesionymi brwiami.

– Tak słyszałam – odparła pani Leighton. Jej mina była profesjonalna, wyczekująca; niczego nie zdradzała.

– Powinniśmy wysłać jej gratulacje – powiedział Augustine.

Dopilnuję tego.

Augustine pokręcił głową.

– Nie, nie musisz. Nadal mamy obowiązki do spełnienia.

– Tak jest, dyrektorze.

– Powiedz prezydentowi, że będę o ósmej.

– Co z Alyson? – Spytała pani Leighton.

– Czyż nie wyszła za mnie? – Odparł Augustine. – Wiedziała, w co

się pakuje.

Hrabstwo Kumash, wschodnia część stanu Waszyngton

Mitch trzymał Kaye pod rękę, gdy ta chodziła od ściany do ściany pokoju. – Jak zamierzasz na nią wołać? – Zapytała Felicity. Siedziała na jedynym krześle z błękitnego winylu, kołysząc łagodnie w ramionach śpiące dziecko.

Kaye spojrzała wyczekująco na Mitcha. Wybór imienia dziecka czynił ją bezbronną i onieśmieloną, jakby to prawo nie było przynależne nawet matkom.

– Wykonałaś większość roboty – powiedział Mitch z uśmiechem. – Masz pierwszeństwo.

– Musimy być zgodni – zauważyła Kaye.

– Spróbuj.

– Jest nowym rodzajem gwiazdy – powiedziała Kaye. Nogi miała nadal jak z waty. Brzuch wydawał się jej oklapły i rozciągnięty, ból między nogami sprawiał czasami, że czuła się nie najlepiej, ale szybko dochodziła do siebie. Usiadła na skraju łóżka.

– Babcia miała na imię Stella. Oznacza to gwiazdę. Pomyślałam, że nazwiemy ją Stella Nova.

Mitch wziął niemowlę od Felicity.

– Stella Nova – powtórzył.

– Brzmi śmiało – powiedziała Felicity. – Podoba mi się.

– To jej imię – oświadczył Mitch, podnosząc dziecko do twarzy.

Powąchał czubek główki, wilgotne, mocne ciepło włosów. Pachniało matką i czymś jeszcze. Wyczuwał kaskady uczuć padające wewnątrz niby staczające się głązy, tworzące mocną podwalinę.

– Przyciąga twą uwagę nawet, gdy śpi – zauważyła Kaye. Na wpół świadomie sięgnęła do swej twarzy i zdjęła dyndający kawałek maski, odsłaniając świeżą skórę, różową i miękką, z jaśniejącymi plamkami melanoforów.

Felicity podeszła i pochyliła się, aby dokładniej obejrzeć Kaye.

– Nie wierzę, że to widzę – powiedziała. – Powinnam się czuć zaszczycona.

Stella otworzyła oczka i zadrżała, jakby przestraszona. Zwróciła na ojca długie i zdumione spojrzenie, po czym zaczęła płakać.

Jej płacz był głośny i niepokojący. Mitch szybko przekazał Stellę Kaye, która odchyliła szlafrok. Niemowlę przyssało się i przestało płakać. Kaye znowu napawała się cudem spływającego z niej mleka, zmysłowym urokiem dziecka przy piersi. Oczy niemowlęcia przyglądały się matce, a potem Stella odwróciła główkę, ciągnąc za sobą sutek, i rozejrzała się po pokoju, patrząc na Felicity i Mitcha. Na widok płowych, nakrapianych złotem oczek Mitch rozplątywał się w środku.

– Jakże rozwinięta – stwierdziła Felicity. – Oczaruje każdego.

– A czego się spodziewałaś? – Spytała Kaye cicho. Jej głos lekko świergotał. Trochę wstrząśnięty Mitch rozpoznał u matki niektóre z dźwięków wydawanych przez córkę.

Stella Nova cichutko szczebiotała przy ssaniu jak śliczny ptaszek. Śpiewała przy karmieniu, okazując swe zadowolenie, radość.

Język Mitcha wysunął się z ust w wyrazie niegasnącej sympatii.

– Jak to robi? – Zapytał.

– Nie wiem – odparła Kaye. I było jasne, że w tej chwili zupełnie się tym nie przejmowała.

– Pod pewnymi względami jest jak niemowlę sześciomiesięczne powiedziała Felicity Mitchowi, kiedy prznosił torby z toyoty do przyczepy mieszkalnej. – Wydaje się zdolna do skupiania wzroku, rozpoznawania twarzy... Głosów... – Mruczała do siebie, jakby pomijając jedyną rzecz, która naprawdę odróżniała Stellę od innych noworodków.

– Więcej się nie odezwała – stwierdził Mitch.

Felicity przytrzymała dla niego drzwi z siatki.

– Może się przestęszeliśmy – powiedziała.

Kaye położyła śpiące dziecko w łóżeczku stojącym w narożniku salonu. Przykryła Stellę lekkim kocykiem i wyprostowała się z cichym jękiem.

– Słyszeliśmy dobrze – zapewniła. Podeszła do Mitcha i oderwała z jego twarzy skrawek maski.

– Au – stwierdził. – Jeszcze za wcześnie.

– Słuchaj – powiedziała Kaye, nagle stając się znowu naukowcem. – Mamy melanofory. Ona ma melanofory. Większość nowych rodziców, jeśli nie wszyscy, je dostaje. A nasze języki... Łączą się z czymś nowym w naszych głowach. – Klepnęła się po skroni. – Zostaliśmy wyposażeni, aby jej dorównywać, czy prawie dorównywać.

Felicity wydawała się oszołomiona tym rzeczowym tonem nowej matki. Przyglądała się Kaye Lang, która z uśmiechem odwzajemniała to spojrzenie.

– Nie spędziłam ciąży jak krowa – powiedziała Kaye. – Sądząc po tych nowych narzędziach, nasza córeczka będzie pewnie bardzo trudnym dzieckiem.

– Jak to? – Zapytała Felicity.

– Pod pewnymi względami zostawi nas daleko w tyle.

– Może pod wszystkimi – zauważył Mitch.

– Chyba nie do końca – powiedziała Felicity. – Przynajmniej na razie jeszcze nie biega. Barwa skóry – melanofory, jak je nazywasz – może być.. – Machnęła ręką, niezdolna dokończyć swą myśl.

– To nie tylko barwa – stwierdził Mitch. – Wyczuwam je.

– Ja też – potwierdziła Kaye. – Zmieniają się. Przypomina mi się ta biedna dziewczyna. – Spojrzała na Mitcha. Ten kiwnął głową, a potem opowiedział Felicity o spotkaniu z nastolatkami w Wirginii Zachodniej.

– Gdybym była w Zespole Specjalnym, zakładałabym poradnię psychiatryczne dla rodziców, którym urodziły się nowe dzieci – powiedziała Kaye. – Mogą się pojawiać nowe rodzaje rozpacz.

– Wszyscy wystrojeni, a nie ma z kim pogadać – rzucił Mitch.

Felicity zaczerpnęła głęboki oddech i przyłożyła dłonie do czoła.

– Jestem pediatrą od dwudziestu dwóch lat – powiedziała.

– Teraz mam wrażenie, że powinnam zrezygnować i zaszyć się gdzieś głęboko w lesie.

– Daj biedaczce szklankę wody – poleciła Kaye. – A może wolisz wino? Mam ochotę na lampkę wina, Mitch. Nie piłam od ponad roku. – Zwróciła się do Felicity. – Czy biuletyn zakazuje alkoholu?

– Ani słowem. Poproszę wino i dla mnie – odparła Felicity.

Kaye w kuchence zbliżyła twarz do Mitcha. Patrzyła nań z napięciem; jej wzrok na chwilę stracił ostrość. Policzki pulsowały bladą żółcią i złotem.

– Jezu – powiedział Mitch.

– Zdejmij tę maskę – nakazała Kaye – i będziemy naprawdę gotowi coś sobie nawzajem pokazać.

**Hrabstwo Kumash,
wschodnia część stanu
Waszyngton
Czerwiec**

– Nazwijmy to przyjęciem Nowego Wspaniałego Gatunku – powiedział Wendell Packer, gdy wszedł przez drzwi z siatki i wręczył Kaye bukiet róż. Za nim pojawił się Oliver Merton z pudełkiem czekoladek Godiva i szerokim uśmiechem. Rozejrzał się z ciekawością po wnętrzu przyczepy mieszkalnej. – Gdzie maleńkie чудо?

– Śpi – powiedziała Kaye, odwzajemniając jego uścisk. – Kto tam jeszcze jest? – Zawołała zachwycona.

– Przeszmuglowaliśmy Wendella, Olivera i Marię – odparła Eileen Ripper. – A oto mamy...

Wyciągnęła ręce w stronę zakurzonej starej furgonetki, stojącej na żwirowym podjeździe pod samotnym dębem. Christopher Dicken z pewnym trudem gramolił się z miejsca pasażera na pierwszej kanapie. Miał sztywne nogi. Wziął od Marii Konig parę kul i obrócił się w stronę przyczepy. Zdrowym okiem spojrzał na Kaye, która przez chwilę pomyślała, że zaraz się rozpłacze. Gdy jednak uniósł kulę i pomachał jej, uśmiechnęła się.

– Trochę mnie wytrzęsło! – Zawołał Dicken.

Kaye pobiegła, mijając Mitcha, i mocno uścisnęła Christophera. Eileen i Mitch stali obok siebie.

– Starzy przyjaciele? – Spytała Eileen.

– Przymuszczalnie bratnie dusze – odparł Mitch. Jego też cieszył widok Christophera, ale nie mógł się powstrzymać przed lekkim ukłuciem męskiej zazdrości.

Salonik był za mały, aby pomieścić ich wszystkich, więc Wendell opierał rękę na szafce w korytarzu i patrzył stamtąd na pozostałych. Maria i Oliver siedzieli razem na kanapie pod szerokim oknem. Christopher zajął błękitne winylowe krzesło, a Eileen przycupnęła na jego poręczy. Mitch wszedł z kuchni, trzymając w każdej ręce pęk kieliszków na wino, a pod obiema pachami po butelce szampana. Oliver pomógł ustawić naczynia na okrągłym stole przed kanapą i ostrożnie odkorkował butelki.

– Z lotniska? – Zapytał Mitch.

– W Portland. Mają dość marny wybór – odparł Oliver.

Kaye przyniosła Stellę Nową w różowym nosidełku i położyła ją na małym, porysowanym stoliku do kawy. Niemowlę się obudziło. Wodziło ospale oczkami po pokoju; puściło banieczkę śliny. Lekko kiwało główką. Kaye nachyliła się, aby poprawić śpioszki.

Christopher patrzył na nią jak na ducha.

– Kaye... – Zaczął; głos mu się łamał.

– Nie trzeba – powiedziała Kaye, po czym dotknęła jego pokrytej czerwonymi szramami ręki.

– Trzeba. Czuję, że nie zasługuję na bycie tutaj z tobą i Mitchem, z nią.

– Ciii – uciszyła go Kaye. – Byłeś z nami od początku.

Christopher się uśmiechnął.

– Dziękuję ci.

– Ile ma? – Szepnęła Eileen.

– Trzy tygodnie – odparła Kaye.

Maria odważyła się pierwsza i pogładziła rączkę Stelli palcem.

Paluszki dziecka zacisnęły się na nim i lekko pociągnęły. Stella się uśmiechała.

– Zachowała ten odruch – powiedział Oliver.

– Och, zamknij się – nakazała Eileen. – To jeszcze niemowlę, Oliverze.

– Zgoda, ale wygląda tak...

– Pięknie! – Zakończyła Eileen z naciskiem.

– Odmienne – upierał się Oliver.

– Prawie już tego nie zauważam – powiedziała Kaye, wiedząc, co miał na myśli, ale pragnąc się trochę bronić.

– My też wyglądamy odmiennie – zauważył Mitch.

– Oboje wyglądacie ładnie, a nawet stylowo – stwierdziła Maria. – Niedługo będą się o was zabijać żurnale. Maleńka, piękna Kaye...

– Szorstki, przystojny Mitch – dopowiedziała Eileen.

– Z policzkami jak u kałamarnicy – zakończyła za nich Kaye.

Śmieli się, a Stella wierciła się w nosidełku. Potem zaszczebotała i w pokoju znowu zaległa cisza. Stella zaszczyciła każdego z gości po kolei drugim, dłuższym spojrzeniem, kiwając główką, gdy wyszukiwała ich w całym pokoju, zataczając pełen krąg do Kaye, a potem znowu się wiercąc na widok Mitcha. Uśmiechnęła się do niego. Mitch czuł, że płoną mu policzki, jakby pod jego skórą przepływała ciepła woda. Resztki masek opadły osiem dni wcześniej i patrzenie na córeczkę było dlań trochę nowym przeżyciem.

– O Boże – rzucił Oliver.

Maria patrzyła na nich troje z opadłą szczęką.

Po policzkach Stelli Novej przepływały fale bladej żółci i złota; lekko rozszerzyła źrenice, mięśnie wokół oczek i powiek ściągały skórę w delikatne i skomplikowane wzory.

– Nauczy nas mówić – stwierdziła Kaye z dumą.

– Jest niesamowicie oszałamiająca – powiedziała Eileen. – Nigdy

nie widziałam piękniejszego niemowlęcia.

Oliver poprosił o pozwolenie na podejście bliżej i pochylił się, aby obejrzeć Stellę.

– Jej oczka naprawdę nie są takie wielkie, jedynie tak wyglądają – powiedział.

– Oliver uważa, że następni ludzie powinni przypominać ufoludki – stwierdziła Eileen.

– Kosmitów? – Rzucił Oliver z pogardą. – Zaprzeczam tym słowom, Eileen.

– Jest w pełni ludzka, w pełni nowa – powiedziała Kaye. – Nie oddzielna, nie odległa, nie różna. To nasze dziecko.

– Oczywiście – zarumieniła się Eileen.

– Przepraszam – powiedziała Kaye. – Za długo już tu jesteśmy, mamy za dużo czasu na myślenie.

– Wiem coś o tym – stwierdził Christopher.

– Ma naprawdę zdumiewający nosek – zauważył Oliver. – Taki delikatny, a jednak szeroki u podstawy. I kształt... Sądzę, że wyrośnie na wyjątkową piękność.

Stella spojrzała na niego uważnie, z bezbarwnymi policzkami, potem znudzona odwróciła wzrok. Próbowwała znaleźć Kaye. Ta przysunęła się w pole widzenia dziecka.

– Mama – zaświergotała Stella.

– O mój Boże – powtarzał Oliver.

Wendell i Oliver pojechali do sklepu Little Silver i kupili kanapki. Jedli wszyscy przy stoliku piknikowym ustawionym za przyczepą; było chłodniejsze popołudnie. Christopher mówił bardzo niewiele, uśmiechając się sztywno, gdy słuchał innych. Zjadał swoją kanapkę na paśmie wyschłej na siano trawy, siedząc na rozklekotanym krześle biwakowym.

Mitch podszedł i usiadł przy nim na trawie.

– Stella śpi – powiedział. – Kaye jest z nią.

Christopher uśmiechnął się i pociągnął łyk z puszki 7UP.

– Chciałbyś wiedzieć, co sprowadziło mnie tak daleko – odrzekł.

– No dobrze. To na początek.

– Jestem zdziwiony, że Kaye tak łatwo wybaczyła.

– Przeszliśmy przez wiele zmian – odparł Mitch. – Muszę przyznać, że mieliśmy wrażenie, iż o nas zapomniaws.

– Ja też przeszedłem mnóstwo zmian – powiedział Christopher. – Usiłuję ustawić wszystko na nowo. Pojutrze jadę do Meksyku. Ensenada, na południe od San Diego. Samodzielnie.

– To nie wakacje?

– Zamierzam przyjrzeć się przekazowi poziomemu starych retrowirusów.

– Bzdura – rzucił Mitch. – Wymyślili to, aby mieć powód do utrzymywania Zespołu Specjalnego.

– Nie, naprawdę coś w tym jest. Jak dotąd pięćdziesiąt przypadków. Mark nie jest potworem.

– Nie jestem pewny. – Mitch wpatrywał się ponuro w pustynię i przyczepę mieszkalną.

– Uważam jednak, że przyczyną może nie być wirus znaleziony przez nich. Przejrzałem stare pliki o Meksyku. Natrafiłem na podobne przypadki sprzed trzydziestu lat.

– Mam nadzieję, że ustalisz to szybko. Było tu miło, ale moglibyśmy dokonać znacznie więcej... W innych okolicznościach.

Kaye wyszła z przyczepy, trzymając przenośny czujnik pilnujący zdalnie dziecka. Maria podała jej kanapkę na papierowej tacce. Kaye dołączyła do Mitcha i Christophera.

– Co sądzisz o moim trawniku? – Zapytała.

– Jedzie szukać choroby meksykańskiej – powiedział Mitch.

– Myślałam, że odszedłeś z Zespołu Specjalnego.

– Odszedłem. Przypadki są prawdziwe, Kaye, ale nie sądzę, aby były bezpośrednio powiązane z SHEVA. W tej sprawie było już tyle zwrotów – opryszczka, choroba Epsteina-Barr. Domyślam się, że dostałaś biuletyn CDC o znieczuleniu.

– Nasza lekarka dostała – wyjaśnił Mitch.

– Inaczej mogliśmy stracić Stellę – dodała Kaye.

– Teraz rodzi się coraz więcej niemowląt SHEVY. Augustine musi się z tym zmierzyć. Chcę tylko trochę oczyścić przedpole przez sprawdzenie, co się dzieje w Meksyku. Wszystkie przypadki miały miejsce właśnie tam.

– Sądzisz, że może istnieć inne źródło? – Zapytała Kaye.

– Chcę to zbadać. Mogę już trochę chodzić. Wynająłem asystenta.

– Jak? Nie jesteś bogaty.

– Otrzymałem dotację od bogatego ekscentryka z Nowego Jorku.

Oczy Mitcha się rozszerzyły.

– Chyba nie od Williama Daneya!

– We własnej osobie. Oliver i Brock mają zamiar zadać cios dziennikarski. Uważają, że mogą zdobyć dowody. To wyzwanie, i do diabła, wierzę w nie. Zobaczenie Stelli... Stelli Novej... Naprawdę dało mi kopa. Po prostu brakowało mi wiary.

Od strony dębu nadeszli Wendell i Maria. Packer z papierowej torebki wyciągnął numer czasopisma.

– Sądzimy, że chętnie rzucisz na to okiem – powiedziała Maria, wręczając je Kaye.

Kaye spojrzała na egzemplarz i wybuchnęła głośnym śmiechem. Na jaskrawopomarańczowej okładce „WIRED” wydrukowano czarną sylwetkę skulonego płodu z zielonym znakiem zapytania w środku. Wielki napis głosił: „Człowiek 3. 0: Nie wirus, ale wersja poprawiona?”

Dołączył do nich Oliver.

– Widziałem to – powiedział. – „WIRED” nie ma obecnie

większych wpływów w Waszyngtonie. Wiadomości są niemal bez wyjątku przygnębiające, Kaye.

– Wiemy – przyznała Kaye, poprawiając kosmyk włosów porwany przez wietrzyk.

– Ale są i dobre. Brock mówi, że „National Geographic” i „Nature” zakończyły recenzowanie jego artykułu o neandertalczykach z Innsbrucku. Ma zostać wydrukowany w obu razem za sześć miesięcy. Brock zamierza ogłosić, że to potwierdzony przykład działania ewolucji, wspomni też o SHEVIE, choć tego nie podkreśli.

– Czy Christopher powiedział ci o Daneyu?

– Kaye przytaknęła.

– Zamierzamy zacząć ostatnie okrażenie – powiedział Oliver; jego oczy błyszcząły. – Christopher musi jedynie wysledzić wirusa w Meksyku i przechytrzyć siedem laboratoriów narodowych.

– Jesteś w stanie – zapewnił Mitch Christophera. – Byłeś pierwszy, nawet przed Kaye.

Goście zbierali się przed długą drogą przez północne pustkowia i poza rezerwat. Mitch pomógł Christopherowi usiąść na miejscu pasażerskim. Podali sobie ręce. Gdy Kaye, trzymając śpiącą Stellę, ścisnęła się z pozostałymi, Mitch zobaczył półciężarówkę Jacka jadącą zakurzoną drogą.

Sue nie było z nim. Hamulce zazgrzytały, gdy Jack zatrzymał się na podejździe, tuż obok furgonetki. Mitch podszedł, aby porozmawiać, gdy Jack otworzył drzwiczki. Nie wysiadł.

– Co z Sue?

– Jeszcze się trzyma – odparł Jack. – Chambers nie może użyć żadnych lekarstw, aby pomóc jej urodzić. Doktor Galbreath wszystkiego pilnuje. Możemy tylko czekać.

– Chcielibyśmy się z nią zobaczyć – powiedział Mitch.

– Nie jest w dobrym humorze. Warczy na mnie. Może jutro. Teraz

muszę przesmuglować twoich przyjaciół starą drogą płukaczy złota.

– Jesteśmy ci wdzięczni, Jack – powiedział Mitch.

Jack zamrugał i opuścił usta. Odpowiadało to u niego wzruszeniu ramionami.

– Dziś po południu odbędziemy specjalne zebranie – oznajmił.

– Kobieta z Cayuse znowu na nas naskoczyła. Część pracowników kasyna utworzyła grupkę. Są wściekli. Mówią, że kwarantanna nas zrujnuje. Nie zechcą mnie słuchać. Mówią, że jestem stronniczy.

– Co możemy zrobić?

– Sue nazywa ich zapaleńcami, ale zapalają się nie bez przyczyny. Chciałem was tylko powiadomić. Wszyscy musimy być przygotowani.

Mitch i Kaye pomachali i patrzyli, jak ich przyjaciele odjeżdżają drogą. Nad okolicą zapadał wieczór. Kaye skorzystała z resztek ciepła, siadając pod dębem na składanym krześle i tuląc Stellę, aż nadeszła pora zmiany pieluszki.

Przewijanie nieodmiennie sprowadzało Mitcha na ziemię. Po dokładnym wytarciu przez niego córeczka śpiewała słodko niczym ziarnojad wśród kołyszanych wiatrem gałęzi. Jej policzki i brwi rumieniły się niemal na czerwono, gdy znowu poczuła się dobrze, i mocno chwyciła palec ojca.

Kołysząc się lekko na biodrach, szedł ze Stellą w ramionach za Kaye, która pakowała brudne pieluszki w plastikową torebkę, aby zabrać je do prania. Kaye obejrzała się przez ramię, gdy znaleźli się przed szopą z pralką i innymi maszynami.

– Co mówił Jack? – Spytała.

Mitch jej opowiedział.

– Będziemy żyć na walizkach – stwierdziła rzeczowo. Spodziewała się gorszych wiadomości. – Jutro znowu je zapakujemy.

Hrabstwo Kumash, wschodnia część stanu Waszyngton

Mitch przebudził się z głębokiego snu, w którym nic mu się nie śniło, i usiadł w łóżku, nasłuchując. – Co to? – Szepnął.

Kaye leżała obok, nieruchomo, lekko pochrapując. Spojrzał przez łóżko na półeczkę Stelli zawieszoną na ścianie, na stojący na niej zegar na baterie ze wskazówkami lśniącymi w mroku na zielono. Było piętnaście po drugiej w nocy.

Bez namysłu przesunął się na koniec łóżka i wstał, ubrany tylko w bokserki, przecierając oczy. Skłębły każdego, który by się odezwał, ale w domu panowała cisza. Potem serce zaczęło mu bić szybko i poczuł niepokój przepływający przez jego nogi i ręce. Obejrzał się przez ramię na Kaye, pomyślał o obudzeniu jej, ale się na to nie zdecydował.

Wiedział, że powinien sprawdzić dom, upewnić się, że nikt nie chodzi na dworze, przygotować jakąś zasadzkę. Wiedział, zbytnio o tym nie myśląc, i zaczął od złapania stalowego pręta, który leżał pod łóżkiem na taką właśnie okoliczność. Nigdy nie miał broni palnej, nie znał się na niej, i wchodząc do saloniku zastanawiał się, czy nie było to nierozsądne.

Zadygotał na chłodzie. Pogoda się zepsuła; w oknie nad kanapą nie widział żadnych gwiazd; wszystko przesłoniły chmury. Potknął się o kubeł na pieluszki stojący w łazience. Potem poczuł nagle, że jest

wzywany z wnętrza domu.

Wrócił do sypialni. Tkwiące do połowy w cieniu rzucanym przez szafkę przy łóżku nosidełko dziecka ukazywało jakoś w ciemności swe zarysy.

Jego oczy bardziej przywykły do mroku, ale to nie oczyma dostrzegął nosidełko. Pociągnął nosem; ciekło mu z niego. Pociągnął znowu i pochylił się nad nosidełkiem; potem się wyprostował i głośno kichnął.

– Co jest? – Kaye usiadła w łóżku. – Mitch?

– Nie wiem – odpowiedział.

– Wołałeś mnie?

– Nie.

– A Stella?

– Jest cicho. Chyba śpi.

– Zapal światło.

Uznał to za rozsądne. Zapalił lampę na suficie. Stella spojrzała na niego z nosidełka. Płowe oczy miała szeroko otwarte, rączki zaciśnięte w piąstki. Buzia była rozchylona, nadając dziecku wygląd niemowlęcej, nadaśanej Marilyn Monroe, ale dziewczynka leżała cicho.

Kaye poszła na czworakach na koniec łóżka i spojrzała na córeczkę.

Stella cicho zakwiliła. Oczkami śledziła ich uważnie, skupiając wzrok i zaraz tracąc ostrość widzenia, niekiedy robiąc jak zwykle zeza. Mimo to było jasne, że ich widzi i że nie jest zadowolona.

– Jest samotna – powiedziała Kaye. – Nakarmiłam ją godzinę temu.

– Jak to, ma zdolności paranormalne? – Zapytał Mitch, prostując się. – Przywołała nas myślami? – Znowu pociągnął nosem, i jeszcze raz. Okno sypialni było zamknięte. – O co tu chodzi?

Kaye przykucnęła przed nosidełkiem i wyjęła Stellę. Musnęła ją nosem, a potem popatrzyła na Mitcha z ustami wykrzywionymi

w niemal dzikim warknięciu. Ona też pociągnęła nosem.

Stella znowu zagruchała.

– Chyba ma kolkę – powiedziała Kaye. – Powąchaj ją.

Mitch wziął Stellę od Kaye. Niemowlę wykręciło się i spojrzało na niego, marszcząc brwi. Mógłby przysiąc, że jego córka stała się bystrzejsza i że ktoś woła jego imię, w tym pokoju lub na dworze. Teraz był naprawdę wystraszony.

– Może naprawdę przybyła ze Star Treku – uznał. Powąchał ją ponownie i wykrzywił usta.

– Właśnie – rzuciła sceptycznie Kaye. – Nie ma zdolności parapsychologicznych. – Wzięła dziecko machające piąstkami, bardzo rade z zamieszania, i zaniósła je do kuchni. – Ludzie podobno tego nie mają, ale kilka lat temu naukowcy stwierdzili, że jest inaczej.

– Czego nie mają? – Zapytał Mitch.

– Działających narządów przylemieszowych. U podstawy jamy nosowej. Przetwarzają pewne molekuły... Womeroferyny. Coś w rodzaju feromonów. Moim zdaniem nasze stały się znacznie lepsze.

– Posadziła niemowlę na biodrze. – Unosisz górną wargę...

– Ty też – bronił się Mitch.

– To reakcja narządu przylemieszowego. Nasz kot czynił tak, gdy wyczuwał naprawdę ciekawy zapach: zdechłej myszy albo pachy mojej matki. – Kaye podniosła dziecko, które cicho zakwiliło, i powąchała jego główkę, szyję, brzusek. Zbliżyła ponownie nos do uszu córeczki. – Powąchaj tutaj – powiedziała.

Mitch powąchał, cofnął się, zdusił kichnięcie. Ostrożnie pomacał Stellę za uszami. Ta zeszywniała i stała się niezadowolona, robiąc minkę, jakby za chwilę miała się rozplakać.

– Nie – powiedziała całkiem wyraźnie. – Nie.

Kaye rozpięła stanik i dała Stelli ssać, zanim ta naprawdę się zaniepokoiła.

Mitch cofnął palec. Jego czubek był lekko tłusty, jakby dotknął miejsca za uchem nastolatki, a nie niemowlęcia. Substancja nie pochodziła jednak od przetłuszczającej się skóry. Przypominała wosk, przy dotykaniu była trochę grudkowata i pachniała jak piżmo.

– Feromony – powtórzył. – Tak chyba powiedziałaś?

– Womeroferyny. Niemowlęcy odpowiednik zalotnego spojrzenia. Musimy się wiele nauczyć – odparła Kaye sennie, niosąc Stellę do sypialni i kładąc się z nią. – Pierwszy się obudziłeś – mruknęła. – Zawsze miałeś dobrego nosa. Dobranoc.

Mitch dotknął się za uszami i powąchał palec. Nagle kichnął ponownie i stanął w nogach łóżka, całkowicie przebudzony, czując mrowienie nosa i podniebienia.

Minęła najwyżej godzina, nim obudził się ponownie i wyskoczył z łóżka, aby natychmiast wciągnąć spodnie. Było jeszcze ciemno.

Ręką poklepał nogę Kaye.

– Ciężarówka – powiedział. Ledwo zdążył zapiąć koszulę, gdy ktoś zabębnił w drzwi wejściowe. Kaye przesunęła Stellę na środek łóżka i szybko naciągnęła luźne spodnie i sweter.

Mitch otworzył drzwi, nie zapiąwszy guzików u mankietów koszuli. Na ganku stał Jack; usta miał wygięte w wielką podkowę, kapelusz mocno naciągnięty na oczy, tak że niemal je skrywał.

– Sue zaczęła rodzić – powiedział. – Muszę wracać do lecznicy.

– Zaraz tam będziemy – odparł Mitch. – Czy jest tam Galbreath?

– Nie przyjedzie. Powinniście się stąd wynieść. Rada powiernicza głosowała wczoraj wieczorem, gdy byłem z Sue.

– Jak... – Zaczął Mitch, a potem na żwirze i pyle podwórka zobaczył trzy półciężarówka i siedmiu ludzi.

– Uznali, że niemowlęta są chore – powiedział Jack ponuro.

– Chcą, aby zajął się nimi rząd.

– Chcą odzyskać swoją cholerną pracę – stwierdził Mitch.

– Nie będą ze mną gadać. – Silnym, grubym palcem Jack dotknął swojej maski. – Przekonałem członków rady, aby pozwolili wam odjechać. Nie mogę pojechać z wami, ale ci ludzie zawiozą was połą drogą do szosy. – Jack bezradnie rozłożył ręce. – Sue chciała, aby Kaye była przy niej. Wołałbym, abyście zostali. Muszę iść.

– Dzięki – rzucił Mitch.

Kaye stanęła za nim, trzymając dziecko w foteliku samochodowym.

– Jestem gotowa – powiedziała. – Chcę zobaczyć się z Sue.

– Nie – odparł Jack. – To ta stara Cayuse. Powinniśmy byli odesłać ją na wybrzeże.

– Gdyby to było takie proste – powiedział Mitch.

– Sue mnie potrzebuje! – Zawołała Kaye.

– Nie wpuszczą was do tej części miasteczka – stwierdził z rozpaczą Jack. – Za dużo tam ludzi. Usłyszeli w wiadomościach o zmarłych Meksykanach niedaleko San Diego. Najmniejszych szans. Ich myśli są teraz twarde jak kamienie. Przypuszczalnie będziemy następni w kolejce.

Kaye przecierała oczy w gniewie i zdenerwowaniu.

– Powiedz jej, że ją kochamy. Dziękujemy za wszystko, Jack.

Powiedz jej.

– Powiem. Muszę iść.

Siedmiu ludzi cofnęło się, gdy Jack szedł do swojej półciężarówki. Wsiadł do niej, uruchomił silnik i ruszył gwałtownie, wyrzucając snopy kurzu i żwiru.

– Toyota jest w lepszym stanie – powiedział Mitch. Pod czujnym wzrokiem siedmiu ludzi załadował do bagażnika ich dwie walizki. Szeptali między sobą i odsunęli się wyraźnie, kiedy Kaye wyniosła na rękach Stellę i przypięła jej fotelik do tylnego siedzenia samochodu. Niektórzy unikali jej wzroku i robili nieznaczne znaki rękoma. Usiadła obok dziecka.

Dwie półciężarówki miały uchwyty na broń, pistolety i strzelby myśliwskie. Kaye czuła ucisk w gardle, siedząc w toyocie przy Stelli. Zamknęła okno, zapięła pasy i czekała w gęstym, kwaśnym odorze własnego strachu.

Mitch wyniósł jej laptop i karton z papierami, wepchnął je w głąb bagażnika i zatrzasnął jego pokrywę. Kaye naciskała guziki swego telefonu komórkowego.

– Nie rób tego – przestrzegł Mitch ostro, gdy usiadł za kierownicą. – Nie wiemy, gdzie jesteśmy. Zadzwoimy gdzieś z automatu telefonicznego, kiedy będziemy na szosie.

Cętki Kaye na chwilę błysnęły czerwienią.

Mitch patrzył na nią ze zboląłą, zaskoczoną twarzą.

– Jesteśmy kosmitami – szepnęła. Uruchomił silnik. Siedmioro ludzi wsiadło do swoich półciężarówek i ruszyło przed nimi drogą.

– Czy masz gotówkę na benzynę? – Zapytał Mitch.

– W torebce – odparła Kaye. – Nie chcesz płacić kartą kredytową?

Mitch unikał odpowiedzi.

– Mamy prawie pełen zbiornik.

Stella trochę płakała, potem uspokajała się, w miarę jak nad niskimi wzgórzami i za rzadko rosnącymi dębami jaśniał różowy świt. Nad horyzontem zalegało ogromne, zasnutę niebo, przed sobą widzieli zasłone deszczu. Światło brzasku było jasne i nierzeczywiste wobec niskich, czarnych chmur.

Wiodąca na północ polna droga była ciężka, ale możliwa do pokonania. Półciężarówki towarzyszyły im do samego końca, do znaku wskazującego granicę rezerwatu, a jednocześnie zachęcającego do odwiedzin kasyna Dziki Orzeł. Smętne i połamane krzaki oraz niesione wiatrem rośliny leżały nabite na wygięty i poskręcany drut kolczasty ogrodzenia.

Wydęte podbrzusza chmur kapały lekkim deszczem na szyby.

Wycieraczki zmieniały kurz w błoto, gdy zjechali z polnej drogi i po pokonaniu wału znaleźli się na wiodącej na wschód autostradzie stanowej. Oslepiający snop porannego słońca, ostatni, jaki zobaczyli tego dnia, złapał ich jak światło latarki, gdy Mitch przyspieszył toyotę na asfalcie dwupasmówki.

– Lubiłam to miejsce – powiedziała Kaye łamiącym się głosem. – Byłam szczęśliwsza w tamtej przyczepie niż kiedykolwiek w życiu, gdziekolwiek bym była.

– Rozkwitasz w nieszczęściach – stwierdził Mitch i sięgnął przez oparcie, aby wziąć ją za rękę.

– Rozkwitam z tobą – odparła Kaye. – Ze Stellą.

Północno-wschodnia część stanu Oregon

Kaye wyszła z budki telefonicznej. Zatrzymali się na parkingu przed centrum handlowym w Bend, aby zaopatrzyć się tam w żywność. Kaye zrobiła zakupy, a potem zadzwoniła do Marii Konig. Mitch został ze Stellą w samochodzie. – Arizona nadal nie ustanowiła Urzędu Działań Doradźnych – powiedziała Kaye.

– Co z Idaho?

– Ma go już od dwóch dni. Kanada też.

Stella świergotała w swoim foteliku. Mitch przewinął ją kilka minut wcześniej, a zwykle wtedy popisywała się chwilę. Niemal przywykł do jej melodyjnych odgłosów. Potrafiła już wydawać dwa różne tony jednocześnie, rozszczepiać jeden z nich, podwyższać i obniżać; brzmiała wtedy zadziwiająco podobnie do dwóch grających thereminów. Kaye zajrzała przez okno. Dziecko wydawało się tkwić w innym świecie, pochłonięte odkrywaniem, jakie dźwięki potrafi wydawać.

– Gapili się na mnie w sklepie – powiedziała Kaye. – Czułam się jak trędowata. Gorzej, jak czarnuch. – Wypluła to słowo przez zaciśnięte zęby. Położyła torbę na siedzeniu pasażera i pogrzebała w niej sztywną ręką. – Wyjęłam trochę pieniędzy w bankomacie, kupiłam jedzenie, a potem to. – Wyciągnęła buteleczki kosmetyków do charakteryzacji, pudełka podkładu i pudru. – Na nasze cętki. Nie wiem, co zrobimy z jej śpiewem.

Mitch usiadł za kierownicą.

– Jedźmy – powiedziała Kaye – zanim ktoś wezwie policję.

– Nie jest aż tak źle – odparł Mitch, uruchamiając silnik.

– Nie jest? – Zawołała Kaye. – Jesteśmy napiętnowani! Jeśli nas znajdą, to na litość boską, zabiorą Stellę do obozu! Bóg jeden wie, co Augustine szykuje dla nas, dla wszystkich rodziców. Oprzytomnij, Mitch!

Mitch w milczeniu wyjechał z parkingu.

– Przepraszam – powiedziała Kaye łamiącym się głosem. – Przepraszam, Mitch, ale tak bardzo się boję. Musimy się zastanowić, musimy coś zaplanować.

Chmury ciągnęły za nimi pod szarym niebem i w nieustannym kapuśniaczkę. Granicę Kalifornii minęli nocą, zjechali na pustą drogę polną i spali w samochodzie przy dźwiękach bijących w dach kropli deszczu.

Rankiem Kaye zrobiła makijaż Mitchowi, który niezgrabnie nałożył na jej twarz podkład. Poprawiła charakterystykę, przeglądając się w lusterku wstecznym.

– Dzisiaj wynajmiemy pokój w motelu – powiedział Mitch.

– Po co ryzykować?

– Wyglądamy, zdaje się, całkiem nieźle. – Uśmiechnął się uspokajająco. – Stella potrzebuje kąpieli, my też. Nie jesteśmy zwierzętami i nie chcę postępować jak one.

Kaye zastanawiała się, kołysząc Stellę.

– No dobrze – zgodziła się w końcu.

– Pojedziemy do Arizony, a stamtąd, jeśli będzie trzeba, do Meksyku i jeszcze dalej na południe. Znajdziemy gdzieś miejsce, w którym będziemy mogli zamieszkać, dopóki sprawa nie przycichnie.

– Kiedy to będzie? – Spytała Kaye cicho.

Mitch nie wiedział, dlatego nic nie mówił. Pojechał pustą drogą

polną, wracając na autostradę. Chmury już się przerzedzały, a jaskrawe poranne światło padało na lasy i pastwiska po obu stronach szosy.

– Słońce! – Powiedziała Stella i tęsknie pomachała rączkami.

Epilog

Tucson, Arizona Trzy lata później

Pulchna dziewczynka o krótkich, brązowych włosach, śniadej skórze i smugach potu na brudnej cerze stała w alejce i zaglądała w przejście pomiędzy popielatymi garażami. Gwizdała cicho do siebie, przeplatając dwie wariacje tria fortepianowego Mozarta. Gdyby ktoś nie przyjrzał się jej bliżej, mógłby ją wziąć za jedno z wielu latynoskich dzieci bawiących się na ulicach i biegających po chodnikach. Stella nigdy dotąd nie mogła oddalać się tak bardzo od wynajmowanego przez jej rodziców domku. Teraz odeszła aż na kilkaset kroków. Świat alejki był nowy. Lekko wachała powietrze; zawsze tak robiła, nigdy jeszcze nie natrafiła na to, co pragnęła odnaleźć.

Słyszała jednak wesole głosy bawiących się dzieci i było to wystarczająco kuszące. Poszła czerwonymi betonowymi płytami wzdłuż tynkowanej bocznej ściany garażu, otworzyła wahającą się metalową furtkę i zobaczyła troje dzieci rzucających sobie na podwórku napompowaną do połowy piłkę do koszykówki. Przerwały grę i patrzyły na nią.

– Ktoś ty? – Zapytała czarnowłosa dziewczynka, siedmio – lub ośmioletnia.

– Stella – odparła wyraźnie. – A wy?

– Gramy sobie tutaj.

– Mogę zagrać z wami?

– Masz brudną buzię.

– To schodzi, patrz. – I Stella wytarła kurz rękawem, zostawiając plamy na materiale. – Gorąco dzisiaj, co?

Około dziesięcioletni chłopiec spojrzał na nią krytycznie.

– Masz plamy – stwierdził.

– To piegi – odparła Stella. Matka powiedziała jej, że ma tak mówić ludziom.

– Jasne, możesz zagrać – powiedziała druga dziewczynka, także dziesięcioletnia. Była wysoka i miała długie, cienkie nogi.

– Ile masz lat?

– Trzy.

– Nie mówisz na trzy.

– Umieć czytać, i jeszcze gwizdać. Słuchaj. – Zagwizdała dwa tony jednocześnie, patrząc z ciekawością, jakie wywrze wrażenie.

– Jezu – powiedział chłopiec.

Stella czuła dumę wywołaną jego zdumieniem. Wysoka, chuda dziewczynka rzuciła jej piłkę, Stella złapała ją zręcznie i się uśmiechnęła.

– Lubię to – powiedziała, a jej twarz pokrył śliczny odcień jasnego beżu i złota. Chłopiec patrzył na nią z rozdziawionymi ustami, potem usiadł i przyglądał się dziewczynkom grającym na zeschłej letniej trawie. Za biegnącą Stellą ciągnął się miły piżmowy zapach.

Kaye przeszukała gorączkowo wszystkie pokoje i szafy, uczyniła to powtórnie, wołała imię córeczki. Pochłonał ją czytany artykuł czasopisma, kiedy położyła Stellę na drzemkę, i nie usłyszała, jak dziewczynka wyszła. Stella była mądra i Kaye wiedziała, że raczej nie wyjdzie na ulicę ani nie narazi się na oczywiste zagrożenie, ale okolica była biedna, ciągle utrzymywały się w niej silne uprzedzenia wobec takich dzieci jak ona i strach przed chorobami, które niekiedy pojawiały się wraz z przypadkami ciąży SHEVY.

Choroby były prawdziwe; odżywały dawne retrowirusy, niekiedy z groźnymi skutkami. Christopher Dicken odkrył to w Meksyku trzy lata temu; o mało nie przypłacił tego życiem. Niebezpieczeństwo miało kilka miesięcy po urodzeniu, ale Mark Augustine miał rację. Dary przyrody mają zawsze więcej niż jedno oblicze.

Gdyby policjant zobaczył Stellę, albo ktoś by o niej doniósł, wpadliby w kłopoty.

Kaye zadzwoniła do Mitcha pracującego w punkcie sprzedaży chevroletow, kilka mil dalej, i powiedziała mu, że ma natychmiast wracać do domu.

Dzieci nie widziały nigdy nikogo podobnego do tej dziwnej dziewczynki. Sama jej bliskość sprawiała, że ją lubiły i czuły się dobrze. Nie wiedziały dlaczego i wcale się nad tym nie zastanawiały. Dziewczynki gadały o strojach i piosenkarzach, Stella naśladowała niektórych z nich, zwłaszcza jej ulubionego Salaya Sammiego. Czyniła to niezwykle wiernie.

Chłopiec stał na uboczu, marszcząc brwi w skupieniu.

Młodsza dziewczynka poszła po sąsiedzku zawołać inne dzieci, te z kolei ściągnęły następne i wkrótce podwórko wypełniły dzieciaki obu płci. Bawiły się w dom, chłopcy w policjantów, a Stella zapewniała efekty dźwiękowe i coś jeszcze, uśmiech, swą obecność, jednocześnie kojącą i pobudzającą. Niektóre dzieci musiały wracać do domów, Stella mówiła im, że cieszy się z poznania ich, i wahała miejsca za uszami, od czego się śmiały i cofały zakłopotane, ale nikt się nie rozgniewał.

Wszystkie były zafascynowane złotymi i brązowymi cętkami na jej buzi.

Stella wyglądała na ogromnie zadowoloną i szczęśliwą, choć nigdy przedtem nie spotkała się z taką liczbą dzieci naraz. Kiedy dwie dziewięcioletnie dziewczynki, jednakowe w każdym calu bliźniaczki,

zadawały jej jednocześnie dwa różne pytania, Stella odpowiadała im obu jednocześnie. Niemal zrozumiały, co powiedziała, potem wybuchły śmiechem i spytały śmieszna, pulchną małą, gdzie się tego nauczyła.

Skupienie starszego chłopca przeszło w postanowienie. Wiedział, co powinien uczynić.

Kaye i Mitch wołali jej imię na ulicach. Nie odważyli się zwrócić o pomoc do policji; Arizona w końcu uznała władzę Urzędu Działań Doróżnych i swe nowe dzieci wysyłała do Iowa na specjalne badania i szkolenie.

Kaye była cała roztrzęsiona.

– Tylko na minutę, mówię ci, tylko...

– Znajdziemy ją – zapewniał Mitch, ale zdradzała go mina.

Dziwnie wyglądał, idąc w granatowym garniturze zakurzoną ulicą między starymi domkami. Gorący, suchy wiatr nasiąkał ich potem. – Mam tego dosyć – rzucił po raz milionowy Mitch. Stało się to jego ulubionym powiedzonkiem, wyrażało tkwiącą w nim gorycz. Przy Stelli czuł się spełniony; Kaye nadal potrafiła cofać go do dawnego życia; ale kiedy zostawał sam, napięcie wypełniało go powyżej uszu, a w myślach powtarzał sobie nieustannie, jak bardzo ma tego dosyć.

Kaye wyciągnęła rękę i powiedziała mu, jak bardzo jest jej przykro.

– To nie twoja wina – zapewnił, ale nadal ogromnie się złościł.

Chuda dziewczynka pokazała Stelli, jak się tańczy. Stella znała mnóstwo muzyki baletowej; Prokofiew był jej ulubionym kompozytorem, trudne partytury odtwarzała mieszaniną szczebiotów, gwizdów i cmoknięć. Jasnowłosa chłopczyk, młodszy od Stelli, trzymał się jej najbliżej, jak tylko mógł, z ciekawością wybałuszając brązowe oczy.

– W co się teraz pobawimy? – Spytała wysoka dziewczynka, kiedy zmęczyły ją próby stawania na puentach.

– Przyniosę monopol – powiedział ośmioletni chłopiec ze zwyczajniejszym rodzajem piegów.

– A może zagramy w othemo? – zaproponowała Stella.

Szukali już od godziny. Kaye stanęła na chwilę na zniszczonym odcinku chodnika i nasłuchiwała. Alejka biegnąca za ich domami wychodziła na tę boczną uliczkę i Kaye miała wrażenie, że słyszy bawiące się tam dzieci. Mnóstwo dzieci.

Ruszyła szybko z Mitchem między garażami i płotami z desek, starając się wychwycić głos Stelli, albo jeden z wielu wydawanych przez nią głosów.

Mitch pierwszy usłyszał ich córkę. Pchnął metalową furtkę wahadłową i przeszli nią.

Małe podwórko wypełniały dzieci, niby ptaki przy karmniku. Kaye zauważyła natychmiast, że Stella nie stanowi centrum zainteresowania; po prostu jest tam, trochę z boku, grając w othemo taliami kart, które przy naciskaniu wydawały dźwięki. Gdy dźwięki pasowały do siebie albo tworzyły melodię, gracze musieli odrzucić te karty. Wygrywał ten, który pierwszy zostawał z pustymi rękoma. Była to jedna z ulubionych gier Stelli.

Mitch stanął przy Kaye. Córka najpierw ich nie spostrzegła. Gawędziła radośnie z bliźniaczkami i jakimś chłopcem.

– Zabiorę ją – powiedział Mitch.

– Zaczekaj – poprosiła Kaye. Stella wyglądała na ogromnie szczęśliwą. Kaye była gotowa zaryzykować kilka minut, aby potrwało to dłużej.

Potem Stella podniosła wzrok, skoczyła na nogi i wypuściła z rączek muzyczne karty. Zakręciła głową w powietrzu, wachając.

Mitch dojrzał inne dziecko, chłopca wchodzącego furtką od frontu. Był mniej więcej w wieku Stelli. Kaye też go zobaczyła i natychmiast rozpoznała. Usłyszeli rozpaczliwe krzyki po hiszpańsku jakiejś

kobiety i Kaye od razu zrozumiała, co oznaczają.

– Musimy iść – powiedział Mitch.

– Nie. – Kaye powstrzymała go, chwytając za rękę. – Jeszcze chwilkę. Proszę. Patrz!

Stella i chłopczyk zbliżyli się do siebie. Inne dzieci milkły po kolei. Stella okrążała malucha, dłuższą chwilę miała pustą twarz. Chłopczyk lekko wzdychał, jego pierś unosiła się ciężko, jakby biegł. Pocierał buzię rękawem, na który szybko popluwał. Potem się pochylił i powąchał Stellę za uszami. Stella zrobiła to samo i dzieci wyciągnęły do siebie rączki.

– Nazywam się Stella Nova – powiedziała Stella. – Skąd jesteś?

Chłopczyk uśmiechał się tylko, a jego twarz wykrzywiała się w sposoby, jakich Stella nigdy przedtem nie widziała. Stwierdziła, że jej buzia odpowiada tym samym. Poczowała napływającą do skóry krew i zaśmiała się głośno radosnym, piskliwym chichotem. Chłopiec tak mocno pachniał – swą rodziną, domem, jedzeniem, które gotuje jego matka, kotem. Stella patrzyła na jego twarz i niewiele rozumiała z tego, co mówi. Był taki bogaty! Ich cętki szaleńczo, niemal na chybił trafił zmieniały barwy. Patrzyła na nabierające kolorów źrenice małego, przesuwając palcami po jego rękach, wyczuwała skórę drgającą w odpowiedzi.

Chłopiec odezwał się jednocześnie w łamanej angielszczyźnie i po hiszpańsku. Jego usta poruszały się w sposób znany Stelli, kształtując dźwięki rozchodzące się z obu stron grzebieniastego języka. Stella знаła trochę hiszpański i próbowała odpowiadać.

Chłopczyk podskakiwał z podniecenia; rozumiał ją! Rozmawianie z ludźmi było zwykle dla Stelli bardzo frustrujące, ale teraz sytuacja jeszcze się pogorszyła, gdyż dziewczynka nagle poznała, czym naprawdę może być rozmowa.

Potem zerknęła w bok, zobaczyła Kaye i Mitcha.

Jednocześnie Kaye dostrzegła w oknie kuchni kobietę rozmawiającą przez telefon. Wcale nie wyglądała na zadowoloną.

– Idziemy – powiedział Mitch i Kaye już się nie sprzeciwiła.

– Gdzie teraz jedziemy? – Zapytała Stella ze swego fotelika na tylnym siedzeniu chevroleta luminy, gdy Mitch wiozł ich na południe.

– Może do Meksyku – odparła Kaye.

– Chcę spotkać więcej takich jak ten chłopiec. – Stella mocno grymasiła.

Kaye zamknęła oczy i ujrzała przerażoną matkę chłopca, odciągającą go od Stelli, patrzącą spode łba na Kaye; kochającą swe dziecko i nienawidzącą go. Nie było szans, aby spotkali się jeszcze. I tamta baba w oknie, zbyt przestraszona, aby choćby wyjść z domu i z nimi porozmawiać.

– Spotkasz – powiedziała Kaye marzycielskim tonem. – Dobrze dogadywałaś się z nim.

– Wiem – przytaknęła Stella. – Jest taki jak ja.

Kaye przechyliła się przez oparcie swego fotela i popatrzyła na córeczkę. Jej oczy wyschły, tak długo się nad tym zastanawiała, ale Mitch otarł swoje wierzchem dłoni.

– Czemu musimy jechać? – Zapytała Stella.

– To okrutne, zabierać ją od nich – powiedziała Kaye Mitchowi.

– A co mamy zrobić, wysłać ją do Iowa? Kocham córkę, chcę być dla niej ojcem, zatrzymać ją w rodzinie. Normalnej rodzinie.

– Wiem – powiedziała Kaye trochę pustym głosem. – Wiem.

– Kaye, czy jest wielu takich jak ten chłopiec? – Spytała Stella.

– Około stu tysięcy – odparła Kaye. – Już ci mówiliśmy.

– Chciałabym porozmawiać z nimi wszystkimi – oznajmiła Stella.

– I pewnie mogłabyś. – Kaye uśmiechnęła się do Mitcha.

– Chłopczyk opowiedział mi o swoim kocie – oznajmiła Stella. – Ma dwa kociaki. I dzieciaki mnie lubiły, Kaye. Mamusiu, naprawdę mnie

lubią.

– Wiem – odparła Kaye. – Z nimi też świetnie się dogadywałaś. –

Była ogromnie dumna, a jednak serce rozrywał jej strach o córkę.

– Jedźmy do Iowa, Mitch – poprosiła Stella.

– Nie dzisiaj, króliczku – odrzekł Mitch.

Autostrada biegła przez pustynię prosto na południe.

– Nie słysząc żadnych syren – zauważył obojętnie Mitch.

– Znowu nam się udało, Mitch? – Zapytała Stella.

Posłowie

Bardzo się starałem, aby w niniejszej powieści strona naukowa była ścisła, a domysły dopuszczalne. Trwająca w biologii rewolucja jest jednak daleka od zakończenia i najprawdopodobniej wiele z przedstawionych domysłów okaże się błędnymi. Podczas przygotowań, kiedy rozmawiałem z naukowcami z całego świata, odniosłem nieodparte wrażenie, że biologię ewolucyjną czeka poważny przewrót – i to w następnych nie kilkudziesięciu, ale kilku latach.

Jeszcze kiedy kończyłem korektę, w literaturze naukowej ukazywały się artykuły wspierające wiele przedstawionych szczegółów.

Muszki owocowe, jak się wydaje, potrafią w ciągu kilku pokoleń dostosować się do wielkich zmian klimatycznych. Niedawny numer „New Scientist”, z grudnia 1998/stycznia 1999 roku, zawiera doniesienia, że ludzkie retrowirusy endogenne mogły przyczynić się do rozwoju HIV, czyli wirusa AIDS; Erie Towler z Science Applications International Corporation stwierdził, że „ma dowody na to, iż enzymy HERV-K mogą pomagać HIV w unikaniu lekarstw wielkiej mocy”. Przypomina to mechanizm porzestawianych narzędzi, który tak przerażał Marka Augustine’a.

Tajemnica, jeśli zostanie odsłonięta, okaże się niesłychanie fascynująca; naprawdę stoimy na progu odkrywania sekretów życia.

Krótki elementarz biologiczny

Ludzie są organizmami zbudowanymi z wielu komórek. Większość naszych komórek posiada jądro, zawierające „projekt” budowy całego organizmu. Miejscem przechowywania tego projektu jest DNA (kwas dezoksyrybonukleinowy); DNA wraz z uzupełniającymi go białkami pomocniczymi i organellami komórki stanowi komputer molekularny, czyli cząsteczkowy, wyposażony w pamięć niezbędną do skonstruowania określonego organizmu żywego. Białka są maszynami molekularnymi zdolnymi do wykonywania niewiarygodnie skomplikowanych działań. To silniki życia, natomiast DNA jest matrycą kierującą wytwarzaniem owych silników.

W komórkach eukariotycznych DNA składa się z dwóch splecionych z sobą nici – „podwójnej helisy” – ciasno upakowanych w złożonej strukturze zwanej chromatyną, która w każdym jądrze komórkowym jest podzielona na chromosomy. Pomijając kilka wyjątków, jak czerwone ciała krwi i wyspecjalizowane komórki układu odpornościowego, w każdej komórce ciała ludzkiego DNA jest pełne i identyczne. Naukowcy szacują, że genom człowieka – komplet instrukcji genetycznych – liczy od sześćdziesięciu do stu tysięcy genów. Geny są elementami dziedzicznymi; definiuje się je często jako odcinki DNA zawierające instrukcje kodowania jednego bądź kilku białek. Instrukcja ta może ulec transkrypcji, czyli zostać przepisana na nić RNA (kwas rybonukleinowy); następnie rybosomy dokonują translacji, czyli odczytania pierwotnych instrukcji DNA, i przeprowadzają syntezę białek. (Niektóre geny pełnią inne funkcje,

na przykład tworzą RNA wchodzące w skład rybosomów).

Wielu naukowców uważa, że pierwotną cząsteczką kodującą życie było RNA, a DNA powstało później.

Większość komórek ciała poszczególnych osobników podczas ich wzrostu i rozwoju zawiera dokładnie takie samo DNA, lecz w każdej komórce inna jest ekspresja owego materiału genetycznego, czyli proces jego odczytywania i przepisywania. To dlatego identyczne komórki eukariotyczne stają się różnymi tkankami.

Podczas transkrypcji DNA w RNA wycinanych jest wiele intronów, czyli tych odcinków nukleotydów, które nie kodują białek. Po wycięciu pozostają fragmenty kodujące białka, tak zwane egzony, które są następnie scalane. Powstała po transkrypcji cząsteczka RNA może zawierać różne zestawienia owych egzonów, a przez to tworzyć różne białka. Tak więc jeden gen może powodować wytwarzanie w różnym czasie wielu odmiennych produktów.

Bakterie to małe organizmy jednokomórkowe. Ich DNA nie jest skupione w jądrze, lecz rozproszone w całej komórce. Genom bakterii nie ma intronów, składa się wyłącznie z egzonów, dzięki czemu stworzenia te są bardzo zwarte i sprawne. Bakterie mogą się zachowywać jak organizmy społeczne; różne ich odmiany współdziałają bądź rywalizują w środowisku, kiedy wyszukują i wykorzystują jego zasoby. W warunkach naturalnych bakterie często się skupiają, tworząc kolonie w postaci biofilmów. Przykładem takich biofilmów może być warstewka śluzu powstająca w lodówce na zepsutych warzywach. Biofilmy mogą występować także w naszych wnętrznościach, przewodach moczowych i na zębach, powodując niekiedy kłopoty zdrowotne; wyspecjalizowane kolonie bakterii chronią jednocześnie naszą skórę, jamę ustną i inne części ciała. Bakterie mają ogromne znaczenie i chociaż niektóre mogą wywoływać choroby, inne są niezbędne dla naszego istnienia.

Niektórzy biolodzy uważają, że bakterie stanowiły załazek wszystkich form życia, a komórki eukariotyczne – takie chociażby jak te tworzące nasze ciała – powstały z dawnych kolonii bakterii. W tym sensie możemy być po prostu statkami kosmicznymi przenoszącymi bakterie.

Bakterie wymieniają między sobą maleńkie, koliste cząsteczki DNA, zwane plazmidami, które uzupełniają genom bakterii i pozwalają im szybko reagować na zagrożenia, na przykład w postaci antybiotyków. Plazmidy tworzą wspólną bibliotekę, do której mogą sięgać bakterie wielu różnych rodzajów, aby skuteczniej przeżywać w środowisku.

Bakterie i niemal wszystkie inne organizmy żywe mogą paść ofiarą ataku wirusów. Wirusy są bardzo maleńkie, zwykle stanowią jedynie opakowane cząsteczki DNA lub RNA i nie potrafią rozmnażać się samodzielnie. Aby się rozmnażać, przejmują władzę nad maszyną reprodukcyjną komórki i zmuszają ją do tworzenia nowych wirusów. Wirusy atakujące bakterie są nazywane bakteriofagami („zjadaczami bakterii”) albo w skrócie fagami. Wiele fagów przenosi materiał genetyczny swych bakteryjnych żywicieli, podobnie jak niektóre wirusy zwierzęce i roślinne.

Niewykluczone, że wirusy powstały z tych odcinków DNA, które potrafią poruszać się w komórce, zarówno w obrębie jednego chromosomu, jak i między chromosomami. Wirusy to zasadniczo wędrujące, czyli mobilne odcinki materiału genetycznego, które nauczyły się „przywdziewać skafandry kosmiczne” i opuszczać komórkę.

Krótki słowniczek terminów naukowych

Aminokwas: cegiełka białek. Większość istot żywych wykorzystuje dwadzieścia aminokwasów. **Antybiotyki:** obszerna klasa produkowanych przez różnego rodzaju organizmy substancji, które potrafią zabijać bakterie. Antybiotyki nie działają na wirusy.

Antygen: obca substancja bądź część organizmu, która wywołuje tworzenie przeciwciał jako część wzbudzania odpowiedzi odpornościowej.

Bakterie: mikroorganizmy jednokomórkowe (żywe komórki) o budowie prokariotycznej, których materiał genetyczny nie jest zamknięty w jądrze komórkowym. Bakterie pełnią bardzo ważną funkcję w przyrodzie i stanowią podstawę wszystkich łańcuchów pokarmowych.

Bakteriocyna: jedna z wielu produkowanych przez bakterie substancji potrafiących zabijać inne bakterie.

Bakteriofag: patrz fag.

Białko: geny najczęściej kodują białka, które wspomagają wzrost i działanie organizmu. Białka to zespoły cząsteczek składające się z łańcuchów dwudziestu różnych aminokwasów. Białka mogą się łączyć w łańcuchy lub grudki. Kolagen, enzymy, liczne hormony, keratyna i przeciwciała to tylko drobna część najróżniejszych rodzajów białek.

Chromosom: zespół ciasno upakowanych i zwiniętych cząsteczek DNA. Komórki diploidalne, takie jak komórki organizmów ludzkich, mają dwa zestawy po dwadzieścia trzy chromosomy; komórki

haploidalne, takie jak gamety – plemniki bądź komórki jajowe – posiadają tylko jeden zestaw chromosomów.

Chromosomy płci: u ludzi chromosomy X i Y. Dwa chromosomy X determinują płć żeńską; X i Y męską. Inne gatunki mają odmienne rodzaje chromosomów płci.

Człowiek współczesny: Homo sapiens sapiens. Rodzaj Homo, gatunek sapiens, podgatunek sapiens.

DNA: kwas dezoksyrybonukleinowy, słynna cząsteczka w postaci podwójnej helisy, która koduje białka i inne elementy mogące tworzyć fenotyp bądź kierować wzrostem organizmu.

Egzon: odcinek DNA kodujący białka lub RNA.

Element mobilny (element ruchomy): wędrujący odcinek DNA. Transpozony mogą się przemieszczać albo poprzez polimerazę DNA kopiować swój DNA w różnych miejscach łańcucha DNA. Retrotranspozony zawierają własną odwrotną transkryptazę, która zapewnia im pewną niezależność od genomu. Jak wykazała Barbara McClintock i inni badacze, elementy mobilne wywołują u roślin różnorodność; niektórzy sądzą jednak, że są to najczęściej tak zwane” geny samolubne” powielane bez korzyści dla organizmu. Jeszcze inni uważają, że elementy mobilne w DNA powodują powstawanie zmian we wszystkich genomach, a może pomagają także regulować proces ewolucji.

ERV (skrót z ang. endogenous retrovirus, czyli retowirus endogenny): wirus umieszczający swój materiał genetyczny w DNA gospodarza. Wbudowany prowirus większość czasu tkwi w uśpieniu. ERV-y mogą być dawne i fragmentaryczne, tak więc nie są już w stanie tworzyć wirusów czynnych.

Fag: wirus, którego gospodarzem jest bakteria. Wiele rodzajów fagów zabija swych gospodarzy niemal natychmiast i mogą one służyć jako środki antybakteryjne. Liczne bakterie mają co najmniej jeden

fag specyficzny dla nich, a często jest ich dużo więcej. Fagi i bakterie zawsze, mówiąc ewolucyjnie, prowadzą walkę o przewagę. (Patrz fag lizogeny).

Fag lizogeny: fag przyczepiający się do otoczki bakteryjnej i umieszczający materiał genetyczny wewnątrz bakterii, gdzie tworzy on koliste pętle łączące się z DNA gospodarza i jakiś czas pozostające w uśpieniu. Na tym etapie gospodarz bakteryjny podczas rozmnażania reprodukuje także profaga, czyli włączonego w swój genom faga. Uszkodzenie bądź „stres” gospodarza bakteryjnego może wywołać transkrypcję genów faga; dochodzi wówczas do replikacji nowych fagów, uwalnianych poprzez lizę, czyli rozpad błony komórkowej gospodarza. Na tym etapie noszą one nazwę fagów litycznych. Fagi lizogenne i lityczne mogą transkrybować i przenosić pomiędzy bakteriami geny nie tylko własne, ale też ich gospodarza.

Wiele bakterii wywołujących u człowieka groźne choroby, takie jak cholera, może zwiększać swą toksyczność wskutek dostarczenia im materiału genetycznego przez fagi lizogenne. Fagi takie, co oczywiste, są groźne w swej naturalnej postaci i bezużyteczne przy zwalczaniu patogenów bakteryjnych.

Fenotyp: budowa fizyczna organizmu bądź odrębnej grupy organizmów. Fenotyp jest określany przez genotyp oddziałujący ze środowiskiem i rozwijający się w nim.

Gameta: komórka płciowa, taka jak komórka jajowa czy plemnik, zdolna do łączenia się z przeciwną gametą (komórka jajowa z plemnikiem), co tworzy zygotę.

Gen: definicja genu się zmienia. Ostatnio za gen uważa się „odcinek DNA lub RNA pełniący określoną funkcję”. Dokładniej przez gen można rozumieć taki odcinek DNA, który koduje jakąś cząsteczkę, najczęściej białko. Oprócz nukleotydów kodujących białko gen zawiera także odcinki określające, jak silna będzie ekspresja genu,

jakiego rodzaju białka dotyczy i kiedy nastąpi. Geny poddane działaniu różnych bodźców mogą tworzyć odmienne połączenia białek. Można śmiało uznać gen za małą warsztat i komputer wewnątrz znacznie większej fabryki i komputera, czyli genomu.

Genom: całość materiału genetycznego jakiegoś organizmu.

Genotyp: skład genetyczny organizmu lub odrębnej grupy organizmów.

HERV (skrót z ang. human endogenous retrovirus, czyli ludzki renowirus endogenny): nasz materiał genetyczny zawiera wiele śladów po dawnych zakażeniach renowirusami. Niektórzy badacze szacują, że nawet jedna trzecia całego naszego materiału genetycznego może się składać ze starych renowirusów. Jak dotąd nie jest znany ani jeden przykład dawnych genów wirusowych wytwarzających cząstki zakaźne (wiriony), które potrafiłyby się przenosić z komórki do komórki poprzez przekazywanie pionowe bądź poziome. Wiele HERV-ów wytwarza jednak w komórce cząstki wirusopodobne. Na razie nie wiadomo, czy cząstki te pełnią jakąś funkcję ani czy mogą wywoływać kłopoty.

Wszystkie HERV-y stanowią część naszego genomu i są przekazywane pionowo podczas rozmnażania, od rodziców do potomstwa. Zakażenie gamet przez renowirusy jest jak dotąd najlepszym wyjaśnieniem obecności HERV-ów w naszym genomie. (ERV, czyli wirusy endogenne, występują w wielu innych organizmach).

Homosom: pełen zestaw możliwego do użycia materiału genetycznego znajdującego się zarówno wewnątrz komórki bądź organizmu, jak i poza nimi. Bakteria wymienia koliste zamknięte cząsteczki DNA zwane plazmidami i może mieć geny przenoszone przez fagi lizogenne; ta całkowita pula materiału genetycznego tworzy homosom bakteryjny.

Introny: odcinki DNA, które zwykle nie kodują białek. W większości komórek eukariotycznych geny składają się z przemieszanych odcinków egzonów i intronów. Introny są wycinane z przepisywanego RNA matrycowego (mRNA), zanim trafi ono do rybosomów; rybosomy wykorzystują kod zawarty w odcinkach mRNA do budowy z aminokwasów określonych białek. Bakterie nie mają intronów.

Kromaniończyk: odmiana człowieka współczesnego, *Homo sapiens sapiens*, której szczątki odkryto w Cro-Magnon we Francji. *Homo* to nazwa rodzaju, *sapiens* gatunku, a drugie *sapiens* podgatunku.

Marker: wyróżniający bądź wyjątkowy układ par nukleotydowych albo wyróżniający bądź wyjątkowy gen w chromosomie.

Mutacja: zmiana w genie lub odcinku DNA. Może być przypadkowa, obojętna, a nawet szkodliwa; zdarzają się także korzystne, prowadzące do powstania bardziej wydajnych białek. Mutacje mogą powodować zmienność fenotypu albo budowy fizycznej organizmu. Mutacje przypadkowe są zazwyczaj obojętne bądź groźne dla zdrowia organizmu.

Neandertalczyk: *Homo sapiens neandertalensis*. Być może przodek człowieka. Dzisiejsi antropolodzy i genetycy prowadzą obecnie spór, czy neandertalczycy byli naszymi przodkami, opierając swe argumenty na DNA mitochondrialnym uzyskiwanym z dawnych kości. Dowody są niejednoznaczne najprawdopodobniej dlatego, że po prostu nie wiemy jeszcze, jak powstają i rozwijają się gatunki i podgatunki.

Odpowiedź immunologiczna (odporność, uodpornienie): przywołanie i przygotowanie komórek obronnych organizmu do odparcia ataku i zniszczenia patogenów, czyli organizmów chorobotwórczych, takich jak wirusy lub bakterie. Odpowiedź immunologiczna może także uznać za obce komórki niepatogeniczne

bądź część zwykłych tkanek organizmu; przeszczepione narządy wywołują odpowiedź immunologiczną i mogą zostać odrzucone.

Patogen: organizm chorobotwórczy. Jest wiele różnych odmian patogenów: wirusy, bakterie, grzyby, protisty (zwane poprzednio pierwotniakami – protozoa) i wielokomórkowce (metazoa), takie jak nicienie.

Prowirus: kod genetyczny wirusa wówczas, gdy jest zawarty w DNA gospodarza.

Przeciwciało: cząsteczka, która łączy się z antygenem, neutralizuje go i uruchamia inne sposoby obrony przed intruzem.

Retrotranspozon, retropozon, retrogen: patrz element mobilny.

Retrowirus: wirus zawierający nić RNA, który umieszcza swój kod w DNA gospodarza w oczekiwaniu na późniejszą replikację. Replikacja często następuje dopiero po latach. Retrowirusy powodują AIDS i inne choroby.

RNA: kwas rybonukleinowy. Pośrednia, uzupełniająca kopia DNA; rybosomy używają RNA matrycowego (mRNA) jako matrycy przy budowie białek.

Sekwencjonowanie: ustalanie kolejności cząstek w polimerze, na przykład białku lub kwasie nukleinowym; w genetyce odkrywanie kolejności par nukleotydowych w genie bądź w odcinku DNA lub RNA, także w całym genomie. Za kilka lat poznamy kolejność cząstek w całym genomie człowieka^[2]. SHEVA (HERV-DL 3, SHERVA-DL 3): fikcyjny ludzki retrowirus endogenny, który potrafi tworzyć zakaźną cząstkę wirusową, czyli wirion; HERV zakaźny. Jak dotąd taki HERV nie jest znany.

Szczepionka: substancja wywołująca odpowiedź immunologiczną na obecność organizmu chorobotwórczego.

Transpozon: patrz element mobilny.

Trisomia: posiadanie dodatkowej kopii chromosomu w komórce

diploidalnej. U ludzi posiadanie trzech kopii chromosomu 21 prowadzi do powstania zespołu Downa.

Wirion: zakaźna cząstka wirusowa.

Wirus: nieożywiona, lecz czynna organicznie cząstka, która potrafi wnikać do komórki i wykorzystywać jej aparat kopiujący do namnażania nowych wirusów. Wirusy zbudowane są z DNA lub RNA, otoczonego zwykle płaszczem białkowym, czyli kapsydem. Kapsyd z kolei może otaczać osłonka. Znane są setki tysięcy odmian wirusów, mogą być też miliony dotychczas nieopisanych.

Zygota: połączenie dwóch gamet, zapłodniona komórka jajowa.

Podziękowania

Na szczególne podziękowania zasługuje dr Mark E. Minie, który wprowadził mnie do Puget Sound Biotech Society i przedstawił wielu jego członkom. Jako jedną z pierwszych poznałem panią doktor Elizabeth Kutter z wydziału biologii Evergreen State College w Olympii w stanie Waszyngton. Pomogła mi w wielu szczegółach dotyczących jej specjalności, bakteriofagów, jak również dostarczyła liczne fakty na temat jednego z jej ulubionych miejsc na Ziemi, Gruzji. Asystenci dr Kutter, Mark Alan Mueller i Elizabeth Thomas, byli konstruktywnie krytyczni i zachęcali mnie do pracy. Nasze dyskusje okazały się jednocześnie budujące i pouczające! Przez Marka E. Minie poznałem także dra Dennisa Schwartza, którego prace nad wczesną chemią życia mogą okazać się rewolucyjne.

Wielu innych naukowców i przyjaciół przeczytało i skrytykowało tę książkę, a kilkoro z nich zaprosiło mnie do miejsc swej pracy. Dr Dominie Esposito z National Institutes of Health oprowadził mnie po terenie NIH i opatrzył obszernymi notatkami wczesną wersję powieści. Znaczącej pomocy udzielili mi także jego przyjaciele, dr Melanie Simpson i Martin Kevorkian.

Doktor Benoit Leblanc, pracujący z doktorem Davidem Clarkiem w podległym NIH Laboratory of Cellular and Developmental Biology, dokonał doskonałej korekty krytycznej, poprawiając liczne błędy tekstu.

Doktor Brian W. J. Mahy, dyrektor Division of Viral and Rickettsial Diseases w Centers for Disease Control and Prevention, był uprzejmy spotkać się ze mną i przekazać niektóre swe przemyślenia dotyczące

wirusów i ich ewentualnego wpływu na ewolucję. Przeczytał także krytycznie jedną z ostatnich wersji tej książki. Barbara Reynolds z Public Information Office w CDC pomogła załatwić zwiedzanie budynków tej instytucji przy ulicy Clifton Road 1600.

Doktor Joe Miller, z Health Sciences Center w Texas Tech University, przeczytał najwcześniejszą wersję książki, dostarczając mi szczegółów na temat ludzkich hormonów i receptorów przylemieszowych.

Julian Davies, emerytowany profesor University of British Columbia, uprzejmie zgodził się przejrzeć ostatnią wersję książki.

Katie i Charlie Potterowie dostarczyli mi cennych rad na temat alpinizmu, jego historii i terminologii.

Pomimo pomocy wszystkich tych wybitnych czytelników książka z pewnością nie jest wolna od błędów. Winę za nie ponoszę ja, a nie oni. Ponadto na każdym kroku naukowcy ci wyrażali swe poparcie bądź zgłaszali wątpliwości – niekiedy bardzo poważne – wobec moich teorii. Ich wsparcie nie oznacza w najmniejszym stopniu, że zgadzają się z którąkolwiek z teorii przedstawionych w Radiu Darwina, a tym bardziej ze wszystkimi.

Przypisy

[1] (ang.) corpse – trup; corps – korpus (przyp. red.).

[2] Należy pamiętać, że autor pisał te słowa w roku 1999 (przyp. red.).